

# PHILIPPA GREGORY

*Czerwona królowa*

Przełożyła z angielskiego  
Urszula Gardner

Wydawnictwo „Książnica”

BITWY WOJNY DWU RÓŻ,  
ZWANEJ WOJNĄ KUZYNÓW

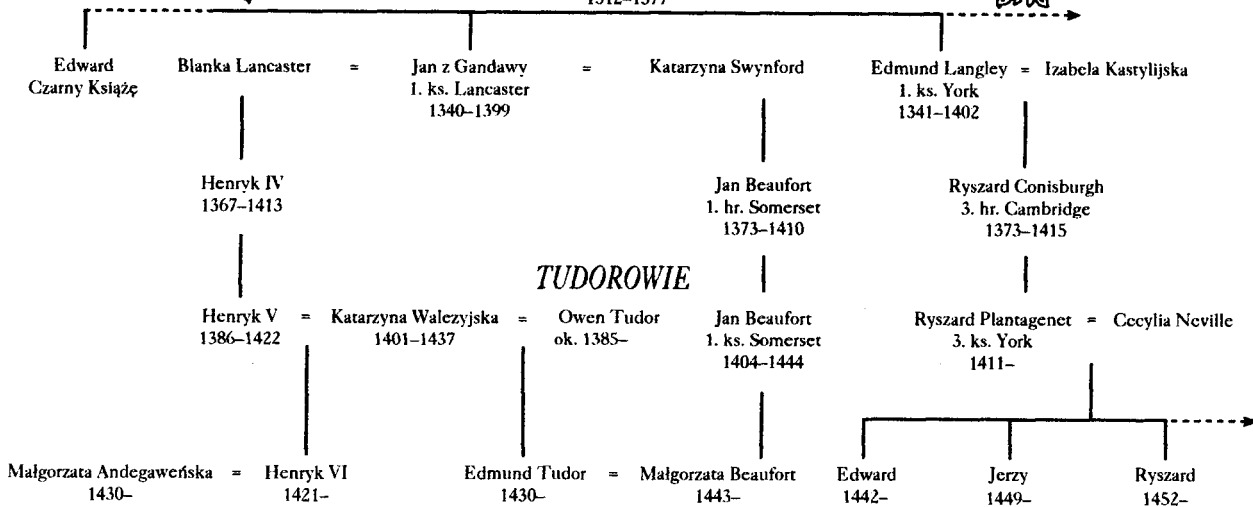




## LANCASTEROWIE

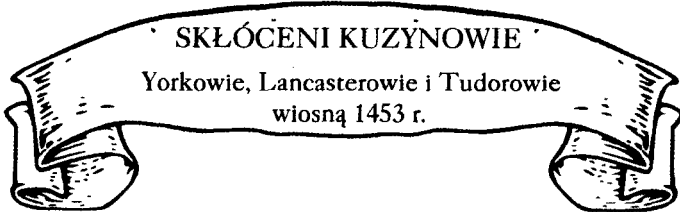
EDWARD III  
1312–1377

## YORKOWIE



## SKŁÓCENI KUZYNOWIE

Yorkowie, Lancasterowie i Tudorowie  
wiosną 1453 r.



## WIOSNA 1453 ROKU



*Światło dnia razi moje oczy po długim czasie spędzonym w ciemnościach. Mrugam powiekami i nagle dochodzi mnie ryk wielu gardeł. Wszelako to nie żołnierze wołający moje imię — ów huk przechodzący w dudnienie nie jest ich okrzykiem bojowym, odgłosem uderzania mieczami o tarcze. Szeleszczący szept płót na wietrze nie oznacza mych haftowanych aniołów i lilii na tle nieba, tylko przekłete angielskie lwypowiewające w majowej bryzie. To całkiem odmienne brzmienie od naszych donośnych hymnów; to wycie łudzi łaknących śmierci: mojej śmierci.*

*Na wprost mnie, a także nade mną —gdy przekraczam próg swego więzienia i wstępuję na miejski rynek — majaczy wysoki stos, do którego prowadzi byle jak sklecona drabina z nieoheblowanych szczebli. Szepczę: „Krzyż... Czy mogłabym dostać krzyż?...”, a potem głośniej powtarzam: „Krzyż! Muszę mieć krzyż!”. I jakiś mężczyzna, obcy człowiek, wróg, Anglik, jeden z tych, których nazywamy przekłeciuchami, gdyż bez końca wypowiadają bluźnierstwa, wyciąga przed siebie wyciosany z kawałka zwykłego drewna krucyfiks, ja zaś chowając dumę, wyszarpuję mu go z ręki i zaciskam w swojej dłoni, kiedy popychają mnie w stronę stosu i podsadzają na drabinę, na której szczeblach kaleczę sobie stopy, w miarę jak wspinam się coraz wyżej, O wiele wyżej, niż sama sięgam, aż w końcu dostaję się na chybotałą platformę przybitą ćwiekami do schludnych kłód wspartych o siebie czubkami. Na szczycie szarpiają mną, odwracają mnie tyłem do palika i krępują mi ręce za plecami.*

*Wszystko dzieje się tak powoli, że niemal mi się wydaje, iż czas stanął w miejscu, a aniołowie schodzą na ziemię. W końcu zdarzały się już dziwniejsze rzeczy. Czyż anieli nie przemówili do mnie, gdy pałam owce? Czyż nie zwrócili się do mnie po imieniu? Czyż nie poprowadziłam armii na odsiecz Orleanowi? Czyż nie koronowałam delfina na króla i nie wypędziłam Anglików? Właśnie ja, dziewczę z Domrmy, któremu doradzały niebiańskie istoty?*

*Podpalają chrust na samym dole, a biały dym podnosi się i faluje w podmuchach wiatru. Wkrótce leżące wyżej szczapy drewna zajmują się ogniem, spowija mnie gorąca gryząca chmura, wywołując kaszel, mruganie powiek i łzawienie oczu. Płomienie liżą już moje nagie stopy. Przepęduję z jednej nogi na drugą w naiwnej wierze, że to mnie uchroni przed nieprzyjemnymi doznaniem, i spojieram przez kłęby dymu, na wypadek gdyby ktoś jednak biegł z cebrami wypełnionymi wodą, z wiadomością, że król, na którego głowę włożyłam koronę, kazał powstrzymać to szaleństwo, bądź też na wypadek gdyby Anglicy, którzy mnie wykupili od Burgundczyka, zrozumieli, że nie mogą na mnie wykonać wyroku, albo nawet na wypadek gdyby Kościół pojął, że jestem dobrą niewiastą, winną tylko służenia Bogu z niezwykłym poświęceniem i niczemu więcej.*

*Wszelako pośród przepychającego się tłumu nie ma zbawcy. Hałas nabrzmiewa, aż zmienia się w ogłuszający wrzask: mieszanień wykrzykiwanych błogosławieństw i przekleństw, modlitw i sprośności. Spoglądam w górę, na niebieskie niebo, wypatrując zstępujących aniołów, a wtedy pode mną porusza się jedna z kłód stosu; nadwreżony palik drga, posyłając pierwszą iskrę w moją stronę. Ognik wypala dziurę w skraju szaty, którą mam na sobie. Nagle pojawia się ich cały rój — wirując niczym świetliki, opadają gdzie bądź. Czuję drapiący ból w gardle, zaczynam kasłać z powodu kłębiącego się dymu i szepczę: „Dobry Boże, ocal Swoją córkę! Dobry Boże, wyciągnij do mnie pomocną dłoń. Dobry Boże, ratuj...”.*

Rozlega się łomot, kiedy uderzam w coś głową, i otwierając oczy, ze zdumieniem się przekonuję, że leżę na deskach alkierza, z dłonią przytkniętą do bolącego ciemienia. Wodzę dookoła nieprzytomnym spojrzeniem, widząc niewiele więcej. Moja dama do towarzy-

stwa otwiera drzwi i dostrzegłszy mnie oszołomioną, spoczywającą nieopodal przewróconego klęcznika, załamuje ręce.

— Lady Małgorzato, wracaj do łóżka! Już dawno powinnaś spać. Przenajświętsza Panienska nie ceni sobie modlitw zanoszonych do niej przez niegrzeczne dziewczynki. Przesada nie jest powodem do chwały. Poza tym twoja macierz chce, żebyś wstała wcześniej. Nie możesz spędzić całej nocy na klęczkach, to jakaś fanaberia!

Zatrząskuje drzwi, mimo to słyszę, jak mówi do służek, że jedna z nich musi znów ułożyć mnie do snu i zostać w komnacie dla pewności, iż o północy nie wstanę ponownie, by zmówić kolejne modlitwy. Nie podoba im się, że pilnuję godzin brewiarzowych; własne sługi stoją mi zawadą na drodze ku świętości, twierdząc, że jestem mała i potrzebuję się wysypiać. Śmiało insynuować, że to co robię, robię na pokaz, że bawię się w pobożność, tymczasem ja czuję powołanie i wiem, iż moim obowiązkiem, moim szczytnym obowiązkiem jest usłuchać woli Pana Boga.

Wszelako nawet gdybym się modliła do świtu, nie zdołałam na powrót przywołać wizji, która jeszcze przed chwilą zdawała mi się taka wyrazista, a teraz przepadła na dobre. Przez chwilę, przez uświęconą chwilę byłam tam; byłam Dziewicą Orleańską, byłam Joanną d'Arc. Rozumiałam, czym może być niewiasta, co niewiasta może uczynić. A potem zostałam ściągnięta za nogi na ziemię i upomniana jak zwykłe dziewczę, co oczywiście wszystko zepsuło.

— Maryjo, Matko Boża, bądź mi przewodniczką... Anieli, wróćcie do mnie... — szepczę, usiłując znaleźć się znów na tamtym placu, wśród przyglądającego mi się tłumu, w owym przejmującym momencie. Nadaremno.

Ucapiam się słupka baldachimu i wstaję. Kręci mi się w głowie od poszczenia i modlenia, stłuczone ciemną pulsuje bólem. Rozcieram mrowiące kolana. Pod palcami czuję miłą szorstkość skóry, toteż zadzieram nocne gieżło i przyglądam się kościstym wypukłościom: obie są tak samo zgrubiałe i zaczerwienione. Mam kolana świętej, Bogu niech będą dzięki, mam kolana świętej. Modliłam się tak długo i tak często, i na takich twardych deskach podłogi, że skóra mi schropowaciała całkiem jak na palcu angielskiego łuczownika. Jestem nieledwie dziesięciolatka, a już mam kolana świętej. To

musi się liczyć — cokolwiek opiekunka opowiada macierzy o mojej nadmiernej i sztucznej religijności. Mam kolana świętej. Poraniłam sobie skórę nieustannym klęczaniem; starte kolana to moje stygmaty. Proszę Pana Boga, żeby pozwolił mi sprostać wyzwaniu i skończyć także jak święta.

Kładę się do łóżka, jak mi kazano, gdyż posłuszeństwo — nawet wobec przygłupich i prostackich niewiast — jest miłe Panu Bogu. Chociaż spłodził mnie mężczyzna, który był największym dowódcą angielskiej armii we Francji, najznacniejszym członkiem rodu Beaufortów, a co za tym idzie, zajmującym miejsce w kolejce do tronu po Henryku VI, muszę słuchać opiekunki i macierzy, jakbym była zwykłym dziewczęciem. W królestwie zajmuję wysoką pozycję — było nie było, mogę się nazywać kuzynką najjaśniejszego pana — a mimo to w domu się mną pogardza; muszę robić, co mi każe głupia stara niewiasta, która przysypia podczas homilii w kościele i ciamka, ssąc suszone śliwki, kiedy ktoś odmawia modlitwę przed posiłkiem. Uważam ją za krzyż, który muszę dźwigać, i modląc się, zanoszę swoje poświęcenie Panu Bogu.

Moje modlitwy ocalają jej nieśmiertelną duszę — pomimo jej niezaprzeczalnych wad — gdyż tak się składa, że są wysłuchiwane ze szczególną uwagą. Od dzieciństwa, odkąd miałam pięć lat, wiedziałam, że jestem wybranką Pana Boga. Przez całe lata sądziłam, że to unikatowy dar: czuć czasami obecność Pana Boga, czuć czasami błogosławieństwo Przenajświętszej Panienki. Ale któregoś dnia minionego roku stanął w progu kuchennych drzwi weteran wojny z Francją, żebrzący po drodze do rodzinnej parafii, podczas gdy ja akurat zbierałam śmietankę z mleka. Podśłuchiwałam, jak prosi mleczarkę o coś do jedzenia i mówi, że był świadkiem cudów: na własne oczy widział niewiastę zwaną Dziewicą Orleańską.

— Wpuść go! — rozkazałam, wstając z zydlą.

— Jest cały brudny — zaprotestowała. — Nie wpuszczę go za próg.

Mężczyzna zaszurał, zdejmując tobołek z pleców.

— Gdybyś zechciała podzielić się odrobiną mleka, łaskawa panienko — zaskomlił. — • I może jeszcze odrobiną chleba dla biedaka, wiernego żołnierza swego pana i Anglii...

— Co mówiłeś o Dziewicy Orleańskiej? — przerwałam mu.  
— I o cudach?

Stojąca za moimi plecami mleczarka wymamrotała coś pod nosem, zapewne wznosząc oczy do nieba, po czym zakrzatnęła się i naszykowała dla wędrowca kromkę ciemnego żytniego chleba i gliniany kubek ze świeżo udojonym mlekiem. Prawie wyrwał jej go z ręki i natychmiast wlał sobie zawartość do gardła. Rozejrzał się za więcej.

— Opowiadaj — rozkazałam.

Mleczarka kiwnęła nań, dając do zrozumienia, że należy mi okazywać posłuch, a on odwrócił się na to i skłonił przede mną.

— Walczyłem pod księciem Bedfordem we Francji, kiedyśmy usłyszeli o niewieście stojącej po stronie Francuzów — zaczął.  
— Niektórzy powiadali o niej: czarownica, inni twierdzili, że weszła w konszachty ze Złym. Ale moja dziw... — Mleczarka sapnęła, strzelając gniewnie palcami, na co żebrak zakrztusił się na ostatnim słowie. — Młoda dziewczeczka, którą przypadkiem znałem, Francuzka, powiedziała mi, że owa niewiasta rodem z Domremy rozmawiała z aniołami i przyrzekła, że doprowadzi do koronacji francuskiego księcia na króla. Była z niej zwykła wiejska dziewczucha, a mimo to utrzymywała, że anieli przemówili do niej i przykazali, by uratowała przed nami swój kraj.

Stałam przykuta do miejsca, jakby padł na mnie czar.

— Anieli przemówili do niej?

Uśmiechnął się przymilnie.

— Tak, łaskawa panienko. Kiedy była dziewczątkiem w twoim wieku.

— Jak ona sprawiła, że mężczyźni zaczęli jej słuchać? Jak sprawiła, że zrozumieli, iż jest wyjątkowa?

— O, jeśli o to chodzi... Dosiadała wielkiego białego rumaka i ubierała się po męsku, czasami nawet we zbroję. Na sztandarze miała wyhaftowane lilie i anioły, a gdy przywiedli ją do księcia Francji, rozpoznała go pośród całego dworu.

— Nosiła zbroję? — wyszeptałam z rozmarzeniem, jakby opowieść toczyła się o mnie, a nie o jakiejś obcej Francuzce. Och, ile



bym mogła osiągnąć, gdyby tylko ludzie uwierzyli, że aniołowie ze mną rozmawiają, tak jak rozmawiały z tą Joanną!

— Nie tylko nosiła zbroję, ale też prowadziła swoich podkomendnych do boju. — Żebrak skinał zamaszycie głową. — Widziałem ją na własne oczy.

Gestem przywołałam mleczarkę.

— Daj mu mięsa i piwa.

Służka niechętnie udała się do spiżarni, a ja i wędrowiec wyszliśmy za zewnątrz. Mężczyzna opadł ciężko na przyzbę. Stałam obok niego, czekając, kiedy mleczarka z hukiem stawiała drewniany talerz z mięsiwem i kiedy on łapczywie napychał sobie brzuch. Jadł jak zagłodzony pies, bez żadnej godności. Gdy skończył i popił cienkim piwem, powróciłam do przesłuchania.

— Przy jakiej okazji widziałeś ją po raz pierwszy?

— Aaa... — powiedział z zadowoleniem, ocierając tłuste wargi rękawem. — Zaczęliśmy właśnie oblężenie Orleanu pewni zwycięstwa. Bo zawsześmy wtedy wygrywali, zawsze, nim pojawiła się ona. W przeciwieństwie do wroga mieliśmy w wyposażeniu angielskie łuki, z których nikt nie chybiał, zupełnie jakbyśmy strzelali do tarcz, nie do ludzi. Ja byłem jednym z łuczników.

— Umilkł nagle zawstydzony naciąganiem prawdy aż do tego stopnia. — Nooo... byłem żerdnikiem — poprawił się po chwili. — Robiłem strzały. Ale nasi łucznicy naprawdę wygrywali bitwa za bitwą.

— Mniejsza o to. Mów lepiej, co z Joanną.

— No przecie mówię. Musisz zrozumieć, że Francuzi nie mieli najmniejszej szansy na zwycięstwo. Znaczniejsi i mądrzejsi ludzie niż ona wiedzieli, że są straceni. Dotąd zawsze przegrywali.

— Ale ona...? — podpowiedziałam szeptem.

— Ona twierdziła, że słyszy głosy, że anieli do niej gadają. Pono kazali jej iść do francuskiego księcia... po prawdzie głupka i niecnoty... i uczynić go królem, a potem nas wygnąć z naszych ziem we Francji. No i ona dotarła do króla, kazała mu przyjąć koronę, a potem w jakowyś sposób sprawiła, że pozwolił jej poprowadzić armię. Pewnie pomyślał, że wieszczka z niej... tak czy owak, nie miał nic do stracenia. Żołnierze w nią wierzyli. Była wiejską

dziewuchą, ale ubierała się jak rycerz, miała nawet sztandar, cały haftowany w lilie i anioły. Posłała też któregoś do kościoła, a on tam, w miejscu przez nią wskazanym, znalazł stary miecz, co niejedną krucjatę widział, mimo że od ostatniej krucjaty minęło tyle lat...

— Naprawdę?

Żebrak zaśmiał się, zakaszłał i splunął flegmą na ubitą ziemię.

— A kto ją tam wie? Może naprawdę, a może nie... Moja dziw... moja znajoma dziewczeczka uważała Joannę za świętą zesłaną przez Boga po to, by uchroniła Francję przed nami, Anglikami. Powiadała, że świętej Joanny żelazo się nie ima. I miała ją niemal za równą aniołom.

— A jaka ona była, ta Joanna? — wstrzymałam z wrażenia oddech.

— A taka jak ty, wypisz wymaluj. Drobna, o bystrym spojrzeniu, jaśniepańska...

Serce urosło mi z dumy.

— Taka jak ja?

— Całkiem taka jak ty.

— A czy ludzie jej bez przerwy mówili, co ma robić? I że o niczym nie ma pojęcia?

Potrząsała głową w odpowiedzi.

— Skądże, to ona wszystkimi komenderowała. Robiła, co chciała. Poprowadziła armię ponad czterech tysięcy Francuzów i zaskoczyła nas, gdyśmy się rozłożyli obozem pod Orleanem. Nasi dowódcy nie mogli nakłonić żołnierzy do walki z nią, przerażał nas sam jej widok. Nikt nie śmiał podnieść na nią miecza. Wszyscyśmy myśleli, że jest niepokonana. Wycofaliśmy się pod Jargeau, a ona nas ścigała, atakując raz po raz. Napawała nas nieludzkim strachem. To wtedyśmy ją wzięli za czarownicę.

— To w końcu była czarownicą czy świętą? — oburzyłam się.

Wędrowiec ponownie się uśmiechnął.

— Widziałem ją potem w Paryżu i nie dopatrzyłem się w niej niczego złego. Wyglądała tak, jakby sam Pan Bóg utrzymywał ją na tym jej wielkim białym rumaku. Mój pan nazwał ją kwiatem rycerstwa. Słowo.

— Była ładna? — spytałam wstydliwie. Ja nie jestem ładna, co bardzo smuci moją macierz, lecz nie mnie, gdyż próżność nie ma do mnie dostępu.

Stary żołnierz pokręcił głową i odpowiedział tak, jak sobie życzyłam.

— Nie, nie była ładna, nie miała w sobie ani trochę dziewczęcości. Ale za to jaśniała od środka...

Skinęłam głową ze zrozumieniem, gdyż w tej właśnie chwili pojęłam, że... pojęłam wszystko.

— Zatem wciąż walczy?

— Niech Bóg błogosławi twoją pustą główkę. Nie, oczywiście, że nie walczy. Nie żyje. Od jakichś... policzmy... dwudziestu lat.

— Nie żyje? — zdumiałam się.

— Ano nie żyje — potwierdził. — Opatrzność się od niej odwróciła w Paryżu, jakeśmy ją odepchnęli spod murów miasta, choć nie było lekko... Tylko pomyśl! Nieomalże zajęła Paryż! A potem na koniec burgundzki żołnierz wziął i ściągnął ją z siodła białego konia — relacjonował z kamienną twarzą żebrak. — Tośmy dali mu za nią okup i spalili ją. Za herezję.

To mną wstrząsnęło.

— Ale przecież mówiłeś, że kierowali nią anieli.

— No i tak nią pokierowali, że umarła młodo — wzruszył ramionami. — Kiedy wziął się za nią sąd inkwizycji, wyszło na jaw, że faktycznie była dziewicą. Była Joanną Dziewicą. I nie kłamała, kiedy twierdziła, że poniesiemy klęskę we Francji. Chyba jużesmy przegrali z kretesem. Uczyniła z ich króla mężczyznę, a z kupy łachudrów prawdziwą armię. Cokolwiek mówić, daleko jej było do zwykłej niewiasty. Nie wydaje mi się, żebym miał zobaczyć taką drugą w swoim życiu. Płonęła na długo przed tym, zanim stanęła na stosie. Rozjarzał ją Duch Święty.

Zaczerpnęłam głęboko tchu.

— Ja jestem taka jak ona — szepnęłam.

Popatrzył na moją urzeczoną twarz i wybuchnął śmiechem.

— E tam, to stare dzieje — rzucił. — Po co łaskawej panience zawracać sobie nimi głowę. Joanna nie żyje i rychło wszyscy o niej

zapomną. Jej prochy rozsiano na wietrze, żeby nie można wznieść najmniejszego ołtarzyka.

— Ale Pan Bóg przemawiał do niej, do niewiasty — upierałam się. — Nie do króla ani jakiegoś innego męża, tylko do młodej niewiasty.

Weteran pokiwał głową z powagą.

— Nie wątpię, że w to wierzyła — przyznał. — Nie wątpię, że słyszała anioły. Musiała je słyszeć. Inaczej nigdy by tyle nie osiągnęła.

Moich uszu dobiegł piskliwy głos opiekunki stojącej na stopniach wiodących do frontowego wejścia domu. Odwróciłam się do właśnie powstającego z przyzby mężczyzny. Kiedy schylał się po swój tobołek, żeby zarzucić go sobie na plecy, spytałam nagłaco:

— Ale czy to prawda?

Wędrowiec już się kierował ku stajniom i położonej za nimi bramie na trakt.

— Żołnierskie opowieści — skwitował beznamiętnie. — Równie dobrze możesz zapomnieć o nich i o niej, bo Bóg świadkiem, o mnie nikt nie będzie pamiętał.

Pozwoliłam mu odejść z tymi słowami na ustach, lecz nigdy nie zapomniałam o Joannie d'Arc. Nigdy o niej nie zapomnę. Od tamtej pory co wieczór zwracam się do niej w swoich modlitwach, proszę ją, by mną pokierowała, przymyka powieki i staram się ją ujrzeć. Ilekroć na progu Bletsoe zjawia się jakiś żołnierz żebrzący o strawę, każe mu się czekać, ponieważ mała lady Małgorzata pragnie z nim rozmawiać. Każdego pytam, czy był pod Les Augustins, Les Tourelles, Jargeau, Beaugency, pod Patay, w Orleanie 1 w Paryżu. Znam miejsca jej wygranych bitew równie dobrze jak nazwy okolicznych wiosek w Bedfordshire. Niektórzy z wędrowców walczyli z nią, inni ją nawet widzieli. Wszyscy opowiadają o drobnej młodej niewieście dosiadającej ogromnego białego rumaka, ze sztandarem powiewającym jej nad głową, rzucającej się zawsze w wir najzaciętszej walki; o dziewczęciu niczym księżę, o przysiędze, że sprowadzi na Francję zwycięstwo i pokój, o jej oddaniu Panu Bogu. O dziewczynce jak ja, niemal o dziewczynce jak ja — a przecież o heroinie.

Nazajutrz przy śniadaniu dowiaduję się, czemu zabroniono mi modłów przez całą noc. Macierz każe mi się przygotować do podróży, do długiej podróży.

— Jedziemy do Londynu — oświadcza spokojnie. — Na dwór królewski.

Nie posiadam się z radości na myśl o wyprawie do Londynu, lecz powściągam podniecenie, by nie wyjść na próżną i nazbyt dumną. Skłaniam głowę i szeptem odpowiadam:

— Jak sobie życzysz, pani matko.

W głębi ducha jednak bardzo się cieszę na perspektywę wyjazdu, uważam, że to najlepsze co mogło mi się w tych okolicznościach przydarzyć. Nasz dom w Bletsoe, w sercu Bedfordshire, jest tak cichy i nudny, że nie mam jak się tutaj opierać pokusom wielkiego świata. Nie czyhają tu na moją duszę żadne zagrożenia i nie widuje mnie nikt poza sługami, jeśli nie liczyć starszego rodzeństwa, które i tak nie zwraca sobie mną głowy, uznając za dziecko bez znaczenia. Dla pocieszenia przywołuję wspomnienie Joanny wypasającej ojcowskie owce w Domremy, która zupełnie jak ja była zagrzebana pośród błotnistych pól i łąk. Ona nie skarżyła się na nudę prowincji, tylko cierpliwie czekała, aż niebiański głos zawezwie ją do wspaniałych czynów. Muszę brać z niej przykład.

Zastanawiam się ukradkiem, czy nieoczekiwany rozkaz zjawienia się w Londynie to właśnie ten głos, na który od dawna czekałam; głos wzywający mnie do wspaniałych czynów. W końcu znajdę się na dworze dobrego króla Henryka VI, który powita mnie w pałacu jak najbliższą krewną — cokolwiek mówić, jestem jego kuzynką. Nasi dziadkowie byli przyrodnimi braćmi, a to doprawdy niesłychanie bliskie pokrewieństwo w wypadku, gdy jedna z osób jest królem, a druga nie; w dodatku król Henryk ustanowił specjalny akt, na mocy którego ród Beaufortów uznaje się za w pełni prawowity, aczkolwiek nie błękitnej krwi. Wierzę, że mój kuzyn dopatrzy się we mnie znamion świętości, która i z niego emanuje, jak się powiada. Wierzę, że ogłosi mnie nie tylko swą krewniaczką, ale i pokrewną duszą. Może nawet postanowi, że powinnam zostać na jego dworze? Może nawet uczyni mnie swym doradcą, tak jak delfin uczynił

doradcą Joannę d'Arc? Nie dość, że jestem z nim spokrewniona, to jeszcze miewam wizje świętych. Choć mam zaledwie dziesięć lat, słyszę anioły, a nawet spędzam całe noce na klęczkach, jeśli nikt mi akurat nie zabroni. Gdybym urodziła się chłopcem, z pewnością zrobiono by mnie księciem Walii. Czasem się martwię, że wszyscy by woleli, abym urodziła się chłopcem, i z tego powodu nikt nie przywiązuje wagi do mego wewnętrznego światła. Ale czy to możliwe, że mieszkańcy Bletsoe są tak przesiąknięci grzechem pychy, by żałować, iż nie urodziłam się chłopcem, i ignorować płomień świętości we mnie, dziewczynce?

— Tak, pani matko — powtarzam głośniej, wciąż ze spuszczoną głową.

— Nie wyglądasz na zachwyconą — zauważa w odpowiedzi.

— Nie chcesz wiedzieć, czemu tam jedziemy?

Powściągam palącą ciekawość.

— Owszem, jeśli można.

— Muszę cię z przykrością poinformować, że twoje zaręczyny z Janem de la Pole zostają zerwane. Jan wydawał się dobrą partią, kiedy zaręczyny były układane, jak miałaś sześć lat; teraz zostaniesz uwolniona od danego mu słowa. Staniesz przed składem sędziów, którzy cię zapytają, czy chcesz zakończyć zaręczyny, na co odpowiesz twierdząco. Rozumiesz?

To wprawia mnie w niepokój.

— Ale ja nie będę wiedziała, co mam powiedzieć...

— Po prostu zgodzisz się zakończyć zaręczyny. Powiesz: tak.

— A jeśli mnie zapytają, czy moim zdaniem taka jest wola Pana Boga? A jeśli zapytają, czy Pan Bóg odpowiedział na moje modlitwy?

Macierz wzdycha, jakbym zachowywała się nieznośnie.

— O nic podobnego nie będą cię pytać.

— Co się stanie później?

— Jego wysokość król Henryk wyznaczy ci nowego opiekuna, ten zaś wyda cię za żonę za wybranego przez siebie mężczyznę.

— Czekają mnie następne zaręczyny?

— Tak.

— A nie mogłabym pójść do klasztoru? — pytam cichutko, mimo iż wiem, jaką usłyszę odpowiedź. Nikt nie ma w poważaniu mojej duchowości. — Teraz, kiedy nie jestem już nikomu obiecana, nie mogłabym zostać zakonnica?

— Oczywiście, że nie, Małgorzato. Nie bądź głupia. Twoim obowiązkiem jest począć syna i dziedzica, Beauforta, młodego krewniaka króla Anglii, chłopca z Domu Lancasterów. Bóg świadkiem, że nasi wrogowie Yorkowie mają chłopców pod dostatkiem. Musimy się postarać o Beauforta i Lancastera. Ty go nam dasz.

— Tylko że ja czuję powołanie...

— Twoim powołaniem jest urodzić dziedzica Lancasterów — kończy dyskusję macierz. — Byłaby z tego dumna każda roztropna niewiasta. Idź już, szykuj się do drogi. Służki już cię spakowały, nie zapomnij zabrać swojej lalki.

Zabieram lalkę i swój starannie przekopiowany modlitewnik. Znam francuski — i oczywiście angielski — ale nie umiem czytać po łacinie ani w grece, a macierz nie zezwala na preceptora, który by mnie nauczył tych dwóch języków. Dziewczynki nie warto edukować, powiada. Co za szkoda, że nie mogę czytać Dobrej Nowiny i modlitw po łacinie. W dodatku o kopie w rodzimym języku jest niesłychanie trudno i każdą wysoko się ceni. A chłopców uczy się i łaciny, i greki, i jeszcze innych przedmiotów. Dziewczynki ledwie umieją czytać i pisać, gdyż ich nauka skupia się głównie na szyciu, graniu na instrumentach, znajomości poezji i prowadzeniu domowych rachunków. Gdybym została mateczką przełożoną, miałabym dostęp do wielkiej biblioteki i mogłabym prosić skrybów o kopiowanie wszystkich tekstów, z jakimi pragnęłabym się zapoznać. Kazałabym nowicjuszkom, żeby mi czytały na głos przez cały dzień. Byłabym światłą niewiastą, a nie niewykształconą dziewczynką, równie nierozgarniętą jak pierwsza lepsza służka.

Gdyby żył papa, pewnie by mnie nauczył łaciny. Był wielce czytany człowiekiem, przynajmniej tyle mi o nim wiadomo. Długie lata spędził we francuskiej niewoli, gdzie nieustannie zgłębiał wiedzę. Ale niestety odszedł z tego świata na parę dni przed moimi pierwszymi urodzinami. Fakt moich narodzin był dlań tak nieistotny, że akurat przebywał we Francji na kampanii wojennej, próbując

odzyskać utraconą rodzową fortunę, kiedy za macierzą zamknęły się drzwi komnaty niewieściej, i nie wrócił do domu przez niemal równy rok, a potem i tak wziął i od razu umarł, tak że nigdy nawet nie poznał mnie i mojego daru.

Podróż do Londynu zajmie nam trzy dni. Macierz będzie jechać wierzchem na własnym rumaku, ja zaś w siodle za jednym z giermków. Nazywa się Wat i ma się za uwodziciela w stajniach i kuchniach. Puszczą do mnie oko, jak gdybym mogła się zniżyć do przyjaźni z nim, na co ja marszczę czoło z dezaprobatą, przypominając mu, kto tu jest nikim, a kto Beaufortem. Zajmuję miejsce za nim i chwytam się mocno jego skórzanego pasa, a kiedy pyta: — Jak tam z tyłu? Wszystko gra? — potakuję niemym skinieniem, dając mu do zrozumienia, że nie życzę sobie, by się do mnie odzywał aż do Ampthill.

No i nie odzywa się. Za to śpiewa, co jest prawie tak samo straszne. Wyśpiewuje piosnki miłosne i takie, jakie się śpiewa w sianokosy, a że ma czysty głos, mężczyźni jadący z nami w eskorcie dla ochrony przed zbrojnymi bandami, od których ostatnimi czasy roi się w Anglii, przyłączają się do jego tenoru i wtórują barytonami. Co za szkoda, że macierz nie przykaże im być cicho albo — skoro już muszą coś śpiewać — nie wyda polecenia, by śpiewali psalmy na chwałę Pana Boga. Ona jednak zdaje się zadowolona, że jedzie konno w ciepły wiosenny dzień, i nawet zbliżywszy się do mnie, odzywa się z uśmiechem:

— Już niedaleko, Małgorzato. Na noc staniemy w Abbots Langley, skąd rano wyruszymy w dalszą drogę. Nie zmęczonaś zbytnio?

Jestem tak zaniedbywana przez tych, którzy powinni się o mnie troszczyć, że nie umiem jeździć w siodle, choćby na grzbiecie konia prowadzonego przez kogoś za uzdę, i nie pozwala mi się na to nawet przed naszym wjazdem do Londynu, gdzie setki ludzi wylęgają na ulice z kramów i warsztatów, by podziwiać nasz pięćdziesięcioosobowy orszak. Jakże mam się zdawać heroiną, która ocali Anglię, skoro muszę się telepać za Watem, czepiając się jego pasa jak jakaś wiejska dziewczucha udająca się na jarmark? Wcale nie wyglądam na



dziedziczkę Domu Lancasterów. W dodatku zatrzymujemy się w oberży, a nie w pałacu, gdyż księżę Suffolk, mój dotychczasowy opiekun, straszliwie się zhańbił i dał głowę, tak że nie możemy się zatrzymać w jego londyńskiej siedzibie. Zanoszę do Przenajświętszej Paniенki skargę, że nie posiadamy własnej siedziby w stolicy, ale zaraz sobie przypominam, że Matka Boska też musiała się zadowolić byle jaką kwaterą w Betlejem, podczas gdy Herod z pewnością dysponował wolnymi pokojami w swoim pałacu. Na pewno więc znalazłoby się dla Niej lepsze zakwaterowanie niż stajenka. Zwłaszcza biorąc pod uwagę, kim była. Tylko dlatego decyduję się milczeć i znosić niewygody w pokorze.

Tyle dobrego, że przebiorę się w lepszy strój przed wizytą w pałacu, gdzie mam się wyrzec narzeczonego. Macierz wzywa do oberży szwaczki, które zdejmują ze mnie miarę na wspaniałą suknię. Niewiasty opowiadają mi, że damy dworu noszą spiczaste kornety, wysokie tak, że muszą schylać głowy, przechodząc przez siedmiostopową futrynę, a jej królewska mość, Małgorzata Andegaweńska, ceni sobie szykowne szaty i ponoć wkłada suknie w nieznanym dotąd kolorze rubinowej czerwieni, który zawdzięcza nowemu barwnikowi — w odcieniu zbliżonym do krwi. W ramach kontrastu macierz zamawia dla mnie suknię w angelicznej bieli, wyhaftowaną w czerwone róże dla przypomnienia wszystkim, że choć jestem tylko dziesięcioletnią dziewczuszką, mienię się dziedziczką Lancasterów. Dopiero gdy suknia jest gotowa, możemy wsiąść na barkę, która powiezie nas w dół rzeki, gdzie na królewskim dworze wyprę się narzeczonego i zostanę przedstawiona królowi Henrykowi.

Ceremonia rozwiązania zaręczyn okazuje się wielkim rozczarowaniem. Jadąc do Londynu, przez cały czas się łudziłam, że usłyszę pytania sędziów i odpowiem nieśmiało, lecz wyraźnie: „Sam Pan Bóg natchnął mnie przekonaniem, iż Jan de la Pole nie jest mi przeznaczony na męża”. Wyobrażałam sobie siebie stojącą przed trybunałem i zadziwiająco wszystkich niczym Pan Jezus w synagodze. Myślałam, że będę mogła obwieścić, iż miałam sen, z którego się dowiedziałam, że nie wolno mi poślubić mężczyzny, gdyż moim przeznaczeniem, umyślonym przez Pana Boga, jest ocalić Anglię!

Że mam zostać królową Anglii i podpisywać się Małgorzata R — Małgorzata Regina. A tymczasem nie dostaję szansy, by przemówić z elokwencją i zabłysnąć. Nim przybędziemy na miejsce, wszystko jest już spisane, a mnie pozostaje rzec: „Wyrzekam się” i złożyć podpis, na który składa się wyłącznie moje imię i nazwisko: Małgorzata Beaufort. Wkrótce jest po wszystkim. Nikt nawet nie zapytał mnie o zdanie.

Następnie przechodzimy pod komnatę audiencyjną jego królewskiej mości i czekamy, aż jeden z dworzan Henryka wyjdzie i zawoła moje miano:

— Lady Małgorzata Beaufort!

Oczy zebranych zwracają się na mnie i przez krótką chwilę, przez wspaniałą krótką chwilę czuję się wyróżniona i dostrzeżona, ale oczywiście pamiętam, żeby spuścić powieki i wbić wzrok w posadzkę, oddalając od siebie ziemską próżność, po czym pozwalam macierzy poprowadzić się przed majestat króla.

Henryk zasiada na wysokim tronie, nad którym wisi królewski baldachim. Obok, na tronie niemal tej samej wielkości, siedzi królowa. Ma jasne włosy i brązowe oczy, okrągłą ciastowatą twarz i prosty nos. Moim zdaniem jest piękna i zepsuta, a król koło niej — blade, niemal przezroczyste. Skłamałabym, mówiąc, że dostrzegam bijący odeń blask świętości. Na pierwszy rzut oka zdaje się całkiem zwyczajny. Uśmiecha się do mnie, kiedy podchodzę doń i dygam, a królowa tylko wiedzie spojrzeniem od czerwonych róż na mojej sukni do filigranowej korony utrzymującej mi na głowie welon i zaraz odwraca wzrok, jakby nie miała o mnie zbyt dobrego zdania. Sądzę, że jako Francuzka nie pojmuje znaczenia mojej pozycji w Anglii. Ktoś powinien był jej wyjaśnić, że jeśli nie urodzi królowi dziecka, trzeba będzie poszukać chłopca będącego dziedzicem Domu Lancasterów gdzie indziej, na przykład u mnie. Wydaje mi się, że gdyby to wiedziała, toby mi poświęciła więcej uwagi. Lecz może jest na to zbyt przyziemna. Francuzi potrafią być niesłuchanie przyziemi, wiem to z lektur. Andegawenka nie dostrzegłaby ognia świętości w Joannie d'Arc. Nic dziwnego, że i mnie nie przejrzała.

Po jej lewej stronie stoi niezwykle piękna niewiasta, być może nawet najpiękniejsza niewiasta, jaką w życiu widziałam. Ma na so-

bie błękitnoszarą suknię przetykaną srebrną nicią, tak że sprawia wrażenie migoczącej jak ruchoma woda. Można by pomyśleć, że niewiasta składa się z łusek niczym ryba. Widząc, że jej się przyglądam, obdarza mnie uśmiechem i wtedy cała jej twarz rozjaśnia się ciepłem na podobieństwo fal rzeki opromienionych letnim słońcem.

— Kto to? — szeptem pytam macierz. Zamiast odpowiedzi dostaję w bok kuksańca, który mi przypomina, że powinnam być cicho.

— Jakobina Luksemburska. Natychmiast przestań się na nią gapić — mówi mi po paru uderzeniach serca i dla odmiany szcypie mnie w ramię, aby przywołać do porządku.

Powoli podnoszę się z niskiego ukłonu.

— Oddaję twoją córkę pod opiekę moich drogich przyrodnych braci, Edmunda i Jaspera Tudorów — oznajmia jego wysokość, zwracając się do macierzy. — Możesz zatrzymać ją przy sobie do czasu, aż będzie zdatna do zawarcia małżeństwa.

Królowa odwraca lekko głowę i szepcze coś do Jakobiny, która z kolei — aby cokolwiek usłyszeć — musi pochylić się jak wierzba rosnąca nad strumieniem, trzepocząc przy tym welonem przyczepionym do wysokiego spiczastego kornetu. Andegawenka nie wydaje się zachwycona nowiną, ale ja jestem dosłownie oniemiała. Czekam, żeby ktoś spytał, czy wyrażam zgodę na przyszłe małżeństwo, gdyż wówczas miałabym okazję wytłumaczyć, że zostałam powołana do życia w czystości, lecz macierz już dyga i oddala się tyłem od tronu, a nasze miejsce zajmuje ktoś inny i już jest chyba po wszystkim. Król Henryk ledwie raczył na mnie spojrzeć, z pewnością nie wie o mnie więcej niż wcześniej, zanim zjawiłam się na jego dworze, a mimo to już mną rozporządził, już oddał pod skrzydła innego opiekuna, innego obcego człowieka. Jakże może nie widzieć, że jestem osobą powołaną do życia duchowego, tak jak on? Czy naprawdę nie będę miała okazji, by mu powiedzieć o swoich kolanach świętej?

— Czy mogę się odezwać? — szepczę do macierzy.

— Nie, oczywiście, że nie.

Jak w takim razie król dowie się o mnie prawdy, skoro Pan Bóg najwyraźniej nie ma zamiaru interweniować w mojej sprawie?

— Co teraz?

— Teraz zaczekamy, aż wszyscy inni petenci staną przed jego królewską mością, po czym dopiero przejdziemy do wielkiej sali na wieczerzę — odpowiada macierz.

— Nie o to mi chodziło. Pytałam, co teraz będzie ze mną.

Spogląda na mnie, jakbym właśnie wykazała się głupotą bez granic.

— Zostaniesz zaręczona — oświadcza. — Nie słuchałaś uważnie, Małgorzato? Doprawdy wolałabym, żebyś nie bujała w obłokach, kiedy się do ciebie mówi. Dostanie ci się jeszcze lepsza partia. Będziesz najpierw podopieczną, a potem żoną Edmunda Tudora, przyrodniego brata króla Henryka. Edmund i Jasper Tudorowie są synami matki jego królewskiej mości, jej wysokości Katarzyny Walezyjskiej, po drugim mężu, Owenie Tudorze. Obaj są wielkimi ulubieńcami najjaśniejszego pana. W żyłach obu płynie królewska krew, są faworyzowani na dworze. Ty poślubisz starszego z nich.

— Ot, tak? Nie chce mnie pierwej zobaczyć?

— A po co?

— Po to, by się przekonać, czy mu się podobam.

Macierz potrząsa głową z desperacją.

— Jemu nie zależy na tobie — odpowiada rzeczowo — tylko na synu, którego mu urodzisz.

— Ale ja mam dopiero niecałe dziesięć wiosen — protestuję.

— Edmund zaczeka, aż będziesz ich miała dwanaście.

— I wtedy mnie poślubi?

— Oczywiście — wzdycha, jakby pytanie było głupie.

— A on wtedy w jakim będzie wieku?

Macierz marszczy czoło.

— Będzie miał skończone dwadzieścia pięć lat.

Mrugami powiekami.

— A gdzie będzie sypiał? — pytam, myśląc o domu w Bletsoe, gdzie nie ma wolnych komnat, które mógłby zająć ów niezgrabny mężczyzna ze swoją świtą i młodszym bratem.

Macierz wybucha śmiechem.

— Och, Małgorzato!... Przecież ty nie zostaniesz ze mną w domu! Pojedziesz do swego męża, do pałacu w Lamphey w Walii.

Mrugam ponownie.

— Pani matko, zamierzasz mnie odesłać, bym zamieszkała sama pod dachem dwóch dorosłych mężczyzn w Walii, jak tylko ukończę dwunasty rok życia?

Wzrusza ramionami, jakby jej było przykro z tego powodu, ale nie znała na to rady.

— To dobra partia — powtarza. — Ty jesteś kuzynką króla, za męża będziesz miała jego przyrodniego brata, co oznacza królewską krew u obojga małżonków, u obojga rodziców. Jeżeli urodzisz Edmundowi syna, prawo tego chłopca do tronu będzie bardzo silne. Każde wasze dziecko, każdy wasz męski potomek będzie zagrażał dziedzictwu Ryszarda księcia Yorku. Miej to na uwadze, nic poza tym.

## SIERPIEŃ 1453 ROKU



Macierz twierdzi, że czas szybko zleci, ale oczywiście wcale tak się nie dzieje. Dni ciągną się niemiłosiernie, a w dodatku panuje nuda. Moje przyrodnie rodzeństwo, dzieci macierzy z pierwszego małżeństwa, dzięki któremu weszła do St. Johnów, nie okazują mi większego szacunku teraz, gdy mam wyjść za Tudora, niż okazywali wtedy, gdy miałam wyjść za Jana de la Pole. Ba, natrzęsają się ze mnie, że będę musiała wyjechać do Walii, gdzie jak mówią, mieszkają same smoki i czarownice, gdzie nie ma traktów, a są tylko z rzadka rozrzucone w gęstym lesie zamki, gdzie leśne i wodne nimfy rzucają czar na młodych mężczyzn, wilki zaś grasują w licznych krwiożerczych watahach. Czas mija jednostajnie aż do pewnego wieczoru, kiedy to przy okazji rodzinnych modłów macierz wymienia imię króla z większym niż zazwyczaj uczuciem, po czym zostajemy na kolanach przez najbliższe pół godziny, by zanieść do Pana Boga prośby o zdrowie dla monarchy w ciężkiej godzinie próby, która nastąpiła, oraz do Przenajświętszej Pani o to, by dziecię poczęte w królewskim łonie Andegawenki okazało się chłopcem i godnym księciem Domu Lancasterów.

Nie kończę swojej modlitwy za królową słowem „amen”, ponieważ moim zdaniem Andegawenka nie była dla mnie miłą przy naszym spotkaniu, a w dodatku jej dziecko — chłopiec czy dziewczynka, bez różnicy — zajmie moje miejsce w Domu Lancasterów, którego jestem dziedziczką. Oczywiście nie modlę się o poronienie, gdyż to by zakrawało na wrogość, a także na grzech zazdrości; wsze-

lako mój brak entuzjazmu w trakcie modlitwy z pewnością zostanie właściwie odebrany przez Przenajświętszą Panią, która królując w niebie, wie wszystko o dziedziczeniu i rozumie, że trudno być następcą tronu, kiedy jest się tylko dziewczynką. Cokolwiek się wydarzy, ktokolwiek umrze i przeżyje, ja nigdy nie zostanę królową — nie byłoby na to zgody. Jednakże mój syn będzie miał prawo upomnieć się o koronę. Przenajświętsza Pani urodziła chłopca, na czym wszystkim rzecz jasna zależało, i dzięki temu stała się królową niebios, tak że odtąd mogła się podpisywać: Maria R — Maria Regina.

Trwam w bezruchu, kiedy moje rodzeństwo rzuca się do stołu pałaszować strawę, sama zaś pytam macierz, z jakiego powodu modlimy się tak gorąco za zdrowie króla i co dokładnie miała na myśli, wspominając o jego „ciężkiej godzinie próby”. Widzę, że twarz ma napiętą ze zgrzyoty.

— Dziś otrzymałam wiadomość od twego opiekuna Edmunda Tudora — zaczyna. — Pisz w nim, że najjaśniejszy pan popadł w coś w rodzaju transu. Nic nie mówi i nic nie robi, tylko siedzi ze wzrokiem wbitym w ziemię i wydaje się pogrążony we śnie.

— Pan Bóg do niego przemawia?

Macierz prychnęła z irytacją.

— Któż to może wiedzieć?... Małgorzato, twoja pobożność jest godna pochwały, ale... Nawet jeśli to Pan Bóg postanowił przemówić do króla Henryka, nie wybrał na tę rozmowę najlepszego czasu. Albowiem gdy jego królewska mość okaże choćby cień słabości, podstępny książę Yorku natychmiast sięgnie po władzę. Najjaśniejsza pani zwróciła się do parlamentu z wnioskiem o przyznanie jej pełni praw monarchy, jednakże lordowie nigdy jej nie zaufają. Regentem wyznaczą księcia Yorku, nie ją. A wtedy znajdziemy się pod panowaniem Yorków i przekonasz się sama, że fortuna się od nas odwróci.

— Jak to?

— Jeżeli król Henryk nie wydobrzeje, jego miejsce zajmie Ryszard książę Yorku, który wraz z krewnymi będzie się cieszył długimi latami regencji, nim nienarodzony syn królowej wyrośnie na mężczyznę. Nie zabraknie im czasu na objęcie najlepszych synekur

i prebend w Kościele, w całej Anglii, a nawet we Francji. — Szeleszcząc sukniami, przemierza korytarz wiodący do wielkiej sali ponaglana własną złością. — Wyobrażam sobie, że zwrócą się do mnie, abym unieważniła twoje zaręczyny. Nigdy nie pozwolą, abyś wyszła za Tudora z Lancasterów. Z pewnością zechcą cię wżenić w swój ród, tak aby twój syn stał się ich dziedzicem. Ja zaś będę musiała im się sprzeciwić, żeby Dom Lancasterów nie wymarł bezpotomnie. To ściągnie na nasze głowy gniew księcia Yorku i masę kłopotów.

— Ale dlaczego? — dopytuję, na wpeł biegnąc, by dotrzymać macierzy kroku w długim korytarzu. — Wszyscyśmy z królów. Po co nam się wadzić? Wszyscyśmy z Plantagenetów, wszyscyśmy potomkami Edwarda Trzeciego. Jesteśmy rodziną. Ryszard księżę Yorku jest kuzynem króla Henryka, zupełnie jak ja.

Macierz robi półobrót i naciera na mnie, rozsiewając zapach lawendy, kiedy jej tren zamiata świeżo rozsypane na posadzce zioła.

— Prawda, wywodzimy się z jednego pnia, ale to bynajmniej nie powód, byśmy mieli zacząć się przyjaźnić. Rywalizujemy o tron Anglii! Zresztą które spory są gorsze od sporów w rodzinie? Może i jesteśmy spokrewnieni, lecz oni to Yorkowie, a my Lancasterowie. Nigdy o tym nie zapominaj, Małgorzato. My, Lancasterowie, w prostej linii wywodzimy się od króla Edwarda Trzeciego poprzez jego syna, Jana z Gandawy. W prostej linii! A Yorkowie są w stanie udowodnić swoje pochodzenie zaledwie od młodszego brata Jana z Gandawy, Edmunda. To cieńsza gałąź, nieodrosła bezpośrednio od dziedzica króla Edwarda. Mają szansę na tron Anglii tylko w wypadku, gdy zabraknie Lancasterów płci męskiej. A zatem... skup się, Małgorzato, wyteż umysł... na co twoim zdaniem liczą, kiedy król Henryk popadł w trans, a jego syn jeszcze się nie narodził? Co im się twoim zdaniem marzy, gdy jedyną spadkobierczynią Lancasterów jesteś ty, dziesięcioletnia niezamężna dziewczynka? Dla której dziecko to śpiewka przyszłości?

— Chcieliby wydać mnie za mąż za kogoś ze swoich? — pytam oszołomiona perspektywą kolejnych zaręczyn.

Macierz parska śmiechem.

— Chcieliby cię wydać za mąż za Yorka albo jeszcze lepiej ujrzyć cię martwą, skoro już pytasz.



To mnie ucisza. Myśl, że cały ród Yorków pragnie mojej śmierci, jest doprawdy przerażająca.

— Ale przecież król Henryk z pewnością się przebudzi z transu... i wszystko będzie jak dawniej. W dodatku jego dziecko może się okazać chłopcem. Będzie nowy następca tronu z rodu Lancasterów i kłopoty się skończą.

— Dlatego prosimy Boga, żeby król rychło się przebudził — rzecze macierz. — Ty zaś powinnaś prosić Go jeszcze o to, by w królewskiej kołysce nie pojawiło się żadne dziecko, które mogłoby zagrozić twojej pozycji. Módlmy się także o to, by twój ślub odbył się tak szybko, jak to możliwe, i żebyś poczęła potomka. Albowiem powiadam ci, nikt nie jest bezpieczny przy nieposkromionych ambicjach Domu Yorków.

## PAŹDZIERNIK 1453 ROKU



Król nadal śni, uśmiechając się na jawie. Będąc sama w swojej komnacie, próbuję jego wzorem siedzieć i patrzeć w deski podłogi, na wypadek gdyby Pan Bóg jednak zechciał przemówić do mnie, tak jak przemawia do Henryka. Staram się wyciszyć hałasy dobiegające od stajni i głośne śpiewy z pralni, gdzie ktoś uderza częściami garderoby o tarę. Staram się pokierować swą duszę ku Panu Bogu i poczuć ten przejmujący spokój, który z pewnością ogarnął króla Henryka, skoro nie poznaje on własnych doradców i jest ślepy nawet na żonę wkładającą mu w ramiona nowo narodzonego syna i przykazującą, by otrząsnął się wreszcie i powitał na świecie księcia Edwarda, następcę tronu Anglii; krzyczącą mu w twarz z frustracji, że musi się przebudzić, w przeciwnym razie Dom Lancasterów upadnie.

Usiłuję wpaść w trans i zbliżyć się do Pana Boga na podobieństwo króla, lecz zawsze ktoś przychodzi i wali do moich drzwi albo wrzeszczy z końca korytarza, żebym ja przyszła i oddała się jakiemuś prozaicznemu zajęciu, tak że koniec końców zostają brutalnie przywrócona na ten grzeszny padół. Największą tajemnicą współczesnej Anglii jest to, że król się nie wybudza z transu i podczas gdy tak siedzi zasłuchany w głosy aniołów, człowiek okrzyknięty przez samego siebie regentem, Ryszard książę Yorku, ujmuje wodze królestwa i zaczyna się zachowywać tak, jakby był królem, wobec czego Andegawenka musi zwołać swoich sprzymierzeńców i ostrzec ich, że być może ona i jej syn będą potrzebowali pomocy. Już to wywołu-

je powszechny niepokój. Jak Anglia długa i szeroka wielmoże poczynają wzywać ludzi pod broń i zastanawiać się, czy powiedzie im się lepiej pod znenawidzoną francuską królową z prawowitym następcą tronu w kołysce czy raczej pod urodziwym i ukochanym przez lud Anglikiem, Ryszardem księciem Yorku, przejawiającym wielką ambicję.

## LATO 1455 ROKU



Nareszcie nadchodzi dzień mojego ślubu. Stoję tuż za progiem kościoła odziana w swoją najlepszą suknię — z wysokim i ciasno zasnurowanym gorsetem opinającym mi klatkę piersiową do utraty tchu oraz z absurdalnie szerokimi rękawami, w których giną moje chude ramiona i drobne dłonie. Spiczasty kornet ciąży mi na głowie do tego stopnia, że zginam szyję przytłoczona jego konstrukcją. Przyczepiony do czubka kornetu welon skrywa bladość cery wywołaną rozżaleniem. Obok mnie stoi macierz, lada chwila mająca mnie powieść ku wyznaczonemu przez króla opiekunowi — Edmundowi Tudorowi — ów bowiem uznał (jak niewątpliwie uczyniłby każdy roztropny opiekun młodej panienki), że w moim interesie leży małżeństwo z nim: w swoim mniemaniu jest najlepszym kandydatem na męża podopiecznej.

Szeptem zwracam się do macierzy: — Boję się... — a ona patrzy na mnie z góry. Głową ledwie sięgam jej do ramienia. Choć ukończyłam już dwunasty rok życia, nadal jestem małą dziewczynką o piersi płaskiej jak deska i gładkim ciele bez jednego włoska ukrytym pod warstwami bogatego odzienia. Służki musiały wypchać gorset zwitkami lnu, żeby zamarkować biust. Czuję się jak dziecko wysyłane w świat, by sprostać obowiązkom dorosłej niewiasty.

— Nie ma się czego bać — sucho odpowiada macierz.

Ja jednak się nie poddaję.

— Miałam nadzieję, że pozostanę dziewicą jak Joanna d'Arc — mówię cicho, ciągnąc ją za rękaw dla przykucia uwagi. — Wie-

działaś o tym, pani matko. Jasno dawałam temu wyraz. Pragnęłam pójść do klasztoru. Nadal tego pragnę. Chyba naprawdę czuję powołanie, a to musi być wola Pana Boga. Trzeba nam zasięgnąć rady. Mogłybyśmy spytać księdza. Mogłybyśmy go spytać teraz, zanim będzie za późno. Gdyż być może jestem wybranką Pana Boga. W takim razie zamażpójście byłoby bluźnierstwem.

Macierz odwraca się do mnie twarzą i ujmuje moje zimne dłonie.

— Małgorzato — odzywa się z powagą w głosie — przecież wiesz, że nie wolno ci decydować o sobie. Jesteś dziewczynką, a dziewczynki nigdy nie mają wyboru. Poza tym wywodzisz się z królewskiego rodu. Niewiasty takie jak ty nie mogą nawet wybrać sobie męża. To zakazane. Małżeństwa w linii królewskiej zawsze są układane z myślą o dobru dynastii. O tym również wiesz. Wreszcie należysz do Lancasterów i im winnaś lojalność, nikomu innemu. Musisz służyć swemu rodowi, swojej rodzinie i małżonkowi. Pozwalałam ci śnić na jawie i czytać, ale teraz już czas odłożyć na bok niemądre opowieści i naiwne marzenia i sprostać obowiązkowi. Nie wyobrażaj sobie, że możesz być taka jak twój ojciec i uciec od obowiązków. On wybrał drogę tchórza, tobie nie wolno tego zrobić.

Ta nagła wzmianka o papie zadziwia mnie najbardziej. Macierz prawie nigdy nie wspomina o swoim drugim mężu, a moim ojcu — jeśli już musi to uczynić, używa niejasnych ogólników. Już chcę zapytać: „W jaki sposób uciekł od obowiązków? Na czym polegała droga tchórza, którą poszedł?”, ale w tej samej chwili drzwi za nami otwierają się na rozcież i pozostaje mi tylko podejść do ołtarza, podać dłoń Edmundowi Tudorowi, stanąć przed księdzem i złożyć przysięgę małżeńską. Czuję ucisk jego silnej ręki, słyszę jego mocny głos, gdy odpowiada na pytania duchownego. Ja zaledwie szepczę. Następnie Edmund wkłada mi na palec pierścień z walijskiego złota, a ja muszę zewrzeć palce na podobieństwo kaczjej łapy, żeby klejnot się nie zsunął. Podnoszę wzrok na stojącego obok mnie mężczyznę. Czy on naprawdę myśli, że takie małżeństwo ma rację bytu, skoro nawet darowany mi przez niego pierścień jest na mnie o wiele za duży, skoro ja mam tylko dwanaście lat, a on jest dwakroć

ode mnie starszy, skoro ja jestem wciąż dzieckiem, a on człowiekiem zaprawionym w boju i przesiąkniętym wielkimi ambicjami? To twardy mężczyzna ze spragnionego władzy rodu, ja zaś skrycie pragnę wieść duchowe życie i dać się poznać jako osoba wyjątkowa, godna podziwu i szacunku ludzi. Co za szkoda, że nikt tego nie widzi, nikt nie rozumie.

Przychodzi mi rozpocząć żywot żony w pałacu Lamphey w Pembroke-shire, które leży w samym sercu okropnej Walii. Już w pierwszych miesiącach nie mam czasu na tęsknotę za macierzą i domem, gdyż wszystko jest tutaj tak odmienne od życia w Anglii, że całkowi-cie muszę się poświęcić nauce nowych obyczajów. Dnie przepędzam w towarzystwie niewiast zamieszkałych na zamku oraz służących, tylko z rzadka widując mego małżonka i dziewczera, którzy wpadają jak po ogień i znów gdzieś przepadają. Mam tu ze sobą swoją dawną opiekunkę i służkę, ale wszyscy pozostali to nieznajomi. Mówią tylko po walijsku i patrzą na mnie bez zrozumienia, gdy proszę o kielich cienkiego piwa albo dzban wody do mycia. Chwilami tak bardzo chciałabym zobaczyć przyjazną twarz, że nie obruszyłabym się nawet na przyśpiewki giermka Wata.

Zamek jest położony na takim pustkowiu, że wokół widzę tylko góry i niebo. Wyglądając przez okno, dostrzegam zbierające się deszczowe chmury, które zasnuwają niebo szaroburą kotarą na co najmniej dwa pacierze przed tym, zanim krople zaczną uderzać w łupkowe dachy i zacinać w ściany przeżarte już wilgocią na wskroś. Tutejsza kaplica to zimne zapuszczone miejsce, do którego nawet ksiądz nie zagląda zbyt często. Nikt więc nie zauważa mojej wyjątkowej pobożności, mimo iż regularnie chodzę się tam modlić i klęczę po zachodniej stronie, żeby wpadające przez wysokie wąskie okno promienie słońca kładły się na mojej pochylonej głowie. Londyn znajduje się o dziewięć dni żmudnej drogi stąd, tyle samo trzeba by jechać do mojego domu rodzinnego. Wiadomości od macierzy przychodzą najwcześniej po dziesięciu dniach od wysłania, choć gwoli prawdy, pisuje do mnie bardzo rzadko. Bywa, że wyobrażam sobie, iż zostałam pojmana na polu bitwy i wywieziona przez nieprzyjaciół w dzikie ostępy dla okupu, zupełnie jak papa. Z całą

pewnością nawet w niewoli nie czułabym się tak obco i samotnie jak tutaj.

Co najgorsze, nie zaznałam ani jednej wizji od nocy poślubnej. Każde popołudnie spędzam na klęczkach w zamkniętej komnacie prywatnej, ogłosiwszy, że będę się zajmować szyciem. Każdy wieczór spędzam w ciągnącej chłodem kaplicy. Mimo to nie mam widzeń. Ani stosów, ani bitew, ani choćby mgnienia sztandaru wyszytego w lilie i anioły. Błagam Przenajświętszą Panienkę, aby znów zesłała na mnie wizję Joanny d'Arc, lecz Ona nie wysłuchuje moich próśb, wobec czego ogarnia mnie strach, że jako dziewica byłam kimś, jako żona zaś jestem nikim.

Nic w świecie nie jest w stanie zrekompensować mi tej straty. Wychowano mnie tak, abym była dumna, że jestem córką wielkiego człowieka i spadkobierczynią linii królewskiej, wszelako w głębi ducha chwałę czerpałam z tego, że Pan Bóg raczył do mnie przemawiać, właśnie do mnie, i że Przenajświętsza Panienska zsyłała mi wizje Dziewicy Orleańskiej. Anieli posłali do mnie owego żebraka, który wszystko mi o niej opowiedział. To za sprawą Pana Boga moim opiekunem został Wilhelm de la Pole, który zobaczył ongiś Joannę d'Arc na własne oczy, dostrzegłby zatem blask takiej samej świętości i we mnie. Niestety jakiś czas później Pan Bóg zapomniał o Swoim jakże sensownym planie i pozwolił macierzy wydać mnie za mężczyznę, który za nic mając moje powołanie, za jednym zamachem odebrał mi dziewictwo i wizje. Dlaczego Pan Bóg najpierw mnie wybrał, a potem się ode mnie odwrócił, pozostaje dla mnie zagadką. Oczywiście nie podważam Jego woli, ale nie mogę się nie zastanawiać, czemu z początku mną się opiekował, a następnie mnie porzucił na tych rubieżach. Gdyby mowa była nie o Panu Bogu, Stwórcy wszechrzeczy, tylko o człowieku, można by pomyśleć, że plan się nie powiódł. Przecież w Walii nie mam nic do roboty, nikt tu nie dostrzega tlącego się we mnie blasku świętości. Jest nawet gorzej niż w Bletsoe, gdzie przynajmniej ludzie się skarżyli na moją wybujałą religijność. Tutaj nikt mnie właściwie nie zauważa i czuję się tak, jakby mnie trzymano pod korcem, skąd z pewnością nie dam się poznać jako promień nadziei dla świata.

Wydaje mi się, że mój małżonek jest przystojny i dzielny, lecz nie mogę tego stwierdzić na pewno, gdyż nie widuję go za dnia z tego powodu, że obaj — i on, i dziewierz — bez przerwy wyjeżdżają, by w imieniu króla gasić ogniska lokalnych buntów i zaprowadzać pokój. Edmund zawsze galopuje na przedzie, a Jasper, jego brat, gna za nim jak cień. Nawet spieszeni postępują w tym samym tempie: Edmund wyciągając nogi, a Jasper równie szybko, tylko o pół kroku za nim. Różnica wieku między nimi wynosi zaledwie rok. Kiedy po raz pierwszy ujrzałam obu naraz, pomyślałam, że są bliźniakami. Mają takie same niefortunnie rude włosy oraz długie cienkie nosy. Obydwaj są wysocy i szczupli — przynajmniej na razie, gdyż w starszym wieku, czyli już niedługo, z pewnością obrosną tłuszczem. Rozmawiając, wyjmują sobie słowa z ust i bez przerwy śmieją się ze zrozumiałych tylko dla nich żarcików. Do mnie prawie nigdy się nie zwracają i jeszcze ani razu nie wyjaśnili mi, co ich tak bawi. Mają bzika na punkcie różnych rodzajów broni i potrafią przez cały wieczór rozprawić o cięciwach. Doprawdy trudno przejrzeć zamiary Pana Boga co do nich dwóch.

Na zamku nieustannie panuje stan gotowości bojowej, gdyż podnoszące bunt strony oraz uzbrojeni niezadowoleni żołnierze ciągle zagrażają okolicznym wsiom. Tak jak przewidziała macierz, gdy król Henryk zapadł w trans, wszędzie wszczynają się niepokoje. Oczywiście tutaj, w Walii, przedstawia się to jeszcze gorzej niż w Anglii, ponieważ tereny i tak są tylko na wpół ucywilizowane. Poprawa stanu zdrowia króla nie miała większego znaczenia — choć prostym ludziom kazano się z tego powodu radować — albowiem wkrótce na powrót zapadł w trans i znaleźli się tacy, co powiadają, że odtąd król już zawsze będzie balansował na granicy jawy i snu. To bardzo niedobrze. Nawet ja to widzę.

Ludzie chwytają za broń, protestując przeciwko podatkom nałożonym, by było z czego finansować niekończącą się wojnę z Francją, a kiedy walki jednak wygasają — skarżąc się na to, że Anglia straciła wszystko to, co przed laty zdobył ojciec i dziad Henryka VI. Wszyscy jak jeden mąż nienawidzą Andegawenki i poszeptują, że miłościwy pan znalazł się pod pantoflem i że to Francuzica włada królestwem, i że znacznie lepiej by było, gdyby na tronie zasiadał książę Yorku.



Każdy kto ma na pieńku z sąsiadem, korzysta z okazji i przesuwa murki oddzielające pastwiska albo kłusuje na nie swojej ziemi, albo kradnie drewno bliźniego swego, po czym rzecz jasna dochodzi do zajazdu i Edmund musi interweniować, zaprowadzając na szybko ład. Strach podróżować traktami, gdyż roi się na nich od band rabusiów składających się z dawnych żołnierzy, we Francji przywykłych do płaudrowania i porywania dla okupu. Ilekroć siedząc w siodle za sługą, wyjeżdżam do małej wioski przytulonej do murów zamku, muszę ze sobą zabierać zbrojnego pachołka. Gdziekolwiek spojrzę, widzę zapadnięte twarze i puste, wygłodniałe oczy poddanych. Nikt nie uśmiecha się do mnie, choć można by pomyśleć, że ludzi powinno cieszyć to, iż nowa pani na zamku okazuje zainteresowanie ich losem. Któż bowiem będzie prosił o wstawiennictwo za nimi — tutaj na ziemi i w niebiesiech? Szkopuł w tym, że nie rozumiem słowa z tego, co mówią, gdyż wszyscy się posługują wyłącznie walijskim, a poza tym jeśli zanadto się zbliżą, pachołek opuszcza włócznię i każe im się zabierać. Tak że na podzamczu niosę tyle samo światła co w pałacu. Mam dwanaście lat, do niedawna byłam dziewicą — skoro ludzie nie widzą we mnie światła teraz, pośród ciemności ogarniających świat, kiedy mają je we mnie dojrzeć? Zwłaszcza tutaj, w nieszczęsnej Walii, gdzie w ogóle mało widać, bo wszystko przesłania błoto.

Brat Edmunda, Jasper, ma siedzibę na zamku w Pembroke, ale rzadko tam bywa. Zazwyczaj tkwi albo na dworze królewskim, gdzie dla dobra Anglii usiłuje zachować napiętą zgodę pomiędzy parą monarszą i Yorkami, albo u nas. Za każdym razem gdy wyjeżdża do Londynu bądź wraca do domu z twarzą spochmurniałą ze zmartwienia, że najjaśniejszy pan znowu popadł w trans, wybiera trakt zahaczający o Lamphey, zatrzymuje się w pałacu i zostaje na wieczery.

Podczas posiłków mój mąż Edmund zaszczycą rozmową swego brata i ani on, ani dziewierz nie zwracają na mnie większej uwagi. Słyszę, jak się zamartwiają, że Ryszard książę Yorku upomni się o koronę. Księciuci doradza jeden z Neville'ów, hrabia Warwick, a ci dwaj: York i Warwick, są nazbyt pełni ambicji, by dawać posłuch bujającemu w obłokach królowi. Są tacy, którzy twierdzą, że Anglia

nie przetrwa pod rządami regenta dwunastu lat potrzebnych na dorośnięcie księcia Walii; że ktoś musi przejąć koronę, gdyż nie możemy oddać się we władzę pogrążonemu w transie monarsze i niemowlęciu w kołysce.

— Regencja nie jest rozwiązaniem, trzeba nam króla z prawdziwego zdarzenia — oznajmia Jasper. — Bóg świadkiem, powinienem był się ożenić z nią lata wcześniej, wtedy wysforowalibyśmy się do przodu w tym wyścigu do tronu, mając dziedzica wcześniej niż oni.

Rumienię się i wbijam wzrok w blat, na którym piętrzą się tace z przypalonymi i nie dającymi się rozpoznać kawałkami dziczyzny. Walijszczyk są lepszymi myśliwymi niż rolnikami, toteż trzy razy dziennie na stół trafia jakiś chudy ptaszek albo zwierzę oprawione w kuchniach. Tęskno mi do postnych dni, kiedy jadaliliśmy tylko ryby, i z własnej woli nakładam na siebie post, żeby uniknąć uczestniczenia w biesiadach. Panują tutaj takie zwyczaje, że każdy nadziewa na sztylet wybrany kawałek mięsiva i wybiera chlebem sos z miski. Mężczyźni wycierają tłuste ręce w spodnie, a usta rękawem. Nawet nam przy wysokim stole podają pieczone mięsa wprost na chlebie, który zjada się pod koniec posiłku. Nie uświadczy się talerza. Serwety z pewnością kojarzą się nazbyt z francuskim obyczajem, dlatego wszyscy z patriotycznego obowiązku osuszają wargi mankietami. Większość biesiadników przychodzi na ucztę z własnymi łyżkami, jakby to były srebra rodowe, tyle że wyciągają je zza cholewek butów.

Sięgam po niewielki kawałek mięsa i zaczynam go skubać zębami. Zapach tłuszczu wykręca mi żołądek na nice. Mój mąż i dziewczę rozmawiają o mnie przy mnie, jak gdybym była głucha. Dyskutują o mojej płodności i o tym, że jeśli królową przegna się z Anglii albo jeśli jej dziecko umrze w dzieciństwie, mojemu synowi będzie najbliżej do następstwa tronu.

— Twoim zdaniem królowa na to pozwoli? Twoim zdaniem Andegawenka nie będzie walczyć o Anglię? Ona zna swój obowiązek lepiej, niż myślisz. — Edmund wybucha śmiechem. — Ten i ów powiada, że nie przeszkodził jej nawet trans króla. Ze wystarała się o potomka bez jego udziału. Że pozwoliła się dosiąść koniuszemu, byle nie zostawić królewskiej kołyski pustej...

Przykładam dłonie do rozpalonych lic. To zaczyna być nie do wytrzymania, ale oczywiście nikt się nie przejmuję moim dyskomfortem.

— Ani słowa więcej — przerywa bratu Jasper. — Andegawenka jest wielką damą, a ja troszczę się o nią i o jej syna. Spraw sobie własnego dziedzica, zamiast powtarzać mi podłe plotki. Ryszard York z dnia na dzień czuje się coraz pewniej, mając w kołczanie aż czterech synów. Musimy mu pokazać, że Lancasterom również nie brak dziedziców czekających w kolejce do tronu. Musimy okiełznać jego ambicje. Staffordowie i Hollandowie też nie narzekają na brak synów. A gdzie jest chłopak Tudora i Beaufortówny?

Edmund ze śmiechem dolewa sobie wina.

— Czynię starania każdej nocy — oświadcza. — Zaufaj mi, bracie, nie żałuję sobie. Będąc dzieckiem, nie czerpie z tego aktu przyjemności, ale ja robię, co do mnie należy.

Chyba po raz pierwszy od długich miesięcy Jasper rzuca spojrzenie w moją stronę. Może się zastanawia, ile rozumiem z tego mglistego opisu małżeńskiego życia. Odwzajemniam jego spojrzenie z podniesionym czołem i zaciśniętymi szczękami. Nie chcę niczyjego współczucia. Jestem męczennicą. Zostałam męczennicą z chwilą wyjścia za mąż za Edmunda i zamieszkania w tym prowincjonalnym pałacu. Znoszę w milczeniu swój los, gdyż wiem, że Pan Bóg mnie wynagrodzi za wszystko cierpienie.

Edmund nie kłamie bratu. Każdej nocy przychodzi do mojej komnaty, kołyszac się lekko od nadmiaru wina wypitego do wieczery, gdyż trunku także sobie nie żałuje. Każdej nocy kładzie się obok mnie w łożu i mnać w garści skraj mojego nocnego gieźła, niepomny, że to najlepsza walansjenka obrębiona przeze mnie dziecinnym ścięciem, odkrywa mnie i wciska mi się między uda. Każdej nocy zgrzytam zębami, lecz nie protestuję, nie wydaję nawet jęku bólu, gdy bierze mnie brutalnie, bez cienia czułości. Każdej nocy, zaledwie chwilę później, wstaje z łoża, narzuca na siebie szatę i wychodzi bez słowa podziękowania czy pożegnania. Ja milczę przez cały czas, od początku do końca, i on też zachowuje milczenie. Gdyby niewiasta mogła nienawidzić swego męża, nienawidziłabym

Edmunda jako gwałtownika. Wszelako moja nienawiść mogłaby sprawić, że spółdzone przezeń dziecko urodziłoby się zdeformowane — tylko dlatego z całych sił staram się go nie nienawidzić, nawet w sekrecie. Zamiast tego opuszczam łóżko okamgnienie po tym, jak za Edmundem zamykają się drzwi komnaty, klękam na posadzce i wciąż czując palący ból między nogami, wciąż mając w nozdrzach wstrętny męski zapach, modłę się do Przenajświętszej Pani, której zostało coś podobnego oszczędzone za sprawą wizyty Ducha Świętego. Modłę się, by przebaczyła Edmundowi Tudorowi, że znęca się w taki sposób nade mną, wybranką Pana Boga. Nade mną, która jest pozbawiona grzechu, a z całą pewnością pożądaną. Mimo iż upłynęły miesiące od mego ślubu, jestem równie daleka od cieleśnej namiętności jak wtedy, gdy byłam małym dzieckiem. W mojej opinii najlepszym lekarstwem na niewieścią rozwiążłość jest właśnie małżeństwo. Teraz już rozumiem, co znaczą słowa Pisma Świętego: „Lepiej jest bowiem żyć w małżeństwie, niż płonąć”.\* Ze swojego doświadczenia wiem, że jeśli wyjdzie się za mąż, na pewno się nie spłonie.

\* Pierwszy list do Koryntian 7:9, Biblia Tysiąclecia, wyd. V, Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, w przekładzie z języków oryginalnych; oprac. zespół biblistów polskich z inicjatywy Benedyktynów Tynieckich, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2008 (przyp. tłum.).

## LATO 1456 ROKU



Mija pierwszy rok wypełniony samotnością, niesmakiem i bólem i niemal równocześnie spada na mnie jeszcze jeden ciężar. Stara piastunka Edmunda tak niecierpliwie wypatrywała dziedzica Tudorów, że zaczęła co miesiąc pytać mnie, czy krwawiłam, zupełnie jakbym nie była niewiastą,; tylko klaczą w stadninie. Pragnęła, abym powiedziała to, co chciała usłyszeć, gdyż wtedy mogłaby odliczyć na swoich grubych starych paluchach, kiedy jej drogi chłopiec spełnił swój obowiązek. Całymi miesiącami rozczarowywałam ją raz po raz, na co jej pomarszczona twarz zapadała się jeszcze bardziej, ale w końcu — w ostatnich dniach czerwca — nie mam wyjścia i muszę jej się przyznać, że nie krwawiłam. Usłyszawszy tę nowinę, staruszka opada na kolana w mojej komnacie prywatnej i na miejscu dziękuje Panu Bogu i Przenajświętszej Paniencie za to, że Tudorowie nareszcie będą mieli dziedzica i że Anglia została ocalona dla Domu Lancasterów.

Z początku uważam to za grubą przesadę, lecz kiedy piastunka biegnie, by zanieść nowinę memu mężowi Edmundowi i jego bratu Jasperowi, a ci dwaj w parę chwil zjawiają się u mnie niczym zachwyceni bliźniacy, jeden przez drugiego wykrzykują swoje najlepsze życzenia i pytają, czy nie mam łaknienia na coś specjalnego do jedzenia, czy życzę sobie, by posłać po macierz, bądź czy nie chciałybyśmy pospacerować po ogrodach albo przeciwnie, odpocząć, zaczynam rozumieć, że to bynajmniej nie niepokalane poczęcie zaiste jest w ich opinii pierwszym krokiem ku świetności i ratunkiem dla Lancasterów.

Tej samej nocy, kiedy klękam, żeby się pomodlić, nareszcie doznaję znowu widzenia. Wizja jest tak wyraźna, jakby działa się na jawie, a słońce tak rażące jak we Francji, nie w chmurnej Walii. Nie mam przed oczyma Joanny zmierzającej na stos i tłumów jej wrogów, tylko ją samą w momencie, gdy Pan Bóg powołał ją do świętości. Przenoszę się na pola w pobliżu jej domu rodzinnego w Domremy, czuję miękkość trawy pod stopami, muszę osłaniać oczy przed palącym słońcem, słyszę, jak dzwony biją na Anioł Pański, rozbrzmiewając w mojej głowie echem niczym ludzkie głosy. Słyszę niebiański śpiew i widzę migotliwe światło. Odruchowo opuszczam głowę, chowając twarz w bogatej kapie na łożu, lecz niezemskie światło nadal płonie pod moimi powiekami. Mam niezachwianą pewność, iż jestem świadkiem powołania Dziewicy Orleańskiej do świętości, jak również swego własnego powołania. Pan Bóg chciał, aby Joanna d'Arc Mu służyła, teraz zaś chce, abym służyła Mu ja. Nadszedł długo wyczekiwany przeze mnie czas, a będąca mi wzorem Joanna d'Arc wskazała mi drogę. Drzę od pragnienia, by dostać się do świętości, podczas gdy jaśniejące światło ogarnia mnie całą, łącznie z łonem, w którym rośnie ku życiu moje dziecko, dopiero nabierając ducha.

Nie mam pojęcia, jak długo trwam na klęczkach. Nikt mi nie przeszkadza, toteż zdaje mi się, iż pozostaję skąpana niebiańskim światłem przez równy rok, zanim otwieram ze zdumieniem oczy i spostrzegam tańczący przede mną płomień świecy. Powoli wstaję na nogi, czepiając się kolumnienki baldachimu, gdyż czuję słabość ciała porażonego wrażeniem świętości. Przysiadam na brzeżku łoża i popadam w zamyślenie nad naturą mego powołania. Joanna d'Arc została powołana do obrony Francji i przywrócenia na tron prawowitego następcy. Z pewnością nie bez powodu ujrzałam siebie na jej pastwisku, nie bez powodu od dzieciństwa interesowałam się jej żywotem. Z pewnością moje i jej życie mają ze sobą wiele wspólnego. Muszę tylko w pełni pojąć jej historię. Być może moim powołaniem jest ocalić Anglię, tak jak jej było ocalić Francję. Zostałam powołana do obrony Anglii przed zagrożeniem, przed niepewnością sukcesji, przed wojną domową oraz do tego, by usadzić na tronie prawowitego następcę. Kiedy umrze obecny król Henryk

— nawet jeśli jego syn przeżyje — panowanie obejmie to dziecko, które rośnie teraz w moim łonie. To dziecko będzie synem, po doznanej wizji nie mam co do tego wątpliwości. Mój syn odziedziczy koronę Anglii. Koszmar odwiecznej wojny z Francją dobiegnie końca za sprawą panowania mojego syna. Ciągłe niepokoje szarpiące królestwem zakończą się raz na zawsze za sprawą panowania mojego syna. Wydam go na świat i pomogę mu zdobyć koronę Anglii, i pokieruję nim, jak by tego chciał Pan Bóg. Oto moje przeznaczenie: uczynić królem Anglii swego syna! Ci wszyscy, którzy się natrząsali z mego powołania i powątpiewali w szczerość mej religijności, będą mnie nazywali Królową Matką. A więc jednak będę mogła się podpisywać: Małgorzata R — Małgorzata Regina...

Przykładam dłoń do brzucha, który wciąż jest płaski jak u małej dziewczynki.

— Król... — szepczę. — Będziesz królem... królem Anglii.

Wiem, iż dziecko mnie słyszy i rozumie, że jego los, los całej Anglii został mi powierzony przez Pana Boga.

Świadomość, że mój syn zostanie królem Anglii i że wszyscy będą mi się nisko kłaniać, pomaga mi przetrwać pierwsze miesiące brzemienności, chociaż co dzień targają mną mdłości i znużenie. Panują upały, a Edmund musi wyjeżdżać z zamku na pola, z których gospodarze zbierają siano, i walczyć z wrogiem. Wilhelm Herbert, niestrudzony sojusznik sprawy Yorków, zamieruje uczynić Walię sobie poddaną, podczas gdy najjaśniejszy pan trwa w transie i buntownika nie ma kto przywołać do porządku. Wilhelm Herbert prowadzi swoich żołnierzy przez nasze ziemie i zbiera podatki pod pretekstem, iż działa w imieniu regenta. W rzeczy samej, jego dobry znajomy hrabia Warwick wyznaczył go na władcę Walii, tyle że my, Tudorowie, otrzymaliśmy to samo prawo wcześniej, i to z rąk miłościwego pana. Żyjemy tu, wywiązując się z powierzonych obowiązków bez względu na stan zdrowia króla Henryka. Obecnie zarówno Wilhelm Herbert, jak i my, Tudorowie, mamy się za prawowitych władców Walii, a różnica między nami polega na tym, że on tkwi w błędzie, za nami zaś stoi monarsze nadanie. No i oczywiście Pan Bóg, odkąd tu zamieszkałam.

Edmund i Jasper gotują się z furii, ilekroć dochodzą nas wieści o najazdach armii Herberta lub yorkistów, i w końcu piszą do swego ojca Owena, który z kolei wypuszcza się z żołnierzami, by pustoszyć ziemię Yorków, a przy tym obmyśla plan wspólnej z synami kampanii. Macierz się nie myliła. Królem jest mężczyzna z Domu Lancasterów, który jednak zamiast rządzić, śni na jawie. Regentem zaś jest mężczyzna z Domu Yorków, który jest aż nadto żywy. Jasper większość czasu spędza z dala od domu, czuwając nad pogrążonym w transie monarchą niczym kwoka nad zgniłymi jajkami. Przekazuje nam wieść, że Andegawenka opuściła małżonka i dwór królewski, szukając schronienia za murami Coventry, które jest w stanie przetrzymać długotrwałe oblężenie, i w swoim mniemaniu powinna przenieść tam stolicę ze zdradzieckiego Londynu. Rzeczywiście, londyńscy mieszczaństwo i kupcy, a także południowe hrabstwa stają po stronie Yorków, gdyż marzą im się spokojne czasy, kiedy to można pomnażać majątek, natomiast sprawy takie, jak lojalność wobec namaszczonego monarchy i bojaźń Boża, nie mają dla nich znaczenia.

Podczas gdy każdy wielmoża w Anglii zbroi pachołków i obiera stronę, Jasper i Edmund Tudorowie czekają do końca sianokosów, po czym powołują pod swój sztandar gospodarzy z kosami i sierpami i wyruszają na spotkanie Wilhelma Herberta, by pokazać mu, kto naprawdę włada Walią. Odprowadzam męża i dziewczera do bram zamku, by pomachać im na pożegnanie.

— Z Bogiem! — wołam za nimi.

Jasper zapewnił mnie, że pokonają Herberta w ciągu dwóch dni i odbiją z jego rąk zamek w Carmarthen, i powiedział, że mogę się ich spodziewać z powrotem na dożynki. Tymczasem dwa dni mijają, a o nich przepadł wszelki śluch.

Rutyna mego dnia wymaga, abym odpoczywała już od wczesnego wieczora, czego skrupulatnie przestrzega opiekunka poinstruowana przez macierz, by teraz, gdy noszę w łonie królewskiego potomka, znów interesowała się moim zdrowiem. Niewiasta ta przesiaduje ze mną w mroczniejszej komnacie, pilnując, bym nie czytała przy blasku przemyconej świecy ani nie spędzała zbyt wiele czasu na modlitwie. Zamiast tego muszę kłaść się na łóżku i myśleć o przy-



jemnych rzeczach, aby dusza dziecka była beztroska i silna. Wiedząc, że pod sercem noszę przyszłego króla, myślę o krzepkich wierzchowcach i pięknych szatach, o magii turniejów i o królewskim dworze, nawet o Andegawence w jej rubinowej sukni. Którego dnia wszakże za drzwiami mojej komnaty wszczynają się jakieś poruszenie, podnoszę się więc do pozycji siedzącej i rzuciwszy okiem na moją opiekunkę (daleka od traktowania mnie jak naczynie mające dać światu przyszłego monarchę, zwyczajnie zasnęła i chrapie!), wstaję z łoża, podchodzę do drzwi, sama je sobie otwieram i znajduję na korytarzu wierną służkę, Gwyneth, bladą na twarzy i z listem w rękę.

— Nie umiemy przeczytać, do kogo to — rzecze cicho. — To jakaś wiadomość, ale nikt z nas nie umie jej przeczytać...

— Moja opiekunka zażywa odpoczynku — mówię jej. — Jeśli dasz mi ten list, przekażę go później.

Głupia dziewczyna wręcza mi złożony we czworo papier, mimo iż wypisano na nim wołami, że adresem jest moja opiekunka — ona i wyłącznie ona. Łamię pieczęć Jaspera Tudora i prostuję papier. Pisze z zamku w Pembroke:

***Tímund ranion i pojman przez Włłhefma Isterberta. 'Wniewód na zamku to Carmarthen. Szybujcie się do obrony paiacu, gdyja rusze mu na ratunek ^9& przyjmujcie nikogo; zuybuchta zaraza.***

Gwyneth spogląda na mnie wyczekująco.

— Co tam napisano? — pyta.

— Nic takiego — kłamię. Kłamstwo przechodzi mi przez gardło tak łatwo, że jako ewidentnie zesłane przez Pana Boga ku pomocy wcale nie jest grzechem. — Pan zatrzyma się na zamku w Pembroke przez kilka dni — dodaję. — Wróci do domu nieco później.

Zamykam jej drzwi przed nosem i wyciągam się znów na łożku. Kładę dłoń na brzuchu, który zdążył się nieco zaokrąglić i wypełnia ściśle suknię. Przekażę domownikom wieść jeszcze tego wieczora, decyduję. Najpierw jednak muszę się zastanowić. Muszę postanowić, ile powiedzieć i jakie kroki poczynić.

Jak zwykle staram się postawić w położeniu Joanny cTarc. Co ona by zrobiła, będąc na moim miejscu? Z pewnością najważniejszym zadaniem jest ochrona przyszłego króla. Edmund i Jasper potrafią o siebie zadbać. Wszelako ja muszę się znaleźć za murami twierdzy mogącej stawić odpór oblężeniu. Kiedy Herbert przybędzie plądrować ziemie Tudorów, ja i mój syn będziemy bezpieczni.

Na samą myśl, że wojownik taki jak Wilhelm Herbert miałby się zwrócić przeciwko mnie, opadam na klęczki i zaczynam się modlić.

— Co robić? — pytam szeptem Przenajświętszą Panią, zdając sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu naprawdę zależy mi na odpowiedzi. — Tutaj nie możemy się bronić, zamku nie otacza pełen mur, nie mamy dość mężczyzn w załodze. Do Pembroke nie mogę się udać, gdyż panuje tam zaraza, zresztą nie mam pojęcia, gdzie leży. No ale jeśli Herbert zastanie nas tutaj, jak się przed nim obronimy? Co będzie, jeśli porwie mnie dla okupu? Z drugiej strony, jeśli opuścimy Lamphey, mogę się rozchorować w drodze. W dodatku podróżowanie może się okazać złe dla dziecka...

Wbrew moim nadziejom odpowiada mi cisza.

— Matko Boska? — szepczę dalej. — Maryjo Panno?

W dalszym ciągu nic. Cóż za nieprzyjemna cisza!

Wzdycham z rozpaczą.

Co by uczyniła na moim miejscu Joanna d'Arc? pytam się w duchu. Co by zrobiła, gdyby musiała dokonać wyboru między dwiema złymi możliwościami? Co by uczyniła... a raczej: co ja bym uczyniła, gdybym miała jej odwagę?

Ociężale podnoszę się na nogi. Zbliżam się do opiekunki i nie bez satysfakcji wybudzam ją z drzemki.

— Trzeba działać. Przenosimy się na zamek w Pembroke.

## JESIEŃ 1456 ROKU



Edmund nie wraca do domu. Wilhelm Herbert nawet nie występuje o okup za niego, dziedzica rodu Tudorów i ojca mego dziecka. W tych niepewnych czasach nikt nie umie stwierdzić, ile ktoś taki jak Edmund Tudor — w dodatku chory, jak donoszą ostatnie wieści — jest wart. Herbertowie przetrzymują go na zamku Carmarthen, skąd do mnie nie pisze, gdyż nie ma nic do powiedzenia żonie, która właściwie wciąż jest dzieckiem. Ja również doń nie piszę, tak samo nie mając mu nic do powiedzenia.

Czekam osamotniona na zamku w Pembroke, gotując się do oblężenia, nie wpuszczając nikogo z obawy, że mógłby przynieść zarazę, wiedząc, że być może niebawem przyjdzie mi bronić twierdzy, i nie mając pojęcia, dokąd posłać po pomoc, gdyż Jasper pozostaje w ciągłym ruchu. Mamy żywność, mamy broń, mamy wodę. Sypiam z kluczem do żelaznej bramy i zwodzonego mostu pod poduszką, ale nie wiem, co dalej. Czekam, aż mój mąż mi to powie, on jednak milczy. Czekam, aż mój dziewczę powróci do swej siedziby, on jednak się nie zjawia. Modłę się nawet o to, by w pobliżu przejeżdżał ich ojciec i uratował mnie, lecz to także się nie dzieje. Czuję się tak, jak gdybym się odgrodziła wysokim murem od świata i została zapomniana przez wszystkich. Słowa swoich modlitw i próśb o radę kieruję do Przenajświętszej Pani, która również miała ciężkie przejścia, będąc brzemienna, wszelako nie pojawia się żaden Duch Święty, by ogłosić ludzkości, że jestem naczyniem Pana. Wygląda na to, że w moim wypadku nie będzie zwiastowania. W istocie

wszyscy — służący, ksiądz, nawet moja opiekunka — pograżyli się we własnych kłopotach i troskach, będąc świadkami kolejnego nie-naturalnego transu króla i walki o władzę pomiędzy królową i regentem, co zachęca każdego łotrzyka do bezkarnego sięgnięcia po kawałek Anglii dla siebie, i doskonale wiedząc, że Tudorowie są w odwrocie, z dziedzicem rodu w niewoli, z jego młodszym bratem Bóg wie gdzie i ze spodziewającą się potomka młodą żoną chorą ze strachu.

Po jakimś czasie, w listopadzie, otrzymuję list zaadresowany bezpośrednio do mnie: do lady Małgorzaty Tudor, a napisany przez mego dziewierza Jaspera. To jego pierwszy list do mnie, nic dziwnego więc, że przy otwieraniu trzęsą mi się ręce. Swoim zwyczajem jest bardzo oszczędny w słowach.

***Zżalem donoszę Ci, że Twój mąż, a mój ukochany brat 'Edmund zmari od zarazy. Wytrzymaj oblężenie za wszelką cenę. 'Hądchodzę z odsieczą.***

Witam go u bram zamku i natychmiast spostrzegam zmianę, która w nim zaszła. Utracił brata, niemal bliźniaka, utracił wielką miłość swego życia. Na mój widok zeskakuje z grzbietu konia z tą samą lekkością, która cechowała Edmunda, lecz tym razem rozlega się uderzenie tylko jednej pary nóg o ziemię, tylko jedna para podkutych butów dźwięczy na kamieniach dziedzińca. Przez resztę życia będzie nadaremno nasłuchiwał odgłosu zeskakującego Edmunda. Twarz ma ponurą, oczy wpadnięte w głąb czaszki z żałości. Ujmuje mnie za dłonie, jakbym była dorosłą niewiastą, po czym klęka przede mną i uniósłszy obie ręce w geście na poły modlitwy, na poły hołdu lennego, rzecze:

— Straciłem brata, ty zaś straciłaś męża. Przysięgam, że jeśli urodzisz syna, będę go traktował jak własnego. Będę go strzegł jak żrenicy oka. Zrobię co w mojej mocy, by nie stała mu się krzywda. Wprowadzę go na tron Anglii, mając w pamięci Edmunda...  
— Oczy napełniają mu się łzami, wzruszenie chwyta go za gardło.

Czuję się bardzo niezręcznie, mając tego ogromnego mężczyznę na klęczkach przed sobą.

— Dziękuję — odpowiadam, równocześnie rozglądając się wokół bezradnie, ale nie ma obok mnie nikogo, kto by mi powiedział, jak sprawić, aby Jasper powstał. Nie mam pojęcia, jak powinnam zareagować. Nie uszło mojej uwagi, że jego przysięga nie gwarantuje mi niczego, jeżeli urodzę dziewczynkę. Z westchnieniem ściskam jego ręce, czego chyba ode mnie oczekuje. W duchu zaś stwierdzam, że gdyby nie Joanna d'Arc, mogłabym w tej sytuacji pomyśleć, że dziewczynki w przeciwieństwie do chłopców są całkowicie bezużyteczne.

## STYCZEŃ 1457 ROKU



Zostaję zamknięta w komnacie niewieściej w początkach miesiąca. Okna alkierza zasłonięto, żeby odciąć dopływ szarego zimowego światła. Nie pojmuję, jak widok nieba, które nigdy nie jest niebieskie, i słońca, które nigdy nie prześwieca przez chmury, miałyby zaszkodzić położnicy, lecz akuszerka się upiera, abym schroniła się w ciemnościach na miesiąc przed rozwiązaniem, jak nakazuje tradycja; Jasper zaś, błądzący z niepokoju, powiada, że trzeba postępować tak, by dziecku nie stała się żadna krzywda.

Zdaniem akuszerki dziecko wybierze się na świat przedwcześnie. W dodatku macając mi brzuch, stwierdza, że jest ułożone w złej pozycji, ale istnieje szansa, że obróci się na czas. „Niekiedy — dodaje — obraca się dosłownie na ostatnią chwilę”. To ważne, żeby rodziło się główką, choć nie mam pojęcia dlaczego. Jasper nie może mi niczego wyjaśnić, gdyż pozostał za drzwiami komnaty niewieściej i tylko niespokojnie się przechadza: w tę i we w tę, w tę i we w tę — słyszę, jak pod jego nogami skrzypią deski podłogi, gdy przemierza korytarz z północy na południe i z powrotem, całkiem jak nie mogący się doczekać potomka ojciec. Ponieważ mam niedługo rodzić, nie wolno mi przyjmować mężczyzn, co po prawdzie jest dla mnie wielką ulgą. Co za szkoda jednak, że nie mogę się modlić w kaplicy. Ksiądz Wilhelm, tutejszy duchowny, wzruszył się do łez podczas mojej pierwszej spowiedzi. Rzekł mi, że nigdy nie spotkał bardziej pobożnej młodej niewiasty. Ucieszyłam się, że nareszcie jest ktoś, kto mnie rozumie. Na szczęście wolno mu się ze mną

modlić, pod warunkiem że siedzi po jednej stronie przepierzenia, a ja po drugiej, lecz nie jest to przeżyciem nawet w połowie tak inspirującym jak modlitwa przed ołtarzem kaplicy, gdzie każdy mnie widzi i podziwia.

Po tygodniu odosobnienia zaczynam odczuwać potworny ból rozdzierający mi trzewia, akurat kiedy się przechadzam po ciasnych zakamarkach komnaty. Akuszerka Nan i druga starucha, której imię przypomina raczej skrzek niż ludzką mowę i która nie zna słowa po angielsku, zgodnie postanawiają, że muszę się położyć, i odtąd nie wolno mi nie tylko chodzić, ale nawet wstawać. Ból jest tak straszny, jakby łamały się we mnie kości. Najwyraźniej nie jest to normalne, nikt wszakże nie umie powiedzieć, w czym rzecz. Akuszerki pytają medyka, ten jednak nie mogąc tknąć mnie choćby palcem, jest zdany na moją opinię w tej sprawie, przez co nie posuwamy się ani o krok do przodu. Mam trzynaście lat i jestem mała jak na swój wiek. Skąd mam wiedzieć, co złego dzieje się z moim dzieckiem? Nan z pomocnicą bez przerwy wypytuja, czy nadal czuję ból łamiących się kości, a kiedy odpowiadam twierdząco, spoglądają na siebie z takim przerażeniem, jakby sądziły, że to naprawdę możliwe. Wszelako mnie się nie wydaje, abym miała umrzeć w położu. Nie wydaje mi się, żeby Pan Bóg zadał sobie tyle trudu, ściągnął mnie aż tutaj, do Walii, i pobłogosławił synem, który może się stać królem Anglii, po to tylko, by pozwolić mi umrzeć, zanim wydam dziecko na świat.

Słyszę poszeptywania, że dobrze by było posłać po moją matkę, ale przebywa ona tak daleko i trakty są tak niebezpieczne, iż nie ma możliwości, by zjawiła się na czas, a poza tym na pewno nie okazałaby się mądrzejsza od tutejszych babek położnych. Nawet one w dalszym ciągu nie umieją powiedzieć, co poszło nie tak, choć zaczynają przebąkiwać, że jestem za młoda i za mała na żonę, co doprawdy wydaje mi się raczej mocno spóźnioną radą i żadnym pocieszeniem, skoro znalazłam się tak blisko rozwiązania. Na razie nie odważyłam się spytać, jak właściwie odbędzie się poród. Obawiam się, że w pewnym momencie rozpęknę się jak nabrzmiały strączek groszku, dziecko wyskoczy z mojego brzucha, a ja wykrwawię się na śmierć.

Myślałam, że ból łamiących się we mnie kości jest najgorszy ze wszystkiego, aż do pewnej nocy, kiedy budzę się, cierpiąc niemiłosiernie od nie dającego się opisać doznania w podbrzuszu. Krzyczę ze strachu, na co obie akuszerki zrywają się z niskich łóżek ustawionych przy drzwiach, a za próg wbiega moja opiekunka i słuźka. Wkrótce w komnacie roi się od niewiast znoszących świece, drewno na podpałkę, sagany z gorącą wodą i co tam jeszcze, ale żadna z nich nie patrzy na mnie, mimo iż ja czuję, jak zalewa mnie nagła powódź, i już mam pewność, że krwawię i umrę od tego.

Zlatują się do mnie jak muchy, jedna wtyka mi między zęby wrzeczono, druga opasuje mój brzuch poświęconym gorsetem. Ksiądz Wilhelm przysłał z kaplicy hostię w monstrancji i teraz moja opiekunka umieszcza naczynie liturgiczne na ołtarzyku, abym mogła wbić wzrok w ciało Pana. Muszę przyznać, że odkąd znalazłam się w połogu, znacznie mniejsze wrażenie robi na mnie ukrzyżowanie Chrystusa. Nie sądzę, by przybicie do krzyża bolało Go bardziej niż mnie rodzenie syna. Oczywiście ubolewam nad cierpieniem Jezusa, lecz myślę sobie, że dopiero gdyby spróbował wydać na świat dziecko, poznałby, co to prawdziwy ból.

Wiele par rąk utrzymuje mnie w pozycji leżącej, ale miłosiernie pozwala wyginać ciało w łuk w chwilach bólu nie do zniesienia. Na krótką chwilę tracę przytomność, a zaraz potem czuję w ustach ostry smak jakiegoś dekoktu, który sprawia, że jest mi równocześnie niedobrze i błogo, nic jednak nie uwalnia mnie od obcęgów zaciskających się na moim brzuchu i zdających się szarpać mi ciało od środka. Trwa to godzinami, od świtu do zmroku. Rozlegają się czyjeś szept, że dziecko się nie śpieszy, że zabiera mu to zbyt długo. Jedna z akuserek zwraca się do mnie i przeproszającym tonem informuje, że będą musiały mnie wytrząść na zawieszonym nad ziemią pledzie, aby ponaglić niemowlę.

— Proszę? — mamrocze nazbyt ogłupiała, żeby zrozumieć, co do mnie mówi.

Nadal nic nie rozumiem, gdy pomagają mi wstać z łoża i zlec na pledzie rozpostartym na posadzce. Mam nadzieję, że nareszcie poszły po rozum do głowy i znalazły sposób na zmniejszenie bólu, który doprowadza mnie powoli do szaleństwa. Kładę się więc,



posłuszna popychającym mnie dłoniom, a wtedy niewiasty w szóstkę chwytają za rogi i boki pledu, unosząc mnie nad ziemię jak worek owsa, a następnie wspólnym wysiłkiem podrywają mnie wysoko i zaraz pozwalają opaść. Jestem drobnej budowy ciała, toteż mogą mną podrzucać ile chcą, nie przejmując się, iż ogarnia mnie na przemian okropne uczucie wzlatywania i jeszcze gorsze spadania. Nie zważają na moje okrzyki protestu i zaklęcia, żeby natychmiast przestały — wędruję w górę i opadam w dół tuzin razy, zanim w końcu litościwie upuszczają mnie na łożo i wpijają się we mnie wzrokiem, doszukując się oznak poprawy, podczas gdy ja przewieszona za krawędź łoża bóleści wymiotuję, krztusząc się i szlochając.

Kładę się na wznak i przez krótką chwilę, przez jedną krótką błogosławioną chwilę nic nie czuję. W zapadłej nagle ciszy słyszę, jak moja opiekunka odzywa się jasno i wyraźnie:

— Macie ocalić dziecko, gdybyście musiały wybierać. Zwłaszcza jeśli to chłopiec.

Myśl o tym, że Jasper polecił akuszerkom ratować dziecko moim kosztem, gdyby przyszło do wybierania pomiędzy życiem jego bratowej i bratanka, tak mnie rozwściecza, że aż się podnoszę, spluwam na ziemię i wołam:

— Och, a kto tak powiedział? Jestem lady Małgorzata Beaufort z Domu Lancasterów... — Nikt mnie jednak nie słyszy, nikt nawet się nie odwraca w moją stronę.

— To właściwa decyzja — kiwa głową Nan — choć może niesprawiedliwa wobec panienki...

— Tak postanowiła jej macierz — dodaje moja opiekunka, zamykając mi tym samym usta. Już mi się nie chce krzyczeć na służbę.

Moja macierz? Moja macierz przykazała opiekunce, by w razie konieczności postawiła wyżej życie dziecka niż moje?

— Biedactwo... Biedna mała dziewczuszka...

Słyszając cichy głos Nan, myślę, że mówi o dziecku; myślę, że pomimo wszystko będę miała córkę. Naraz jednak uświadamiam sobie, że ona uważa się nade mną, nad trzynastolatką w połogu, którą rodzona matka spisała na straty w wypadku, gdyby na świat miał przyjść jej wnuk i dziedzic.

Dwa dni i dwie noce zabiera dziecku przedarcie się z moich trzewi na ten padół, ja zaś nie umieram, mimo iż w ciągu tych długich bolesnych godzin następuje niejedna chwila, gdy uczyniłabym to z radością, byle tylko uniknąć cierpienia. Pokazują mi syna, gdy już zasypiam, zatopiona we wszechogarniającym bólu. Zdaje się, że ma brązowe włoski i malusie rączki. Wyciągam ramiona, by sprawdzić, czy jest rzeczywisty, ale mieszanina dekoktu i zmęczenia robi swoje: w okamgnieniu pochłania mnie mrok i tracę przytomność.

Gdy się budzę, jest ranek i okna nic nie zasłania. Żółtawe zimowe światło przesącza się przez szklane gomółki, przydając ciepła komnacie ogrzewanej buzującym ogniem kominka. Dziecko leży w kołysce, owinięte ciasno powijakami i przytroczone do niemowlęcej deszczułki. Kiedy niania podaje mi syna, nie wyczuwam dotykem jego ciała — jest zapakowany od stóp do głów w coś, co bardzo przypomina szarpie, jakimi opatruje się rannych po bitwie. Niewiasta tłumaczy mi, że musi być przytwierdzony do deszczułki, aby nie machać rączkami i nóżkami i nie ruszać główką, ponieważ tylko wtedy jego kości będą rosły prosto i bez przeszkód. Dodaje też, że zobaczę jego stopki i rączki, gdy odwiną go z powijaków, by zmienić pieluszkę, co odbędzie się w południe. Do tego czasu mogę go trzymać w ramionach niczym sztywną małą lalkę. Powijaki osłaniają nawet brodę i twarz dziecka, utrzymując szyję w jednej pozycji, i kończą się na czubku głowy zgrabną kokardką. Proste niewiasty zamiast kokardki wiążą pętelkę, na której wieszają swoje niemowlęta u powały, kiedy gotują strawę czy robią pranie, ale ten chłopiec, ten dziedzic Domu Lancasterów będzie noszony i kołysany przez cały zastęp nianiek i mamek.

Układałam go na łożu obok siebie i przyglądałam się jego twarzyczce, jego noskowi, jego różowym usteczkom i powiekom. Mój syn nie przypomina żywego dziecka, tylko raczej rzeźbę wyciosaną w kamieniu, taką, jakie spotyka się w kościołach obok sarkofagów nieżyjących matek. Czyż to nie cud, że coś podobnego zostało stworzone, urosło i przyszło na świat? Czyż to nie cud, że ja to stworzyłam, niemal całkiem sama (albowiem wyczynów podpitego Edmunda nie zamierzam nawet brać pod uwagę)? Tenże poszątek, tenże ma-

lenki człowieczek to kość z mojej kości, krew z mojej krwi. Jest mój, wyłącznie mój.

Po jakimś czasie mój syn budzi się z płaczem. Jak na takie maleństwo płacz ma niesłychanie głośny, toteż jestem bardzo zadowolona, kiedy migiem pojawia się niańka i zabiera go do mamki czekającej w przyległej komnacie. Moim niewielkim piersiom ulżyłoby, gdybym go nakarmiła, lecz i ja jestem ciasno owinięta szarpkami jak moje dziecko; oboje musimy spełnić swój obowiązek. Obowiązkiem mego syna jest wyrosnąć na trzymającego się prosto mężczyznę, moim — nie karmić go własną piersią. Mamka zostawiła swoje niemowlę w domu i przyjęła pracę na zamku. Będzie tu jadała lepiej niż kiedykolwiek w całym swoim życiu i w rozsądnych ilościach popijała warzone u nas piwo. Nie będzie musiała się opiekować swoim mlecznym synem. Jej obowiązkiem jest produkować dlań mleko, jakby była krową. Karmić go wtedy, kiedy go do niej przyniosą, a także prać jego pieluszki i sprzątać w komnacie dziecinniej. Przez resztę czasu małym Tudorem zajmują się niańki. Mamka nie może go nosić na ręku z wyjątkiem chwil karmienia, od tego dziedzic ma inne niewiasty. Ma także kolebkę oprócz kołyski, dwie niańki zmieniające się przy nim bez wytchnienia, własnego medyka, który ogląda go raz na tydzień, oraz akuszerki, gdyż te nie zostawiają nas w spokoju, dopóki ja nie przejdę ceremonii oczyszczenia w kościele, a on nie zostanie ochrzczony. W gruncie rzeczy jego świta liczy więcej osób niż moja, co uświadamia mi, że mój syn jest ode mnie ważniejszy. Jam jest Małgorzata Tudor, z domu Beaufort, wywodzę się z Domu Lancasterów i jestem kuzynką pogrążonego w transie króla Anglii. Mój syn natomiast jest zarówno Tudorem, jak i Beaufortem. I po mieczu, i po kądzieli potomkiem linii królewskiej. W jego żyłach płynie błękitna krew bez żadnych domieszek. Jest hrabią Richmond z Domu Lancasterów i ma silne prawo do tronu, zaraz po księciu Walii Edwardzie.

Do komnaty wchodzi moja opiekunka.

— Twój dziewczę Jasper prosi, abyś zgodziła się nadać dziecku wybrane przezeń imię — oświadczają. — Właśnie pisze do najjaśniejszego pana i twojej macierzy, że zamierza ochrzcić go Edmundem Owenem, po ojcu i dziadzie Tudorach.

— Nie — odpowiadam bez zastanowienia. Ani myślę nazywać swego syna, którego wydanie na świat kosztowało mnie tyle cierpienia, imieniem mężczyzny, który sprawił mi wyłącznie ból. Ani nawet po głupim świerze. — Nie. Nie zgadzam się.

— Nie możesz ochrzcić go Edwardem — zastrzega opiekunka.  
— Syn króla nosi już to imię.

— Mój syn zaś będzie nosił imię: Henryk — powiadam, wyobrażając sobie, że pogrążony w transie król ocknie się na narodziny chłopca z Domu Lancasterów, chłopca jego imienia, mimo że przepiął narodziny własnego syna, księcia Edwarda. — Henryk to królewskie imię, najbardziej znani i najwaleczniejsi królowie Anglii tak się nazywali. Dlatego mój syn będzie znany pod mianem Henryk Tudor. — Powtarzam głośniej z dumą: — Henryk Tudor. — Natomiast w myślach dodaję, że kiedy król Henryk VI umrze, ten chłopiec zostanie Henrykiem VII.

— Jasper powiedział wyraźnie: Edmund Owen — upiera się opiekunka, jakby mnie miała nie tylko za głupią, ale i za głuchą.

— A ja wyraźnie mówię: Henryk — podtrzymuję swoją decyzję.  
— Zresztą już go nazwałam tym imieniem. Sprawa jest zatem przesądzona. Nadałam mu imię w swych modlitwach. Mój syn właściwie już został ochrzczony, zabrakło tylko święconej wody.

Opiekunka unosi brwi na wyraźną w moim głosie determinację.

— Nie spodoba im się to. — Wzrusza ramionami i wychodzi z komnaty, by powiadomić mego dziewierza, że położnica zachowuje się jak uparte dziecko i nie zamierza nadać synowi imienia po zmarłym mężu, tylko zamiast tego sama je wybrała i nie daje się odwieść od pomysłu.

Układam się z powrotem na wznak i przysmykam oczy.

Mój syn to Henryk Tudor i już.

## WIOSNA 1457 ROKU



Muszę pozostać zamknięta w komnacie niewieściej przez kolejne sześć tygodni, zanim wolno mi się udać do kościoła i poddać rytuałowi oczyszczenia z grzechu połogu. Kiedy wracam do siebie, okiennice są szeroko otwarte, a ciężkie kotary zniknęły. Na stole stoi dzban z winem i misa z jakimiś słodkościami, a po chwili zjawia się Jasper z gratulacjami z powodu narodzin potomka. Od nianiek wiem, że mój dziewierz odwiedza niemowlę w komnacie dziecięcej każdego dnia, jak gdyby był jego kochającym ojcem. Jeśli Henryk śpi, siada przy kołysce i dotyka lekko jego policzka jednym palcem albo gładzi go po zawiniętej w powijaki główce. Jeśli zaś malec nie śpi, przygląda się jego karmieniu bądź przewijaniu, podziwiając przy tej okazji proste nóżki i silne rączki. Wiem nawet, że prosi niańki, aby nie zawiąły dziecka z powrotem od razu, gdyż chce się ponapawać widokiem zaciśniętych w piąstki małych dłoni i kopiających stopek. Niewiasty są zdania, że to nie przystoi, by dorosły mężczyzna nie odchodził od kołyski, a ja się z nimi całkowicie zgadzam, aczkolwiek zdaję sobie sprawę, że Tudorowie zawsze stawiają na swoim.

Teraz Jasper uśmiecha się do mnie nieśmiało, a ja w podobny sposób się odwzajemniam.

- Dobrze się czujesz, siostrze? — pyta.
- Dobrze — odpowiadam.
- Słyszałem, że poród nie należał do łatwych.
- Nie należał — potwierdzam.

Jasper kiwa głową.

— Mam dla ciebie list od twojej macierzy. Napisała też do mnie...

Podaje mi złożony we czworo arkusz opatrzony pieczęcią Beaufortów: unoszonymi żelaznymi wrotami. Ostrożnie podważam lak i rozprostowuję papier. List jest po francusku. Macierz wzywa mnie w nim do stawienia się w Greenfield House w Newport w walijskim hrabstwie Gwent. I to wszystko. Nie napisała jednego cieplejszego słowa, nie spytała o zdrowie mojego syna, a jej wnuka. Przypominam sobie, że to ona wydała polecenie, by w razie konieczności wybierania między życiem moim i dziecka pozwolić mi umrzeć, i ignoruję jej oziębłość, zwracając się do Jaspera:

— Czy wiesz, dlaczego mam pojechać do Newport? Pani matka nie raczyła mi tego wyjaśnić...

— Tak — odpowiada Jasper. — Mam cię odeskortować do Greenfield House. Poznasz tam Humphreya Stafforda, księcia Buckingham. Greenfield House to jego siedziba.

— Po co mam go poznawać? — dopytuję. Mgliście przypominam sobie postać księcia należącego do jednego z ważniejszych rodów w królestwie. Zdaje się, że łączą nas więzy pokrewieństwa. — Czy wyznaczono go na mego nowego opiekuna? Czemu ty nie mógłbyś być moim nowym opiekunem, Jasperze?

Mój dziewierz ucieka spojrzeniem.

— Nie... Nie o to chodzi... — Usiłuje się do mnie uśmiechnąć, ale oczy ma przepełnione współczuciem. — Wyjdiesz znowu za mąż, siostrze. Poślubisz syna księcia Buckingham, jak tylko dobiegnie końca roczna żałoba. Wszakże zaręczyny i podpisanie kontraktu małżeńskiego odbędą się już teraz. Zostaniesz żoną syna księcia: sir Henryka Stafforda.

Patrzę na Jaspera, doskonale wiedząc, że na mojej twarzy maluje się szok.

— Mam znowu wyjść za mąż? — wybucham na wspomnienie niedawnego ciężkiego połogu, czując pewność, że drugie dziecko mnie zabije. — Jasperze, czy mogę tam nie jechać? Czy mogę zostać tutaj z tobą?...

Potrząsa w odpowiedzi głową.

— Obawiam się, że to niemożliwe.

## MARZEC 1457 ROKU



Paczka — wysyłana z miejsca na miejsce, przekazywana z rąk do rąk, odwijana i zawijana wedle woli właściciela — oto czym jestem. Naczyniem do płodzenia synów tego czy innego wielmoży. Nikt nie dostrzeżga we mnie młodej niewiasty z dobrego rodu o królewskich korzeniach, młodej niewiasty wyjątkowej pobożności, która zasługuje — Bóg świadkiem! — na nieco szacunku. Ale nie, najpierw zostałam posłana do Lamphey w kolebce, a teraz jadę do Newport na pękatym kucyku, siedząc za sługą i nie widząc traktu przed nami, a tylko migawki błotnistych pastwisk i pól wyzierających spomiędzy podskakujących w siodle zbrojnych, wyposażonych we włócznie i pałki, odzianych w liberię Tudorów. Nasz orszak prowadzi Jasper na koniu bojowym, tak jak jego ludzie gotowy w każdej chwili na zasadzkę zastawioną przez Wilhelma Herberta lub na atak zwykłej grabieżczej bandy. Gdy zbliżamy się do linii brzegowej, zagrażają nam również grasujący na łądzie piraci. Oto przed czym muszę być chroniona. Oto królestwo, w którym żyję. Oto czemu powinien zapobiec przytomny silny król.

Wreszcie przejeżdżamy przez unoszoną bramę Greenfield House i słyszymy, jak tuż za nami krata opada z hukiem. Zsiadamy z końskich grzbietów na wewnętrznym dziedzińcu, a w tym samym czasie na próg siedziby księcia wychodzi macierz. Nie widziałam jej od prawie dwóch lat, od dnia mojego ślubu, kiedy mi mówiła, że nie ma się czego bać. Klękając, by odebrać jej błogosławieństwo, zdaje sobie sprawę, że gdy zajrzy mi w twarz, wyczyta z niej wiedzę o tym,

iż mnie okłamała, albowiem stanęłam oko w oko z samą śmiercią, a w dodatku usłyszałam, że jest gotowa poświęcić mnie dla swego wnuka. Ona nie miała się czego bać — co do tego miała rację. Wszelako mnie czekały same straszne rzeczy.

— Małgorzato — wita się cichym głosem. Kładzie mi dłoń na głowie w geście błogosławieństwa, po czym podnosi mnie za łokcie i całuje w oba policzki. — Aleś urosła! Dobrze wyglądasz, córko.

Pragnę, by wzięta mnie w objęcia, przytuliła i zapewniła, że za mną tęskniła, tym samym pragnąc zupełnie innej matki i zupełnie innej siebie. Tymczasem macierz obrzuca mnie chłodnym spojrzeniem i odwraca się na dźwięk otwieranych wierzei, w których staje gospodarz, książę Buckingham.

— Oto moja córka — przedstawia mnie — lady Małgorzata Tudor. Małgorzato, to twój krewniak Humphrey Stafford.

Dygam przed nim nisko, wiedząc, że to książę wyjątkowo czuły na punkcie etykiety; ponoć zaniósł do parlamentu petycję, by uchwalono, komu wolno go poprzedzać w orszaku, a kto musi zająć miejsce za nim. On ujmuje mnie za dłonie, pozwalając się wyprostować, po czym także całuje mnie w oba policzki.

— Witaj — mówi. — Z pewnością jesteś zdrożona i zziębnięta po podróży. Zapraszam do środka.

Greenfield House olśniewa mnie przepychem, jaki nieomal zapomniałam, tyle czasu spędziwszy na wygnaniu w Lamphey i Pembroke. Grube tapiserie zakrywają kamienne mury, belki stropowe błyszczą świeżą farbą i pozłotką. Gdziekolwiek spojrzeć, widnieje herb księcia pociągnięty złotem. Trociny na posadzkach są czyste i ładnie pachną, a każda komnata niesie woń innego zioła lub kwiatu; w kominkach płonie wysoki ogień, który podsycają drwa dokładane przez specjalnego pachółka. Nawet on — nie umyka mojej uwadze, że jest obuty — nosi liberię księcia Buckingham. Zatem być może to prawda, że Humphrey Stafford ma na swoje skinienie armię ludzi jednako odzianych i gotowych na jego rozkazy. Wszystko co widzę, stanowi jawny kontrast z ubóstwem i niechlujnością siedziby rodowej mego pierwszego męża, toteż zaczynam mieć nieco cieplejsze myśli w związku z czekającymi mnie zaręczynami, gdyż



jest nadzieja, że zamieszkać w czystym domu, w którym słudzy chodzą odziani jak należy.

Gospodarz częstuje mnie kielichem piwa grzanego z korzeniami i miodem, abym odtajała po męczącej podróży. Właśnie kiedy popijam je małymi łyżkami, do komnaty wchodzi Jasper z jakimś starszym mężczyzną z siwizną na skroniach i bruzdami na twarzy — przypuszczam, że ma co najmniej czterdzieści lat. Spoglądam na dziewierza, czekając, aż przedstawi nowo przybyłego, ale już z jego poważnej miny się domyślam, kto to. Wstrząśnięta uprzytamniam sobie, że ten nieomal starzec to Henryk Stafford, mój przyszły mąż. Nie rówieśnik jak Jan de la Pole, mój pierwszy narzeczony. Nie młodzieniec jak Edmund Tudor, mój pierwszy mąż, który Bogiem a prawdą i tak był dla mnie za stary i za surowy. Nie. Tym razem wybrano dla mnie kandydata w wieku mego ojca, w wieku mego dziada, w wieku mego antenata. Ma czterdzieści, pięćdziesiąt, może nawet sześćdziesiąt lat. Dociera do mnie, że bezwstydy się nań gapię i zapominam o dobrych manierach, aż macierz przypomina mnie: — Małgorzato! — na co ja mamrocę przeprosiny i skłaniam głowę w geście pokory przed kolejnym mężczyzną, który niewątpliwie będzie mnie zmuszał, bym z nim żyła, kiedy zapragnie, i przelawszy we mnie swoje nasienie, spłodzi ze mną jeszcze jednego dziedzica Lancasterów — czy tego chcę, czy nie.

Dostrzegam, że Jasper patrzy ponuro na czubki swoich butów, ale zaraz podnosi głowę i wita się z macierzą w zwykły dla siebie uprzejmy sposób oraz kłania nisko księciu.

— Jak widzę, udało ci się zapewnić mojej córce bezpieczeństwo w tych trudnych czasach — zwraca się do niego macierz.

— Zapewnię bezpieczeństwo całemu księstwu, jeśli tylko zdołam — odpowiada Jasper. — Zda się, że nareszcie odzyskujemy grunt pod nogami. Odbiłem zamki, które przejęli z naszych rąk yorkiści, a Wilhelm Herbert jest w odwrocie. Jeśli przyczai się gdzieś w Walii, wykurzę go z kryjówki i dopadnę. My, Tudorowie, jesteśmy tutaj powszechnie uwielbiani; prędzej czy później ktoś go zdradzi i wyda.

— A potem? — pyta księżę Buckingham. — Co będzie potem?

Jasper wzrusza ramionami. Wie, że pytanie nie dotyczy dalszych losów Herberta ani nawet Walii. Dotyczy tego, co ostatnimi czasy chciałby wiedzieć każdy Anglik. Co będzie potem? Jak będzie wyglądać nasze życie, skoro poddani darzą taką niechęcią dwór królewski, że nie śmie przebywać w Londynie? Jak będzie wyglądać nasze życie pod panowaniem króla, który raz po raz bez ostrzeżenia osuwa się w religijny trans, pozostawiając na tronie znieawidzoną przez wszystkich Andegawenkę? Jak będzie wyglądać nasze życie, skoro jedynym następcą tronu jest mały i słabowity chłopiec? Jak będzie wyglądać nasze życie, jeśli władzę w królestwie przejmą wrodzy Yorkowie?

— Próbowałem przemówić do rozsądku Ryszardowi Yorkowi i jego doradcy hrabiemu Warwick — odpowiada mój dziewcz. — Wszem wobec wiadomo, iż usilnie starałem się ich namówić do współpracy z najjaśniejszą panią. Rozmawiałem też z samą królową i wiem, że obawia się ich obu i jest przekonana, iż zwrócą się przeciwko niej i jej synowi podczas najbliższej słabości miłościwego pana. Oni się zaś obawiają, że królowa ich zniszczy, wpływając na króla w najbliższej chwili jego przytomności. Trudno tu o jakieś rozwiązanie.

— A gdyby ich odesłać z królestwa? — podsuwa Buckingham. — Jednego do Calais, a drugiego... powiedzmy Yorka... do Dublina?

Jasper wzdycha.

— Nie spałbym dobrze, mając świadomość, że czają się tuż za morzem z własnymi armiami — kontruje. — Obsadziwszy Calais, zdobyliby panowanie na Kanale, żaden południowy port Anglii nie byłby wtedy bezpieczny. Siedzący w Dublinie Ryszard York mógłby ruszyć na nas od północy. Zwłaszcza że Irlandczycy już okrzyknęli Yorka królem.

— Być może najjaśniejszy pan pozostanie w pełni zmysłów — wyraża nadzieję macierz.

Kiedy odpowiada jej przeciągająca się cisza, dociera do mnie, jak poważny musi być stan zdrowia jego królewskiej mości. Wreszcie księżę bąka pod nosem:

— Być może.

Nikt nie zawraca sobie głowy konkurami. Nikt nie pomyśli nawet, by dać nam możliwość poznania się. Bo i po co? Kontrakt małżeński to sprawa dla prawników i skarbników obu rodów. Nie miałyby znaczenia, gdybym nienawidziła Henryka Stafforda od pierwszego wejrzenia. Z całą pewnością nie ma żadnego znaczenia fakt, że nie chcę powtórnie wychodzić za męża, że obawiam się następnego połogu, że właściwie boję się znów zostać czyjąś żoną. Nikt też nie pyta, czy utraciłam przejawiane w dzieciństwie powołanie do stanu duchownego, czy nadal pragnę być zakonnica. Nikt nie przejmuję się moim zdaniem, za to wszyscy traktują mnie jak każdą inną zwyczajną niewiastę, wychowaną do małżeństwa i rodzenia dzieci. Jako że nikt nie zasięga mojej opinii ani nawet się nie zastanawia nad moimi uczuciami, sprawy się toczą ustalonym torem.

Kontrakt małżeński zostaje spisany i podpisany. W kaplicy na oczach świadków i w obecności księdza Henryk i ja przyrzekamy sobie ślub w styczniu przyszłego roku, tak żebym mogła odbyć roczną żałobę po stracie pierwszego męża, który dał mi tak mało radości i tak szybko mnie opuścił. Będę wtedy mieć prawie piętnaście lat, a on niecałe czterdzieści, choć dla mnie i tak będzie starcem: trzydziestotrzyletnim starcem.

Po zaręczynach wracamy do domu, gdzie macierz i ja od razu kierujemy się do świetlicy, by spędzić czas w ciepłym kominku. Nasze damy do towarzystwa rozsiadają się dokoła, przysłuchując muzykantom. Przysuwam się z zydłem bliżej macierzy, byśmy nareszcie mogły pomówić prywatnie.

— Pamiętasz, co powiedziałaś, zanim wyszłam za Edmunda Tudora? — pytam ją.

Potrząsa głową i odwraca wzrok, jakby wołała uniknąć tej rozmowy. Z pewnością nie chce usłyszeć wymówek za to, iż twierdziła, że nie mam się czego bać, iż pozwoliła mojej opiekunce i akuszerkom spisać mnie na straty.

— Nie, nie pamiętam — odpowiada niechętnie. — To było lata temu.

— Powiedziałaś wtedy, że papa wybrał drogę tchórza i że mnie nie wolno tego zrobić.

Krzywi się na wspomnienie człowieka, który tak dawno temu został pogrzebany milczeniem.

- Naprawdę tak powiedziałam?
- Naprawdę.
- Nie pamiętam, o co mi chodziło.
- Co uczynił mój ojciec?

Ponownie się odwraca i z nieszczerym uśmiechem powiada:

— Jakoś trudno uwierzyć, że przez te wszystkie lata czekałaś, by mnie zapytać o jakiś drobiazg, który rzuciłam w progu kościoła.

— A jednak.

— Och, Małgorzato, jesteś taka... — urywa, a ja chcę, żeby do-kończyła; chcę się dowiedzieć, co sprawia, że kręci głową w ten sposób i marszczy brwi. — Jesteś taka poważna.

— Jestem — potakuję — to prawda. Jestem bardzo poważna, pani matko. Można by pomyśleć, że powinnaś znać swoją córkę na tyle, by to wiedzieć. Od dzieciństwa byłam poważna i sumienna. Ty zaś wtedy w kościele powiedziałaś coś o moim ojcu, co jak mi się wydaje, mam prawo zrozumieć. Podchodzę do tego niezmiernie poważnie.

Macierz wstaje z krzesła i idzie do okna, jak gdyby zamierzała podziwiać mroczniejący wieczór. Wzrusza ramionami na dziwactwo swej córki, swej jedynej córki po Beauforcie. Jej najbliższa dworka podnosi wzrok, na wypadek gdyby była potrzebna, a mnie nie umyka wymiana ich spojrzeń. Patrzą na siebie tak, jakbym była trudnym dzieckiem, co sprawia, że rumienię się z zażenowania.

— Och, na miłość boską... — wzdycha macierz. — To dawne dzieje. Ile ty masz właściwie lat? Skończyłaś trzynaście? No więc to było tuzin lat temu.

— W takim razie możesz mi chyba powiedzieć. Nie jestem już dzieckiem. Zresztą jeśli ty mi nie powiesz, zrobi to ktoś inny. Chcesz, żebym wypytywała służących?

Rumieniec, którym się oblewa, mówi mi, że macierz nie życzy sobie rozmów na ten temat ze służącymi, że zapewne już dawno im przykazała, by nie wazyli się o tym wspomnieć przy mnie choćby słowem. Dwanaście lat temu wydarzyło się coś, o czym usilnie

pragnie zapomnieć i przed czym z całej mocy pragnie mnie chronić. Z pewnością było to coś haniebnego.

— Jak umarł papa? — zadaję pytanie.

— Zginął z własnej ręki — pada rzeczowa i cicha odpowiedź. — Skoro już musisz to wiedzieć. Skoro nalegasz, by poznać jego hańbę. Porzucił ciebie i porzucił mnie, i odebrał sobie życie. Byłam wtedy brzemienna, ale straciłam noszone pod sercem dziecko ze smutku i żalu; straciłam dziecko, które mogłoby być dziedzicem Lancasterów. Twój ojciec o tym nie pomyślał. Nie pomyślał też, że lada dzień wypadają twoje pierwsze urodziny, nie było to dlań na tyle ważne, by zaczekać, wprowadzić cię w drugi rok życia. Właśnie dlatego od zawsze ci powtarzam, że powinnaś związać swoją przyszłość z synem. Mężowie przychodzą i odchodzą... jak widać, niektórzy odchodzą nawet z własnej woli. Mężczyzna może pójść na wojnę i zginąć, zapaść na zdrowiu albo odebrać sobie życie, jeśli jednak niewiasta ma syna, rodzonego syna, jest zabezpieczona. Chłopiec to opiekun, to nadzieja. Gdybyś była chłopcem, przelałabym w ciebie swoje życie. Byłabyś moim przeznaczeniem.

— Ale że byłam dziewczynką — wpadam jej w słowo — nie kochałaś mnie, a papa nawet nie chciał uczcić moich urodzin?

Obdarza mnie uczciwym spojrzeniem i powtarza bez skrępowania:

— Skoro byłaś dziewczynką, nie. Jako dziewczynka mogłaś być co najwyżej mostem do następnego pokolenia, sposobem pozyskania dla rodziny prawdziwego dziedzica.

Zapada cisza, kiedy usiłuję się pogodzić z matczynym przekonaniem o mojej nieważności.

— Pojmuję. Już pojmuję. Miałam wiele szczęścia, że zaczął mnie cenić Pan Bóg, skoro ani ty, ani ojciec nigdyście mnie nie cenili.

Macierz kiwa głową, jakby to było bez znaczenia. Nie rozumie mnie. Nadal mnie nie rozumie. I nigdy nie zrozumie. Nie zrozumie nawet tego, że jestem warta wysiłku włożonego w zrozumienie mnie. Dla niej jestem tylko — jak to szczerze przedstawiła — mostem do następnego pokolenia.

— Zatem czemu papa się zabił? — postanawiam powrócić do sedna. — Czemu porwał się na swoje życie? Czemu skazał swoją

nieśmiertelną duszę na męki piekielne? Trzeba było naopowiadać masę kłamstw, by pochować go w święconej ziemi... — przerywam i zaraz się poprawiam: — Ty, pani matko, musiałaś naopowiadać masę kłamstw.

Macierz wraca na krzesło ustawione naprzeciwko kominka.

— Zrobiłam wszystko, by ratować dobre imię rodziny — odpowiada, zniżając głos. — Postąpiłam jak każdy człowiek wywodzący się ze znacznego rodu. Twój ojciec wrócił z Francji z opowieściami o tryumfach, ale ludzie wkrótce zaczęli gadać. Mówili, że nie dokonał niczego wielkiego. Że w istocie zabrał wojska i pieniądze, których jego dowódca Ryszard York... drugi wielki bohater... potrzebował do utrzymania Francji przy Koronie, tyle że podczas gdy Ryszard czynił postępy, twój ojciec popełniał lapsus za lapsusem. Obieżył jakiś gród, okazało się jednak, że ów był w rękach księcia Bretanii, nie Francuzów. Przez jego głupotę nieomal straciliśmy poparcie Bretończyków. Coś takiego drogo by nas kosztowało, ale on oczywiście o tym nie myślał. Nałożył podatki na zajętych ziemiach we Francji, lecz po pierwsze było to wbrew prawu, a po drugie zatrzymał dla siebie wszystkie przychody. Twierdził, że opracował plan wielkiej kampanii, a w rzeczywistości prowadzał swoje oddziały w kółko, po czym ściągał je z powrotem do punktu wyjścia: bez zwycięstwa i bez łupów wojennych, co sprawiało, że żołnierze się przeciwko niemu buntowali i nie chcieli pod nim służyć, nazywając go „malowanym panem”. Był w wielkich łaskach u naszego króla, jednakże nawet król nie mógł udawać, że odniósł we Francji sukcesy... — Macierz przerywa tylko dla zaczerpnięcia tchu, po czym kontynuuje: — W Londynie miał się odbyć specjalny proces, w czasie którego dokładnie by się przyjrzano jego sprawkom. Uniknął tej hańby, odbierając sobie życie. Niewykluczone, że czekała go ekskomunika. Z pewnością przyszliby po niego i oskarżyli go o zdradę, tak że koniec końców dałby głowę, tyle że pod katowskim toporem, ty zaś utraciłabyś swój posąg, a my wszyscy bylibyśmy napiętnowani i zrujnowani. Oszczędził nam tego, dobrowolnie oddając się w ręce śmierci.

— Ekskomunika? — To jedno słowo wywarło na mnie większe wrażenie niż cała reszta okropieństw.

— Powstawały o nim ballady — dodaje macierz z goryczą. — Prości ludzie śmiali się z jego głupoty i naszej niesławy. Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić wiążącego się z tym wstydu. Chroniłam cię przed nim, jednak przed ojcem i wstydem, i jaka nagroda mnie za to spotyka? Jesteś tak naiwna, że nie wiesz, iż twój ojciec swego czasu stał się koronnym przykładem zmienności fortuny, ironii losu. Nie mógłby się urodzić w lepszej rodzinie i z lepszymi perspektywami, ale towarzyszył mu nieustanny pech. W swojej pierwszej potyczce we Francji, w której brał udział jako młodzik, został wzięty w niewolę, gdzie spędził następne siedemnaście lat życia. To go złamało. Uważał, że nikt nie dbał o niego wystarczająco, aby wystąpić z propozycją okupu. Być może właśnie tej lekcji powinnam była ci udzielić, zamiast ulegać twym zachciankom i sprawiać ci nowe księgi i nauczycieli. Powinnam była cię nauczyć bronić się przed pechem, nie pozwolić pechowi deptać ci po piętach.

— Czy wszyscy o tym wiedzą? — pytam. Przeraza mnie myśl o hańbie, którą niczego nieświadoma odziedziczyłam. — Jasper też? Czy Jasper wie, że jestem córką tchórza?

Macierz wzrusza ramionami.

— Ogłosiliśmy, że wyczerpała go długa niewola i ciągła wojaczka i że umarł w służbie króla. Ludzie jednak uwielbiają rozpuszczać plotki o lepiej urodzonych.

— Czy na naszej rodzinie zaciążył jego pech? Czy moim dziedzictwem jest pech po ojcu?

Odpowiada mi milczenie. Macierz wstaje i strzepuje dłońmi suknię, jakby chciała strząsnąć płatki sadzy albo pozbyć się resztek pecha.

— Czy wszyscy jesteście członkami pechowej rodziny, pani matko? — dopytuję.

— Cóż, ja nie — rzecze obronnym tonem. — Ja się urodziłam Beauchampówną, przed twoim ojcem miałam jednego męża, a po tym jak odebrał sobie życie, wyszłam za mąż ponownie, gubiąc jego nazwisko. Odtąd nazywam się Welles. Na tobie jednak może ciążyć jego pech. Może ciążyć na wszystkich Beaufortach. — Głos jej obojętnieje. — Niewykluczone, że odwrócisz koło fortuny. W końcu

udało ci się urodzić chłopca. Powołałaś na świat dziedzica Lancasterów, który jest twoją rękomią.

Wieczерę podają bardzo późno; księżę Buckingham trzyma się dworskiego rozkładu dnia i nie kłopotuje kosztem świec. Na szczęście mięsa są lepiej przyrządzone niż na zamku w Pembroke i jest do wyboru więcej przystawek i słodkości. Zauważam, że przy stole księcia maniere Jaspera nie pozostawiają wiele do życzenia, i myślę sobie, że wie dzie życie żołnierza, rezydując w przygranicznej twierdzy na rubieżach królestwa, ale umie się zachowywać jak dworzanin, gdy wymaga tego okazja. Spozstrzega, że go obserwuję, i mruga do mnie, jakbyśmy dzielili sekret o naszym prawdziwym życiu, gdy nie trzeba się obnosić z dworskimi manierami.

Spożywamy wieczерę bez pośpiechu, a potem jeszcze czekają nas rozrywki: występy paru błaznów, żonglera i śpiewaczki. W pewnym momencie macierz kiwa na mnie, posyłając na spoczynek, jakbym była wciąż dzieckiem, a mnie nie pozostaje nic innego, jak posłusznie przed nią dygnąć, odebrać jej błogosławieństwo i na oczach wszystkich opuścić wielką salę. Wychodząc, rzucam spojrzenie na mojego przyszłego męża. Mrużąc powieki z ukontentowania, gapi się na śpiewaczkę; głupawy uśmieszek błądzi na jego ustach. Na ten widok przyśpieszam kroku. Mam serdecznie dosyć mężczyzn, wszystkich mężczyzn, mam ich dosyć bardziej, niż byłabym skłonna przyznać przed samą sobą.

Nazajutrz oporządzone konie stoją już na dziedzińcu — czeka mnie droga powrotna do Pembroke, gdzie przepędzę najbliższy rok, zanim żałoba dobiegnie końca i będę mogła wyjść za mąż po wtórnie. Macierz przychodzi się ze mną pożegnać i w milczeniu przygląda się, jak sługa pomaga mi usadowić się w siodle, tym razem za koniuszym Jaspera. Mój dziewierz tak jak poprzednio ruszył na czele kawalkady w otoczeniu zbrojnych. Uzbrojeni pachółkowie formują szyk za mną.

— Zostawisz swego syna pod opieką Jaspera Tudora, kiedy poślubisz sir Henryka — rzuca w przelocie macierz, jakby ta myśl pojawiła się w jej głowie dopiero teraz, gdy odjeżdżam.



— Właśnie że nie. Zabiorę go ze sobą. Oczywiście, że zabiorę go ze sobą! — protestuję żywo. — Mój syn musi się przenieść tutaj ze mną. Przecież to moje dziecko. Gdzie ma być, jak nie przy matce?

— Nie — rozstrzyga macierz głosem nieznoszącym sprzeciwu. — Wszystko już ustaliliśmy. Mały Henryk zostanie z Jasperem, który będzie się o niego troszczył i zapewnił mu bezpieczeństwo.

— Ale to mój syn! — wyję.

Macierz uśmiecha się do mnie.

— Ty sama ledwie odrosłaś od ziemi. Nie możesz się opiekować naszym dziedzicem, nie jesteś w stanie go ochronić, gdy zajdzie taka potrzeba. Nadeszły niebezpieczne czasy, Małgorzato. Chyba to rozumiesz. Twój syn jest niezwykle cenny. Będzie mniej zagrożony, znajdując się z dala od Londynu przynajmniej dopóty, dopóki Yorkowie są przy władzy. Pembroke to wymarzone miejsce, lepsze niż jakiegokolwiek inne w całym królestwie. Walia przepada za Tudorami. A Jasper zadba o niego jak o własnego syna.

— Ale on jest mój! Nie Jaspera!

Macierz zbliża się i kładzie mi dłoń na nodze.

— Ty, Małgorzato, nie masz nic. Sama zaś jesteś własnością męża. Raz jeszcze znalazłam ci dobrą partię, człowieka, który w swoim czasie mógłby sięgnąć po koronę, krewniaka Neville'ów, syna najznacześniejszego księcia w Anglii. Okaż wdzięczność, córko. Twój syn znajdzie się pod dobrą opieką, ty zaś doczekasz się wielu innych dzieci, tym razem Stafforda.

— Omal nie umarłam w połogu! — wybucham, nie zważając na mężczyznę w siodle, który garbi ramiona i udaje, że nie słyszy tej rozmowy.

— Wiem — wzrusza ramionami macierz. — Taka jest cena bycia niewiastą. Twój mąż spełnił swój obowiązek i umarł. Ty spełniłaś swój i przeżyłaś. Tobie się udało, jemu nie. Miejmy nadzieję, że szczęście cię nie opuści.

— A jeśli jednak szczęście mnie opuści? Jeśli jednak dopadnie mnie pech Beaufortów i akuszerka postępując zgodnie z twoim poleceniem, pozwoli mi umrzeć? Jeśli babki położne uczynią, co

każesz, i wyciągną twojego następnego wnuka z łona twojej martwej córki?

Nawet nie mruga na to powieką.

— Dziecko zawsze ma pierwszeństwo przed matką. Tak naucza Kościół, wiesz dobrze. Moja rola sprowadziła się do przypomnienia o tym niewiastom, które się tobą zajmowały. Nie powinnaś wszystkiego brać do siebie, Małgorzato. Masz w zwyczaju wyolbrzymiać nieszczęścia, które cię spotykają. Zupełnie jakbyś występowała w jakiejś tragedii.

— To j e s t tragedia, kiedy każesz akuszerkom mnie zabić!

Odstępuje ze wzruszeniem ramion.

— Taki już los niewiasty. Mężczyźni umierają na polu walki, niewiasty w połogu. Zbrojne potyczki niosą więcej niebezpieczeństw, więc my mamy większe szanse.

— Ale co będzie, jeśli szanse okażą się niewystarczające, jeśli szczęście się ode mnie odwróci, jeśli spotka mnie pech? Co będzie, jeśli umrę?

— Pozostawisz po sobie syna, dziedzica Domu Lancasterów.

— Pani matko — odzywam się głosem drżącym od wstrzymywanego płaczu — klnę się na Boga... życie niewiasty musi być więcej warte niż jeden czy drugi mąż i nadzieja na przetrwanie połogu.

Na moje słowa potrząsa głową, jakbym była małą dziewczynką krzyczącą nad połamaną zabawką.

— Ależ naprawdę, moja droga, nie jest warte więcej. Dlatego wypełniaj swoje obowiązki, nie burząc się w duchu. Do zobaczenia w stycznii na twoim ślubie.

Wracam na zamek w Pembroke nadąsana i nawet znaki rodzącej się wiosny widoczne wzdłuż zieleniących się traktów nie poprawiają mi humoru. Odwracam głowę od widoku żonkili płonących srebrem i złotem na okolicznych łąkach i jestem głucha na nieprzerwane radosne ptasie trele. Czajka unosząca się nad świeżo zaoranym polem, bijąca gwałtownie skrzydłami, odwracająca się w locie na plecy i wydająca przy tym przenikliwe krzyki znaczy dla mnie tyle co nic, albowiem wszystko znaczy dla mnie tyle co nic. Nawet bekas kszyk, kołujący spiralnie i opadający z wysoka z dźwiękiem podobnym do

koziego beczenia albo odgłosów werbli, także do mnie nie przemawia. Moje życie nie zostanie poświęcone Panu Bogu i w żaden sposób nie będzie wyjątkowe. Będę się podpisywała: lady Małgorzata Stafford, nie mając tytułu księżnej. Będę wiodła żywot płochacza przycupniętego na gałązce do czasu, aż spadnie nań z nieba krogulec. Kiedy umrę, moja śmierć przejdzie niezauważona; nikt nie urośni po mnie łyż. Rodzona matka powiedziała mi, że moje życie jest nic niewarte i najlepsze na co mogę liczyć, to przeżycie kolejnego połogu.

Jasper daje koniowi ostrogę, dostrzegłszy wysokie wieże zamku w Pembroke, dzięki czemu może mnie przywitać we wrotach z moim dzieckiem na ręku i zachwytem na twarzy.

— Umie się uśmiechać! — woła, zanim kawalkada stanie. — Umie się uśmiechać! Widziałem na własne oczy! Nachyliłem się nad kołyską, żeby go wziąć na ręce, a on na mój widok się uśmiechnął. Jestem pewien, że to był uśmiech. Nie sądziłem, że przyjdzie mu to tak łatwo. Ale bez wątplenia uśmiechnął się do mnie. Do ciebie też może się uśmiechnie...

Oboje czekamy, niecierpliwie wpatrując się w ciemnobłękitne oczęta niemowlęcia. Nadal jest ciasno zapakowane jakby w całun trumienny, nie może obrócić główki i tylko strzela oczkami na wszystkie strony. Zostało niemal całkowicie unieruchomione.

— Może później — dodaje Jasper pocieszająco. — O, a jednak! Uśmiechnął się? Nie, chyba nie...

— To bez znaczenia, skoro i tak za rok mam go zostawić i wyjechać stąd, żeby poślubić sir Henryka Stafforda. Skoro odtąd mam rodzić synów Staffordowi, nawet jeśli przypłacę to życiem. Być może mój syn wie, że nie ma powodów do uśmiechu, być może już wie, że będzie sierotą.

Jasper ze mną u boku kieruje się w stronę wejścia do zamku. Nie przekazuje mi dziecka, tylko wciąż trzyma je pewnie w ramionach.

— Z pewnością będziesz mogła nas odwiedzać.

— Ale to ty będziesz jego opiekunem. Sądzę, że wiedziałeś o tym wcześniej ode mnie. Sądzę, żeście to razem zaplanowali. Ty, macierz, mój przyszły świekier i przyszły mąż...

Obrzuca spojrzeniem mą zapłakaną twarz.

— Twój syn jest Tudorem — zaczyna ostrożnie. — Dzieckiem mego brata. Jedynym dziedzicem rodu. Nie mogłabyś marzyć o lepszym opiece dla niego niż ja.

— Nawet nie jesteś ojcem tego dziecka — rzekę poirytowana.  
— Czemu ma zostać przy tobie, a nie przy mnie?

— Siostrzo, sama jesteś prawie dzieckiem, a czasy nastały niepokojne.

Naskakuję na niego.

— Jestem dość dorosła, by iść za mąż raz po raz! Jestem dość dorosła, by mężczyzna brał mnie, kiedy mu przyjdzie ochota, bez czułości i zastanowienia! Jestem dość dorosła, by stanąć oko w oko ze śmiercią w komnacie niewieściej i usłyszeć, jak macierz... jak moja rodzona matka poleciła, aby ratować niemowlę, nie mnie! Myślę więc, że nie jestem już dzieckiem. Urodziłam syna, wysłałam za mąż, pochowałam męża i ponownie się zaręczyłam. Czuję się jak paczka, jak kawałek materii, którą każdy przykrawa wedle własnego widzimisię. Od macierzy się dowiedziałam, że mój ojciec odebrał sobie życie i ściągnął na rodzinę pecha. Myślę więc, że jestem już dorosła! Traktujecie mnie jak dojrzałą niewiastę, kiedy wam to pasuje, zatem nie próbujcie wypchać mnie na powrót do komnaty dziecięcej i nakazywać, bym siedziała cicho!

Jasper kiwa głową, jakby naprawdę mnie słuchał. W końcu się odzywa:

— Możesz się skarżyć, ale taki jest ten świat, lady Małgorzato. Nikt nie będzie robił dla ciebie wyjątków.

— A powinien! — wykrzykuję z desperacją. — Od dzieciennych lat powtarzam, że dla mnie powinien być uczyniony wyjątek. Przemawia do mnie Przenajświętsza Panienska, ukazuje mi się Joanna d'Arc. Zostałam zesłana na ziemię, by jaśnieć świętym blaskiem, by sprowadzić na ludzi oświecenie. Nie możecie wydać mnie znów za mąż i odesłać Bóg wie gdzie. Powinnam mieć własny klasztor i być w nim przeoryszą. Ty powinieneś mi to zapewnić, bracie. Ty, który władasz Walią. Spraw mi klasztor, a ja założę zakon...

Przyciska dziecko do piersi i odwraca się ode mnie lekko. W pierwszej chwili sędzę, że poruszył go mój słuszny gniew, lecz

naraz widzę, że jest cały czerwony na twarzy, a ramiona mu się trzęsą ze śmiechu.

— O Jezu... — sapie. — Wybacz, Małgorzato, ale... O dobry Jezu... Małgorzato, dziecko z ciebie, prawdziwe dziecko. Nie martw się jednak, zajmę się wami obojgiem: Henrykiem i tobą.

— Nikt nie będzie się mną zajmował! — krzyczę. — Wszyscy się co do mnie mylicie. Popełniasz błąd, natrzęsając się ze mnie. Jestem wybranką Pana Boga i nie zamierzam za nikogo wychodzić za męż. Będę przeoryszą i już.

Jasper uspokaja oddech, choć oczy wciąż mu się śmieją.

— Przeoryszą. Ależ oczywiście. Czy zechcesz zjeść z nami wieczerzę, wielbna matko?

Ganię go spojrzeniem.

— Zjem w swoich komnatach — odparowuję rozzłoszczona — nie z wami. Być może już nigdy nie będę z wami jadła. Możesz jednak przekazać księdzu Wilhelmowi, żeby do mnie zaszedł. Muszę wypowiadać się z grzechu wystąpienia przeciwko tym, którzy wystąpili przeciwko mnie.

— Przyślę go do ciebie — obiecuje Jasper. — Przyślę ci też najlepsze potrawy. A jutro nauczę cię jeździć konno. Dama twojej rangi powinna mieć własnego rumaka i powinna umieć jeździć wierzchem. Do Anglii udasz się na grzbiecie swojego urodziwego konia.

Waham się.

— Nie wolno mi ulegać próżności — ostrzegam go. — Mam być przeoryszą i nic mnie od tego planu nie odwiedzie. Przekonasz się. Wszyscy się przekonacie. Zaprzestaniecie traktowania mnie jak rzeczy na wymianę czy sprzedaż. Sama pokieruję swym życiem.

— Oczywiście — zgadza się ze mną Jasper. — To bardzo niedobrze, że masz o nas takie zdanie, bo widzisz, ja przynajmniej kocham cię i szanuję, tak jak ci przysięgałem. Jutro wynajdę dla ciebie szlachetnego wierzchowca, na którego grzbiecie będziesz się godnie prezentować, tak że wszyscy będą cię podziwiali, a ty rzecz jasna ze skromności nie będziesz na to zwracać uwagi.

Śpię i śnię o bielonych ścianach klasztoru z ogromną biblioteką, gdzie iluminowane manuskrypty są przytwierdzone łańcuszkami do

pulpitów i dokąd co dzień chadzam oddawać się studiom. Śnię 0 nauczycielu, który wprowadza mnie w arkana greki i łaciny, 1 nawet hebrajskiego, śnię, że czytam Pismo Święte w języku najbliższym aniołom i rozszerzam swą wiedzę o naturze wszechrzeczy. W tym śnie mój głód wiadomości i pragnienie wyjątkowości ulegają przytłumieniu, wyciszeniu. Gdyby tylko było mi dane zostać uczoną, zyskałabym spokój ducha. Gdybym każdego dnia budziła się o tej samej porze, pilnując godzin brewiarzowych, i dnie przepędzała na studiowaniu ksiąg, chyba bym miała poczucie spełnienia planu Bożego i własnego. Nie musiałabym się martwić, czy ludzie uważają mnie za osobę wyjątkową, gdyż byłabym wyjątkowa. Nie miałoby dla mnie znaczenia, czy inni dostrzegają moją religijność, ponieważ wiodłabym życie świętej niewiasty. Chcę być taka, jaka jestem. Zachowuję się nadzwyczaj pobożnie, udaję Bożą wybrankę — jednakże tym właśnie pragnę być naprawdę.

Po przebudzeniu odziewam się i modłę, lecz zanim się udam na śniadanie, zachodzę do komnaty dziecięcej zobaczyć syna. Leży w kołysce, ale już nie śpi. Kwili cichutko niczym kaczątko kwaczące do siebie na spokojnym stawie. Nachylam się nad kołyską i widzę, jak się uśmiecha. Jak się uśmiecha do mnie. Przygląda mi się z natężeniem w ciemnobłękitnych oczach, a jego pocieszny trójkątny bezzębny uśmiech sprawia, że nie wygląda już jak lalka; że zaczyna niesłychanie przypominać małego człowieka.

— No co tam, Henryku... — mówię, na co jego uśmiech staje się jeszcze szerszy, jak gdyby poznawał swoje imię, jak gdyby poznawał mnie, jak gdyby wiedział, że jestem jego matką, jak gdyby wierzył, że jesteśmy szczęściami i gramy o wysoką stawkę, jak gdyby naszą egzystencję przepełniała obietnica, że chodzi o coś więcej niż czyste przeżycie.

Uśmiecha się przez kilka kolejnych uderzeń serca, po czym coś odwraca jego uwagę. Przez twarzyczkę przemyka mu zaskoczenie i w okamgnieniu zaczyna się krztusić i zanosić płaczem. Natychmiast wyrasta obok nas piastunka, która porywa go na ręce i wynosi do mamki. Pozwalam jej na to bez słowa sprzeciwu, sama zaś schodzę do wielkiej sali, aby powiedzieć Jasperowi, że mój syn uśmiechnął się i do mnie.

Tak jak obiecał, Jasper czeka na mnie przy stajniach. Wielki karosz stoi obok niego ze zwieszonym potężnym łbem, chlastając na boki ogonem.

— To koń dla mnie? — pytam. Staram się powściągnąć niepokój, lecz wierzchowiec w istocie jest ogromny, a ja dotychczas dosiadałam tylko kucyków, które prowadził za uzdę koniuszy, albo w najlepszym razie podjezdaków, tkwiąc w siodle za gierkiem.

— Nazywa się Artur — potwierdza Jasper łagodnym tonem. — Wygląda groźnie, ale jest spokojny i dobrze ułożony, w sam raz dla ciebie. Niegdyś należał do mego ojca, brał razem z nim udział w turniejach, a teraz najlepsze lata ma już za sobą. To prawdziwy koń bojowy, nie ulęknie się niczego i zawiezie cię wszędzie tam, gdzie sobie zażyczysz.

W tym momencie koń podnosi łeb i spogląda wprost na mnie, a ja w spojrzeniu jego ciemnych dużych oczu dostrzegam wrodzoną łagodność i z miejsca nabieram doń zaufania. Postępuję parę kroków do przodu z wyciągniętą ręką. Potężny łeb znów się obniża, szerokie chrapy wypychają się w dłoń obleczoną rękawiczką, czuję, jak mięsiste wargi skubią mi palce.

— Będę tuż obok, kiedy Artur ruszy stępa — przyrzeka Jasper. — Podejdź bliżej, to podsadzę cię na siodło.

Podchodzę, a on pomaga mi się wspiąć na koński grzbiet i usiąść po męsku, okrakiem. Gdy już siedzę prosto, starannie poprawia mi spódnicę po obu stronach, zakrywając cholewki butów.

— I po wszystkim — chwali. — A teraz trzymaj nogi nieruchomo, lekko przyciśnięte do boków Artura. Tym sposobem on będzie wiedział, że cię niesie, a ty będziesz siedzieć pewnie. Ujmij wodze.

Wypełniam polecenie, Artur zaś — czując mój dotyk — podrywa łeb do góry.

— Chyba nie poniesie? — pytam nerwowo.

— Ruszy, dopiero gdy lekko kopniesz go piętą — instruuje Jasper — a zatrzyma się na każde ściągnięcie wodzy. — Zadarłszy ramiona, poprawia mój uchwyt na rzemieniach. — No, daj mu zrobić dwa kroki, abys się przekonała, że nad nim panujesz.

Ostrożnie uderzam oboma piętami w boki Artura i natychmiast truchleję ze strachu na pierwszy kołyszący się krok, odruchowo ściągając wodze. Artur posłusznie się zatrzymuje.

— Udało mi się! — krzyczę z zapartym tchem. — Zatrzymał się! Zatrzymał? Zrobił to dlatego, że mu kazałam?

Jasper uśmiecha się do mnie.

— Zrobi wszystko, co mu każesz. Musisz tylko dać mu wyraźny sygnał, żeby nie miał wątpliwości, czego odeń chcesz. Przez całe lata służył wiernie memu ojcu. Potem Edmund i ja nauczyliśmy się dzięki niemu walczyć w siodle, a teraz ty nauczysz się na nim jeździć wierzchem. Bóg da, Artur pożyje dość długo, by mały Henryk mógł brać na jego grzbiecie pierwsze lekcje jazdy konnej. No, wyprowadź go na dziedziniec przed zamkiem.

Tym razem pewniej daję Arturowi sygnał do ruszenia z miejsca i pozwalam mu iść stępa. Jego mocne łopatki poruszają się przy każdym kroku, na szczęście grzbiet jest dość długi i szeroki, bym siedziała bezpiecznie. Jasper idzie przy jego łbie, ale nie dotyka uzdy. To ja, ja sama sprawiam, że olbrzymi koń bojowy wychodzi przez bramę na dziedziniec przed zamkiem i wkracza na trakt wiodący do Pembroke.

Jasper idzie spacerkiem obok nas, jakby się wybrał na przechadzkę dla zaczerpnięcia świeżego powietrza. Nie patrzy ani na mnie, ani na Artura. Sprawia wrażenie kogoś, kto dla towarzystwa kroczy obok wyśmienitej amazonki. Gdyśmy już przebyli spory kawałek drogi, pyta:

— Zechcesz zawrócić i skierować się w stronę domu?

— Jak mam go zawrócić?

— Ciągniesz wodze z jednej strony, lekko odwracając jego łeb, i równocześnie uderzasz piętą w ten sam bok, aby wiedział, że ma iść dalej. Spróbuj.

Ledwie zaciskam palce prawej ręki na wodzach, a potężny łeb wygina się w tę samą stronę i Artur zawraca ku domowi. Wędrówka lekko pod górę nie nastęrcza mi żadnych problemów, podobnie jak przejechanie przez bramę i pod stajnie. Artur sam z siebie podchodzi do miejsca, w którym go dosiadałam, i czeka cierpliwie.



Jasper zsadza mnie z siodła, po czym gdy już stoję cała i zdrowa na ziemi, wciska mi skórkę chleba do ręki. Pokazuje, jak mam trzymać dłoń, żeby Artur mógł odnaleźć przysmak wargami. Po krótkiej chwili woła stajennego, by odprowadził konia do jęgo boksu.

— Masz ochotę powtórzyć to jutro? — proponuje. — Mógłbym zabrać swojego konia, dzięki czemu bylibyśmy w stanie pojechać kawałek dalej, może aż nad rzekę.

— Z miłą chęcią — odpowiadam. Nie umiem powstrzymać cisnącego mi się na usta pytania: — Czy teraz pójdziesz do komnaty dziecięcej?

Jasper potakuje skinieniem.

— Zazwyczaj się budzi o tej porze. Piastunka pozwala mi go uwolnić z powijkaków, a on kopie nóżkami ile wlezie. Podoba mu się to.

— Bardzo go lubisz, prawda?

Nieśmiało kiwa głową.

— Jest wszystkim, co mi zostało po Edmundzie — mówi. — Jest ostatnim z nas, Tudorów. Obecnie najcenniejszym nabytkiem na zamku, a w przyszłości kto wie? Może najcenniejszym nabytkiem w całej Walii albo i Anglii?

W komnacie dziecięcej przekonuję się, że Jasper jest mile widzianym i częstym gościem. Ma tam swoje krzesło, na którym siada, by patrzeć, jak niemowlę jest uwalniane z powijkaków. Nie kręci nosem na zapach brudnej pieluszki ani nie odwraca wzroku. Przeciwnie, podchodzi i nachyla się, żeby sprawdzić pupę dziecka, czy nie pojawiły się zaczerwienienia lub odparzenia, a słysząc, że piastunka, tak jak kazał, nasmarowała całe ciało dziecka tłuszczem z owczego runa, kiwa z zadowoleniem głową i uśmiecha się. Następnie, gdy malec jest już wymyty, niewiasty układają na kolanach Jaspera gruby pled i kładą na nim niemowlę, a on łaskocze je po gołych piętках i chucha na nagi brzuszek, na co Henryk kopie radośnie i macha rączkami, ciesząc się ze swobody.

Przyglądam się temu niczym ktoś obcy i czuję się piątym kołem u wozu. Chociaż to mój syn, nie radzę z nim sobie równie zręcznie. Klękam obok Jaspera i ostrożnie ujmuję dziecko za rączkę, by przyrzyć się paznokietkom i niepowtarzalnym fałdkom tłuszczu na dłoni.

— Jest taki piękny — mówię z rozmarzeniem. — Nie boisz się, że go upuścisz?

— Czemu miałbym go upuścić? — odpowiada Jasper. — Grozi mu co najwyżej to, że rozpuszczę go jak dziadowski bicz. Twoja opiekunka jest zdania, że dziecko powinno się chować samo, a nie zaznawać tyle uwagi każdego dnia.

— Moja opiekunka powiedziałaaby wszystko, byle móc dłużej siedzieć przy stole albo drzemać w krześle — rzekę z irytacją. — Odwiodła macierz od pomysłu zatrudnienia dla mnie nauczyciela łaciny, ponieważ to by oznaczało dla niej więcej obowiązków. Ani myślę pozwolić, aby uczyła mojego syna.

— Och, o tym nawet nie może być mowy — podchwytuje Jasper. — Sprowadzimy dla niego wybitnego uczonego. Z któregoś uniwersytetu, najpewniej z Cambridge. Kogoś, kto da mu solidne podstawy wiedzy z każdej dziedziny, o jakiej powinien mieć pojęcie. Zarówno z przedmiotów klasycznych, jak i nowoczesnych, nie wyłączając geografii, algebry i retoryki.

Pochyla się i z głośnym cmoknięciem składa pocałunek na odsłoniętym grubiutkim brzuszku Henryka. Malec gulgocze radośnie i jeszcze gwałtowniej macha wszystkimi kończynami.

— Nie ma wielkich szans na swoje dziedzictwo — przypominam Jasperowi wbrew własnej nadziei. — Niepotrzebne mu wykształcenie godne księcia. Na tronie zasiada król, który ma następcę, księcia Edwarda, a poza tym królowa jest wciąż młoda, może mieć więcej dzieci.

Jasper zakrywa twarz dziecka lnianą serwetą, po czym zdejmuje ją szybko. Henryk wydaje okrzyk zdziwienia i zachwytu. Jasper robi to samo ponownie i jeszcze raz, i jeszcze... Ci dwaj mogliby się bawić w tę samą grę przez cały dzień.

— Być może do końca życia pozostanie tylko królewskim kuzynem — obstaję przy swoim. — A wówczas twoja troska o niego i wykształcenie, które mu zapewnisz, na nic się nie zda. Tyle zachodu na nic.

Jasper przytula dziecko rozgrzane dzięki pledowi.

— O, nie — zaprzecza. — On jest wiele wart sam z siebie. To syn mego brata Edmunda, wnuk mego ojca Owena i mej matki

królowej Anglii, niech Bóg czuwa nad jej duszą. To twój syn, którego wydałaś, ryzykując życiem. Wreszcie to Tudor. Co do reszty, będzie jak Bóg da. Jeśli ktokolwiek w przyszłości zawezwie Henryka Tudora, przekona się, że przez wszystkie te lata trzymałem go pod korcem i przygotowywałem do roli władcy.

— Gdy tymczasem mnie nikt nigdy nie zawezwie. Będę co najwyżej czyjąś żoną, rzecz jasna pod warunkiem, że nie umrę w połogu.

Jasper podnosi na mnie poważny wzrok. Przygląda mi się, a ja mam wrażenie, że po raz pierwszy w moim życiu ktoś mnie zobaczył i zrozumiał.

— Ty, Małgorzata Beaufort, jesteś dziedziczką, której spuścizna pozwoli Henrykowi upomnieć się o tron — mówi mi. — Jesteś wybranką Boga. Takie przynajmniej żywisz przekonanie. Prawdę powiedziawszy, nigdy nie widziałem bardziej pobożnej niewiasty. Przypominasz raczej anioła niż człowieka.

Promienieję zupełnie jak zwykła niewiasta, która usłyszała komplement na temat swojej urody.

— Nie przypuszczałam, że zwróciłeś na to uwagę...

— Ano zwróciłem. Moim zdaniem masz prawdziwe powołanie. Wiem oczywiście, że nie możesz zostać przeoryszą. Mimo to widzę, że zostałam wybrana przez Boga.

— Tak, tak... ale Jasperze, co dobrego przyjdzie z mojej pobożności, jeśli nie będę mogła świecić przykładem? Jeśli znów wyjdę za mężczyznę, który o mnie nie dba, a potem szczepnę, wydając na świat następnę dziecko?

— Nastają trudne i niebezpieczne czasy — rzecze powoli mój dziewierz. — Nikt z nas nie wie, co powinien robić. Ja do niedawna uważałem, że moim zadaniem jest wspierać starszego brata i utrzymać Walię pod rządami króla Henryka. A teraz mój brat nie żyje, Walię szarpia ze wszech stron wrogowie, a kiedy udaję się na dwór, słyszę od królowej, że winienem posłuszeństwo jej, a nie najjaśniejszemu panu. Słyszę od niej, że jedyna droga dla Anglii jest taka, jaką ona wyznaczyła: sojusz z Francją, naszym odwiecznym przeciwnikiem.

— Zatem skąd wiesz, co robić? — pytam. — Czy Pan Bóg ci to mówi? — Nie wydaje mi się prawdopodobne, aby Pan Bóg przema-

wiał do Jaspera, którego skóra jest cała w piegach nawet teraz, w marcu.

Śmieje się na moje słowa.

— Nie. Bóg niczego mi nie mówi, więc po prostu staram się pozostać lojalny wobec swojego rodu, swojego władcy i swojego królestwa, w tej właśnie kolejności. Poza tym zawsze się szykuję na najgorsze i mam nadzieję na najlepsze.

Przysuwam się doń bliżej i ściszam głos.

— Sądysz, że Ryszard York może sięgnąć po koronę, jeśli król rychło nie wydobrzeje?

Jasper sprawia wrażenie przybitego.

— Sądzę, że to nieuniknione — odpowiada szeptem.

— Co więc mam robić, kiedy się znajdę z dala od ciebie, a na tronie zasiądzie uzurpator?

Mój dziewierz wpatruje się w trzymanego na kolanach chłopca.

— Powiedzmy, że król Henryk umrze, a po nim jego syn, książę Edward.

— Boże uchowaj.

— Amen. Powiedzmy jednak, że umrą jeden po drugim. Tego samego dnia to dziecko stanie się następcą tronu.

— Wiem o tym.

— Nie uważasz, że to może być twoje prawdziwe powołanie? Zachować go w zdrowiu, nauczyć królowania, przygotować do najzaszczytniejszej roli w Anglii, być świadkiem, jak namaszczają go na monarchę, jak przyjmując na swoją pierś krzyżmo, staje się kimś więcej niż człowiekiem, istotą nieomal równą aniołom?

— Śniłam o tym — przyznaję się ledwie słyszalnie. — Śniłam o tym tuż po jego poczęciu. Śniłam, że donosić go i wydać na świat jest moim powołaniem, tak jak powołaniem Joanny d'Arc było przywieść króla Francji do Reims. Nie zdradziłam tego nikomu poza Panem Bogiem...

— Powiedzmy, że twój sen nie kłamał — ciągnie Jasper swoje przypuszczenia; jego szept spowija nas dwoje niby zaklęcie. — Powiedzmy, że mój brat nie umarł na darmo, gdyż odchodząc, uczynił tego chłopca hrabią Richmond. Mały Henryk po mieczu jest Tudorem i przyrodnim bratankiem króla, a po kądzieli Beaufortem

i następcą tronu Anglii. Powiedzmy, że twoim przeznaczeniem jest przetrwać te ciężkie czasy i doprowadzić do koronacji swego syna. Nie widzisz, że tak jest? Nie czujesz, że tak jest?

— Sama nie wiem... — odpowiadam z wahaniem. — Miałam nadzieję, że zrobię w życiu coś więcej. Ze zostanę matką przełożoną...

— Nie ma ważniejszej matki na świecie niż matka króla — zapewnia mnie Jasper z uśmiechem. — A ty masz szansę być matką króla Anglii.

— Jak będą się do mnie zwracać?

— Proszę? — Jasper nie rozumie mojego pytania.

— Jak będą się do mnie zwracać, kiedy zostanę matką króla Anglii, ale nie królową?

Marszczy brew w zastanowieniu.

— Wasza miłość? Kiedy twój syn uczyni twego męża księciem, najpewniej zostaniesz księżną, a do księżnej mówi się „wasza miłość”.

— Mój mąż będzie księciem?

— Tylko w ten sposób ty możesz być księżną. Niewiasty nie noszą samoistnych tytułów, nie wedle mojej wiedzy.

Potrząsam głową.

— Dlaczego mój mąż miałby zostać wyniesiony do rangi księcia, skoro to ja wszystko za niego zrobię?

Jasper dławi się od śmiechu.

— A jaką rangę ty byś chciała mieć?

Rozważam to w duchu przez długą chwilę.

— Ludzie mogliby o mnie mówić: Królowa Matka — postanawiam. — Tak, będą o mnie mówić: Królowa Matka, a ja będę się podpisywać: Małgorzata R...

— Królowa Matka? Małgorzata Regina? Zamierzasz się nazywać królową?

— Dlaczego nie? — wybucham. — Przecież będę matką króla. To tak, jakbym sama była królową.

Jasper skłania przesadnie głowę.

— Skoro tak, będziesz królową matką i wszyscy będą musieli robić to, co im każesz.

## LATO 1457 ROKU



Nie wracamy do tematu mojej przyszłości ani przyszłości Anglii. Jaspera pochłaniają inne sprawy. Oddała się z zamku na całe tygodnie. W początkach lata wjeżdża przez bramę z przetrzebionym oddziałem i posiniaczoną twarzą, ale szerokim uśmiechem na wargach. Udało mu się pojmać Wilhelma Herberta i zaprowadzić pokój w Walii, przywrócić panowanie Tudorów. Walia raz jeszcze znalazła się w rękach Domu Lancasterów.

Mój dziewierz odsyła jeńca do stolicy, gdzie jak słyszymy, Wilhelm Herbert zostaje oskarżony o zdradę i wtrącony do Tower. Wzdrygam się na myśl o tym, że mój dawny opiekun, Wilhelm de la Pole, znalazł się tam mniej więcej wtedy, kiedy odbyły się me zaręczyny z jego synem Janem, którego później — wciąż jako mała dziewczynka — musiałam się wyprzeć.

— To już bez znaczenia — kwituje Jasper, mówiąc niewyraźnie, gdyż usta mu się nie zamykają od ziewania. — Wybacz, siostrze, bardzo zmęczony. Chyba prześpię cały następny dzień. Herbert nie posmakuje katowskiego topora, jak na to zasługuje. Andegawenka ostrzegła mnie, że król okaże mu łaskę i wypuści go z lochu, pozwalając, by dalej nas atakował. Zapamiętaj moje słowa, Małgorzato. Ten król jest mistrzem wybaczenia. Potrafi przebaczyć człowiekowi, który wymierzył weń ostrze miecza. Potrafi przebaczyć człowiekowi, który podburza przeciwko niemu Anglię. Tak więc Wilhelm Herbert ujdzie z życiem i w swoim czasie powróci do Walii, i znów będę musiał bić się z nim o tę garść zamków. Yórkowie także sko-

rzystali na łasce króla Henryka, który myśli, że wróg będzie żył z nim w zgodzie. To bez wątpienia dowód jego wielkości. Doprawdy, Małgorzato, twoje ciągotki ku świętości nie wzięły się znikąd, wyraźnie widać, że król też je ma... pewnie cała wasza rodzina ma je we krwi. Henryk Szósty jest pełen łagodności i zaufania, nigdy nie chowa długo urazy. W każdym człowieku dostrzega grzesznika dążącego do poprawy i stara mu się pomóc. Nie sposób go za to nie kochać i nie podziwiać. Jego przeciwników poznać po tym, że wykorzystują tę miłosierność i swawolą bez umiaru. — Urywa, marszcząc czoło. — Tak, z pewnością jest wspaniałym mężczyzną, choć raczej nie takim znów wspaniałym królem. Pod pewnymi względami przerasta nas wszystkich, ale... Zwykli ludzie zawsze widzą słabość tam, gdzie jest wielkość ducha. To czyni sprawę znacznie trudniejszą dla nas...

— Teraz jednak znowu miewa się dobrze, czy tak? Jego dwór powrócił do Londynu. Król i królowa są razem, a ty zachowałeś dla nich Walię. Przecież Henryk może pozostać zdrów, jego syn może wyrosnąć na silnego młodzieńca, Andegawenka może urodzić następne dziecko. Kto mówi, że Yorkowie tego nie rozumieją, że nie zgodzą się żyć w pokoju, mając zapewnioną pozycję drugiego rodu w królestwie? Chyba zdają sobie sprawę, że nie są niczym więcej?

Jasper kręci głową i nalewa sobie drugą miskę zupy. Łapczywie sięga po kolejną kromkę białego chleba. Widać, że jest głodny; spędził w siodle długie tygodnie.

— Wiesz, Małgorzato... nie wydaje mi się, żeby Yorkowie kiedykolwiek mieli się ustatkować. Honorują przywództwo króla, od czasu do czasu zdobywają się na to, żeby działać wspólnie z nim zamiast przeciwko niemu, ale Henryk nie jest silny nawet wówczas, gdy pozostaje przytomny, a kiedy zapada w trans... — wzrusza ramionami. — Gdybym nie był jego wasalem, gdybym sercem i duszą nie był jego, trudno by mi było pozostać wobec niego lojalnym. Targałyby mną wątpliwości co do przyszłości. W głębi ducha nie mogę ich winić, że próbują mieć wpływ na to, co przyniesie przyszłość. Ryszarda Yorka się nie obawiam. Moim zdaniem uznaje i szczerze kocha króla, wiedząc, iż choć sam się wywodzi z królewskiego rodu, daleko mu do tronu. Lecz jeśli chodzi o Ryszarda

Neville'a, hrabiego Warwick... Temu ufam tyle, ile mam brudu za paznokciami. Przywykł do rządzenia na północy i tylko patrzeć, jak zachce mu się władać całą Anglią. Na szczęście ani pierwszy, ani drugi nigdy nie podniosą ręki na namaszczonego monarchę. Tylko że... ilekroć król zaczyna się czuć gorzej, powstaje pytanie: kiedy mu się poprawi? i na jak długo? A także: co mamy do tego czasu robić? Pytanie, którego nikt nie odważa się zadać na głos, brzmi: co będzie, jeśli tym razem już mu się nie poprawi? — Urywa, żeby wyrzucić chlebem miskę, wybierając ostatnie kaski wołowiny. — Najgorsze zaś, że mamy królową, która tak śmiało sobie poczyna. Gdy król jest w transie, Anglia jest statkiem bez steru, Andegawenka zaś wiatrem, który może zadać z dowolnej strony. Gdybym nie wierzył, że Joanna d'Arc była świętą niewiastą, i miał ją za zwykłą czarownicę, powiedziałbym, że przeklęła nas królem, który żyje we śnie, i królową, która chce żyć we Francji, tyle że tutaj, na angielskiej ziemi.

— Nie mów tak! Nie mów!... — protestuję przeciwko podobnym oszczerstwom rzucanym na Joannę d'Arc i aby go powstrzymać przed wypowiedzeniem kolejnych kalumnii, kładę mu dłoń na rękę. Przez chwilę trwamy tak, nieomal spleceni uściskiem palców, lecz Jasper zaraz wysuwa rękę spod mojej dłoni, jak gdyby nie wolno mi go było dotknąć nawet w ten sposób, nawet jak siostra brata.

— Teraz mówię z tobą otwarcie, wierząc, że moje słowa powtarzasz co najwyżej w swoich modlitwach, jednakże począwszy od stycznia nadchodzącego roku, od chwili gdy wyjdiesz za mąż, będziemy rozmawiać wyłącznie o sprawach rodzinnych.

Boli mnie, że unika mego dotyku jak ognia.

— Jasperze... — odzywam się cicho. — Począwszy od stycznia nadchodzącego roku nie będę mieć na świecie jednej przyjaznej duszy, nikogo, kto by mnie kochał.

— Ja będę cię kochał — odpowiada równie cicho. — Jak brat, jak przyjaciel, jak opiekun twego syna. Będziesz mogła do mnie pisać listy, a ja obiecuję na nie odpowiadać: jako brat, jako przyjaciel i jako opiekun twego syna.

— Ale kto będzie ze mną rozmawiał? Kto będzie widział mnie taką, jaka jestem?



Jasper spuszcza wzrok.

— Niektórzy ludzie się rodzą, by przeżyć życie w samotności — rzecze. — Jako mężatka także możesz być samotna. Masz moje słowo, że będę o tobie myślał: o pani wielkiego domu w hrabstwie Lincoln, o żonie sir Henryka Stafforda. Zamek w Pembroke stanie się bardzo cichy i pusty, kiedy ciebie tutaj zabraknie. Kamienne posadzki korytarzy i kaplicy będą tęsknić za twoimi krokami, sklepiona brama będzie tęsknić za twoim śmiechem, mury będą tęsknić za twoim cieniem. Zostanę tu sam...

— Ale zatrzymasz mojego syna — przerywam mu zazdrośnie. Potakuje skinieniem.

— Tak, zatrzymam jego, mimo iż utraciłem Edmunda i ciebie.

## STYCZEŃ 1458 ROKU



Wywiązując się z danego słowa, macierz, sir Henryk Stafford i jego ojciec książę Buckingham przybywają po mnie na zamek w Pembroke na początku stycznia, nie bacząc na śniegi i siarczysty mróz. Przed ich przyjazdem ja i Jasper przechodzimy samych siebie, organizując dość drewna na ogrzanie wszystkich komnat i dość mięs na ucztę. Zimowy krajobraz nie zapewnia nadmiaru dziczyzny, a mieszkańcy okolicznych wiosek sami nie mają co jeść, toteż koniec końców musimy się pogodzić z tym, że na stole pojawią się góra trzy mięsne dania i parę bezmięsnych potraw obok mis z resztkami suszonych owoców i tac z marcepanowymi cudeńkami. Książę Buckingham z pewnością poczuje się rozczarowany, no ale przecież to Walia w środku zimy — Jasper i ja czujemy swego rodzaju buntowniczą dumę, że udało nam się zdziałać tak wiele, a jeśli to za mało dla macierzy i księcia, mogą wracać do Londynu, gdzie burgundzcy kupcy co dzień przywożą nowe luksusowe towary z myślą o ludziach dość bogatych i próżnych, by sobie na nie pozwolić.

Okazuje się, że ledwie mają okazję zasiąść do stołu, gdyż spędzają na zamku w Pembroke tylko dwa dni. Wyciągają z kufrów podbijaną futrem pelerynę z kapturem i ciepłe rękawiczki, a macierz wspaniałomyślnie się godzi, abym część drogi przebyła na grzbiecie Artura. Mamy wyruszyć nazajutrz wczesnym rankiem, aby wykorzystać tyle światła słonecznego, ile się da, w związku z czym muszę czekać już o świcie przy stajniach, by nie uchybić przyszłemu świekrowi i dziwnie cichemu małżonkowi. Najpierw zatrzymamy się

w domu macierzy na nasz ślub, a potem sir Henryk powieźmie mnie do swej siedziby w Bourne w hrabstwie Lincoln, gdziekolwiek to jest. Nowy mąż, nowy dom, nowa okolica, ja jednak nadal nigdzie nie przynależę i niczego nie posiadam w swoim imieniu.

Gdy już wszystko jest gotowe do drogi, pędem wracam po schodach na górę i razem z Jasperem udaję się do komnaty dziecięcej, aby się pożegnać z synem. Henryk zdążył wyrosnąć z powijaków, a nawet z kołyski. Teraz sypia we własnym łóżeczku osłoniętym z obu stron drewnianymi szczebelkami. Wiem, że lada dzień zacznie sam chodzić, i serce aż mi się ściska na myśl, że właśnie w takim momencie muszę go zostawić. Umie już pewnie stać na tych swoich słodkich krzywych nóżkach i robi pierwsze próby stawiania kroków, pod warunkiem że rączkami chwyta się kłęcznika albo zydła i w zasięgu wzroku ma następny punkt oparcia — wówczas się puszcza i bohatercko śmiga w tamtą stronę, najczęściej przewracając się po drodze. Jeśli mogę poświęcić mu chwilę, wyciąga rączki do góry, łapie mnie za palce i czując osłonę w postaci mnie zgiętej za nim wpół, maszeruje przez całą długość komnaty. Na widok Jaspera gulgotce jak młody indorek, gdyż wie, że stryj jest gotów spacerować z nim w tę i we w tę, w tę i we w tę, niczym posłuszny wół w kieracie, i nie wypuszczać małych rączek, podczas gdy on człapie bosymi stopkami, odkrywając cud samodzielnego przemieszczania się.

Wszelako ta magiczna chwila, w której całkiem sam przejdzie od jednego punktu do drugiego, jeszcze nie nastąpiła, mimo iż żarliwie się modliłam, by stało się to przed moim wyjazdem. Niestety, swój prawdziwy pierwszy krok mały Henryk postawi beze mnie. Pierwszy i każdy kolejny też, z czego ze smutkiem zdaję sobie sprawę. Będzie kroczył przez życie sam, a mnie przy nim nie będzie.

— Napisz do ciebie list, jak tylko zacznie chodzić — obiecuje Jasper.

— Napisz też koniecznie, jak wreszcie zacznie jeść mięsa — proszę. — Nie może przecież dorastać na owsiance.

— I o ząbkach — dodaje z powagą Jasper. — Będę do ciebie pisał za każdym razem, jak wyróżnie mu się któryś ząbek.

Ciągnę go za rękaw, żeby na mnie spojrzął.

— A także o chorobach — szepczę. — Choć będą ci to odradzali, żeby mnie nie martwić. Jednakże co dobrego mi przyjdzie z zamartwiania się, że mój syn jest chory, tylko nikt mi o tym nie mówi? Przysięgnij, że napiszesz do mnie, jeśli zachoruje albo upadnie czy przydarzy mu się jakiś inny wypadek.

— Przysięgam. Ale postaram się go chronić przed wszystkimi złymi rzeczami.

Odwracamy się do łóżeczka, na którym mały Henryk stoi, trzymając się szczebelków i patrząc na nas z promiennym uśmiechem. Przez mgnienie oka widzę odbicie nas obojga w szybce okna za jego plecami. Mam prawie piętnaście lat, a Jasper — dwadzieścia siedem. W matowym szkle wyglądamy jak para rodziców małego chłopca, jak urodziwi i szczęśliwi rodzice swego dziedzica.

— Przyjadę z wizytą, jak tylko będę mogła — mówię żałośnie.

Mój syn nie wie, że przyszłam się pożegnać. Unosi ramionka, gdyż chce, abym go wzięła na ręce.

— Będę przywoził ci o nim wieści przy okazji każdej wizyty w Anglii — zapewnia mnie Jasper.

Schyla się i bierze dziecko na ręce. Henryk czepia się go kurczowo i przytula twarzyczkę do męskiego policzka. Odstępuję o krok do tyłu, żeby im się lepiej przyjrzeć, żeby na długo zapamiętać ten obraz mego syna i jego opiekuna, żeby móc go przywoływać pod zamkniętymi powiekami, ilekroć będę się modlić. Wiem, że będę ich widzieć o każdej godzinie brewiarzowej, co najmniej pięć razy dziennie. Wiem, że będę za nimi tęsknić w każdej chwili mojego życia, we dnie i w nocy, gdy z tej tęsknoty nie będę umiała zasnąć.

— Nie schodź ze mną na dół — błagam udręczona. — Powiem, że ktoś przyszedł i odwołał cię do obowiązków. Nie zniosę pożegnania na dole, przy wszystkich.

Jasper podnosi na mnie spojrzenie. Mięsień na jego policzku drga nerwowo.

— Ależ oczywiście, że z tobą zejdę. Obaj z tobą zejdziemy. Dziwnie by wyglądało, gdybym cię nie pożegnał jako dziewierz i opiekun twego dziecka. Pamiętaj, Małgorzato, że jesteś zaręczona. Musisz dbać o to, jak wypadasz w oczach ludzi i swego przyszłego małżonka.

— Myślisz, że się nim dzisiaj przejmuję? — wybucham. — Właśnie dzisiaj, kiedy muszę cię opuścić, kiedy muszę zostawić swego syna? Myślisz, że obchodzi mnie, co sobie pomyśli, kiedy pęka mi serce?

Nieoczekiwanie Jasper kiwa głową.

— Dzisiaj i każdego następnego dnia. Musisz się nim przejmować, Małgorzato, musisz się liczyć z jego zdaniem. Sir Henryk będzie odtąd właścicielem całego twojego majątku, wszystkich twoich ziem. W jego rękach znajdzie się twoja spuścizna, twój honor, wreszcie przyszłość twojego syna. Skoro nie możesz być dlań kochającą żoną — unosi rękę, by powstrzymać mój protest — postaraj się być przynajmniej żoną, na jaką nie będzie mógł złożyć słowa skargi. Staffordowie to potężny ród. Sir Henryk odziedziczy nie lada fortunę. Jeśli umrze, część jego dziedzictwa przypadnie tobie. Bądź żoną, na jaką nie będzie mógł złożyć słowa skargi, Małgorzato — powtarza. — To najlepsza rada, jaką ode mnie dostaniesz. Będziesz jego żoną, a zatem sługą, własnością. On zaś będzie twoim panem. Lepiej postaraj się go zadowolić.

Nie podchodzę doń i nie kładę mu dłoni na ramieniu. Od tamtej wieczery, kiedyśmy się dotknęli, ani razu się do niego nie zbliżyłam. Jestem młoda, ale mam swoją dumę. Jednakże teraz w swoich słowach zawieram całe przepełniające mnie uczucie.

— Pragnę, abyś wiedział, że gdybym miała coś do powiedzenia w tej sprawie, nigdy bym stąd nie wyjechała ani nie poślubiła sir Henryka.

Jasper uśmiecha się do mnie ponad łąsą główką mojego syna, wszelako w jego oczach czai się ból.

— Wiem o tym. I pragnę, abyś ty wiedziała, że po twoim wyjeździe pograżę się w żalu. Będzie mi ciebie brakowało.

— Kochasz mnie tylko jak siostrę — mówię, oczekując, że zaprzeczy.

Odwraca się, robi krok, po czym gwałtownie postępuje w moją stronę. Mały Henryk gulgocze radośnie i wyciąga do mnie rączki, myśląc, że to nowa zabawa. Jasper zatrzymuje się nagle o pół kroku ode mnie — dość blisko, bym czuła ciepło jego oddechu na swoim policzku; bym mogła wpaść mu w ramiona, gdybym się odważyła,

— Doskonale wiesz, że nie wolno mi na to odpowiedzieć — rzecze przez ściśnięte gardło. — Za tydzień będziesz panią Staf-

fordową. Odjedź ze świadomością, że będę o tobie myślał bez ustanku: bawiąc się z twoim synem, klękając do modlitwy, kupując wierzchowca... w każdej chwili każdego dnia. Są słowa, które nie mogą paść pomiędzy hrabią Pembroke a lady Stafford, i ja ich nie wypowiem. To musi ci wystarczyć.

Pocieram mocno oczy kułakami i czuję na knykciach wilgoć łez.

— Ale to jest nic — odpowiadam z zażartością. — Nic w porównaniu z tym, co ja mam do powiedzenia tobie. Nic w porównaniu z tym, co pragnęłabym od ciebie usłyszeć.

— I dobrze. Dzięki temu nie będziesz miała z czego się spowiadać ani księdzu, ani mężowi. Ja również nie będę miał grzechu do wyznania. — Urywa na chwilę. — Chodźmy już.

Idę przodem schodami, do drzwi na dziedziniec, gdzie czekają już osiodłane konie. Mój narzeczony ciężko zeskakuje na ziemię i pomaga mi dosiąść Artura, mruczając przy tym, że czeka nas długa droga i lepiej by było, gdybym jechała kolebką, ja zaś na to odpowiadam, że nauczyłam się jeździć wierzchem i lubię to, i że Artur, którego Jasper podarował mi w prezencie ślubnym, poniesie mnie bezpiecznie do zmroku.

Eskorta już czeka w gotowości. Teraz ustawia się w szyku i pochyleniem sztandaru żegna hrabiego Pembroke i małego hrabiego Richmond w jego ramionach. Sir Henryk saltuje mu niedbale. Jasper patrzy cały czas na mnie, a ja na niego — po chwili ciągnącej się w nieskończoność i bez jednego mrugnięcia poruszam lekko wodzami, by opuścić zamek w Pembroke i hrabiego Pembroke. Nie odwracam się, żeby zobaczyć, czy nadal na mnie patrzy. Czuję, że tak jest.

Tak jak było umówione, zajeżdżamy najpierw do rodzinnego Bletsoe, gdzie biorę ślub w domowej kaplicy, mając za drużny moje przyrodnie siostry. Tym razem nie pytam matki, czy mogę się wymigać od zamążpójścia, a ona nie uspokaja mnie fałszywymi obietnicami. Zerkając na swego nowego męża, myślę sobie, że choć jest dwakroć ode mnie starszy, może okaże się łagodniejszy w obejściu niż kolejny młodzik. Klęcząc przed ołtarzem w oczekiwaniu na błogosławieństwo, modlę się, aby sir Henryk okazał się dość stary, by być pozbawionym męskiej siły.

Następnie odbywa się uczta weselna, po której zostajemy odprowadzeni do alkierza. Przed ułożeniem się w pościeli klękam w nogach łoża, aby pomodlić się o odwagę i o brak męskich sił u małżonka. Sir Henryk pojawia się, zanim skończę, rozdiewa i prezentuje mi swą nagość, jakby nie miał wstydu.

— O co się modlisz? — pyta z gołą piersią, z gołym tyłkiem, obrzydliwy i wstrętny, udając, że nie zna odpowiedzi.

— By być oszczędzoną! — mówię, zanim pomyślę, i natychmiast przykładam dłoń do ust. — Przepraszam... Ja n-nie chciałam... A modłę się o to, by został mi oszczędzony strach.

Co zaskakujące, sir Henryk nie okazuje gniewu. Nawet nie wydaje się rozżłoszczony. Śmiejąc się, wchodzi do łóżka. Nagi.

— Biedactwo — kręci głową. — Biedactwo. Nie musisz się mnie bać. Dołożę starań, aby cię nie skrzywdzić, i zawsze będę dla ciebie dobry. Pamiętaj jednak, by trzymać język za zębami.

Płonię się z żałości i też kładę się do łóżka. Delikatnie przyciąga mnie do siebie, obejmuje i przytula do swojego ramienia, jakby to była najnaturalniejsza rzecz pod słońcem. Żaden mężczyzna nigdy mnie nie przytulał, toteż jestem sztywna ze strachu na męzowski dotyk i zapach. Spodziewam się w każdej chwili ataku przypuszczanego wcześniej przez Edmunda, ale nic się nie dzieje. Sir Henryk ani drgnie, a jego spokojny oddech pozwala mi myśleć, że zasnął. Odrobina po odrobinie rozluźniam się, po czym nieoczekiwanie dla samej siebie zauważam miękkość łoża i delikatność pościeli. Od sir Henryka bije ciepło, jest też coś krzepiącego w jego zwalistym ciele leżącym bez ruchu. W pewien sposób przypomina mi Artura—jest tak samo duży i mocarny, i spokojny. Uprzytamniam sobie, że Pan Bóg wysłuchał moich modlitw: trzydziestotrzyletni sir Henryk nie ma już w sobie męskich sił. Z jakiego innego powodu leżałby jak kłoc, obejmując mnie tylko ramieniem? Chwała macierzy! Wybrany przez nią małżonek niczym mi nie zagraża, w dodatku całkiem miło się koło niego leży w ciepłe, a nawet w poczuciu że jestem kochana. Pomimo moich obaw nadal się nie porusza, a z dźwięków wydaje co najwyżej niegłośnie westchnienia. Kiedy niepokój zupełnie mnie opuszcza, zapadam przy nim w sen.

## LATO 1459 ROKU



Jestem mężatką od półtora roku, kiedy ponownie spotykam się z moim dziewierzem Jasperem, toteż czekając nań w hallu naszej wspaniałej siedziby w hrabstwie Lincoln, odczuwam lekkie zażenowanie, jakby wstyd, że tak łatwo przywykłam do małżeńskiego życia. Przypuszczam, że Jasper na pierwszy rzut oka dostrzeże, iż się zmieniłam, albowiem naprawdę się zmieniłam. Nie jestem już tak wystraszona jak tamta dziewczyna, która się zarzekała, że nie chce wychodzić drugi raz za mąż; jestem znacznie szczęśliwsza niż tamta dziewczyna, która rzuciła macierzy prosto w twarz, że musi być jej pisane coś więcej niż tylko bycie żoną i matką. W ciągu minionych osiemnastu miesięcy przekonałam się, że mój małżonek nie tylko nie jest pozbawiony męskich sił, ale też nie zamierza być w stosunku do mnie grubiański. Jego delikatność i słodycz nauczyły mnie rewanżować się delikatnością, tak że nie mam wyjścia, jak przyznać, że jestem pełną ukontentowania niewiastą.

Sir Henryk zezwala mi na wiele swobody w naszym wspólnym życiu. Mogę chodzić do kaplicy tak często, jak mi się podoba, a także kierować księdzem i przynależącym do naszej siedziby kościółkiem. Z mojego polecenia nabożeństwa odbywają się w zgodzie z godzinami brewiarzowymi, tak jak w klasztorze. Uczestniczę w większości, również w tych odprawianych nocą w dni święte, a mój mąż nie ma nic przeciwko temu. Wydziela mi hojnie pieniądze i pozwala kupować księgi. Zaczęłam nawet gromadzić własną bibliotekę manuskryptów i przekładów, a bywa, że sir Henryk siada ze



mną i czyta mi Pismo Święte po łacinie, ja zaś śledzę tekst angielskiego tłumaczenia, które kazał sporządzić specjalnie dla mnie, dzięki czemu powoli pojmuję oryginalny tekst. Mówiąc w skrócie, człowiek ten traktuje mnie raczej jak swą podopieczną niż żonę, troszcząc się o me zdrowie, wykształcenie i duchową stronę życia.

Jest uważny i nieobojętny na moje uczucia; nie skarży się, że jeszcze nie poczęłam dziecka, i spełnia małżeński obowiązek z wrodzoną łagodnością.

Dlatego właśnie, oczekując na Jaspера, czuję niezręczne zażenowanie, jak gdybym znalazła tutaj bezpieczną przystań, niegodziwie uciekły od niebezpieczeństw i surowości Walii. Wtem dostrzegam chmurę pyłu na trakcie, słyszę uderzenia podków i pobrzękiwanie broni i wkrótce widzę Jaspера i jego ludzi wysypujących się na dziedziniec. Towarzyszy mu pięć tuzinów zbrojnych, mężczyzn o zaciętych twarzach, jakby wybierali się na wojnę. Sir Henryk niespodzianie wyrasta u mego boku i razem zstępujemy ze schodów, by przywitać Jaspера, tak że wszelka nadzieja, jaką żywiłam na to, że gość ujmie mnie za dłoń lub po bratersku pocałuje w usta, pierzcha, gdy widzę, że obaj — dziewierz i mąż — aż rwą się do rozmowy w cztery oczy, a ja nie jestem im do niczego potrzebna. Na moich oczach sir Henryk chwytą Jaspера za łokieć, pytając:

— Kłopoty na traktach?

Jasper odwzajemnia się walnięciem go w plecy — ot, męskie czułości — po czym odpowiada:

— Tylko rozbójnicy noszący symbol białej róży, nikt więcej. Kiedyśmy ich pogonili, czmychnęli jak zające. Jakie wieści?

Sir Henryk się krzywi.

— Większość hrabstwa Lincoln jest za Yorkami. Hertfordshire, Essex i cała wschodnia Anglia również za Yorkami albo za ich sprzymierzeńcem hrabią Warwick. Ziemię na południe od Londynu, w tym Kent, jak zwykle się burzą. Ich mieszkańcy tyle wycierpieli od francuskich piratów i ograniczenia handlu, że postrzegają mianowanie Warwicka dowódcą Calais jako wybawienie, ani myśląc przekonać się do Andegawenki.

— Uda mi się przedrzeć do Londynu bez strat? — dopytuje Jasper. — Muszę tam jechać już pojutrze. Sądysz, że powinienem

wybrać główny trakt czy raczej jechać na przełaj, unikając band rozbójników?

— Dopóki Warwick siedzi w Calais, dopóty na traktach grasują wyłącznie zwykłe opryszki. Wszelako krążą słuchy, że lada dzień może przybić do wybrzeży Anglii i ruszyć na spotkanie siłom Yorków w Ludlow. Wtedy wasze ścieżki by się przecięły. Dlatego radzę posyłać czujki przodem, a z tyłu trzymać ariergardę na wypadek zasadzki. Jeśli staniesz oko w oko z Warwickiem, musisz się liczyć z koniecznością walki, może nawet pierwszej bitwy w wojnie. Wybierasz się do króla?...

Odwracają się ode mnie i kierują w stronę domu, a ja drepczę za nimi — pani tego domu tylko z nazwy. Ochmistrz i służba sir Henryka mają wszystko pod kontrolą, tak że mnie pozostaje nieledwie rola gościa pod własnym dachem.

— Nie, najjaśniejszy pan... niech Bóg go błogostawi i chroni... przeniósł się do Coventry, gdzie zamierza zewezwać wielmożów sprzyjających Yorkom i zmusić ich do ponownego złożenia mu hołdu. To taka próba sił. Jeżeli odmówią stawienia się, będzie można ich oskarżyć o zdradę. Miłościwa pani i książę przebywają z królem dla własnego bezpieczeństwa. Ja mam rozkazy zajęcia pałacu westminsterskiego i utrzymania Londynu dla Lancasterów. Niewykluczone, że dojdzie do oblężenia miasta. Szykuje się wojna.

— Nie doznasz pomocy ze strony mieszczan i kupców — przestrzega go mój mąż. — Oni wszyscy stoją murem za Yorkami. Nie mogą zarabiać, kiedy król nie jest w stanie zapewnić pokoju, a w głowie im tylko pieniądze.

Jasper potakuje skinieniem.

— Tak właśnie słyszałem. Zamierzam wziąć ich w karby. Moje rozkazy zezwalają mi na rekrutowanie ludzi do armii i wznoszenie umocnień. Zamienię Londyn w twierdzę Lancasterów bez względu na to, czego by chcieli jego mieszkańcy.

Sir Henryk prowadzi Jaspera do prywatnej świetlicy. Wchodzę ostatnia i zamykam drzwi, żeby rozmowa toczyła się bez świadków.

— Mało jest takich, co by nie uważali, że Ryszard York ma prawe zamiary — powiada mój mąż. — Zresztą znasz go osobiście. Jest oddany królowi sercem i duszą. Jednakże gdy król słucha

Andegawenki, ona zaś spiskuje z księciem Somerset, nie może być mowy o jego bezpieczeństwie czy bezpieczeństwie bliskich mu osób... — waha się, nim dodaje: — W gruncie rzeczy nie może być mowy o bezpieczeństwie nikogo z nas. Który Anglik jest bezpieczny, gdy francuska królowa sprawuje rządy? Kto zaręczy, że nie sprzeda nas Francuzom?

Jasper potrząsa głową.

— Ona jest przede wszystkim królową Anglii — rzecz bez przekonania. — Oraz matką księcia Walii. I pierwszą damą Domu Lancasterów, któremu sprzyjamy. Jesteśmy jej winni lojalność. To nasza królowa bez względu na miejsce urodzenia, bez względu na przyjaźnie, które zawiera, bez względu na rozkazy, jakie wydaje.

Sir Henryk uśmiecha się tym swoim krzywym uśmiechem, który zdażyłam poznać w ciągu półtora roku małżeństwa. Uśmiecha się tak, ilekroć coś wydaje mu się nazbyt proste.

— Mimo wszystko król nie powinien jej słuchać — mówi. — Powinni mu doradzać angielscy wielmoże, nie francuska żona. Powinien pytać o zdanie Yorka i Warwicka. Ci dwaj to najznacniejsi panowie królestwa, dowódcy armii. Doradcy z prawdziwego zdarzenia.

— Zajmiemy się sprawą rady królewskiej, kiedy przeminie zagrożenie ze strony Yorków — oznajmia Jasper z niecierpliwością w głosie. — Teraz nie ma na to czasu. Zbroisz już ludzi?

— Ja?

Jasper posyła mi wstrząśnięte spojrzenie.

— Tak, sir Henryku, ty. Król wzywa wszystkich wasali, by gotowali się na wojnę w obronie Korony. Ja prowadzę nabór. Jestem tu, by zabrać wystawionych przez ciebie ludzi. Pojedziesz ze mną bronić Londynu? Czy raczej skierujesz się do Coventry, by chronić najjaśniejszego pana?

— Nigdzie się nie wybieram — cicho odpowiada mój mąż. — Mój ojciec powołuje mężczyzn pod broń, podobnie mój brat. Wspólnymi siłami zgromadzą małą armię na rozkazy króla, co chyba wystarczy jak na jedną rodzinę. Jeżeli mój ojciec zażąda, abym mu towarzyszył, oczywiście nie odmówię. Taki jest mój synowski

obowiązek. Jeżeli yorkiści tutaj przyjdą, wystąpię przeciwko nim, tak jak bym wystąpił przeciwko każdemu plądrującemu moje ziemie. Jeżeli Warwick spróbuje odebrać mi majątek, będę się bronił, ale na razie nie planuję wojennej wyprawy.

Jasper odwraca głowę, a ja czerwienię się ze wstydu na myśl o mężu, który woli grzać kości przy kominku, kiedy rozlega się wezwanie do obrony jego króla.

— Przykro mi to słyszeć — odzywa się mój dziewierz sucho.  
— Miałem cię za lojalnego lancastera. Nigdy bym nie pomyślał...

Mąż posyła mi słaby uśmiech.

— Obawiam się, że lady Małgorzata również straciła o mnie dobre mniemanie. Ale doprawdy nie mogę z premedytacją wyruszyć przeciwko własnym krajanom w obronie młodej niemądrej Francuzki, która daje królowi złe rady. Najjaśniejszy pan potrzebuje doradców z prawdziwego zdarzenia, a tacy właśnie są York i Warwick, co udowodnili nie raz i nie dwa. Jeśli obróci ich przeciwko sobie, mogą się zbuntować, choć na razie w moim przekonaniu pragną tylko tego, by król ich wysłuchał. Jestem pewien, że nie uczynią nic ponad naleganie, aby przyjął ich do swej rady i liczył się z ich opiniami. A skoro uważam, że mają do tego pełne prawo, jakżebym mógł z nimi walczyć? Ich intencje są czyste, sprawa słuszna. Książę Yorku i hrabia Warwick mają prawo doradzać swemu królowi, natomiast Andegawenka nie powinna tego robić. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Jasper zrywa się na nogi jednym gwałtownym ruchem.

— Sir Henryku, na honor, nie masz wyboru! Musisz stanąć do walki, ponieważ twój król cię wzywa! Jeśli popierasz Lancasterów, po prostu nie masz wyjścia!...

— Nie jestem ogarem, który zaczyna ujadać na dźwięk rogu myśliwskiego — odpowiada mój mąż spokojnie, nie podnosząc głosu, zda się, wcale nie zauważając wybuchu Jaspera. — Nie szczekam na rozkaz. Nie pędzę za ofiarą na gwizd. Pójdę na wojnę, kiedy uznam, że jest za co ginąć, i ani dnia wcześniej. Aczkolwiek przyznaję, że podziwiam twego... ehm... bojowego ducha.

Jasper rumieni się po cebulki rudych włosów na uwagę starszego odeń mężczyzny.

— W moim mniemaniu to poważna sprawa, sir Henryku, nie powód do żartów. Walczę za króla i za Lancasterów od dwóch lat i pozwól, że ci przypomnę, iż drogo za to zapłaciłem. Straciłem własnego brata pod murami Carmarthen, dziedzica naszego nazwiska, nadzieję rodu, męża tej tutaj Małgorzaty, który nigdy nawet nie ujrzał pierworodnego syna...

— Wiem, wiem i bynajmniej się nie śmieję. Nie zapominaj, że ja też straciłem brata. Te niekończące się potyczki to tragedia Anglii, z całą pewnością nie powód do żartów, jak mówisz. Chodź, posilmy się na wieczerzy i zapomnijmy o dzielących nas różnicach. Będę się modlił, żeby do wojny jednak nie doszło, i ty także musisz o to prosić Boga. Anglii potrzebny jest pokój, jeśli ma się stać silna i bogata. Podbiliśmy Francję, ponieważ Francuzi byli podzieleni, skłócenii. Nie pogubmy się tak jak oni, nie bądźmy sobie najgorszymi wrogami.

Widzę, że Jasper chce się sprzeczać, lecz mój mąż ujmuje go za ramię i prowadzi do wielkiej sali, gdzie wszyscy już na nas czekają przy stołach, z trudem powstrzymując kapiącą ślinkę na zapachy dolatujące z kuchni. Kiedy Jasper przestępuje przez próg, jego ludzie zaczynają uderzać rękojeściami sztyletów w blaty na znak powitania i szacunku, a ja myślę, że to wspaniałe, iż jest takim wielkim dowódcą, umiłowanym przez podkomendnych. Jasper Tudor przypomina błędnego rycerza z ballad, prawdziwego bohatera, którego imię skanduje się głośno. Słudzy i dzierzawcy mego męża po prostu zdejmują czapki z głów i kłaniają się na jego widok. Nikt nigdy nie wznosił donośnych okrzyków na cześć Henryka Stafford.

I nikt nigdy tego nie uczyni.

Przechodzimy w ogłuszającym hałasie męskich głosów do wysokiego stołu i kiedy siadamy, widzę, że Jasper posyła mi współczujące spojrzenie, jakby było mu mnie żal, że poślubiłam człowieka, który nie chce bronić własnej rodziny. Spuszczam wzrok. Wydaje mi się, że wszyscy wiedzą, iż jestem córką tchórza i żoną tchórza i że muszę żyć w cieniu hańby.

Gdy sługa polewa nam palce wodą i wyciera je do sucha lnianą serwetą, mój mąż odzywa się miłym głosem.

— Ale, ale... Przez moje gadulstwo nie przekazałeś lady Małgorzacie najbardziej interesujących ją wieści. Jak się miewa mały Henryk? Czy aby zdrów?

Jasper zwraca się bezpośrednio do mnie.

— Twój syn chowa się zdrowo. Jest duży i silny. Pisałem ci, że wyrznęły mu się pierwsze zęby. Gorączkował przez parę dni, ale to już przeszłość. Teraz nie tylko chodzi, lecz nawet biega. Dużo mówi, nie zawsze zrozumiale, choć buzia ani na chwilę mu się nie zamyka. Jego piastunka powiada, że jest uparty, aczkolwiek nie bardziej, niż przystoi jego urodzeniu i wiekowi. Prosiłem ją, żeby nie była dlań nazbyt surowa. W końcu to hrabia Richmond, nie możemy złamać w nim ducha. Chłopak ma prawo do dumy.

— Opowiadasz mu o mnie? — pytam.

— Oczywiście, że tak — zapewnia mnie z uśmiechem. — Opowiadam mu, że jego matka to wielka dama w Anglii i niebawem przyjedzie go zobaczyć, a on odpowiada: „Ma-ma!”, właśnie tak.

Śmieję się na udawany przezeń cieniutki głos dwulatka.

— A jakie ma włoski? — dopytuję. — Będą rude jak u Edmunda?

— A, nie. — Jasper reaguje rozczarowaniem, którego nie podzielam. — Ktoś w naszej rodzinie musiał się wyrodzić, bo mały Henryk ma loki brązowe i kręcone, podobne barwą do sierści kaszanka. Piastunka powiada, że latem mu zjaśnieją od słońca, ale z pewnością nigdy nie będzie miedzianogłowy jak my, Tudorowie.

— Lubi się bawić? — zasypuję dziewczera dalszymi pytaniami. — Potrafi zmówić paciorek?

— Dużo się bawi piłką i kijkiem, najchętniej spędzałby cały dzień na dziedzińcu, pod warunkiem że miałyby mu kto rzucać piłkę. Rzecz jasna uczy się *Ojciec nasz* i katechizmu. Twój przyjaciel ksiądz Wilhelm spotyka się z nim co rano na modlitwie, a niańka pilnuje, by co wieczór klękał w nogach łóżeczka i nie wiercił się zbyt. Oboje, i ksiądz, i opiekunka, przykazują mu wymieniać ciebie z imienia w trakcie modlitwy.

— A ma się z kim bawić? — wtrąca mój mąż. — Są jacyś rówieśnicy z okolicznych majątków?

— Na zamku nie mamy wielu sąsiadów — rzecze Jasper. — Daleko by szukać rodziny zbliżonej pozycją do naszej. Tak więc nie ma i dzieci, z którymi mógłby się bawić. Trudno o towarzystwo właściwe dla niego. Jest hrabią Richmond i kuzynem króla. Nie pozwalam mu się zadawać z dziećmi z podzamcza, głównie z obawy, by nie złapał jakiejś choroby. Ale wiele czasu spędza na zabawach z piastunkami. Ja także nim się zajmuję. Niepotrzebny mu nikt więcej.

Kiwam głową z aprobatą. Nie chcę, by mój syn miał do czynienia z prostytutkami, od których nauczyłyby się grubiaństwa.

— Cokolwiek mówić, małe dziecko potrzebuje towarzystwa rówieśników — podtrzymuje mój mąż. — Niedługo będzie musiał zacząć się mierzyć z wyrostkami, nawet jeśli będą to dzieci chłopów czy dzierżawców.

— Pomyślę o tym, kiedy przyjdzie na to czas — odpowiada urażony Jasper. — Na razie wystarcza mu towarzystwo tych, których do niego dopuszczam.

Zapada niezręczne milczenie.

— Czy aby dopisuje mu apetyt? — przerywam ciszę.

— Je jak smok, śpi przez całą noc i biega przez cały dzień — rozpromienia się znów Jasper. — Rośnie w oczach. Myślę, że będzie wysoki. Ma posturę Edmunda, jest długi i smukły.

— Przyjedziemy do niego z wizytą, jak tylko na traktach znów będzie bezpiecznie — obiecuje mój mąż. — Jasperze, sądzisz, że jesteś w stanie zapewnić mu tam dobrą ochronę?

— W całej Walii nie ostał się jeden yorkista, który zdołałby zebrać dość ludzi, by zajęli Pembroke, o moim zamku nie mówiąc. — Jasper wydaje się bardzo pewny siebie. — Wilhelm Herbert to teraz człówek króla, zmienił barwy kompletnie, odkąd się spotkał z królewską łaską, jest teraz lancasterem jak ja czy wy. Walia to bezpieczne miejsce dla dziedzica Lancasterów, bezpieczniejsze od Anglii. Mam pod kontrolą większość znaczących twierdz i traktów. Zachowam Henryka w dobrym zdrowiu, jak przyrzekałem. Przy mnie nigdy nie stanie mu się krzywda.

Tak jak zapowiedział, Jasper spędza z nami tylko dwa wieczory, a za dnia jeździ po okolicy, by zebrać tylu ludzi, ilu jest gotowych

wyprawić się z nim do stolicy, by bronić jej w imieniu króla. Okazuje się, że jest ich niewielu. Może i należymy do Domu Lancasterów, ale jak każdy kto mieszka blisko Londynu, słyszeliśmy plotki na temat dworzan, którzy mają lepsze zajęcia, niż oddawać życie za monarchę na poły szalonego i za jego królową, która jest nie tylko Francuzicą, lecz także prawdziwą jędzą.

Na trzeci dzień Jasper zbiera się do dalszej drogi, a mnie przychodzi go znów pożegnać.

— Przynajmniej wyglądasz na szczęśliwą — mówi do mnie cicho, gdy jego ludzie wsiadają na koń przed stajniami.

— Jestem zadowolona. Sir Henryk dba o mnie.

— Chciałbym, żebyś mogła przekonać go do naszej sprawy — rzecze, ścisząc głos jeszcze bardziej.

— Robię co w mojej mocy, ale nie sądzę, żeby to odniosło jakiś skutek. Ja wiem, że powinien się stawić na wezwanie króla, tyle że sir Henryk jest ode mnie starszy i przekonany o swojej racji.

— Najjaśniejszy pan być może będzie musiał walczyć, by utrzymać koronę — zauważa Jasper. — Wierny wasal stanąłby po jego stronie bez względu na wszystko. Żaden lancaster nie powinien się ociągać, nie mówiąc o ignorowaniu królewskiego wezwania.

— Wiem, wiem... Zamierzam mu o tym przypomnieć. Ty zaś przypomnij małemu Henrykowi, że przyjadę go odwiedzić, jak tylko będzie można bezpiecznie podróżować.

— W Anglii nie będzie bezpiecznie dopóty, dopóki York i Warwick nie ugną karku przed prawowitym władcą! — z irytacją rzecze mój dziewierz.

— O tym również wiem. — Wzruszam ramionami. — Jednakże sir Henryk...

— Co? Co takiego?

— Sir Henryk jest stary — ciągnę jak przemądrzała szesnastolatka. — Nie rozumie, że Pan Bóg stwarza nam od czasu do czasu okazję, którą powinniśmy chwycić obiema rękami. Joanna d'Arc była tego świadoma, ty także jesteś. Czasami Pan Bóg ingeruje w naszą egzystencję, w nasz los, a my tylko musimy to dostrzec i stanąć na wysokości zadania.



Uśmiech na twarzy Jaspera sprawia, że rysy mu miękną i łagodnieją.

— Tak — przyznaje. — Masz rację, Małgorzato. Tak właśnie jest. Bywa, że przychodzi przełomowa chwila i trzeba się odpowiednio zachować. Nawet jeśli inni pomyślą, że jest się tylko ogarem bez rozumu, który ujada na dźwięk myśliwskiego rogu.

Całuje mnie na pożegnanie jak przystoi dziewierzowi — lekko w usta, a potem przez chwilę trzyma mnie za dłonie. Przymykam powieki i rozkoszuję się uczuciem spadania, którego doznaję na jego dotyk. Otwieram oczy, dopiero gdy wypuszcza moje palce z uścisku, obraca się na pięcie i jednym zgrabnym skokiem dosiada wierzchowca.

— Czy stary Artur dobrze ci służy? — pyta jakby nigdy nic, zapewne chcąc odwrócić moją uwagę od tego, że raz jeszcze mnie opuszcza i zmierza prosto w paszczę lwa.

— Tak — potwierdzam. — Udaję się na przejażdżki niemal codziennie — dodaję. — Z Bogiem, Jasperze!

Kiwa głową.

— Bóg będzie nade mną czuwał, jesteśmy bowiem w prawie. Nawet w najgorszym momencie bitwy nie stracę wiary, że Pan Bóg zawsze jest po stronie tych, którzy wiernie służą swojemu królowi.

To powiedziawszy, zajmuje miejsce na czele kawalkady i prowadzi swoich ludzi na południe, do Londynu, aby bronić pałacu westminsterskiego przed naszymi wrogami.

## JESIEŃ 1459 ROKU



Nie mam o Jasperze żadnych wieści do czasu, aż jeden z dzierżawców, który dał się namówić na wyprawę do Londynu, wraca w połowie września przytroczony do własnego kuca, z ropiejącym kikutem zamiast prawego ramienia, bladą jak płótno twarzą, roztańczając wokół siebie woń śmierci. Jego żona, niewiasta tylko trochę starsza ode mnie, krzyczy przeraźliwie i mdleje, kiedy przyprowadzają go pod jej drzwi. Nie może go pielęgnować — nie ma pojęcia, co robić z tymi gnijącymi resztkami młodzieńca, którego poślubiła z miłości — więc przenoszą go do mojego domu, gdzie rannemu będzie wygodniej niż w zapuszczonej chacie. Każę zamienić sień przy czworakach w lazaret, nie wiedząc, ilu jeszcze mężczyzn wróci okaleczonych z wyprawy w takim pośpiechu organizowanej przez Jaspera. Tenże pierwszy ochotnik, Jan, opowiada memu mężowi, że ojciec Warwicka, hrabia Salisbury, prowadził swoją armię na spotkanie Yorkowi w Ludlow, ale dwaj nasi wielmoże, Dudley i Audley, zastawili nań zasadzkę w Market Drayton. Nasze siły dwukrotnie przeważały nad armią Salisbury'ego i jak twierdzi Jan, yorkiści kłękali na polu i całowali gołą ziemię, sądząc, że spotka ich śmierć.

Wszelako potem uciekli się do sztuczki, sztuczki, którą obmyślił Salisbury, wiedząc, iż jego ludzie zrobią dlań wszystko — i ustąpią z pola bitwy, i stawią nieprzejednany odpór, i zaatakują bez litości. Tym razem rozkazał im się wycofać. Nasi jeźdźcy pognali za nimi, myśląc, że ścigają uciekinierów i dezerterów, lecz wkrótce, podczas

przeprawy przez strumień, przekonali się, że sami są ścigani. Wróg bowiem zatrzymał się i zawrócił, atakując podstępnie jak wąż, co skończyło się tym, że lancasterowie musieli z mozołem wspinać się na zbocze, z którego dopiero co zjechali na łeb na szyję i którego grunt rozmiękł od kopyt i kół dział. Wraży łucznicy strzelali do nich jak do kaczek, wybijając pod nimi wierzchowce i raniąc żołnierzy. Znienacka znaleźli się pośród pandemonium błota, krwi i deszczu bełtów. Jan opowiada, że woda w strumieniu zrobiła się czerwona od krwi rannych i umierających, a ci, którym udało się przeżyć, byli umazani posoką zwierząt i ludzi od stóp do głów.

W końcu na polu przegranej przez nas bitwy zapadła noc, ciemności skryły dogorywających niedobitków. Dowódca yorkistów, hrabia Salisbury, wymknął się cichaczem, ale pozostawił w oddali parę dział, przekupiwszy pierwaj jakiegoś zakonnika zdrajczyka, by je obsługiwał do rana. Kiedy o świcie nadciągnęły królewskie oddziały gotowe do walki i spodziewające się zastać yorkistów w defensywie, łaknące zmiecenia wroga z powierzchni ziemi, natknęły się tylko na braciszka w zakasanej habicie, doskakującego to do jednego, to do drugiego działa i odpalającego je na przemian. Odeń usłyszeli, że nieprzyjaciel podjął marsz do Ludlow, śmiejąc się w kułak z dwóch pokonanych lancasterskich wielmożów.

— A zatem walczyli — podsumowuje mój mąż z ponurą miną — i przegrali.

— Yorkowie nie stanęli oko w oko z królewskimi oddziałami — oponuję. — Armia jego królewskiej mości odniosłaby zwycięstwo, bez dwóch zdań. To była tylko nic nie znacząca potyczka...

— Cóż, w gruncie rzeczy była to potyczka z jednym ubogim mnichem — wytyka sir Henryk.

— Nasi by wygrali, gdyby yorkiści walczyli honorowo — upieram się.

— Być może, ale tymczasem rezultat jest taki, że jeden z naszych dowódców poległ, a drugi dostał się do niewoli. Sądzę, że z czystym sumieniem możemy założyć, że w pierwszej rundzie zatryumfował nieprzyjaciel.

— To chyba nie koniec? Nasze wojska się przegrupują? Kiedy Joannie d'Arc nie udało się zająć Paryża, nie poddała się...

— Ach, znowu ta Joanna d'Arc — wzdycha mój małżonek.  
— No cóż, jeśli to z niej mamy brać przykład, rzeczywiście powinniśmy walczyć do ostatniej kropli krwi, odpowiadając na zew męczeństwa. Masz jednak rację, żono. To nie koniec. Tego akurat możemy być pewni. Będą kolejne bitwy. Dwie potęgi zaczęły krążyć wokół siebie niczym dwa koguty, wypatrujące słabych stron przeciwnika. Tak więc odbędzie się następna potyczka i jeszcze jedna, i kolejna, aż któraś ze stron osłabnie lub przegra z kretešem.

Puszczam mimo uszu jego zjadliwy ton.

— Mężu, czy teraz się oddasz pod rozkazy jego królewskiej mości? Po tym jak doszło do rozlewu krwi i lancasterowie ponieśli sromotną klęskę? Widząc, że jesteś potrzebny? Wiedząc, że człowiek honoru nie ma wyjścia?

Patrzy na mnie ciężkim wzrokiem.

— Jak będę musiał się bić, będę się bił — odpowiada markotnie. — Nie wcześniej.

— Ależ w takim razie za króla będzie walczył każdy uczciwy lord oprócz ciebie! — oburzam się zapalczywie.

— Skoro znajdzie się tylu uczciwych, nikt nie będzie potrzebował mnie, nieuczciwca — powiada sir Henryk, wychodząc z lazaretu, gdzie umiera jeden z ludzi Jaspera, ja zaś nie znajduję słów, by go zatrzymać.

Stosunki między mną i sir Henrykiem chłodną znacznie, toteż nic mu nie mówię, gdy otrzymuję pomiętą wiadomość od Jaspera, składająca się tylko z paru koślawo postawionych liter:

*Odzitoflu 2(ról) podejmuje zua Eę. Osuszamy do 6oju. J.*

Zamiast natychmiast podzielić się tą nowiną z mężem, czekam, aż zostaniemy sami po wieczery, i kiedy sir Henryk bezgłośnie przebiera palcami po strunach lutni, pytam obojętnym tonem:

— Otrzymałeś jakieś wieści od księcia Buckingham? Staną po stronie króla?

— Ponoć pędzi yorkistów do ich kwatery w Ludlow — odpowiada, dobywając przypadkowy dźwięk z instrumentu. — Zdaniem ojca król zgromadził pod swym sztandarem przeszło dwadzieścia tysięcy ludzi. Wygląda na to, że wszyscy są pewni naszej wygranej, tego, iż York zostanie pojmany i da głowę, chociaż najjaśniejszy pan znany jest z miękkiego serca i chęci przebaczenia każdemu, kto się podda.

— Będzie walna bitwa?

— Będzie, chyba że York uzna, iż jednak nie może stanąć bezpośrednio przeciwko monarsze. Zabijać przyjaciół i kuzynów to jedno, a całkiem co innego kazać swoim łucznikom mierzyć do królewskiego sztandaru i koronowanej głowy poniżej. Co nas czeka, jeśli najjaśniejszy pan zginie na polu walki? Co czeka nas wszystkich, jeśli York poważy się unieść swój miecz i opuścić go na namaszczonego krzyżmem władcę?

Przymykam oczy na potworną myśl o tym, że król, nieomal święty za życia, miałby się stać męczennikiem za sprawą poddanego, który ślubował mu wierność.

— Ale księżę Yorku chyba nie jest zdolny do czegoś takiego? Chyba nawet o czymś takim nie myśli?

## PAŹDZIERNIK 1459 ROKU



Jak się okazuje, znowu mam rację.

Gdy armia Yorka stanęła naprzeciwko swego prawowitego władcy, nie zdobyła się na atak. Spędziłam na klęczkach cały dzień, kiedy gromadziły się siły yorkistów z ich taborami i armatami górującymi nad Ludford Bridge i oddziałami króla. Kiedy ja się mierzyłam ze swoimi obawami i modliłam, oni przygotowywali szyki, gdy zaś zapadła noc, na szczęście ich dowódców opuściła grzeszna odwaga. Umykali jak tchórze, którymi są w istocie, tak że o poranku najjaśniejszy pan — święty za życia, lecz chwała Bogu nie męczennik — mógł przejść się między szeregami zwykłych żołnierzy porzucanych przez wielkich lordów, wybaczyć im i miłosiernie odesłać wszystkich do domu. Żona Yorka, księżna Cecylia, wyszła przed krzyż na rynku w Ludlow, kiedy do miasta wdzierał się łaknący łupów tłum królewskich; w rękę miała klucze do zamku, obok siebie dwóch młodszych synów, Jerzego i Ryszarda, trzęsących się ze strachu. Musiała się poddać miłościwemu panu i razem z synami udać do aresztu domowego, nie wiedząc, gdzie podziewa się jej mąż i dwójka starszych chłopców. Co za hańba dla niej. Wielka rebelia Domu Yorków przy współudziale Warwicka, skierowana przeciwko namaszczoneму świętemu olejowi królowi, zakończyła się splądrowaniem siedziby księcia Yorku i uwięzieniem księżnej i jej zdradzieckiego nasienia, łkających z powodu klęski.

— Yorkiści to tchórze — szepczę do figury Przenajświętszej Panienki w swojej prywatnej kaplicy. — Dobrze, żeś ich pokarała

takim wstydem, Matko Boska. Modliłam się, żeby przegrali, a Ty wysłuchałaś moich modłów i poniżyłaś ich.

Podniósłszy się z klęczek, opuszczam kaplicę o parę cali wyższa, mając pewność, że Pan Bóg sprzyja mojemu rodowi, że na czele Domu Lancasterów stoi prawdziwy święty mąż, na tym padole będący królem, i że nasza sprawa musi być słuszna, skoro do wygranej doszło, zanim padł choćby jeden strzał.

## WIOSNA 1460 ROKU



— Tyle że nie doszło do wygranej — kontruje mój mąż ozięble.  
— Nie doszło do ugody z yorkistami, ich żądania nie zostały wysłuchane. Salisbury, Warwick i dwaj starsi synowie księcia Yorku przebywają w Calais, gdzie z pewnością nie mitrężą. Ryszard York zbiegł do Irlandii, gdzie również ma wielu popleczników. Andegawenka domaga się, by ich oskarżyć o zdradę, a także żąda z każdego hrabstwa spisów wyszczególniających liczbę i nazwiska gotowych do walki mężczyzn. Wydaje jej się, że ot tak, może ich powołać do swojej armii.

— Bez wątpienia zwraca się jak zwykle do wielmożów, by wystawili zbrojne oddziały?

Sir Henryk przecząco kręci głową.

— Nie, ona zamierza rekrutować żołnierzy tak, jak robią to we Francji. Zwracając się bezpośrednio do ludu. Chce skorzystać ze sporządzonych spisów i prowadzić nabór samodzielnie, zwołując ludzi pod swój sztandar, jakby była francuskim władcą. Nikt na to nie odpowie. Poddani nie zechcą dla niej walczyć... czemu by mieli to robić, nie jest przecież ich panem lennym... natomiast wielmoże odbiorą to jak atak na siebie, podważanie ich prerogatyw. Zaczynają podejrzewać o to, że za ich plecami układa się z dzierżawcami. Każdy Anglik potraktuje to jak próbę zaprowadzenia w królestwie francuskiej tyranii. Andegawenka narobi sobie wrogów z przychylnych jej dotąd osób. Bóg świadkiem, że przy takiej królowej ciężko jest dochować wierności królowi.



Zabieram te ponure przepowiednie do konfesjonału, gdzie spowiadam się z grzechu powątpiewania w osady małżonka. Ksiądz, nader ostrożny człek, nie wypytuje, jakie trapią mnie wątpliwości — w końcu to mój mąż jest tutaj panem, to on łoży na kościół i utrzymuje duchownego — tylko wyznacza mi pokutę: dziesięć zdrowasiek i godzina żarliwej modlitwy, w której okażę szczerą skruchę. Klękam przed ołtarzem, lecz nie umiem wykrzesać z siebie skruchy. W głębi ducha obawiam się, że mój mąż nie tylko jest tchórzem, ale że po kryjomu sprzyja sprawie Yorków. Zaczynam mieć poważne wątpliwości co do jego lojalności wobec króla Henryka. Koralki różańca nieruchomieją mi w dłoni, kiedy to sobie uświadamiam. Co robić? Co powinnam teraz zrobić? Jak mam dalej żyć, wiedząc, że jestem zameżna ze zdrajcą? Skoro on nie jest wierny swemu królowi i Lancasterom, jak ja mogę być wierna jemu? Czy to możliwe, aby Pan Bóg wzywał mnie do zostawienia męża? I gdzie z Jego woli powinnam się udać, jak nie do mężczyzny całym sercem oddanego sprawie Lancasterów? Czyżby zatem moim przeznaczeniem był Jasper?

Tymczasem przepowiednie sir Henryka dotyczące garnizonu w Calais ziszczają się już w lipcu, kiedy yorkiści wyprawiają się armadą, przybijają do brzegów Anglii w Sandwich, w połowie drogi do Londynu, i maszerują na naszą stolicę nie powstrzymywani choćby przez jeden strzał, choćby przez jedne zamknięte na głucho drzwi. Niech Pan Bóg wybaczy londyńczykom, że otwierają szeroko bramy miasta, aby Ryszard księżę Yorku mógł przez nie przejść tryumfalnie, jakby oswobadzał je spod panowania uzurpatora. Król ze swoim dworem przebywa w Coventry, lecz gdy tylko się dowiaduje o zajęciu Londynu, przez całą Anglię przetacza się wieść o powszechnym poborze. Yorkiści mają w rękę Londyn; lancasterom nie pozostaje nic innego, jak go odbić.

— Pójdiesz ze wszystkimi? — pytam męża, odnalazłszy go w stajniach przy sprawdzaniu uprzęży i siodła. Wydaje mi się, że nareszcie zoczył zagrożenie czyhające na króla i postanowił go bronić.

— Nie — odpowiada sucho. — Mój ojciec jak zwykle ratuje honor rodziny, niech Bóg ma go w swojej opiece pośród tego szaleństwa.

— Nie staniesz przy własnym ojcu w czas taki jak ten?

— Nie — powtarza. — Kocham ojca i dołączę doń, jeśli rozkaże, lecz na razie nie zażądał mojej obecności u swego boku. Rozwija sztandar Buckinghamów, ale nie widzi mnie pod nim.

Wiem, że gniew odbija się kolorem na mojej twarzy, toteż bez zmruczenia powieki odwzajemniam twarde spojrzenie sir Henryka.

— Jak możesz?

— Nie wierzę w tę sprawę — mówi szczerze. — Jeśli król chce odbić Londyn z rąk księcia Yorku, starczy, że pójdzie do niego i uzgodni warunki. Nie musi oblegać własnej stolicy, dość, że znacznie rozmawiać.

— Powinien ściąć Yorka jak ostatniego zdrajcę! — wybucham.  
— A ty powinienesz przy tym być!

Sir Henryk wzdycha.

— **Spieszno** ci wysłać mnie w ogień walki, żono — zauważa ze smutnym uśmiechem. — Chybabym wolał, żebyś mnie błagała o zostanie w domu.

— Mogę cię błagać tylko o to, byś spełnił swój obowiązek — rzekę dumnie. — Gdybym była mężczyzną, stanęłabym u boku najjaśniejszego pana. Gdybym była mężczyzną, nie wahałabym się ani chwili.

— Byłabyś fantastyczną Joanną d'Arc, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości — odzywa się cicho. — Ale widzisz, ja brałem udział w niejednej bitwie i mam pojęcie, co to znaczy. Dlatego teraz za swój obowiązek uważam zapewnienie bezpieczeństwa i pokoju naszym ziemiom i mieszkającym na nich ludziom, podczas gdy inni mężczyźni przepychają się w zaspokajaniu własnych ambicji i rozdzieraniu królestwa na strzępy.

Z oburzenia odbiera mi mowę. Obracam się na pięcie i wpadam do stajni, odszukując boks Artura. Stary koń bojowy na mój widok opuszcza potężny łeb, a ja gładzę go po szyi i drapię za uszami, i szepczę doń, że powinniśmy natychmiast stąd wyjechać, udać się do Coventry, odszukać Jaspera, który z pewnością już tam jest, i ramię przy ramieniu walczyć za króla.

## 10 LIPCA 1460 ROKU



Nawet gdybym zrealizowała swój plan i pogalopowała na Arturze, nie zdążyłabym na czas. Król dawno się okopał na pozycjach w pobliżu Northampton, bezpiecznie ukryty za palisadą z ostro zaciosanych belek mających powstrzymać kawalerię, i wystawił nowo odlane działo — załadowane i gotowe do oddawania salw raz po raz. Yorkiści pod dowództwem młodzika Edwarda, hrabiego Marchii, i z umieszczonymi w środku sił zdrajcami, Fauconbergiem i Warwickiem, mimo ulewy nadciągnęli w trzech grupach. Grunt przemienił się w chlupoczące błoto pod kopytami ich koni, wskutek czego nawet lekkobrojni grzęzli po pęciny. Pan Bóg siekł buntowników deszczem, wpychając ich głębiej w grzęzawisko i tarapaty. Młody Edward York musiał sięgać do najgłębszych pokładów odwagi, by przeprowadzić swoich ludzi przez bagno wśród świszczących strzał lancasterów. Byłby z pewnością poległ i jego urodziwa gładka twarz zgniłaby w trzęsawisku, gdyby jeden z naszych, baron Grey de Ruthin, nie zdradził i nie przepuścił wroga przez barykadę, by zaraz także się zwrócić przeciw swoim w walce wręcz, co spowodowało zepchnięcie sił królewskich aż nad rzekę Nene, w której wielu utonęło, otwierając drogę oddziałom Warwicka i Fauconberga.

Yorkiści okazali się bezlitosnymi zwycięzcami. Puścili wolno zwyciężonych, lecz każdego kto nosił zbroję, zamordowali, nie zwracając sobie głowy okupem. Co najgorsze, wkroczyli do naszego obozu i znaleźli namiot królewski z najjaśniejszym panem w środku, siedzącym w zamyśleniu, całkiem jakby się znajdował nie na polu

bitwy, tylko we własnej kaplicy, czekając, aż nieprzyjaciel po niego przyjdzie i porwie go jako wojenne trofeum.

Choć to niewyobrażalne, ci zdrajcy wzięli go w niewolę.

Dwa dni później sir Henryk przychodzi do mojej komnaty, kiedy szykuję się do wieczerzy.

— Zostaw nas samych — zwraca się opryskliwie do mej dworki. Niewiasta zerka na mnie, lecz dostrzegłszy pociemniałe spojrzenie pana domu, trwożliwie umyka. Dopiero wtedy sir Henryk mówi, z czym przyszedł, bez owijania w bawełnę. — Właśnie otrzymałem wieści. Mój ojciec nie żyje. Anglia utraciła wielkiego księcia pod Northampton, ja zaś dobrego rodziciela. Jego dziedzic, a mój bratanek, malutki Henryk Stafford, utracił dziadka i opiekuna.

Wydaję z siebie jęk, jakby ktoś mnie uderzył.

— Tak mi przykro... Tak bardzo mi przykro, Henryku...

— Ugodzili go mieczem, kiedy próbował z powrotem dosiąść konia — kontynuuje, najwyraźniej ani myśląc oszczędzać mi szczegółów. — Jego i hrabiego Shrewsbury, wicehrabiego Beaumont, barona Egremont... dobry Boże, ta lista nie ma końca. Poległ kwiat rycerstwa, całe pokolenie wielmożów. Wygląda na to, że zmieniły się wojenne obyczaje i już nie bierze się jeńców ani nie żąda okupu. O poddaniu nawet nie ma mowy. Bitwy toczy się na śmierć i życie, do ostatniej kropli krwi. Tak walczą dzikusy, nie cywilizowani ludzie.

— A król? — pytam z przejęciem. — Jemu chyba ci barbarzyńcy nie uczynili żadnej krzywdy?

— Najjaśniejszy pan dostał się w niewolę. Zwycięzcy powiedli go ze sobą do Londynu.

— W niewolę? — nie wierzę własnym uszom.

— Jakkolwiek to nazwać, do tego się to sprowadza.

— A królowa?...

— Zniknęła razem z synem.

— Zniknęła?

— Żyje. Zbiegła. Znalazła schronienie, tak przynajmniej sędzę. Mój Boże, w co też zamieniła się Anglia. Ojciec... — urywa i przełyka żal i rozpacz, odwracając się do okna. Na zewnątrz drzewa zdają

się soczyste, żywe, zielone, pola zaś powoli zaczynają zmieniać barwę na złotą. Trudno mi wyobrazić sobie ziemię posieczoną na błoto i świekra, tego próżnego arystokratę, zadżganego podczas próby ucieczki z pola walki. — Nie będę wieczerzał ze wszystkimi — obwieszcza mój mąż. — Ty możesz pójść do wielkiej sali albo zjeść w prywatnych komnatach, jak wolisz. Muszę się udać do Northampton i przywieźć ciało ojca. Wyjadę o brzasku.

— Przykro mi — powtarzam słabo.

— Setki synów pokonają tę samą drogę — mówi sir Henryk. — Wszyscy ze złamanymi sercami, obmyślając zemstę. Obawiam się, że do tego dojdzie; cały czas się tego obawiałem. Jak widzisz, wojna nie jest czysta ani honorowa, nie ma nic wspólnego z balladami. Wojna to chaos i brud, i grzech. Wojna to ofiary z prawych ludzi. A to dopiero początek...

Jak mogę, ukrywam swój strach do czasu wyjazdu męża, lecz nawet zanim wkroczy na południowy trakt, drzę o życie Jaspera. Na pewno rzucił się w najgorętszy wir walk, a potem każdy kto zmierzał do namiotu króla, musiał pierwiej mieć z nim do czynienia. Zatem nie żyje. Skoro król dostał się do niewoli, Jasper poległ w jego obronie. Jak mógłby przeżyć, skoro tylu zginęło?

Wieści o dziewierzu otrzymuję przed powrotem mojego męża do domu.

*Siostro,*

*udafo mi się uratować wielka damę i jej syna i oboje teraz przebywają ze mną w bezpiecznym miejscu. Aie mogę napisać gdzie, na wypadek, gdyby ten list dostał się w ręce wroga. (% mi nie grozi i nic nie grozi Twojemu synowi, którego zostawikm w dobrym zdrowiu. (Dama, o której wspomniałem, pozostanie w ukryciu do czasu, aż będzie możliwa jej ucieczka. Jortuna się od nas odwróciia, ale to przecież nie koniec. Owa dama nie traci nadziei ani odwagi i jest gotowa podjąć walkę.*

Chwilę mi zabiera, zanim uświadamiam sobie, że Jasper ma na myśli królową, że to ją zabrał spod nosa nieprzyjaciół i ukrył

w Walii. Zgoda, najjaśniejszy pan dostał się w niewolę, lecz dopóki Andegawenka przebywa na wolności, dopóty lancasterowie mają dowódcę; dopóki jej synowi nic nie zagraża, dopóty nic nie zagraża też następstwu tronu. Jasper pozostał wierny naszej sprawie, uchronił kwintesencję tejże sprawy i nie złamie danej czynem obietnicy. Z pewnością są teraz w Pembroke albo na zamku w Denbigh. Wiem, że mój dziewierz roztoczy nad królową opiekę, a ona okaże mu wdzięczność. Będzie jej się jawił błędnym rycerzem przybyłym w porę na ratunek. Będzie jej służył zgięty wpół, będzie ją zabierał na konne przejażdżki, a ona siedząc w siodle, będzie obejmować go w pasie szczupłymi rękoma. Moje rozmyślenia o sytuacji królowej kończą się tym, że muszę się udać do kaplicy i wyspowiadać z grzechu zazdrości. Nie mówię jednak księdzu, o co dokładnie pali mnie ta zazdrość.

Sir Henryk wraca do domu w ponurym nastroju, oddawszy ostatnią posługę ojcu i przekazawszy bratanka w ręce nowego opiekuna. Nieszczęsny chłopiec, nowy książę Buckingham, ma dopiero pięć lat. Humphrey Stafford zginął za sprawę lancasterów, kiedy jego syn był niemowlęciem, a teraz osierocił go jeszcze dziad. Widzę, że mego męża boleśnie dotknął ten cios zadany jego rodowi, jednakże nie potrafię wykrzesać z siebie współczucia, gdyż kto inny jest winien sromotnej klęski jak nie on właśnie i jemu podobni, którzy zostali w domach mimo wezwania królowej, mimo zagrażającego nam potwornego niebezpieczeństwa? Mój świekier poległ na polu bitwy. Czyja to wina, jak nie mężczyzny, który siedział przy kominku zamiast w siodle obok niego? Dowiaduję się od Henryka, że książę Yorku wjechał tryumfalnie do Londynu, wiodąc prawowitego króla jako jeńca, i został powitany zdumionym milczeniem. Okazuje się, że londyńczycy to tylko półzdrajcy, którzy na widok Yorka sięgającego po koronę wycofują się z danego mu poparcia.

— To chyba oczywiste — mówię. — Mamy już króla. Nawet zdradzieccy londyńczycy muszą zdawać sobie z tego sprawę.

Mój mąż wdycha, jakby męczyły go moje czarno-białe osady, a ja nagle zauważam, na jak starego i znużonego życiem wygląda. Bruzda między brwiami pogłębiła mu się znacznie, plecy zgarbiły

jakby pod wpływem odpowiedzialności za ród, która tak nieoczekiwanie na niego spadła. Skoro najjaśniejszy pan jest w niewoli, skoro Lancasterowie utracili władzę, ktoś odbierze odeń małego księcia i przekaże go w opiekę osobie pragnącej czerpać profity z rozległych ziem. Gdyby sir Henryk się zasłużył u Lancasterów bądź Yorków, miałby teraz coś do powiedzenia w sprawie dalszych losów swego bratanka. Gdyby bardziej dbał i zabiegał o zaszczyty, byłby teraz kimś znacznym, z czym zdaniem inni by się liczyli. Ale że zdecydował pozostać w domowym zaciszu, nie opowiadając się za żadną ze stron, nic teraz nie znaczy. Jest nikim. Ważne decyzje będą zapadały bez jego udziału, a on nie będzie mógł się zatroszczyć nawet o najbliższych.

— Doszło do porozumienia.

— Co? — naciskam. — Do jakiego porozumienia? Kto się układał i z kim?

Sir Henryk rzuca pelerynę jednemu ze służących. Opada na krzesło i kiwa na pachotę, żeby mu ściągnął buty. Zastanawiam się, czy przypadkiem nie jest chory — sprawia wrażenie skonanego. Rzecz jasna ma już swoje lata: trzydziesta piąta wiosna życia to nie przelewki, toteż nie powinien był się forsować taką długą podróżą.

— Miłościwy pan pozostanie królem do śmierci, ale następny na tronie będzie York. — Spogląda na mnie i zaraz odwraca wzrok. — Wiedziałem, że nie spodoba ci się ten pomysł. Nie martw się, umowa najpewniej długo nie przetrwa.

— Księżę Walii ma zostać pozbawiony swoich praw? — ledwie udaje mi się sformułować taką nie mieszczącą się w głowie możliwość. — Został intronizowany na księcia Walii, ale nie będzie namaszczony na króla Anglii? Jak ktokolwiek może mieć nadzieję na wyprzedzenie go w drodze do tronu?

Sir Henryk wzrusza ramionami.

— Wy wszyscy zostaniecie pozbawieni praw do korony Anglii, wszyscy, którzyście liczyli na sukcesję. Nie należysz już do domu panującego. Twój syn przestał być krewniakiem króla i potencjalnym następcą tronu. Koniec z Lancasterami, teraz do gry wchodzi Yorkowie. Ano tak — potwierdza, widząc zdumienie malujące się

na mojej twarzy. — Książę York wywalczył dla swoich synów to, czego nikt nie chciał mu dać po dobroci. To synowie Ryszarda są następnymi w kolejce po królu Henryku. Nowym domem panującym będzie dynastia Yorków. Lancasterowie zaś będą co najwyżej nosić zaszczytny tytuł kuzynów królewskich. Tego właśnie dotyczy ta umowa. Na to zgodził się miłościwy pan.

Wstaje i bosy rusza do swoich komnat.

Zatrzymuję go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

— Świadkiem tego samego była Joanna d'Arc! — mówię z podnieceniem. — Jej prawowity król został strącony z tronu, a jego dziedzictwo przypadło innej linii. Dlatego zaprowadziła księcia do Reims w proteście przeciwko wszystkim tym, którzy uważali, że nie powinien być koronowany na króla Francji. Joanna d'Arc spostrzegła, że został zaburzony Boży porządek, i postanowiła go przywrócić, stając po stronie prawowitego następcy tronu. Okoliczności zmusiły ją do wielkości i poświęcenia. Wiedziała, kto ma być królem, i walczyła za to.

Sir Henryk nie zdobywa się na swój zwykły wyrozumiały uśmiech.

— No i co z tego? Sądzisz, że możesz zawieźć Edwarda do Londynu i kazać go koronować na króla pomimo klęski lancasterów? Wbrew zawartej umowie? Staniesz na czele pokonanej armii? Chcesz być angielską Joanną d'Arc?

— Ktoś musi być! — odpowiadam z pasją. — Nie można pozbawić praw do tronu księcia Walii! Jak ktokolwiek mógł się na to zgodzić? Jak miłościwy pan mógł przystać na coś takiego?...

— Kto wie, co ten nieszczęśnik w ogóle myśli — stwierdza mój mąż. — Kto wie, ile rozumie z tego, co się dokoła niego dzieje, i czy zdarza mu się być przytomnym. Jeśli zapadnie w trans na dobre albo nawet umrze, Yorkowie przejmą tron i przynajmniej będą dość silni, by zapewnić królestwu pokój.

— Nie o to chodzi! — napadam na niego. — Yorkowie nie są wybrańcami Pana Boga. Książę Yorku nie wywodzi się od najstarszego syna Edwarda Trzeciego. Książę Yorku nie jest dziedzicem domu panującego, my jesteśmy! Ja jestem! Ja i mój syn... Król lekką ręką przekreślił moje przeznaczenie!... — Z piersi wyrwa mi się szloch. — Dla niego się urodziłam, mój syn się dla niego urodził!



Nikt nie może nas zmienić w królewskich kuzynów, przyszliśmy na świat w domu panującym!

Sir Henryk spogląda na mnie z góry i po raz pierwszy odkąd go znam, w jego oczach nie ma łagodności, jest tylko gniew.

— Dosyć! — wydaje z siebie warkot. — Jesteś głupią młodą niewiastą, która liczy... ile to? siedemnaście wiosen i nie ma o niczym pojęcia. Milcz, Małgorzato. To nie ballada ani opowieść, to nie romans. To tragedia, która każdego dnia dotyka Anglików. Nie mająca nic wspólnego z Joanną d'Arc, z tobą ani... Bóg świadkiem... z tak często przywoływanym przez ciebie imieniem Pana.

Strząsa z ramienia moją dłoń i wychodzi, kierując się na górę domu. Zesztywniały po długiej jeździe w siodle, utyka lekko, wspinając się po stopniach. Patrząc za nim z nienawiścią, ręką przyłożoną do ust tłumiąc szloch. Stary człowiek, stary głupiec, co on tam może wiedzieć. Znam Boże plany lepiej niż sir Henryk i wiem, że Pan Bóg jest i zawsze był po stronie Lancasterów.

## ZIMA 1460 ROKU



Mam rację, zaś mój mąż — choć to mój mąż, pan i władca — myli się. Przekonuję się o tym w czas świąt Bożego Narodzenia, gdy książe Yorku, rzekomo taki sprytny i waleczny dowódca, zostaje schwytyany pod murami swego zamku w Sandał, tylko z małą eskortą, w której szeregach znajduje się jego syn Edmund, hrabia Rutland, i zarówno on, jak i chłopak giną z bezwzględnych rąk naszych ludzi. I to by było tyle, jeśli chodzi o mężczyznę, któremu zamarzyło się nosić koronę!

Żołnierze królowej zabierają jego posieczone ciało i okaleczają je, pozbawiając głowy, którą następnie przystrajają w papierową koronę i zawieszają nad bramami Yorku, skąd może sobie patrzeć do woli na swoje królestwo, nim kruki i myszołowy wydziobią oboje oczu. Książe Yorku kończy jak zdrajca, a wraz z nim umierają nadzieje yorkistów, bo któż im pozostał? Hrabia Warwick dochował się samych córek, a trzech pozostali synowie Ryszarda Yorka — Edward, Jerzy i Ryszard — są zbyt młodzi, by stanąć na czele armii.

Nie tryumfuję nad mężem, gdyż nawykłszy do spokojnego życia, Boże Narodzenie spędzamy wraz z naszymi dzierzawcami, czeladzią i służbą, jak gdyby świat nie drżał pod naszymi stopami. Przy świątecznym stole nie rozmawiamy o podziałach w królestwie, a sir Henryk, choć otrzymuje wieści od londyńskich kupców i rzemieślników, nie dzieli się nimi ze mną, podobnie jak nic mi nie mówi, że krewni naciskają nań, by pomścił śmierć swego ojca. Doskonale

wiedząc, że Jasper pisuje do mnie z Walii, nie dopytuje o nowiny na świeżo odzyskanym zamku w Denbigh ani o bohaterski sposób jego odbicia.

Z okazji świąt Bożego Narodzenia posyłam memu synowi Henrykowi drewniany wózek na kołach, który można ciągnąć za dyszel, a mąż dodaje doń szylinga na drobiazgi, jakie mogą się marzyć małemu chłopcu. Rewanżuję się srebrnym pieniążkiem wartym sześć pensów dla malutkiego księcia Buckingham. Żadne z nas nie wspomina o toczącej się wojnie ani o królowej zdążającej na południe z armią pięciu tysięcy pałających żądzą mordy Szkotów, już splamionych niczym chętni łowczy krwią buntowniczych Yorków, ani też o moim przekonaniu, że Dom Lancasterów ponownie jest górą i odniesie miażdżące zwycięstwo w początkach nadchodzącego roku, co jest nieuniknione, zważywszy na przychyłność Pana Boga wobec nas.

## WIOSNA 1461 ROKU



Uważam, jak każdy kto ma trochę oleju w głowie, że wraz ze śmiercią księcia Yorku dobiega końca bratobójcza wojna. Jego syn Edward ma tylko osiemnaście lat i znalazł się na rubieżach Walii, gdzie wszyscy popierają Jaspera i Dom Lancasterów. Jego żona, księżna Cecylia, zdając sobie sprawę z ostatecznej klęski, przywdziewa żałobną czerń i wysłała swoich dwóch młodszych synów do kryjówki we Flandrii, pod skrzydła księcia Burgundii. Księżna z pewnością drży jak osika na myśl o powrocie królowej do Londynu, powrocie z łaknącą krwi armią i z pragnieniem zemsty za to drugie nieudane powstanie przeciwko Koronie. Musi wiedzieć, że nie udaje jej się ocalić najstarszego syna, który najpewniej poniesie śmierć tam, gdzie jest, w Walii, walcząc za przegraną sprawę martwego ojca.

Tym razem Jasperowi przyjdzie bronić własnego dziedzictwa u boku Owena Tudora. Razem nie mogą ulec oddziałowi dowodzonemu przez młodzika, który dopiero co stracił ojca i brata. Mój dziewierz ujmuje to tak:

*Trzeba nam zabić to szczenią, by wyplenić caby ród. 'Bogu chwata, że jego ojciec nie żyje. Zbroimy się przeciwko nowemu księciu 'Yorku, by się z nim zmierzyć już w najbliższych dniach. Twój syn jest bezpieczny na zamku w Tembrokę, niech Cię odejdą wszelkie obawy.*

— Może dojdź do kolejnej bitwy — ostrożnie informuję męża, gdy pojawia się w alkierzu. Siedzę naprzeciwko kominka, kątem

oka jednak widzę, jak sir Henryk zdejmuje odzienie i nagi wślizguje się do łoża.

— Ależ tu wygodnie—zauważa. — Czyżbyś miała delikatniejszą pościel niż ja?

Chichoczę, na chwilę zapominając o poważnych sprawach.

— Nie wydaje mi się. Wszystkie tkaniny zamawia twój ochmistrz. Te, w których leżysz, przywiozłam jeszcze z Walii, ale mogę kazać nimi oblec twoją pościel, skoro nalegasz.

— Nie, wolę rozkoszować się nimi tutaj. Dajmy spokój kłopotom królestwa, żono.

— Ale ja dziś otrzymałam list od Jaspera.

— Powiesz mi, co pisze twój dziewierz, jutro rano.

— To zbyt ważne.

Sir Henryk wdycha przeciągle.

— No dobrze. Skoro się upierasz... Zatem co pisze Jasper?

— Wręczam mu list, a on przebiega po nim wzrokiem. — Tak — powiada. — To dla mnie żadna nowina. Wiedziałem, że w Walii znów się zbroją. Twój dawny wróg, Wilhelm Herbert, ponownie zmienił barwy.

— Nie!

— Raz jeszcze zatknie za zbroję białą różę i stanie u boku młodego Yorka. Nie trzymał strony Lancasterów zbyt długo. Jasper musi czuć wściekłość, że Herbert znów wystawi swoje siły przeciwko niemu.

— Herbert to pies bez honoru! — wybucham. — Żeby zrobić coś takiego, zaznawszy od króla laski!...

Sir Henryk wzrusza jednym ramieniem.

— Czy to wiadomo, czemu człowiek staje po tej czy tamtej stronie? Słyszałem od kuzyna, który jest w szeregach armii królowej, że zamierzają zmieść resztki yorkistowskiego zagrożenia i tryumfalnie wrócić do Londynu.

— Czy pojedziemy na dwór królewski, kiedy Andegawenka zasiądzie znów w pałacu westminsterskim? — pytam.

— Na ucztę tryumfalną? — kpi mój mąż. — W parlamencie będę miał masę pracy. Jak nic połowa Anglii zostanie odarta z majątków i zaszczytów, tak że będzie co dzielić. Druga połowa

już ostrzy sobie zęby na nagrody za współudział w tej hekatombie.

— My zaś nie zaliczamy się ani do jednych, ani do drugich — stwierdzam z wyrzutem.

— Wolałbym nie być nagrodzony majątkiem człowieka, który został oskarżony o zdradę za to, że próbował służyć radą swojemu królowi — rzecz cicho sir Henryk. — Ty zaś wolałabyś nie rozstać się z przyznaną nagrodą, czego konieczność nastąpi niechybnie, gdy tylko król odzyska pełnię władz i swoim zwyczajem zacznie przebaczać na prawo i lewo. Wspomnisz moje słowa, da pardon wszystkim swoim wrogom, puszczając ich do domów. Jego poplecznicy rozumieją, że ich wierna służba nie jest doceniana jak należy. Z popierania takiego króla nie ma ani honoru, ani profitów.

Zaciskam usta, żeby powstrzymać rodzącą się replikę. Rozmawiam z mężem. Cokolwiek powie, jest dla mnie prawem. Jeśli chodzi o mnie, sir Henryk na tym padole jest równy Panu Bogu. Zresztą nie ma potrzeby sprzeczać się z nim na głos. Wystarczy, że w głębi ducha mam go za tchórza.

— Chodź do łoża — prosi. — Po co ci się przejmować tym wszystkim, skoro i ty, i twój syn jesteście bezpieczni? A jesteś bezpieczna, Małgorzato. Dbam o to, by wojna nie miała dostępu do naszych ziem, i ani myślę uczynić cię po raz drugi wdową dla wątpliwego honoru zwycięstwa nad krajanami. Chodź do łoża i uśmiechnij się dla mnie.

Kładę się do łoża, gdyż to mój żoniny obowiązek, wszelako czynię to bez uśmiechu.

Niebawem dochodzą mnie najgorsze wieści z możliwych. Najgorsze wieści, i to od Jaspera. Miałam go za niezwykłego, lecz myliłam się, tak bardzo się myliłam. Sądziłam, że nigdy nie przegra, a tymczasem to właśnie się dzieje.

*Siostro,*

*zostaliśmy pokonani, mój ojciec nie żyje. Szedł na szafot, żartując; przekonany, że nie odważą się podnieść nań choćby ręki- Todnieśli miecz i ścięli mu głowę, która teraz zatknięta na włócznie straszy*

*z murów Merefordu. Zamierzam zabrać Twego syna z Tembroke i przenieść się z nim nazarek w Harlech. Tam będzie bezpieczniejszy. 9\$e martw się o mnie, mimo że moim zdaniem przegraliśmy swoją sprawę na całe pokolenie, może nawet na zawsze. 'Małgorzato, odwagi, gdyż teraz wyznam Ci najgorsze. Tu, w Mortimefs Cross, otrzymaliśmy od 'Boga znak—znak bynajmniej nie dla 'Domu Lancasterów. Tan 'Bóg pokazał nam nad polem bitwy trzy słońca forków, a jeden z tej trójki, najstarszy "Edward, rzuciwszy się śmiało w wir walki, rozniósł nas na strzepy. 'Widziałem to na własne oczy. \$je może być mowy o pomyłce. 9{qd armią Edwarda Obrka pojawiły się trzy słońca, każde tak ^samo jasne i rażące. 'Przeświecały przez mgłę, wszystkie trzy, a potem się połączyły i zalały blaskiem jego sztandar. Powtarzam, byłem tego świadkiem, więc wiem, co mówię. 'Wszelako nie mam pojęcia, co to mogło znaczyć, więc do czasu aż zrozumiem, zamierzam bronić naszej sprawy. 'Hądal wierzę, że Bóg nam sprzyja, aczkplwiektego akurat dnia Q o przy nas nie było. Z jakiegoś powodu zwrócił Swoje oblicze na naszego wroga, błogosławiąc trzech synów księcia Obrku. Tłapiszę znowu, gdy przedrzemy się do ^Harlech.*

3-

Sir Henryk przebywa akurat w Londynie, więc muszę długo czekać na jego powrót do domu i możliwość podzielenia się smutną wiadomością od Jaspera — że wojna zakończyła się naszą przegraną. Kiedy go witam na dziedzińcu przed stajniami, on tylko potrząsa głową na moją bezładną paplaninę.

— Sza, Małgorzato. Jest o wiele gorzej, niż myślisz. Młody Edward York sięgnął po koronę, świat oszalał i uczynił go królem.

To mnie ucisza w pół słowa. Rozglądam się po dziedzińcu, jakbym miała nadzieję na utrzymanie niewyobrażalnego w sekrecie.

— K-królem? — powtarzam, jękając się.

— Podali mu koronę na tacy i ogłosili go prawowitym następcą tronu. Nie musi już czekać na zgon Henryka Szóstego. Zapowiedział, że przegna z Anglii króla i królową, a potem wyprawi huczną koronację, włoży na głowę koronę świętego Edwarda i przyjmie krzyżmo na pierś. Jestem tu tylko po to, by zebrać ludzi. Wyruszę bronić najjaśniejszego pana.

— Ty? — pytam z niedowierzaniem. — Wyruszasz na wojnę? Nareszcie?

— Ja. Wyruszam na wojnę. Nareszcie.

— Ale dlaczego?

Wzdycha.

— Ponieważ nie chodzi już o wasala, który chce zostać wysłuchany przez swego króla, do czego mógłbym się przychylić, pod warunkiem że ów wasal doradzałby mądrze najjaśniejszemu panu, odsuwając odeń przeniewierców. Teraz chodzi o otwarty bunt, zwykły bunt i uzurpowanie sobie prawa do tronu. To sprawa, za którą godzi mi się walczyć. York dopuszcza się zdrady, a zdradę należy tępić.

Gryzę się w język, aby nie powiedzieć, że gdyby raczył wyruszyć na wojnę wcześniej, najpewniej byśmy się nie znaleźli w tym straszliwym położeniu.

— Gdy dojdzie do walk w obronie króla, nie może zabraknąć Stafforda. Nasz sztandar musi powiewać nad polem bitwy. Na pierwszy ogień poszedł mój nieszczęsny brat, potem był mój szacowny rodziciel, obaj ponieśli śmierć w tym chaosie, a teraz nadeszła moja kolej. Będę niósł nasz sztandar, być może nie do końca przekonany, być może bez nadmiernego entuzjazmu, ale jako najstarszy z rodu nie mam innego wyjścia.

Mało mnie obchodzą jego motywy.

— Wiadomo, gdzie król? — dopytuję.

— Przy królowej. Stoczyła wygraną bitwę pod St. Albans i odtąd są znów razem.

— Yorkiści doznali klęski? Jak to możliwe? Wydawało mi się, że odnoszą jedno zwycięstwo po drugim?

Sir Henryk potrząsa głową.

— Potyczki pod St. Albans nie można nazwać prawdziwą bitwą. Ot, na rynku miasteczka starli się ludzie Warwicka i garstka żołnierzy Andegawenki, podczas gdy Edward York maszerował prosto na Londyn. Tak się jednak złożyło, że król Henryk znajdował się wtedy pod opieką Warwicka i kiedy yorkiści pierzchnęli przed królewskim oddziałem, najjaśniejszy pan został znaleziony pod wielkim dębem, skąd przyglądał się walkom.



— Czy nie doznał szwanku?

— Nie. Do samego końca mieli na niego baczenie dwaj yorkistowscy siwogłowi wielmoże, baron Bonville i sir Tomasz Kyriell. Nie dopuścili do tego, by stała mu się krzywda. Przekazali go jak dziecko w ręce królowej i odtąd ma ona pod swymi skrzydłami obydwóch: i męża, i syna.

— Ale chyba... — waham się przy doborze słowa. — Chyba nie postradał zmysłów?

— Jest przytomny. Na razie. Tak przynajmniej powiadają.

— Więc w czym rzecz? Skąd u ciebie taka ponura mina, mężu?

— Z powodu pogłoski przekazywanej z ust do ust w londyńskich oberżach. Być może całkowicie rozmijającej się z prawdą. Oby...

— Pogłoski na jaki temat?

— Ponoć ci dwaj, którzy pilnowali króla w czas bitwy, dwaj yorkistowscy wielmoże, Bonville i Kyriell, zostali zaprowadzeni przed oblicze królowej i małego księcia Edwarda, siedmiolatka...

— I?

— Ponoć królowa zapytała syna, jaki los powinien spotkać barona Bonville i sir Tomasza, którzy strzegli mu ojca w trakcie toczących się walk i zachowawszy w zdrowiu, zwrócili rodzinie, a mały książę odparł na to: zetnijcie im głowy. Tak po prostu, jakby nigdy nic. No i Bonville'a i Kyriella ścięto na podstawie rozkazu siedmiolatka, po czym jego samego pasowano na rycerza za odwagę. Syn Andegawenki zaiste zasmakował w wojnie. Pytanie, czy byłby zdolny władać podczas pokoju.

Widząc grymas na twarzy męża, waham się, co powiedzieć.

— To zaiste przykre.

— Powiadają, że syn jest tak samo mściwy jak matka. I cały Londyn stoi znów murem za Yorkiem. Nikt nie chce chłopca takiego jak książę Edward na tronie.

— Co będzie dalej?

Sir Henryk rozkłada ramiona.

— Będzie walna bitwa. Król i królowa znów są razem, na czele potężnej armii. Młody Edward York i przyjaciel jego ojca, hrabia Warwick, kierują się w ich stronę. Nie chodzi już o to, kto będzie zasiadał w radzie królewskiej. Chodzi o to, kto będzie zasiadał na

tronie i władał Anglią. Dlatego moim obowiązkiem jest wystąpić w obronie króla Henryka.

Spostrzegam, że drzę.

— Nie sądziłam, że kiedyś się wybierzesz na wojnę — mówię niepewnym głosem. — Sądziłam, że raczej zawsze będziesz się wymigiwał od obowiązków. Nie sądziłam, że kiedyś się wybierzesz na...

— Miałaś mnie za tchórza — przerywa mi z gorzkim uśmiechem — a teraz nie umiesz się cieszyć z mej waleczności? Zresztą nieważne. Za tę samą sprawę poległ mój ojciec, który także wkładał zbroję w ostatnim momencie, więc kiedy wypadło na mnie, nie mogę okazać się gorszy niż on. Jego wzorem wstrzymałem się z decyzją do ostatniej chwili. Ale podjąłem ją. Gdyż jeśli przegramy, będziemy mieli na tronie yorkistowskiego króla i jego potomków po wieki wieków, natomiast twój ród przestanie się liczyć. Teraz właściwie nie ma znaczenia, czy sprawa, za którą będę walczył, jest szlachetna; to raczej kwestia tego, po której stronie się urodziłem. Król to król, trzeba mi go bronić. W przeciwnym razie twój syn już nie będzie o trzy kroki od korony Anglii, tylko stanie się chłopcem odartym z tytułu, z majątku, z królewskiego nazwiska. Ty i ja zaś staniemy się zdrajcami na własnej ziemi. Może nawet ją utracimy. Nie wiem, co jeszcze moglibyśmy utracić...

— Kiedy wyruszysz? — pytam bojaźliwie.

Tym razem jego uśmiech nie jest ani wesoły, ani ciepły.

— Obawiam się, że będę musiał wyruszyć bezzwłocznie.

## WIELKANOC 1461 ROKU



Gdy przebudzili się o świcie, powitała ich cisza i nadzwyczajna biel wirujących płatków śniegu. Było przenikliwie zimno. Śnieżyca rozpoczęła się przed brzaskiem i oblepiała sztandary warstwą zmrożonej bieli przez cały dzień. Lancasterowie, zajmujący długie wznie-sienie w pobliżu wioski Towton i idealnie rozmieszczeni na strzela-jących w niebo szczytach, spoglądali w dół na dolinę, gdzie skrywali się zasypywani śniegiem yorkiści. Powietrze było nazbyt mokre, aby zapalić lont, gęsty śnieg ograniczał widoczność łucznikom, zwilgotniałe lotki bełtów oklapły, nie zwiastując celnych strzałów. Królewscy strzelali na oślep, w dół zbocza, w sam środek zawiei, a buntow-nicy odpowiadali sporadycznymi salwami, mierząc bez ochyby w podświetlone blaskiem sylwetki odcinające się na tle jaśniejącego nieba.

Było tak, jakby Pan Bóg postanowił uczynić tę Niedzielę Palmową okazją do walki wręcz, skierować człowieka przeciwko człowiekowi, doprowadzić do najokrutniejszej bitwy, tej wojny w miejscu nazwanym Krwawym Polem. Szereg za szeregiem zaciężni Lancasterów padali pod deszczem strzał, zanim dowódcy zezwolili im na szarżę. Dopiero wówczas odrzucili bezużyteczne łuki i kołczany, dobywając mieczy, toporów i wszelakich ostrzy, by hurmem ruszyć w dół zbocza na spotkanie armii osiemnastolatka, w przyszłości mającego zostać królem, a teraz ledwie panującego nad swymi ludźmi przerażonymi widokiem walącego im się na głowy nieprzyjaciela.

Wreszcie z okrzykami „Za Yorka!” i „Za Warwicka!” rzucili się w przód. I starły się ze sobą dwie armie. Długo trwały w żelaznym uścisku niczym pług i gruda skalistej ziemi, podczas gdy skrzypiący śnieg pod stopami żołnierzy stopniowo zamieniał się w różowawą breję. Henryk Stafford, rzucający się właśnie w wir najgorętszej walki, poczuł nagle ukłucie w udo i to, jak koń pod nim potyka się i upada. Zdołał wyszarpnąć nogi ze strzemion i uskoczyć na bezpieczną odległość — po to tylko, by zlec w poprzek umierającego mężczyzny o wytrzeszczonych oczach i otwartych ustach, z których dochodziło mamrotanie o pomoc. Stafford poderwał się w górę i znowu w bok, zrobił unik, żeby rozminąć się z ostrzem topora, po czym z trudem stanął na obu nogach i uniósł miecz.

Cokolwiek widział podczas turniejów i kogucich walk, nic nie mogło go przygotować na barbarzyństwo tego starcia. Swoją przeciwnikowi swemu, kuzyn przeciwko kuzynowi, Anglik przeciwko Anglikowi, wszyscy oślepieni przez padający śnieg i pobudzeni szałem bitewnym, silniejsi siekli i walili, kopali i stąpali po trupach, słabsi zaś oswobadzali się z trudem i rzucali do ucieczki, potykając się i przewracając w ciężkich zbrojach, nierzadko mając tuż za plecami jeźdźca w kolczudze wywijającego buzdyanem chętnym rozłupać im głowy.

Od rana do wieczora pośród płatków śniegu wirujących wokół niczym ptasie pióra przy skubaniu gęsi, dwie wraże armie nacierały na się i zadawały sobie wzajem rany, odpychały się i znów zwierzały, niczego nie osiagając, nie mając nawet widoków na zwycięstwo, zupełnie jakby pochwycono je w senny koszmar o bezsensownej walce. Ofiary ustępowały pola niekończącym się szeregom rezerwistów, którzy wspinali się na zwały trupów, by łatwiej dosięgnąć zabójcy towarzysza broni. Dopiero gdy zaczęło się zmierzchać, w świetle zorzy słońca zasnutego nieustannie padającym śniegiem pierwszy szereg lancasterów jał ustępować pod naporem przeciwnika. Zaraz jednak napotfcał odpór dalszych szeregów i musiał wrócić do czynnej walki. Tymczasem na bocznych skrzydłach powoli, u jednego żołnierza za drugim, strach zaczynał brać górę nad wściekłością i mężczyźni pomimo siebie wymykali z szyku.

Niemal natychmiast zaznali ulgi, gdyż yorkiści jak jeden mąż odpuścili i cofnęli się o krok. Stafford, przeczuwając impas w walce, oparł się na głowicy miecza i powiódł wokół spojrzaniem.

Dostrzegł kruszące się szeregi lancasterów, którzy wymykali się z pola bitwy niczym zmęczeni pracą żniwiarze pragnący wrócić do domów przed innymi.

— Hej tam! — zawołał. — Stać! Stać w imię Boga! Za Stafforda! Za króla!

Na dźwięk jego ochrypłego głosu uciekinierzy tylko przyśpieszyli, ani myśląc stawać znów do walki.

— Konia! — krzyknął więc.

Wiedział, że za wszelką cenę musi ich dogonić i powstrzymać, zanim wezmą z nich przykład pozostali, wywołując kompletną rejtęradę. Wsunął skrwawiony miecz do pochwy i jął się przedzierać w stronę odwodów ze świeżymi wierzchowcami, ale biegnąc, spojrział w prawo i zamarł z przerażenia.

Albowiem yorkiści nie odpuścili dla chwili wytchnienia, jak to często bywa w trakcie bitwy, jeno sami się zerwali pędem w stronę swoich odwodów i teraz mężczyźni, którzy jeszcze niedawno atakowali lancasterów pieszo, dosiadali niezgonionych wierzchowców i nacierali zwartą masą, wywijając buzdyganami, machając mieczami, kłując włóczniami w nieosłonięte szyje. Stafford rzucił się szczipakiem na ziemię, za ciało zdychającego konia, dziękując w duchu Panu Bogu, że buzdygan przeciął ze świstem powietrze w miejscu, gdzie przed chwilą znajdowała się jego głowa. Usłyszał stęknienie strachu i ze zdumieniem stwierdził, że sam je wydał. Usłyszał tętent, rozpoznał w nim zbliżający się oddział jeźdźców i poczuł, że kurczy się w sobie jak przestraszony ślimak, przyciskając twarz do brzucha pochrapującego ciężko rannego konia. Ponad nim jeden z jeźdźców gładko przeskoczył i bestię, i człowieka, tak że Stafford dojrzał tylko błysk końskich podków, poczuł podmuch powietrza i zdążył się skrzywić na przyskające w jego stronę błoto, zanim przywarł jeszcze ciaśniej do nieszczęsnego zwierzęcia.

Kiedy pierwszy oddział jazdy przewalił się nad nim i wokół niego, odważył się nieznacznie wyrzeć zza powalonego rumaka. Yorkistowscy rycerze zdawali się łowczymi, gdy tak ścigali spieszonych

królewskich, dziwnie przypominających naganiane jelenie, podczas ucieczki w stronę mostka przerzuconego nad Cock Beck, rzeczką płynącą nieopodal pola bitwy, a właściwie w stronę ich jedynej nadziei, jaką stanowiła przeprawa na drugi brzeg. Piesi yorkiści, okrzykami wspierając jezdnych, nie ustępowali im kroku i próbowali odciąć uciekającym drogę na mostek. W parę chwil drewnianą konstrukcję zapełnili walczący — lancasterowie usiłujący się wyrwać i dopaść tamtego brzegu i yorkiści ściągający ich z powrotem na ten lub kłujący nieprzyjaciela ostrzami w plecy, wszyscy się przy tym potykali o trupy swoich i wrogów. Mostek trzeszczał pod przepychającymi się w tę i we w tę żołnierzami, pod napierającymi końmi, które spychały jednych ludzi za barierki do lodowato zimnej wody, a drugich tratowały kopytami. Widząc nadciągających rycerzy z dwusiecznymi mieczami śmigającymi po obu stronach końskich łbów niczym kosy, widząc bojowe konie stojące dęba i opadające żelaznymi podkowami na głowy towarzyszy, tuzinami skakali do rzeki, w której ich towarzysze walczyli z żywiołem i między sobą, starając się wyplatać z ciągnącej w głębinę zbroi i nie dać utopić tym, co na nich spadli i teraz, rozpaczliwie machając wszystkimi kończynami, wpychali pod wodę, lodowatą i zabarwioną krwią.

Stafford zatoczył się ze zgrozy.

— Wracać! Zmienić szyk! — chrypiał, lecz doskonale wiedział, że nikt go nie posłucha, nikt go nie usłyszy. Po czym ponad bitewnym gwarem doszło jego uszu złowieszcze skrzypienie i trzeszczenie mostka. — Zejść z mostu! Zejść z mostu! — darł się, wyrывая naprzód, ku brzegowi, aby ostrzec swoich ludzi nadal dżgających, nadal sieczących, mimo iż wszyscy już czuli złowróźbne drżenie pod nogami. Ten i ów podał dalej ostrzeżenie, ale nikt nie zaprzestał walki w nadziei, że wygra i zdąży uciec na brzeg, gdy wtem barierki puściły, belki podtrzymujące konstrukcję złamały się i cały most się zawalił, strącając ludzi, konie i martwe ciała w nurt rzeki. — Uwaga na most! Uwaga na most... — krzyczał Stafford coraz ciszej, w miarę jak docierał doń ogrom kłęski.

Przez krótką chwilę, kiedy śnieg dalej padał, a ludzie w rzece dalej to zanurzali się, to wypływali na powierzchnię, by zaraz zatonąć pod ciężarem zbroi, wydawało mu się, że zapanowała absolutna

cisza, że on jest jedynym człowiekiem na ziemi. Rozglądał się, lecz nie widział drugiego człowieka stojącego prosto na dwu nogach. Niektórzy czepiali się połamanych belek, równocześnie opędzając od razów tych, co na klęczkach starali się sztyletami rozewrzeć rozpaczliwy uchwyt; niektórzy tonęli na jego oczach targani przez skrwawiony nurt; niektórzy leżeli bez ruchu na ziemi, powoli znikając pod świeżą warstwą śnieżnego puchu.

Stafford, poczuwszy znów chłód, zauważył, że to zimne płatki śniegu opadają mu na spoconą twarz, i wyciągnął język jak dziecko, by posmakować tego cudu rozpuszczającego się w spragnionych ustach. Z bieli wynurzyła się jakaś postać i zaczęła doń zbliżać posuwicie niczym duch. Stafford ze znużeniem sięgnął po miecz, obnażył go z pochwy i przybrał postawę. Nie sądził, by miał dość siły choć na uniesienie miecza, lecz wiedział, że skądć musi dobyć odwagę do pozbawienia życia jeszcze jednego krajana.

— *Pax* — odezwał się mężczyzna głosem wypranym z wszelkiego uczucia. — *Pax*, bracie. To już koniec.

— Kto zwyciężył? — spytał go Stafford.

Mimo nich rzeka toczyła w pieniącym się nurcie niezliczone ciała. Dokoła mężczyźni gramolili się na nogi lub pełzli w stronę swoich linii. Większość jednak nie poruszała się w ogóle.

— Co za różnica? — odpowiedział pytaniem na pytanie niby-duch. — Wiem tylko tyle, że straciłem cały oddział.

— Jesteś ranion? — Stafford zauważył, że mężczyzna chwieje się na nogach.

Kiedy rozmówca odjął dłoń od pachy, na ziemię trysnęła jasna krew. Czyjś miecz wraził się w ciało pomiędzy płytami pancerza.

— Chyba umieram — powiedział mężczyzna, a Stafford dopiero teraz spostrzegł, że twarz ma białą jak śnieg na włosach i wąsach.

— Nie umrzesz — odrzekł. — Chodźmy. Mam konia w pobliżu. Dostaniemy się do Towton, ktoś cię tam opatrzy.

— Chyba nie dam rady.

— Dasz — zachęcał go Stafford. — Przynajmniej my wyjdźmy z tego żywi.

Niespodzianie nawet dla niego stało się bardzo ważne, by jeszcze jeden człowiek, ten jeden człowiek przeżył rzeź razem z nim.

Mężczyzna oparł się o jego ramię i tak pokuśtykali we dwóch w górę zbocza, ku dawnych lancasterskim liniom. Nieznajomy się zawahał, docisnął dłoń mocniej do rany i kaszlnął chrapliwie.

— Co się stało? No, dalej! Uda nam się! Dasz radę, zobaczysz...  
O co chodzi?

— Idziemy do góry? Twój koń czeka na wzniesieniu?

— Oczywiście.

— Walczyłeś po stronie lancasterów?

Stafford zachwiał się nagle pod ciężarem rannego.

— A ty nie?

— Ja walczyłem za Yorka. Jesteśmy wrogami.

Obejmując się jak bracia, dwaj mężczyźni mierzyli się przez chwilę spojrzzeniami, po czym naraz wybuchnęli śmiechem.

— Skąd miałem wiedzieć? — chichotał mężczyzna. — Na Boga, mój własny brat walczył po przeciwnej stronie. Chyba po prostu założyłem, że musisz być yorkistą, bo w gruncie rzeczy jak rozpoznać różnicę?

Stafford potrząsała głową.

— Bóg jeden wie, kim jestem, co będzie dalej i w kogo jeszcze się zamienię — rzekł. — I Bóg jeden wie też, że bitwa taka jak ta nie jest żadnym rozwiązaniem.

— Walczyłeś wcześniej w tej wojnie?

— Nie, i jeśli zdołam, nigdy więcej walczyć nie będę.

— Musisz stanąć przed królem Edwardem i poddać się.

— Król Edward — powtórzył Stafford. — Pierwszy raz ktoś przy mnie nazwał chłopaka Yorków królem.

— On jest królem. Nowym królem — oświadczył nieznajomy z wielką pewnością. — Ja natomiast poproszę go, by okazał ci łaskę i puścił cię wolno do domu. Przekonasz się, że jest miłosierny, choć gdyby było na odwrót i gdybyś ty powiodł mnie do swej królowej i swego księcia, Bóg świadkiem, że źle bym skończył. Andegawenka morduje bezbronnych jeńców, my tego nie robimy. A ten jej synalek to istny potwór.

— Chodźmy więc — ponaglił Stafford i obaj dołączyli do długiej kolejki lancasterów, którzy czekali, by poprosić o łaskę nowego króla i przysiąc mu, że już nigdy nie podniosą nań ręki.



Tuż przed nimi stali członkowie lancasterskich rodów, które Stafford znał od urodzenia — między innymi baron Rivers i jego syn Antoni — ze zwieszonymi głowami, ucichli pod wpływem hańby porażki. Stafford wyczyścił miecz, czekając na swą kolej, i przygotował się wewnątrz na złożenie broni. Śnieg nadal padał, a rana w udzie wciąż pulsowała, kiedy podchodził wolno w górę zbocza, na którym wciąż stał zatknięty w ziemię drag służący za maszt dla królewskiego proporca, teraz pusty i otoczony przez ciała martwych królewskich chorążych.

Na wzniesieniu przykuwał wzrok niezwykle wysoki najstarszy syn księcia Yorku.

Mój mąż nie wraca z wyprawy wojennej jako bohater. Wraca po cichu, nie mając w zanadru opowieści o szlachetnych rycerzach. Dwa lub trzy razy pytam go, jak tam było, sądząc, że walki przypominały te toczone przez Joannę d'Arc w imieniu Pana Boga i za namaszczonego władcę, łudząc się, że widział jakiś dany przez Pana Boga znak — coś w rodzaju trzech słońc Yorków, które zaświeciły nad polem zwycięskiej bitwy Edwarda; coś, co powiedziałyby nam, że Stwórca jest wciąż z nami pomimo pasma klęsk. Wszelako sir Henryk nie odpowiada mi, milczy z uporem, zachowuje się tak, jakby nie było z czego być dumnym, jakby droga do chwały i nieba nie wiodła przez trudy i mękę.

Dowiaduję się odeń jedynie o losie pary królewskiej — Henryk VI i Andegawenka wraz z księciem Walii zdołali zbiec w bezpieczne miejsce z towarzyszącym im Henrykiem Beaufortem, głową mojego rodu. Ukryli się w Szkocji, gdzie bez wątpienia spróbują odbudować swoją armię, toteż młodemu Edwardowi Yorkowi przyda się siła niepozornej białej róży pieniacej się niczym chwast w rowach, przyda się szczęście, które mu dotychczas sprzyjało i pod zamglonym Mortimer's Cross, i pod zaśnieżonym Towton, gdyż wygrał zarówno we mgle, jak i w śniegu, a teraz został wyniesiony na króla Anglii przez poddanych.

Lato przepędzamy w spokoju, nieomal w ukryciu. Mój mąż może i doznał łaski królewskiej, ale nikt raczej nie zapomni, że zaliczamy

się do jednego z najpotężniejszych rodów sprzyjających Lancasterom i że ja jestem matką chłopca, który ma prawa do tak niefortunnie utraconego przez nas tronu. Sir Henryk udaje się do Londynu, by zebrać wieści, i przy okazji przywozi mi pięknie zdobiony manuskrypt „O naśladowaniu Chrystusa” napisany po francusku, z myślą, abym przełożyła go na angielski w ramach swoich studiów. Wiem, iż chce skierować mą uwagę na inne sprawy niż klęska Domu Lancasterów i tragedia Anglii, i jestem mu wdzięczna, co okazuję podziękowaniem i zabraniam się do lektury, lecz jakoś w nic nie mogę włożyć serca.

Oczekuję na wieści od Jaspera, sądzę jednak, że i on pogrążył się w tym żalu, który dopada mnie jeszcze przed otwarciem oczu rano i towarzyszy mi wieczorem przy zasypianiu. Każdego dnia budzę się i uświadamiam sobie z bolesnym kurczem serca, że mój krewniak król znalazł się na wygnaniu — Pan Bóg raczy wiedzieć gdzie — a jego wróg zasiadł na tronie. Godzinami klęczę w kaplicy, lecz Stwórca nie zsyła mi żadnego znaku, że ten zły czas to tylko czas próby i że prawowity król znów dojdzie do władzy. A potem, kiedy już prawie straciłam nadzieję, przez bramę wjeżdża posłaniec, zdrożony i brudny, dosiadając niewielkiego walijskiego konika. Od razu wiem, że przywozi mi list od Jaspera.

*"Wilhelm "Herbert dostanie całą Walię, • wszystkie, moje ziemie i zamki w nagrodę za ponowną zdradę i przypięcie białej róży Jorków, W dodatku nowy król uczynił go baronem. Teraz on nie będzie dawał mispokpju, jakja niegdyś nie dawałem spokoju jemu, a wątpię, by historia się powtórzyła i król mi przebaczył, jakkjedyś inny, miłosierny król przebaczył jemu. Muszę więc opuścić "Walię. Czy przybędziesz po swojego syna? Spotkajmy się na zamku w Tembroke za miesiąc. %fie zdołam czekać na Ciebie dłużej.*

3-

Odnajduję chłopca stajennego.

- Gdzie mój mąż, gdzie sir Henryk?
- Jaśnie pan objeżdżają pola z zarządcą — bąka.
- Osiodłaj mi konia, muszę natychmiast z nim mówić. — Chłopak wyprowadza Artura, który wyczuwszy moje zniecierpliwienie,

rzuca potężnym łbem i orze kopytem ziemię dziedzińca, kiedy zakładają mu uprząż. — Szybciej, szybciej — ponaglam.

Jak tylko zostają dociągnięte popręgi, sadowię się w siodle i wyjeżdżam przez bramę, kierując się ku polu obsianemu jęczmie-  
niem. Z daleka widzę, że mój mąż i zarządca znajdują się po jego drugiej stronie. Uderzam piętami boki Artura, zachęcając go do kłusa, i wnet jestem przy obu mężczyznach, a ogromny koń bojowy wprawia w popłoch ich wierzchowce.

— Prrr... — uspokaja swego konia sir Henryk, mnie zaś wita słowami: — Co się stało?

Zamiast odpowiedzi wciskam mu w ręce list, po czym gestem każę zarządcy oddalić się poza zasięg słuchu.

— Musimy odebrać mojego syna — informuję. — Jasper będzie na nas czekał na zamku w Pembroke. Zanim wyjedzie. Musimy tam być niezwłocznie.

Sir Henryk niespiesznie zapoznaje się z treścią listu, co doprowadza mnie do furii. Potem zavraca koniem ku zabudowaniom i po drodze raz jeszcze czyta list.

— Musimy wyruszyć niezwłocznie — powtarzam.

— Wyruszymy wtedy, gdy będzie to bezpieczne.

— Muszę odebrać mojego syna! Jasper tak postanowił!

— Decyzje Jaspera nie należą do najlepszych, co zapewne rozumiesz teraz, kiedy jego sprawa jest przegrana, a on sam zbiega do Francji czy Bretanii albo Flandrii, pozostawiając twego syna bez opiekuna.

— Nie ma innego wyjścia!

— Tak czy siak, Jasper ucieka. Nie trzeba nam zbytnio się przejmować jego radami. Zgromadzę słuszną eskortę i gdy na traktach zrobi się bezpiecznie, pojedę po twego syna.

— Ty pojedziesz? — Tak się niepokoję o małego Henryka, że nie udaje mi się przegnać z głosu wzgardy.

— Tak, ja. Sam. Chyba nie sądziłaś, że naraziłbym cię na niedogodności pośpiesznie zorganizowanej podróży do Walii?

— Możesz napotkać zbrojnych. Oddziały Wilhelma Herberta z pewnością wciąż patrolują okolicę. Najpewniej wasze ścieżki się przetną.

— W takim razie miejmy nadzieję, że podeszły wiek i siwa skroń przemówią na moją korzyść — odpowiada mój mąż z uśmiechem.

Nie zwracam uwagi na żart.

— Musisz się przedostać do Walii na czas — kontynuuję — w przeciwnym razie Jasper pozostawi mego chłopca samego na zamku w Pembroke, a Herbert natychmiast wyciągnie po niego łapy.

— Wiem.

Wjeżdżamy na dziedziniec przed stajniami, gdzie sir Henryk po cichu zamienia kilka słów z Grahamem, swoim koniuszym, po czym wszczynają się rejewach, gdy z boksów są wyprowadzane wierzchowce, mężczyźni pobierają broń w zbrojowni, a dzwon na wieży naszej kaplicy ogłasza okolicznym dzierżawcom, że pan ich wzywa pod swoją komendę. Wszystko dzieje się tak szybko i tak sprawnie jak nigdy wcześniej, ja zaś odczuwam zdumienie na widok mojego męża dowódcy.

— Mogę też pojechać? — pytam. — Proszę, mężu. Chodzi o mojego syna. Chcę bezpiecznie przywieść go do domu.

Sir Henryk marszczy czoło w zamyśleniu.

— Czeka nas długa i niełatwa droga.

— Wiesz, że jestem silna.

— Może zrobić się groźnie. Graham wprawdzie twierdzi, że w pobliżu nie ma żadnych wojsk, lecz przecież nam przyjdzie pokonać większość Anglii i spory kawał Walii.

— Nie boję się i obiecuję, że będę ci posłuszna.

Odpowiada mi milczenie.

— Błagam — zmieniam ton. — Mój mężu, jesteśmy małżeństwem od trzech i pół roku, a ja przez cały ten czas nigdy o nic cię nie prosiłam.

Wreszcie sir Henryk kiwa głową.

— No dobrze. Możesz jechać. Idź się spakować. Wolno ci zabrać tylko sakwę przytraczaną do siodła. Nie zapomnij o zmianie odzieży dla mnie. I każ przygotować zapasy dla pięćdziesięciu osób.

Gdybym zarządzała domostwem, zrobiłabym to sama, ale że wciąż czuję się tu jak gość, zsiadam z grzbietu Artura i udawam się

do ochmistrza, mówię, że pan, ja i eskorta składająca się z pięćdziesięciu ludzi wybieramy się w drogę i będziemy potrzebowali jadła i napitku. Następnie polecam swojej służce i giermkowi sir Henryka spakować nasze rzeczy. Zaraz potem wracam na dziedziniec i czekam.

Wszystko jest gotowe w ciągu godziny. Po tym czasie mój mąż wychodzi za próg domu, mając przerzuconą przez ramię podróżną pelerynę.

— Masz ciepłą pelerynę? — pyta. — Nie. Tak właśnie myślałem. Zabierz tę, a ja wezmę jakąś starą. Trzymaj! A przytrocz ją dobrze do siodła!

Artur stoi spokojnie, kiedy go dosiadam — jakby wiedział, że mamy przed sobą ważne zadanie.

— Jeśli zoczmy żołnierzy, pojedziesz z Willem i jego bratem. Masz dawać im posłuch. Ich rozkazy mówią, aby odwieźć cię z powrotem do domu lub do pierwszej siedziby, w której znajdziesz schronienie. Nie mitręż i rób, co ci każą. Chodzi o twoje bezpieczeństwo, może nawet o życie.

— Chyba nie mówisz o naszych żołnierzach? — wytykam.  
— O armii królowej?

Sir Henryk krzywi się i rzuca:

— Jej armii na pewno nie spotkamy po drodze... Andegawenki nie stać na opłacenie jednego łuczника, o całym oddziale nie wspominając. Nie usłyszymy o niej do czasu, aż zadzierzgnie sojusz z Francją.

— Cóż... masz moje słowo — przyrzekam. Brodą wskazuję Wilła i jego brata. — Udam się z nimi, kiedy uznasz za stosowne.

Mój mąż kiwa głową zadowolony, acz z twarzą nadal ponurą, po czym kieruje wierzchowca na czoło naszego skromnego orszaku — składającego się góra z pięćdziesięciu ludzi uzbrojonych tylko w miecze i topory — i opuszczamy dom, ruszając ku Walii.

Jesteśmy na miejscu dopiero po dziesięciu dniach jazdy bez wytchnienia. Kierujemy się na zachód coraz gorszymi traktami, szerokim łukiem omijając miasto Warwick i jadąc na przełaj, ilekroć możemy, aby nie ryzykować spotkania z żołnierzami którejkolwiek

armii: naszej czy wrażej. Co noc zatrzymujemy się po wioskach, oberżach, klasztorach i szukamy przewodnika na następny dzień. Chociaż to serce Anglii, większość ludzi nie ma pojęcia o świecie poza granicami parafii. Mój mąż posyła przodem niestrudzonych zwiadowców, przykazując im wracać co koń wyskoczy, jeśli ujrzą awangardę armii bądź zwykłych maruderów, dając nam tym samym szansę na odbicie w bok, w puszczy, i poszukanie tam schronienia. Nie potrafię uwierzyć, że musimy się kryć nawet przed własnymi wojskami. Należymy do Domu Lancasterów, lecz co z tego, skoro armia lancasterów, którą ściągnęła do królestwa Andegawenka, wymknęła się spod kontroli. Bywa, że zbrojni śpią w stodole, podczas gdy ja i sir Henryk przytulamy głowę do poduszki w zwykłej chacie. W niektóre wieczory stajemy w przydrożnej oberży, raz w klasztorze z tuzinem komnatek gościnnych, regularnie przyjmującym niewielkie oddziały żołnierzy maszerujących od jednej bitwy do drugiej. Za furką klasztorną nikt nas nie pyta, której stronie służymy, mnie jednak rzuca się w oczy brak złotych ozdób w kaplicy. Braciszkwowie ukryli dobrze swoje skarby i modlą się, usiłując doczekać nawrotu pokoju w królestwie.

Nie zajeżdżamy pod rozległe siedziby wielmożów skryte w gęstych lasach ani na zamki rozsiane na okolicznych wzgórzach widocznych z traktu. Zwycięstwo Yorków było tak spektakularne, że nie śmiemy obnosić się z tym, iż zdążamy na ratunek memu synowi, dziedzicowi Domu Lancasterów. Zaczynam rozumieć, co sir Henryk miał na myśli, mówiąc mi wcześniej, że Anglię niszczy nie tylko wojna, ale także ciągła groźba wojny. Rodziny mieszkające po sąsiedzku i przyjaźniące się od pokoleń nagle unikają się ze strachem i nawet ja, zbliżając się do ziem mego pierwszego męża, którego imię wciąż jest wspomинane z miłością, obawiam się spotkania z kimś, kto mógłby mnie rozpoznać.

Podczas podróży, wymordowana do cna i obolała, przekonuję się, że Henryk Stafford dba o mnie, ani nie czyniąc nadmiernego zamieszania wokół mojej osoby, ani nie wypominając, że jestem słabą niewiastą i nie powinnam była się pchać na tę wyprawę. Po prostu pomaga mi zsiąść z grzbietu Artura, kiedy zatrzymujemy się na postój, i zawsze dopilnowuje, abym pierwsza miała wino, wodę

i chleb z serem. Ilekroć zatrzymujemy się na większy posiłek, osobiście przynosi mi strawę, zanim nawet sam coś zje, a potem rozpościera na ziemi swoją pelerynę, abym mogła odpocząć przed dalszą drogą. Mamy wiele szczęścia, że nie pada, a humory nam dopisują. Często jedziemy obok siebie z sir Henrykiem, który uczy mnie żołnierskich piosenek, tyle że zamienia sprośne słowa na inne, przezeń wymyślone.

Doprowadza mnie do śmiechu bezsensownymi przyspiewkami, a także opowiada o swym dzieciństwie — o roli młodszego syna księcia Buckingham, o tym, że ojciec go przeznaczył do stanu duchownego i Henryk tylko cudem się wyłgał od służby Kościołowi. Ponoć nie było mowy o odstąpieniu od pierwotnego planu wobec niego, dopóki nie powiedział księdzu, iż czuje się opętany przez diabła, co wzbudziło tak wielki niepokój wszystkich o jego duszę, że koniec końców odpuszczono mu stan duchowny.

Rewanżując się, opowiadam o swych marzeniach z dzieciństwa, o pragnieniu zostania świętą i o radości, jaką wywoływały we mnie kolana zgrubiałe i szorstkie od nieustannego klęczenia — na co on śmieje się głośno, kładzie mi dłoń na rękach dzierżących wodze i nazywa drogim dzieckiem, swoim drogim dzieckiem.

Miałam go za tchórza, gdy odmawiał wyruszenia na wojnę i potem, kiedy wrócił taki ścichły z pola bitwy, lecz chyba myliłam się co do niego. Henryk Stafford to po prostu bardzo ostrożny mężczyzna, który za żadną sprawą nie jest całym sercem. Nie chciał zostać księdzem, gdyż nie potrafił w całości oddać się Panu Bogu. Nie żałował, że urodził się młodszym synem, gdyż nie zależało mu na zostaniu księciem i głową wielkiego rodu. Mimo że urodził się jako członek Domu Lancasterów, nie popiera ani nie lubi królowej. Będąc wrogiem Domu Yorków, ma dobre zdanie o Warwiku i podziwia odwagę Edwarda Yorka, któremu się poddał po bitwie. Ani myśli udawać się na dobrowolne wygnanie jak Jasper, na to nazbyt lubi dom rodzinny. Nie zamierza stawać za żadnym panem i zawsze się kieruje własnym rozumem. Sądzę, iż wiem, co miał na myśli, mówiąc, że nie jest ogarem, który zaczyna ujadać na dźwięk rogu myśliwskiego. Rozważa wszystko w świetle tego, co jest prawe i co może przynieść korzyść jemu i jego bliskim, a nawet królestwu.

Mój mąż nie ulega łątwo porywom serca, w przeciwieństwie do Jaspera. Nie pasuje do tych czasów pełnych gwałtownych namiętności.

— Trochę odwagi nie zawadzi... — Uśmiecha się do mnie, kiedy Artur z pluskiem pokonuje bród na rzece Severn będący wrotami do Walii. — Żyjemy w ciężkich czasach, każdy człowiek, zajedno mężczyzna czy niewiasta, musi obrać swoją drogę, zdecydować, komu się przysłuży. Moim zdaniem bez względu na okoliczności trzeba postępować rozważnie i zawsze zastanowić się dwa razy, zanim coś się uczyni.

— A ja zawsze byłam zdania, że trzeba postępować słusznie — odpieram. — I że nic więcej się nie liczy.

— No tak, tylko że wtedy chciałaś być świętą — ponownie się do mnie uśmiecha. — Teraz, zostawszy matką, musisz myśleć nie tylko o tym co słuszne, lecz także co dobre i bezpieczne dla ciebie i twego dziecka. Nade wszystko w świecie pragniesz uchronić swojego syna od złego. Jego bezpieczeństwo znaczy dla ciebie więcej nawet od woli Bożej...

Słowa sir Henryka wprawiają mnie w konsternację.

— Jakże to? Przecież wolą Pana Boga jest, aby mój syn pozostał bezpieczny — mówię. — Ten chłopiec jest bez zmy, a poza tym wywodzi się z linii królewskiej. Pan Bóg musi chcieć go chronić dla dobra dynastii. Wola Boża i moje pragnienia pokrywają się...

— Naprawdę uważasz, że Pan Bóg w niebiesiech, pośród swoich aniołów od czasów Stworzenia po Sąd Ostateczny, przygląda się światu w dole, widzi ciebie i małego Henryka Tudora i wami kieruje?

Mam wrażenie, że właśnie usłyszałam bluźnierstwo.

— Tak, tak uważam — potwierdzam, aczkolwiek z lekkim wahaniem. — Pan Jezus zapewnił mnie, że jestem równie drogocenna jak lilija...

— Ano jesteś — przytakuje mój mąż z takim uśmiechem, jakby chciał pocieszyć historyjką szkraba.

Jego słowa sprawiają, że milknę i na dalszą część drogi pogrążam się w rozmyślaniach.

— Sądzisz, że znalazłoby się wielu mężczyzn podobnych do ciebie... takich, co nie są całym sercem ani za jedną, ani za drugą



stroną? — odzywam się dopiero wieczorem, kiedy pomaga mi zsiąść z grzbietu Artura na dziedzińcu zapuszczonej oberży przy trakcie do Cardiff.

Sir Henryk klepie mojego wierzchowca po szyi.

— Sądzę, że większość Anglików stanie po tej stronie, która obieca pokój i bezpieczeństwo ich rodzinom — odpowiada. — Oczywiście, że jest coś takiego jak lojalność wobec króla i że nikt przy zdrowych zmysłach nie zaprzeczy, iż król Henryk jest prawowitym namaszczonego władcą. Co jednak w sytuacji, gdy nie jest zdolny do władania swoim królestwem? Co w sytuacji, gdy co rusz zapada w trans i nie może panować? Co w sytuacji, w której to królowa nim kieruje? A jej z kolei ktoś źle doradza? Co może być złego w tym, że pragnie się silnego monarchy w jego miejsce? Następcy tronu, pretendenta z królewskiego rodu? Nieledwie brata, a z pewnością kuzyna? Mającego tak samo dobre prawo do tronu jak obecny król?

Ze zmęczenia zataczam się do tyłu i opieram o masywną nogę Artura, co widząc, mój mąż przyciąga mnie do siebie i obejmuje.

— Nie zamartwiał się tymi sprawami na razie — rzecze. — Obecnie liczy się tylko to, abyśmy odebrali twojego syna i zapewnili mu bezpieczeństwo. Kiedy to się stanie, będziesz mogła rozważyć, kogo ty i Pan Bóg chcielibyście widzieć na tronie Anglii.

Dziesiątego poranka naszej podróży, kiedy posuwamy się wąskimi kamienistymi ścieżynkami wiodącymi przez górzysty krajobraz, mój mąż zwraca się do mnie:

— Powinniśmy być na miejscu w południe.

Wciążam ze świstem powietrze na myśl o rychłym spotkaniu z synem. Sir Henryk posyła przodem zwiadowców, aby sprawdzili, czy nic nam nie zagrazi przy podejściu do zamku. Wygląda na to, że w okolicy panuje spokój. Czekamy, starając się nie rzucać w oczy, a mąż pokazuje mi otwarte bramy zamku i opuszczony most zwodzony. Na naszych oczach z podzamcza wychodzi pastuszka ze stadkiem kaczek i niespiesznym krokiem udaje się nad strumyk.

— Chyba jesteśmy bezpieczni — rzecze mój mąż ostrożnym tonem, zeskakuje z siodła i pomógłszy mi zsiąść z grzbietu Artura, prowadzi mnie na brzeg strumienia. Kaczki pływają już po przy-

brzeżnej wodzie, niektóre żółtawymi dziobami przetrząsają błoto, pastuszka zaś usiadła na skarpie i bawi się kawałkiem koronki.  
— Dziecko, kto jest panem na tym zamku? — pyta ją sir Henryk.

Dziewuszka podrywa się na dźwięk jego głosu, odzyskuje równowagę na śliskim gruncie i dyga niezgrabnie.

— Jaśnie pan hrabia Pembroke, aleć odkąd poszedł na wojaczkę, ani widu po nim, ani słychnu... — mówi po angielsku, ale z tak silnym walijskim akcentem, że ledwie potrafię ją zrozumieć.

— Ktoś inny objął panowanie na zamku?

— E, nie. Wszyscy tu liczą, że jaśnie pan wróci. Może wy wiecie, dobry panie, gdzie się podziewa jaśnie pan hrabia Pembroke?

— Nie, nie wiem tego. A czy chłopiec nadal mieszka na zamku?

— Malutki jaśnie pan hrabia? Ano tak, mieszka. Oprócz kaczek mam jeszcze kurki i co rano posyłam dla niego parę świeżo zniesionych jajek.

— Naprawdę? — nie umiem ukryć swej radości. — Czy panicz zjada co rano świeże jajka?

— O, tak — potwierdza pastuszka. — Z tego co wiem, na każdy obiad życzy sobie pieczone kurczę.

— Ilu zbrojnych? — przerywa nam tę wymianę zdań mój mąż.

— Setka — odpowiada dziewczynka. — Aleć trzykroć tyle pojechało na wojaczkę z Jasperem Tudorem i już nie wróciło. Ludzie mówią, że to była straszna klęska. Mówią, że Bozia zawiesiła trzy słońca na niebie, coby przekląć naszych chłopców, i że teraz trzej synowie Yorka przeklną cały kraj.

Mój mąż rzuca gadatliwej pastuszce monetę nad strumykiem, a ona łąpczywie chwyta ją w ręce. Wracamy do miejsca, gdzie czekają nasi ludzie, i na powrót dosiadamy koni. Sir Henryk rozkazuje pieszej eskorcie rozwinąć nasz sztandar i ruszyć wolno przodem, czekając na dalsze polecenia.

— Nie chcemy, by przywitał nas rój strzał — rzecze do mnie. — Will z bratem zabiorą cię na tyły, tak na wszelki wypadek.

Rozpaczliwie pragnę być już na zamku, który kiedyś był mi domem, wszelako zgodnie ze złożoną obietnicą spełniam życzenie męża. Przesuwamy się wolno do przodu, aż słyszymy zawołanie z murów zamku i równocześnie zgrzyt opadającej żelaznej bramy.

Dopiero kiedy sir Henryk z chorażym podjeżdżają bliżej i okrzykują się strażnikom, krata podnosi się ze stęknieniem i możemy wjechać na dziedziniec.

Mój wierzchowiec zatrzymuje się przed stajniami w stałym miejscu, a ja korzystając z ustawionego tam kloca drewna, zsiadam bez niczyjej pomocy i oddaję wodze pachołkowi. Kątem oka widzę, że Artur zmierza do swego dawnego boksu, jakby nadal był koniem bojowym Owena Tudora. Stajenny krzyczy z radości na jego widok, ja zaś ze ściśniętym sercem kieruję się w stronę drzwi frontowych, które otwiera przede mną tutejszy ochmistrz. Mężczyzna poznaje mnie, mimo iż urosłam i trochę się zmieniłam.

— Milady... — wita mnie z ukłonem.

— Gdzie mój syn? — pytam bez wstępów. — W komnacie dziecięcej?

— Tak — potwierdza. — Zaraz poproszę, żeby piastunka sprowadziła go na dół.

— Nie trzeba. Pójdę do niego — rzekę i nie oglądając się za siebie, już pędzę w górę po schodach.

Wpadłszy jak burza do komnaty dziecięcej, widzę, że Henryk właśnie spożywa popołudniowy posiłek. Siedzi u szczytu stołu nakrytego pełną zastawą i jest obsługiwany jak hrabia. Spostrzegłszy, że ktoś wszedł do komnaty, odwraca głowę, lecz w jego oczach nie pojawia się błysk rozpoznania na mój widok. Kręcone włoski ma brązowe z czerwonym połyskiem, przypominające sierść kasztanka, zupełnie jak powiedział kiedyś Jasper; oczy obecnie orzechowe; twarzyczkę wciąż pyzają od dziecięcego tłuszczu, choć poznać, że to już nie małe dziecko, tylko chłopiec, czterolatek.

Złazi z krzesła, używając w tym celu bocznych szczebelków, i podchodzi do mnie. Kłania się; widać, że został dobrze wychowany.

— Pani, witaj na zamku Pembroke — odzywa się. W jego głosie słychać najłżejszy z możliwych walijski akcent, poza tym dźwięk jest czysty i wyraźny. — Nazywam się hrabia Richmond.

Opadam na kolana, aby moja twarz znalazła się na wysokości jego oczu. Niczego nie pragnę bardziej, jak porwać go w ramiona i przytulić, ale muszę pamiętać, że jemu wydaję się obcą osobą.

— Twój stryj Jasper z pewnością ci o mnie opowiadał — zaczynam.

W jednej chwili wyraz jego oblicza zmienia się na radosny.

— Stryj jest tutaj? Jest bezpieczny?

Potrząsam głową.

— Nie, przykro mi... Ufam, że nic mu się nie stało, lecz nie ma go tutaj ze mną.

Wargi wyginają mu się w podkówkę. Bojąc się, że zaraz się rozpłacze, wyciągam do niego rękę, a on prostuje ramiona i zaciska szczęki, powstrzymując łzy. Zagryzając dolną wargę, pyta drżącym głosem:

— Stryj wróci, prawda?

— Na pewno. Już niebawem.

Henryk kiwa głową, mruga powiekami. Po jego policzku toczy się łza.

— Jestem lady Małgorzata, twoja matka — mówię. — Przyjechałam, żeby zabrać cię do swojego domu.

— Jesteś moją matką?

Chcę się uśmiechnąć, wzruszenie jednak dławi mnie w gardle. Przełykam ślinę.

— Tak — potwierdzam po chwili. — Jechałam do ciebie prawie dwa tygodnie, aby się upewnić, że nic ci nie grozi.

— Nic mi nie grozi — oświadcza z powagą. — Tylko że czekam na powrót stryja Jaspera. Nie mogę z tobą nigdzie pojechać, lady Małgorzato. Stryj przykazał mi na siebie czekać.

Drzwi za moimi plecami się otwierają i słyszę ciche kroki sir Henryka.

— To mój mąż, sir Henryk Stafford — przedstawiam go swojemu synowi.

Chłopiec odsuwa się ode mnie i kłania przybyłemu. Jasper nie zaniedbał jego wychowania. Sir Henryk, tłumiąc uśmiech, odpowiada równie dostojnym ukłonem.

— Witaj na zamku Pembroke, milordzie — rzecze mój syn.

— Dziękuję — odpowiada sir Henryk, po czym przenosi wzrok na mnie i dostrzegłszy zarumienioną twarz i łzy w oczach, pyta: — Wszystko w porządku?

Czynię nieokreślony gest, jak gdybym chciała powiedzieć: tak, wszystko w porządku z tym wyjątkiem, że mój syn traktuje mnie jak obcą osobę i czeka na Jaspera Tudora, który został uznany za zdrajcę i skazany na wygnanie. Mój mąż zdaje się mnie rozumieć bez słów, gdyż ponownie przenosi spojrzenie i zwraca się do małego Henryka.

— Oddział moich ludzi przebył długą drogę z Anglii na niezwykle urodziwych rumakach. Pomyślałem sobie, że może byś zechciał je zobaczyć, póki są w uprzęży i zanim wypuści się je na pastwisko.

Twarzyczka mego syna rozpromienia się w okamgnieniu.

— Jak liczny oddział?

— W sile pięćdziesięciu zbrojnych, zwiadowców i sług.

Malec kiwa zamasyście głową. Urodził się i wychował na ziemi objętej wojną, jego opiekunem był najwaleczniejszy dowódca Domu Lancasterów. Ktoś taki raczej dokona inspekcji oddziału wojskowego, aniżeli będzie siedział przy stole.

— Chcę je zobaczyć — odpowiada. — Muszę tylko włożyć dublet.

To powiedziawszy, znika w swojej komnacie prywatnej, gdzie jak słyszymy, prosi służącą, by podała mu jego najlepszy dublet, gdyż wybiera się przeprowadzić inspekcję matczynej eskorty.

Mój mąż uśmiecha się do mnie ciepło.

— Miły chłopiec z niego — stwierdza.

— Nie poznał mnie. — Tłumię płacz, lecz zdradza mnie drżenie głosu. — Nie ma pojęcia, kim jestem. Traktuje mnie jak obcą...

— To oczywiste — rzecze sir Henryk delikatnie — wszelako ulegnie zmianie. Twój syn jeszcze zdąży cię poznać. Ty zdążysz być mu matką. Ma dopiero cztery lata; przegapiłaś tylko trzy z nich, teraz zaś możesz je nadrobić. Co najważniejsze, jest dobrze wychowany i bystry.

— Przede wszystkim jest dzieckiem Jaspera — mówię zazdrośnie.

Sir Henryk ujmuje mnie za rękę i przykłada mą dłoń do zgięcia swego ramienia.

— Od teraz zaś będzie twoim dzieckiem. Jak obejrzy moich ludzi i konie, zaprowadź go do boksu Artura i opowiedz, że kiedyś

należał do Owena Tudora. Sama zobaczysz, będzie chciał dowiedzieć się więcej, a ty zyskasz okazję do opowiedzenia mu historii rodziny.

Przyglądam się w milczeniu, kiedy mój syn szykuje się na spoczynek. Przełożoną komnaty dziecięcej jest wciąż ta sama niewiasta, którą Jasper wyznaczył tuż po narodzinach chłopca — to ona zajmuje się Henrykiem od maleńkości, a mnie teraz zżera zazdrość, gdy widzę, z jaką łatwością sobie z nim radzi: jak zwinnie usadza go sobie na kolanach, żeby rozdziać z koszulki; z jaką swobodą go łaskocze, wsuwając mu przez głowę nocny strój; wreszcie z jakim uczuciem udziela mu reprimendy za to, że wije się jak węgorz z rzeki Severn. On także czuje się dobrze w jej obecności i tylko od czasu do czasu przypomina sobie o mnie, po czym posyła mi nieśmiałe spojrzenie, jakim grzeczne dziecko obdarza gościa.

— Życzysz sobie, milady, posłuchać, jak się modli? — pyta mnie opiekunka, kiedy malec człapie do komnaty sypialnej.

Pełna żalu idę za nią i patrzę, jak mój syn klęka w nogach łoża, spleta dłonie i recytuje *Ojciec nasz* i pozostałe modlitwy przewidziane na wieczór. Opiekunka wręcza mi niestaranie skopiowany modlitewnik, z którego odczytuję fragment, a Henryk zakańcza sopranem: — Amen — po czym czyni znak krzyża, wstaje i podchodzi do niej po błogosławieństwo.

Niewiasta taktownie odstępkuje krok do tyłu, wskazując gestem, że powinien uklęknąć przede mną. Widzę, że Henryk wydyma wargi, ale zaraz posłusznie przyklęka naprzeciwko mnie, ja zaś kładę dłoń na jego kręconych lokach i mówię:

— Niech Pan Bóg cię błogosławi i chroni, mój synu.

Podniósłszy się z klęczek, Henryk odwraca się i pędzi w stronę łoża, by podskoczyć na nim parę razy, aż opiekunce udaje się go przykryć i utulić, a także odruchowo pocałować na dobranoc.

Skrepowana, niepewna reakcji, obca w komnacie dziecięcej rodzzonego syna, zbliżam się do łoża, nachylam nad nim i całuję Henryka w czoło. Skórę ma ciepłą, pachnącą świeżo upieczonym pieczywem, gładką i jędrną niczym owoc prosto z drzewa.

— Dobrej nocy — szepczę.

Prostuję się. Opiekunka zabiera świecę, zaciąga zasłony wokół łoża i zajmuje swoje miejsce przy kominku. Będzie tu siedziała, dopóki mój syn nie zaśnie, jak co noc, jak co noc od jego narodzin. Przez całe swoje życie Henryk usypiał, widząc profil ukochanej twarzy w blasku płonących dREW i słysząc skrzypienie płóz bujanego fotela. Ja nie mam tu nic do roboty. Mój syn nie potrzebuje mnie do szczęścia.

— Dobrej nocy — powtarzam i po cichu wychodzę.

Zamykam za sobą drzwi komnaty mego syna i przystaję u szczytu kamiennych schodów. Właśnie mam nimi zejść i odszukać męża, gdy słyszę skrzypnięcie drzwi otwieranych nad głową, na wieży. Wiem, że to te same drzwi, przez które Jasper nieraz wychodził na blanki, by popatrzeć w gwiazdy bądź w niespokojny czas wypatrywać nadciągającego przez równinę wroga. Moja pierwsza myśl jest taka, że to Wilhelm Herbert umieścił kogoś na zamku Pembroke i teraz napastnik czai się na mnie z nożem w rękę, gotów w każdej chwili wpuścić za mury oddział nieprzyjaciela. Przyciskam plecy do drzwi komnaty, którą przed chwilą opuściłam, szykując się na konieczność ucieczki i odgrodzenia od wroga. Przede wszystkim muszę chronić syna. Wezwę pomoc przez okna jego komnaty, w razie potrzeby oddam za niego życie.

Dobiega mnie odgłos kroków na górze, potem cicho zamykanych drzwi, wreszcie zgrzyt klucza w zamku. Wstrzymuję oddech, by nie wydać żadnego dźwięku. Słychać tylko powolne kroki tego kogoś, kto schodzi z wieży.

W pewnej chwili, jak gdybym poznała go po tych krokach, wiem już, że to Jasper, i bez obaw występuję z cienia, szepcząc: — Jasperze, och, Jasperze... — On zaś zeskakuje z trzech ostatnich stopni i w mgnieniu oka zamyka mnie w objęciach, tuląc do siebie mocno. Moje ręce instynktownie go oplatają, pod palcami czuję naprężone mięśnie szerokich barków, i trwamy tak, czepiając się siebie, jakby żadne nie miało już nigdy puścić drugiego. Po długiej, bardzo długiej chwili odsuwam się, aby mu się przyjrzeć, i zniemacka czuję, jak jego usta zakrywają moje. Pocałunek Jaspera powoduje, że ogarnia mnie tak niesłychane pożądanie i taka tęsknota, jakbym

wzywała imienia Pana i jakby się okazało, że Bóg odpowiedział ogniem.

Dopiero myśl o Panu Bogu sprawia, że odrywam się z westchnieniem, a Jasper wypuszcza mnie z objęć natychmiast.

— Wybacz.

— Nie!

— Sądziłem, że jesteś na wieczerzy albo w świetlicy. Chciałem po cichu przekraść się do ciebie i do twojego męża.

— Byłem z synem.

— Ucieszył się, jak cię zobaczył?

Wzruszam krzywo jednym ramieniem.

— Bardziej dba o ciebie. Tęskni za tobą. Od jak dawna tu jesteś?

— W okolicy niemal od tygodnia, ale nie chciałem się zbliżyć do zamku z obawy przed szpiegami Herberta. Mógłbym go w ten sposób ściągnąć nam na głowy. Dlatego przyczałem się wśród wzgórz, czekając na twój przyjazd.

— Przyjechałam najszybciej, jak się dało. Och, Jasperze, czy naprawdę musisz uciekać?

Jego ramię znów obejmuje mnie w talii, co sprawia, że bezwiednie nań napieram. Jestem teraz nieco wyższa, głową sięgam mu aż do ramienia. Czuję się tak, jakbyśmy idealnie do siebie pasowali, jakby jego ciało było drewnianym klinem, który bez żadnej pomocy szczepia się z moim. Wydaje mi się, że odtąd będę cierpieć do końca życia, jeżeli nie pozostaniemy razem.

— Małgorzato, ukochana... Tak, muszę uciekać — odpowiada z prostotą. — Za moją głowę wyznaczono nagrodę, Herbert i ja mamy ze sobą na pieńku. Ale wrócę. Pojadę do Francji albo Szkocji i zbiorę ludzi w obronie prawdziwego króla, po czym wrócę z własną armią. Masz na to moje słowo. Wrócę, a ten zamek raz jeszcze będzie moją siedzibą, kiedy Lancaster ponownie zasiądzie na tronie i odniesiemy ostateczne zwycięstwo.

Spostrzegam, że kurczowo się go chwytam, toteż rozluźniam uścisk palców, wypuszczam zmiętą materię jego dubletu i odstepuję o krok, zmuszając się do tego całą siłą woli. Przestrzeń między nami, piędź, nie więcej, zdaje się pustką nie do przebycia. Nie do wytrzymania.



— Co u ciebie? — Jego szczerze chabrowe oczy przemykają po mojej twarzy, potem otwarcie po całej figurze. — Nie masz więcej dzieci?

— Nie — odpowiadam krótko. — Jakoś nie. Sama nie wiem czemu.

— Ale traktuje cię dobrze?

Potwierdzam skinieniem.

— Pozwala mi korzystać z kaplicy, kiedy tylko chcę, a także nie ma nic przeciwko temu, bym czytała. Obdarza mnie szczerze gotówką wpływającą z moich ziem. Do tego kupuje mi książki i pomaga z łaciną.

— To dopiero coś — zauważa cierpko.

— Cóż, dla mnie tak — rzekę obronnie.

— A jakie stanowisko zajmie wobec króla Edwarda? — pyta. — Czy grozi ci coś z tej strony?

— Nie wydaje mi się. Wprawdzie bronił króla Henryka pod Towton...

— Twój mąż ruszył na wojnę?

Omiał nie wybucham śmiechem.

— Owszem, i chyba tego pożałował. Wszelako uzyskał przebaczenie, które powinno się rozciągać także na mnie. Teraz zabierzemy mego syna do domu i będziemy żyć po cichu, nie wychylając się. A kiedy prawowity król wróci na tron, my nadal będziemy na jego rozkazy. Wątpię, żeby York przejmował się nami. Przecież ma poważniejszych wrogów? Sir Henryk nigdy nie wdawał się w sprawy wielkiego świata, preferując zacisze domowe. Tak mało się liczy, że nikt nie będzie zawracał sobie nami głowy.

Jasper się szczerzy — oto młody mężczyzna, który urodził się, by odegrać swoją rolę w wielkim świecie, i z całą pewnością nie stawia wyżej domowej ciepła.

— Być może. W każdym razie cieszę się, że będzie się opiekował tobą i chłopcem pod moją nieobecność.

Nie umiejąc się powstrzymać, znów się doń zbliżam i położywszy dłonie na jego piersi, zaglądam mu w oczy. Czuję, jak obejmuje mnie ramieniem i przyciąga do siebie.

— Jak długo cię nie będzie?

— Wróć, jak tylko uda mi się zebrać wystarczające siły, by odbić Walię dla króla — obiecuje. — To moja ziemia, moja sprawa. Zginął za nią mój ojciec i brat... nie pozwolę, by ich śmierć poszła na marne.

Kiwam głową gorliwie. Mnie samą ogarnia żar bijący od ciała Jaspera.

— Nie wierz, kiedy będą ci mówić, że York jest prawowitym władcą — podnieconym szeptem przestrzega mnie mój dziewierz. — Skłaniaj przed nim głowę i uśmiechaj się doń miło, ale cały czas miej w pamięci, że to Lancasterowie są następcami tronu. Póki Henryk Szósty żyje, poty mamy swego króla. Póki żyje jego syn Edward, poty mamy swego księcia Walii. Póki żyje twój syn, poty mamy zapewnioną sukcesję. Bądź wierna Domowi Lancasterów.

— Jestem — odszeptuję. — Zawsze będę. Nikt nigdy nie będzie się liczył dla mnie bardziej niż...

Grzechoczący dźwięk poniżej zaskakuje nas oboje, a mnie przypomina, że powinnam być z wszystkimi na wieczery.

— Zjesz z nami? — proponuję.

Jasper kręci głową.

— Wolę pozostać w ukryciu. Z chwilą gdy Herbert się dowie, że tu jestem, otoczy zamek, ja zaś za wszelką cenę chcę ochronić ciebie i chłopca przed zagrożeniem. Zjem coś tu, na górze, a potem spotkam się z tobą i twoim mężem w świetlicy. Rankiem już mnie nie będzie na zamku.

Bezwiednie chwytam go za poły dubletu.

— Tak szybko? Chyba nie opuścisz nas tak szybko? Ledwieśmy się spotkali... Henryk nawet cię nie widział...

— Pora mi ruszać w drogę, co do was zaś, im dłużej tu przebywam, tym większe niebezpieczeństwo wam grozi. Ja także wystawiam się na ryzyko pojmania. Skoro przyjechałaś zaopiekować się chłopcem, mogę zostawić go z czystym sumieniem.

— I mnie też?

Obdarza mnie swym krzywym uśmiechem.

— Och, Małgorzato... Odkąd cię znam, jesteś żoną innego mężczyzny. Mnie przypadła rola platonicznie w tobie zakochanego ry-

cerza. Trubadura wychwalającego niewiastę będącą całkowicie poza jego zasięgiem. Nie proszę o nic więcej ponad to, abyś miała dla mnie uśmiech i dobre słowo w modlitwie. Kocham cię, tyle że na dystans.

— Ale teraz ten dystans jeszcze się zwiększy! — oburzam się dziecinnie. Bez słowa przykładam palec do mego policzka i ściera zeń samotną łzę. — Jak mam dalej żyć bez ciebie?

— Nie uczyniłbym nic, co wystawiłoby twój honor na szwank — powiada łagodnie Jasper. — Naprawdę, Małgorzato, nigdy bym się nie zdobył na coś podobnego. Jesteś wdową po moim bracie, twój syn zaś to dziedzic dwóch wspaniałych rodów. Moim obowiązkiem jest kochać was i służyć obojemu, a obecnie swoje zadanie mogę wypełnić tylko w jeden sposób: wyjeżdżając i zbierając armię, dzięki której odbiję ziemie twego syna i pokonam tych, którzy chcą mu odebrać prawo do tronu.

Dźwięk trąbki ogłaszającej, że wieczerzę czas zacząć, rozlega się echem w wysokiej kamiennej klatce schodowej, powodując, że podskakuję z przestachu.

— Idź już — ponagla mnie Jasper. — Zobaczmy się później we trójce w świetlicy. Możesz mu powiedzieć, że tu jestem.

Popycha mnie lekko, toteż szybciej, niżbym chciała, znajduję się o parę stopni niżej. Kiedy się oglądam, Jaspera już nie ma u szczytu schodów, a drzwi komnaty dziecięcej właśnie się zamykają. Dociera do mnie, że Jasper ufa opiekunce mojego syna do tego stopnia, iż jest gotów zawierzyć jej swoje życie, i że będą razem czuwać nad spokojnym snem małego Henryka.

Zgodnie z obietnicą Jasper spotyka się z nami w świetlicy zamkowej.

— Wyruszę z samego rana — oświadcza na wstępie. — Znam ludzi, którzy przemycą mnie do Tenby, gdzie już czeka statek. Wilhelm Herbert przeczesuje północ Walii, nie zdąży mi więc przeszkodzić.

— Czy będziemy mogli pojechać z tobą i zobaczyć, jak odpływasz? — pytam drżącym z przejęcia głosem i zerkam na swojego męża.

Jasper uprzejmie czeka, aż sir Henryk za niego odpowie.

— Zgoda, skoro takie jest twoje życzenie — mówi z powagą — i skoro Jasper uważa, iż nic nam nie grozi. Chłopcu dobrze zrobi, jeśli przekona się na własne oczy, iż jesteś cały i zdrowy i udajesz się w podróż. W przeciwnym razie może go zgniebić tęsknota.

— To powinno być bezpieczne — kiwa głową Jasper. — Sądziłem, że Herbert depcze mi po piętach, lecz okazuje się, że zgubił trop.

— Zatem do zobaczenia o świtaniu — rzuca mój mąż i podnosi się na nogi. Wyciągnąwszy do mnie rękę, dodaje: — Chodź, Małgorzato.

Waham się. Wolałabym zostać z Jasperem. Jutro już go tutaj nie będzie i nie spędzimy ani chwili więcej razem. Dziwi mnie, że mój mąż tego nie widzi, że nie rozumie mojego pragnienia, by побыć trochę sam na sam z przyjacielem z wczesnej młodości i spolegliwym opiekunem mego syna.

Jego błady uśmiech powiedziałyby mi — gdybym tylko na niego patrzyła — że rozumie to bardzo dobrze, to i znacznie więcej.

— Chodź, żono — ponagla mnie łagodnie, a Jasper na to wstaje i pochyla się nad moją wyciągniętą na pożegnanie dłońią, odsyłając mnie do małżeńskiego łóża.

Wychodzę więc z mężem i zostawiam za sobą mego najdroższego przyjaciela, mego jedyne go przyjaciela siedzącego w pojedynkę przy kominku w komnacie zamku, któryśmy niegdyś oboje nazywali swoim domem.

Nazajutrz rano mój syn pokazuje mi całkiem odmienną twarz. Tryska radością i jak cień śledzi swego stryja, chodząc za nim krok w krok niczym rozentuzjasmowane szczenię. Jego maniery w dalszym ciągu są bez zarzutu, może nawet bez skazy, odkąd wie, że opiekun ma na niego oko. Różnica polega na tym, że bije odeń szczęście. Co rusz zadziera główkę i sprawdza, czy Jasper spogląda nań z aprobującym uśmiechem. Usługuje mu jak giermek z prawdziwego zdarzenia — stoi obok, dzierżąc rękawice, i zwinnie przejmując wodze ogromnego wierzchowca. W którymś momencie osadza w miejscu pachółka, który przybiegł z pejczem.

— Hrabia Pembroke nie używa tego pejczya — gani starszego od siebie chłopaka. — Przynies mu ten z plecioną rączką.

Pachołek kłania się w pas i umyka spełnić polecenie.

Mój syn razem z Jasperem dokonują inspekcji eskorty, która odprowadzi nas do Tenby. Mały Henryk kroczy tak samo jak stryj: z rękoma założonymi do tyłu, oczyma świdrującymi twarze stojących w szeregu mężczyzn i z konieczności z zadartą wysoko głową, gdyż wszyscy znacznie nad nim górują wzrostem. Zatrzymuje się wzorem Jaspera, gdy ten chwali błyszczący ostry miecz lub zadbanego konia któregoś z ludzi. Kiedy przyglądam się memu małemu chłopcu dokonującemu przeglądu zbrojnej eskorty i stanowiącemu zwierciadlane odbicie wielkiego dowódcy, jakim jest jego stryj, wiem, że patrzę na księcia pobierającego lekcję i uczącego się życia, do jakiego został zrodzony.

— Ciekawe, jaką przyszłość widzi dlań Jasper... — szepcze mi do ucha mój mąż. — Bo z tego co widzę, chowa pod swoim bokiem tyrana.

— Jasper pragnie, by Henryk rządził Walią tak jak jego ojciec i dziad — odpowiadam. — W najgorszym razie.

— A w najlepszym?

Odwracam się w milczeniu, aby nie mógł wyczytać z mojej twarzy bezmiaru ambicji Jaspera wiążących się z królewskim pochodzeniem mego syna. Jasper wychowuje bowiem następcę tronu Anglii.

— Gdyby mieli porządną broń i buty, sprawialiby groźniejsze wrażenie — szeptem zauważa sir Henryk, Anglik na wskroś, a ja po raz pierwszy dostrzegam, że część mężczyzn zaiste jest boso, a wielu zamiast oręża ma sierpy i widły. To oddział chłopów, nie żołnierzy. Żołnierze bowiem, zaprawieni w boju i dobrze wyposażeni, polegli pod trzema słońcami Mortimer's Cross i pod Towton.

Jasper dociera do końca szeregu i pstryknięciem palcami daje znak, by przyprowadzić mu konia. Mały Henryk odwraca się i ruchem głowy ponagla stajennego. Wiem, że mój syn ma jechać w siodle przed stryjem, a widząc, jak zwinnie Jasper dosiada wierzchowca i schyliwszy się, podaje ramię chłopcu, uświadamiam sobie, że ćwiczyli to nie raz. Henryk wyciąga wysoko rękę i pozwala się

unieść do góry jeźdźcowi, po czym poprawia się w siodle i oparłszy wygodnie plecami o pierś stryja, uśmiecha z dumą.

— Naprzód — rzuca niegłówno Jasper. — W imię Boga i Tudorów.

Przez całą drogę boję się, że mały Henryk uderzy w bek, jak tylko dotrzemy do rybackiego portu w Tenby, tymczasem kiedy znajdujemy się na miejscu, Jasper stawia wciąż spokojnego chłopca na ziemi i sam zeskakuje z siodła, by przy nim przykłęknąć. Przez parę chwil miedziana głowa Jaspера i kasztanowa mojego syna niemal się stykają. W końcu Jasper prostuje się i wstaje ze słowami:

— Jak prawdziwy Tudor, co, Henryku?

— Jak prawdziwy Tudor, sir! — odpowiada chłopiec, patrząc na stryja z uwielbieniem, po czym obaj wymieniają uścisk dłoni.

Następnie Jasper klepie go jeszcze w plecy, nieomal zwalając z nóg, i zwraca się do mnie.

— Z Bogiem — mówi. — Nie lubię długich pożegnań.

— Z Bogiem — odpowiadam. Głos mi drży, lecz nawet gdybym w pełni nad sobą panowała, nie śmiałabym rzec nic więcej w obecności męża i ludzi z eskorty.

— Będę pisał — obiecuje Jasper. — A ty dobrze zajmij się chłopcem. Nie rozpieść go.

Oburza mnie, że Jasper udziela mi rad, jak mam się opiekować rodzonym synem, i na moment tracę kontenans, wszelako zaraz zagryzam wargę do krwi i odpowiadam spokojnie:

— Nie rozpieszczę.

Wtedy Jasper zaczyna się żegnać z moim mężem.

— Dziękuję ci za przybycie — oznajmia uroczyście. — Mam jedno zmartwienie z głowy, mogąc oddać bratanka pod opiekę kogoś, komu ufam.

Sir Henryk lekko skłania głowę.

— Powodzenia — mówi cicho. — Zaopiekuję się obojgiem.

Jasper okręca się na pięcie i już ma odejść, lecz nagle znów jest przy małym Henryku, podrywa go w górę i mocno przytula. Kiedy chłopiec stoi ponownie na ziemi, widzę, że chabrowe oczy Jaspера wypełniają łzy. Nie przepędzając ich spod powiek, ujmuje z rąk

pachołka wodze konia i ostrożnie go prowadzi po trapie z desek na pokład statku. Tuzin mężczyzn idzie w jego ślady, drugie tyle zostaje z nami na brzegu. Omiatam spojrzeniem ich twarze, przekonując się, że na większości maluje się wyraz szczerego przerażenia na widok ich pana i dowódcy, który woła do kapitana stateczku, żeby odbijał.

Marynarze rzucają cumy na pokład, stawiają żagle. Z początku odnoszę wrażenie, że nic się nie dzieje, ale w pewnej chwili żagle łapią wiatr i nadymają się, fala także robi swoje i koniec końców statek zaczyna się oddalać od kamienistej kei. Postępuję krok do przodu i kładę dłoń na ramieniu syna. Chłopiec drży jak przestraszone źrebie. Nie odwraca się na mój dotyk, tylko wyteżę wzrok, by do ostatniej chwili wyławiać z szarości sylwetkę swego opiekuna. Dopiero gdy stateczek zamienia się w kropkę na horyzoncie, mój syn spazmatycznie chwyta oddech i spuszcza głowę, a ja czuję, jak jego małym ciałem wstrząsa szloch.

— Chciałbyś w drodze powrotnej jechać ze mną w siodle?  
— pytam go cicho. — Mógłbyś siedzieć z przodu, zupełnie jak z Jasperem.

Spogląda na mnie spod rzęs.

— Nie, dziękuję, milady — odpowiada.

Całkowicie poświęcam się swemu synowi w ciągu kolejnych tygodni, które spędzamy na zamku w Pembroke. Na miejscu zatrzymuje nas grasujący na trakcie wiodącym stąd do Anglii uzbrojony oddział, nieledwie banda rozbójników. Mój mąż postanawia poczekać, aż szukający przygód mężczyźni przeniosą się gdzie indziej, zamiast ryzykować spotkanie z nimi. Dzięki temu mam okazję brać udział w lekcjach małego Henryka, których udziela mu nauczyciel wyznaczony przez Jaspера; jeździć z chłopcem konno każdego ranka; przyglądać się, jak doskonalili sztukę szermierczą w szrankach wzniesionych dlań przez Jaspера na dziedzińcu za stajniami. Chodzimy pieszo nad strumień, wyprawiamy się rybacką łódką na spływ po rzece, zapalamy ogniska na łąkach piasku i pieczemy połów na patykach. Obdarowuję swego syna zabawkami, książkami, nowym kucykiem, który będzie tylko jego. Własnoręcznie przepisuję dlań

modlitewnik z godzinkami, poprawiając tłumaczenie z łaciny. Gram z nim w berka i w karty. Śpiewam razem z nim niemądre piosenki i czytam mu po francusku. Sama układam go do snu i cały wieczór spędzam na obmyślaniu, co też będziemy robili następnego dnia. Rano budzę go z uśmiechem na twarzy. Nigdy go nie ganię — to czyni nauczyciel. Nigdy nie posyłam, by zmienił odzienie, ani nie łąję za to, że się ubrudził — to czyni opiekunka. Jestem dlań idealnym towarzyszem zabaw: zawsze w dobrym nastroju, zawsze chętna do krotochwili, zgodna na jego pomysły i nieprzeciwna przegranej. Po całym dniu swawoli mój syn klęka do wieczornej modlitwy i niezmiennie, bez względu na to cośmy robili, bez względu na to jakieśmy dobrze się bawili, prosi Pana Boga, aby sprowadził do domu jego stryja Jaspera, uszczęśliwiając ich obu.

— Czemu wciąż tak bardzo tęsknisz za Jasperem? — pytam, otulając go kołdrą. Staram się nadać głosowi lekkie, wręcz obojętne brzmienie.

Jego twarzyczka rozpromienia się na tle białej lnianej powłoczki. Henryk ożywa na samą myśl o stryju.

— To mój pan — odpowiada. — Będę walczył u jego boku, kiedy dorosnę. Zaprowadzimy w Anglii pokój, a potem wspólnie udamy się na krucjatę. Nigdy już nie pozwolimy się rozdzielić. Złożę mu hołd lenny i będę dlań synem, którego nie ma. To mój pan — powtarza. — A ja jestem jednym z jego ludzi.

— A ja z kolei jestem twoją matką — przypominam. — Przyjechałam tu po to, żeby się odtąd tobą opiekować.

— Stryj Jasper i ja bardzo cię kochamy — odpowiada radośnie. — Nazywamy cię światłem naszego życia. I zawsze się za ciebie modlimy, tak samo za mojego ojca Edmunda.

— Tylko że ja jestem teraz tutaj, z tobą — upieram się. — A twój ojciec nigdy cię nawet nie widział, trudno go więc liczyć. Natomiast Jasper znalazł się na wygnaniu. Tylko ja zostałam przy tobie.

Henryk przekręca główkę, powieki mu opadają, ciemne rzęsy zamiatają po różanych policzkach.

— Mój stryj, hrabia Pembroke, z radością gości cię na swoim zamku — mamrocze. — Oboje z radością cię gość..



Zasypia. Obracam się i napotykam spojrzenie mego męża opartego o futrynę drzwi.

— Słyszałeś? — pytam. — Jasper to, Jasper tamto... nic tylko Jasper. Modli się za mnie tak samo jak za swojego ojca, który umarł przed jego narodzinami. Równie dobrze mogłabym być dlań królową albo...

Sir Henryk wyciąga do mnie ramiona, a ja z ulgą przyjmuję to pocieszenie. Przytulam twarz do jego piersi i pozwalam mu się trzymać w objęciach.

— To bystry chłopiec — rzecze uspokajającym tonem. — Potrzebuje czasu, by cię lepiej poznać. Żył tu tylko z Jasperem tak długo, że zdążył wypełnić nim cały swój świat. Musi się do ciebie przekonać. Zobaczysz, to przyjdzie z czasem. Cierpliwości. Poza tym to żadna hańba być dla syna niczym królowa. W końcu jesteś jego matką, nie niańką. Czemu nie chcesz się zgodzić na rolę światła jego życia, kierującej nim przewodniczki? Nauczył się od Jaspera, by podziwiać cię na dystans. To do niego przemawia. Po co to zmieniać?

## JESIEŃ 1461 ROKU



Budzi nas bicie dzwonów na alarm. Wyskakuję z łoża, narzucam pelerynę i biegnę do komnaty dziecięcej, gdzie mój syn już wciąż wciąga pluderki, wołając do opiekunki, by podała mu buty. Niewiasta spogląda na mnie strwożona.

— Milady, co to może być?

Potrząsam bezradnie głową i rzucam się do okna, by wypatrzeć zagrożenie. Opuszczana brama opada z metalicznym grzechotem za tymi, którzy w porę zdążyli poszukać schronienia na zamku, przy stajniach wszczyna się ruch, gdy pachołkowie wypadają ze swoich kwater i przekrzykują się jeden przez drugiego. Pomiedzy ludźmi w dole dostrzegam postać mego męża zmierzającego ku wieży bramnej.

— Zejdę tam — mówię.

— Ja też! Ja też! — włącza się mój syn. — Tylko przypasam miecz!

— Niepotrzebny ci miecz. Ale możesz ze mną pójść, pod warunkiem że będziesz się trzymał blisko mnie.

— Czy wolno mi towarzyszyć małemu hrabiemu? — pyta opiekunka.

Domyślam się, że jej zdaniem nie zdołam zatrzymać go przy sobie, i aż czerwienieję z irytacji; udzielam jednak zgody skinieniem, po czym we troje zbiegamy ze schodów, przecinamy dziedzińiec i wdrapujemy się po wąskich stopniach na wieżę, gdzie już są sir Henryk i kapitan straży, wyglądając spoza blanek na nadciągającą traktom kawalkadę zbrojnych z powiewającym na przedzie sztandarem Wilhelma Herberta.

— Boże, miej nas w swojej opiece — szepczę.

Maty Henryk ciągnie opiekunkę na drugi kraniec wieży, skąd widać podnoszenie mostu zwodzonego.

Sir Henryk uśmiecha się do mnie.

— Nie sądzę, by coś nam groziło — rzecze łagodnie. — Herbert z pewnością otrzymał prawa do tego zamku, najpewniej zaś do całego hrabstwa. Przybył upomnieć się o swoje i zastał nas, niespodziewanych gości.

— Co poczniemy?

— Poddamy mu się.

— Poddamy mu się?! — Tak mną wstrząsa zdradziecki plan mego męża, że przez dłuższą chwilę gapię się nań z ustami otwartymi z niedowierzania. — Wręczymy mu klucze? Do zamku Jaspera? Ot tak, otworzymy bramy i zaprosimy go na wieczerzę?

— Raczej on zaprosi nas na wieczerzę — poprawia mnie mój mąż. — Jeśli tak jak przypuszczam, ten zamek należy teraz do niego.

— Chyba nie mówisz poważnie.

— Ależ tak, jak najbardziej. — Sir Henryk wygłasza krótką mowę: — Jeżeli król Edward przekazał w ręce Wilhelma Herberta ten zamek i władztwo nad Walią, musimy postąpić jak dobrzy poddani i nie stawiać oporu, tylko oddać cesarzowi co cesarskie.

— Ten zamek jest własnością nas, Tudorów! — mówię z zaciekrzewieniem, przyskając śliną. — Jaspera, a pod jego nieobecność moją i mojego syna Henryka. To nasz dom!

Widzę, że małżonek kręci z politowaniem posiwiałą głową.

— Nie, moja droga. Zapomniałaś, że na tronie zasiadł nowy król, który poczynił nowe nadania. Lancaster nie ma już nic do powiedzenia, ani w Londynie, ani w Walii, ani nawet na zamku w Pembroke. Być może był tu kiedyś twój dom, ale teraz dostał się w ręce człowieka wiernego Yorkom. Osobiście stawiałem na Hastingsa albo Warwicka, lecz jak się okazuje, szczęśliwcem jest Wilhelm Herbert. — To powiedziawszy, wygląda na małą armię, która znalazła się już prawie w zasięgu głosu.

— Jasper nie poddałby się bez oporu — rzekę gorzko. — Doszłoby do oblężenia. Jasper broniłby zamku do upadłego. Wolałby umrzeć, niż oddać rodową siedzibę w ręce kogoś takiego jak Herbert.

Nie zachowałyby się jak strachliwa niewiasta. Walczyłyby o swoje. Wilhelm Herbert to zdrajca, którego noga nie postanie w zamku Tudorów.

Uśmiech zniknął z twarzy sir Henryka.

— Małgorzato, czy ty nie widzisz, co Jasper właśnie zrobił? Jakiego wyboru dokonał? Zrozumiał, że walka dobiegła końca, opuścił Pembroke, twojego syna i ciebie. Zostawił wszystko, nie oglądając się na nic. Tak mu było spieszno do bezpiecznej przystani, że nie miał czasu się z tobą pożegnać. Sam mi powiedział, że spodziewa się nadejścia Herberta i że będzie wdzięczny, jeśli poddamy zamek w jego imieniu. **Życzył** sobie, byśmy zostali do tego czasu i upewnili się, że sługom nie stanie się krzywda. Oblężenie mija się z celem, to niepotrzebne marnotrawstwo sił i środków, może nawet życia. Już lepiej by się stało, gdybyśmy byli uciekli razem z nim. Ta wojna się skończyła, jej losy przesądziły się pod Towton. Jasper o tym wiedział i dlatego uciekł.

— On nie uciekł — zgrzytam zębami.

— Cóż, nie ma go tu teraz z nami, prawda? — zauważyła ze spokojem mój mąż. Wychyła się przez blanki i woła: — Hej tam! Sir Wilhelmie!

Potężny mężczyzna jadący na przedzie wstrzymuje wierzchowca i obniża sztandar.

— Jam jest Wilhelm, baron Herbert. Kto mnie woła? Czy to sir Henryk Stafford?

— We własnej osobie. Jestem tu ze swoją żoną Małgorzatą i jej synem, hrabią Richmond.

— Oraz z Jasperem Tudorem, zdrajcą i poprzednim hrabią Pembroke?

Mały Henryk ciągnie mnie za rękę, a kiedy się pochylam, zduszonym szeptem pyta:

— Mój stryj nadal jest hrabią Pembroke, prawda? Czemu ten zły człowiek mówi o nim „poprzedni hrabia Pembroke”?

— My nigdy tak o nim nie powiemy — zapewniam z mocą. — W naszych modlitwach Jasper zawsze będzie hrabią Pembroke. Tylko Yorkowie mogą uważać inaczej, ale Yorkowie to zdrajcy i oszuści.

— Jasper Tudor odjechał! — odkrzykuje sir Henryk. — Masz moje słowo, że nie ma go na zamku ani nigdzie w pobliżu!

— Otrzymałem ten zamek i władztwo nad Walią z rąk miłostwego pana króla Edwarda, niech Bóg go zachowa w dobrym zdrowiu! — ryczy ile sił w płucach Wilhelm Herbert. — Sir Henryku, czy otworzysz przede mną bramy i po dobroci wpuścisz mnie na moje ziemie?

— Tak zrobię — potwierdza mój mąż, bardzo z siebie zadowolony, i macha na kapitana straży.

Na jego znak dwaj mężczyźni biegną ku bramie i po chwili z niedowierzaniem patrzą, jak krata się podnosi, a most zwodzony opada, zaś smoczy sztandar Tudorów zdradliwie znika z masztu, na którym powiewał jeszcze przed momentem i przez cały czas, odkąd sięgam pamięcią.

Wilhelm Herbert salutuje strażnikom przy bramie i z wesołą miną zajeżdża przed zamek, który odtąd będzie zwał swoją własnością, odszukuje wzrokiem miejsce, gdzie odruchowo zatrzymywał się Artur, miejsce przez te wszystkie lata zdające się czekać właśnie na niego, i zgrabnie zeskakuje z siodła, już pańskim okiem wodząc po dziedzińcu i zabudowaniach.

Mnie przy wieczerzy odejmuje głos z wściekłości, wszelako mój mąż i Wilhelm Herbert rozprawiają w najlepsze o nowym królu, o prawdopodobieństwie najazdu Francuzów, o szkockim zagrożeniu u północnych granic, jakby Francja i Szkocja to byli nasi wrogowie, a nie zbawcy. Szczerze nienawidzę swego męża za gładkość obycia, trzymam wzrok wbity w blat przede mną i odzywam się tylko wtedy, gdy ktoś zwróci się do mnie z bezpośrednim pytaniem. Wilhelm Herbert mówi do mnie tyle co nic przez cały wieczór, lecz gdy wstaję od stołu, by udać się do swych komnat, słyszę:

— Chcę porozmawiać z wami obojgiem o młodym Henryku Tudorze. Spotkamy się po wieczerzy w zamkowej świetlicy?

— Z miłą chęcią — odpowiada mój mąż, uniemożliwiając mi odmowę. — Jestem pewien, że lady Małgorzata będzie czekać tam na nas z dobrym winem i suszonymi owocami.

Skłaniam lekko głowę i zostawiam ich jadłu, napitkowi i przyjacielskiej pogawędce, sama zaś udaję się do świetlicy. Nie czekam długo, siedząc na krześle przy kominku. Wkrótce przekraczają próg, rozmawiając o polowaniu; mój mąż zachwala właśnie zwierzynę, na jaką można się natknąć w okolicznych lasach, nie zważając na to, że gruby zwierz występuje tak licznie dzięki staraniom Jaspera i do niedawna miał stanowić dziedzictwo mego syna, podczas gdy ten mężczyzna jest tu intruzem, a okaże się kłusownikiem, gdy przyjdzie mu ochota wyprawić się na łowy na naszej ziemi.

— Będę się streszczał — zaczyna Herbert, stając plecami do kominka i grzejąc się ogniem, jakby polana zostały przyniesione z jego lasu. — Mam przejąć opiekę nad małym Henrykiem, toteż przyjdzie mu zamieszkać ze mną. Miłościwy pan życzy sobie, aby to się stało tuż po Bożym Narodzeniu.

Podrywam głowę, ale mój mąż wcale nie wygląda na zdziwionego.

— Zamieszkaż tutaj? — pyta, jakby to było najważniejsze.

— Na zamku w Raglan — odpowiada rzeczowo Herbert. — To solidniejsza budowla, a poza tym ulubiona siedziba mojej małżonki. Henryk Tudor będzie się chował z naszymi dziećmi, odbierając wykształcenie przysługujące jego stanowi. Będziecie mogli go odwiedzać wedle woli.

— To bardzo wspaniałomyślne z twojej strony — oświadcza sir Henryk, tuszując milczenie z mojej strony. — Jestem pewien, że lady Małgorzata jest ogromnie wdzięczna. — Ostrzegawcze spojrzenie, które mi posyła, ma sprawić, abym podziękowała, ale ja nie umiem się na to zdobyć.

— Mój syn powinien zostać ze mną — mówię głucho.

Wilhelm Herbert potrząsa głową.

— To niemożliwe, milady. Twój syn jest dziedzicem niebotycznej fortuny i wielkiego nazwiska. Raczej prędzej niż później ktoś by się oń upomniał i uczynił go swoim podopiecznym. Z wielu powodów masz wielkie szczęście, że to mnie wyznaczono na jego opiekuna. Nie przypuszczam, abyś to widziała w tej chwili, lecz pomyśl: gdyby Henryk przypadł Neville'owi, musiałby zamieszkać pośród obcych, tymczasem będąc przy mnie, pozostanie w Walii, zatrzyma

swoich służących i w ogóle niewiele się zmieni w jego życiu. Moja małżonka to niewiasta o złotym sercu, wychowa go jak swego syna. Na pewno mógłby trafić znacznie gorzej.

— Ale to mój syn! — wybucham. — To Lancaster, następca t...

— Jesteśmy niezwykle wdzięczni — ucisza mnie mój mąż.

Herbert popatruje na mnie z ukosa.

— Milady, rodowód twego syna to mieszanina błogosławieństwa i przekleństwa — rzecze wolno. — Nie trąbiłbym o nim na prawo i lewo na twoim miejscu. Jego krewniak, były król, znalazł się na wygnaniu, gdzie spiskuje z naszymi wrogami. Jego opiekun, Jasper Tudor, znalazł się na wygnaniu z łatką zdrajcy, a za jego głowę wyznaczono nagrodę. Jego dziad został ścięty za zdradę. Osobiście pojąłem jego ojca, a koniec twego rodziciela był mniej niż chwalebny. Naprawdę radziłbym ci okazać wdzięczność za to, że twój syn wzrośnie w domu wiernym Edwardowi Yorkowi.

— Moja żona jest wdzięczna — powtarza sir Henryk. Podchodzi do mnie i władczy gestem wyciąga do mnie rękę. Muszę wstać i ująć ją, jak gdybyśmy zgadzali się ze sobą co do joty. — Powiadomimy jej syna o poranku i wrócimy do Anglii, gdy tylko uda nam się przyszykować ludzi i konie.

— Ależ zostańcie — Herbert wczuwa się w rolę gospodarza — zostańcie, jak długo chcecie, przynajmniej dopóty, dopóki chłopek nie oswoi się z sytuacją. Możemy zabijać czas polowaniem na te byki jelenia, które Jasper z taką troskliwością chronił — wybucha śmiechem, a mój mąż, ten przeniewierca, śmieje się razem z nim.

Wracamy do hrabstwa Lincoln, milcząc jak głązy, ja zaś natychmiast po przybyciu na miejsce pogrążam się w modlitwie i studiowaniu ksiąg. Sir Henryk po paru uwagach, których nie zaszczytam odpowiedzią, po zaproponowaniu mi podróży do Londynu — jak gdyby mi zależało na wizycie w mieście, które okryło się niesławą! — po paru jeszcze próbach przełamania lodów, rzuca się w wir obowiązków: dogląda naszych ziem i swoich spraw w stolicy. Pragnienie nowego króla, by przywrócić trwały pokój w Anglii, wiąże się z licznymi zadaniami dla lokalnej szlachty — mojemu mężowi przypada w udziale wyplenienie prywaty i korupcji miejscowych

urzędników, którzy prosperowali pod niemrawym berłem króla Henryka. Odtąd sądy mają być dla wszystkich, a nie tylko dla tych, których stać na przekupienie sędziów. Nowy król Edward zwołuje parlament, by obwieścić wszem wobec, iż zamierza sam się utrzymywać, a nie czerpać z ciągle podwyższanych podatków. Domaga się naprawy traktów i zredukowania liczebności prywatnych armii. Każę karać rozbójników i przestępców i ograniczyć burdy po oberżach i rynkach. Wszyscy witają te zapowiedzi zmian z nadzieją i liczą na spokojne dostatnie życie pod panowaniem tego wspaniałego syna Domu Yorków zaprowadzającego z marszu nowe porządki. Wszystkim są w smak ulepszenia i reformy. Wszystkich ujmuje wdzięk przystojnego Edwarda Yorka. O wszystkich można powiedzieć, że są zadowoleni, tylko nie o mnie.

Tenże król Edward to młody mężczyzna lat dziewiętnastu, a więc tylko o rok starszy ode mnie, osierocony przez ojca tak jak ja i tak jak ja marzący o wielkich czynach — różnica między nami jest taka, że on stanął na czele swojej armii i poprowadził ją do zwycięstwa, zdobywając koronę Anglii, podczas gdy ja nie zrobiłam nic godnego uwagi. To on się okazał angielską Joanną d'Arc, nie ja. Ja nawet nie umiałam zatrzymać przy sobie syna. Ten młodzik, którego nazywają słodkim kwiatem Anglii, pachnącym nasieniem Anglii, białą różą Anglii, jest pono urodziwy i odważny, i mocarny — ja zaś jestem nikim. On jest ulubieńcem niewiast wychwalających jego przymioty, jego urodę, jego wdzięk. Ja nie mogę się nawet pokazać na dworze królewskim. Nikt mnie szerzej nie zna. Mój kwiat traci swoją słodycz na suchym powietrzu, ot co. Nikt nigdy nie napisał jednej marnej ballady na mój temat, nikt nie namalował mojego portretu. Poślubiłam mężczyznę wypranego z wszelkiej ambicji, skłonnego udać się na wojnę tylko w przymusowej sytuacji. Urodziłam syna po to tylko, by został mi odebrany i koniec końców znalazł się w pieczy wroga. Zakochałam się w człowieku, co to nie dość, że przegrał, to jeszcze trafił na wygnanie. Mijające dni — które robią się coraz krótsze, w miarę jak ten rok chyli się ku krańcowi — przepędzam na kłęczkach, modląc się do Pana Boga, by przegonił tę ciemną noc, przegonił tę zimą, obalił Yorków i pozwolił Lancasterom zająć należne im miejsce w świecie.



## JESIEŃ 1470 ROKU



Mija nie jedna, lecz dziewięć zim, zanim Pan Bóg uwalnia mnie i Dom Lancasterów od klęski i wygnania. Przez dziewięć długich lat żyję z mężem, z którym dzielę właściwie tylko nasz nowy dom w Woking. Choć mieszkamy pod jednym dachem, mamy wspólną ziemię i nie tak znów różne zainteresowania, czuję się sama jak palec i nie przestaję tęsknić za moim synem wychowywanym przez nieprzyjaciela. Jakbym miała mało trosk, Stafford i ja nie doczekujemy się przychówku, co jak sądzę, jest winą akuszerok odbierających poród Henryka Tudora. W efekcie przychodzi mi jeszcze znosić męzowską wspaniałomyślność. Stafford nie czyni mi wymówek za to, że nie daję mu dziedzica, a ja muszę tolerować tę jego uprzejmość i robić dobrą minę do złej gry. Oboje musimy tolerować władztwo Yorka, który przywdziewa królewskie gronostaje, jakby się do tego urodził. Edward już w początkach swego panowania poślubia niewiastę poniżej swego stanu, nieledwie plebejkę, która jak powiadają, rzuciła nań urok przy pomocy swej macierzy czarownicy, Jakobiny, niegdyś blisko się przyjaźniącej z Andegawenka, a obecnie trzymającej twardą ręką nowy dwór królewski. Bratanek mego męża, młodzieńca księżę Buckingham, zostaje porwany przez tę nimfę Elżbietę, która śmie się nazywać królową. Zabiera go od nas, od krewnych, i zaręcza ze swoją siostrą Katarzyną Woodville, dziewczyną nadającą się co najwyżej do pasania kurcząt w Northampton, której teraz psim swędem trafia się pozycja księżnej i głowy naszego rodu. Mój mąż w żaden sposób nie protestuje przeciwko temu upro-

wadzeniu, twierdząc, że nastały nowe porządki, z którymi musimy się pogodzić. Ale ja się nie godzę. Nie umiem i nie zamierzam się pogodzić — ani teraz, ani nigdy.

Raz do roku składam wizytę swemu synowi mieszkającemu w porażającej przepychem siedzibie Herberta i widzę, jak się zmienia. Coraz starszy, wyższy i silniejszy, obraca się pośród yorkistów ze swobodą, pewien miłości Anny Devereux, żony Herberta, pewien przyjaźni Wilhelma, ich najstarszego syna, a swego najdroższego przyjaciela i towarzysza zabaw, pewien czułości Maud, ich córki, którą jak wyraźnie widać, przeznaczili mu na żonę, nie konsultując się w tej sprawie ze mną.

Odwiedzam go sumiennie każdego roku i opowiadam mu o jego stryju Jasperze na wygnaniu i o jego królewskim kuzynie uwięzionym w Tower, on zaś słucha, nachylając ku mnie kasztanową głowę, z uśmiechniętymi orzechowymi oczyma i poważną miną. Słucha tak długo, jak długo mówię, z uprzejmym zainteresowaniem, nigdy nie zaprzeczając, nigdy niczego nie podważając. Nie wiem jednak, czy pojmuje choć słowo z mojego kazania, czy zdaje sobie sprawę, iż jego przeznaczeniem jest oczekiwanie, czy rozumie, że narodził się do wielkich rzeczy i że ja, jego matka, dziedziczka Beaufortów i Domu Lancasterów, nieomal postradałam życie, wydając go na świat, że my dwoje zostaliśmy ocalei przez Pana Boga, ponieważ mamy Mu posłużyć do określonego celu, że z całą pewnością ktoś taki jak Henryk Tudor nie powinien łaknąć aprobaty kogoś takiego jak Wilhelm Herbert. **Że** dziewczyna taka jak Maud Herbert nie nadaje się na moją synową.

Mówię mojemu synowi, że musi być czujny jak szpieg w obozie wroga. Musi być miły, ale wyglądać okazji do pomsty. Musi zginać karku, lecz marzyć o mieczu w ręku. Na darmo. Mój syn tak nie potrafi. Mieszka u swych opiekunów najpierw jako szczerzy i otwarty pięciolatek, potem sześciolatek, aż w końcu ma tych lat trzynaście. Wyrasta na młodzieńca pod ich okiem, nie pod moim. Jest ich synem, nie moim. Bo traktują go jak ukochanego syna. Dla mnie jest jak obcy i nigdy im tego nie zapomnę.

Przez prawie dziesięć lat sączę Henrykowi Tudorowi do ucha truciznę skierowaną przeciwko opiekunowi, któremu ufa, i przeciw-

ko opiekunce, którą kocha. Widzę, że kwitnie pod ich skrzydłami, że dorasta dzięki naukom, jakie mu zapewniają. Najmują dlań instruktorów szermierki, nauczycieli francuskiego, algebry i retoryki. Nie szczczędzą środków, by rozwijać jego uzdolnienia, i świecąc przykładem, zachęcają go do zdobywania wiedzy. Dają mu wykształcenie wcale nie gorsze niż swemu synowi — dwaj chłopcy uczą się jak równi sobie. Właściwie więc nie powinnam mieć powodów do narzekania. A jednak muszę tłumić urazę i gniew, albowiem to jest mój syn, potencjalny następca tronu Anglii, chłopiec z Domu Lancasterów — co on na Boga robi, zadowolony i syty wszystkiego, w Domu Yorków?

Niestety znam odpowiedź na to pytanie. Dobrze wiem, co mój Henryk robi w siedzibie rodu lojalnego wobec Yorków. Przeradza się w yorkistę. Podobają mu się luksusy i wygody zamku w Raglan, jestem pewna, że niechętnie by je zamienił na przeciętność mego nowego domu w Woking, gdyby było mu wolno mnie tutaj odwiedzić. Przypada mu do gustu nienachalna pobożność Anny Devereux w odróżnieniu od moich przytłaczających żądań, by znał modlitwę na każdą godzinę brewiarzową i święcił każdy dzień święty. Jest pełen podziwu dla męstwa i fantazji Wilhelma Herberta i choć nadal kocha Jaspere — pisze doń listy, w których go o tym zapewnia, chłopięce listy pełne przechwałek i niezdarnych wyrazów uczucia — powoli przekonuje się do najzaciętszego wroga swego stryja i obiera go za wzór rycerza i wielmoży.

Co boli najbardziej, ma mnie za niewiastę nie umiejącą się pogodzić z porażką. Postrzega mnie jako osobę, która przeżywszy detronizację swego króla, śmierć pierwszego męża i ucieczkę dziewierza, poddała się rozczarowaniu i klęsce, szukając pocieszenia w religii. Mój syn sądzi, że w Panu Bogu szukam pociechy za swe niepowodzenia. Nic nie jest w stanie mu przetłumaczyć, że moja bliskość ze Stwórcą jest powodem do chwały i źródłem siły. Nijak nie jestem w stanie mu wyjaśnić, że ani na moment nie zwątpiłam w naszą sprawę, nie uznałam się za pokonaną, nie uwierzyłam, że York utrzyma się dłużej na tronie. Wiem, że wrócimy i odniesiemy zwycięstwo. Mówię mu to, powtarzam bez końca, wszelako nie mam nic na poparcie swoich słów i po jego pełnym zażenowania uśmiechu,

po tym jak skłaniając głowę, ucieka spojrzeniem i mamrocze: „Ależ tak, milady, z pewnością masz rację”, domyślam się, że mi nie wierzy, że jego zdaniem błądzę i myślę się, a co najgorsze — jestem zupełnie bez znaczenia. Widzę to tak jasno, jakby stawił mi otwarty sprzeciw.

Urodziłam tego chłopca, ale byłam przy nim tylko w pierwszym roku jego życia. Teraz kiedy widuję go raz do roku, bardzo rzadko częściej, tracę czas na przekonywanie go, że powinien pozostać wierny sprawie, którąśmy przegrali prawie dekadę temu. Nic dziwnego, że nie Ignie do mnie. Nic dziwnego, że co roku traktuje mnie z coraz większym dystansem.

Nie umiem temu zaradzić. Bóg świadkiem, że bym zaradziła, gdybym potrafiła się pogodzić z życiem z mężczyzną, którego uważam za ucieleśnienie przeciętności, w kraju, którym włada uzurpator ze swoją królową — jakże mniej godną ode mnie! — oddając cześć memu Stwórcy tylko raz dziennie podczas wieczornej modlitwy. Wszelako nie potrafię. Pragnę w domu męża przepełnionego odwagą i determinacją, by odegrać w świecie swoją rolę. Pragnę prawowitego króla na tronie i muszę się modlić co najmniej pięć razy dziennie. Taka jestem i nie zamierzam się tego wypierać.

Oczywiście Wilhelm Herbert to lojalny wasal króla Edwarda, toteż mój syn, mój rodzony syn, chluba Domu Lancasterów, zaczyna mówić o uzurpatorze z szacunkiem i podziwiał tak zwaną czarowną urodę poślubionej ukradkiem królowej, a także, o zgrozo! modli się o potomka i następcę tronu dla tego przeklętego Domu Yorków! Ta plebejka Elżbieta jest płodna niczym stajenna kotka, ale jak dotąd wydaje na świat tylko dziewczynki. A to dopiero ironia losu, skoro jak mówią, pochwyciła króla w sidła za pomocą czarów i wywodzi się z długiej linii niewiast od wieków parających się magią. Tymczasem zdolna jest jedynie rodzić małe czarownice, które powinny razem z nią skończyć na stosie; nie umie dać królowi syna, gdyż nawet diabelskie sztuczki ją zawodzą.

W rzeczy samej gdyby udało im się spłodzić męskiego potomka we wczesnych latach panowania, nasze położenie przedstawiałoby się teraz inaczej. A tak, skoro w królewskiej kołysce nie ma następcy tronu, pomaluteczku daje o sobie znać słynna yorkistowska zawiść,

która rozsadza jednolitą dotąd bryłę nabierającego coraz większego znaczenia Domu Yorków. Mentor i doradca króla, hrabia Warwick, występuje przeciwko chłopcu, któremu pomógł zasiąść na tronie, a środkowy syn księcia Yorku, Jerzy ksiązę Clarence, zwraca się przeciwko bratu, w którym uznał swego króla. Ci dwaj oportuniści, Warwick i Clarence, zawiązują nowe przymierze.

Zazdrość, ta rodzinna trucizna Yorków, płynie w żyłach Jerzego w najczystszej postaci, zastępując krew drugiego sortu. W miarę jak Warwick oddala się od chłopca, którego uczynił władcą, tylko parę lat młodszy Jerzy zaczyna się doń zbliżać, marząc o tym samym najwyższym zaszczytce, natomiast Twórca Królów uznaje, że być może powinien dokonać tej samej sztuczki, tym razem wymieniając jednego uzurpatora na innego. Wpierw wydaje swoją córkę Izabelę za Jerzego, a potem — podstępnie niczym wąż z rajskiego ogrodu — kusi księcia Clarence, by ten odwrócił się od brata i zajął tron po uzurpatorze. We dwóch porywają króla, jakby był tylko koroną zawieszoną na szczycie gaika obnoszonego z okazji początku wiosny, i więżą go, ja zaś myślę, że to otwiera drogę nam.

Doskonale wiem, że wszyscy Yorkowie są zdradliwi jak żmije i niewierni od kołyski, jednakże podziały wśród nich mogą się przyśłużyć mojej sprawie. Postanawiam ugrać coś dla siebie pośród powstałego zamieszania. Kiedy Yorkowie zgarnęli nagrodę, zabrali też tytuł hrabiego Richmond przysługujący mojemu synowi, a Jerzy ksiązę Clarence dodał go do swoich trofeów. Teraz korzystając z pośrednictwa naszych spowiedników, posyłam do Jerzego wiadomość, w której zapewniam go o swej przyjaźni i lojalności, jeśli tylko zechce zwrócić tytuł hrabiego Richmond Henrykowi Tudorowi. Napomykam, że moje poparcie może się przekuć w poparcie całego rodu, a nie ma potrzeby dodawać, gdyż Clarence wie to bez pustych przechwałek, ilu zbrojnych to oznacza. Daję też do zrozumienia, że jestem skłonna zapłacić za przywrócony mojemu synowi tytuł i że ze »wszech sił będę popierała jego przeciwko bratu.

Udaje mi się utrzymać ten spisek w tajemnicy przed mężem — i wierzyć, że obie strony dochowują sekretu równie skrętnie — do czasu, aż Edward umyka z niewoli nielojalnemu przyjacielowi i zdradzieckiemu bratu, wraca tryumfalnie do Londynu, a my się

przekonujemy, żeśmy wypadli z łask dworu Yorków. Wszystko wskazywało na to, że mój mąż otrzyma tytuł hrabiego Wiltshire, a tymczasem zostaje pominięty przez króla, który za niewzruszoną lojalność wobec Domu Yorków wyróżnia tym zaszczytem jego młodszego brata Johna. Wygląda więc na to, że nadal będziemy żyli w cieniu. Nie jesteśmy szykanowani, ale też nikt nas nie faworyzuje. To jawna niesprawiedliwość, choć trudno krzyczeć z jej powodu głośno. Mój mąż do końca swoich dni pozostanie sir Henrykiem, zapewniając mi nic nie znaczący tytuł lady Małgorzaty. Nie będę hrabiną. Nie słyszę odeń ani jednego słowa, co mi aż nadto wyraźnie mówi, że przejrzał moje knowania z Jerzym księciem Clarence i wini mnie, iż zdradziłam i jego, i króla Edwarda. Trudno odmówić mu racji w tej sprawie.

Lecz później — któż zdołałby to przewidzieć — sytuacja odmieania się raz jeszcze. Andegawenka, nasza droga królowa Małgorzata Andegaweńska przebywająca na wygnaniu we Francji, tracąca ostatni grosz i pozbawiona armii, zadzierzga sojusz z podstępny Warwickiem, jej dawnym wrogiem, naszym największym nieprzyjacielem. Zdumiewając wszystkich, żeni swego ukochanego syna Edwarda, księcia Walii, z młodszą córką Warwicka, Anną, i wraz ze świekrem syna postanawia najechać na Anglię, by urządzić młodej parze krwawą łąźnię zamiast miesiąca miodowego, a następnie usadzić na tronie chłopca z Domu Lancasterów i dziewczynę z Neville'ów.

Koniec Yorków nadciąga nieubłaganie jak zmierzch. Warwick i Clarence przybijają do brzegów i podejmują marsz na północ. Wilhelm Herbert niezwłocznie zaczyna zwoływać ludzi z myślą o przyłączeniu się do sił królewskich, lecz zanim udaje mu się złąć w jedno z armią Edwarda, napotyka wroga pod Banbury. Zabierając mojego syna ze sobą tego dnia, postąpił w zgodzie z honorem rycerskim, niemniej nie znajduję dlań zrozumienia. Jak na dobrego opiekuna przystało, zabrał Henryka na pole bitwy, by dać mu przedsmak okrucieństwa i lekcję prawdziwej walki, nie uchybił niczym honorowi ani zasadom, ale przecież chodzi o mojego syna, mojego drogiego syna, mojego jedynego syna. Który w dodatku — ledwie umiem znieść myśl o tym — po raz pierwszy włożył zbroję i ujął w rękę włócznię, występując w barwach Yorków, a przeciwko Lancasterom. Walczył po stronie wroga, zagrażając swoim.

Rychio jest po wszystkim, jak czasem się zdarza na polu walki z woli Pana Boga. Lancasterowie dzięki przewadze liczebnej zwyciężają, a Warwickowi udaje się pojmać wielu jeńców, w tym samego Wilhelma Herberta. Hrabia Warwick, parokrotny zdrajca o rękach splamionych krwią, nie dodaje niepewności do swoich grzechów. Każe ściąć Czarnego Wilhelma bez wahania — i opiekun mego syna daje tego dnia głowę, być może na oczach Henryka.

Ciesz się mnie to. Nawet przez moment nie czuję żalu. Wilhelm Herbert odebrał mi syna i wychowywał jak własne dziecko, w efekcie Henryk pokochał go jak ojca. Nigdy mu tego nie wybaczyłam, więc wiadomość o jego śmierci przyjmuję z zadowoleniem.

— Musimy sprowadzić Henryka do domu — mówię mężowi, wysłuchawszy docierających do nas strzępków prawdy. Większość to stugębne plotki i czcze pogłoski. — Pan Bóg jeden wie, gdzie go znajdziemy. Jeśli ma go Warwick, jest bezpieczny, chociaż gdyby faktycznie tak było, Warwick posłałby nam wiadomość. Może więc mój syn musi się ukrywać lub leczyć rany... — urywam. Mimo to końcówka zdania: „a może jest zwyczajnie martwy” zawisa między nami w powietrzu, jakby ją ktoś wypisał.

— Wkrótce nadejdą następne wieści — próbuje uspokoić mnie Stafford. — Poza tym gdyby poległ albo został ranny, już dawno byśmy o tym usłyszeli. Sama popatrz: o śmierci Herberta dowiedzieliśmy się raz-dwa.

— Musimy sprowadzić Henryka... — powtarzam.

— Pojadę — obiecuje mi. — Ty zostaniesz tutaj. Na traktach roi się od wracających z wojaczki żołnierzy i mężczyzn tylko szukających okazji do rabunku i gwałtu. Za sprawą Warwicka w Anglii na powrót zapanował niepokój. Bóg raczy wiedzieć, kiedy to się skończy. Tak czy inaczej, ty zostaniesz w domu. Wzmocnię strażę na wypadek, gdyby w okolicy pojawiły się jakieś bandy.

— Ale mój syn...

— Herbert na pewno mu powiedział, co robić, jeśli szczęście się od nich odwróci. Wyznaczył kogoś, kto się nim zajął w jego zastępstwie. Najpierw udam się do wdowy po nim, żeby zobaczyć, czy czegoś nie wie, później pojadę do Banbury. Zaufaj mi, znajdę twojego syna.

— Jak już go znajdziesz, przywieź tutaj.

Na to się waha.

— To będzie zależało, pod czyją jest teraz opieką. Nie możemy go, ot tak, po prostu zabrać.

— Kto o tym zdecyduje, skoro York zosta! pobity?

Stafford się uśmiecha.

— Przypuszczam, że Lancasterowie. Wygraliście, zapomniałaś? Dom Lancasterów znów będzie wszystkim zawiadywał. Warwick usadzi na tronie króla Henryka, tak jak poprzednio go stamtąd strącił, a później będzie władał królestwem do czasu, aż księżę nie osiągnie pełnoletności, albo i dłużej, jeśli zdoła.

— Wygraliśmy? — powtarzam niepewnie. Mój syn zaginał, jego opiekun został ścięty; to nie przywodzi na myśl zwycięstwa, rodzi raczej niepokój i nowe zagrożenia.

— Wygraliśmy — potwierdza mój mąż, acz bez cienia radości w głosie. — W każdym razie wygrali lancasterowie, a my się chyba do nich znowu zaliczamy.

Tego ranka, gdy mój nadzwyczaj ostrożny małżonek ma wyruszyć na poszukiwanie Henryka Tudora, dostajemy list od jego stryja Jaspera.

***'Mam. naszego chłopca. 9ćic mu nie groziio u wdowy i krewnych jej świętej pamięci męża. "Przywiodęgo do Londynu i przedstawię najjaśniejszemu panu. Spotkamy się tui dworze królewskim odzyskanym dla naszego kuzyna? Anglia znów należy do nas, Pan "Bóg wysłuchał naszych prósb.***

Jest jak we śnie, jak w wyraźnym śnie, takim, jakie miewałam, będąc dzieckiem, kiedy modliłam się do upadłego, aż nadchodziły wizje. Znajdujemy się na barce Stafforda płynącej po Tamizie, wiosłarze utrzymują równe, spokojne tempo dzięki miarowym uderzeniom w bęben, mój syn patrzy z zachwytem na tłumy stojące na obu brzegach i wiwatujące na widok naszych proporców, chłonnaące przepych i nie pomijające sylwetki usadowionego na dziobie przyszęłego księcia Henryka Tudora. Mijamy pałac westminsterski, a ja przyglądam się niewysokim budynkom opactwa przycupniętym nad rzeką. Gdzieś tam w sanktuarium przebywa była królowa Elżbieta



Woodville, słynąca z urody żona króla Edwarda, drżąca o własne życie i zastanawiająca się, czy kiedykolwiek jeszcze ujrzy swojego drogiego małżonka. Upadła nisko i została sama, a mnie spotkało wyniesienie w otoczeniu najbliższych. Ciekawe, czy stara się coś dostrzec przez te zapyziałe okienka, czy widzi w tej chwili mój sztandar? Wzdrygam się, jakby rzeczywiście obrzuciło mnie czyjeś nienawistne spojrzenie, zaraz jednak oddalam od siebie taką możliwość. Jestem wybranką Pana Boga, wywodzę się z Domu Lancasterów, któremu Najwyższy błogosławi. Ona zaś jest nikim i może zostać, w tych lochach aż do samej śmierci razem ze swoimi córkami, nie mnie nie obchodzi, co się z nią stanie.

Mój syn odwraca się do mnie z nieśmiałym uśmiechem, a ja mówię doń cicho:

— Pomachaj ludziom, pomachaj swoim poddanym. Lud się cieszy, że widzi nas znów w chwale, w sile. Pokaż wszystkim, że cieszysz się, mogąc tutaj być.

Czyni niezdecydowany gest, po czym opuszcza miejsce na dziedzińcu i podchodzi do mnie. Siedzę pod baldachimem Stafforda, całym wyszytym w czerwone róże Lancasterów.

— Milady, przez cały czas miałaś rację — odzywa się głosem niewiele się różniącym od szeptu. — Muszę prosić cię o wybaczenie. Nie zdawałem sobie sprawy...

Przykładam ręce do piersi, w której serce wali mi jak młot.

— Rację co do czego?

— Wywodzimy się ze wspaniałego rodu, a prawowitym królem jest król Henryk. Nie wiedziałem... Kiedy mi to mówiłaś, nie pojmowałem... Ale teraz już wszystko rozumiem.

— Kieruje mną Pan Bóg — mówię z powagą. — Potrafię spostrzegać nie tylko umykające wydarzenia zmieniających się dni, lecz także mądrość Stwórcy. Czy pozwolisz mi kierować sobą w przyszłości?

Składa przede mną uroczysty ukłon.

— Będę ci odtąd synem i lennikiem — odpowiada zwyczajową formułką.

Odwracam lekko głowę, aby nie dojrzał wyrazu triumfu malującego się w tej chwili na mojej twarzy. Henryk VI odzyskał koronę

Anglii, a ja odzyskałam syna. Trzynastolatek właśnie przyrzekł mi wierność. Jest mój na dobre i na złe. Czuję, że w oczach wzbierają mi łzy.

— A ja będę ci panią — wyduszam przez ściśnięte gardło.

Barka kołysze się lekko, przybiwszy do przystani, na pokład zostaje rzucony trap i mój syn Henryk popisuje się swymi manierami zdobytymi pod dachem Herbertów, wyciągając do mnie rękę i pomagając mi zejść na ląd. Przecinamy ogród, gdzie dworzanie uśmiechają się z radości, że Anglia otrząsnęła się ze złego snu i wszystko wróciło na swoje miejsce. Także najjaśniejszy pan, który zasiadając na tronie, dosłownie promienieje ze szczęścia, jakby nigdy nie spędził pięciu lat w zamknięciu, odcięty od światła słonecznego. Nad jego głową zwiesza się królewski baldachim ozdobiony haftowanymi czerwonymi różami Lancasterów w pełnym rozkwicie. Wokół stoją zadowoleni wierni dworzanie. Czuję się tak, jakbym znów była małą dziewczynką, a on miał mi wyznaczyć na opiekunów Tudorów. Jakby w moim życiu pojawiła się utracona radość i czas ponownie mógł ruszyć z miejsca.

Mam przy sobie mego syna, chłopca o krótko przyciętych włosach przypominających grzywę kasztanka, młodzieńca o szerokich barkach, jeszcze wyższego, niż go zapamiętałam. Urodziwy dziedzic szlacheckiego rodu stoi tuż obok swojego stryja Jaspera. Wróciliśmy do łask. Anglicy odzyskali rozum. Jasper znowu jest hrabią Pembroke, a mój syn znalazł się pod moją opieką.

— Widzisz? — dopytuję szeptem. — Teraz już widzisz? Pozostałam wierna prawowitemu królowi, swemu kuzynowi, i oto znów zasiada na tronie. Pan Bóg otoczył mnie swoją łaską, tak jak i ciebie. Domyślałam się, że panowanie Yorka będzie krótkie. Wierzyłam, że wszyscy odzyskamy to, cośmy utracili. — Zerkam poza niego i widzę, że najjaśniejszy pan kiwa głową na Jaspera, by podprowadził bratanka. — Idź — ponaglam go. — Wzywa cię najjaśniejszy pan, twój krewniak.

Mój syn podskakuje w miejscu z podniecenia, lecz zaraz prostuje ramiona i zbliża się do tronu w aurze dostojności i spokojnej pewności siebie. Prezentuje się tak dobrze, że nie mogąc się powstrzymać, szepczę do męża:

— Widzisz, jak on się porusza?

— Na dwu nogach — odpowiada sucho Stafford. — Poruszając nimi na przemian. Doprawdy zadziwiające.

— Jak szlachcic, jak ksiązę — poprawiam go i wyciągam szyję, by lepiej słyszeć.

— A zatem to jest mój młody krewniak, Henryk Tudor? — pyta Jaspera król.

Mój dziewierz kłania się nisko.

— Syn mego brata Edmunda i lady Małgorzaty, obecnie po mężu Stafford.

Henryk kłęk przed tronem, a monarcha kładzie mu dłoń na kasztanowych lokach w geście królewskiego błogosławieństwa.

— Widzisz? — odzywam się ponownie do mego męża. — Najjaśniejszy pan zwrócił uwagę na mojego syna. Przypuszczam, że domyśla się jego wspaniałej przyszłości. Poznał się na nim, wie, że to wyjątkowy chłopiec. Obcując na co dzień ze świętymi, dopatrywał się w młodym Henryku Bożej łaski tak samo jak ja.

Wiatr, który odegnał od brzegu uzurpatora Edwarda i jego kompanów gubiących nogi z pośpiechu po porażce pod Banbury, nie przestaje wiać przez całą zimę, ściągając ulewę za ulewą. Nasze ziemie — w Surrey i nie tylko — znajdują się pod wodą, tak że trzeba kopać rowy i wznosić groble w obronie przed występującymi z brzegów rzekami. Dzierżawcy spóźniają się z czynszem, a plony niszczeją na przykrytych wodą polach. Mój mąż ubolewa nad stanem królestwa, jakby to utrata uzurpatora Edwarda ściągnęła niekończące się deszcze i niezadowolenie.

Dociera do nas plotka, że była królowa Elżbieta Woodville, tak ukochana przez swojego króla, że ją opuścił i uciekł od niej, przymierza się do narodzin kolejnego dziecka, mimo że przebywa na terenie opactwa, na uświęconej ziemi. Nawet to ostateczne bluźnierstwo, ta fanaberia znajduje wybaczenie u naszego błogosławionego za życia monarchy, który nie godzi się, by wyciągnąć ją siłą z sanktuarium, tylko posyła do niej akuszerki i damy do towarzystwa. Wciąż zadziwia mnie, ile uwagi poświęca się tej niewieście. Ja urodziłam swego chłopca w obecności dwu babek położnych, którym wyraźnie

zapowiedziano, że w razie czego mają ratować dziecko, nie mnie. Elżbiecie Woodville zaś będą pomagały doświadczone królewskie akuszerki wspierane przez dworskiego medyka i Jakobinę czarownicę, mimo iż na jej rodzinie ciąży oskarżenie o zdradę stanu.

Bez ustanku wzbudza zainteresowanie, chociaż od dawna nikt jej nie widział. Krażą słuchy, że londyńczycy i gospodarze z hrabstwa Kent posyłają jej świeże zapasy pożywienia, a jej mąż, który znalazł schronienie we Flandrii, zbiera armię, by ruszyć małżonce na ratunek. Myśl o tym, iż niewiasta ta nurza się w powszechnej atencji, sprawia, że aż zgrzytam zębami ze złości. Czemu nikt nie widzi, że czegokolwiek dokonała w życiu, wszystko ma związek z jej ładną buzią i wdziękami ciała w najlepszym razie, w najgorszym zaś z czarostwem, którym omotała uzurpatora? W takim zachowaniu nie ma niczego godnego pochwały, a mimo to lud przepada za nią jak za świętą.

Kolejna wiadomość dosłownie mnie załamuje. Elżbieta Woodville rodzi syna. **Żaden** z niego następca tronu, skoro jego ojciec wzięł nogi za pas i porzucił koronę, wszelako chłopiec — akurat teraz — wywrze wrażenie na prostym ludzie gotowym twierdzić, że to Pan Bóg daje Anglii znak poprzez dziedzica Yorków zrodzonego w sanktuarium.

Na miejscu naszego króla nie przejmowałabym się aż tak bardzo respektowaniem granic sanktuarium w wypadku takiej osoby. Jakże niewiasta okrzyknięta czarownicą może się upominać o ochronę Kościoła? Jakże niemowlę może szukać schronienia w murach opactwa? Jakże najbardziej zdradziecka ze wszystkich rodzina może żyć bez strachu w samym sercu Londynu? Najjaśniejszy pan to święty mąż, ale powinien otaczać się ludźmi, którzy umieją podejmować ziemskie decyzje. A Elżbieta Woodville i jej matka Jakobina — o której wiadomo z całą pewnością, że ma konszachty z siłą nieczystą i zdradę na sumieniu — powinny zostać zapakowane na statek i wysłane do Flandrii; tam mogłyby do woli parać się magią i zarzucać swoje sieci, co bez wątpienia znalazłoby uznanie pośród cudzoziemców.

Mój dziecięcy zachwyt macierzą Elżbiety Woodville, Jakobina Luksemburską, rychło się rozwiął, kiedy się przekonała, jaką osobą

naprawdę jest, i kiedy zobaczyła na własne oczy, jak popycha córkę w górę, w stronę tronu. Teraz już nie mam wątpliwości, że jej wdzięk i uroda, które mnie w dzieciństwie poraziły podczas wizyty na dworze królewskim, były tylko maską znacznie grzeszniejszej natury. Otóż niewiasta ta pozwoliła swej córce stanąć na rozdrożu, wiedząc, że będzie tamtędy przejeżdżał młody król, a potem doprowadziła do sekretnego ślubu tych dwojga, będąc jednym z nielicznych świadków. Dochrapała się pozycji przełożonej dworek królowej i właściwie zarządzała dworem Yorków. Kto ma choć krzywną honoru i wie, co to lojalność, nie mógłby postąpić podobnie. Tymczasem Jakobina, dawna dworka Andegawenki, jakby nigdy nie jęła służyć swojej trzpiotowatej córce. Ale czemu tu się dziwić, skoro wcześniej, znalazłszy się we Francji z angielską armią i swym małżonkiem księciem i niefortunnie owdowiawszy, w nieprzyzwoitym pośpiechu wyszła za giermka swojego zmarłego męża. Nasz miłosierny król przebaczył jej nawet to niestosowne zachowanie, toteż ów szczęśliwiec, Ryszard Woodville, wkrótce został baronem Rivers, ciesząc się jak dziecko z tytułu, który w pewien przewrotny sposób podkreślał pogańską tradycję rodziny jego żony wywodzącej swoje pochodzenie od wodnej boginki. Od tamtej pory skandalom i plotkom nie było końca, całkiem jak w wypadku nomen omen rzek, które nie wiadomo, gdzie się zaczynają i gdzie kończą. Córka takiej niewiasty ubrdała sobie, że będzie królową Anglii! Trudno się dziwić, że jej małżonek zginął śmiercią zdrajcy, a całe ich plemię skończyło bądź na wygnaniu, bądź w sanktuarium, które okazało się nieledwie lochem. Jedyne co jej pozostało, to odwołać się do czarnej magii i ulecieć na miotle lub zamieniwszy się w rybę, odpłynąć Tamizą.

## WIOSNA 1471 ROKU



Nie dzielę się myślami z moim mężem, który jest tak ponury jak mroczne zimowe dni mijającego stycznia i lutego i ktoś wręcz mógłby pomyśleć, że popadł w żałobę po swoim skazanym na wygnanie królu. Któregoś wieczora przy posiłku pytam go, czy aby dobrze się czuje, a on odpowiada mi, że jest wielce zmartwiony.

— Czy Henrykowi coś grozi? — pytam natychmiast.

Jego znajomy uśmiech uspokaja mnie, zanim usłyszę słowa:

— Ależ skąd. Przecieżbym ci powiedział, gdyby nadeszły niepokojące wieści od Jaspera. Obydwaj siedzą na zamku w Pembroke, gdzie możemy ich odwiedzić, jak tylko przeminą te straszne deszcze. Oczywiście pod warunkiem, że obędzie się bez dalszych kłopotów.

— Kłopotów? — powtarzam, martwiejąc. — Jakich kłopotów?

Sir Henryk kątem oka zerka na podczaszego, a potem przenosi spojrzenie w głąb wielkiej sali, gdzie kręcący się przy najbliższych stołach dżierzawcy i słudzy mogliby podsłuchać naszą rozmowę.

— Porozmawiamy później — ucina.

Czekamy do czasu, aż znajdziemy się sam na sam w mojej komnacie sypialnej, służący podadzą nam grzane z przyprawami wino i udadzą się na spoczynek. Kiedy mój mąż zajmuje miejsce naprzeciwko kominka, zauważam, że wygląda na starszego i bardziej znużonego, niż wskazywałby jego wiek.

— Przykro mi, że się tak martwisz — mówię, wiedząc, że czterdziestopięcioletni mężczyźni lubią robić wiele hałasu o nic. Jeśli mój syn miewa się dobrze, a nasz król nadal zasiada na tronie, czym tu się martwić? — Opowiedz mi, co cię trapi, a może wspólnie zaradzimy troskom.

— Otrzymałem wiadomość od człowieka wiernego Yorkom, który ma mnie za lojalnego yorkistę — odpowiada niechętnie. — To wezwanie do broni.

— Wezwanie do broni? — powtarzam tępo. Przez moment wydaje mi się, że może chodzić o wezwanie do stawienia się w charakterze sędziego, ale zaraz uświadamiam sobie, że York znowu się zbroi. — Panie Boże, miej nas w swojej opiece! Chyba nie szykuje się następna rebelia?

Sir Henryk potakuje ciężkim skinieniem. Nie posiadam się ze zdumienia.

— Yorkiści spiskują skrycie i zwracają się do ciebie?

— Tak — wzdycha.

Na chwilę opuszcza mnie obawa i jestem bliska wybuchnięcia śmiechem. Tenże nadawca listu, o którym wspomniał mój mąż, najwyraźniej nie zna zbyt dobrze Henryka Stafforda, skoro posądza go o sprzyjanie yorkistom, a co ważniejsze uważa, iż rzuci wszystko i odpowie na wezwanie do broni, radośnie wyruszając na kolejną wojnę. Sir Henryk to najoporniejszy żołnierz ze wszystkich ludzi na świecie. Kiedy Pan Bóg go lepił, chyba zabrakło Mu pod ręką odwagi i czym innym związał glinę.

— Edward planuje inwazję i odbicie swojego królestwa — dodaje mój mąż po przedłużającej się ciszy. — To oznacza ciąg dalszy wojny.

Jego słowa sprawiają, że znów staję się skupiona. Mimowolnie zaciskam palce na podłokietnikach krzesła.

— Anglia nie jest jego królestwem.

Mój mąż wzrusza tylko ramionami.

— Czyjakołwiek jest — mówi w końcu — Edward zamierza ją sobie wziąć.

— Och, nie... — szepczę. — Nie znowu... Chyba nie chce stanąć przeciwko naszemu królowi, ledwie ten odzyskał władzę? Nosi koronę... ile to?... pięć miesięcy?

— Ów przyjaciel, który wezwał mnie do chwycenia za broń w imię Edwarda, napisał jeszcze coś — kontynuuje mój mąż.  
— Albowiem jest nie tylko człowiekiem Edwarda, jest także zaufanym Jerzego księcia Clarence.

Zamieram w oczekiwaniu. To niemożliwe, żeby Clarence ponownie zmienił barwy. Przecież położył na szali wszystko, przechodząc na stronę wrogą jego bratu. Jest sługusem Warwicka, mężem jego córki, stoi w kolejce do tronu na drugim miejscu, tuż za naszym księciem Walii. Bryluje na dworze królewskim, wkradł się w łaski najjaśniejszego pana. Spalił za sobą mosty, występując przeciwko starszemu bratu; nie ma dlań powrotu. Edward nigdy by go nie przyjął.

— Jerzego? — powtarzam słabym głosem, spodziewając się dalszych rewelacji.

— Jerzy księżę Clarence przyłączy się do swego brata — oznajmia sir Henryk. — Trzej synowie Yorka znów będą działali razem.

— Musisz bezzwłocznie powiadomić o tym najjaśniejszego pana i Jaspera — rzucam bez tchu. — Oni muszą o tym wiedzieć, muszą się przygotować...

— Posłałem wiadomości i do Walii, i do Londynu — uspokaja mnie. — Wątpię jednak, by okazało się to wielką nowiną. Wszem wobec wiadomo, że Edward gromadzi we Flandrii armię. To że znów upomni się o tron, było jasne od samego początku. Co zaś do najjaśniejszego pana... — urywa. — Nie sędzę, by zajmowały go sprawy tego świata. Wydaje mi się, że chętnie zrzekłby się tronu, gdyby tylko mógł się potem zamknąć w klasztornej celi i poświęcić modlitwie.

— Pan Bóg wyznaczył go na króla — przypominam.

— W takim razie Pan Bóg będzie musiał teraz mu pomóc — odpowiada mój mąż. — Henrykowi Szóstemu przyda się cała dostępna pomoc, jeśli ma odeprzeć Edwarda Yorka.

To że nasz król potrzebuje wszelkiej pomocy, staje się jasne, gdy przybywa do nas z wizytą mój kuzyn Edmund Beaufort, księżę Somerset. Posyłam umyślnych do Guildfordu i na wybrzeże po świeże delikatesy, by co dzień podejmować jego księżęcą mość małą ucztą.



Kuzyn dziękuje mi za gościnność, kiedy siedzimy przy kominku w mojej komnacie, chwilowo pozostawieni samym sobie przez mego męża. W odpowiedzi skłaniam głowę i uśmiecham się, ani przez moment jednak nie wierzę, aby zjawił się tutaj z powodu ostrzeg z Susseksu i wiśni z hrabstwa Kent.

— Podjęłaś mnie iście po królewsku, kuzynko — rzecze, pogryzając suszoną śliwkę. — To z waszych sadów?

Potakuję skinieniem.

— Z zeszłorocznego zbioru — mówię, jak gdybym poświęcała wiele myśli sprawom gospodarstwa. — To był dobry rok, jeśli idzie o owoce.

— Dobry rok, jeśli idzie o Anglię — podchwytuje Somerset. — Na tron powrócił nasz król, a uzurpator musiał wziąć nogi za pas. Kuzynko, Bóg świadkiem, że nie możemy pozwolić tym kundlom znów szczekać w królestwie!

— Wiem — potwierdzam z powagą. — Kto ma o tym wiedzieć lepiej niż ja, której rodzony syn został oddany w pieczę zdrajcy? Szczęśliwie powrócił na łono rodziny niczym Łazarz powstały z martwych.

— Twój mąż sprawuje władzę w sporej części Susseksu, jego wpływy sięgają nawet hrabstwa Kent — ciągnie Somerset, ignorując moją wzmiankę o Łazarzu. — Dysponuje niemałą armią gotową stanąć do boju na jego rozkaz. Nie da się wykluczyć, że York przybije do waszych brzegów. Musimy mieć pewność, że Stafford pozostanie lojalny wobec naszego króla i jeśli zajdzie taka potrzeba, stanie w obronie najjaśniejszego pana. Z przykrością stwierdzam, że żywię co do niego pewne wątpliwości...

— Sir Henryk nade wszystko ceni sobie pokój — bronię się słabo.

— Wszyscy wysoko cenimy pokój — zapewnia mnie kuzyn. — Czasami jednak trzeba walczyć o swoje. Naszym obowiązkiem jest bronić króla. Kiedy York przybędzie do Anglii z armią niderlandzkich najemników i raz jeszcze nas pobije, nikt z nas nie zazna spokoju... odbiorą nam ziemie, tytuły i — zawiesza głos, patrząc na mnie z natężeniem — dziedziców. Chyba nie chcesz znów zobaczyć swego syna w siedzibie któregoś yorkisty? Nie chcesz, by jego dzie-

dziectwem rozporządzał któryś z naszych wrogów? Nie chcesz, by został ożeniony z córką Yorka? Z pewnością się domyślasz, że Elżbieta Woodville odzyskawszy koronę, natychmiast zwróci na niego swe pazerne szare oczy. Odebrała wam bratanka, małego księcia Buckingham, i ożeniła go ze swoją siostrą Katarzyną dla własnej korzyści. Po tym szokującym mezaliansie można się spodziewać, że kiedy Elżbieta dostanie nową szansę, odbierze wam także syna z myślą o jednej ze swoich niezliczonych córek...

Wstaję z krzesła i podchodzę do kominka. Przyglądam się płomieniom, żałując, że nie posiadam zdolności zagładania w przyszłość, z której słynie yorkistowska królowa. Czy ona jest świadoma, iż jej mąż przygotowuje odsiecz, by uwolnić ją i nowo narodzonego syna z sanktuarium, które stało się dla nich więzieniem? Czy umie przewidzieć, jaki będzie rezultat: zwycięstwo czy porażka? Czy zdoła przyzwać sztorm, który pomoże flocie Edwarda przybić do brzegów Anglii, tak jak poprzednio ponoć rozpętała burzę i silne wiatry, dzięki którym jej mąż pożeglował ku bezpiecznej kryjówce?

— Bardzo bym chciała móc ci obiecać męzowski miecz, jego majątek i ludzi — odzywam się cicho. — Zrobiłam wszystko co w mojej mocy, by nakłonić sir Henryka do opowiedzenia się po stronie naszego króla. Dałam jasno do zrozumienia dzierżawcom, że ucieszy mnie, jeśli sformują oddziały walczące za prawdziwego króla. Jednakże mój mąż jest oporny; powolny, gdy przychodzi do czynów, niechętny wojaczce. Bardzo bym chciała móc ci złożyć dzisiaj obietnicę jego posłuszeństwa, kuzynie, wszelako ze wstydem muszę przyznać, że to niemożliwe.

— Czy on nie widzi, że możecie znów wszystko stracić? Tytuł i bogactwo twojego syna bezpowrotnie przepadną.

Kiwam głową ze smutkiem.

— Mój mąż słucha wyłącznie swoich londyńskich przyjaciół, z którymi robi jakieś interesa. Oni zaś murem stoją za Edwardem, gdyż uważają, że tylko York zapewni Anglii trwałą pokój i sprawiedliwe sądy dla każdego. Nakłania też ucha co potężniejszym dzierżawcom i okolicznym panom na włościach, a ci również nie zawsze są prawomyślni. Wielu popiera Edwarda Yorka. Wszyscy mają go za zbawcę, który zaprowadził w królestwie ład i sprawiedliwość, i są

zdania, że odkąd go nie stało, zaczęły się kłopoty i niepokoje. Mówi się, że York jest młody i silny i trzyma ludzi pewną ręką, natomiast nasz król jest słaby i nazbyt uległy względem żony.

— Temu akurat trudno zaprzeczyć — powiada szybko Somerset. — Mimo to Edward nie jest prawowitym monarchą. Mógłby być samym Danielem w jaskini lwów, mógłby być Mojżeszem dającym swemu ludowi nowe prawa, a wciąż pozostałby przeniewiercą. Albo będziemy popierać króla, naszego króla, albo tak jak on zamienimy się w zdrajców.

Wtem otwierają się drzwi i do komnaty wchodzi mój mąż cały w uśmiechach.

— Przepraszam — kryguje się. — W stajniach powstało zamieszanie. Jakiś głupiec przewrócił piecyk i trzeba było gasić ogień. Poszedłem sprawdzić, czy aby zduszono go doszczętnie. Nie chcemy przecież, żeby nasz dostojny gość upiekł się żywcem we własnym łóżku. — Uśmiecha się miło do księcia i z tej jego pogody ducha, z tego ciepła odeń bijącego, z tego poczucia swojej prawości i wyraźnego braku żywionych obaw oboje z Somersetem wiemy już, że sir Henryk nie wybiera się na wyprawę w obronie króla z Lancasterów.

W ciągu paru dni dochodzą nas wieści, że Edward przybił do brzegów Anglii — wszelako nie tam, gdzieśmy się go spodziewali, tylko na północy, dokąd przywiał jego statki wiatr zawezwany przez tę czarownicę Elżbietę — i z bezpiecznej przystani pomaszerował prosto do Yorku, by prosić mieszczan o otworzenie bram nie przed królem, lecz przed księciem upominającym się o swoje księstwo. Rajcy, pozwolewszy się przekonać niczym banda głupców, wpuszczają go za mury, po czym bezzwłocznie do Yorku ściągają poplecznicy Edwarda, którego zdradziecki plan aż bije po oczach. Pośród zgromadzonych nie brakuje wielokrotnego przeniewiercy, Jerzego księcia Clarence. Trochę czasu to trwało, ale nawet mało rozgarnięty Jerzy w końcu zrozumiał, że jego przyszłość jako jednego z Yorków rysuje się w jaśniejszych barwach pod rządami starszego brata. Nagle znów pała braterską miłością i deklaruje, że sojusz z Lancasterami i świekrem Warwickiem był wielkim nieporozumieniem.

Wygląda na to, że mój syn tym razem utraci tytuł i ziemię na dobre, skoro odtąd wszystko ma należeć do trzech braci Yorków, i nawet moje błagalne liściki do Clarence'a utrzymane w uniżonym tonie nie zdołają przywrócić mu hrabiostwa. W dodatku z dnia na dzień robi się słoneczna aura, jak gdyby trzy słońca Yorków sprowadziły nad Anglię nowy świt. Na polach harczą marcowe zające i zda się, całe królestwo ogarnęło podobne szaleństwo.

Co zdumiewające, Edward dociera do Londynu bez jednej utarczki po drodze. Pełni uwielbienia londyńczycy otwierają przed nim szeroko bramy, pozwalając mu połączyć się z królową, jakby nigdy nie został pokonany i nie musiał się salwować ucieczką za morze.

Zamykam się w swojej komnacie i modlę żarliwie, otrzymawszy te smutne wieści od zgonionego posłańca Somerseta. Spod powiek nie umiem jednak przepędzić obrazu Elżbiety Woodville — tej tak zwanej czarownicy piękności — z nowo narodzonym synem na ręku i wianuszkami córek dokoła, kiedy drzwi ich sanktuarium otwierają się nagle i w progu staje Edward York, tryumfalny jak zawsze. Klęczę przez bite dwie godziny, wszelako nie umiem się modlić ani za zwycięstwo dla Lancasterów, ani za pokój dla Anglii, gdyż przed oczyma wciąż mam Elżbietę Woodville wpadającą mężowi w ramiona, wiedzącą, że jest on najpotężniejszym i najwaleczniejszym mężczyzną w całym królestwie, bez obawy pokazującą mu ich małego syna i dorastające córki. Odszukuję palcami pierwszy koralek różańca i próbuję się modlić za prawowitego króla, lecz nadal targa mną zazdrość o tę niewiastę, gorzej ode mnie urodzoną, gorzej ode mnie wykształconą, z całą pewnością nie tak ukochaną przez Pana Boga jak ja, a jednak mogącą pokazać swemu mężowi syna i nie mającą cienia wątpliwości, że w razie konieczności Edward obroni ich wszystkich. Z zawiścią myślę o niewieście nie będącej wybranką Pana Boga, nie cieszącej się Jego łaskami (w przeciwieństwie do mnie), mimo to zasiadającej na tronie Anglii. Przekracza moje wyobrażenie, że Stwórca mnie pominął przy rozdawaniu najwyższych zaszczytów.

Wyszedłszy ze swojej komnaty prywatnej, odnajduję męża w wielkiej sali. Pochylony siedzi przy wysokim stole i podpisuje podsuwa-

ne mu przez zarządcę papiery. Stojący obok klerk rozpuszcza lak i pieczętuje pisma. Nie trzeba długiej chwili, abym rozpoznała w nich wezwania do broni. Sir Henryk podrywa swoich ludzi do walki. Wybiera się na wojnę; w końcu wybiera się na wojnę. Czuję, że serce mi rośnie od tego widoku. Panu Bogu niech będą dzięki — mój mąż nareszcie pojął, co jest jego świętym obowiązkiem, i wybiera się na wojnę walczyć za króla. Zbliżam się do stołu z pokraśniałą z zadowolenia twarzą.

— Mężu, niech Pan Bóg cię błogosławi za to, co czynisz.

Nie odwzajemnia uśmiechu, spogląda na mnie ze znużeniem i smutkiem w oczach. Prawą dłonią nie przestaje kreślić raz po raz swojego podpisu: Henryk Stafford, Henryk Stafford... — nie musi nawet patrzeć na papier i pióro. Wreszcie dochodzą do ostatniej kartki. Klerk nakapuje trochę laku i odciska pieczęć, następnie zwraca ją w pudełku głównemu kanceliście.

— Wyślijcie je niezwłocznie — poleca mój mąż.

Odsuwa krzesło i wstaje, by zaraz zejść z podwyższenia i zatrzymać się przede mną. Ujmuje mnie za rękę i przyłożywszy mą dłoń do zgięcia swego łokcia, odprowadza mnie paręnaście kroków od klerka zbierającego listy w pośpiechu, by czym prędzej zanieść je do stajni, gdzie już czekają gotowi do drogi posłańcy.

— Zono, muszę powiedzieć ci coś, co raczej ci się nie spodoba.

Potrząsam głową. Spodziewam się, iż zaraz usłyszę, że z ciężkim sercem musi mnie opuścić, by udać się na wojnę, więc uprzedzam jego słowa i zapewniam go, iż wszelkie obawy mnie odchodzą, gdy on wypełnia wolę Pana Boga.

— Doprawdy, mężu, cieszy mnie...

Przerywa mi, dotykając delikatnie mojego policzka.

— Wzywam ludzi do broni nie dla króla Henryka, tylko dla króla Edwarda — rzecze cicho.

W pierwszej chwili, choć słyszę słowa, nie ogarniam ich znaczenia. Dopiero później zamieram wstrząśnięta, nie umiejąc dobrać głosu. Milczę, a mój mąż najwyraźniej uznaje, że nie dosłyszałam, bo powtarza;

— Będę walczył nie za króla Henryka Lancastera, tylko za króla Edwarda Yorka. Przykro mi, jeśli cię rozczarowałem.

— Rozczarowałeś? — wykrztuszam. Mój mąż właśnie oznajmił mi, że jest zdrajcą, i sądzi, że mnie rozczarował?

— Przykro mi z tego powodu.

— Ale przecież mój kuzyn był tutaj, by namówić cię na udział w wojnie...

— Zdołał mnie przekonać tylko do tego, że Anglii jest potrzebny silny król, który raz na zawsze położy kres tej ciągnącej się wojnie, w przeciwnym razie Somerset i jemu podobni będą podnosili głowy do czasu, aż nic nie zostanie z królestwa. Kiedym usłyszał, że nigdy nie złoży broni, zrozumiałem, że należy go za wszelką cenę pokonać.

— Edward nie urodził się, aby być królem. Nie jest dawcą pokoju.

— Moja droga, nawet ty musisz wiedzieć, że to nieprawda. Jedyne pokój, jakiegośmy doświadczyli w minionych dziesięciu latach, pochodził od niego. A teraz kiedy ma syna i dziedzica, możemy mieć nadzieję, że Yorkowie będą zasiadali na tronie Anglii po wsze czasy. Bóg da, skończą się wreszcie te wieczne przepychanki.

Wyrrywam dłoń z jego uścisku.

— Nie urodził się królem! — krzyczę przez łzy. — Nie pochodzi z uświęconego rodu, jest uzurpatorem! A ty wzywasz swoich i moich ludzi, z moich ziem, aby służyli zdrajcy. Zamierzasz rozwinąć mój sztandar, sztandar Beaufortów, po stronie Yorka?!

Sir Henryk potakuje skinieniem.

— Wiedziałem, że to ci się nie spodoba — rzecze zrezygnowany.

— Wolę umrzeć, niż tego doczekać!

Ponownie kiwa głową, jakby wysłuchiwał dziecka, które wszystko wyolbrzymia.

— Co z nami będzie, jeśli przegracie? — pytam. — Pozostaniesz znany jako zdrajca, który wsparł Yorka. Sądzisz, że wtedy twój pasierb, mój syn Henryk, będzie mile widziany na dworze królewskim? **Że** odzyska tytuł hrabiowski i swoje ziemie? **Że** najjaśniejszy pan go pobłogosławi, jak uczynił wcześniej, skoro okryjesz hańbą siebie i mnie?!...

Mój mąż krzywi się lekko.

— Sądzę po prostu, że tak należy postąpić. I że, nawiasem mówiąc, York wygra.

— Z Warwickiem? — pytam kpiąco. — Nawet on nie wygra z Warwickiem. Nie poradził sobie zbyt dobrze ostatnim razem, kiedy hrabia Warwick popędził mu kota i wygnał go z Anglii. Ani poprzednio, kiedy hrabia Warwick wziął go do niewoli. Edward jest uczniem Warwicka, nie jego panem.

— Ostatnim razem został zdradzony — prostuje mój mąż. — Musiał walczyć sam, praktycznie bez armii. Tym razem wie, kto przeciwko niemu stanie, i ma za sobą swoje wojsko.

— Założmy, że wygracie — mówię, z podniecenia połykając końcówki. — Założmy, że usadzicie Edwarda na tronie. Co będzie ze mną? Co będzie z moim synem Henrykiem? Czy Jasper zostanie wygnany z królestwa z powodu twojej wrogości? Czy mój syn i jego stryj będą musieli przez ciebie uciekać z Anglii? Chcesz, abym i ja udała się na wygnanie?

Stafford wzdycha.

— Jeżeli stanę po stronie Edwarda i odniesiemy zwycięstwo, spotka mnie nagroda — tłumaczy. — Być może nawet uda się odzyskać tytuł hrabiowski dla Henryka. Zgoda, korona Anglii nie będzie już przekazywana z pokolenia na pokolenie w twoim rodzie, ale Małgorzato, bądźmy szczerzy: twój ród nie zasługuje na nią. Król Henryk jest niezdrów, gwoli prawdy, jest szalony. Nie może władać królestwem. Natomiast Andegawenka to kwintesencja próżności i ambicji. Ich syn, książę Walii, to morderca. Potrafisz sobie wyobrazić, co nas czeka, kiedy zasiądzie na tronie ojca? Nie mam zamiaru służyć takiemu księciu i takiej królowej. Alternatywą jest tylko Edward. Linia królewska to sami...

— Tak?

— Sami szaleńcy — nie owija w bawełnę. — Same beznadziejne przypadki. Król jest świętym niezdolnym do rządzenia. Książę zaś jest wcielonym szatanem i jako taki nigdy nie powinien dostać władzy do ręki.

— Jeśli to zrobisz, nigdy ci nie wybaczę — zapowiadam. Łzy płyną mi ciurkiem po twarzy, więc ocieram je gniewnie. — Jeśli

wyruszysz na wojnę przeciwko mojemu kuzynowi, prawowitemu królowi Anglii, nigdy ci nie wybaczę. Nigdy więcej nie nazwę cię swoim mężem, będę cię traktować tak, jakbyś nie żył.

Odsuwa się ode mnie, jakbym była niegrzeczną dziewczynką.

— Spodziewałem się czegoś podobnego — rzecze smutno.  
— Mimo że w moim przekonaniu zrobię tylko to, co uważam za najlepsze dla nas wszystkich. Co uważam za najlepsze dla Anglii, a możesz mi wierzyć, że w dzisiejszych czasach mało kto zwraca sobie głowę dobrem królestwa.



## KWIECIEŃ 1471 ROKU



Kiedy nadchodzi wezwanie z Londynu od uzurpatora Edwarda, mój mąż wyjeżdża na czele armii złożonej z dzierżawców i pachołków, by służyć nowemu panu. Wszystko odbywa się w takim pośpiechu, że połowa ludzi nie ma należytego wyposażenia i ktoś musi zostać z tyłu, aby dopilnować ciosania sztchet i ostrzenia nowo wykutych mieczy oraz załadunku broni na wozy, które podążą za oddziałem.

Stojąc na dziedzińcu przed stajniami, przyglądam się mężczyznom tworzącym szereg. Wielu walczyło we Francji, wielu maszerowało po angielskiej ziemi. To pokolenie przywykłe do wojaczki, zahartowane w boju i obznajomione z okrucieństwami wojny. Przez moment rozumiem, skąd u mojego męża ta potrzeba trwałego pokoju, ale zaraz przypominam sobie, że obrał stronę nie tego króla co trzeba, i mój gniew na nowo się zaognia.

Stafford wychodzi z domu w najlepszych jeździeckich butach i w ciepłej podróźnej pelerynie, którą kiedyś mi pożyczył, gdyśmy się wybierali po mojego syna do Walii. Wtedy byłam mu wdzięczna za dobroć, teraz zaś czuję wyłącznie rozczarowanie jego osobą. Spoglądam mu twardo w twarz i mam w pogardzie jego zawstyżone spojrzenie.

— Przebaczysz mi, kiedy wrócę zwycięski i przyprowadzę do domu twojego syna — rzuca z nieśmiałą nadzieją.

— Będziecie walczyć po przeciwnych stronach — rzekę zimno.  
— Ty po jednej, a mój dziewierz i syn po drugiej. Oczekujesz ode

mnie, abym się modliła o porażkę Jaspera, a nawet o jego śmierć, gdyż tylko w takim wypadku Henryk będzie potrzebował nowego opiekuna. Nie mogę chcieć czegoś takiego.

Stafford wzdycha.

— Nie, przypuszczam, że nie. Czy mimo to dasz mi swoje błogosławieństwo?

— Jak mogę ci błogosławić, skoro twoja sprawa jest przeklęta? — pytam.

Błakający się na jego wargach uśmiech całkiem znika.

— **Zono**, czy możesz choć modlić się o mój bezpieczny powrót do domu, kiedy odejdę?

— Będę się modliła, żebyś przejrzał na oczy i zmienił barwy w środku bitwy — mówię. — Na to i na zwycięstwo nigdy nie jest za późno. Tylko w takiej sytuacji mogłabym się modlić, abyś wygrał.

— To byłoby wbrew zasadom — zauważa łagodnym tonem.

Kłeka przede mną, bierze mnie za rękę i składa na niej pocałunek, ja zaś stoję jak słup, uparcie nie dotykając jego głowy w geście błogosławieństwa. Stafford wstaje i podchodzi do konia. Słyszę, jak stęka, wchodząc na kloc drewna, potem zaś sadowiąc się w siodle, i przez mgnienie oka współczuję mu, temu niemłodemu już mężczyźnie, który nie lubi opuszczać domowych pieleszy, a teraz musi wyruszyć na wojnę pomimo ładnego wiosennego dnia.

Odwraca konia i unosi dłoń w salucie.

— Bywaj, Małgorzato! — rzece. — Dodam: „Bóg z tobą”, nawet jeżeli ty nie wypowiesz tych słów do mnie.

Wiem, że to niegrzeczne z mojej strony stać tam ze spuszczoneymi wzdłuż boków rękoma i marsem na czole. Wszelako pozwalam mu odjechać bez posłanego w powietrze pocałunku, bez błogosławieństwa i bez przykazania, by wracał cały i zdrow. Pozwalam mu odjechać bez jednego przyjaznego gestu i bez uśmiechu, albowiem ruszając, by walczyć za mojego wroga, sam stał się moim wrogiem.

Pierwsze wieści otrzymuję odeń już po kilku dniach, gdy w domu pojawia się jeden z jego giermków wysłany po zapomniane kłamy do kolczugi. Młodzik przynosi ze sobą wolę mego męża spisana w pośpiechu na wypadek rychłej bitwy.

— Jak to? Czyżby czuł, że polegnie? — pytam szorstko, kiedy wręcza mi papier na przechowanie.

— Sir Henryk jest w podłym nastroju — rzecze otwarcie giermek. — Milady, czy przekażesz dlań jakąś wiadomość, która by go rozchmurzyła?

— Nie mam dla niego żadnych wiadomości — mówię, odwracając się

**Żaden** człowiek walczący pod sztandarem Yorka przeciwko mojemu synowi nie może liczyć na ciepłe słowo ode mnie. Jakże inaczej? Przecież modłę się o klęskę yorkistów. O klęskę Stafforda. Nie życzę mu śmierci, lecz klnę się na Boga, nie wolno mu oczekiwać ode mnie niczego więcej.

Spędzam tę noc, całutką noc, na klęczkach, modląc się o zwycięstwo mojego Domu Lancasterów. Docierają mnie słuchy, że nasza armia zaczyna się gromadzić na rogatkach Londynu, skąd wyruszy na spotkanie reszty naszych wojsk liczących tysiące, a zgrupowanych gdzieś w okolicach Oksfordu. Edward zaś powiedzie swe oddziały zachodnim traktem, doprowadzając prędzej czy później do walnej bitwy. Spodziewam się zwycięstwa Warwicka i naszego króla, mimo iż po stronie Edwarda staną obaj jego bracia, Jerzy książe Clarence i Ryszard książe Gloucester. Hrabia Warwick to doświadczony dowódca, zjadł zęby na wojaczce i swego czasu uczył wszystkich trzech synów księcia Yorku. Poza tym dysponuje przewagą liczebną. I jest w prawie. Król Henryk, namaszczony monarcha, święty mąż, żyje pod kluczem w Tower, gdzie jest przetrzymywany na rozkaz młodego Yorka. Jakże Pan Bóg mógłby dopuścić do zwycięstwa uzurpatora i porywacza? Chociaż w szeregach Yorka będzie walczył mój mąż, muszę się modlić o zwycięstwo Lancasterów. Całą duszą jestem za moim królem, za moim dziewczerm i za moim synem.

Każdego dnia posyłam sługi do Guildfordu po najświeższe wieści, spodziewając się, że od strony Londynu nadciągają jeźdźcy mający w zanadrzu informacje o losach wojny, wszelako nikomu z nas nic nie wiadomo do czasu pojawienia się na ukradzionym

koniu jednego z naszych, wiozącego wiadomość o moim mężu Henryku Staffordzie, który jest ranion i bliski śmierci. Słucham jego słów, stojąc samotnie na dziedzińcu przed stajniami, aż komuś przychodzi do głowy postać po jedną z moich dam do towarzystwa. Dobra niewiasta podtrzymuje mnie pod łokieć, podczas gdy zmachany mężczyzna opowiada o zmiennych kolejach bitwy. Nad ziemią zaległa mgła, linie wojsk przesunęły się znacznie, hrabia Oksfordu zmienił barwy czy też tylko ktoś tak powiedział; wybuchła panika, kiedy jego oddział zaatakował swoich, a później Edward wynurzył się z mgielnego oparu niczym sam diabeł i siły lancasterów ugięły się przed nim.

— Będę musiała po niego pojechać i sprowadzić go do domu — mówię i natychmiast wydaję rozkazy ochmistrzowi: — Przyszykuj wóz, na którym będę mogła przywieźć sir Henryka do domu, wymość go pierzem i wyposaż we wszystko co potrzebne. W szarpie i leki...

— Ściągnę medyka, jaśnie pani — wtrąca ochmistrz, co odbieram jako przyganę, że nigdy nie dałam się poznać jako dobra opiekunka rannych ani zielarka.

— Nie zapomnij o księdzu — rzucam do jego pleców i widzę, jak się garbi na myśl, że jego pan może potrzebować ostatniego namaszczenia, może być bliski śmierci w chwili, kiedy o nim rozmawiamy. — Śpiesz się — dodaję. — Wyruszymy jeszcze dziś.

**Jadę** konno przed wolno toczącym się wozem; droga jest długa i ciężka, toteż docieramy do Barnet dopiero o zmierzchu, gdy długie cienie kładą się na błotnistym trakcie. Mijamy mężczyzn błagających, by zabrać ich do domu, albo w milczeniu leżących w rowach i pod krzakami, umierających samotnie, bez przyjaciół, bez rodziny, bez kogokolwiek, kto by się nimi zajął. Od czasu do czasu zostajemy zepchnięci na pobocze przez śpieszący przed siebie oddział zbrojnych pragnących dołączyć do głównych sił. **Jestem** naocznym świadkiem licznych okropieństw — widzę człowieka z odrąbaną połową twarzy i drugiego, który obwiązuje sobie brzuch koszulą, by zapobiec wylewaniu się wnętrzości, i jeszcze paru mężczyzn, którzy ucapiwszy się siebie niczym pijacy, prowadzą się nawzajem do domu, mając razem tylko trzy nogi. Prę naprzód, nierzadko zjeżdżając na

poła, by uniknąć widoku umierających, by nie musieć odmawiać proszącym o pomoc, by nie patrzeć na porzucone wszędzie dokoła sprzęty i ciała, zupełnie jakby ziemia nagle zaczęła rodzić inny, straszny plon.

Są tu też niewiasty krążące między żołnierzami niczym kruki, pochylające się nad zmarłymi i umierającymi, zdzierające z nich odzienie, przepatrujące zakamarki stroju za złotem i szlachetnymi kamieniami. Często przebiega samotny koń, rżąc przeraźliwie, i trąca łbem mojego wierzchowca, jakby szukał towarzystwa albo pocieszenia. Widzę nawet kilku rycerzy, których spieszono i dobito na ziemi, jednego zakutego tak szczelnie w zbroję, że oprawcy musieli kłuć twarz pod podniesioną przyłbicą, aby pozbawić go życia. Kiedy szabrownik szarpie za hełm, ten zostaje mu w rękach razem z głową, siejąc wokół deszczem szarokrwawej substancji. Nie wypuszczam z palców różańca i odmawiam jedną zdrowaśkę za drugą, aby utrzymać się w siodle i nie zwrócić zjedzonych naprędce sucharów. Nawet mój wierzchowiec stąpa ostrożnie i z niechęcią, jakby odrzucała go wszechobecna woń krwi, jakby wietrzył niebezpieczeństwo. Nie miałam pojęcia, że będzie aż tak źle. Nie miałam pojęcia, że będzie tak.

Trudno mi uwierzyć, że tak właśnie było dla Joanny d'Arc. Zawsze wyobrażałam ją sobie na białym koniu, ze sztandarem w lilie i anioły powiewającym nad głową, nieskalaną. Nigdy nawet nie podejrzewałam, że przejeżdżała pośród rzezi, choć teraz już rozumiem, że musiała to robić — tak jak ja teraz. Jeśli to jest wola Boża, doprawdy przybiera dziwne i potworne kształty. Skąd mogłam wiedzieć, że Pan Bóg wojny jest aż tak wstrętny? Skąd mogłam wiedzieć, że święty mąż potrafi ściągnąć na głowy żywych coś podobnego? Czuję się tak, jakbym kroczyła ciemną doliną, jakbyśmy sami byli zwiastunami śmierci, albowiem nie zatrzymujemy się, by napoić spragnionych, mimo iż leżący pokotem mężczyźni pokazują połamanymi palcami na usta, z których wybito wszystkie zęby. Nie śmiemy się zatrzymać i pomóc choćby jednemu, gdyż to wystawiłoby nas na żądania i ataki pozostałych; dowódca eskorty jedzie więc przodem i rozdaje razy batem na prawo i lewo, krzycząc: — Zrobić miejsce dla lady Małgorzaty Stafford — na co przynajmniej ranni odsuwają się z drogi, zakrywając głowy przed spadającymi ciosami.

Wysłany przodem jeździec wraca z informacją, że sir Henryk został już przewieziony do oberży w Whetstone. Ruszamy za nim i krętymi błotnistymi ścieżkami docieramy do małej wioski. Oberża okazuje się wioskową piwiarnią, z której wygospodarowano dwa pomieszczenia dla zdrożonych podróżnych, teraz przerobione na lazaret. Myśl o zejściu z siodła napawa mnie niechęcią, strachem zaś — dotknięcie ziemi, po której chodzą prawie umarli. Mimo to zsiadam z konia i schylając się, wchodzę do środka. Drzę z obawy, że mój mąż okaże się potwornie okaleczony jak ci mężczyźni na trakcie albo posieczony na miazgę toporem wroga, tymczasem zastaję go w tylnej izbie leżącego na wyrku prosto, tylko z przewiazanym ciasno brzuchem. Powiększająca się plama czerwieni na opasce mówi mi, że jego ciało nadal krwawi. Kiedy przestępuję przez próg, odwraca głowę i wita mnie ze słabym uśmiechem:

— Małgorzato... nie powinnaś była robić sobie kłopotu...

— Nic mi nie jest — odpowiadam. — Mam ze sobą wóz, na którym zawieziemy cię do domu.

Twarz mu się rozjaśnia na wspomnienie domu.

— Chętnie zobaczę znów dom. Były chwile, kiedy myślałem, że już nigdy go nie ujrzę...

Waham się, w końcu pytam:

— Było aż tak źle? Kto wygrał, York?

— Tak — potwierdza mój mąż. — Odniósł wielkie zwycięstwo. Szliśmy na nieprzyjaciół pod górę, a było ich dwakroć tyle co nas. Nikt inny nie poważyłby się walczyć w takich niesprzyjających okolicznościach, ale Yorkowi nic nie jest straszne. Jest niepokonany.

— Zatem już po wszystkim?

— Nie. Andegawenka ze swoją armią przybiła do brzegów Anglii gdzieś w hrabstwie Devon. Każdy lancaster mający dwie nogi próbuje tam dotrzeć i zasilić jej szeregi. Edward musi odciąć im drogę i uniemożliwić królowej ściąganie posiłków z Walii.

— Z Walii?

— Andegawenka liczy na Jasperego — wyjaśnia mi. — Wie, że Warwick poległ, a jego armia została rozbita. Gdyby jednak udało jej się połączyć siły z Jasperem, mogłaby walczyć dalej...

— To znaczy, że Edwarda wciąż można pokonać, a to wszystko... — mam na myśli tamtych ludzi, którzy z płaczem się wlekli południowym traktem i leżeli bez życia po rowach — to wszystko było na darmo?

— To wszystko zawsze jest na darmo — rzecze mój mąż. — Czy ty naprawdę tego nie rozumiesz? Każda śmierć jest na darmo, każdej bitwy można uniknąć. Ale jeśli Edwardowi uda się zwyciężyć Andegawenkę i uwięzić ją razem z jej mężem, wojna powinna narzecz się skończyć.

Słyszę dobiegający zza drzwi głos medyka i poruszam się, żeby go wpuścić.

— Mam zostać i pomóc? — pytam bez nadmiernego entuzjazmu.

— Idź — rozkazuje Stafford. — Nie chcę, żebyś na to patrzyła.

— Jesteś poważnie ranny?

— Zostałem cięty mieczem w brzuch — odpowiada. — Idź już, każ rozbić obóz na polu za budynkiem. Nie znajdziesz tu godnej siebie kwatery. Zanim położysz się na spoczynek, wyznacz strażę. Trzeba pilnować ludzi, koni i rzeczy. Niepotrzebnie przyjeżdżałaś...

— Musiałam po ciebie przyjechać. Kto inny by to zrobił?

Obdarza mnie tym swoim charakterystycznym krzywym uśmiechem.

— Cieszę się, że tu jesteś — dodaje ciszej. — Tamtej nocy przed bitwą tak bardzo się bałem, że musiałem spisać testament.

Próbuję uśmiechnąć się ze współczuciem, lecz boję się, że mój mąż pomyśli, iż mam go nie tylko za zdrajcę, ale i za tchórza.

— No cóż — wzrusza ramieniem. — Co było, to było. No idźże już, Małgorzato. Sprawdź, co oberżysta znajdzie na twoją wieczerzę.

Nie robię, jak mi kazał mąż. Oczywiście, że nie. Podczas gdy on leży na tyłach obskurnej piwiarni, pozwalając się opatrywać naszemu medykowi niczym bohater wojenny zraniony w obronie sprawy Yorków, prawdziwa królowa Anglii rażno maszeruje wraz z armią w stronę Walii, ku mojemu synowi i jednemu przyjacielowi, Jasperowi, pewna, że wierni jej ludzie gromadzą się tam i szykują do

ostatecznej bitwy. Wzywam młodzika, który przedtem pojechał przodem, wiernego i chyżego, wiedząc, że i tym razem mnie nie zawiedzie. Wręczam mu list do Jaspera i przykazuję udać się na zachód, znaleźć pierwszy oddział pod sztandarem Lancasterów kierujący się do Walii. Ma zbliżyć się doń jako przyjaciel i przekazać list dla hrabiego Pembroke z obietnicą nagrody za jego doręczenie.

***Jasperze!***

***Mój mąż zmienii Barwy i stasię naszym wrogiem gapisz wiadomość na moje imię i powiedz, jakjwidzisz swoje szanse i czy mój syn jest bezpieczny. "Edward zwyciężył tutaj, pod "Barnet, i wyruszył na spotkanie resztek naszej armii. "Króla przetrzymuje w "Tower, mając za sobą kndyńczyków. "Wie, że Andegawenka przybiia do brzegów i że kieruje się do Ciebie. 9\*(iech Tan "Bóg ma Cię w swoje] opiece i nie pozwoli Cię skrzywdzić. "Hiech Stwórca czuwa nad "Henrykiem Tudorem, którego obiecywałeś chronić za cenę własnego życia.***

Nie mam przy sobie laku ani pieczęci, toteż tylko składam kartkę we czworo. Nie ma znaczenia, czy ktoś niepowołany pozna treść tego listu. Liczy się tylko odpowiedź. Dopiero gdy posłaniec rusza w drogę, i ani chwili wcześniej, zakrzętałam się przy wieczerzy i miejscu na nocny spoczynek.



## LATO 1471 ROKU



Niełatwo było sprowadzić Stafforda do domu, aczkolwiek nie skarżył się podczas drogi i wręcz zachęcał, abym jechała przodem. Ja jednak wypełniłam swój żoniny obowiązek co do joty, mimo iż on tak bardzo mnie zawiódł jako mąż. Niełatwo też było przetrwać tegoroczne lato, kiedyśmy się w końcu dowiedzieli, co zaszło, gdy siły Edwarda starły się z armią Andegawenki. Stało się to pod Tewkesbury. Królowa i jej synowa od niedawna, Anna Neville, poszukały schronienia w murach klasztoru i jak wszystkie niewiasty w Anglii wyczekiwały wieści o losach bitwy.

A bitwa była ciężka, toczyła się pomiędzy żołnierzami równomiernie utrudzonymi długotrwałym marszem w letnim słońcu, toteż szala zwycięstwa długo nie mogła się przechylić na żadną ze stron. W końcu zwyciężył Edward, niech go piekło pochłonie, zaś nasz książę Walii zginął na polu walki niczym kwiat ścięty podczas żniw. Jego matka, królowa Małgorzata Andegaweńska, została wzięta do niewoli; ten sam los spotkał jego młodą żonę Annę Neville. Natomiast Edward York powrócił do Londynu w chwale i glorii, pozostawiając za sobą pole bitwy zbroczone krwią. Trzeba było szorować i od nowa święcić nawet kościelny dziedziniec w Tewkesbury, po tym jak spuścił ze smyczy swoich żołnierzy pośród lancasterów, którzy odwołali się do prawa do sanktuarium. Dla Yorka nie ma świętości, pogwałci nawet dom Boży. Mój własny kuzyn, książę Somerset, tenże Edmund Beaufort, który przyjechał do naszego domu nagabywać Stafforda do złapania za broń w obronie króla

Henryka VI, został wyciągnięty na schody świątyni i powleczony na rynek miasteczka, gdzie dał głowę niczym zwykły zdrajca.

Edward York wkroczył do Londynu na czele orszaku, wiodąc za sobą królową Małgorzatę Andegaweńską, i jeszcze tej samej nocy nasz król, nasz prawdziwy król, nasz jedyny prawowity władca, Henryk VI z Lancasterów, umarł w swoim łóżku w Tower. Powiedziano nam, że był niezdrów, słaby na ciele i umyśle. Ja jednak wiem, że zginął z ręki przენiewierczych Yorków, śmiących nazywać się jego kuzynami.

Wymówisz się przed mężem z obowiązków, cały czerwiec spędzam w klasztorze benedyktynek w Bermondsey. Przez cztery tygodnie nie wstaję z klęczek i modlę się za duszę mojego króla oraz za pokonaną wdowę po nim i za duszę jego zamordowanego syna. Modlę się o pomstę za zbrodnie Domu Yorków i Edwarda w szczególności, błagam Pana Boga, aby go pokarał, odbierając mu dziedzica, żeby jego żona — owa nieustannie piękna, wiecznie tryumfująca Elżbieta — poznała, co to znaczy stracić jedynego syna, żeby zasmakowała tego samego bólu, którego przez nią doświadczyła nasza królowa. Jestem w stanie wrócić do domu wtedy dopiero, gdy pośród ciemnej nocy Pan Bóg zapewnia mnie, że będę miała swoją zemstę, że jeśli tylko wykażę się cierpliwością i sprytem, zatryumfuję. Zatem postanawiam czekać na swój moment i już z lżejszym sercem powracam do męża, przy którym nawet zdobywam się na uśmiech.

Jasper utrzymuje się w Walii do września, lecz w końcu pisze do mnie, że jego zdaniem on i Henryk już nie są tam bezpieczni i powinni się udać za granicę. Skoro Edward York jest zdolny podnieść rękę na ludzi szukających schronienia w kościele i na świętego męża bezbronnego w zamkniętej na klucz komnacie, z pewnością nie zawaha się przed pozbawieniem życia mojego syna, którego jedyną zbrodnią jest noszone nazwisko i krew w żyłach. Prawdziwy książę Walii, Panie świeć nad jego duszą, zginął pod Tewkesbury, przez co zbliżyłam się o krok do tronu, a przecież Henryk jest moim jedynym synem i dziedzicem. Jeśli w przyszłości ktoś się upomni o następcę tronu z rodu Lancasterów, Henryk Tudor będzie jak

znalazł. Korona Anglii to dla mojego syna zarazem przeznaczenie i przekleństwo i na razie nie umiem powiedzieć, czym się dlań ostatecznie okaże. York jest wszechwładny i tymczasem niezwyciężony. Mój Henryk za to jest młody i ma silne prawo do tronu. Naszym zadaniem jest go zachować przy życiu i sposobić do walki.

Udaję się do męzowskiej komnaty, w której niczego mu nie brakuje. Ma wygodne świeżo zasłane łóżko, dzbanek ulubionego piwa na stoliku obok, księgi w skrzyni na podłodze, papier do sporządzania pism — wszystko pod ręką, na wypadek gdyby tego akurat potrzebował. Jako że jest środek dnia, siedzi na krześle, mając brzuch ciasno owinięty czystymi szarpkami; doskwierający mu nieprzerwanie ból czyni go poszarzałym i znużonym ponad miarę, ponad lata, które dźwiga. A jednak uśmiecha się radośnie na mój widok.

— Otrzymałam wiadomość z Walii, od Jaspera — informuję głucho. — Udaje się na dobrowolne wygnanie.

Stafford czeka, aż powiem coś więcej.

— Zabiera ze sobą mojego syna — dodaję. — W Anglii na każdym kroku czai się zagrożenie dla chłopca z rodu Lancasterów.

— To prawda — zgadza się Stafford. — Aczkolwiek mój bratanek wydaje się dość bezpieczny na dworze królewskim. Yorkowie przyjęli od niego hołd lenny. Czy twój Henryk nie powinien stanąć przed królem Edwardem i oddać się na jego rozkazy?

Potrząsam stanowczo głową.

— Obydwaj wyjadą do Francji.

— Żeby układać plany inwazji?

— Dla własnego bezpieczeństwa. Kto wie, co jeszcze się wydarzy? Żyjemy w niespokojnych czasach.

— Wolałbym, abyś żyła w spokoju — zapewnia mnie łagodnie. — Wolałbym, aby Jasper unikał kłopotów, zamiast ich szukać.

— Ani on, ani ja nie szukamy kłopotów. Przyszłam cię prosić o pozwolenie na wyjazd do Tenby. Pragnę pomachać synowi na pożegnanie, kiedy będzie odpływał od brzegu.

Stafford milczy przez długą chwilę. Ten przeniewierca, ten tchórz, ten mięczak mający każdą wygodę pod nosem, nadal jest moim mężem i może mi rozkazywać. Zastanawiam się, czy znajdzie

w sobie dość odwagi, by zabronić mi jechać, i czy ja odważę się mu sprzeciwić.

— Taki wyjazd to wystawianie się na niebezpieczeństwo.

— Muszę zobaczyć Henryka, zanim odpłynie. Kto wie, kiedy będzie mógł tutaj wrócić? Teraz ma czternaście lat, najpewniej będzie dorosłym mężczyzną, nim znów się spotkamy.

Po ciężkim westchnieniu, które z siebie wydaje, domyślam się, że wygrałam.

— Pojedziesz pod eskortą?

— Oczywiście.

— I zawrócisz, jeśli trakty będą nieprzejezdne?

— Tak.

— W takim razie możesz jechać, by pożegnać się z synem. Tylko nie czyn żadnych obietnic co do jego przyszłości, co do przyszłości Domu Lancasterów. Wasza sprawa umarła pod Tewkesbury. Zostaliście rozgromieni, nic po was nie zostało. To koniec. Powinnaś poradzić Jasperowi i Henrykowi, by poszukali sposobu, jak wrócić do Anglii w pokoju.

Spoglądam nań hardo, wiedząc, że na twarzy mam wypisaną obrazę i wyzwanie.

— Wiem, że to koniec — mówię. — Kto ma o tym wiedzieć lepiej niż ja? To moja sprawa umarła, to mój król i książę polegli, to mój mąż został ranny, walcząc nie po tej stronie co trzeba, wreszcie to mój syn udaje się na wygnanie. Kto lepiej niż ja ma wiedzieć, że zabrakło nadziei dla tego królestwa?

## WRZESIEŃ 1471 ROKU



Z niedowierzaniem przypatruję się połyskliwej wodzie zatoki w Tenby. **Świeci** stonko i wieje lekki wietrzyk, w dzień taki jak ten powinnam wypływać łódką dla przyjemności, a nie stać tutaj pośród intensywnego zapachu ryb i z ciężkim sercem.

Ta malutka wioska stała zawsze murem za Jasperem i nawet teraz rybacy i ich żony, klekocząc drewniakami na brukowanej wąskiej uliczce wiodącej na nabrzeże, przybywają tłumnie, by odprowadzić spojrzeniem niewielki stateczek, który powiezie mojego syna za morze. Część niewiast ma zaczerwienione oczy z powodu czekającego ich pana wygnania, ja jednak nie płaczę. Nikt, kto by na mnie spojrział w tej chwili, nie domyśliłby się, że jest we mnie tyle łez, że nie zdołałabym ich wypłakać w tydzień.

Mój syn znowu nieco urósł; jest już tak wysoki jak ja, ten młodzieniec lat czternastu, który z każdym dniem męźnieje w barkach — mogę patrzeć prosto w jego orzechowe oczy, widzieć jego bladą mimo letniej pory cerę, z lekka tylko ubarwioną piegami, które zdobią mu nos niczym kropki ptasie jajo. Widzę w nim zarówno dziecko, które dorasta, jak i chłopca, który godzien być królem. Nagle bowiem spłynęła nań monarsza dostojność. A może tylko ją dostrzegam, po tym jak umarł król Henryk VI i książe Walii Edward. Ten chłopiec, mój syn, jest dziedzicem Domu Lancasterów. Muszę przestać w nim widzieć wyłącznie swoje dziecko, albowiem od teraz jest on prawowitym władcą Anglii.

— Co dzień będę się za ciebie modlić — obiecuję — i często pisać. Odpowiadaj na moje listy, synu. Nie zaniedbuj mpdlitwy ani

nauki. O wszystkim pisz mi w swoich wiadomościach, dzięki którym będę wiedziała, co u ciebie.

— Tak, milady — rzecze posłusznie.

— Zapewnię mu bezpieczeństwo — przyrzeka Jasper.

Nasze oczy spotykają się na uderzenie serca, lecz przekazujemy sobie co najwyżej pragnienie, by nie przedłużyć pożegnania, by to dobrowolne wygnanie nie stało się przymusem i by za wszelką cenę ochronić Henryka. Przypuszczam, że Jasper jest jedynym mężczyzną, którego kochałam, być może nawet już żadnego nigdy nie pokocham. Mimo to nigdyśmy nie wymienili słów miłości, najczęściej bowiem przychodziło nam się żegnać.

— Wszystko jeszcze może się zmienić — mówię cicho do Henryka. — Edward czuje się na tronie pewnie teraz, kiedy nie żyje król i księżę Walii, ja wszakże nie zamierzam się poddawać. Ty też się nie poddawaj, synu. Jesteśmy z Domu Lancasterów, któremu z prawa należy się panowanie w Anglii. Twierdziłam tak wcześniej i wiesz, że się nie myliłam. Obecnie także się nie mylę. Pamiętaj o tym.

— Dobrze, milady.

Jasper ujmuje mnie za rękę, całuje moją dłoń, kłania mi się i obróciwszy, zmierza w stronę stateczku. Rzuci parę tobołków jednemu z marynarzy i uniósłszy wysoko swój miecz, zbiega po trapie na pokład rybackiego kutra. On, który władał połową Anglii, opuszcza ojczyznę z pustymi rękoma. To prawdziwa klęska. Jasper Tudor porzucający Walię niczym skazany przestępca. W środku wszystko aż mi się przewraca na myśl o bucie yorkistowskiego uzurpatora.

Syn klęka przede mną, a ja kładę na jego jedwabistych kasztanowych, rozgrzanych słońcem włosach drżącą rękę i mówię:

— Niech Pan Bóg cię prowadzi, synu.

Parę chwil potem już go przy mnie nie ma. Lekkim krokiem pokonuje nierówne kocie łby, zbiega po stopniach na przystań, przeskakując je po dwa na raz. Zajmuje miejsce na pokładzie, zanim zdążę powiedzieć coś więcej. Zostawił mnie, nim mu powiedziałam, jak ma się zachowywać we Francji, nim go ostrzegłam przed czyhającymi w świecie niebezpieczeństwami. Wszystko dzieje się za szybko, za szybko i za ostatecznie.

Odbijają od kamiennego nabrzeża i stawiają żagle; w pierwszej chwili morską bryza szarpie płotami płótna, ale zaraz czyjeś sprawne ręce je refują. Rozlega się głośny trzeszczący dźwięk, kiedy maszt i materiał się napinają, aż wreszcie stateczek zaczyna się poruszać — najpierw z wolna, potem coraz szybciej, umykając w dal. Chcę zawołać: „Wracajcie!”, chcę zawołać: „Nie zostawiajcie mnie samej! Nie zostawiajcie mnie!”, jakbym była małą dziewczynką, jednakże wiem, iż nie wolno mi narażać ich na niebezpieczeństwo powrotu, mnie zaś nie wolno popłynąć z nimi. Nie pozostaje mi nic innego, jak pozwolić odpłynąć memu synowi, memu drogiemu kasztanowłosemu chłopcu, muszę mu pozwolić udać się na wygnanie, nie mając pojęcia, kiedy znów go ujrzę.

Przybywam do domu — otepiała od podróży i nieustannie zanoszonych modlitw, z bolącym krzyżem od ciągłego podskakiwania w siodle i z oczami suchymi, choć zaczerwienionymi od płaczu — i już w progu natykam się na medyka mego męża. Jestem wyczerpana długą i męczącą drogą, pogrążona w rozpacz po utracie syna. W każdej chwili od naszego rozstania zastanawiałam się, gdzie teraz jest, kiedy go znów zobaczę — czy go znów zobaczę. Nie potrafię wykrzesać z siebie zainteresowania na widok stojącego przed stajniami wierzchowca medyka oraz jego służącego czekającego w hallu. Odkąd przywozłam Stafforda z Barnet, przez nasz dom przewinęła się masa opiekunek, lekarzy, zielarzy, pigularzy i felczerów. Zakładam więc, że i tym razem medyk się zjawił, by zaradzić na powtarzającą się dolegliwość mego męża, mianowicie ból promieniujący od rany. Cięcie przez brzuch bowiem już dawno się zagoiło, pozostawiając nierówną bliznę, lecz Stafford lubi czynić wiele zamieszania, rozprawiać o okropieństwach wojny, o chwili, w której spadł na niego miecz wroga, i o koszmarach, które wciąż mu się śnią po nocach.

Przywykłam ignorować jego użalania bądź proponować mu wywar z ziółek nasennych i wcześniejsze udanie się na spoczynek, toteż kiedy jego osobisty służący zastępuje mi drogę w hallu, umiem myśleć tylko o tym, że muszę wziąć kąpiel i zmienić strój. Najchętniej bym go wyminęła, ale jest natarczywy, jak gdyby coś naprawdę

było na rzeczy. Powiada, że zielarz przyrządza nową mieszanke w warzelnii, a medyk jest u jaśnie pana, i dodaje, że chyba powinnam się szykować na najgorsze. Nawet wtedy, przysiadając na krześle i machając na pachołka, by ściągnął mi z nóg buty jeździeckie, ledwie zwracam uwagę na słowa wiernego sługi mego męża. On jednak nie ustępuje. Mówi, że rana była chyba głębsza, niż pierwotnie sądziliśmy, i wcale się nie zaleczyła, tylko najprawdopodobniej nadal krwawi w głębi brzucha. To prawda, że Stafford nie jada obficie, odkąd wrócił z wojny, ale też nawet teraz pożywia się obficie niż ja, która poszczę w każdy piątek i w każde święto. To prawda, że nie sypia dobrze, popadając tylko w odrętwienie ze zmęczenia, lecz i tak zażywa więcej odpoczynku niż ja, która wstaję dwakroć w ciągu nocy, w ciągu każdej nocy, żeby zmówić modlitwę. Mówiąc w skrócie, relacja sługi zarazem budzi niepokój i nie budzi go. Odprawiam go gestem, zapewniając, że zaraz przyjdę do komnaty męża, on wszakże nie odstępował mnie ani na krok. Nie pierwszy raz chuchają i dmuchają na Stafforda, sądząc, że jest bliski śmierci, a tymczasem okazuje się, że najadł się zbyt dużo świeżych owoców lub wypił zbyt wiele młodego wina. Jestem pewna, że to jeden z takich przypadków — i wcale nie ostatni.

Nigdy nie czyniłam mu wymówek, że wystawił na szwank swoje zdrowie po to, by usadzić na tronie uzurpatora, i zawsze troszczyłam się oń jak dobra żona — nikt więc niczego nie może mi zarzucić. Stafford jednak wie, iż go obwiniam o porażkę króla Henryka, a teraz także o utratę syna.

Odsuwam niecierpliwie sługę i idę opłukać twarz i ręce oraz przebrać się w czystą suknię, toteż mija prawie godzina, zanim stoję w progu męzowskiej komnaty.

— Cieszę się, że cię widzę, lady Małgorzato — odzywa się do mnie medyk — albowiem nie sądzę, by mu pozostało dużo czasu.

— Dużo czasu? — powtarzam tępo. Umysł mam zajęty synem, bez przerwy nasłuchuję odgłosów burzy, która mogłaby wywołać sztorm i zepchnąć stateczek z kursu albo nawet (Boże broń!) zatopić łupinkę na otwartym morzu, więc nie od razu pojmuję znaczenie słów mężczyzny, który wyczekiwał mnie w antyszambrze.



— Przykro mi, lady Małgorzato — rzecze łagodnie, przekonany, iż zgłupiałam od żoninej troski — ale obawiam się, że nic więcej nie jestem w stanie dlań zrobić.

— Nic więcej? — powtarzam jak echo. — Jak to, co się stało? Co ty właściwie próbujesz mi powiedzieć?

Mężczyzna wzrusza lekko ramionami.

— Rana była głębsza, niż sąziliśmy, i sir Henryk przestał w ogóle przyjmować pokarmy. Uważam, że uszkodzeniu uległ jego żołądek i nigdy się nie zaleczył pomimo powierzchownej blizny. Obawiam się, milady, że twemu mężowi nie zostało już wiele życia. Może tylko przyjmować płyny: piwo, wino i wodę, jednakże nie wolno mu nic jeść.

Patrząc na niego bezrozumnie, po czym odpycham go na bok, podchodzę zamaszystym krokiem do zamkniętych drzwi komnaty prywatnej, otwieram je na rozcież i wpadam do środka.

— Henryku?

Twarz ma poszarzałą, odcinającą się brzydko na tle bieli poduszki, usta sine. Natychmiast spostrzegam, jak zmizerniał w ciągu tych paru tygodni, kiedy mnie przy nim nie było.

— Małgorzato... — wita mnie i stara się uśmiechnąć. — Takim rad, że jesteś nareszcie...

— Henryku...

— Czy twój syn odpłynął bezpiecznie?

— Tak — odpowiadam.

— To dobrze, to dobrze... Z pewnością się cieszysz, że nic mu nie grozi. Niedługo będziesz mogła się ubiegać o jego powrót, wiesz... Nie będą wobec ciebie niewdzięczni, kiedy się dowiedzą, co się stało ze mną...

Milczę.

Powoli dociera do mnie, że chodzi mu o to, iż niedługo będę wdową ubiegającą się o łaskę króla, któremu wierność mój mąż przypłacił życiem.

— Byłaś mi dobrą żoną — rzecze z dobrocią. — Nie chciałbym, żebyś po mnie rozpaczała.

Zaciskam wargi. Nie byłam dobrą żoną i oboje o tym doskonale wiemy.

— Powinnaś wyjść ponownie za mąż — kontynuuje, mimo że jego oddech zrobił się krótki, urywany. — Tym razem jednak wybierz męża, który będzie cię wspierał w sprawach wielkiego świata. Urodziłaś się do wielkich rzeczy, Małgorzato. Powinnaś wyjść za mężczyznę znajdującego się w łaskach króla, tego króla, yorkistowskiego króla, nie za człowieka lubiącego ciepło domowego ogniska i swoją ziemię.

— Nie mów tak — proszę szeptem.

— Wiem, że cię rozczarowałem — ciągnie, sapiąc ciężko. — Przykro mi z tego powodu. Nie pasowałem do tych czasów. — Obdarza mnie krzywym, smutnym uśmiechem. — Ty pasujesz. Mogłabyś być wspaniałym dowódcą, mogłabyś być angielską Joanną d'Arc.

— Musisz odpocząć — rzekę słabym głosem. — Jeszcze ci się polepszy.

— Nie. Myślę, że nadszedł mój kres. Masz moje błogosławieństwo, Małgorzato, ty i twój syn, oboje je macie. Wierzę, że sprowadzisz go do domu całego i zdrowego. Jeśli ktokolwiek jest w stanie tego dokonać, tą osobą jesteś ty. Pogódź się z Yorkami, żono, a wtedy uda ci się ściągnąć Henryka do domu. To moja ostatnia rada dla ciebie. Zapomnij o swoich marzeniach o koronie dla niego. To mrzonki nie mające nic wspólnego z rzeczywistością. Postaraj się go sprowadzić do domu, tak będzie najlepiej dla niego i dla Anglii. Nie zmuszaj go do stoczenia kolejnej bitwy. Pozwól mu żyć w pokoju.

— Będę się za ciebie modliła — mówię cicho.

— Dziękuję — odpowiada mi. — Zaraz chyba zasnę...

Pozwalam mu spać i wychodzę, delikatnie zamykając za sobą drzwi. Każę, aby mnie wezwano, jeśli mu się pogorszy albo jeśli mnie zawoła, po czym udaję się do kaplicy i opadam na klęczki na kamiennych płytach posadzki przed ołtarzem. Nie zawracam sobie głowy klęcznikiem, chcę jak najprędzej prosić Pana Boga, żeby mi wybaczył moje grzechy, które popełniłam jako żona Stafforda, i żeby przyjął go do swego królestwa w niebie, gdzie nie ma wojen ani rywalizujących pretendentów do tronu. Dopiero gdy słyszę odgłosy dzwonów przetaczające się wysoko w górze i odbijające echem od murów, uprzytamniam sobie, że nastał świt i że spędziłam na klęczkach całą noc, i jeszcze że mój mąż, z którym żyłam od trzydziestu lat, odszedł z tego świata, nie wzywając mojego imienia.

Zaledwie parę tygodni później, kiedy w naszej kaplicy wciąż codziennie odprawia się mszę za duszę sir Henryka Stafforda, z domu mojej matczy przybywa posłaniec z czarną wstążką przyczepioną do nakrycia głowy, by poinformować mnie, że i ona umarła. Ta wiadomość oznacza, iż zostałam na świecie sama jak palec. Jedyni krewni, jakich jeszcze mam, to Jasper i mój syn, obaj na wygnaniu. Odumarła mnie macierz, mąż uczynił wdową, a jedyny syn osierocił, płynąc za morze. Tak jak się obawiałam, silny wiatr zmiotł ich z bezpiecznego kursu i zamiast we Francji wylądowali w Bretanii. Wszelako Jasper postrzega to jako zrządzenie losu, gdyż księżę Bretanii przyjął ich i obiecał im gościnę w swoim księstwie. Może faktycznie będą bardziej bezpieczni w Bretanii niż we Francji, z którą Edward zamierza podpisać przymierze, jako że nade wszystko pragnie powszechnego pokoju i za nic ma honor Anglii. Niezwłocznie odpisuję memu dziewczercowi:

*"Drogi bracie. Jasperze,  
powiadamiam Cię, że mój mąż sir Menryk Stafford zmarł od  
odniesionych na wojnie ran, a ja zostałam wdową. Zwracam się do  
Ciebie, abys jako głowa rodu Tudorów doradził mi, co mamze sobą  
począć.*

Przerywam na moment, po czym dopisuję pytanie: „Czy mam przybyć do Ciebie?“, zaraz jednak je przekreślam i wyrzucam całą kartkę do ognia. Przepisuję pierwszy fragment listu i stawiam pytanie inaczej: „Czy mogę odwiedzić mego syna?“. Znow kreslę i palę. Za trzecim razem piszę: „Jasperze, proszę...“. I ta wersja jednak trafia w płomienie.

*Oczekuję na rychłą odpowiedź od Ciebie.*

Znajduję zaufanego posłańca i uzbrajam się w cierpliwość.

Nie przestaję się zastanawiać, czy wezwie mnie do siebie. Nie przestaję się zastanawiać, czy powie, że teraz możemy być razem, we trójkę z moim synem.

## ZIMA 1471 ROKU



Przywdziewam czerń po mężu i macierzy i na znak żałoby zamkam znaczną część domu. Jako wdowa nie mam obowiązku podejmować sąsiadów, nie w pierwszym roku po tak dotkliwej stracie. Mimo swojej pozycji w Domu Lancasterów nie otrzymam wezwania na dwór królewski ani też ten nowy król, ta wyblakła róża Anglii, ze swoją płodną królową nie zechcą mnie odwiedzić w ciągu najbliższych dwunastu miesięcy. Nie muszę się więc obawiać zaszczytu ich łaski. Przypuszczam, że raczej uczynią wszystko, by zapomnieć o mnie i o Domu Lancasterów. Sądzę, że zwłaszcza ona, starsza od niego — obecnie trzydziestoczterolatka! — będzie unikać naszego spotkania, byle tylko Edward nie zobaczył mnie, zamożnej dwudziestoosmioletniej dziedziczki Lancasterów w pierwszym roku wdowieństwa, niebawem znów gotowej do zamażpójścia. Nawet ten uzurpator musiałyby pożałować pochopnego ślubu z niewiastą z nizin.

Niestety nie nadchodzi też wezwanie od Jaspera; dziewczę nie zachęca mnie, abym opuściła zacisze Anglii i podjęła trud życia na wygnaniu w Bretanii. Zamiast tego informuje mnie, że ksiązę Bretanii obiecał jemu i Henrykowi ochronę. Zatem nie chce mnie widzieć przy sobie. Nie dostrzega, że to nasza szansa, nasza jedyna szansa, a ja właściwie odczytuję jego milczenie w tej sprawie. Jasper Tudor zdecydował się poświęcić memu synowi, pomóc mu odzyskać tytuły i ziemie. Nie zamierza narażać na szwank swojej misji, żeniąc się ze mną i skazując naszą trójkę na wieczne wygnanie. Potrzebuje,

aby w jego imieniu zarządzała dziedzictwem Henryka na miejscu, w Anglii, i tutaj pilnowała naszych interesów. Jasper mnie kocha, co do tego nie mam wątpliwości, wszelako jak powiedział, jest to miłość platoniczna, z daleka. Najwyraźniej nie ma dlań znaczenia, z jak bardzo daleka.

Kiedy wracają do mnie ziemie wniesione w posagu, natychmiast zbieram na ich temat informacje i konsultuję się z zarządcami, próbując ocenić, jak wysoki dochód można z nich osiągnąć. Na szczęście mój mąż zachował je w dobrym stanie; wiele by mu można zarzucić jako żołnierzowi i dowódcy, był za to dobrym gospodarzem. Nie bohaterem, lecz w zamian przyzwoitym angielskim włościaninem. Nie opłakuję go jednak tak, jak na przykład Anna Devereux opłakiwała Wilhelma Herberta. Ona poprzysięgła nie wyjść powtórnie za mąż, lecz oddać się służbie Panu Bogu z nadzieją, że znów spotkają się w niebie. Chyba w swoim małżeństwie, mimo że ułożonym, odnaleźli prawdziwą miłość, prawdziwą namiętność. Nie jest to częste, ale się zdarza. Mam tylko nadzieję, że nie nabili głowy mojego syna myślami o tym, że małżonkowie muszą się darzyć uczuciem — mężczyzna, który ma być królem, musi się ożenić z wyrachowania. Każda niewiasta, która ma choć odrobinę oleju w głowie, pragnie wyjść za mężczyznę, który przyniesie pożytek jej rodzinie. Tylko rozpustnik co noc marzy o małżeństwie z miłości.

Sir Henryk Stafford być może liczył na coś więcej niż tylko wymuszone przywiązanie z mojej strony, ale przecież całą miłość przelałam na swego syna, na Dom Lancasterów, na Pana Boga — i to na długo przed tym, zanim w ogóle się poznaliśmy i pobrali. Od dzieciństwa marzyłam o życiu w czystości i tak się złożyło, że ani pierwszy mąż, ani drugi nie odwiódł mnie od tego pragnienia. Stafford był człowiekiem raczej spokojnym aniżeli namiętnym, a w ostatnich latach zamienił się w moich oczach w zdrajcę. A jednak jeśli mam być ze sobą całkowicie szczerą, odkąd umarł, tęsknię za nim bardziej, niż kiedykolwiek mogłabym przypuszczać.

Brakuje mi jego towarzystwa. Ten dom wydawał się przyjaźniejszym miejscem, cieplejszym, ilekroć Henryk w nim był, a jako do-

mator był tu prawie zawsze niczym ulubiony pies warujący przy kominku. Brakuje mi jego cichego rzeczowego poczucia humoru i rozważnego zdrowego rozsądku. Może dlatego w pierwszych miesiącach żałoby nieraz wracam w myślach do rady udzielonej mi przezeń na łożu śmierci: że powinnam się pogodzić z Yorkiem na tronie i z Yorkiem w królewskiej kołysce. Może to prawda, że bitwa o koronę się skończyła, że zostaliśmy rozgromieni i że pozostał mi tylko smak porażki, upokorzenia i beznadziei? Ja, która widziałam się w roli walecznej dziewicy, być może będę musiała nauczyć się żyć jako pokonana dwukrotna wdowa. Być może Pan Bóg postanowił mnie w ten sposób doświadczyć i powinnam jak zwykle ulec Jego woli.

Przez moment, przez jeden krótki moment, kiedy niczym zwierzę w klatce krążę po pustym cichym domu przyodziana w żałobną czerń, rozważam, czyby jednak nie opuścić Anglii i bez zaproszenia ze strony Jaspera nie udać się do Bretanii, do niego i do mego syna. Mogłabym ze sobą zabrać dość grosza, by zapewnić nam dostatnie życie przez rok czy dwa. Mogłabym wyjść za Jaspera, moglibyśmy żyć jak normalna rodzina i nawet gdybyśmy nigdy nie odzyskali tronu dla Henryka, wiedlibyśmy życie na wygnaniu jako królewscy kuzynowie.

To mrzonka, na którą sobie pozwalam nie dłużej niż przez uderzenie złamanego serca. Patrząc, jak mój syn wyrasta na mężczyznę — oto szczęście, którego mi poskąpiono. Małżeństwo z miłości po dwóch wcześniejszych pozbawionych uczucia związkach — oto droga, której mi nie wyznaczono. Mam pewność, że życzeniem Pana Boga jest, abym służyła swemu synowi i Domowi Lancasterów tutaj, w Anglii. Ucieczka do Bretanii, aby zamieszkać tam z nimi dwoma, byłaby przekreśleniem szans na odzyskanie dziedzictwa mego syna, jego tytułu, jego ziemi, należnego mu najwyższego miejsca w królestwie. Nie wolno mi ignorować faktu, że Jasper również stawia wyżej dobro Henryka niż dobro jego matki.

Nawet jeśli mój umierający mąż się nie mylił i faktycznie nie może być mowy o tym, by Henryk zasiadł na tronie, pozostaje mi odzyskać dlań przynajmniej hrabiostwo. Na tym muszę się teraz

skupić. Jeżeli mam się przysłużyć rodzinie i nie zawieść syna, muszę się wkraść w łaski pary monarszej bez względu na to, co myślę o Edwardzie i jego czarownej królowej. Muszę się nauczyć uśmiechać do swoich wrogów. Muszę znaleźć sobie męża, z którego zdaniem się liczą. Mężczyznę, który pomoże mi sięgnąć po najwyższe zaszczyty, człowieka na tyle rozsądnego, by na pierwszym miejscu stawiać ambicję swoją i moją.

## KWIECIEŃ 1472 ROKU



Daję sobie miesiąc na zrobienie rozeznania na dworze Yorków, tych dzikich róż Anglii, i znalezienie mężczyzny będącego w łaskach obecnego króla i skłonnego zapewnić ochronę mnie i mojemu majątkowi oraz chętnego, by sprowadzić Henryka Tudora do domu. Wilhelm Hastings, niedawno nobilitowany jako baron, najbliższy przyjaciel i towarzysz króla Edwarda, jest już żonaty, a poza tym duszą i ciałem oddany swemu królowi. Nigdy by nie zaryzykował długoletniej przyjaźni z królem dla nowo zyskanego pasierba. Nigdy by nie zdradził Yorków, których szczerze kocha. Tymczasem mnie jest potrzebny ktoś, kto pozostanie wierny mojej sprawie, ktoś nie mający nic przeciwko zmianie barw w odpowiednim momencie. Brat królowej, Antoni Woodville, nowy hrabia Rivers, byłby nie najgorszym kandydatem, gdyby nie jego absolutna lojalność wobec siostry, którą darzy też wielką miłością. Nawet gdybym była w stanie znieść myśl o wżenieniu się w rodzinę parweniuszy, w której niewiasty znajdują mężów, stojąc na rozdrożach niczym ladacznice, i są za to nagradzane koroną, nigdy by mi się nie udało zwrócić jednego Woodville'a przeciwko drugiemu i przeciwko drogocennemu następcy tronu w kołysce. Trzymają się w kupie jak banda rozbójników, do których im niedaleko. Powiada się, że Riversowie zawsze płyną razem, w dół zbrocza oczywiście, wygodnym żlebem.

Rozpatruję też kandydatury królewskich braci. Nie wydaje mi się, abym mierzyła zbyt wysoko. Jestem przecież dziedziczką rodu



Lancasterów; niewykluczone, że któryś z Yorków mógłby się mną zainteresować i za pomocą małżeństwa zaleczyć rany wojny. Jerzy, środkowy brat i zdrajczyk, został już ożeniony ze starszą córką Warwicka, Izabelą, która musi każdego ranka żałować ambicji rodzica i tego, iż jest żoną nie dość, że zdrajcy, to jeszcze próżniaka i głupca. Wszelako najmłodszy z trójki, Ryszard, wciąż jest stanu wolnego. Dopiero zbliża się do dwudziestki, więc byłaby między nami różnica ośmiu lat, ale świat widział mniej dobrane pary. Słyszałam o nim, że jest bezwzględnie lojalny wobec króla, lecz gdyby ożenił się ze mną i zyskał pasierba będącego następcą tronu... Który młody mężczyzna oprze się zdradzieckim ciągotkom, zwłaszcza jeśli się wywodzi z linii Yorków?

To że nie mogę wyjść za Edwarda IV, zachodzi mi za skórę dzień po dniu, gdy rozmyślam o potencjalnych kandydatach na męża. Gdybyż tylko nie dał się omotać czarownicy Elżbiecie Woodville, teraz stanowiłby dla mnie doskonałą partię. Dziedzic Yorków i dziedziczka Lancasterów! Wspólnie zaleczylibyśmy rany tego królestwa i uczynili następnym królem mego syna. Zawierając małżeństwo, połączylibyśmy nie tylko swoje losy, ale też losy Domu Yorków i Domu Lancasterów, definitywnie kończąc rywalizację między nami i wojnę dwu róz. Nie dbam o przystojny wygląd Edwarda, gdyż próżność i pożądanie są mi całkowicie obce, lecz pragnienie, abym została jego żoną i królową Anglii, dręczy mnie niczym niespełnioną miłością. Gdyby nie przebrzydła Elżbieta Woodville i jej sztuczki, dzięki którym złowiła w swoje sieci młodego Edwarda, to ja mogłabym zasiadać u jego boku na tronie Anglii i podpisywać się: Małgorzata Regina. Powiadają o niej, że czarownica, powiadają, że rzuciła urok na króla i poślubiła go w pogańskie święto; nie wiem, ile z tego jest prawdą, wiem jednak, że sprzeciwiła się woli Pana Boga, uwodząc mężczyznę, który uczyniłby mnie królową. Tak, Elżbieta Woodville to niewątpliwie podstępna niewiasta.

Wszakże nic mi teraz nie przyjdzie z użalania się nad sobą, a poza tym trudno by mi było szanować w Edwardzie męża. Jak mogłabym okazywać posłuszeństwo komuś, komu oczy zarosły lubieżną przyjemnością? Co taki mężczyzna każe robić swojej żonie? Do jakich występków się ucieka? Będąc w łóżu z niewiastą, na jakie

sekretnie rozkosze nalega? Wzdrygam się na myśl o nagim Edwar-dzie Yorku. Słyszałam, że jest zupełnie pozbawiony skrupułów. Zległ ze swoją plebejską małżonką i poślubił ją (najpewniej w tej właśnie kolejności), a teraz dochowali się zdrowego i silnego syna, który spróbuje odebrać prawo do tronu m e m u synowi. W dodatku mają szanse na jeszcze niejednego potomka, gdyż Elżbieta z pewnością nie zemrze w połogu, skoro zawsze czuwa przy niej jej macierz, niewątpliwie czarownica. Nie widzę dla siebie innego wyjścia, jak tylko zakraść się w pobliże tronu przy pomocy najmłodszego Ryszarda. Nie zamierzam wystawać na rozstajach i kusić go, jak Elżbieta Woodville kusiła starszego brata — zamiast tego składam mu propozycję, która powinna wzbudzić jego zainteresowanie.

Posyłam swego ochmistrza, Jana Leydena, do Londynu z poleceniem, by zaprzyjaźnił się z zarządcą domu Ryszarda. Na początek ma nie puszczać pary z ust na temat moich planów, tylko badać teren. Przykazuję mu, aby się zorientował, czy młody książę myśli o ożenku i czy byłby zainteresowany moimi rozległymi ziemiami w Derbyshire. Jan może też napomknąć podochocnemu winem zarządcy Yorka, że pasierb noszący nazwisko Tudor, za którym stoi murem cała Walia, to chłopiec wart opieki. Może nawet zastanowić się głośno, czy niezachwiana dotąd lojalność wobec królewskiego brata zachwiałyby się wystarczająco, by się wżenić w obóz wroga, gdyby warunki okazały się korzystne. Krótko mówiąc, Jan powinien wrócić do domu z informacją, jaką cenę za ślub widziałyby Ryszard, zapewniwszy uprzednio drugą stronę, że mimo wieku pozostałam szczupła i powabna, a niektórzy twierdzą nawet, że nadzwyczaj urodziwa i miła dla oka. Nie mam jeszcze trzydziestu lat i w niczym nie przypominam jasnowłosej ładaczniczki jego brata, prezentuję się za to godnie i wdzięcznie. Podczas tych podchodów tylko przez chwilę myślę o Jasperze obejmującym mnie w talii na schodach zamku Pembroke i całującym w usta, zanim zdołaliśmy się powstrzymać l od siebie oderwać.

Mój ochmistrz ma podkreślić, że cechuje mnie nadzwyczajna pobożność i że w całej Anglii nie ma niewiasty, która modliłaby się goręcej i udawała na więcej pielgrzymek niż ja. Chociaż Ryszard

może to akurat zbyć machnięciem ręki (w końcu jest młody i pochodzi z płochej rodziny), nawet on powinien rozumieć, że żona ciesząca się specjalnymi względami Pana Boga, prowadzona przez życie przez samą Przenajświętszą Panienkę, to zaleta sama w sobie. To nie byle co, być mężem niewiasty, która od wczesnego dzieciństwa zdiera sobie skórę na kolanach za sprawą ciągłego klęczenia przed krzyżem.

Okazuje się, że wszystko na nic. Jan Leyden wraca do domu na swym ogromnym gniadoszu i kręci głową przecząco, zeskakując z siodła przed drzwiami frontowymi siedziby w Woking.

— Masz dla mnie wieści? — pytam nagląco, pomijając powitanie i ignorując fakt, że jest zmęczony po długiej podróży i zgrzany od majowego słońca. Kiedy podbiega doń paż z kuflem pełnym spienionego piwa, zaczyna pić łapczywie, jak gdybym nie czekała na relację tuż obok niego, jak gdybym nie pościła co piątek i w każde święto. — Masz dla mnie wieści? — powtarzam.

— W cztery oczy — odpowiada.

Domyślam się, że nie będą najlepsze, i prowadzę go nie do swoich komnat, gdzie nie ma miejsca dla zdrożonego spoconego mężczyzny, tylko do pomieszczenia przylegającego do wielkiej sali, gdzie mój mąż zwykł był prowadzić interesy związane z gospodarstwem. Leyden zamyka za nami drzwi i kiedy się obraca, napotyka moje twarde spojrzenie.

— Co poszło nie tak? Sfuszerowałeś?

— Nie. To twój plan, milady, był fuszerką od samego początku. Ryszard książę Clarence jest już żonaty — rzuca mi prosto w twarz, po czym znów pociąga z kufła.

— Słucham?

— Wziął sobie drugą dziedziczkę Warwicka, siostrę Izabeli zamężnej z Jerzym. — Widząc moje osłupienie i że za nim nie nadążam, dodaje: — Ożenił się z Anną Neville, wdową po księciu Walii Edwardzie, znaczy się, byłym księciu Walii Edwardzie. Tym, co zginął pod Tewkesbury.

— Jak mu się to udało? — oburzam się. — Jej matka nigdy by się na to nie zgodziła. Jerzy by się na to nie zgodził. Anna jest przecież dziedziczką niesłychanego majątku! Trudno, żeby starszy

brat patrzył, jak najmłodszy zabiera mu sprzed nosa taką fortunę. Jerzemu nie byłoby w smak dzielenie się spuścizną po Warwicku! Ziemiami, lojalnością północy...

— Chyba nic nie wiedział. — Ochmistrz osusza kufel do dna. — Powiadają, że Ryszard udał się z wizytą do domu brata, znalazł tam lady Annę, wykradł ją, schował i poślubił, nie prosząc nawet o dyspensę. Jakkolwiek było naprawdę, dwór ogarnęło wzburzenie na to, że Ryszard uczynił Annę swoją żoną, nie pytając nikogo o zgodę, ale król już mu prawie przebaczył, a dla ciebie, milady, zabrakło męża.

Wzbiera we mnie taki gniew, że nie odprowadzam ochmistrza, tylko sama wypadam za drzwi, pozostawiając leżącego z nóg mężczyznę sterczącego z pustym kuflem w ręku. Pomyśleć tylko, że rozważałam kandydaturę młodego Ryszarda, podczas gdy on kombinował, jak wykraść dziewczę Warwicka spod dachu swojego starszego brata, i teraz Yorków i Neville'ów łączą więzy rodzinne, a mnie nikt nie chce! Czuję taką obrazę, jakbym osobiście mu się oświadczyła i spotkała się z odmową. Byłam skłonna zniżyć się aż do tego stopnia i poślubić jednego z Yorków, a tymczasem on wziął sobie do łóża Neville'ównę, krzyżując mi szyki.

Udaję się do kaplicy, gdzie opadam na kolana, by zanieść skargę do Przenajświętszej Panienki, która z pewnością zrozumie, jaka potwarz mnie spotkała, i to z czyjej strony — takiej osiki jak Anna Neville! Modłę się z zawziętością w głosie przez pierwszą godzinę, lecz potem z wolna spływa na mnie spokój świętego miejsca, tak że kiedy ksiądz przychodzi odprawić wieczorne nabożeństwo, mogę całą duszą zagłębić się w znajomy rytuał i czerpać z niego pociechę. Szepcząc słowa modlitw i przesuwając między palcami koraliki różańca, nie przestaję się zastanawiać, kto jeszcze jest w odpowiednim wieku, stanu wolnego i w łaskach Yorków. Mająca nade mną pieczę Przenajświętsza Panienka zsyła mi męskie miano w chwili, gdy wymawiam słowo „Amen”. Powstaję z klęczek i opuszczam kaplicę z całkiem nowym planem w głowie. Jestem niemal pewna, że znalazłam mężczyznę zawsze chętnego zmienić barwy na barwy zwycięzcy, toteż zadowolona mruczę pod nosem:

— Tomasz. Tomasz Stanley.

Baron Stanley to od jakiegoś czasu wdowiec i choć urodził się w Domu Lancasterów, nigdy nie sprzyjał wyraźnie żadnej ze stron. Pamiętam, jak Jasper skarżył się nań, że przed bitwą na Blore Heath przysięgał naszej królowej, Małgorzacie Andegaweńskiej, że stawi się w polu z dwoma tysiącami ludzi, a potem jakoś nie zjawił się w porę i kiedy Andegawenka czekała nań, by przeważył szalę zwycięstwa, Yorkowie zagarnęli główną wygraną. Mój dziewierz twierdził, że Stanley to człowiek, który podrywa pod broń każdego, kogo może, tworząc wielotysięczną armię, a kiedy bitwa się zaczyna, zajmuje miejsce na pobliskim wzgórzu i zanim zdecyduje się wkroczyć do walki, czeka beczynn timer, żeby zobaczyć, kto ma większe szanse wygrać. Tomasz Stanley to ponoć mistrz ostatecznej rozgrywki. Niejednokrotnie zwycięzca był mu winien wdzięczność za przypuszczoney w ostatnich chwilach atak na wroga. Jasper Tudor pogardzałby takim człowiekiem. Ja pogardzałabym takim człowiekiem. Ale tak się składa, że w tych okolicznościach być może jest to człowiek, jakiego potrzebuję.

Ostatnio zmienił barwy po bitwie pod Towton i od tego czasu wysoko zaszedł na dworze króla Edwarda. Został mianowany szambelanem królewskim, przebywa w bezpośredniej bliskości tronu i na północnym zachodzie Anglii posiada ziemie, które ładnie by się komponowały z moimi majątkami i w przyszłości stanowiłyby udatne dziedzictwo dla mego syna Henryka, z tym zastrzeżeniem, że Stanley ma własnego syna z pierwszego małżeństwa. Edward chyba mu ufa i podziwia go, aczkolwiek w moim mniemaniu król (nie po raz pierwszy zresztą) myli się co do ludzi. Osobiście ani trochę nie ufałabym Tomaszowi Stanleyowi i nie spuszczałabym oka z niego i jego brata Wilhelma. Ci dwaj mają tendencję do rozdzielania się i przyłączania do przeciwnych stron konfliktu, by mieć pewność, że rodzina wyjdzie dobrze w każdej sytuacji. Uważam Stanleya za człowieka dumnego, zimnego i wyrachowanego. Czuję, że mógłby się przysłużyć mojej sprawie, a jako ojczym Henryka, także sprawie mojego syna, pomagając w sprowadzeniu go do domu i na rodowe ziemie.

Pozbawiona rodziców, którzy powinni wystąpić w moim imieniu, muszę się zwrócić do niego z propozycją sama. Jako dwukrot-

nej wdowie i niewieście lat niemal trzydziestu chyba mi wypada wziąć swoje życie we własne ręce. Oczywiście wiem, że powinnam odczekać pełen rok, aż skończy się żałoba, wszelako kiedy już raz przyszedł mi do głowy pomysł wydania się za Stanleya, nie umiem wyrzucić go z myśli. Obawiam się, że jeśli będę mitrzyć, pazerna królowa wyciągnie po niego swe długie ręce, aby przyczynić splendoru swojej rodzinie. W dodatku chcę, by jak najszybciej zaczął działać na rzecz mojego syna. Nie należę do osób, które knują latami. Wolę, żeby sprawy toczyły się wartko i żywo. Brak mi diabelskich cech królowej, jej uroku i czarostwa, toteż muszę działać szybko i zwykłymi sposobami.

Sprawę przesadza to, że pomyślałam o Stanleyu, klęcząc w kaplicy i modląc się do Przenajświętszej Pani. To Ona podsunęła mi jego kandydaturę. Widocznie wolą Pana Boga jest, aby Tomasz Stanley stał się moim mężem i sprzymierzeńcem mego syna. Postanawiam, że tym razem nie zawierzę Janowi Leydenowi. Joanna d'Arc także nie posiłkowała się mężczyznami, by wykonywali za nią jej pracę — sama udawała się w bój. Dlatego piszę do Stanleya własnoręcznie, wysuwając w liście propozycję małżeństwa między nami i ubierając ją w tak proste i jasne słowa, jak to tylko możliwe.

W najbliższe noce zamartwiam się, że wzbudzę w nim niesmak, stawiając sprawę tak otwarcie. Przywołuję jednak wspomnienie Elżbiety Woodville wystającej pod wielkim dębem na rozdrożu i udającej, że znalazła się tam całkiem przypadkowo — wspomnienie tej wiejskiej czarownicy — i uznaję, że moja metoda mimo wszystko ma w sobie więcej godności i w niczym nie przypomina dopominania się o zakochane spojrzenie młodego króla i kuszenia przechodzonymi wdziękami. Wreszcie otrzymuję odpowiedź: jego ochmistrz spotka się z moim w Londynie i jeżeli dojdą do porozumienia w sprawie kontraktu małżeńskiego, z radością zostanie moim mężem od zaraz. Ton listu Stanleya jest równie chłodny jak jabłko w piwnicy, jego słowa — pozbawione uczucia niczym umowa sprzedaży. Ewidentnie doszliśmy do porozumienia, chociaż nawet ja czuję, że nie ma ono wiele wspólnego z weselem.

Spotykają się nasi ochmistrze, potem zarządcy, na koniec prawnicy. Kłóćą się, godzą i ostatecznie ustalają, że możemy się pobrać

w czerwcu tego roku. To dla mnie niełatwa decyzja — po raz pierwszy w życiu mam własne ziemie, panieńskie i wdowie. Kiedy zostanę żoną, wszystko co posiadam, przejdzie na własność Tomasza Stanleya. Muszę walczyć, żeby ocalić to, co niewiasta może mieć w świetle prawa sprzyjającego mężczyznom i mówiącego, że słabej płci nic się nie należy. Zatrzymuję tylko niewielką część posagu i wiana, wiedząc, że skórom się zdecydowała na ponowne zamążpójście, sama pozbawiłam się niezależności.

## CZERWIEC 1472 ROKU



Spotykamy się na dzień przed ślubem w moim domu — w jego domu — w Woking, więc tyle dobrego, że okazuje się miły dla oka, postawny, o smagłej pociągłej twarzy i lekko przerzedzonych włosach, odziany nadzwyczaj bogato — fortuna Stanleyów krzyczy z każdego haftu, z każdego szwu jego stroju. Podsumowując: nic, od czego mogłoby zadrzeć serce, ale też nie na porywach serca mi zależy. Potrzebuję mężczyzny perfidnego, takiego, co wygląda na godnego zaufania, lecz potrafi zawieść. Potrzebuję sojusznika i współkonnspiratora; potrzebuję człowieka przyzwyczajonego do mactw. Kiedy widzę jego wąskie oczy, uśmiezek i ogólne wrażenie pompatyczności, które roztacza wokół siebie, wiem, że dobrze trafiłam.

Rzucam ostatnie spojrzenie w zwierciadło przed zejściem na dół i nie po raz pierwszy ogarnia mnie jałowa irytacja na Elżbietę Woodville. Powiadają, że ma wyraziste szare oczy — moje są zwyczajnie brązowe. Powiadają, że nosi wysokie spiczaste kornety przyozdobione beczennymi welonami, dzięki którym wydaje się wysoka na siedem stóp — ja mam na głowie zwykły czepek jak zdjęty z siostry zakonnej. Powiadają, że loki jej błyszczą niczym złoto — moje włosy zdają się matową grzywą górskiego kuca. Podczas gdy ja czyniłam wyrzeczenia, aby się przybliżyć do świętości i prowadzić życie duchowe, ona oddawała się próżności. Nie ustępuję jej wzrostem ani sylwetką — dzięki częstym postom nigdy nie nabrałam ciała. Z pewnością nie ustępuję jej też siłą ani odwagą



— a takich cech powinien szukać w niewieście każdy mądry mężczyzna. Co więcej, umiem czytać i pisać, mam na swoim koncie kilka przekładów z francuskiego, wciąż doskonale znajomość łaciny, a nawet ułożyłam niewielki modlitewnik na własne potrzeby i na potrzeby domowników — kopie, które kazałam sporządzić, są używane co rano i wieczór podczas mszy. Nie ma wielu niewiast takich jak ja; w rzeczy samej czy którakolwiek Angielka może powiedzieć o sobie tyle co ja? **Jestem** wysoce inteligentną, dobrze wykształconą dziedziczką królewskiego rodu, powołaną przez Pana Boga do wspamiętanych uczynków, prowadzoną przez życie przez Przenajświętszą Panienkę i nieustannie słyszącą głos Stwórcy.

Zdaję sobie wszelako sprawę, że podobne zalety nie mają żadnego znaczenia w świecie, w którym niewiasta taka jak królowa jest wychwalana pod niebiosa za powab jej uśmiechu i nadzwyczajną płodność wykarmionego śmietanką ciała. Przy niej jestem tylko zwyczajną rozważną, ambitną niewiastą. Dziś nie mogę się nie zastanawiać, czy to wystarczy mojemu nowemu mężowi. Wiem — ktoś ma to wiedzieć lepiej niż ja, która przez całe życie spotykałam się z niezrozumieniem i pogardą? — otóż więc wiem, że zalety duchowe nie są w cenie w tych czasach.

Wieczерzę spożywamy w wielkiej sali na oczach moich dzierżawców i służących, toteż nie mamy okazji do prywatnej rozmowy aż do chwili, gdy późnym wieczorem Stanley przychodzi do mych komnat. Damy do towarzystwa otaczają mnie wtedy półkrygiem, wyszywając, a jedna akurat czyta na głos ustęp z Pisma Świętego. Tomasz Stanley zasiada na wolnym krześle, nie przerywając jej, i z natężoną uwagą słucha do samego końca. A zatem to bogobojny mężczyzna — albo przynajmniej chce za takiego uchodzić. Daję niewiastom znak, by odeszły, po czym zapraszam męża bliżej kominka. Zajmuje to samo miejsce, które zajmował Stafford, zachodząc do mnie wieczorami, by porozmawiać o niczym w szczególności i równocześnie rozłupać parę orzechów, łupinami podsycając ogień. Nieoczekiwanie dla samej siebie znów odczuwam nagłą intensywną falę żalu po utracie tego łatwego w obejściu mężczyzny, który zdawał się zadowolony z tego, co miał. Zaiste rzadka to cecha w dzisiejszych czasach.

— Mam nadzieję, że sprostam twoim oczekiwaniom jako żona  
— mówię cicho. — Uznałam, że ten związek przyniesie korzyść nam obojemu.

— Cieszy mnie, że o nim pomyślałaś — odpowiada uprzejmie.  
Waham się lekko.

— Ufam, że moi doradcy przekazali ci, iż nie życzę sobie potomstwa z tego małżeństwa?

Nie patrzy na mnie; być może wprawiłam go w zażenowanie, stawiając sprawę wprost.

— Powiedziano mi, że małżeństwo ma być wiążące, chociaż nieskonsumowane. **Że** będziemy dzielić łożę, aby dopełnić umowy małżeńskiej, wszelako ty wiedziesz życie w czystości niczym zakonnica.

Wciągam powietrze.

— Czy to ci przeszkadza?

— Skądże — rzecze oziębło.

Przez moment, patrząc na jego wciąż spuszczoną głowę, zastanawiam się, czy naprawdę chcę, aby tak łatwo się zgodził być moim mężem, lecz już nie kochankiem. Elżbieta Woodville, niewiasta sześć lat starsza ode mnie, jest adorowana przez swego męża króla, który udowadnia swoją miłość i namiętność, co roku dając jej dziecko. Z poprzednim mężem nie poczęłam potomka mimo sporadycznie ponawianych przez Stafforda prób, ale może miałabym drugą szansę z tym mężczyzną, który zostałby ojcem mego dziecka, gdybym wcześniej nie obwarowała kontraktu małżeńskiego zakazami pożycia cielesnego.

— Wierzę, że Stwórca przeznaczył mnie do wyższych celów — wyjaśniam, a może rzucam wyzwanie. — I że Jego wolą jest, abym była w każdej chwili gotowa. Nie mogę być równocześnie wybranką Pana Boga i śmiertelnika.

— Będzie, jak sobie życzysz — zgadza się na wszystko obojętnie.

Pragnę, aby zrozumiał, że chodzi o powołanie. Przypuszczam jednak, że z jakiegoś powodu chcę również, aby zaczął mnie przekonywać, bym mimo wszystko zgodziła się być dla niego prawdziwą żoną.

— Wierzę — kontynuuję szeptem — że Pan Bóg wyzna-  
czył mnie na matkę następnego króla Anglii. Całe życie poświę-  
ciłam na zapewnienie memu synowi bezpieczeństwa i złożyłam  
śluby, iż pomogę mu zasiąść na tronie bez względu na koszty.  
Mogę mieć tylko jednego syna, dbać o jego dobro i ostateczny  
tryumf.

To nareszcie powoduje, że podnosi na mnie spojrzenie, jak gdy-  
by chciał się przekonać, czy płonę natchnionym blaskiem.

— Chyba wyraziłem się jasno w rozmowie z twoimi doradcami,  
kiedy mówiłem, że oczekuję, byś służyła Domowi Yorków: królowi  
Edwardowi i królowej Elżbiecie?

— Tak. Ja zaś jasno dałam do zrozumienia, iż pragnę się zna-  
leźć na dworze królewskim. Tylko dzięki łasce najjaśniejszego pana  
zdołam sprowadzić syna do domu.

— Oczekuję, że udasz się ze mną do Londynu, zajmiesz pozycję  
dworki w komnatach królowej Elżbiety i będziesz mnie wspierać we  
wszelkich działaniach, które będę prowadził jako znaczący dworza-  
nin króla Edwarda, oraz że postarasz się sprawiać wrażenie lojalnej  
członkini Domu Yorków.

Kiwam głową, nie odrywając wzroku od jego twarzy.

— Będzie, jak powiedziałaś.

— Nie może powstać nawet cień wątpliwości, począwszy od  
pierwszego dnia twojego pobytu na dworze, a skończywszy na ostat-  
nim — zarządza. — Musisz ich do siebie przekonać.

— Uczynię to z miłą chęcią — kłamię mu prosto w oczy i widzę,  
jak pojawia się w nich błysk rozbawienia. Tomasz Stanley domyśla  
się, że wszystko to przewidziałam i zaplanowałam.

— Jesteś rozsądna — chwali mnie tak cicho, że ledwie to słyszę.  
— Moim zdaniem jest niezwykłą zasada, że tak szwaczka kraje,  
jak jej materii staje. Uzbroimy się w cierpliwość i będziemy czekać,  
aż powinie mu się noga.

— Ale czy aby na pewno przyjmie mnie na swój dwór? — wyra-  
żam obawę. W pamięci mam długotrwały bój toczony przez Jaspera  
z tym królem i to, że nawet teraz Walia nie w pełni popiera rządy  
Yorków, jak również dziewierza i syna przyczajonych w Bretanii

w oczekiwaniu na lepsze czasy, kiedy mój chłopiec będzie mógł zostać koronowany.

— Yorkowie aż się palą, żeby zaleczyć rany przeszłości — oznajmia Stanley. — Rozpaczliwie potrzebują sojuszników i sprzymierzeńców. Edward chce wierzyć, że ze szczerym sercem wstąpiłaś w ten związek małżeński i dołączyłaś do yorkistów. Powita cię z otwartymi ramionami jako moją żonę. Oczywiście uprzedziłem go o swoich planach, a on dał mi swoje błogosławieństwo. Królowa także.

— Królowa? Królowa nam błogosławi? Naprawdę?

Potakuje skinieniem.

— Bez jej wiedzy nic się nie wydarzy w tym królestwie.

Zmuszam się do uśmiechu.

— W takim razie chyba będę musiała starać się jej przypodobać.

— Owszem. Być może dożyjemy swoich dni pod berłem Yorków. Musimy się z nimi dogadać, a jeszcze lepiej: uzyskać od nich przywileje i zaszczyty.

— Pozwolą mi sprowadzić syna do domu?

Znowu kiwa głową.

— Tak zakłada nasz plan. Na razie nie wystąpiłem z tą prośbą i nie wystąpię z nią przez jeszcze jakiś czas. Najpierw bowiem musisz się zadomowić na dworze, zyskać zaufanie Edwarda i Elżbiety. Rychło się spostrzeżesz, że oboje są bardzo ufni i żądni przyjaciół. W rzeczy samej potrafią być czarujący. Zobaczysz, że będą dla ciebie mili. Dopiero później zastanowimy się wspólnie, co można zrobić dla twojego chłopca i co on może zrobić dla mnie. Ile Henryk ma właściwie lat?

— Zaledwie piętnaście. — Słyszę w swoim głosie tęsknotę, kiedy opowiadam o dorastającym na obczyźnie synu. — Razem ze stryjem Jasperem ukryli się w Bretanii.

— Henryk będzie musiał opuścić Jaspiera — przestrzega mnie Stanley. — Edward nigdy się nie pogodzi z Jasperem Tudorem. Wszelako moim zdaniem Yorkowie pozwolą Henrykowi wrócić do Anglii, pod warunkiem że złoży im hołd lenny, my zaś damy w jego imieniu słowo, że nie będzie sprawiał kłopotów i zrzeknie się swoich roszczeń.

— Jerzy księżę Clarence przejął po moim synu tytuł hrabiego Richmond — przypominam gwałtownie. — Mój syn musi odebrać, co mu się należy. Po powrocie do domu powinien mieć zarówno swój tytuł, jak i swoje ziemie. Musi wrócić do Anglii jako hrabia, którym się urodził...

— Z Jerzym trzeba się obchodzić delikatnie! — przerywa mi grubiańsko Stanley. — Ale możemy pomyśleć o przekupstwie bądź jakimś innym układzie. Jerzy jest równie zachłanny jak parobek w kuchni. I ma sprzedajną duszę. Jest tak samo fałszywy jak kot. Z pewnością uda nam się go przekupić tym czy innym majątkiem. W końcu, mówiąc między nami, mamy naprawdę ładny kawałek Anglii.

— A Ryszard, najmłodszy brat? — pytam.

— Ten z kolei jest wierny jak pies — odpowiada bez namysłu Stanley. — Wierny jak psisko. Powolny jak wieprzek ze swojego herbu. Duszą i ciałem oddany Edwardowi. Ale z całych sił nienawidzi Elżbiety, więc jest punkt zaczepienia, gdybyśmy chcieli zrobić większy wyłom na królewskim dworze. Trzeba by jednak niesłychanej sprawności, żeby w tę wąziutką szczelinę wsunąć już teraz sztylet. Ryszard bowiem równie mocno kocha brata, jak nienawidzi jego żony. Wilhelm Hastings, najstarszy przyjaciel Edwarda, jest taki sam. Po co nam szukać niedoskonałości na dworze Yorków? Edward dochował się syna i ma wszelkie szanse na następnych księżąt. Elżbieta Woodville jest płodna jak króliczka. Yorkowie panują i nie zamierzają ustępować, a ja staram się zostać ich najlojalniejszym poddanym. Ty jako moja żona musisz mi w tym pomagać i kochać parę monarszą, biorąc ze mnie przykład.

— Z przekonania? — pytam, nie podnosząc głosu.

— Ja jestem przekonany. Na razie — odpowiada chytrze niczym lis.

## ROK 1482



Wraz z upływem lat wchodzę w nowy rytm życia z moim nowym mężem, lecz choć uczę się przy nim być taką samą dobrą dworką dla tej rodziny królewskiej, jaką byłam wcześniej dla prawdziwej pary monarszej z Domu Lancasterów, w głębi serca nigdy się nie zmieniam i nadal darzę pogardą uzurpatora Edwarda i jego żonę Elżbietę. Mamy do dyspozycji wspaniałą siedzibę w Londynie, ale Stanley nalega, byśmy miesiące zimowe spędzali w pałacu, gdzie może codziennie służyć królowi. Od jakiegoś czasu jest członkiem jego rady, udziela mu świątłych i przezornych wskazówek i bywa przezeń doceniany za swoją roztropność i znajomość szerokiego świata. Bardzo się stara dotrzymywać danego słowa. Jako że w przeszłości nieraz zmieniał barwy, chce za wszelką cenę sprawić, aby Yorkowie uwierzyli, iż nigdy nie uczyni tego ponownie. Chce być niezastąpiony, solidny jak skała. Przylega doń przydomek „Lis” — wszelako raczej z powodu legendarnej ostrożności, gdyż nikt na dworze nie wątpi w jego lojalność.

Kiedy zabiera mnie do pałacu po raz pierwszy, by przedstawić jako swoją nową żonę, ze zdziwieniem spostrzegam, iż denerwuję się bardziej niż wtedy, gdy miałam poznać prawdziwego króla i prawdziwą królową. Elżbieta Woodville jeszcze niedawno była tylko wdową po prowincjonalnym włościaninie, a jednak zdołała zdominować moje życie, szczęście bowiem do niej się uśmiechało, ode mnie zaś odwracało. Znalazłyśmy się po przeciwnych stronach koła fortuny: ona została wyniesiona na sam szczyt, natomiast ja

upadałam coraz niżej. Zdołała mnie przyćmić — zamieszkiwała w pałacach, które powinny należeć do mnie; nosiła koronę, która powinna być moja. Gronostaje przyozdobiły ją tylko z tego powodu, że jest urodziwa i ponętna, a tymczasem w rzeczywistości przysługują mi, dziedzicznie królewskiego rodu. Będąc ode mnie o sześć lat starsza, ma nade mną nieustającą przewagę. Sterczała na trakcie, którym przejeżdżał yorkistowski król. Tego samego roku gdy się w niej zakochał, poślubił ją i uczynił swoją królową, ja zostałam zmuszona do oddania swego jedyne go syna pod pieczę wroga i wyjścia za mężczyznę, który jak wiedziałam, ani nie będzie ojcem me go dziecka, ani rycerzem prawdziwego króla. Podczas gdy Elżbieta Woodville nosiła coraz wyższe kornety przystrajane coraz delikatniejszą koronką, podczas gdy zamawiała suknie lamowane gronostajami i wysłuchiwała pieśni wychwalających jej urodę i powab, podczas gdy nagradzała zwycięzców turniejów i co roku rodziła Edwardowi dziecko, ja klęczałam w chłodzie kaplicy, modląc się o to, by mój syn, oddany pod opiekę nieprzyjaciół, nie wyrósł na me go wroga; by mój mąż, choć tchórz, nie okazał się zdrajcą; by nie odeszła mi odwaga Joanny d'Arc; bym pozostała wierna swojej rodzinie, swemu Bogu i samej sobie. Przez długie lata, kiedy mój syn żył pod dachem Herbertów, a ja mogłam być co najwyżej dobrą żoną dla Stafforda, ta niewiasta swatała swoich krewnych i powinowatych, spiskowała przeciwko rywalom, umacniała swoją władzę nad królewskim małżonkiem i olśniewała Anglię.

Nawet gdy została usunięta w cień, nawet gdy ukrywała się w sanktuarium w czasie, kiedy prawdziwy król powrócił na tron, a my płynęliśmy po Tamizie do jego pałacu, aby pobłogosławił swego krewniaka, hrabiego Richmond, me go syna, nawet tam, w mroku murów opactwa, miała swój moment tryumfu, wydając na świat pierwszego męskiego potomka, chłopca, którego teraz wszyscy nazywają księciem Walii, nadzieję Yorków.

Zawsze, nawet w chwilach ewidentnej porażki, triumfowała nade mną, ja zaś musiałam się modlić przez dwie dekady, by poznała, co to skromność Przenajświętszej Panienki znana tylko tym, którzy cierpią, a i tak żadne trudy jej nie uszlachetniły.

Teraz stoi przede mną — niewiasta, którą zwań najpiękniejszą w Anglii; niewiasta, która zdobyła koronę dzięki swej urodzie; niewiasta, która ma we władaniu swego małżonka króla i wszystkich poddanych. Spuszczam oczy, jakbym była pełna podziwu. Pan Bóg w swej mądrości wie jednak, że ktoś taki jak Elżbieta Woodville nigdy nie zyska władzy nade mną.

— Lady Stanley — wita mnie, kiedy dygam przed nią nisko i wolno się prostuję.

— Najjaśniejsza pani — rzekę z uśmiechem tak szerokim, że w ustach mi od niego zasycha.

— Lady Stanley, jesteś mile widziana na moim dworze przez wzgląd na swoją osobę, jak i na osobę twego małżonka, który okazuje nam wielką przyjaźń — mówi.

Wzrokiem omiata moje bogate szaty, mój zakonny czepek, moją skromną postawę. Wiem, że próbuje mnie przejrzeć, więc stojąc jak na cenzurowanym, całym swoim jestestwem staram się nie dać po sobie poznać, jak bardzo jej nienawidzę, jak bardzo zazdroszczę jej urody i pozycji. Usiłuję wydawać się miłą, mimo że w środku aż mnie skręca z urażonej dumy i zawiści.

— Mój mąż jest bardzo szczęśliwy, mogąc służyć królowi i Domowi Yorków — oświadczam i czując, że te słowa podrapia mnie w gardło, dodaję: — Ja zresztą również jestem szczęśliwa.

Nachyla się lekko w moją stronę, a ja zdaję sobie sprawę z tej jej gotowości wysłuchania mnie, z tej jej jawnej skwapliwości, żeby szczerze uwierzyć, iż zmieniłam barwy i jestem gotowa lojalnie im służyć. Widzę, że łaknie mojej przyjaźni i równocześnie obawia się tego, że nigdy nie będzie w pełni bezpieczna. Albowiem Yorkowie mogą mieć nadzieję na pokój i koniec ustawicznych buntów tylko wtedy, gdy uda im się przekonać do siebie każdy wielki ród Anglii. Gdyby Elżbieta zdołała mnie przekabacić, przeciągnąć na swoją stronę, Lancasterowie utraciliby we mnie przywódczynię i dziedziczkę. Chyba postradała rozum i straciła serce w sanktuarium. Kiedy jej mąż musiał uciekać, by ratować skórę, a na tron wrócił prawowity król, była tak przerażona, że teraz łaknie przyjaźni każdego: nawet mojej, z w ł a s z c z a mojej.



— Z przyjemnością zobaczę cię pośród moich dworek i przyjaciółek — stwierdza wspaniałomyślnie. Można by pomyśleć, że urodziła się, aby być królową, a nie klepiącą biedę wdową po byle kim; zachowuje się z dostojnością Andegawenki, tyle że ma znacznie więcej wdzięku niż ona. — Z przyjemnością witam cię w gronie swoich dam dworu.

Przed oczami staje mi młoda niewiasta wyczekująca na rozdrożu na roznamiętnionego króla i przez krótką chwilę boję się, że pogarda dla niej odmaluje się na mojej twarzy.

— Dziękuję, najjaśniejsza pani — odpowiadam, skłaniając nisko głowę, dygam znowu i czym prędzej opuszczam jej komnatę.

Dziwnie jest uśmiechać się do wroga i dygać przed nim, równocześnie usiłując ukryć niechęć w swoich oczach. Wszelako dziesięć lat praktyki robi swoje i muszę coraz częściej prosić Pana Boga, aby nie zapomniał o swej córce ukrytej pod dachem nieprzyjaciela. Zaczynam uchodzić za najwierniejszą z dworek. Królowa Elżbieta poczyna mi ufać i dopuszcza do kręgu najbliższych dam dworu, z którymi spędza dnie, spożywa posiłki, tańczy przed królem i udaje się na spoczynek do swych wspaniałych prywatnych apartamentów. Kiedy królewski brat, Jerzy, spiskuje przeciwko parze monarszej, królowa czerpie otuchę od nas, swoich dworek, pozwalając królowi uporać się z podziałami w rodzinie. Przeżywa chwilę grozy, gdy pada na nią oskarżenie o czarostwo i połowa dworzan śmieje się z niej w kułak, a druga połowa czyni zamasyście znak krzyża na jej widok. Jestem przy niej, gdy Jerzy udaje się na spotkanie śmierci w Tower i cały dwór drży ze strachu na myśl o niesnaskach w rodzinie królewskiej. Trzymam ją za rękę, kiedy przynoszą wieść, że wyzionął ducha, i czuję, jak wzdycha z ulgą, sądząc, że nareszcie uwolniła się od jego wrogości. Szepcze do mnie: „Bogu niech będą dzięki, że odszedł”, a ja potakuję, myśląc: tak, odszedł, więc jego tytuł, który niegdyś należał do mojego syna, znów jest wolny; może powinnam ją o niego poprosić?

Gdy rodzi się jej kolejna córka, na przemian to wpadam do komnaty niewieściej, by pomagać akuszerkom, to z niej wypadam, by modlić się o zdrowie położnicy i dziecka, a potem zostaję matką

chrzestną księżniczki i to ja we własnej osobie zanoszę ją do chrzcielnicy. Spośród wszystkich szlachetnie urodzonych dam dworu wybrana zostaje ja — ulubienica najjaśniejszej pani.

Naturalnie to, że królowa co roku zostaje matką, przypomina mi o moim dziecku, o synu, którego urodziłam, lecz którego nie dane mi było wychować. Przez dziesięć lat raz w miesiącu dostaję od niego list: najpierw od chłopca, potem od młodzika, wreszcie — uświadamiam sobie — od mężczyzny osiągnącego pełnoletność. Od mężczyzny na tyle dojrzałego, by upomnieć się o swoje dziedzictwo.

Jasper pisze do mnie, że nie zaniedbuje edukacji Henryka. Mój syn nadal przestrzega godzin brewiarzowych Kościoła, tak jak sobie życzyłam. Doskonali umiejętności szermiercze, jeździ konno, poluje, uczy się strzelać z łuku, gra w *jeu de paume*, nawet pływa — robi wszystko to, co pozwala utrzymać ciało w dobrej formie i sposobie je do walki. Razem ze stryjem studiuje historię wojen, a ilekroć odwiedza ich weteran jakiejś bitwy, musi opowiedzieć Henrykowi, co widział, i później wspólnie się zastanawiają, jak można było doprowadzić do zwycięstwa lub wygrać jeszcze szybciej. Poznaje geografie Anglii, żeby wiedzieć, dokąd skierować swoje statki, ślęczy nad angielskim prawem i tradycją, żeby być dobrym i sprawiedliwym władcą, kiedy nadejdzie jego czas. Jasper ani słowem nie wspomina w swych listach o tym, że kształcenie na wygnaniu młodzieńca, który być może nigdy już nie ujrzy ziemi rodzinnej, przygotowywanie go do bitwy, której być może nigdy nie stoczy, jest żmudnym i niewdzięcznym zajęciem. Kiedy król Edward IV Angielski uroczyście obchodzi dwudziątą pierwszą rocznicę swego panowania, mając u boku udanego i silnego syna, Edwarda księcia Walii, oboje zaczynamy rozumieć, że to zadanie nie tylko trudne, nie tylko nie przynoszące satysfakcji, ale też być może z góry skazane na niepowodzenie.

Jakimś sposobem — podczas tych dziesięciu lat małżeństwa z Tomaszem Stanleyem — słuszna sprawa mojego syna nawet w moich oczach zamieniła się w sprawę przegraną. Wszelako Jasper, nadal na wygnaniu w Bretanii, nie traci nadziei; tylko tyle w gruncie rzeczy może zrobić. Ja także nadal wierzę. Wierzę, że koronę Anglii powinien nosić Lancaster, i wiem, że jedynym lancasterskim następcą tronu jest mój syn, jeśli nie liczyć odebranego

nam księcia Buckingham, mojego bratanka przymusem ożenionego z Woodville'ówną i przez to straconego na rzecz Yorków. Mój syn Henryk też okazuje ufność w przyszłość — choć ma już dwadzieścia pięć lat, nie zapomniał, że został wychowany w duchu nadziei, jakkolwiek byłaby ona słaba; choć jest od niedawna dorosłym mężczyzną, nie zyskał jeszcze niezależności charakterystycznej dla wieku dojrzałego i wystarczającej, by powiedzieć swemu ukochanemu stryjowi i opiekunowi albo matczy, że zarzuca nasze marzenie. Marzenie, które kosztowało go szczęśliwe dzieciństwo i które nadal go pęta.

Następnie, tuż przed ucztą z okazji Bożego Narodzenia, mój małżonek Tomasz Stanley pojawia się w komnatach królowej, odnajduje mnie i mówi:

— Przynoszę dobre wieści. Uzgodniłem warunki powrotu twojego syna.

Biblia wysuwa mi się z dłoni i omal nie spada na posadzkę; chwytam świętą księgę w ostatniej chwili, zanim stoczy się z kolan.

— Król wyraził zgodę?

— Owszem.

Zaczynam się jąkać z podniecenia i radości.

— N-nigdy n-nie sądziłam, że...

— Przymierza się do wojny z Francją. Nie chce, żeby twój syn pętał się na granicy dwóch królestw jako konkurent do tronu, potencjalny zakładnik czy coś takiego. Dlatego pozwala go sprowadzić do domu, a nawet obiecuje nadać mu dawny tytuł. Henryk znów będzie hrabią Richmond.

Czuję, że zaczyna mi brakować tchu.

— Chwalmy Pana — szepczę. Najbardziej ze wszystkiego pragnę się rzucić na klęczki i podziękować Panu Bogu za to, że wrócił królowi rozum i miłosierdzie. — A co z jego dawnymi ziemiami?

— Edward nie zgodzi się, żeby władał Walią... nie jako Tudor, to pewne — oświadcza bez ogródek Stanley. — Wszelako będzie musiał uczynić jakieś nadanie. Być może uszczknie coś z twoich panieńskich ziem...

— Henrykowi należą się własne ziemie — protestuję, niechętna myśli o podziale majątku. — Król powinien to zrobić jak trzeba, a nie wyciągać rękę po mój posag.

— Henryk będzie musiał się ożenić z wybraną przez królową kandydatką. — Tomasz Stanley swoim zwyczajem wylewa mi na głowę kubek zimnej wody.

— Chyba nie zamierza go wyswatać z pierwszą lepszą panną na wydaniu? — oburzam się mimowolnie.

— Twój syn poślubi pannę, którą wybierze dlań królowa — stuzdzi mnie znowu mój mąż. — Elżbieta darzy cię sympatią. Może powinnaś z nią porozmawiać, podsunąć jej jakieś nazwiska? Chłopak musi się ożenić, a z pewnością nie pozwoli mu poślubić nikogo, kto by umocnił linię Lancasterów. Bez dwóch zdań padnie na yorkistkę. Gdybyś się dobrze koło tego zakreśliła, może by mu się trafiła któraś z księżniczek... Bóg świadkiem, że tych akurat nie brakuje.

— Czy może przyjechać do Anglii od razu? — pytam cicho.

— Dopiero po świętach. Trzeba jeszcze urobić Edwarda, utwierdzić w przekonaniu, uspokoić jego obawy, choć większość pracy już wykonałem. Oboje, król i królowa, ufają tobie, ufają mnie i wierzą, że nigdy byśmy nie sprowadzili do Anglii zaprzysiężonego wroga Yorków.

Od tak dawna nie poruszaliśmy tego tematu, że utraciłam pewność, czy mój mąż nadal popiera moją sekretną wolę.

— Zapomnieli, że to pretendent do tronu? — dziwię się. Mimo że znajdujemy się w mojej prywatnej komnacie, ściszam głos, by nikt nas nie usłyszał.

— Wszyscy wiedzą, że Henryk Tudor ma prawa do tronu — rzecze Stanley. — Jednakże dopóki żyje król Edward, dopóty nie może być mowy o koronie dla twego syna. **Żaden** Anglik nie poprze przybłądy w miejsce Plantageneta. Po jego śmierci następny w kolejce do tronu jest książę Walii Edward, a po nim książę Yorku Ryszard, dwaj ukochani przez wszystkich książęta domu panującego. Doprawdy trudno sobie wyobrazić, jak twój Henryk miałby zdobyć koronę. Musiałby przejść po trzech trupach. Musiałby dożyć śmierci panującego monarchy i jego synów. To byłby bardzo nieszczęśliwy splot wydarzeń. Chyba że to my mamy go spowodować? Ale czy starczy nam na to odwagi? Czy t o b i e starczy na to odwagi, Małgorzato?

## KWIECIEŃ 1483 ROKU



Muszę czekać na przyjazd Henryka aż do Wielkiejnocy, wszelako piszę do niego i do Jaspera natychmiast. Wszczynają przygotowania do powrotu bezzwłocznie, posyłając przodem mały dwór yorkistowskich koniunkturalistów i wszelakiej maści desperatów, którzy się wokół nich zgrupowali. Rychła podróż Henryka do Anglii oznacza konieczność rozstania ze stryjem. Jasper zwierza mi się, że nie wyobraża sobie życia bez bratanka, bez ciągłego udzielania mu nauk, rad i wskazówek.

*Być może udam się na pielgrzymkę. Aadszedtchyba czas, bym skupił się na sobie, na własnej duszy. "Dotądżytem tylko dla tego chłopca i znalazłszy się z dala od Anglii, chyba dopuściłem do siebie myśl, iż obaj dokonamy żywota na obcej ziemi Tymczasem on teraz wraca, a ja zostaję. Utraciłem kolejno brata, rodową siedzibę, Ciebie, teraz przychodzi mi utracić i Henryką. Cieszy mnie, że może do Ciebie wrócić i zająć należne mu w świecie miejsce. A jednakjnie zmniejsza to poczucia mojej samotności tutaj, na wygnania. Doprawdy nie wyobrażam sobie, co mógłbym tu robić bez niego.*

Zabieram ten list do Stanleya, mego męża od ponad dziesięciu lat, który akurat oddaje się pracy przy stole zasłanym dokumentami oczekującymi na jego podpis.

— Wydaje mi się, że Jasper Tudor chętnie by wrócił razem z Henrykiem... — zacznam ostrożnie.

— Jasper Tudor może wrócić do Anglii tylko po to, by dać się ściąć — odpowiada beznamiętnie Tomasz Stanley. — Opowiedział się po złej stronie i trzymał się jej jak rzep psiego ogona przez chwile tryumfu aż do definitywnej porażki. Mógł prosić o łaskę po Tewkesbury jak wszyscy inni, ale oczywiście musiał być uparty niczym walijski kuc. Nie zamierzam wykorzystywać swoich wpływów, aby mu pomóc, i ty też niczego podobnego nie uczynisz. Szczególnie że darzysz go sympatią, której nie podzielałam i której nie cenię u ciebie.

Spoglądałam nań ze szczerym zdumieniem.

— To mój dziewierz — przypominam.

— Jestem tego świadom. Nawiasem mówiąc, przez to cała sytuacja jest jeszcze gorsza.

— Chyba nie myślisz, że kochałam go skrycie przez te wszystkie lata nieobecności?

— W ogóle nie myślę na jego temat — odburkuje. — Nie chcę o nim myśleć. Nie chcę też, abyś ty o nim myślała. Zwłaszcza zaś nie chcę, aby myślał o nim król i ta plotkara, jego żona królowa. Nie w naszym kontekście. Tak więc Jasper zostaje tam, gdzie jest, nie będziemy się za nim wstawiać, co więcej, ty nie będziesz do niego więcej pisać listów. Powinnaś wyrzucić go z pamięci, ot co. Odtąd traktujmy go jak zmarłego.

Spostrzegam, że dygoczę z oburzenia.

— Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że powątpiewasz w mój honor?!

— Nie. Znaczy, o twoim honorze też wolę nie myśleć.

— Skoro mnie nie pożądasz, nie rozumiem, jaką by ci to sprawiło różnicę! — naskakuję na niego.

Nic nie jest w stanie wyprowadzić go z równowagi.

— Wymóg braku pożądania, jak sobie zapewne przypominasz, został zawarty w naszym kontrakcie małżeńskim — stwierdza z lodowatym uśmiechem. — Na twoją wyraźną prośbę. Zatem nie, nie pożądam cię, milady. Jesteś mi za to przydatna, tak jak ja jestem przydatny tobie. Pozostajemy przy tym prostym układzie i nie komplikujmy go zaczerpniętymi z romansu słowami, których nigdy byśmy sobie szczerze nie powiedzieli w innych okolicznościach. Tak

się składa, że jako niewiasta nie jesteś w moim guście, a Bóg jeden wie, jaki mężczyzna umiałby rozpaść namiętność w tobie. Jeśli w ogóle jakiś zdołałby tego dokonać. Nie sądzę, żeby nawet biedny Jasper wywołał u ciebie coś więcej niż tylko lekki trzepot serca.

Ruszam w kierunku drzwi, lecz zamieram z ręką na klamce. Odwracam się i rzucam gorzko w stronę Stanleya:

— Jesteśmy małżeństwem od dekady. Przez cały ten czas byłam dla ciebie dobrą żoną. Nie masz ani jednego powodu do skargi. Czy naprawdę nie darzysz mnie choć odrobiną sympatii?

Podnosi spojrzenie znad blatu z piórem zawieszonym nad srebrnym kałamarzem.

— Kiedyśmy się pobierali, powiedziałaś mi, że w całości poświęciłaś się Panu Bogu i sprawie swego syna. Ja zaś odparłem, że najbardziej zależy mi na wywyższeniu siebie i swoich krewnych. Oznajmiłaś, że pragniesz wieść życie w czystości, a ja to uszanowałem, gdyż wniosłaś do tego małżeństwa znaczny majątek, dobre nazwisko i syna, który ma niekwestionowane prawo do tronu Anglii. W sytuacji takiej jak ta nie ma miejsca na uczucia, łączą nas interesy. Jesteś mi wierniejsza przez wzgląd na swój cel, aniżeli byś była jako kochająca żona, nie mam co do tego wątpliwości. Gdybyś była niewiastą odpowiadającą na porywy serca, dołączyłabyś do Jaspera i Henryka przed wieloma laty. Miłość nie jest istotna ani dla ciebie, ani dla mnie. Ty pragniesz władzy, Małgorzato; władzy i bogactwa. Ja pragnę tego samego. Nic poza tym nie ma dla nas znaczenia, jesteśmy skłonni wiele poświęcić, by osiągnąć założony cel...

— Moimi czynami kieruje Pan Bóg! — wpadam mu w słowo.

— Tak, ponieważ wydaje ci się, że Pan Bóg chce, aby twój syn został królem Anglii. Nie wydaje mi się, żeby Najwyższy doradzał ci w innych sprawach. Słyszysz to, co chcesz usłyszeć, Małgorzato. Pan Bóg kieruje twoimi czynami, pod warunkiem że tak ci wygodnie.

Zataczam się, jakby mnie uderzył.

— Jak śmiesz! Całe życie służyłam Panu Bogu!

— A On niezmiennie popychał cię ku władzy i bogactwu — sztydzi Stanley. — Jesteś pewna, że to Pana Boga słyszysz, a nie siebie, poprzez trzęsienie ziemi, ogień i łagodny powiew?

Odsłaniam zęby jak osaczone zwierzę.

— Powiadam ci, że Pan Bóg wyniesie mego syna Henryka na tron Anglii, a ci wszyscy, którzy teraz się ze mnie natrzęsają, którzy powątpiewają w moje powołanie i w moje wizje, będą mi się kłaniali w pas, nazywając Królową Matką, ja zaś będę się podpisywać Małgorzata Regina!...

Podskakuję w miejscu, kiedy rozlega się donośne pukanie do drzwi.

— Milordzie! — dobiega z drugiej strony.

— Wejść! — rzece Stanley, rozpoznawszy głos swego osobistego sekretarza.

Odsuwam się na bok, kiedy próg przekracza **James Peers**, obdarzając mnie przelotnym ukłonem, po czym zbliża się do stołu Stanleya.

— Chodzi o króla — wyrzuca z siebie sługa. — Doszły mnie słuchy, że zaniemogł.

— **Już** wczoraj wieczorem źle się czuł. To przejedzenie.

— Dzisiaj czuje się jeszcze gorzej. Ściągnięto kolejnych medyków, właśnie upuszczają mu krew.

— A zatem to coś poważnego?

— Na to wygląda, milordzie.

— W takim razie już idę.

Mój mąż odkłada pióro i w paru zamaszystych krokach znajduje się przy na wpół otwartych drzwiach, tuż obok mnie. Podchodzi do mnie tak blisko jak kochanek, kładzie mi dłoń na ramieniu i szepcze wprost do ucha:

— **Jeśli** jest chory, jeśli umrze i trzeba będzie zaprowadzić regencję, a twój syn zjawi się w porę i zostanie członkiem rady regencyjnej, znajdzie się tylko o dwa uderzenia serca od tronu. **Jeśli** się okaże mądrym wiernym doradcą, da się zauważyć, a lud zawsze wybierze raczej młodego mężczyznę z Domu Lancasterów niż gładkoliczego maminsynka z Domu Yorków. Będziesz tu sterczeć jak głaz i głądź o swoim powołaniu czy może raczej ruszysz tyłek i pójdziesz ze mną, aby się przekonać, czy nasz król naprawdę jest bliski śmierci?

Nie odpowiadam. Wkładam mu dłoń pod ramię i przestępujemy przez próg jedno obok drugiego z pobląkłymi z frasunku twarzami,



biegnąc do komnat króla, którego jak wszystkim wiadomo, szczerze miłujemy.

Agonia trwa wiele dni. To niesłychane, jak bardzo cierpi przez to królowa. Pomimo niezliczonych zdrad, pomimo tylu nieodpowiedzialnych eskapad z przyjaciółmi temu mężczyźnie udało się stworzyć pełne uczucia i namiętności małżeństwo. Elżbieta nie odchodzi od jego łoża dzień i noc; medycy zmieniają się, pojawiają jeden po drugim z coraz to nowym lekarstwem. Pogłoski fruwią po dworze królewskim niczym kruki szukające wieczorem gałęzi na spoczynek. Jedni mówią, że Edwarda zawiął chłodny wiatr od rzeki, kiedy uparł się wędkować w czas Wielkiejnocy. Drudzy twierdzą, że zachorzał od ciągłego opychania się i chlania na umór. Jeszcze inni utrzymują, że któraś z jego ladacznic zaraziła go chorobą francuską. Nieliczni — pośród nich ja — są zdania, że to kara boska za zdradę i wystąpienie przeciwko Domowi Lancasterów. Ja dodatkowo wierzę, że Pan Bóg w ten sposób robi miejsce dla mojego syna.

Stanley spędza większość czasu w komnatach króla, gdzie kryjący się po kątach mężczyźni poszeptują, że Edward — dotychczas niezwycięzony — chyba w końcu stracił swoje słynne szczęście. Ja siedzę z dworkami w komnatach królowej, czekając, aż Elżbieta na chwilę odejdzie od umierającego męża, by zmienić kornet i przeczesać włosy. Obserwuję w zwierciadle jej pozbawioną wyrazu twarz, kiedy pozwala służce upinać włosy wedle woli. Widzę, że jej wargi nieustannie się poruszają w szeptanej modlitwie. Gdyby była żoną jakiegokolwiek innego mężczyzny, modliłabym się razem z nią — z czystego ludzkiego współczucia. Elżbieta Woodville szaleje ze strachu, że straci ukochanego męża, człowieka, który stał ponad nami wszystkimi, bez wątpienia najpotężniejszego w całej Anglii.

— Czy coś mówi? — pyta mnie mąż przy wieczerzy, którą spożywamy w wielkiej sali w atmosferze takiej, jakby już ustawiono katafalk.

— Nic — odpowiadam. — Nic nie mówi. Zdaje się nieprzytomna na myśl, że go utraci. Sądzę, że koniec króla jest bliski.

Tego samego popołudnia do łoża króla zostają wezwani panowie rada. My, niewiasty, zostajemy za drzwiami komnaty gościnnej,

rozpaczliwie łaknąć najświeższych wiadomości. Pierwszy przechodzi przez próg mój mąż.

— Zaprzysiągł nas w obliczu śmierci — informuje z poważną twarzą. — Wymógł sojusz między Hastingsem i królową: między swym najbliższym przyjacielem i swoją żoną. Połączył w powietrzu nad łóżem ich dłonie i wyznaczył księcia Edwarda na króla. Powiedział, że wszyscy mamy mu służyć pod regentem, którym księżę Ryszard będzie do czasu osiągnięcia przez następcę tronu pełnoletności. Następnie zjawił się ksiądz, by udzielić najjaśniejszemu panu ostatniego namaszczenia. Król wyzionie ducha przed północą.

— Przyrzekłeś mu lojalność?

Uśmiezek, który Stanley posyła w moją stronę, mówi mi, że tak i że to nic nie znaczy.

— Wszyscyśmy przysięgli — rzecze. — Wszyscyśmy obiecali działać wspólnie dla wspólnego dobra, wszyscyśmy przyrzekli sobie dożgonną przyjaźń. Z czego wnoszę, że królowa właśnie w tej chwili posyła po swego syna z poleceniem, by czym prędzej wracał z Walii z tyloma ludźmi, ilu zdoła zebrać i uzbroić po drodze. Przypuszczam, że Hastings równocześnie śle po Ryszarda, ostrzegając go przed Riversami i wzywając do ściągnięcia yorkistów. Dwór się rozpada. Nikt nie chce żyć w Anglii pod władztwem Woodville'ów, a na to się zapowiada, skoro Edward jest niepełnoletni. Powtórzy się historia z Andegawenka, z rządami po kądzieli. Wyobrażam sobie, że każdy poprze Ryszarda, byle tylko powstrzymał królową matkę. Dlatego musimy działać, i to natychmiast. Podzielimy się zadaniami. Ja napiszę do Ryszarda i zapewnię go o swojej wierności, ty zaś umocnij Elżbietę w przekonaniu, że ona i jej rodzina nadal mają w nas sprzymierzeńców.

— Na dwoje babka wróżyła — szepczę. Taka jest od zawsze metoda działania Tomasza Stanleya. Z tego powodu wysłałam za niego; wysłałam za niego dla tej chwili.

— Spodziewam się, że Ryszard zapragnie rządzić do czasu osiągnięcia pełnoletności przez księcia Edwarda — myśli na głos Stanley — a nawet dłużej, jeśli zdoła podporządkować sobie chłopca. Stanie się nowym Warwickiem. Twórcą Królów.

— A może sam sięgnie po koronę? — pytam, jak zwykle mając przed oczyma swego chłopca, Henryka Tudora.

— To możliwe — potakuje Stanley. — Książę Ryszard to York wywodzący się w prostej linii z dynastii Plantagenetów, w odpowiednim wieku, aby zostać samodzielnym królem, niepotrzebny mu regent ani rada, która by za niego rządziła. Z pewnością wiele osób uzna, że to lepszy kandydat niż nieopierzony chłopiec Elżbiety. Niektórzy mogą go nawet okrzyknąć prawowitym następcą tronu. Małgorzato, musisz czym prędzej posłać wiadomość do Jaspera, aby jeszcze przez jakiś czas zapewnił Henrykowi ochronę. Twój syn nie może się pojawić w Anglii, zanim stanie się jasne, kto się upomina o tron po Edwardzie Czwartym.

To powiedziawszy, chce odejść, wszelako zatrzymuję go, przykładając mu dłoń do ramienia.

— A jak twoim zdaniem potoczą się teraz wypadki?

Nie patrzy mi prosto w oczy, kiedy odpowiada:

— Moim zdaniem królowa i brat króla będą walczyć o małego księcia niczym wściekłe psy o kość. I rozszarpia go przy tym na strzępy.

## MAJ 1483 ROKU



Zaledwie cztery tygodnie po tej szeptanej rozmowie z Tomaszem Stanleyem mogę napisać do Jaspera z niebywałymi wieściami.

*Ryszard książe Cloucester, najmłodszy brat króla, przysiągł wierność swemu bratankowi księciu "Edwardowi i sprowadził go do Londynu, do królewskich kwater w Tower, gdzie chłopiec ma oczekiwać z wszelkimi honorami na swoją koronację, która jak zapowiedziano, odbędzie się w nadchodzącym miesiącu. "Doszło do jakiejś przepychanki podczas odbierania księcia z rąk jego opiekunów i zarówno Antoni "Woodviile, jego wuj, jak i Ryszard Orey, jego przyrodni brat, zostali pojmani przez ludzi "Ryszarda. "Królowa Elżbieta ponownie ukryła się w sanktuarium, zabierając ze sobą pozostałe dzieci, i rozgłasza, że "Ryszard tylko udaje przyjaźń i jest wrogiem jej i jej bliskich Stanowczo żąda, aby mały książe został natychmiast uwolniony i oddany pod matczyną opiekę. Miasto się burzy, nie wiedząc, komu dawać wiarę i w kpinę pokładać zaufanie. "Większość ludzi uważa, że Elżbieta próbuje okraść królewski skarbiec (udając się do sanktuarium, zabrała tyle złota, ile zdołała unieść), po to by bronić swojej pozycji i rodziny. Jej brat umknął z flotą, uprzednio Wykradłszy resztę kosztowności ze skarba, i zapewne przymierza się do oblężenia Londynu od strony rzeki. Z> dnia na dzień Elżbieta "Woodviil(e zamieniła się we wroga ludu i rodzzonego syna, skpro wszystko jest przygotowane do koronacji, a młody książe osobiście wystosowuje pisma, które opatruje pieczęcią swoją i swego stryja lorda*

*protektora. Czy brat królowej naprawdę zamierza ostrzelać z dział na Tamizie swego siostrzeńca? Czy ona sama występuje przeciwko synowi, odkąd stał się podopiecznym stryja? Czy ich zamiarem jest nie dopuścić do koronacji?*

*Qdy dowiem się czegoś więcej, zaraz napiszę. Tymczasem mój mąż nakazał wzmóc czujność, jako że byt może nasza chwila nadeszła.*

*Małgorzata Stanley.*

## CZERWIEC 1483 ROKU



Mój mąż Tomasz Stanley, wcześniej zaufany doradca Edwarda IV, obecnie doradza Ryszardowi — tak jak powinien robić wierny poddany miłościwego pana, którego stryj pełni funkcję lorda protektora do czasu koronacji chłopca na króla. Dopiero z chwilą rozpoczęcia panowania Edwarda V księżę Ryszard będzie musiał zrzec się władzy i wszystkich przywilejów. Wtedy też przekonamy się, jak Anglia zniesie królowanie dziecka z rodu Riversów, dziecka powodowanego z ukrycia przez matkę czarownicę. Przewiduję, że tylko nieliczni są skłonni zaufać temu chłopcu, a zgoła nikt — królowej wdowie.

Inny problem polega na tym, że jeszcze żaden z synów Domu Yorków nie rozstał się z władzą po dobroci. Czy Ryszard będzie pierwszym Yorkiem, co z własnej woli ustąpi z tronu, który teraz de facto zajmuje? Czy zdecyduje się przekazać berło i jabłko potomkowi niewiasty darzącej go nieskrywaną nienawiścią? Pomimo niezliczonych wątpliwości wszyscy zamawiamy nowe szaty, a budownicy wznoszą na terenie opactwa westminsterskiego specjalny podest, którym przejdzie orszak koronacyjny. Królowa Elżbieta, przemykając korytarzykami swego sanktuarium, z pewnością słyszy piłowanie i uderzanie młotków. Rada królewska odwiedziła ją niedawno w komplecie, domagając się, aby pozwoliła dziewięcioletniemu Ryszardowi dołączyć do starszego brata w Tower. Nie mogła odmówić takiej prośbie, nie miała żadnego powodu, aby protestować — nie licząc jej zaciekłej nienawiści do księcia Ryszarda — więc zastoso-

wała się do sugestii panów rady i teraz obaj chłopcy, mały Ryszard i o trzy lata odeń starszy Edward, oczekują na koronację w królewskich apartamentach twierdzy londyńskiej.

Jako odpowiedzialna za szaty koronacyjne na dworze, zajmuję się również wyborem sukni dla królowej wdowy i księżniczek, gdyż wszyscy zakładamy, że Elżbieta opuści sanktuarium wraz z córkami i zechce nas olśnić przepychem stroju z okazji koronacji swego syna na króla. Doglądam wietrzenia gronostajowej peleryny królowej matki i pilnuję, by szwaczka przyszyła brakujące perełki na obrąbku najbogatszej sukni Elżbiety, kiedy znienacka dworska garderobiana zauważyła, że księżna Gloucester, Anna Neville, żona Ryszarda, nie poprosiła o wyjęcie i przygotowanie swojej sukni.

— Posłaniec z wiadomością od niej musi się spóźnić — zauważam. — To niemożliwe, żeby księżna Gloucester miała na swoim zamku w Sheriff Hutton wystarczająco świetny strój albo kazała go tam uszyć.

Niewiasta wzrusza ramionami, sięgając po ciężką aksamitną suknię; zdejmuje z niej lniany pokrowiec, strzepuje ją i rozkłada przede mną.

— Wiem tylko tyle, że nie otrzymałam od księżnej żadnego polecenia. Co rozkażesz, milady?

— Przyszykuj suknię w jej rozmiarze — odpowiadam obojętnie, jakbym już myślała o czymś innym, a następnie przy pierwszej sposobności udaję się do londyńskiej siedziby Stanleya.

Mój mąż właśnie podpisuje pisma wzywające szeryfów z każdego hrabstwa do stawieństwa w stolicy na koronacji młodego króla.

— Jestem zajęty — wita mnie burkliwie. — O co znów chodzi?

— Anna Neville nie zamówiła sukni na koronację. Co o tym myślisz?

Myśli to samo co ja, równie szybko jak ja. Odkłada pióro i przywołuje mnie gestem. Zamykam starannie drzwi, już czując dreszczyk podniecenia z powodu rodzącej się między nami konspiracji.

— Anna Neville nie robi niczego bez konsultacji z mężem. A zatem to Ryszard postanowił, że nie będzie jej na uroczystości koronacji — rzecz powoli mój mąż. — Ciekawe dlaczego...

Milczę. Wiem, że zaraz sam odpowie sobie na to pytanie.

— Nie zamówiła sukni, więc nie przyjedzie na koronację. Polecił, by nie przyjeżdżała, gdyż wie, że nie będzie żadnej koronacji. — Stanley jak zwykle bystro łączy fakty. — A to wszystko — wskazuje na stosik listów — ma tylko odwrócić uwagę, zamydlić oczy, utwierdzić wszystkich w przekonaniu, że księżę zostanie królem.

— Może się boi, że w Londynie wybuchną zamieszki. Może chce ją zatrzymać w domu, gdzie nic jej nie grozi.

— Kto miałby wszczynać zamieszki? Każdy pragnie koronacji młodego Yorka. W Anglii jest tylko jeden człowiek, któremu nie w smak królowanie Edwarda Piątego...

— Ryszard księżę Gloucester? — podsuwam.

Tomasz Stanley potakuje skinieniem.

— Co uczynimy z tą cenną informacją? Jak przekazujemy ją na własną korzyść?

— Przekażę wiadomość królowej wdowie — decyduję. — Jeśli ma zgromadzić wierne sobie siły, powinna zrobić to teraz. Jak również zabrać obu synów spod kurateli dziewierza. Gdyby udało mi się przekonać yorkistowską królową, żeby się zwróciła przeciwko yorkistowskiemu regentowi, otworzyłabym drogę do tronu dla Lancastera...

— Powiedz jej też, że księżę Buckingham może ją poprzeć — dorzucą mój mąż, kiedy jestem w połowie drogi do wyjścia. Staję jak wryta.

— Stafford? — upewniam się z niedowierzaniem. Chodzi o bratanka mego drugiego męża. Jako mały chłopiec odziedziczył tytuł księżęcy po zmarłym dziadku, a potem został przymuszony przez Elżbietę do poślubienia jej siostry. Od tamtej pory pałał szczerą nienawiścią do Riversów. To niemożliwe, żeby teraz chciał wziąć ich stronę. Jak tylko nadarzyła się okazja, poparł Ryszarda Yorka; był u jego boku jako jeden z pierwszych, był przy aresztowaniu Antoniego Woodville'a. Wyobrażam sobie, ile przyjemności mu sprawiło pojmanie mężczyzny, którego musiał nazywać swoim szwagrem. — Przecież Stafford nie może ścierpieć królowej. Nienawidzi jej, tak jak nienawidzi jej siostry, swojej żony Katarzyny. Wiem to na pewno. Dobrze pamiętam dzień, w którym na siłę wżeniono go w Riversów. Nigdy nie zdradzi dla nich Ryszarda...



— Żywi własne ambicje — znaczącym tonem przerywa mi mąż. — W jego żyłach płynie królewska krew. Być może już wpadł na to, że skoro da się odebrać koronę Edwardowi, da się ją też odebrać Ryszardowi. Buckingham sprzymierzy się z królową, udając, że czyni to w obronie następcy tronu, po czym gdy odniosą zwycięstwo, sam ujmie berło.

Gorączkowo się zastanawiam. Wszyscy Staffordowie, wyłączając mego słabego duchem i skromnego drugiego męża Henryka, mają niespożytą ambicję. Buckingham faktycznie mógł poprzeć Ryszarda z czystej nienawiści do Riversów, ale jak tylko zobaczy szansę dla siebie, schwyci ją natychmiast.

— Powiem o nim królowej, skoro sobie tego życzysz — mówię Stanleyowi. — Wszelako moim zdaniem Buckingham nie zasługuje na niczyje zaufanie. Jeśli Elżbieta uzna go za sprzymierzeńca, popełni wielki błąd.

Tomasz Stanley uśmiecha się — raczej wilczo niż lisio pomimo przydomka.

— Elżbieta nie ma zbyt wielu przyjaciół — rzecze. — Myślę, że chętnie skorzysta z pomocy Buckingham.

Tydzień później o świtaniu mój mąż wali pięścią w drzwi komnaty sypialnej i przekracza próg, powodując pisk przerażonej służącej śpiącej w kącie.

— Zostaw nas samych — rzuca do niej szorstko.

Niewiasta ucieka, omal nie gubiąc nóg, a ja w tym czasie siadam w łożu i okrywam ramiona peleryną.

— Co się stało? — pytam. Oczywiście w pierwszej chwili ogarnia mnie obawa o życie mego syna, wszelako zaraz spostrzegam, że Tomasz jest bladym niczym widmo i cały się trzęsie. — Co ci jest?

— Miałem sen... — Przysiada ciężko w nogach łoża. — Dobry Boże, przyśniło mi się coś takiego... Małgorzato, nawet nie masz pojęcia...

— Czy to była wizja?

— Skąd mam to wiedzieć?! Czuję się tak, jakbym się znalazł w piekle.

— Co to był za sen?

— Przebywałem w zimnym skalistym miejscu, w jakiejś dziczy, której na pewno nigdy nie widziałem na oczy. Rozejrzałem się wokół, ale nikogo ze mną nie było... Byłem zupełnie sam, Małgorzato: bez rodziny, bez eskorty, nawet bez mojego sztandaru. Zabrakło tam mego brata, mego syna, ciebie... — Cierpliwie czekam na ciąg dalszy. Tomasz jednak zamiast opowiadać, trzęsie się jak galareta. Wreszcie podejmuje cichszym głosem: — Zbliżał się do mnie potwór. Wielki, straszny potwór z rozdziawioną paszczą, jakby chciał mnie pożreć. Czułem dolatujący odeń piekielny smród, widziałem czerwone świńskie oczka, które latały z prawa na lewo, kiedy przecinał ten koszmarny krajobraz, zbliżając się coraz bardziej...

— Jakiego rodzaju potwór to był? Wąż?

— Dzik — odpowiada szeptem. — To był dzik z pokrytymi czerwienią szablami, z krwią na nozdrzach, z pianą na pysku, z łbem nisko zwieszonym, jakby za mną wietrzył. — Wzdryga się ponownie. — Słyszałem, jak pociąga nosem.

Dzika świnia to herb Ryszarda księcia Gloucester. Oboje o tym wiemy. Wstaję z łoża i otworzywszy zniecka drzwi, upewniam się, że służka faktycznie sobie poszła i nikt nas nie podsłucha. Potem zamykam je starannie i podchodzę do kominka, żeby własnoręcznie rozniecić ogień, jak gdybyśmy naprawdę potrzebowali ciepła w ten czerwcowy letni poranek. Zapałam świece, żeby przegnać mrok, w którym mógłby się czaić polujący dzik. Przykładam dłoń do szyi, na której zawsze wisi krucyfiks. Drugą ręką czynię znak krzyża. Stanley przyprowadził ze sobą swój nocny strach, wniósł go do mego alkierza, przez co mam wrażenie, że potwór wyniucha nas nawet tutaj, nawet teraz...

— Uważasz, że Ryszard cię podejrzewa?

Spogląda na mnie ostro.

— Okazywałem mu wyłącznie poparcie. Ale... ten sen... Nie będę cię oszukiwał, Małgorzato. Obudziłem się przestraszony niczym mały chłopiec, wołając o pomoc.

— Jeżeli podejrzewa ciebie, podejrzewa też mnie — kontynuuję. Przerazenie Stanleya zaczyna mi się udzielać. — Zdażyłam posłać wiadomość do królowej, tak jak ustaliliśmy. Sądzisz, że Ryszard wie, iż jestem jego wrogiem?

— Ta wiadomość mogła zostać przez kogoś przejęta?  
— Mój posłaniec to zaufany człowiek. A Elżbieta nie jest głupia. Jednakże czemu w takim razie Ryszard ciebie podejrzewa?... Stanley potrząsa bezradnie głową.

— Może dlatego, że rozmawiałem z Hastingsem, który jest lojalny aż do bólu. Sir Wilhelm za wszelką cenę chce doprowadzić do koronacji młodego księcia. To dla niego ostatni akt przyjaźni, jaki może uczynić dla króla Edwarda. Hastings się obawia, że Ryszard ma złe zamiary względem księcia. Niepokoi się, odkąd Ryszard umieścił Edwarda w Tower. Zapytał mnie nawet, czybym go nie poparł na spotkaniu rady królewskiej, kiedy wystąpi z propozycją, aby młody książę pokazał się ludowi, odwiedził matkę i siostry, udowadniając, że jest w pełni wolny. Wydaje mi się, że przesłał też wiadomość do Elżbiety, zapewniając ją, że nic jej nie grozi i że może już opuścić kryjówkę.

— Czy Hastings wie, że Ryszard kazał własnej żonie nie ruszać się z domu? Czyjego zdaniem regent będzie odwlekał koronację, by móc dłużej rządzić?

— Powiedziałem mu o tej sprawie z szatami koronacyjnymi Anny Neville, a on od razu zaczął podejrzewać, że Ryszard wcale nie ma zamiaru pozwolić, aby jego bratanek został królem. Teraz podejrzewamy to już wszyscy. Wszyscy się tego obawiamy. Ale nie umiem sobie wyobrazić niczego gorszego niż odwlekanie koronacji, być może przez parę lat, być może do czasu osiągnięcia przez chłopca pełnoletności. Odwlekanie w tym celu, aby Ryszard mógł sprawować władzę jako regent. — Zrywa się na nogi i plaskając bosymi stopami, zaczyna się przechadzać po komnacie. — Na litość boską! Ryszard był zawsze lojalny wobec brata. Obiecał wierność młodeму księciu, własnemu bratankowi! Cała jego wrogość została skierowana przeciwko królowej, nie przeciwko jej synowi. Tylko że teraz ma chłopca w swojej mocy. Koronowany czy nie, Edward i tak będzie tylko malowanym królem, jeśli Ryszard zdoła go utrzymać z dala od matki i rodziny.

— Ale ten sen...

— Sen mówił o dziku łaknącym krwi i władzy — przerywa mi znów. — To było ostrzeżenie, to musiało być ostrzeżenie...

Każde z nas oddaje się własnym myślom. Kiedy kłoda drewna w kominku przesuwa się z głośnym trzaskiem, oboje mimowolnie podskakujemy.

— Co zamierzasz? — pytam.

Wzrusza ramionami, kręci głową.

— Co ty byś zrobiła na moim miejscu? Twierdzisz, że przemawia do ciebie Pan Bóg, że udziela ci przestroż w snach. Co byś uczyniła, gdyby przyśnił ci się nacierający na ciebie dzik?

Nagle do głowy wpada mi pewna myśl.

— Chyba nie chcesz zrezygnować, uciec z dworu?...

— Nie, nie, skądże.

Oddycham z ulgą.

— Ja bym się skupiła na modlitwie.

— I co powiedziałyby ci twój Pan Bóg? — pyta ze zwykłym sarkazmem. — Zazwyczaj doradza ci szukanie władzy i bezpieczeństwa.

Zasiadam na zydlu naprzeciwko kominka i zapatruję się w płomień, jakbym była ubogą niewiastą wróżącą z ognia albo królową Elżbietą wyposażoną w magiczne moce.

— Gdyby Ryszard zwrócił się przeciwko bratankowi, przeciwko obydwóm bratankom i jakimś cudem pozbawił ich dziedzictwa, sam zaś zasiadł na tronie po bracie... — urywam. — Ci chłopcy nie mają potężnych obrońców. Flota się zbuntowała przeciwko ich jednemu wujowi, drugi wuj, Antoni, jest trzymany pod strażą, królowa wdowa chowa się w katakumbach opactwa...

— Dokończ pierwszą myśl.

— Gdyby Ryszard zasiadł na tronie, trzymając bratanków pod kluczem w Tower, poddanym mogłoby się to nie spodobać. Jak sądzisz, wybuchłaby kolejna wojna?

— York przeciwko Yorkowi. Nie można tego wykluczyć.

— W takiej sytuacji zrodziłaby się szansa dla Domu Lancasterów.

— Dla twojego syna Henryka.

— Henryk wciąż będzie stał na obu nogach, kiedy oni się nawzajem przewracają i porania w walce na śmierć i życie.

Ponownie zapada cisza. Zerkam niespokojnie na Stanleya w obawie, że posunęłam się za daleko.

— Pomiedzy Henrykiem i tronem stoja cztery osoby — zauwaza rzeczowo. — Dwaj ksiazeta po Edwardzie Yorku: mlody Edward i mlody Ryszard, nastepnie królewski brat, ksiazę Gloucester, i jego syn.

— Ale wszyscy oni moga sie wzajemnie zwalczac... — Tomasz Stanley skinieniem przytakuje moim slowom. Dodaje wiec znacznie pewniej: — Jezeli zwróca sie sami przeciwko sobie, nie bedzie nic złego w tym, ze Henryk zasiadzie na pustym tronie. Zwlaszcza ze panowanie w Anglii znów obejmie Dom Lancasterów, co od zawsze jest wolą Pana Boga.

Stanley uśmiecha sie na tę moją pewnośc, lecz tym razem nie czuję sie urazona. Liczy sie tylko to, byśmy mieli jasno wytyczoną drogę do celu; dopóki jestem przekonana, ze oświetla ją sam Pan Bóg, nie ma znaczenia, iz mój mąż podejrzewa płomień zdrożnej ambicji.

— Pójdiesz na dzisiejsze spotkanie rady królewskiej? — pytam.

— Tak. Do Tower. Wczesniej jednak posle umyślnego do Hastingsa, wyložę mu w skrócie swoje obawy. Jezeli faktycznie zamierza wystapic przeciwko Ryszardowi, powinien sie pośpieszyc. Juz dzisiaj moze poprosic, aby Gloucester pokazal wszystkie karty, a przede wszystkim przetrzymywanego w twierdzy mlodego ksiazca. Uwielbienie, którym darzył króla, uczyni go w oczach tego chłopca rycerzem bez zmazy i skazy, wzorem godnym naśladowania. Pozwolę sir Wilhelmowi, by wysforował sie przede mnie. Radzie królewskiej bardzo zależy na koronacji, a Hastings zajmuje taką pozycję, ze moze do niej doprowadzic. Jest dość silny, by dac Ryszardowi do zrozumienia, ze go podejrzewa. Tym sposobem ci dwaj na siebie naskoczą, a ja bede stal z boku i przyglądał sie. Tak, ostrzegę Hastingsa i dam mu wolną rękę. Zobaczmy, co z tego wyniknie.

— Ale po czyjej jesteśc własciwie stronie?

— Małgorzato... Zawsze jestem po stronie tego, kto ma wieksze szanse na wygraną. W tej chwili czlowiek majacy na swoje skinienie całą północ, a w rękę twierdzę londyńską i przyszłego króla, wydaje sie najlepszym wyborem. Oczywiscie, ze jestem po stronie Ryszarda.

Czekam na powrót mego męża ze spotkania rady królewskiej, klęcząc przed ołtarzykiem w alkierzu. Nasza poranna rozmowa wprawiła mnie w niepokój i wzbudziła mój strach, toteż modląc się, myślę o Joannie d'Arc, która z pewnością nieraz znalazła się w sytuacji zagrożenia, a mimo to odważnie ruszała do boju, na białym rumaku i pod sztandarem w lilie, nigdy się nie cofając przed koniecznością walki...

Wydaje mi się, że rzeczywistość splotła się z wyobrażeniami, kiedy moich uszu dochodzi tupot wielu nóg na ulicznym bruku i stukot drzewców halabard opieranych przez zbrojnych na nierównych kocich łbach, po czym nagle wyrywa mnie z modlitwy dobijanie się do wielkich drzwi naszej londyńskiej siedziby.

Jestem już w połowie schodów, gdy odźwierny dopiero zaczyna wspiąć się po stopniach, by kazać którejś służce mnie przywołać. W okamgnieniu znajduję się przy nim i chwytam go za ramię.

— Kto to?

— Ludzie księcia Ryszarda — odpowiada, pośpiesznie wyrzucając z siebie słowa — w jego liberii, z panem, mają jaśnie pana, twojego męża, milady. Z rozbitą twarzą, poplamionym dubletem, krwawiącego jak zarzynana świnia...

Odpycham go na bok, jako że paple coś bez ładu ni składu, i wybiegam na dziedziniec akurat w chwili, kiedy pachółkowie odchylają skrzydła bramy, przez którą zaraz z tupotem przechodzi oddział księcia Ryszarda — a wśród nich mój mąż, chwiejący się na nogach, krwawiący z rany na czole. Gdy podnosi głowę, widzę, że twarz ma pobladłą, wstrząśniętą, wzrok pusty.

— Lady Małgorzata Stanley? — pyta dowódca oddziału.

Z trudem odrywam spojrzenie od symbolu dzika na jego liberii. Tak jak wyśnił sobie mój mąż: przyszedł po niego uzbrojony w ostre szable dzik.

— Tak, to ja — odpowiadam.

— Na twego małżonka nałożono areszt domowy — informuje mnie. — Żadne z was nie może opuścić tego miejsca. Postawimy strażę przy wszystkich drzwiach wyjściowych, a także pod drzwiami i oknami komnat Stanleya. Wasi ludzie i służący mogą swobodnie

wchodzić i wychodzić, ale na rozkaz będą przeszukiwani. Czy to jasne?

— Tak — szepczę.

— Teraz przeschukam dom. Dokumenty i listy — dodaje. — To też jest jasne?

W moich komnatach nie ma niczego, co by obciążęło którekolwiek z nas. Każdy papier mogący stanowić zagrożenie palę zaraz po przeczytaniu i nigdy nie zachowuję kopii swojej korespondencji. Cała praca, którą wykonuję dla Henryka, jest zachowana tylko między mną i Panem Bogiem.

— Tak. Czy wolno mi zaprowadzić męża do jego komnat? Jest ranion...

Dowódca oddziału posyła mi ironiczny uśmiech.

— Kiedyśmy wkroczyli, żeby pojmać Hastingsa, twój mąż, milady, dał nura pod stół, rozorując sobie głowę ostrzem halabardy. Rana tylko wygląda tak groźnie.

— Pojmaliście barona Hastingsa? — unoszę brwi w zdziwieniu. — Na jakiej podstawie?

— Milady, myśmy go skrócili o głowę — rzecze dowódca krótko.

Przepycha się obok mnie i wkracza na komnaty, podczas gdy jego ludzie rozpierzchają się po dziedzińcu przed budynkiem i po samym domu, zajmując wyznaczone miejsca.

Prowadzę męża do wewnętrznej komnaty, a gwardziści nie odstepują nas nawet na krok dopóty, dopóki się nie przekonają, że okno jest za małe, by mógł się przez nie przecisnąć dorosły mężczyzna. Dopiero wtedy zostawiają nas samych.

Tomasz Stanley zdziera z siebie zaplamiony krwią dublet i nieświeżą koszulę, po czym opada na zydel nagi do pasa. Ja w tym czasie nalewam wody do miednicy i ostrożnie przymierzam się do obmycia skaleczenia. Cięcie jest długie, lecz płytkie, ukośne — zadane nie po to, by zabić, choć gdyby ostrze padło o cal niżej, miałabym jednookiego męża.

— Co się dzieje? — pytam szeptem.

— Ryszard rozpoczął spotkanie rady królewskiej cały w uśmiechach, gotów uzgadniać przebieg koronacji, uprzejmie poprosił biskupa Mortona, żeby posłał po truskawki ze swoich ogrodów, był

miły i przystępny. Rozpoczęliśmy pracę, dyskutując, gdzie kto ma siedzieć, kto za kim stać, tego typu zwyczajne sprawy. Wtedy on na chwilę wyszedł, a jak wrócił, zdawał się odmienionym człowiekiem. Twarz miał jak chmura gradowa. Parę chwil po nim pojawił się oddział jego ludzi, jak gdybyśmy byli fortem, który trzeba wziąć siłą. Zbrojni wpadli przez drzwi, wymierzili w nas halabardy. Któryś się na mnie zamachnął, więc się uchyliłem, Morton odskoczył do tyłu, Rotherham się schował za oparciem krzesła. Wywlekli Hastingsa, zanim zdążył powiedzieć słowo w swojej obronie.

— Ale dlaczego? Jak to wytłumaczyli?

— Nijak. Nikt niczego nie mówił. Wyglądało to tak, jakby Ryszard nagle uwolnił całą swoją moc. Po prostu złapali Hastingsa i zabrali go.

— Zabrali? Dokąd? Pod jakim zarzutem? O co go oskarżyli?

— O nic. Ty wciąż nie rozumiesz... To nie było aresztowanie. To był zajazd. Ryszard się wydierał, że ktoś rzucił na niego urok, że prawe ramię go zawodzi, że Hastings z królową pospołu chcą go zniszczyć...

— Co takiego?

— Zadarł nawet rękaw i nam pokazał... Prawe ramię... pamiętasz chyba, jaki jest postawny i silny?... mówił, że prawe ramię go zawodzi, kurczy się i usycha...

— Słodki Boże, czy on oszalał? — przerywam ocieranie sączącej się krwi. Wprost nie wierzę w to, co słyszę.

— No więc wyciągnęli Hastingsa na dziedziniec. Bez słowa. Udało im się to, mimo że kłął, wierzgał i zapierał się nogami. Na dziedzińcu walały się kloce drewna pozostałe po jakichś pracach, a oni skorzystali z tego, rzucili go przy jednym na kolana, zmusili, by złożył głowę na gołym drewnie, i odrabali mu ją jakby nigdy nic.

— Bez księdza?

— Bez księdza. Niewiasto, czy ty w ogóle mnie słuchasz? To był zwykły zajazd i mord. Biedak nie miał czasu nawet się pomodlić...

— Stanley zaczyna drzeć na całym ciebie. — Dobry Boże, już myślałem, że po mnie. Myślałem, że będę drugi w kolejności. Czułem się zupełnie jak w tym śnie... wszędzie tylko krew i nikogo, kto by mnie uratował.



— Stracili Hastingsa na terenie twierdzy?

— Właśnie tak, właśnie tak.

— A zatem jeżeli księżę wyrzął przez okno zwabiony hałasem, ujrzał, jak mordują najbliższego przyjaciela jego ojca? Człowieka, którego zwał wujem Wilhelmem?

Stanley milczy, popatrując na mnie. Strużka krwi cieknie mu po twarzy, więc podnosi rękę i ociera ją, mażąc czerwienią cały policzek.

— Nikt by nie zdołał ich powstrzymać.

— Księżę uzna Ryszarda za swego wroga — stwierdzam. — Poczymś takim nie może go dalej uważać za lorda protektora. Będzie go miał za bestię... — Stanley tylko bezradnie potrząsa głową. Zmieniam temat. — Co się z nami stanie?

Zaczyna szczękać zębami. Odkładam miednicę i opatulam go pledem.

— Bóg raczy wiedzieć, Bóg raczy wiedzieć... Nałożono na nas areszt domowy pod zarzutem zdrady; jesteśmy podejrzani o knowanie z Hastingsem i królową wdową. I twój przyjaciel Morton, i Rotherham... nie wiem, ilu jeszcze. Moim zdaniem Ryszard zamierza sięgnąć po koronę i właśnie pozbył się wszystkich, którzy mogliby się temu sprzeciwić.

— A księżęta z Tower?

Stanley zaczyna się jękać z emocji.

— Nie wiem... Nie wiem... Równie dobrze Ryszard mógł ich zamordować, tak jak zamordował Hastingsa. Mógł się wedrzeć do sanktuarium i wymordować całą rodzinę królewską: Elżbietę, jej córki, każdą z nich. Dziś pokazał nam swoją prawdziwą twarz. Pokazał nam, że nie cofnie się przed niczym. Kto wie, może bliscy Edwarda Yorka już nie żyją?...

Więści ze świata docierają do nas w strzępkach przynoszonych z targu przez służących. Ryszard ogłasza, że małżeństwo królowej Elżbiety Woodville i jego brata nigdy nie miało wiążącej mocy, gdyż Edward był już zaręczony z inną niewiastą, kiedy pobrał się w sekrecie z córką Riversa. Wszystkie dzieci swego brata nazywa bękar-tami, a siebie —jedywym prawowitym dziedzicem dynastii Yorków.

Bojaźliwi panowie rada, z przestraczem przyglądający się, jak pozbawione głowy ciało Hastingsa zostaje złożone w grobie obok ukochanego króla, nie robią nic, by chronić królową wdowę i jej synów; zamiast tego przyznają w pośpiechu i jednogłośnie, że następcą tronu może być tylko Ryszard.

Następnie Gloucester przy współudziale mego krewniaka księcia Buckingham zaczyna rozpuszczać pogłoski, że król Edward sam był bastarodem, urodzonym z nieprawego łoża synem angielskiego łuczownika i księżnej Cecylii z czasów, gdy para książęca przebywała we Francji. Lud wysłuchuje tych oszczerstw — jakie ma na ich temat zdanie, to inna sprawa — lecz przejmuje się raczej nadciągającą z północy armią, wierną wyłącznie Ryszardowi i żądną łupów. Staje się jasne, że każdy, kto popierał księcia Edwarda, nie żyje lub został wtrącony do lochu. Wszyscy więc teraz martwią się o swoje bezpieczeństwo i milczą.

Po raz pierwszy w życiu jestem w stanie myśleć z czułością o niewieście, której służyłam przez prawie dziesięć lat — o królowej Elżbiecie Woodville, najurokliwszej i najbardziej ukochanej monarchini, jaką miała Anglia. Przedtem jakoś nie wydawała mi się piękna ani ukochana, lecz teraz — nagle, przelotnie, w chwili jej totalnej porażki — zaczynam ją postrzegać inaczej. Wyobrażam sobie Elżbietę w chłodnej wilgoci katakumb opactwa westminsterskiego i myślę, że już nigdy nade mną nie zatryumfuje, i chyba tylko dlatego jestem w stanie szczerze się za nią pomodlić. Teraz zostały jej tylko córki; życie, którym się rozkoszowała, przepadło, dwaj synowie, którzy napawali ją taką dumą, znaleźli się w rękach wroga. Rozmyślałam o Elżbiecie pokonanej i przestraszonej, owdowiałej i osieroconej i po raz pierwszy żywię w stosunku do niej cieplejsze uczucia. Oto królowa, którą los rzucił na kolana bez jej winy. Proszę Przenajświętszą Panienkę, Matkę Boską, o wspomnienie i pocieszenie, o sukurs dla Jej nieszczęsnej córki w chwili absolutnego upokorzenia.

Najstarsza córka Edwarda, księżniczka Elżbieta, jest już dojrzała do zamążpójścia, a pozostaje dziewicą w późnym wieku lat siedemnastu wyłącznie z powodu zmiennych kolei losu Domu Yor-

ków. Modląc się żarliwie za zdrowie i bezpieczeństwo królowej, zastanawiam się, czy ładna i młoda Elżbieta nadałaby się na żonę dla mojego syna Henryka. Syn Lancasterów i córka Yorków wspólnymi silami zaleczyliby rany zadane Anglii podczas trwającej przez dwa pokolenia kłótni. Gdyby Ryszard zmarł wkrótce po koronacji, następcą tronu byłby jego syn, chorowity chłopiec, w dodatku Neville, mający tyleż praw do angielskiej korony co pozostali Yorkowie, których jak pokazała historia, nietrudno było odsunąć od władzy. Gdyby mój syn objął wtedy panowanie i poślubił yorkistowską księżniczkę, lud miałby okazję poprzeć równocześnie dziedzica Lancasterów i dziedziczkę Yorków.

Wzywam do siebie medyka, doktora Lewisa Caerleona, mężczyznę na równi pasjonującego się leczeniem i spiskowaniem. Królowa rozpozna w nim mojego człowieka i przyjmie go, wiedząc, że jest posłańcem ode mnie. Przykazuję Lewisowi obiecać Elżbiecie nasze poparcie, zapewnić, że Buckingham jest gotów odwrócić się od Ryszarda, mój syn zaś może zebrać w Bretanii armię. Nade wszystko jednak chcę, aby rozpoznał jej plany, dowiedział się, co obiecują inni sprzymierzeńcy. Mój mąż może sobie myśleć, że utraciła wszelką nadzieję, ja jednak już raz widziałam, jak Elżbieta Woodville opuszcza sanktuarium i wślizguje się z powrotem na tron, radośnie zapominając o wstydzie, którym Pan Bóg słusznie ją doświadczył. Zabraniam Lewisowi choćby wspomnieć, że Stanley i ja znaleźliśmy się pod kluczem, pozwalam za to, aby się wyżalił, że Hastings dał głowę, że Ryszard zasmakował we władzy, że jej synowie zostali okrzyknięci bękartami, a ją nazwano ladacznicą. Ma dać jej do zrozumienia, że sprawa Riversów jest przegrana, chyba że Elżbieta zacznie bezzwłocznie działać. Muszę ją nakłonić, by zgromadziła tych nielicznych przyjaciół, którzy jej pozostali, stworzyła armię taką, na jaką ją stać, i wystąpiła przeciwko Gloucesterowi. Jeśli wda się w długą i zażartą walkę, wtedy mój syn będzie mógł przybić do brzegów ze świeżymi siłami i rozprawić się ze zwyciężającą stroną.

Lewis udaje się do niej wtedy, gdy Elżbieta rozpaczliwie łaknie towarzystwa przyjaznej duszy: w dniu, kiedy miała się odbyć koronacja jej syna. Wątpię, by ktokolwiek ją uprzedził, że plany uległy zmianie i książę Edward nie włoży korony. Mój medyk przechodzi

opustoszałymi ulicami, między budynkami o pozatraskiwanych drzwiach i pozamykanych oknach, po czym tak jak mu poleciłam, wraca prosto do mnie. Ma założoną maskę przeciwko zarazie, długą stożkową tytkę wypełnioną mieszaniną ziół i olejów, która nadaje mu przerażający wygląd, zmienia jego twarz w nieludzkie, widmowe oblicze. Zdejmuje ją, przekroczywszy próg mojej komnaty i zamknąwszy za sobą starannie drzwi.

— Królowa wdowa niecierpliwie wypatruje pomocy — oznajmia bez wstępów, które zastąpił niski ukłon. — Jest w ciężkiej desperacji, powiedziałbym nawet, że jest na wpół oszalała... — urywa na moment. — Widziałem też najstarszą księżniczkę...

— No i?

— Była niespokojna. Wieszczyła. — Wzdryga się lekko. — Napędziła mi stracha, a przecież jako medyk naoglądałem się różnych strasznych rzeczy...

Nie zwracam uwagi na tę przechwałkę.

— Czym cię tak przerażyła?

— Wyłoniła się nagle z ciemności, w sukni nasiąkniętej wodą z Tamizy i ciągnącej się za nią niczym rybi ogon, jakby była nie niewiastą, a na wpół rybą. Powiedziała, że rzeka zdażyła jej wyjawić wieści, z którymi dopiero co przyszedłem: ksiązę Ryszard upomniał się o tron dla siebie, ogłaszając małych książąt bękartami.

— Wiedziała? Mają w mieście szpiegów? Nie spodziewałam się, że będą tak dobrze poinformowane.

— Królowa nie, tylko dziewczyna. Twierdziła, że rzeka jej o wszystkim powiedziała. Również o śmierci w rodzinie. Kiedy królowa to usłyszała, natychmiast zrozumiała, że chodzi o jej brata Antoniego i syna po Greyu. Obie rzuciły się do małego okienka, otwały je na rozcież i zaczęły nasłuchiwać plusku fal. Zachowywały się jak dwie czarownice. Każdy człowiek by się ich przestraszył.

— Jej zdaniem Antoni nie żyje?

— Były tego tak pewne, jak ja teraz, że cię widzę, milady.

Zegnam się odruchowo. Elżbieta Woodville nieraz w przeszłości była podejrzewana o konszachty z siłą nieczystą, ale żeby wyprawiać takie rzeczy w sanktuarium, na uświęconej ziemi, to doprawdy niesłychane!

— Na pewno ma szpiegów w różnych miejscach. Wygląda na to, że jest lepiej zorganizowana i przygotowana, aniżeli myśleliśmy... Tylko jak jej się udało przejąć wieści z Walii wcześniej ode mnie?

— Powiedziała jeszcze coś...

— Królowa?

— Księżniczka. Powiedziała, że jej przekleństwem jest rola królowej Anglii i objęcie tronu po bracie.

Przez chwilę patrzymy na siebie w zdumieniu.

— Jesteś pewien, że się nie przesłyszałeś?

— Była przerażająca. Narzekała na wygórowane ambicje swojej matki, mówiła o klątwie ciążyącej na jej rodzie, o tym, że będzie musiała zasiąść na tronie własnego brata i że to nareszcie zaspokoi apetyt jej matki, mimo iż przecież jej braciszek ucierpi...

— Co mogła mieć na myśli?

Medyk wzrusza ramionami.

— Nie wyjaśniła tego. Wyrosła na urodziwą pannę, ale jest taka dziwna... i bardzo przekonująca, muszę powiedzieć. Uwierzyłem w każde jej słowo. Miałem wrażenie, że słucham wieszczki. Nie mam wątpliwości, że jakimś sposobem zostanie królową Anglii.

Wciążam powietrze. Pomysł ten, tak bardzo w zgodzie z moimi przemyśleniami, musi być znakiem od Pana Boga, który wszelako tym razem zdecydował się przemówić ustami czarownicy. Jeżeli Henryk wygra i włoży koronę Anglii, a potem poślubi Elżbietę York, ona będzie królową. To jedyny sposób na spełnienie jej proroctwa.

— To nie wszystko... — dodaje nadzwyczaj ostrożnie doktor Lewis. — Kiedy spytałem królową, co zamierza począć w sprawie książąt w Tower, Edwarda i Ryszarda, odpowiedziała, że to nie Ryszard.

— Co odpowiedziała?

— Użyła dokładnie takich słów: „To nie Ryszard”.

— A cóż to znaczy?

— Wtedy akurat pojawiła się księżniczka, cała przemoczona i na poły nieprzytomna, i jęła nam opowiadać o Gloucesterze, o wydziedziczeniu synów Edwarda, o tym, że to ona będzie królową...

— Ale chyba zapytałeś Elżbietę, co miała na myśli, mówiąc: „To nie Ryszard”.

Kręci głową ów mężczyzna, który naoglądał się różnych strasznych rzeczy, lecz nie miał dość oleju w głowie, by spytać o coś tak kluczowego.

— Nie pomyślałeś, że to może być ważne?

— Przepraszam. Pojawienie się księżniczki było takie... Ona była jak nie z tego świata. A później jej matka powiedziała, że trwa susza, ale niebawem nadejdzie powódź. Aż mi ciarki przeszły od tego po plecach. Musiałaś słyszeć, co się mówi o pochodzeniu ich rodu, że swoje istnienie zawdzięczają wodnej bogince. Gdybyś tam ze mną była, milady, sama byś uwierzyła, że ta wodna boginka zaraz się wyłoni spośród fal Tamizy.

— Tak, tak — mówię z roztargnieniem, bez cienia współczucia.  
— Domyślam się, że to było przerażające przeżycie, ale czy królowa powiedziała coś jeszcze? O tych ze swoich braci, którym udało się uciec? Może wspomniała, gdzie są albo co zamierzają? Ci dwaj dysponują wystarczającym poparciem, żeby wzniecić bunt w połowie królestwa.

Lewis potrząsa głową.

— Nic więcej nie powiedziała. Ale nadstawiła ucha, kiedy ja mówiłem, że jesteś gotowa pomóc księżętom w ucieczce z Tower. Sama też coś knuje, nie mam co do tego wątpliwości. Robiła to nawet przed tym, zanim się dowiedziała o planach Ryszarda. Teraz będzie tym bardziej zdesperowana.

Przytakuję jego słowom zdecydowanym skinieniem, po czym daję mu znak, że może odejść. Sama natychmiast udaję się do naszej małej kaplicy, gdzie opadam na klęczki. Potrzebny mi spokój domu Bożego, aby zapanować nad rozszałnymi myślami. To że księżniczka Elżbieta wie, co jej pisane, tylko utwierdza mnie w przekonaniu, iż zostanie żoną Henryka, on zaś zasiądzie na tronie Anglii. Natomiast słowa jej matki — „To nie Ryszard” — wywołują we mnie konsternację.

Cóż ona mogła mieć na myśli, mówiąc: „To nie Ryszard”? Ze nie jej syn Ryszard znalazł się w Tower? Czy raczej że nie Ryszarda, księcia Gloucester, obawia się najbardziej? Nie umiem tego rozstrzygnąć i jestem wściekła na Lewisa, że nie zapytał, kiedy miał okazję. Ja jednak przez cały czas podejrzewałam coś podobnego,

odczuwałam silny niepokój, nie wiedząc, z jakiego dokładnie powodu. Nigdy nie uważałam Elżbiety Woodville za na tyle głupią, by zdecydowała się oddać drugiego syna mężczyźnie, który dokonał porwania jej pierworodnego. W ciągu minionej dekady poznałam ją dość dobrze, toteż wiem, że zawsze spodziewa się najgorszego. Kiedy panowie rada osaczyli ją w jej kryjówce i oznajmili, że musi im oddać młodszego syna, posłuchała ich, pozwalając odmaszerować młodziutkiemu księciu Ryszardowi trzymanemu za rękę przez arcybiskupa. Z pewnością jednak była na to przygotowana. Z pewnością zawczasu postarała się o to, by pozostały przy niej syn zachował wolność. Tak postąpiłaby na jej miejscu każda niewiasta, a Elżbieta Woodville jest przecież nie tylko kochającą matką, ale też sprytną i przebiegłą monarchinią. Nigdy nie ryzykowałaby życia swoich dzieci. Nigdy nie posłałaby drugiego syna tam, gdzie pierwszemu groziło niebezpieczeństwo.

Cóż w takim razie się stało? Skoro ten drugi chłopiec w Tower nie jest księciem Ryszardem — kim jest? Czyżby Elżbieta poświęciła jakiegoś żebraka w przebraniu? Albo pazia, który uczyniłby dla niej wszystko? Najważniejsze pytanie brzmi jednak: skoro księcia Ryszarda, prawowitego następcy tronu Anglii, nie ma teraz w Tower — gdzie jest? Dobrze ukryty, pozostaje nadal yorkistowskim następcą tronu, czyli niebagatelną przeszkodą, gdyby mój syn Henryk chciał sięgnąć po koronę. Czy to właśnie królowa przekazała Lewisowi, a więc i mnie? Czy też tylko udawała, chcąc nas wywieść w pole? Naraża mnie znów na katusze? Raz jeszcze tryumfuje, zmuszając, bym się głowiła nad jej zagadkowymi słowami, które przyniósł mi tępawy posłaniec? Czyżby Elżbieta specjalnie wymieniła imię swego młodszego syna, abym się zadreżczała spekulacjami i przepowiedniami? A może tylko się przejęczyła lub wręcz powiedziała odrobinę za dużo? Czy też poinformowała mnie o Ryszardzie, abym była świadoma, że cokolwiek przydarzy się Edwardowi, Dom Yorków wciąż będzie miał dziedzica?

Kłęczę godzinami, czekając, aż Przenajświętsza Paniienka, królowa niebios, powie mi, co wyprawia Jej niegodna córka tutaj, na ziemi. Czy mataczy swoim zwyczajem, czy rzuca zaklęcia, czy znów

tryumfuje nade mną pomimo przeżywanych chwil grozy? Niestety Matka Boska nie odzywa się do mnie; Joanna d'Arc nie przychodzi z radą; Pan Bóg milczy, nie zaszczycając swej wybranki żadną wskazówką- **Żadne** z nich nie mówi mi, co Elżbieta Woodville wyczynia w katakumbach opactwa westminsterskiego, a i bez ich pomocy **wiem**, że z pewnością uda jej się wyjść z sanktuarium na światło **dnia** w nimbie chwały.

Ledwie dzień po wizycie Lewisa z samego rana przychodzi do mnie jedna z dam dworu i pociągając nosem, informuje, iż Antoni Woodville hrabia Rivers, ów olśniewający rycerski brat królowej, został ścięty na rozkaz Ryszarda na zamku Pontefract. Jestem jedną z pierwszych osób w Londynie, które się o tym dowiadują. Oficjalna wieść dociera do członków rady królewskiej parę godzin później. A jednak królowa Elżbieta i jej córka znały tę smutną nowinę minionego wieczora, być może w tej samej chwili, kiedy Rivers dawał głowę. Jak to wytłumaczyć?

Nieco później mój mąż zawiadamia mnie, iż dostał wezwanie na dwór.

— Mam wziąć udział w spotkaniu rady królewskiej — rzecze, pokazując mi list opatrzone pieczęcią z dzikiem. **Żadne** z nas nie patrzy wprost na nią, pozwalamy, by pismo spoczęło pomiędzy nami na stole, dzieląc blat na pół niczym wbity sztylet. — Ty natomiast masz dopilnować przyszykowania szat koronacyjnych Anny Neville, przyszłej królowej. Będiesz jej dworką. Tym samym zostaliśmy zwolnieni z aresztu domowego, aczkolwiek bez jednego słowa na ten temat, i znów mamy służyć parze królewskiej.

Kiwam głową. Podejmę swoje obowiązki na dworze króla Ryszarda zamiast na dworze młodego króla Edwarda. Stroje się nie zmieniają, tyle że złoto-gronostajową suknię, przygotowaną dla królowej wdowy, włoży siostra jej męża, nowa królowa Anna.

Jako że nie jesteśmy sami — otaczają nas moje damy do towarzysstwa oraz ludzie Stanleya — nie mówiąc nic więcej, wymieniamy z mężerri tryumfalne spojrzenia. Jeszcze raz wyszliśmy z opresji obronną ręką. Będę służyć na trzecim z kolei dworze królewskim, jak zwykle kłaniając się nisko i nie tracąc z oczu celu: wyniesienia na tron mego syna Henryka.



— Z radością dołączę do świty królowej Anny — odpowiadam gładko.

Moim przeznaczeniem jest ignorować ziemskie sprawy i wyczekiwać nagrody w niebie, ale nawet ktoś taki jak ja musi się wzdrygnąć, przekraczając próg apartamentów królowej, na widok chuchrowatej Anny Neville — córki Twórcy Królów, hrabiego Warwick, potem młodo poślubionej księciu krwi, rychło owdowiałej i popadłej w zapomnienie, a teraz znów mającej błyszczeć, i to na tronie Anglii! — stojącej przy kominku w otoczeniu towarzyszek przywiezionych z północy, wciąż w podróżnym stroju, tak że wszystkie razem sprawiają wrażenie obozu Cyganów rozbitego na wrzosowiskach. Ktoś mnie dostrzega, ktoś inny zapowiada donośnie: — Lady Małgorzata Stanley! — aczkolwiek mało zrozumiale tutaj, na południu, gdzie mówimy całkiem inaczej; niewiasty się rozpierzchają, robiąc mi przejście, a ja zbliżywszy się dostatecznie do opuszczonej nagle postaci, opadam na kolana, płaszcząc się przed jeszcze jedną uzurpatorką, skłaniam głowę i wyciągam w górę ręce w geście poddania.

— Miłościwa pani... — rzekę do niewiasty, którą ominęło ubóstwo i upokorzenie tylko za sprawą księcia Ryszarda, ostrzącego sobie zęby na fortunę po Warwicku i nie zważającego na wcześniejsze pechowe losy oblubienicy; teraz ona będzie królową Anglii, ja zaś będę musiała jej się nisko kłaniać. — Miłościwa pani, z wielką radością przybywam, by ci wiernie służyć.

Anna uśmiecha się do mnie. Jest blada jak marmur, usta ma sinoblade, powieki różanoblade, z pewnością coś jej dolega; widzę, jak wyciąga rękę i opiera się o gzymśik kominika, jakby była bardzo zmęczona.

— Dziękuję. Bardzom rada, mogąc ci wyznaczyć funkcję przełożonej moich dworek — odpowiada cicho, przerywając dla odzyskania oddechu. — Podczas koronacji będziesz niosła za mną tren.

Ponownie dygam, tym razem aby ukryć błysk tryumfu na twarzy, To wielki honor dla mego rodu: postawienie Lancastera zaledwie o krok od korony wkładanej na dopiero co namaszczone krzyżem głowę. Będę drugą niewiastą po królowej Anglii i Bóg świadkiem, w każdej chwili gotową zająć jej miejsce.

- Uczynię to z największą radością — zapewniam.
- Mój mąż wyraża się o Tomaszu Stanleyu w samych superlatywach — rzecze Anna.

O tak, a jego halabardziści nieomal ścięli mu głowę i potem trzymali nas pod kluczem przez tydzień, zauważam w myślach.

— Od dawna wiernie służymy dynastii Yorków — odpowiadam na głos. — Wielceśmy tęsknili za tobą i za twoim mężem księciem, kiedyście przebywali z dala od dworu, na północy. Teraz cieszymy się, mogąc was oboje powitać w waszej królewskiej stolicy...

Anna kiwa ręką i niemal natychmiast wyrasta obok nas paż z zydlem, na którym jego pani przysiada blisko kominka. Przyglądam się jej drżącym ramionom, kiedy cicho kaszle. Nie sędzę, by dożyła sędziwego wieku. Nie sędzę, by wydała na świat czeredkę małych Yorków, tak jak uczyniła rozpustna Elżbieta Woodville. Anna Neville wygląda na chorą i słabą. Daję jej co najwyżej pięć lat życia. Co potem? Co potem?

— A twój syn, miłościwa pani? — pytam nieśmiało. — Czy będzie obecny na koronacji? Mam przekazać szambelanowi, by przygotował dlań komnaty w pałacu?

Kręci przecząco głową.

— Jego książęca mość nie miewa się za dobrze. Na razie pozostanie na północy.

„Nie miewa się za dobrze”? Niewystarczająco dobrze, by przybyć na koronację własnego ojca, znaczy tak naprawdę „bardzo źle”. Edward Middleham zawsze był blady jak matka i tej samej wiotkiej budowy ciała, zresztą rzadkośmy go widywali tutaj, na dworze — rodzice trzymali go z dala od Londynu, obawiając się zarazy. Czy to możliwe, że nie wyrósł z dziecięcej słabości, tylko przedzierzgnął się z cherlawego chłopca w wątłego młodzieńca? Czy to możliwe, że książę Ryszard sprawił sobie potomka, który go nie przeżyje? Czy to możliwe, że na zawadzie mojemu synowi stoi tylko jeden chorowity chłopiec?

## 6 LIPCA 1483 ROKU



Znajdujemy się tam, gdzieśmy sobie zamierzili: o krok od korony. Mój mąż depcze królowi po piętach, dzierżąc buławę lorda wielkiego konstabla; ja drepczę za królową Anną, podtrzymując tren jej sukni. Tuż za mną jest księżna Suffolk z księżną Norfolk, ale to ja idę po śladach monarchini i to ja podczas namaszczenia świętym olejem stoję dość blisko, by poczuć ciężki piżmowy zapach.

Nikt nie oszczędzał na tej ceremonii. Ryszard ma na sobie przebogaty strój z purpurowego aksamitu i kroczy pod baldachimem ze złotogłowi niesionym za cztery rogi. Mój krewniak Henryk Stafford — młody książę Buckingham — jest odziany na błękitno i kłuje wszystkich w oczy emblematem młyńskiego koła wyszytym olśniewającą złotą nicią na plecach peleryny. W jednym ręku trzyma skraj królewskiego płaszcza, w drugim — laskę swego urzędu: został mianowany lordem wielkim stewardem w nagrodę za swoje poparcie i pomoc w osadzeniu księcia Ryszarda na tronie. Miejsce przewidziane dla jego żony, Katarzyny Woodville, pozostaje puste; siostra królowej wdowy nie przybyła na uroczystość wyniesienia na tron uzurpatora i wroga jej rodziny. Nie ma jej przy boku zdradzieckiego małżonka. Zresztą on wciąż darzy ją nienawiścią za to, że go upokorzyła przed laty, kiedy wciąż była żoną panującego króla. Tak więc to dopiero pierwsze z szeregu upokorzeń, jakie ją czekają w rewanżu.

Towarzyszę królowej przez cały dzień. Kiedy udaje się do pałacu westminsterskiego na ucztę, zasiadam przy stole przeznaczonym dla jej najważniejszych dam dworu, przyglądając się, jak na podwyż-

szeniu serwowane są wspaniałe potrawy. Sam królewski faworyt, najprzedniejszy rycerz, rzuciwszy wyzwanie każdemu, kto by się sprzeciwiał rządowi najjaśniejszego pana, składa dworny ukłon przed nami, dworkami, mnie wyróżniając w pierwszej kolejności. Uczta jest tak imponująca i napuszczona, jak każde podobne wydarzenie za czasów króla Edwarda. Jemy i tańczymy do późnej nocy. Wraz ze Stanleyem opuszczam pałac bladym świtem, dając się powieźć naszej barce w górę rzeki, do londyńskiej siedziby. Siedząc na rufie opatulona futrami w obronie przed wilgocią i chłodem, dostrzegam tuż nad wodą małe światełko płonące w trzewiach opactwa. Ogarnia mnie pewność, że to Elżbieta Woodville, już nie królowa, odkąd okrzyknięto ją ladacznicą i odebrano jej nawet wdowi tytuł, czuwa przy samotnej świecy, nasłuchując odgłosów tryumfu zaprzysięgłego wroga. Wyobrażam sobie, że odprowadza spojrzeniem przepływającą mimo jej okien barkę, która sunie od strony pałacu, i przypomina sobie sytuację sprzed lat, kiedy udawałam się w przeciwnym kierunku, wiodąc swego syna przed oblicze króla. Wtedy także ukrywała się w tych katakumbach.

Powinam się cieszyć swoim zwycięstwem, lecz zamiast tego drzę i opatulam się szczerzej miękkimi futrami, jak gdyby to samotne światełko było nienawistnym okiem wypatrującym mnie ponad powierzchnią wody. Elżbieta Woodville już raz opuściła mury sanktuarium, tryumfując. Teraz też na pewno knowa, marząc o doprowadzeniu Ryszarda do upadku i o własnej korzyści.

*"Do mego dziewierza, Jaspera Tudora, i mego syna, Henryka Tudora. Pisze do 'Was w dobrym zdrowiu. Mam ważne wieści Ryszard koronował się na króla Anglii, a swoją żonę Annę uczynił królową. Ja i Tomasz Stanley pozostajemy w łaskach pary królewskiej. 'Była królowa 'Elżbieta wezwała posiłki i zamierza zaatakować londyńska twierdzę, by uwolnić księżętę, jak ty (kp dwór się wyprawi na letni objazd królestwa, co ma nastąpić bezzwłocznie po zakończeniu uroczystości koronacyjnych. Przynależam jej nasze poparcie, a ona zwierza mi się ze swych planów. Zaczynajcie gromadzić armię. "Kiedy królowej uda się oswobodzić synów z Tower, skieruje swoje oddziały przeciwko Ryszardowi Ktokplwiek\_wygra, ona czy Jorki musi napotkać wasze*

*siły, powstanie w imię Lancasterów i konieczność Walki  
z nieznużonymi żołnierzami  
Mysie, że wiosnie nadszedł nasz czas.*

*Małgorzata Stanley.*

Tego samego dnia, kiedy wysyłam list do Bretanii, otrzymuję długą wiadomość, dostarczoną w sekrecie, od mojego starego przyjaciela, biskupa Mortona, uwolnionego z Tower i oddanego pod pieczę księcia Buckingham rezydującego w swojej siedzibie w Brecknock.

*"Droga córko w Chrystusie,  
stoczyłem walkę z sumieniem młodego księcia, który trzymając mnie  
w niewoli, przekonał się, iż sam jest moim więźniem, jakp że udało mi  
się sprawić, aby odwrócił się od Ryszarda zwanego obecnie królem,  
"W tej chwili młody książę toczy bój sam ze sobą, nie mogąc znieść myśli,  
że dopomógł w wywyższeniu Ryszarda, zamiast lepiej się przysłużyć  
swemu "Bogu, królestwu i samemu sobie i wesprzeć yorkjstowskich  
książąt, ogłosić się ich lordem protektorem i zagarnąć tron dla siebie.  
Takczy owak, jest gotów zdradzić Ryszarda i przyłączyć się do rebelii  
przeciwko uzurpatorowi Dowodem na to niech będzie wyrażona  
przezeń zgoda, abyś wezwani jego ludzi i uderzyła na twierdzę  
londyńską z zamiarem odbicia książąt. Otybawemprześle Ci hasło.  
Uważam, że powinnaś się spotkać z "Buckinghamem i rozważyć, jakiego  
rodzaju przymierze możecie zawrzeć w tych niespokojnych czasach  
"Wiem, że ma być w Brecon, zostawiwszy Ryszarda w "Worcesterze,  
i już go ze swojej strony zapewniłem, że niby przypadkiem natkniecie  
się na siebie po drodze.*

*Twój stały w uczuciach przyjaciel,  
John Morton, biskup "Éty.*

Kiedy podnoszę wzrok znad listu, widzę, że jedna z dworek przygląda mi się z niepokojem.

— Dobrze się czujesz, milady? — pyta. — Najpierw bardzo zbłądła, a teraz wystąpiły ci na lica wypieki...

— Nie, nie czuję dobrze — odpowiadam. — Wezwij doktora Lewisa.

Mąż odnajduje mnie w kaplicy późnym wieczorem.

— Zanim wyjadę z Londynu razem z całym dworem, zamierzam wybrać paru ludzi, którzy się przyłączą do planowanego ataku na twierdzę — mówi, opadając na ławkę bez ceregieli, ledwie skinąwszy głową w stronę ołtarza, przed którym płonie świeca rozganiająca gęsty mrok, i przeżegnawszy się na odczepnego, bez krzty rewerencji. — Kazałem już otworzyć zbrojownię, właśnie sprawdzają zbroje i broń... Muszę jednak wiedzieć, jaka jest twoja wola.

— Moja wola? — powtarzam. Nie wstaję z klęczek, odwracam tylko głowę i ze wciąż splecionymi do modlitwy palcami spoglądam na niego przez zmrużone powieki. — Moja wola zawsze pokrywa się z wolą Pana Boga.

— Jeśli moi ludzie — kontynuuje Stanley — zdołają się wdrzeć na teren twierdzy, co im zaraz rozkażę; jeśli znajdą się za bramami pierwsi, na co mam nadzieję; jeśli otworzą drzwi do komnaty książąt i znajdą ich tam w otoczeniu tylko paru sług... Czy wówczas twoją wolą... to znaczy, wolą Pana Boga... będzie, aby pochwycili ich niczym zbłąkane owieczki i zwrócili macierzy czy raczej aby ścięli chłopięce główki, pozbawili życia wszystkich służących i na nich zrzucili winę?

Gapię się na męża z otwartymi ustami. Nie spodziewałam się aż takiej bezpośredniości.

— To twoi ludzie... — gram na zwłokę. — Nie mnie im rozkazywać. Ty jesteś ich panem. Poza tym ktoś ich może uprzedzić...

— Twoim zamiarem jest doprowadzić do koronacji syna na króla Anglii — przypomina mi cierpko. — Jeżeli obaj książęta zginą, Henryk znajdzie się o dwa kroki bliżej tronu. Jeżeli przeżyją, ich matka zdoła poderwać prawie całe południe w obronie dynastii Yorków. Na bratobójczą wojnę ruszą mężczyźni, którzy zostaliby w domach, gdyby książęta nie żyli. Nikomu nie chce się bić za Elżbietę Woodville, ale wystąpienie za młodego księcia Edwarda i jego brata Ryszarda to co innego: gra warta świeczki, przydająca splendoru walczącym. Ci dwaj chłopcy czynią Elżbietę dwakroć silniejszą zarówno przeciwko Ryszardowi, jak i przeciwko Henrykowi.

— Przecież ogłoszono, że synowie Edwarda Yorka nie mają praw do tronu.

— Owszem — zgadza się ze mną Stanley i pyta brutalnie: — Chcesz, żeby odebrać im również prawo do oddychania?

Kurczowo zaciskam palce.

— Niech się dzieje wola Boża — szepczę, żałując, że nie czuję pewności, którą musiała czuć Joanna d'Arc, ruszając do bitwy: aby zabijać albo zostać zabita; wiedząc, że Pan Bóg wyznaczył jej trudną i krwawą ścieżkę. Wszelako Joanna d'Arc nie walczyła z małymi niewinnymi chłopcami. Joanna d'Arc nigdy nie wysyłała oprawców do komnaty dziecięcej...

Mój mąż wstaje.

— Muszę sprawdzić, jak im idzie. Jaka więc będzie twoja wola? Muszę wydać rozkazy dowódcom. Nie mogę kazać im czekać, aż Pan Bóg podejmie za ciebie decyzję.

Także wstaje.

— Młodszy ma dopiero dziewięć lat...

Stanley potakuje skinieniem.

— Ale jest księciem. Podczas wojny nigdy nie jest lekko, milady. Jakie wydasz rozkazy?

— Zaiste to poważna sprawa, bardzo poważna sprawa — mówię cicho. Podchodzę do niego i kładę mu dłoń na ramieniu, jakbym chciała zaczerpnąć otuchy z ciepła jego ciała bijącego przez modne rozcięcia rękawów eleganckiego dubletu. — Kazać zamordować dwóch chłopców, dwóch małych chłopców w wieku dziewięciu i dwunastu lat, w dodatku książąt krwi, następców tronu... dwóch małych niewinnych chłopców...

Stanley rozciąga usta w wilczym uśmiechu.

— Och, powiedz tylko słowo, a zaraz ich uwolnimy od podstęp nego stryja, zabierzemy z lochu i jeszcze pomożemy ich matce. Czy ty naprawdę chcesz przywrócenia dynastii Yorków? Chcesz żyć pod rządami młodego króla Edwarda? Przy odrobinie szczęścia dzisiejszego wieczora możemy do tego doprowadzić. Tego właśnie pragniesz? Mamy uczynić księcia Edwarda królem? Mamy czynić powszechne dobro?...

Wykręcam sobie skostniałe ręce.

— Nie, oczywiście, że nie...

— W takim razie wybieraj. Kiedy nasi ludzie wedrą się do Tower, mogą albo uratować chłopców, albo ich zabić. Ty decydujesz. Co powinni zrobić?

Widzę tylko jedno wyjście. Joanna d'Arc wzięła miecz do ręki i bez strachu, bez wahania ruszyła do bitwy. Ja również muszę ująć swój miecz.

— Powinni ich zabić — rzekę. Wargi mam zmartwiałe, ale jakoś udaje mi się formować słowa. — To oczywiste, że ci chłopcy muszą zginąć.

Stojąc przy bramie wiodącej z naszej siedziby na ulice Londynu, jestem świadkiem, jak jeden za drugim w mrok wymykają się ludzie Stanleya. Mój mąż opuścił stolicę w tryumfalnym orszaku pokoronacyjnym, u boku króla Ryszarda i królowej Anny. Zostałam w domu sama. Skrytobójcy nie dzierżą pochodni, za światło musi im starczyć blask księżyca. Poruszają się chyłkiem, cichcem. Nie są odziani w naszą liberię; wychodząc, pozdejmowali wytłaczane pasy, zdobione herbem peleryny i nakrycia głowy. Nie noszą nic, co pomogłoby ich przypisać do naszego rodu, i mają przykazane w razie pojmania mówić, że najeła ich królowa i to jej służy. Ledwie zamykają się za nimi drzwi, brat mego męża, Wilhelm Stanley, pisze list do dowódcy Tower, sir Roberta Brackenbury'ego: list z ostrzeżeniem o ataku. Wszelako zostanie on dostarczony dopiero w parę chwil po tym, jak atak się rozpocznie. „Na dwoje babka wróżyła, Małgorzato” — mrugnął do mnie wesoło Wilhelm, kiedyśmy ustalali, że list zamknie nasza rodowa pieczęć, by każdy mógł się przekonać na własne oczy, jacy lojalni jesteśmy. — „To ulubione powiedzonko mego brata, który uważa, że zawsze trzeba przynajmniej pozornie być po obu stronach naraz”.

Później pozostaje mi tylko czekać.

Staram się zachowywać tak samo jak każdego innego wieczora. Wracam do wielkiej sali i spędzam jakiś czas na oczach domowników Stanleya, potem udaję się do swoich komnat. Służki pomagają mi się rozdziać, po czym odprawiam je wszystkie — łącznie z dziewczyną, która sypia w kącie — zapowiadając, że zamierzam się



modlić do rana. Jest to moim zwyczajem, więc nikt się nie dziwi. Rzeczywiście modłę się trochę, po czym opatulam się grubą ciepłą peleryną, przysuwam sobie krzesło do kominka i zamieram w oczekiwaniu.

Wyobrażam sobie Tower jako chudy, długi, mierzący w niebo palec. Ludzie królowej przedostaną się na teren twierdzy bramą służącą do wypadów podczas oblężenia, a nasi podążą ich śladem. Książę Buckingham przysłał mały oddział wyszkolonych żołnierzy — ci spróbują wyłamać drzwi prowadzące do Białej Wieży, gdyby przekupieni słudzy zawiedli i jednak zostawili je zamknięte. Skrytobójcy wślizgną się do środka; wespną się na schody, zanim ktoś ich zauważy, lub będą musieli się przebijać, walcząc zaciekle z obrońcami, aż w końcu dotrą do komnat książąt, wtargną do środka i korzystając z zamieszania, kiedy chłopcy będą się zrywać z łóżek, ku wolności, zatopią w ich brzuchach sztylety. Książę Edward to odważny młodzik, sposobiony do robienia mieczem przez wuja Antoniego, może więc sprawić nieco kłopotu. Ryszard to jeszcze dziecko, ale może zacząć wołać pomocy bądź nawet zasłonić brata własnym ciałem i przyjąć na siebie przeznaczony tamtemu cios — było nie było, to yorkistowski książę, zna swoją powinność. Jakkolwiek potoczą się wypadki, koniec końców dojdzie do morderstwa z zimną krwią i z dumnej dynastii Yorków pozostanie tylko uzurpator Ryszard, mój syn zaś znajdzie się o dwa kroki bliżej tronu Anglii. Muszę umieć się z tego cieszyć. Muszę wciąż tego chcieć.

Wczesnym rankiem, kiedy niebo dopiero szarzeje, u moich drzwi rozlega się chrobot, który powoduje, że serce podskakuje mi do gardła. Zrywam się i otwieram oczekivanemu gościowi. To dowódca oddziału — w podartym dublecie, z posiniaczoną twarzą. Wpuszczam go bez słowa i bez słowa nalewam kielich domowego piwa. Gestem wskazuję, że może usiąść przy kominku, sama jednak stoję za oparciem krzesła, palcami mocno obejmując rzeźbione drewno, aby powstrzymać drżenie rąk. Jestem przerażona jak dziecko na myśl o tym, co uczyniłam.

— Zawiedli-my — mówi niewyraźnie. — Jeńcy byli pilnowani lepiej, niżesmy myśleli. Sługa, któregośmy przekupili, by utorował

nam drogę na wieżę, zginał pchnięty mieczem, jakeśmy odbijali rygle. Usłyszeli-my nawet jego krzyk. Przyszło nam wyważyć drzwi, ale kiedyśmy już mieli je zdjąć z zawiasów, za naszymi plecami wyrosli strażnicy Brackenbury'ego i trza nam się było odwrócić i walczyć. Uwięźli-my między murem i zbrojnymi i nie zdołali się nawet wdrzeć do wieży. Słyszeli-my tylko odmykane i zamykane drzwi i wrzaski, jak książęta byli ciągnięci w głąb Białej Wieży. Obrońcy wszczęli alarm i nie mogło być mowy o zwycięstwie...

— Zostali ostrzeżeni? Król spodziewał się ataku? — pytam, w duchu dodając kolejne pytania do siebie. Czy jeśli król spodziewał się ataku, zna nazwiska spiskowców? Czy wściekły dzik znowu na nas zaszarżuje?

— Nie — kręci głową w odpowiedzi. — To nie była zasadzka. Po prostu za wcześniej obudziły się straże, nasz człowiek w środku nie dał rady odemknąć drzwi. Wzięli-my ich przez zaskoczenie, ale potem wszystko się pokiełbasiło. Przykro mi, milady.

— Ktoś z naszych został pojmany?

— Wszyscyśmy uszli cało. Tylko jednego ranili, zbóje, ale jużeśmy się nim zajęli. Rana na szczęście niegłęboka... Ale paru królewskich poległo. Zostawili-my ich tam, gdzie padli.

— Widziałeś yorkistów? Kogo?

— Brata królowej Ryszarda i jej drugiego brata Lionela, i jeszcze jej syna po Greyu, Tomasza, o którym powiadali, że zniknął, a wszyscy byli pod bronią i mieli siłę ludzi. Chyba kręcili się tam też zbrojni Buckingham. Bili się dzielnie, ale Tower wzniesli Normanowie, coby bronić Londynu. Można tam siedzieć i pół roku, jak się dobrze pozamyka drzwi. Nie mieli-my szans, jak się już połapali, co jest grane...

— Ktoś was rozpoznał?

— Wszyscyśmy nosili białe róże i opowiadali się jako Yorkowie, to i za nich uchodzili-my...

Podchodzę do skarbczyka, wyjmuję sakiewkę i wręczam ją do wódcy.

— Podziel to między ludzi i przykaż, żeby nie gadali o dzisiejszej nocy za wiele, nawet pomiędzy sobą. Mogliby po fakcie przypłacić ten wypad życiem. Ktokolwiek się przyzna, że tam był, poniesie

śmierć jako zdrajca. I pamiętaj, ani ja, ani mój mąż nie mieliśmy z tym nic wspólnego.

Mężczyzna podnosi się na nogi.

— Dobrze, milady.

— Czy krewniacy królowej umknęli żywi? — pytam go na odchodnym.

— Tak, milady. Jeden z jej braci zarzekał się, że jeszcze wróca. Darł się na cały głos, coby chłopcy go usłyszeli: żeby byli cierpliwi i odważni, bo on poderwie dla nich całą Anglię...

— Naprawdę? No, ty zrobiłeś, ile mogłeś. Jesteś wolny.

Dowódca kłania mi się i wychodzi.

Klękam wprost na posadzce, tuż przed kominkiem.

— Przenajświętsza Panienko, jeśli Twoją wolą jest, aby ci chłopcy przeżyli, daj wyraźny znak swojej służebnicy... To że dzisiejszej nocy nie spadł im włos z głowy, nie może być poczytane za wskazówkę. Przecież nie możesz sobie życzyć, Matko Boża, aby to oni odziedziczyli koronę Anglii. Jestem Ci posłuszna we wszystkim, ale po prostu nie wierzę, abyś widziała na tronie ich zamiast Lancastera, mego syna Henryka.

Czekam. Czekam bardzo długo. Jednakże nie pojawia się żaden znak. Uznaję, że skoro nie ma znaku, synowie Yorka muszą zginąć.

Nazajutrz opuszczam Londyn. Wolę nie przebywać w mieście, w którym zostają podwojone straże i gdzie każdy chce wiedzieć, kto dokonał ataku na Tower. Postanawiam odwiedzić katedrę w Worcesterze. Od dawna nosiłam się z tym zamiarem, gdyż katedrą opiekują się bardzo szanowani przeze mnie benedyktyni, jest ona znany ośrodkiem religijnym. Nieoczekiwana wiadomość od królowej Elżbiety trafia w moje ręce w chwili, kiedy szykuję się do drogi: jej krewniacy przyczaili się w Londynie i okolicy i przygotowują powstanie. Odpowiadam natychmiast, zapewniając ją o swym niesłabnącym poparciu oraz o planie przekonania do naszej sprawy księcia Buckingham.

Panują nieco za wysokie temperatury na podróż wierzchem, ale przynajmniej jest sucho, toteż nie mitrężymy niepotrzebnie na traktach. Mój małżonek opuszcza dwór królewski w Worcesterze, by się

ze mną spotkać. Nowy król Ryszard, szczęśliwy i pewny siebie, witany entuzjastycznie, gdziekolwiek się pojawi, wspaniałomyślnie zwalnia swego szambelana ze służby na całą noc, zakładając, iż pragniemy ją spędzić jak mąż z żoną. Tymczasem Tomasz Stanley w niczym nie przypomina roznamiętnionego kochanka, kiedy przepstępuje przez próg mojej kwatery w klasztorze.

Nie traci też czasu na czcze powitania.

— Zawiedli, gamonie — mówi na wstępie.

— Twój dowódca twierdził, że zadanie było niewykonalne. Uważa jednak, że nikt nie ostrzegł Brackenbury'ego.

— Nie, chyba nie... Król Ryszard był wstrząśnięty, wiadomość o ataku na Tower wyraźnie go zaskoczyła. Doszły go słuchy o przestrodze mojego brata Wilhelma, i dobrze, to na pewno nam nie zaszkodzi. Wszelako księżęta mają zostać przeniesieni do wewnętrznych komnat, których łatwiej strzec niż apartamentów królewskich, i nie będzie im wolno wychodzić aż do powrotu dworu do Londynu. Później Ryszard chce ich w ogóle wywieźć ze stolicy, założył bliźniaczą dwór dla swych młodych królewskich bratanków. Dzieci Clarence<sup>e</sup>, jego własny syn, wszyscy potomkowie Edwarda Yorka mają zamieszkać w Sheriff Hutton, z dala od ziem, które popierają Elżbietę Woodville. Nigdy jej się nie uda ściągnąć dzieci na przyjazne południe, a zresztą pewnie i ją czeka małżeństwo z którymś z wielmożów północy...

— A czy przypadkiem ich wszystkich nie potruje? — pytam.  
— **Żeby** raz na zawsze mieć problem z głową?

Mój mąż zaprzecza zdecydowanym potrząśnięciem głowy.

— Przecież ogłosił, że ona jest ladacznicą, a jej dzieci bękartami, więc tym chłopcom nie przysługują już żadne prawa do tronu. Za to Edward Middleham już niedługo zostanie ogłoszony księciem Walii, Ryszard czeka z tym tylko do wjazdu do Yorku. Woodville'owie ponieśli porażkę, król pragnie się jeszcze upewnić, że nie będą traktowani jak uosobienie przegranej sprawy. Martwi, lecz wielbieni przez lud jako męczennicy, przysłużyliby mu się gorzej niż żywi, ale słabi. Jeżeli Ryszard chce kogoś wyplenić, to tylko Woodville'ów, którzy z książąt zrobiliby swoją tarczę. Tyle że gros Woodville'ów już nie żyje, a na resztę poluje się jak na wściekłe

psy. Cała Anglia uznała w Ryszardzie prawowitego króla i dziedzica Domu Yorków. Żeby uwierzyć, musiałybyś to zobaczyć na własne oczy, Małgorzato: gdziekolwiek byliśmy, prości ludzie witali go z otwartymi ramionami, a rajcy i wielmoże świętowali jego koronację. Każdy chętniej widzi na tronie silnego uzurpatora aniżeli słabego młodzika; każdy woli królewskiego brata niż wszczętą od nowa wojnę w obronie praw królewskiego syna. Ryszard przyrzeka, że będzie dobrym królem, a nie zapominaj, że we wszystkim przypomina swego ojca, księcia Yorku. Poddani za nim szaleją.

— A mimo to wielu myśli o tym, by wystąpić przeciwko niemu — zauważam. — Wiem to dobrze, sama ich gromadzę.

Stanley wzrusza ramionami.

— Tak, ty z pewnością wiesz najlepiej... Tylko że ja byłem świadkiem, jak Anglicy radośnie witają króla Ryszarda, widząc w nim lojalnego brata wielkiego króla i potomka wspaniałego rodu.

— Riversowie są w stanie go pokonać — upieram się przy swoim. — Bracia królowej i jej syn po Greyu już zapewnili sobie poparcie hrabstwa Kent i Susseksu. Prawie całe Hampshire stoi za nimi murem. Wystarczy, że powiedzą słowo, a każdy kto im służył, kiedy Elżbieta była królową, stawia się na wezwanie. Z kolei za mną pójdzie Kornwalia, no i oczywiście Walia, gdzie wystarczy wymienić nazwisko Tudora. Buckingham dysponuje ogromnymi ziemiami, z tysiącami dzierżawców, a mój syn Henryk przywiedzie pięć tysięcy ludzi obiecanych przez księcia Bretanii.

Tomasz kiwa na to głową.

— To da się zrobić — rzecze wolno. — Ale tylko pod warunkiem, że można liczyć na Buckinghama. Bez niego nie jesteście dość silni.

— Morton napisał mi, że całkowicie przekabacił Buckinghama i nastawił go przeciwko Ryszardowi. Mój nowy ochmistrz, Reginald Bray, rozmawiał już z nimi oboma. Będę wiedzieć więcej po spotkaniu z księciem w cztery oczy.

— Gdzie ma dojść do tego spotkania?

— Przypadkiem, na trakcie.

— Wystawi cię do wiatru — ostrzega mnie mąż — tak jak wystawił do wiatru Ryszarda. Nieszczęsny król wciąż myśli, że Buckingham kocha go jak brata, a tymczasem okazuje się, że dla

Buckinghama liczy się tylko własna ambicja. Zgodzi się poprzeć twojego syna w staraniach o koronę, ale tak naprawdę będzie chciał, żeby Tudor odwalił za niego brudną robotę. Z pewnością ma nadzieję na to, że połączone siły Tudora i królowej Elżbiety zdołają pokonać Ryszarda, otwierając jemu drogę...

— Wszyscy wiele obiecujemy, a mało dajemy — wtrącam.

— Wszyscy walczymy za swoją sprawę, nieustannie zapewniając o wierności książętom...

— Tak, tylko że ci chłopcy faktycznie są niewinni — rzecze nagle mój mąż. — A Buckingham łaknie ich śmierci. Nikt w Anglii go nie poprze dopóty, dopóki oni będą żyli. A zauważ, że jako lord wielki steward, mając pod sobą londyńską twierdzę, bez trudu może kazać ich zamordować. Jego słudzy już działają w Tower.

Zamieram, kiedy dociera do mnie znaczenie jego słów.

— Sądziś, że byłby do tego zdolny?

— Sama się niebawem przekonasz. — Uśmiecha się do mnie.

— W dodatku wydając rozkazy, może się podeprzeć imieniem króla. Będzie wyglądało, jakby to Ryszard o wszystkim zdecydował. Książę Buckingham osobiście dopilnuje, by tak to wyglądało...

— Czy on to planuje?...

— Nie mam pojęcia, czy już na to wpadł. Jeśli nie, ktoś rzeczywiście powinien podsunąć mu tę myśl. Nie ma wątpliwości, że dla kogoś kto sam chętnie ujrzy tych chłopców nieżywych, najlepszym rozwiązaniem jest włożyć miecz w rękę Buckingham.

Przerywa nam donośne stukanie do drzwi. Gwardziści mego męża wpuszczają do środka przeora klasztoru.

— Milordzie, milady, podano do stołu.

— Niech Bóg cię błogosławi, mężu — odzywam się sztywno.

— Rozmowa z tobą była bardzo pouczająca.

— I wzajemnie — odpowiada Stanley. — Życzę ci powodzenia podczas spotkania z jego książecą mością, oby wyniknęło z tego wiele dobrego.

Słyszę zbliżający się krętym traktem orszak księcia Buckingham, zanim udaje mi się go wypatrzeć. Stafford podróżuje w otoczeniu świty godnej króla; przodem podążają gwardziści i trębacze,

groźnym wyglądem i donośnym dźwiękiem trąbek robiący przejazd wielkiemu panu. Nawet jeżeli na drodze nie ma nikogo oprócz małego chłopca pasącego na poboczu owce, nawet jeżeli nie widać nic poza majaczącą w oddali wioską, gwardziści obrzucają okolicę uważnymi spojrzzeniami, a trębacze dmą w trąbki ile sił w płucach, po czym dopiero przetacza się kawalkada — złożona, lekko licząc, z setki koni wzbudzających tumany letniego kurzu, który unosi się niczym chmura za trzepoczącymi sztandarami.

Książę jedzie na czele głównej kolumny, dosiadając olbrzymiego kasztanka wyposażonego w rząd z czerwonej skóry nabijanej złotymi ćwiekami; tuż przed nim podąża chorąży z osobistym herbem Stafforda, a otaczają go trzej uzbrojeni po zęby gwardziści. Książę Buckingham jest odziany jak na polowanie, chociaż jego buty — także z czerwonej skóry — wyglądają na tak delikatne, że każdy inny mężczyzna używałby ich raczej do tańca i na inne specjalne okazje. Pelerynę, przerzuconą przez jedno ramię, ma spiętą ogromną złotą broszą, zaś nakrycie głowy zdobią klejnoty wielkości przepiórczych jaj. Dublet i kamizela także ociekają szlachetnymi kamieniami, nawet pludry ma gładkie i lśniące, uszyte z przedniej cielistej wełny zdobionej czerwonymi lampasami. Henryk Stafford był próżnym i gniewnym chłopcem, kiedy Elżbieta Woodville wzięła go pod swoje skrzydła i upokorzyła, żeniąc ze swą siostrą Katarzyną. Teraz zaś jest próżnym i gniewnym mężczyzną, dobijającym do trzydziestki i mszczącym się na całym świecie za to, że ów świat — przynajmniej w jego mniemaniu — nie okazał mu należytego respektu i nie obszedł się z nim łaskawie.

Poznałam go tuż po ślubie z moim drugim mężem. Podówczas wciąż był małym chłopcem, rozpieszczonym przez folgującego mu we wszystkim dziada. Wczesna śmierć jego ojca, a potem również kochającego dziada sprawiła, że został księciem w bardzo młodym wieku i odtąd uważa się za Bóg wie kogo. Troje z jego dziadów wywodzi się od Edwarda III, przez co Stafford wierzy, że w jego żyłach płynie więcej królewskiej krwi niż u rodziny panującej. Obecnie ma się za dziedzica Domu Lancasterów. Wydaje mu się, że ma większe prawa do tronu niż mój syn.

Udaje zdziwienie na widok mojego skromniejszego orszaku, chociaż trzeba powiedzieć, że nigdy nie wybieram się w drogę ze świtą liczącą mniej niż pięćdziesięciu zbrojnych i zawsze mam chorążych dzierżących moje i Stanleeya barwy rodowe. Powoli unosi rękę i zatrzymuje swój oddział. Zbliżyliśmy się do siebie ostrożnie, jak gdybyśmy mieli zamiar paktować, lecz wtem jego młodzieńczą urodziwą twarz rozjaśnia uśmiech.

— Co za spotkanie, kuzynko! — wykrzykuje, na co wszyscy jego ludzie skłaniają z szacunkiem głowy, chorążowie zaś oddają salut poprzez obniżenie drzewców. — Nigdy bym się nie spodziewał, że natknę się na ciebie tak daleko od rodzinnych stron.

— Jestem w drodze do mego domu w Bridgnorth — odpowiadam wyraźnie na użytek potencjalnych szpiegów. — Ja z kolei sądzę, że towarzyszysz najjaśniejszemu panu?...

— Właśnie zamierzam doń dołączyć po wizycie na zamku w Brecon — rzece Buckingham. — A może oboje byśmy sobie zrobili krótką przerwę w podróży? Możemy się zatrzymać tu niedaleko, w Tenbury. Czy uczynisz mi ten zaszczyt, kuzynko, i spożyjesz ze mną wieczerzę? — Niedbałym gestem pokazuje na towarzyszących mu ludzi. — Prowadzę ze sobą swoich kucharzy i wiozę zapasy. Moglibyśmy wyprawić godną ucztę.

— Z miłą chęcią — mówię cicho, zawracając wierzchowca, by zająć miejsce u boku księcia, podczas gdy moi zbrojni odsuwają się na bok i przepuszczają przodem jego imponującą świtę.

W oberży w Tenbury mają małą salkę ze stołem i ławami, w sam raz dla naszych celów, natomiast ludzie Buckinghama i moi zatrzymują się na pobliskim polu, gdzie rozbijają obóz i rozpalają ogniska, by upiec upolowaną zdobycz. Książęcy kucharz bierze we władanie skromną kuchnię oberży i wkrótce podkuchenni śmigają w tę i w tę, a to ukręcając łebki kurczakom, a to znosząc przyprawy i specjały przywiezione na wozie. Ochmistrz Buckinghama częstuje nas winem, wiezionym w beczkach na wozie, a podaje je w kielichach z wygrawerowanym książęcym herbem. Nie umyka mi nic z tej wielkopańskiej kapryśnej ekstrawagancji, toteż zauważam w duchu, że oto mam do czynienia z mężczyzną, któremu się wydaje, iż zdoła wystrychnąć mnie na dudka.



Zachowuję stoickie milczenie. Pan Bóg, w którego wierzę, jest nierychliwy, ale sprawiedliwy i nauczy! mnie cierpliwości. Buckingham od małego był porywczy i teraz także ledwie potrafi odczekać, aż za ochmistrem zamkną się drzwi.

— Ryszard jest nieznośny. Chodziło mi o to, by ochronił nas przed zakusami Riversów, i tylko dlatego go przed nimi ostrzegłem, a tymczasem on się posunął stanowczo za daleko. Trzeba przykrócić mu cugli.

— Ryszard jest obecnie królem — przypominam. — Ostrzegłeś go zawczasu i służyłeś mu radą, a on w efekcie zaprowadził tyranie, której się obawiałeś ze strony Riversów. Jednakże zarówno ja z mężem, jak i ty przysięgaliśmy mu wierność...

Zaczyna machać ręką, przez co wylewa z kielicha nieco wina.

— Przysięga na wierność złożona uzurpatorowi to żadna przysięga — mówi. — Ryszard nie jest prawowitym królem.

— Kto w takim razie nim jest?

— Księżę Edward — odpowiada szybko, jakby to nie była kwestia godna staranniejszego rozważenia. — Lady Stanley, żyjesz dłużej i widziałas więcej niż ja, który przez całe życie ufałem twoim natchnionym sądom. Z pewnością też jesteś zdania, że księżętom z Tower należy przywrócić wolność i należne im miejsce. Przez lata byłaś najwierniejszą z dworek królowej Elżbiety. Bez wątpienia uważasz, że jej synowie muszą odzyskać wolność, a księżę Edward musi zasiąść na tronie po ojcu, prawda?

— Bez wątpienia — powtarzam za nim. — Pod warunkiem, że jest dzieckiem z prawego łoża. Ryszard twierdzi coś przeciwnego, nawet ty oświadczyłeś, że Edward jest bękartem, podobnie jak jego ojciec.

Buckingham robi minę, jakby to nie on się zarzekał, iż Edward był już żonaty, zanim poprosił o rękę Elżbiety Woodville.

— W rzeczy samej obawiam się, że to może być prawda.

— W dodatku jeżeli usadzisz na tronie tego tak zwanego księcia krwi, sam stracisz wszystkie przywileje, które ci nadał Ryszard...

Bagatelizuje gestem pozycję lorda wielkiego stewarda, jakby to nie był najwyższy zaszczyt w Anglii.

— Podarki od uzurpatora nie są tym, czego pragnę dla swego rodu — rzecze, zadzierając nosa.

— Ja zaś nic na tym nie zyskam — kontynuuję, jakbym go nie usłyszała. — Pozostanę dworką królowej. Znowu będę służyć Elżbiecie, obecnie królowej wdowie, po tym jak przez krótki czas służyłam królowej Annie. Nic to nie zmieni w moim położeniu. Nawiasem mówiąc, oboje wiele byśmy zaryzykowali, przywracając Riversów do władzy. Wiadomo przecież, jaka to pazerna i rozległa rodzina. Twoja żona, siostra królowej, nadal miałaby cię pod pantoflem. Mogłaby się zemścić za to, że przetrzymywałeś ją w czterech ścianach domu, pogrążywszy w niełasce. Wszyscy będą się z ciebie śmiali, tak jak się naigrawali wtedy, gdy byłeś małym chłopcem...

Nienawiść do Riversów błyska w jego oczach płomieniem, ale szybko odwraca wzrok i wbija go w kominek, gdzie ogień liże rachityczne drwa.

— Katarzyna nie trzyma mnie pod pantoflem — rzecze z urazą. — I nie ma znaczenia, kim jest jej siostra. Nikt się ze mnie nie śmieje... — urywa i popada w milczenie.

Widzę, że nie śmie mi powiedzieć, czego naprawdę pragnie. Wchodzi sługa z pasztecikami, które konsumujemy w ciszy, popijając winem. Zachowujemy się tak, jakbyśmy naprawdę stanęli w obojętnej dla odpoczynku i podreperowania sił przed dalszą drogą.

— Niepokoję się o życie książąt — oznajmiam nagle. — Skoro miała miejsce próba ich uwolnienia i nie powiodła się tylko o włos, Ryszard w każdej chwili może zdecydować o przeniesieniu chłopców gdzieś daleko albo nawet o czymś gorszym... Bo przecież chyba nie pozostawi ich w Londynie, gdzie odtąd będą ośrodkiem każdego spisku przeciwko niemu? Przypuszczam, że wszyscy się spodziewają, iż ich usunie. Wywiezie na północ, gdzie nie przetrwają zimy. Zwłaszcza młodszy z książąt jest słabej kondycji.

— Gdyby, niech Bóg broni, zamordował ich po kryjomu, ród Riversów całkiem by wymarł i nareszcie mielibyśmy problem z głową — mówi książę z taką miną, jakby rozwiązanie to przyszło mu na myśl po raz pierwszy właśnie w tej chwili.

Potakuję skinieniem.

— A wtedy każda rebelia, która zniszczyłaby Ryszarda, otwarłaby drogę do tronu nowemu królowi.

Odwraca spojrzenie od ognia i spogląda na mnie z nieskrywaną nadzieją.

— Masz na myśli swego syna, Henryka Tudora? Prawda, że jego, milady? Ale czy podjąłby to ryzyko i przywrócił na tron Anglii Lancastera?

Nie waham się ani przez chwilę.

— Yorkowie dali się poznać od najgorszej strony. Henryk też się wywodzi z Lancasterów. Większość życia spędził na marzeniach o powrocie do domu i upomnieniu się o swoje.

— Dysponuje armią?

— Zdoła poderwać tysiące — zapewniam. — Ma przyobiecana pomoc księcia Bretanii, ponad tuzin statków, więcej niż cztery tysiące ludzi. Samo jego nazwisko wywoła tumult w Walii, a wojskiem będzie dowodził jego stryj Jasper Tudor. Gdybyście zjednoczyli siły przeciwko Ryszardowi, byłibyście niepokonani. A gdyby jeszcze królowa wdowa wezwała pod broń swoich popleczników, w przekonaniu, że występuje w obronie swych synów, nie mogłoby być mowy o porażce.

— Ale co będzie, jak odkryje, że jej synowie nie żyją?

— Jeżeli odkryje to po bitwie, nie zdoła nam zaszkodzić.

Buckingham kiwa głową.

— A później po prostu usunie się w cień.

— Mój syn jest już zaręczony z najstarszą księżniczką — wtrącam. — Elżbieta Woodville ma szansę zostać królową matką, to powinno ją pocieszyć po śmierci synów.

Mój bratanek się rozpromienia, nareszcie zrozumiawszy plan.

— Sądzi więc, że jesteś po jej stronie! — wykrzykuje. — Ze jej ambicje i twoje to jedno!

Tak, odpowiadam w duchu. Ty zaś sądzisz, że jestem po twojej stronie; że sprowadzę tu swojego syna, aby zabił Ryszarda dla ciebie. Sądzisz, że wykorzystam swego drogiego Henryka jako broń w twojej walce, by otworzyć ci drogę do tronu.

— A co będzie — sprawia wrażenie szczerze zbolełego — jeżeli twój syn polegnie na polu bitwy?

— Wtedy ty zostaniesz królem — odpowiadam. — Henryk Tudor jest moim jedynym synem, jedynym dziedzicem dynastii

Lancasterów. Jeżeli polegnie, następcą tronu zostaniesz ty, nikt bowiem nie zdoła zaprzeczyć twojemu prawu do korony Anglii. Natomiast jeżeli przeżyje, zyskasz jego wdzięczność i tyle ziem, ile zechcesz mieć pod sobą. Już teraz mogę cię zapewnić, że zostaną ci zwrócone majątki Herefordów. We dwóch z moim synem zdołalibyście strącić z tronu tyrana i zaprowadzić pokój w Anglii. Henryk byłby królem, ty zaś pierwszym księciem w królestwie. Gdyby umarł bezpotomnie, odziedziczyłbyś po nim koronę.

Stafford ześlizguje się z ławy i klęka przede mną, unosząc w górę dłonie w starym geście poddaństwa. Uśmiecham się do tego przystojnego młodzieńca, urodziwego niczym aktor w maskaradzie, szepczącego równie fałszywe wyuczone słowa zapewniające mnie o jego lojalności, podczas gdy wiem, iż na uwadze ma wyłącznie własne dobro.

— Czy przyjmiesz ode mnie hołd lenny w imieniu swego syna? — pyta z błyszczącymi oczami. — Czy przyjmiesz moją przysięgę na wierność i przyrzekniesz, że Henryk połączy swoje siły z moimi przeciwko uzurpatorowi Ryszardowi? Ze udamy się na wojnę we dwóch, ramię przy ramieniu, jak bracia?

Ujmuję jego złożone dłonie chłodnymi rękoma.

— W imieniu mego syna Henryka Tudora, prawowitego króla Anglii, przyjmuję twój hołd — rzekę uroczyście. — Ty, on i królowa wdowa strącicie z tronu Dzika i przywrócicie Anglii pokój i radość.

Wracam po wieczerzy ze Staffordem dziwnie przybita, bynajmniej nie czując się jak niewiasta, która właśnie odniosła tryumf. Powinnam być rozradowana — ksiązę Buckingham jest pewien, że mój syn będzie brał udział w jego rebelii i walczył za niego, gdy tymczasem to my wciągnęliśmy go w pułapkę. Zadanie, które sobie wyznałyśmy, dopełniło się; stała się wola Pana Boga. A mimo to... mimo to... Sądzę, że chodzi o tych dwóch chłopców w Tower, modlących się i śpiących trwożnie; mających nadzieję, iż już najutrz zobaczą swoją matkę; ufających, iż stryj ich uwolni; nie wiedzących, że zawiązał się potężny sojusz między mną, moim synem i księciem Buckingham tylko czekającym, aby usłyszeć o ich zgonie, i nie zamierzającym czekać nazbyt długo.

## WRZESIEŃ 1483 ROKU



Nareszcie mam to, co mi się należy. Mam królestwo, o którym marzyłam, zanosząc modły do Przenajświętszej Panienki i Joanny d'Arc — jedynej niewiasty wierzącej w zwycięstwo, wiedzącej od samego Pana Boga, co trzeba uczynić, aby wygrać. Moje komnaty w naszej londyńskiej siedzibie zamieniają się w sztab rebeliantów: każdego dnia mijają się posłańcy przynoszący wieści o poborze, proszący o pieniądze, odbierający broń i przemykający skrycie poza mury miasta. Mój stół do pracy, niegdyś zastawiony stertami religijnych ksiąg czekających, aż je przeczytam, obecnie pokrywają skopiowane starannie mapy; szuflady są pełne kodów do rozszyfrowywania wiadomości. Moje damy do towarzystwa zwracają się do swoich mężów, braci i ojców i nakłaniają ich do naszej sprawy. Moi przyjaciele w łonie Kościoła, w stolicy i na prowincji knowają razem, oplatając Anglię pajęczyną spisku. Decyduję, komu jeszcze można zaufać, a kogo omijać szerokim łukiem, i osobiście nawiązuję nowe kontakty. Trzy razy dziennie opadam na klęczki i modlę się do Pana Boga, który jest Bogiem słusznej walki.

Doktor Lewis niemal codziennie kursuje między mną i królową Elżbietą, która ze swojej strony stara się przyciągnąć wszystkich tych, co pozostali wierni Yorkom i książętom w Tower: zarówno wielmożów, jak i lojalne sługi dworu królewskiego; w tym samym czasie jej bracia i syn po Greyu przemierzają pobliskie hrabstwa, wzywając pod broń yorkistów, mnie zostawiwszy zgromadzenie lancasterów. Mój ochmistrz, Reginald Bray, dwoi się i troi w imię

naszej sprawy, natomiast drogi biskup Morton, pozostający na poły gościem, na poły więźniem w siedzibie Buckingham, kuje żelazo, póki gorące, w codziennych kontaktach z księciem. Opowiada mu o naszych postępach dotyczących poboru i zwrótnie przesyła zapewnienia, iż w tajemnicy zbroją się tysiące mężczyzn będących pod komendą Stafforda. Swoich dzierżawców zapewniam, że mój syn poślubi yorkistowską księżniczkę i raz na zawsze zjednoczy królestwo. To zapewnia mi ich niezachwiane poparcie. Wszelako yorkiści i zwykli ludzie za nic mają wielkie plany mego syna Henryka, im zależy wyłącznie na księżętach z Tower. Rozpaczliwie pragną uwolnienia obu chłopców i sprzymierzyliby się przeciwko uzurpatorowi z samym diabłem, byle zobaczyć młodego Edwarda i młodego Ryszarda wolnymi.

Księżę Buckingham trzyma się ustalonego planu, chociaż nie wątpię, że ma własne ambicje i własne cele, i lojalnie obiecuje zgromadzić swoich ludzi i sojuszników Tudorów w całej Marchii Walijskiej, po czym przekroczyć rzekę Severn i wkroczyć do Anglii od zachodu. Plan zakłada, że mój syn równocześnie przybije do południowych wybrzeży i ruszy z oddziałami na północ. Wojsko królowej wdowy ruszy w tym samym kierunku z południowych hrabstw, gdzie leży jej siła, co sprawi, że wziętemu w dwa ognie Ryszardowi zostanie zwerbować resztki i zmierzyć się z trzema armiami naraz, w najlepszym wypadku wybierając miejsce swojej śmierci.

Jasper i Henryk prowadzą nabór po lochach i ulicach tych z europejskich miast, które cieszą się najgorszą reputacją. W grę wchodzi zatem najemnicy i recydywiści mający szansę na wolność pod tym warunkiem, że staną pod sztandarem Tudora i wyruszą na wojnę. Nikt z nas nie oczekuje, że będą walczyli z poświęceniem ani że dochowają wierności na polu bitwy i sprawie. Wszelako sama ich liczba może przeważać szalę zwycięstwa na naszą stronę. Dochodzą mnie wieści, że Jasper zgromadził już pięć tysięcy ludzi — pięć tysięcy, bez cienia przesady — i właśnie szkoli ich, zamieniając w siłę zdolną wywołać przerażenie w granicach każdego królestwa.

Niczego nie spodziewający się Ryszard, wciąż w Yorku, pławi się w lojalności miasta okazywanej swemu ulubionemu synowi i nie ma pojęcia o planach, które urzeczywistnimy w jego stolicy, lecz mimo

wszystko jest dość przenikliwy, by wiedzieć, iż Henryk Tudor stanowi dlań zagrożenie. Dlatego stara się nawiązać sojusz z królem Ludwikiem Francuskim, który miałby wydać mego syna. Ma również nadzieję na pakt ze Szkocją. Domyśla się, że Henryk gromadzi armię, słyszał o zaręczynach i przymierzu z królową wdową. Spodziewa się, że jeśli wiatry będą sprzyjające, atak nastąpi jeszcze tej jesieni, w przeciwnym razie zostanie odłożony do wiosny. Ryszard wiele podejrzewa i bardzo się boi. Nie wie, jakie jest moje miejsce w tym wszystkim — czy jestem wierną żoną lojalnego wasala, którego sobie kupił urzędami i złotem, czy też w pierwszej kolejności matką mężczyzny mającego silne prawa do tronu. Musi być czujny, ale może tylko czekać na nasz ruch, nie przestając się zastanawiać, jak naprawdę przedstawia się sytuacja.

Podczas gdy tak czeka, nie wie najważniejszego: nie wie, że na jego nadzieje i na jego przyszłość padł cień — nie wie, że jego kompan i najbliższy przyjaciel, książę Buckingham, który pomógł mu się wspiąć na tron, który złożył mu hołd lenny, który zdawał mu się bliski jak brat, zdradził i zwrócił się przeciwko niemu, poprzysięgając, że doprowadzi do jego upadku. Nieszczęsny Ryszard, nieświadomy, niewinny, świętuje swój tryumf w rodzinnym mieście, pławi się w miłości swych poddanych i towarzyszy z północy. Nie ma pojęcia, że najbliższy mu człowiek, mężczyzna, którego kocha jak brata, zaiste przedzierzgnął się dlań w brata: równie fałszywego, równie zawistnego, równie zdradzieckiego jak wszyscy z trzech braci Yorków.

Mój małżonek, Tomasz Stanley, uzyskawszy trzydniowe zwolnienie od obowiązków przy królu, opuszcza York i zjawia się u mnie któregoś wieczora jeszcze przed wieczerzą. Wkroczywszy zamasyście do komnaty, gestem wygania za próg moje damy do towarzysstwa, nie bawiąc się w kurtuazję. Unoszę brew na tę jego ordynarność.

— Nie mam czasu na nic innego poza tym jednym pytaniem — wyrzuca z siebie. — Najjaśniejszy pan wysłał mnie z tajną misją, choć Bóg świadkiem, że chyba mi nie ufa. Mam stawić się przed nim pojutrze, aczkolwiek wiem, że już rozważa, czyby nie nałożyć na

mnie znowu aresztu domowego. Zdaje sobie sprawę, że przygotowania do rebelii są w toku, podejrzewa o nie ciebie, a zatem i mnie, podejrzewa właściwie każdego o wszystko. Powiedz mi jedno: czy zleciłaś zamordowanie księżąt w Tower i czy to już się stało?

Zerkam na drzwi i podnoszę się z krzesła.

— Mężu, czemu o to pytasz?

— Mój zarządca podszedł do mnie dzisiaj i zapytał, czy naprawdę księżęta nie żyją. Mój koniuszy mnie zaczepił i chciał wiedzieć, czy już słyszałem o ich śmierci. Nawet mój winiarz twierdzi, że połowa Anglii jest przekonana o tym, że synowie Edwarda Czwartego postradali życie i że winić za to należy uzurpatora Ryszarda.

Starannie ukrywam zadowolenie.

— Doprawdy... jak niby miałabym doprowadzić do czegoś takiego?

Zbliża zaciśnięte pięści do mojej twarzy, po czym równocześnie strzela palcami obu dłoni.

— Obudź się — mówi gburowato. — Rozmawiasz ze mną, nie z którymś ze swoich akolitów. Masz szpiegów na pęczki, nie lada fortunę do wykorzystania, teraz także Buckinghama po swojej stronie, jego i swoich zaufanych ludzi. Gdybyś chciała doprowadzić do czegoś takiego, mogłabyś to zrobić bez trudu. A zatem? Stało się? Już po wszystkim?

— Tak — rzekę cicho. — Stało się. Już po wszystkim. Księżęta nie żyją.

Stanley milczy przez chwilę, całkiem jakby zmawiał modlitwę za ich niewinne duszyczki. Potem nagle pyta:

— Widziałaś ciała?

Czuję się wstrząśnięta.

— Nie... Oczywiście, że nie...

— W takim razie skąd wiesz, że nie żyją?

Przybliżam doń twarz i mówię szeptem:

— Ustaliliśmy z księciem, co trzeba zrobić, a w jakiś czas później przyszedł do mnie jego człowiek z informacją, że zadanie zostało wykonane.

— Jak?

Nie umiem spojrzeć mężowi w oczy.



— Powiedział, że wraz z dwoma innymi naszli książąt podczas snu i udusili ich poduszkami.

— We trzech!

— We trzech — potwierdzam obronnie. — Przypuszczam, że trzeba co najmniej trzech... — urywam, zdawszy sobie sprawę, że Stanley podobnie jak ja zaczyna sobie wyobrażać dziesięciolatka i trzynastolatka leżących na łóżkach, kiedy trzech dorośli mężczyźni przykrywają im twarze poduszkami i naciskają z całych sił, nieomal łamiąc kości... — To byli ludzie Buckinghama — przypominam — nie moi.

— Twój rozkaz i aż trzech świadków! — kręci głową Stanley.  
— Co zrobiono z ciałami?

— Ukryto pod schodami w Tower. Kiedy Henryk zostanie królem, może odkryć je przypadkiem i ogłosić, że chłopcy zostali zamordowani przez uzurpatora. Odbędzie się msza, uroczysty pogrzeb...

— Skąd wiesz, że Buckingham nie wystrychnął cię na dudka? Skąd wiesz, że nie wyprowadził ich z Tower po kryjomu i gdzieś nie ukrył? Skąd wiesz, że nie są żywi?

Nie wiem na to odpowiedzieć. Ogarnia mnie niepokój: być może niepotrzebnie zdałam brudną robotę na obcych. Ale z drugiej strony chciałam, aby zrobili to ludzie Buckinghama, aby to jego można o wszystko winić.

— Po co miałyby to czynić? — pytam. — Przecież w jego interesie leży, nie mniej niż w naszym, aby byli martwi. Sam to mówiłeś. A zresztą nawet jeśli doszło do najgorszego i Buckingham próbował mnie oszukać, a chłopcy nadal żyją, zawsze można ich zabić w późniejszym czasie...

— Pokładasz wielkie zaufanie w swoich sojusznikach — komentuje cierpko mój mąż — i starasz się mieć czyste ręce. Tylko że jeżeli sama nie uderzysz, nie możesz wiedzieć, czy cios padł gdzie trzeba. Mam szczerą nadzieję, że nie pokpiłaś sprawy. Twój syn nigdy nie będzie bezpieczny na tronie Anglii, jeśli choćby jeden z yorkistowskich książąt ma się dobrze. Do końca życia będzie musiał się oglądać przez ramię. Pretendent do tronu będzie się czał za granicami królestwa, tak jak on ostatnio w Bretanii, i tylko czekał,

aż powinie mu się noga, tak jak on czekał na upadek Edwarda. Będzie mu zagrażał, tak jak on zagraża Ryszardowi. Twojego drogiego syna będzie prześladowała myśl o rywalu, tak jak Ryszarda Yorka prześladowuje myśl o Henryku Tudorze. Nie zazna chwili spokoju. Jeżeli pokpiłaś sprawę, naraziłaś swego syna na ciągły niepokój ducha, sprawiłaś, że korona nigdy nie będzie tkwiła pewnie na jego głowie.

— Wypełniam wolę Pana Boga — odpowiadam zaciekle.

— Stało się, co się stało. Nie pozwolę podważać swoich decyzji. A Henryk będzie pewnym siebie królem, nie pozwoli, by nawiedzały go duchy przeszłości. Książęta z Tower nie żyją, moje sumienie zaś jest czyste. To sprawka Buckinghama.

— Za twoim poduszczeniem.

— To sprawka Buckinghama — upieram się.

— I masz pewność, że zginęli obydwaj?

Waham się z odpowiedzią, przypomniałszy sobie dziwaczne słowa Elżbiety Woodville: „To nie Ryszard”. Rzeczywiście — co będzie, jeśli umieściła w Tower podmieńca, na którego podniosłam rękę?

— Obydwaj — potwierdzam z mocą.

Mój mąż obdarza mnie najzimniejszym ze swoich uśmiechów.

— Bardzo bym chciał żywić twoją pewność w tej sprawie...

— Przekonasz się, kiedy mój syn wkroczy tryumfalnie do Londynu i odnajdzie ciało, pochowa je z honorami, a winę zrzuci na Buckinghamą bądź Ryszarda. Wtedy się przekonasz, że zrobiłam, co do mnie należało.

Kładę się spać targana niepokojem, nazajutrz zaś — zaraz po porannej modlitwie — pojawia się u mnie doktor Lewis sprawiający wrażenie znużonego i strapionego. Od razu rozgłaszam, że nie czuję się dobrze, i odsyłam swoje damy do towarzystwa. Gdy zostajemy sami w mojej komnacie prywatnej, pozwalam mu zasiąść na krzesło naprzeciwko siebie, jak gdybyśmy byli sobie równi.

— Królowa wdowa wezwała mnie do sanktuarium minionej nocy

— oznajmia. — Była niezwykle poruszona...

— Naprawdę?

— Skądś się dowiedziała, że książęta nie żyją, i zaklinała mnie, abym temu zaprzeczył.

— Co jej odparłeś?

— Nie miałem pojęcia, co chciałybyś, abym jej powiedział, więc rzekłem to, co gadają ludzie w całym mieście: że młodzi Edward i Ryszard Yorkowie nie żyją. Ze uzurpator zamordował ich w dzień swojej koronacji lub tuż przed opuszczeniem Londynu.

— Jak na to zareagowała?

— Zdawała się głęboko wstrząśnięta, nie dawała wiary moim słowom. I... lady Małgorzato... w końcu rzekła coś strasznego... — urywa, jakby nie śmiał się podzielić ze mną tą potwornością.

— Dalejże, mów — ponaglam go, mimo iż czuję zimny dreszcz przestachu zakradający się wzdłuż stosu pacierzowego. Ogarnia mnie obawa, że zostałam zdradzona. Ze plan się nie powiodł.

— Z początku tylko płakała, a potem rzekła: „Przynajmniej Ryszard jest bezpieczny”.

— Miała na myśli księcia Ryszarda? Młodszego z chłopców?

— Tego, którego panowie rada zabrali do Tower, by tam dotrzymawał towarzystwa następcy tronu.

— Wiem przecież! Co jednak chciała przez to powiedzieć?...

— Zapytałem ją o to. Natychmiast ją zapytałem, co chce przez to powiedzieć, a ona uśmiechnęła się do mnie w taki przerażający sposób i odrzekła: „Doktorze, czy ktoś, kto ma tylko dwa bardzo cenne klejnoty i boi się złodziei, wkłada swoje skarby do jednej szkatułki?”... — Kiwa głową, widząc moją pobladłą twarz. — Dokładnie takich słów użyła.

— Ale co przez to rozumiała?

Lewis wzrusza ramionami.

— Nie wyjaśniła. Spytałem ją, czy księcia Ryszarda nie było w Tower, kiedy doszło do mordu, ona jednak tylko poprosiła, abyś posłała do twierdzy własne straże, które by zapewniły bezpieczeństwo jej synowi. Potem mnie odprawiła.

Powstaje z krzesła. Ta przeklęta niewiasta, ta czarownica jest mi zawadą, odkąd sięgam pamięcią, teraz zaś — w chwili kiedy ją wykorzystuję, kiedy wykorzystuję jej kochającą rodzinę i wiernych

popleczników, starając się odebrać jej koronę, zniszczyć jej synów — ona wciąż jest górą i nadal może wygrać, jeśli rzeczywiście uczyniła coś, co może znacznie pokrzyżować mi szyki. Jakim cudem jej się to udaje? Jakim cudem, znalazłszy się na kolanach i sprawiwszy, że nawet mnie jest jej żal, potrafi zamachnąć kołem fortuny na swoją korzyść? To musi być czarostwo; tak, tylko czarostwo. Jej szczęście, jej sukces położyły się cieniem na moim życiu. Teraz już nie mam wątpliwości, że sprzymierzyła się z diabłem. Co za szkoda, że nie zabierze jej ze sobą do piekła.

— Wrócisz do niej — powiadam, odwracając się do doktora Lewisa. Spogląda na mnie tak, jakby miał zamiar odmówić. — Co znowu? — warczę.

— Lady Małgorzato, klnę się na Boga, że straszno mi do niej wracać. Ona jest jak czarownica uwięziona w rozszczepionej sośnie, jak schwytany w pułapkę duch, jak wodna boginka na zamarznętym jeziorze wyczekująca wiosny. Pędzi żywot za murami opactwa, obok rzeki toczącej swe fale, i przysłuchuje się pluskom jak doradcy. Wie o rzeczach, o których nie ma prawa wiedzieć. Napełnia mnie przerażeniem. Jej córka wcale nie jest lepsza...

— Zbierz się na odwagę — wpadam mu w słowo. — Musisz być mężczyzną, Pan Bóg jest z tobą. Wrócisz do niej zatem i powiesz, by nie traciła serca. Powiesz, że księżęta z całą pewnością żyją. Przypomnij, że kiedyśmy się starali odbić jej synów, strażę powiodły ich w głąb twierdzy, było wyraźnie słychać chłopięce krzyki. Skoro wtedy pozostawali przy życiu, czemuż uzurpator miałby ich zabijać teraz? Objął panowanie za ich życia, na cóż mu ich śmierć teraz, kiedy jest królem? Zresztą jest zajęty swymi sprawami, setki mil od Londynu. Dodaj, że zgodnie z jej prośbą podwoję strażę w twierdzy, i przysięgnij w moim imieniu, że księżętom nie spadnie włos z głowy. Rebelia wybuchnie w przyszłym miesiącu. Jak tylko pokonamy Ryszarda, uwolnimy chłopców. Kiedy już to wszystko powiesz, kiedy ją podniesiesz na duchu, kiedy zobaczysz, jak kolor jej wraca na lica, a ulga wypełnia serce, dopiero wtedy szybko zapytaj, czy to prawda, że księżę Ryszard przebywa w bezpiecznej kryjówce, czy zdołała go przeszmyglować z Anglii i ukryć...

Medyk kiwa głową, lecz nie wydaje się przekonany.

— Ale czy oni naprawdę żyją? — pyta strachliwie. — Czy mogę ją z czystym sumieniem zapewnić, że ci biedni chłopcy żyją i mają się dobrze? Że plotki, krążące nawet pod twoim dachem, są wyssane z palca? Co ty, lady Małgorzato, wiesz o losie tych dzieci? Czy jeżeli powiem ich matce, że żyją, będę mówił prawdę?

— Ich los jest w rękach Pana Boga — odpowiadam niezmiesszana. — Tak samo jak los nas wszystkich. Nastąpiły niebezpieczne czasy i nawet książęta nie mogą być pewni dnia ani godziny.

Tej samej nocy dochodzą nas słuchy o wybuchu rebelii. Nie w porę, zdecydowanie przedwcześnie. Armia z hrabstwa Kent maszeruje na Londyn, wzywając księcia Buckingham do objęcia tronu. Sussex także powstaje, podnosi uzbrojoną rękę, sądząc, że nie można zwlekać ani chwili dłużej. Ludzie z Hampshire budzą się niczym ogień zaproszony w lesie i przeskakujący z drzewa na drzewo. Najbardziej lojalny wobec Ryszarda dowódca, świeżo wywyższony książę Norfolk, wkacza na zachodni trakt i zajmuje Guildford, skąd się wyprawia na wschód i zachód i wdaje w potyczki mające uśmierzyć bunt — rzeczywiście udaje mu się zatrzymać rebeliantów w granicach ich własnych hrabstw oraz posłać królowi wiadomość, że południe wystąpiło w obronie poprzedniej królowej i jej uwięzionych synów.

Ryszard, zaprawiony w bojach York, błyskawicznie kieruje się na południe, zakłada sztab w Lincolnie i po drodze nieustannie powiększa armię, wzywając pod broń tych, którzy całkiem niedawno wiwatowali na jego cześć. Dowiaduje się o zdradzie Buckingham, kiedy dołącza doń oddział Walińczyków z informacją, że książę już jest w ruchu, przecina Marchię Walijską, podrywając do walki ludzi, i najwyraźniej zamierzając się wdrzeć na teren Anglii na wysokości Gloucesteru albo może Tewkesbury, w otoczeniu regularnej armii i zaciężnych. Ukochany przyjaciel Ryszarda, Henryk Stafford, rozwinął własny sztandar i maszeruje pod nim z równą dumą i odwagą, jak kiedyś maszerował pod sztandarem dzika, tyle że teraz p r z e c i w k o niemu.

Ryszard błędnie z gniewu i chwyta się za prawe ramię, to ramię, którym robi mieczem, trzyma się kurczowo tuż nad łokciem, jakby chciał zapobiec niekontrolowanemu drzeniu.

— On, który ma wyłącznie powody, aby być mi wiernym! — wykrzykuje. — Niewdzięczna gadzina! On, który dostał ode mnie wszystko, o co poprosił! Żaden zdrajca w historii nie zaznał więcej dobra... Zdrajca, zdrajca, zdrajca!...

Natychmiast rozsyła po całej Anglii heroldów mających wzywać każde hrabstwo, by stanęło za nim, by wystawiło tylu uzbrojonych ludzi, ilu się da. To pierwszy tak poważny kryzys za jego panowania. Ryszard odwołuje się do lojalności wobec Yorków, żąda wierności, którą wcześniej okazywali jego bratu, a którą jemu obiecali, kiedy włożył koronę. Tym wszystkim, którzy cieszyli się z jego wstąpienia na tron przed zaledwie czterema miesiącami, ogłasza, że są mu winni posłuszeństwo i wywiązanie się z przysięgi lennej, w przeciwnym razie w Anglii rozpęta się piekło za sprawą zdradzieckiego sojuszu zawiązanego przez księcia Buckingham, królową czarownicę i pretendenta z Tudorów.

Siecze deszcz i wieje silny północny wiatr. To niezwykła aura, diabelska aura. Mój syn powinien stawiać żagle i wyruszać w drogę, jeśli chce zdążyć na czas, póki ludzie królowej wdowy i Buckingham są pełni ochoty do walki. Skoro jednak takie warunki panują tutaj, na południu Anglii, aż strach myśleć, jak jest w Bretanii. A tymczasem Henryk powinien przybyć w ściśle określonym momencie, aby trafić na zwycięską stronę tuż po stoczonym walce i przymusić ją do kolejnego bitewnego wysiłku. Stojąc przy oknie i przyglądając się strugom deszczu i szarpanym przez wiatr konarom drzew, wiem, że przy takich wichurach wiejących ku południowi mój syn nigdy nie zdoła postawić żagli ani wypłynąć w morze. Boję się, że nawet nie opuści portu.

Nazajutrz pada jeszcze mocniej, a rzeka zaczyna występować z brzegów. Woda przelewa się przez kamienne stopnie wiodące na przystań w naszych ogrodach, toteż wioślarze odciągają barcę pod sztandarem Stanleya w głąb sadu z obawy, że prąd mógłby ją zerwać z cum i zabrać ze sobą. Nie wierzę, by Henrykowi udało się postawić żagle, a nawet jeśli jakimś cudem by zdołał wypłynąć poza zatokę, nie wierzę, by pokonał Kanał Angielski i bezpiecznie przybił do południowych brzegów Anglii.

Wszyscy moi informatorzy, szpiedzy i współkonspiratorzy są porażeni zaciekłością deszczów i wiatrów, które zdają się bronią wymierzoną w nas, w naszą sprawę. Trakty do Londynu stają się nieprzejezdne, nie sposób więc przekazywać wiadomości. Nie ma mowy o posłaniu konnego z Londynu do Guildfordu, wkrótce zresztą ze wsząd ze stolicy zaczynają nadchodzić wieści o podtopieniach i powodziach, zarówno w górze, jak i w dole rzeki. Pływy są niezwykalnie wysokie; każdego dnia i każdej nocy ścierają się kipiele, które zmiatają nabrzeżne budynki, przystanie, mola i doki. Nawet najstarsi ludzie nie pamiętają takiej aury — burz trwających nieprzerwanie przez wiele dni z rzędu i rzek zalewających spokojne niziny całej Anglii.

Nie mam do kogo się zwrócić oprócz Pana Boga, ale nie zawsze słyszę Jego głos — zupełnie jakby gradowe chmury przesłaniały Jego twarz, a wiatry porывały Jego słowa. Stąd wiem, że to na pewno sprawka tej czarownicy. Dnie spędzam na wyglądaniu przez okna, na patrzeniu, jak rzeka kotłując się, przelewa przez murek ogrodu, jak połyka sad, fala za falą, aż w końcu tylko czubki drzew sięgają nieba w niemej prośbie o ratunek. Ilekroć przychodzi do mnie któraś z dam do towarzystwa albo doktor Lewis czy szczęśliwym zrządzeniem jakiś współpiskowiec z Londynu, każde z nich dopytuje, co się dzieje, jak gdybym wiedziała więcej niż oni, a przecież słyszę jedynie szum deszczu; co z nami będzie, jak gdybym umiała przewidzieć przyszłość z potarganych burzowych chmur. Tymczasem ja nie mam pojęcia o niczym; na zewnątrz może się dziać wszystko — zaledwie pół mili dalej może się toczyć zażarta bitwa na moczarach, a i tak dowiemy się o wszystkim za późno, gdyż nie sposób przejrzeć jednolitej ściany deszczu, nie sposób nic usłyszeć przez jednostajny szum.

Noce spędzam w swojej kaplicy, modląc się o bezpieczeństwo syna i powodzenie naszej sprawy, lecz mimo że wyteżam słuch na odpowiedź Pana Boga, słyszę tylko bicie kropel o dach i zawodzenie wiatru w szczelinach muru i grzeszę myślą, że nawet Stwórca został przegnany znad nieba Anglii przez niekończącą się diabelską wichurę i już nigdy Go nie usłyszę.

Wreszcie otrzymuję z Coventry list od mego męża.

najjaśniejszy pan wezwał mnie do siebie, co budzi moją obawę, iż mógł stracić we mnie ufność. "Posłał również po mego syna, barona Strange, i wielce go rozgniewała wiadomość, że Jerzy Stanley przebywa z dała od domu z dziesięcioma tysiącami zbrojnych, aczkolwiek mój syn miał na tyk zdrowego rozsądku, by nikomu nie powiedzieć, dokąd się wybiera, tak-że służący byli w stanie przekazać tylko tyle, iż zbierał ludzi w obronie słusznej sprawy. "Dzięki temu mogę zapewnić króla, że te dziesięć tysięcy będzie walczyć po stronie "Korony, mimo iż jakdotąd Jerzy nie zjawd się w naszym sztabie głównym na zamku w Coventry. "Buckingham utknął w "Walii z powodu podniesionego poziomu wodna rzece Senern. Twój syn, jaksądzę, został zatrzymany w porcie przez sztorm na morzu. "Wojsko królowej wdowy nie da rady maszerować zalanymi traktami, zresztą za węglem czeka na nich książę "HgrfolS^ze swoimi ludźmi. Myślę więc, że Twoja rebelia dobiegła końca, zanim na dobre się zaczęła. Zostałaś pokonana przez deszcze i rzeki. Lud już ukuł nazwę dla tego ekstraordinaryjnego wydarzenia: Potop Buckpujnama — potop, który zmył prosto dopiekła ambicje księcia i Twoje nadzieje. fA#ft nie słyszał o czymś podobnym od czasów, kiedy królowa wdowa przywezwała mgłę, by osnuła jej męża w trakcie bitwy pod "Born, albo kiedy potem przywołała wiatr, by przywiódł "Edwarda bezpiecznie do domu. Żaden ftnglikjnie wątpi, że jest zdolna spowodować potop, i wszyscy możemy mieć tylko nadzieję, że go powstrzyma, zanim nas zmyje do morza. Pozostaje jednak pytanie: dlaczego? Czyżby działała przeciwko Tobie? Jeśli tak, to czemu? Czy to możliwe, aby dzięki swym zdolnościom wiedziała, co przytrafiło się jej synom i kto ponosiła to winę? Czy w jej mniemaniu Ty jesteś winna? Czy to z zemsty postanowiła zatopić statki Twego syna? Zniszcz wszystkie dokumenty, które zachowałaś, i zaprzeczaj wszystkiemu, co uczyniłaś. "Ryszard zmierza do Londynu z zamiarem wzniesienia szafotu na dziedzińcu Tower. Jeśli uwierzy choćby w połowę tego, co o Tobie usłyszał, każe Cię ściąć, a ja nie będę w stanie zrobić nic, co by Ci mogło pomóc.

Stanley.



## PAŹDZIERNIK 1483 ROKU



Kłęczałam przed ołtarzem przez całą noc, ale nie sądzę, by Pan Bóg mnie usłyszał przez grzmoty i ulewę. Mój syn odbija od brzegów Bretanii z piętnastoma cennymi statkami i armią złożoną z pięciu tysięcy ludzi i wszystko traci podczas przeprawy przez Kanał Angielski. Zawija do któregoś z południowych portów tylko w dwie jednostki i natychmiast się dowiaduje, że marsz Buckinghama został powstrzymany przez powódź, rebelia spłukana przez diabelskie wody, a Ryszard przeszedł niemal suchą nogą do Londynu, gdzie zamierza wymierzyć sprawiedliwość zdrajcom.

Henryk Tudor odwraca się od królestwa, które powinno być jego, i wraca do Bretanii niczym tchórz, pozostawiając mnie tutaj bez ochrony, mimo iż to ja wzniciłam w jego imieniu bunt przeciwko uzurpatorowi, który śmie się mienić królem. Ponownie los nas rozdziela, tym razem nawet bez krótkiego spotkania, a mnie się wydaje, że pożegnałam syna na zawsze. Wraz z Jasperem skazał mnie na stawienie czoła Ryszardowi w pojedynkę. Zanim pałający gniewem i żądzą zemsty uzurpator ściąga do stolicy niczym najeźdźca, doktor Lewis umyka do Walii, biskup Morton wsiada na pierwszy statek płynący do Francji, poplecznicy Buckinghama wymykają się z Londynu chyłkiem, korzystając z osłony wiecznego mroku zesłanego przez ciężkie chmury, krewniacy królowej wdowy rozpierzchają się na pośpiesznie odbudowywany dwór mego syna w Bretanii. Mój mąż natomiast przybywa do Londynu w świetle króla Ryszarda, którego przystojną twarz szpeci wściekłość zdradzonego zdrajcy.

— Wie — oświadcza Stanley krótko, znalazłszy się w mojej komnacie, wciąż okryty podróżną peleryną i nie żywiący cienia współczucia. — Wie, że działałaś wspólnie z królową wdową, i zamierza wytoczyć ci proces. Zdażył zebrać dowody od półtuzina świadków. Rebelianci rozsiani od Devonu do wschodniej Anglii znają twoje imię i mają listy napisane twoją ręką.

— Mężu, to niemożliwe.

— Bez dwóch zdań jesteś winna zdrady, a zdrada jest karana śmiercią.

— Skoro jednak myśli, że pozostałaś mu wierna...

— Ja pozostałem mu wierny — przerywa mi, aby sprostować pomyłkę. — To nie kwestia opinii, tylko suchy fakt. Nie tego, co król mógłby myśleć, tylko tego, co widział. Kiedy Buckingham ruszył się z Walii, kiedy ty namawiałaś swego syna, by najechał Anglię, i opłacałaś buntowników, kiedy królowa wdowa podrywała pod broń mieszkańców południowych hrabstw, ja trwałem u jego boku, doraadzałem mu, pożyczałem mu pieniądze, wzywałem własnych ludzi ku jego obronie, wierny niczym prawdziwy York. Teraz ufa mi jak nigdy wcześniej. Mój rodzony syn zebrał dlań małą armię...

— Armia twojego syna miała walczyć za moją sprawę! — wybucham.

— Jerzy temu zaprzeczy, ja temu zaprzeczę, nazwiemy cię oszustką, nasze słowo przeciwko twojemu, a nie ma nikogo, kto mógłby udowodnić twoją prawdomówność.

Milczę przez parę uderzeń serca.

— Mężu, chyba wstawisz się za mną?

Przygląda mi się z namysłem, jakby odpowiedź na to pytanie mogła brzmieć: nie.

— Cóż, lady Małgorzato... zastanówmy się... Król Ryszard popadł w zgorzknienie, nie może uwierzyć, że jego najbliższy przyjaciel, jego jedyny przyjaciel chciał go zdradzić. Co do ciebie zaś... Zdumiewa go twoja nielojalność. Podczas koronacji niosłaś tren za jego żoną, przyjaźniłaś się z nią, powitałaś ją w Londynie. Jest zdania, że go zdradziłaś. Uważa zdradę za niewybaczalną. Ma cię za równie niewierną jak Buckingham, a Buckingham dał głowę na miejscu.

— Henryk Stafford księżę Buckingham nie żyje?

— Został ścięty na rynku w Salisbury. Król nie chciał go nawet widzieć na oczy. Był na niego bardzo zły, a do ciebie pała nienawiścią. Powiedziałaś, że królowa Anna jest mile widziana w Londynie, że wszyscy za nią tęsknili. Ugięłaś przed Ryszardem karku i życzyłaś mu wszystkiego dobrego. A potem rozesłałaś wici do każdego niezadowolonego członka rodu Lancasterów, informując, że wojna między kuzynami jeszcze się nie skończyła i że tym razem to ty zamierzasz wygrać.

Zgrzytam zębami.

— Mam uciekać? Mam się schronić w Bretanii?

— Moja droga, jakże chciałabyś się tam dostać?

— Mam własny skarbczyk, mam strażę. Mogłabym słono zapłacić i przeprowić się przez Kanał bezpiecznie. Gdybym natychmiast się udała do londyńskich doków, mogłabym zdążyć. Albo do Greenwich, albo do Dover czy Southampton...

Uśmiecha się do mnie, a ja przypominam sobie, że nazywają Stanleya lisem z powodu jego sprytu, z powodu umiejętności przetrwania w każdych warunkach, z powodu zdolności kręcenia i mataczenia na swoją korzyść, wiecznego uciekania przed pościgiem ogarów.

— W rzeczy samej, moja droga, w rzeczy samej... To byłoby wykonalne, tylko że widzisz... przykro mi o tym wspomnieć... zostałem wyznaczony na twego dozorcę i jako taki nie mogę pozwolić, abyś mi się wymknęła. Król Ryszard zarządził, że cały twój majątek i wszystkie twoje ziemie przechodzą w moje ręce z pominięciem ustaleń naszego kontraktu małżeńskiego. Wszystko co posiadałaś, będąc panienką, od tej chwili należy do mnie; wszystko co zyskałaś, będąc żoną Tudora, należy do mnie; wszystko co odziedziczyłaś po Henryku Staffordzie, jest teraz moje; tak samo wszystko to, co zostawiła ci w spadku twoja świętej pamięci matka. Moi ludzie już przetrząsają twoje apartamenty w poszukiwaniu klejnotów, dokumentów i skarbczyka. Twoi ludzie już są pod strażą, twoje damy do towarzystwa pod kluczem w swoich komnatach. Twoi krewniacy i dzierżawcy rychło się dowiedzą, że nie mogą ci służyć, są bowiem winni posłuszeństwo mnie.

Wciągam głośno powietrze. Przez moment nie umiem wydobyć z siebie głosu, więc tylko patrzę na Stanleya.

— Ograbiłeś mnie? Wykorzystałeś okazję i mnie zdradziłeś?

— Zamieszkaś w domu w Woking, który obecnie także jest moją własnością. Nie będzie ci wolno opuszczać jego terenu. Przyjmiesz moich służących, twoi zostaną odprawieni. Nie będziesz się z nikim spotykać: ani z niewiastami, ani z mężczyznami, ani nawet z własnym spowiednikiem. Nie pošlesz nikomu żadnej wiadomości...

Z trudem przychodzi mi ogarnąć rozmiary mężowskiej zdrady. Odebrał mi wszystko!

— To ty wydałeś mnie Ryszardowi — stwierdzam. — Ty wydałeś nasz spiszek. Ty, przez cały czas mając chrapkę na mój majątek, namawiałeś mnie do konspirowania, aby w swoim czasie odnieść korzyść, doprowadzając mnie do zguby. Ty poradziłeś Norfolkowi, aby się udał do Guildfordu i zdusił rodzącą się w Hampshire rebelię. Ty przestrzegłeś Ryszarda przed Buckinghamem. Ty mu powiedziałeś, że królowa wdowa chce przeciwko niemu wystąpić, a ja razem z nią...

Tomasz Stanley potrząsa głową.

— Nie. Nie jestem twoim wrogiem, Małgorzato. Spisałem się jako twój mąż bez względu na to, jakie ty masz na ten temat zdanie. Nikt inny nie zdołałby cię ocalić od losu zdrajczyni, na jaki w pełni zasługujesz. To co ci przedstawiłem, to najlepsza oferta, jaką udało mi się w twoim imieniu wytargować. Uratowałem cię przed Tower, uratowałem cię przed szafotem. Twoje ziemie uratowałem przed konfiskatą; Ryszard mógł je zabrać, nie oglądając się na moje rady. Wystarałem się o to, abyś wciąż jako moja żona mogła żyć pod moim dachem, w spokoju. Pozostałem w centrum wydarzeń, tak że będziemy wiedzieć, jakie Ryszard ma zamiary względem twego syna. A z pewnością zamierza się pozbyć Henryka Tudora, być może już rozesłał skrytobójców z poleceniem, aby go zamordowali. Swoją porażką przypieczętowałaś wyrok śmierci na niego. Ja mogę się przyczynić do jego ocalenia. Powinnaś okazać mi wdzięczność.

Nie potrafię jasno myśleć, nie potrafię się rozeznać w tej mieszaninie gróźb i obietnic.

- Ale Henryk...
  - Ryszard nie poprzestanie, póki nie ujrzy go martwym. Twój syn może teraz liczyć wyłącznie na mnie.
  - Będziesz moim dozorcą?  
Potakuje skinieniem.
  - I nadzorcą twojego majątku. To nic osobistego, Małgorzato. Przestań się tym przejmować. Skup się raczej na swoim synu.
  - Pozwolisz mi go ostrzec?  
Podnosi się na nogi.
  - Oczywiście. Sama możesz do niego napisać, jeśli chcesz. Pamiętaj tylko, że wszystka twoja korespondencja będzie przechodziła przez moje ręce. Posłańcami będą moi ludzie. Muszę sprawiać wrażenie, że jesteś całkowicie pod moją kontrolą.
  - Doprawdy? — dziwię się. — Znając ciebie, powiedziałabym raczej, że będziesz sprawiał wrażenie, iż siedzisz na płocie okra-kiem. Na dwoje babka wróżyła, Tomaszu...
- Tym razem uśmiecha się szczerze rozbawiony.
- Utrafiłaś w sedno, Małgorzato — mówi, kręcąc głową.

## ZIMA 1483 ROKU



Czeka mnie długa smutna zima spędzona samotnie w Woking. Wszystkie moje damy do towarzystwa zostają odesłane do domu i tylko cudem unikają oskarżenia o współudział w zdradzieckim spisku; wszyscy moi przyjaciele i zaufani posłańcy zostają odprowadzeni. Nie wolno mi się z nikim spotykać. Ludzi mieszkających pod tym samym dachem co ja wybiera mój mąż i są to osoby lojalne wyłącznie wobec niego. Popatrują na mnie z ukosa, jak na kogoś, kto zdradził ich pana i sprzeniewierzył się jego interesom, a nie tylko jak na niewierną żonę. Raz jeszcze muszę wieść życie na uboczu, pośród obcych, z dala od dworu królewskiego i przyjaciół, tak bardzo daleko od mego pokonanego syna. Bywają chwile, że obawiam się, iż zarzuci swój wzniosły cel, osiedzi w Bretanii na stałe, ożeni się ze zwyczajną niewiastą, zamieni w zwyczajnego mężczyznę nie mającego nic wspólnego z chłopcem wybranym przez Pana Boga do wielkich rzeczy i wydanym na świat kosztem mojego niewysłowionego cierpienia. A przecież jest synem niewiasty, którą powołała do szczytnych czynów sama Joanna d'Arc. Czy ktoś taki może się przeistoczyć w próżniaka? W pijaka? W człowieka, który po oberżach opowiada ludziom, że mógłby być królem, gdyby nie pech i diabelski sztorm?

Pomimo obostrzeń udaje mi się wysłać do niego prywatny list. Choć jest tuż przed Bożym Narodzeniem, nie jest to list utrzymany w nastroju świątecznym ani nawet życziwym. Nastała dla nas na-  
zbyt ciemna noc, aby prawić sobie uprzejmości i wymieniać nic

nieznaczące podarki. Cały rok był zły dla Domu Lancasterów. Nie ma we mnie radości, której mogłabym życzyć innym. Mnie i Henryka czeka długa i ciężka praca, jeśli kiedykolwiek ma znów sięgnąć po koronę Anglii, a dzień Bożego Narodzenia jest równie dobry jak każdy inny, aby ją zacząć.

*(Do mego dziewierza Jaspera i mego syna Henryka:*

*(Piszę do "Was w dobrym zdrowia.*

*"Dotarły do mnie słuchy, że bytu królowa "Elżbieta i uzurpator (Ryszard uzgadniają warunki opuszczenia przez nią murów sanktuarium.*

*"Moim życzeniem jest, aby mój syn Henryk publicznie ogłosił zaręczyny z yorkjstowską księżniczką Elżbietą. To powinno zapobiec wydaniu jej za mąż za kogoś innego oraz przypomnieć jej sojusznikom i moim o silnym prawie do tronu Henryka Tudora, jaki również zademonstrować wcześniejsze poparcie Rioersów dla pretendenta.*

*"Mój syn ma tego dokonać w dzień "Bożego Hurodzenia w katedrze w Rennes, na podobieństwo Joanny d'Arc ogłaszającej nowego króla Francji w katedrze w Reims. Takie jest moje życzenie jako matki-Henryka Tudora i głowy "Domu Lancasterów.*

*"Wszystkiego najlepszego z okazji świąt!*

*"Małgorzata Stanley.*

Mam mnóstwo czasu na medytowanie nad marnością ludzkich ambicji i nad potwornością grzechu, jakim jest strącenie z tronu namaszczonego władcy, kiedy jedna za drugą mijają, zmieniając się w ponure poranki, długie i ciemne noce tego najsmutniejszego w moim życiu Bożego Narodzenia i niewiele weselszych obchodów z okazji nowego roku. Klęczę i zapytuję Pana Boga, dlaczego walka mego syna o zajęcie należnego mu miejsca w świecie nie została przez Niego pobłogosławiona; dlaczego nawet aura sprzyścięła się przeciwko Henrykowi Tudorowi; dlaczego wiatr zepchnął jego statki z kursu; dlaczego Pan Bóg, władca ziemi, ognia i powietwu, nie uspokoił dla Henryka burzy, tak jak to uczynił dla siebie w Galilei. Zapytuję Go, dlaczego Elżbieta Woodville — która jak wszystkim wiadomo, jest czarownicą — układa się z uzurpatorem w sprawie opuszczenia sanktuarium; dlaczego idzie do przodu, pod-

czas gdy ja tkwię w miejscu. Kładę się z szeroko rozłożonymi ramionami na lodowatej posadzce kaplicy i oddaję uświęconej i pełnej żalu skrusze.

I wtedy to na mnie spływa. W końcu, po wielu dniach poszczenia i po długich nocach spędzonych na modlitwie, w moim umyśle pojawia się odpowiedź. Już wiem dlaczego. Nareszcie zaczynam wszystko rozumieć.

Nareszcie dociera do mnie, że na naszych planach cieniem położyła się grzeszna ambicja i zachłanność, że przyćmiło je niegodne niewieście pragnienie zemsty. Plany te układała bowiem niewiasta, która uważała się za matkę króla i nie umiała znieść myśli o zwykłym życiu. Skaziła je próżność niewiasty, która za wszelką cenę pragnęła być królową i nie zważała na to, że przy okazji spełniania swego marzenia wywoła w królestwie zamęt i nieszczęście. Zrozumieć siebie, znaczy zrozumieć wszystko, toteż wyznam swój grzech i nie zaprzeczę swojej winie: w pewnym stopniu przyczyniłam się do naszej klęski.

Wszelako ten mój grzech i ta moja wina sprowadzają się wyłącznie do słusznej ambicji i przemożnego pragnienia, aby zając należne miejsce w świecie. Jedno i drugie jest dozwolone. Natomiast wszystkimu co złe winna jest Elżbieta Woodville. To ona sprowadziła na Anglię wojnę, by zaspokoić swoją próżność i pragnienie zemsty; to ona zwróciła się do nas przepełniona po brzegi dumą z własnej urody, własnego nazwiska, własnego syna. Popełniłam wielki błąd, sprzymierzając się z nią w jej walce. To namiętne pragnienie Elżbiety Woodville, aby usadzić na tronie swego syna Edwarda, spowodowało, że Pan Bóg się od nas odwrócił. Powinnam była ją przejrzeć i też się od niej odwrócić.

Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina, widzę to teraz i kajam się przed Panem Bogiem, prosząc, aby mi wybaczył. Źle uczyniłam, sprzymierzając się z Buckinghamem, którego rozdmuchana ambicja i niesłychane żądania sprowadziły na nas powódź; źle uczyniłam, sprzymierzając się z byłą królową Elżbietą, której próżność i pragnienia również nie znalazły poparcia u Stwórcy. W dodatku kto to może wiedzieć, do czego się uciekła, aby ściągnąć ulewne deszcze?



Powinnam była — tak jak Joanna d'Arc — udać się na tę bitwę samotnie, podpierając się własną wizją. Sprzymierzając się z grzesznikami — i to z jakimi grzesznikami! z rozwiąztą wdową po Greyu, z młodzikiem żonatym z Woodviłle'ówną — naraziłam się na karę za ich grzechy. Ja niczym nie zgrzeszyłam (dobry Pan Bóg, który wie wszystko, wie i to), ale wyciągnęłam do nich rękę, skaziłam się i choć jestem czysta, poniosłam karę.

Do żywego boli mnie myśl, że niewłaściwe postępowanie Elżbiety i Buckinghama wystawiło na szwank słuszny cel mój i mojego syna — ona jest przecież córką znanej czarownicy, on zaś puszył się jak paw przez całe krótkie życie. Nigdy nie powinnam była się zniżać do sojuszu z nimi; co też we mnie wstąpiło, żeby dać się im omotać, zamiast pozwolić, by wznieśli bunt na własną rękę i sami mordowali swoich wrogów?! Jakże żałuję, że nie trzymałam się od tego wszystkiego z daleka. Moje nierozsądne zachowanie sprawiło, że ich klęska stała się moją klęską, że ich deszcz i wiatr przegnał moje nadzieje, wreszcie że ich grzechy są przypisywane mnie. Co za niesprawiedliwość mnie spotkała, że karząca ręka dosięgnęła mnie zamiast nich!

## WIOSNA 1484 ROKU



Przez całą zimę i całe przedwiośnie medytuję nad ich niewłaściwym postępowaniem i dochodzę do wniosku, że to dobrze, iż była królowa wciąż przebywa w murach sanktuarium. Czując się we własnym domu jak w więzieniu, myślę o niej, zamkniętej w mrocznej krypcie niedaleko rzeki, po ciemku radzącej sobie z dotkliwą porażką. A potem wiosną nieoczekiwanie otrzymuję list od mojego męża.

*'Król Ryszard i Elżbieta WoodzHue doszli do porozumienia. Ona przytaknęła ustawie, parlamentu, która mówi, że nigdy nie była żoną świętej pamięci króla, natomiast on przyrzekł na honor, że po wyjściu, z sanktuarium nie spotka krzywda ani jej, ani żadnej z jej córek- Ma zostać przekazana pod pieczę Johna 9<sup>ę</sup>sfieldea i zamieszkać w jego posiadłości Meytesbury w 'Wiltshire, dziewczęta zaś mają się udać na dwór królewski, gdzie będą dworkami królowej Anny do czasu wydania ich za mąż. Ryszard wie, że Twój syn ogłosił zaręczyny z księżniczką Elżbietą, ale zarówno Ty, jaki Tioójsynnie liczycie się w jego oczach. 'Wygląda na to, że Elżbieta' Woodwiik pogodziła się ze swoją porażką i ze śmiercią synów. 'W każdym razie nigdy nawet nie wspomina imion chłopców.*

*"W ten czas powszechnej zgody zarządziłem po kryjomu przeszukanie Tower w celu odnalezienia ciał księżąt i obarczenia winą za ich śmierć 'Buckingftama (nie Ciebie), wszelako schody, o których wspomniałaś, w żaden sposób nie zostały naruszone i nigdzie nie ma nawet śladu*

*dziecięcych zwłok. Rozpuściłem pogłoskę, że ciałka pochowano, po czym ekshumowano (miał to uczynić jakiś pełen wyrzutów ksiądz) i oddano wodom Tamizy — pomyślałem sobie, że coś takiego pasuje do rodu Rpersów. Moja wersja stanowi równie dobre zakończenie tej Historii jak każde inne, zwłaszcza że nikt nie próbował jej zaprzeczać, podając niewygodne szczegóły. Ci Twój trzej mordercy — o ile jacyś w ogóle byli — siedzą cicho jak myszy pod miotłą.*

*Zamierzam niebawem złożyć Ci wizytę, korzystając z okazji, że na dworze Ryszarda zapanowała miękka atmosfera z powodu wczesnej wiosny i ogólnego poczucia tryumfu. Młoda "Elżbieta" ybrkkjóluje na dworze stryja; to piękne i czarujące dziewczę, w niczym nie ustępujące matce. Totowa dworzan już straciła dla niej głowę, co rokuje, iż będzie zamężna najdalej w ciągu roku.*

*Z pewnością trafijesz się jakaś dobra partia, o którą nietrudno w otoczeniu króla.*

*Stanley.*

List ten wyprowadza mnie z równowagi do tego stopnia, że przez resztę dnia nie mogę się modlić. Z konieczności każę wyprowadzić konia ze stajni i udaję się na przejażdżkę aż na kraniec parku łowieckiego, a potem wracam do domu po obwodzie posiadłości, który wyznacza granice mojego więzienia — albo mojej wolności. Nie zwracam uwagi na rozkwitające żółte główki narcyzów ani brykające na łąkach jagnięta, koncentrując się raczej na odzyskaniu wewnętrznego spokoju. Sugestia, że książęta nie są martwi i pogrzebani — co niewątpliwie jest prawdą — i dalsze zaciemnianie sprawy poprzez wymysły o ekshumacji i pochówku w rzece — co wywoła tylko dodatkowe pytania — wystarczyłyby, aby mnie rozwścieczyć, lecz w połączeniu z nowiną o odzyskanej przez Elżbietę wolności i o tryumfalnym pojawieniu się jej córki na dworze Ryszarda, który powinien być ich wrogiem do grobowej deski, wstrząsa mną bez granic.

Jakże Elżbieta Woodville może się układać z mężczyzną, którego powinna winić za śmierć swoich synów? To dla mnie tajemnica, ale też obrzydliwość. I jakże ta dziewczyna może tańczyć na dworze królewskiego stryja, jak gdyby nie był mordercą jej młodszych braci i dozorcą więziennym jej młodości? Nie pojmuję tego. Była królowa

swoim zwyczajem nie patrzy dalej własnego nosa i dba tylko o wygodę, nie dziwi mnie więc, że przystaje na zaproponowaną wiejską siedzibę oraz — bez wątpienia — ładną rentę i stałe źródło utrzymania. Z pewnością nie płacze po swoich synach, skoro tak chętnie przyjmuje wolność z rąk ich mordercy.

Heytesbury, doprawdy! Znam tę posiadłość, toteż wiem, że będzie tam Elżbiecie bardzo wygodnie, a John Nesfield w dodatku pozwoli jej urządzić wszystko po swojemu. Mężczyźni zawsze wychodzili z siebie, aby zadowolić Elżbietę Woodville, ponieważ zawsze głupieją w obecności ładnej buzi, wszystko zaś wskazuje na to, iż mimo że wywołała rebelię, w której zginęło niemało dobrych ludzi i która kosztowała mnie jeszcze więcej, tej niewieście każdy uczynek uchodzi na sucho.

Jej córka musi być od niej po tysiakkroć gorsza, skoro się godzi na wolność na takich warunkach i udaje się na dwór, gdzie tańczy, zamawia nowe suknie i służy jako dworka żonie uzurpatora siedzącej na tronie, który niegdyś zajmowała jej matka! Słowa mnie zawodzą, modlitwy mnie zawodzą, popadam w zdumione milczenie na fałszywość i próżność yorkistowskiej królowej i yorkistowskiej księżniczki; jedyne o czym potrafię myśleć, to jak ukarać je obie za odzyskanie wolności i pozycji w czasie, kiedy ja wciąż pozostaję uwięziona i zrujnowana. Nie powinno tak być — nie po tym wszystkim, co przeszliśmy — że biała królowa raz jeszcze unika niebezpieczeństwa i wychodzi z sanktuarium, i obejmuje w posiadanie piękną siedzibę w samym sercu Anglii, by wychowywać w niej córki i wydawać je za mąż za przyjaciół rodziny i bogatych sąsiadów. Nie powinno tak być, że biała księżniczka jest ulubienicą całego dworu, ulubienicą stryja, ulubienicą ludu, ja zaś jestem nikim. To niemożliwe, żeby Pan Bóg chciał, by te niewiasty wiodły spokojne, przyjemne, szczęśliwe życie, podczas gdy mój syn ukrywa się na wygnaniu. Niemożliwe, żeby taka była Jego wola. Pan Bóg musi pragnąć sprawiedliwości, musi planować dla nich karę, musi dążyć do ich upadku. Musi, po prostu musi chcieć naznaczyć je piętnem. Z pewnością łaknie gryzącego zapachu ich poświęcenia. I z pewnością wie, że mogą być narzędziem w Jego rękach, jeśli tylko podsunie mi odpowiednią broń.

## KWIECIEŃ 1484 ROKU



Mój mąż przyjeżdża do mnie z wizytą, kiedy król udaje się do Nottingham, by szykować się do odparcia inwazji mego syna, która jak wie, nastąpi jeszcze tego roku albo przyszłego, albo kolejnego. Tomasz Stanley wyprawia się co dzień na polowania, równie łasy trofeów, jakby to była jego zwierzyna — zaraz wszakże przypominam sobie, że w istocie jest jego. Obecnie wszystko należy do niego. Każdego wieczora jada suto i pija nieskromnie, czerpiąc z win zgromadzonych w piwniczce przez Henryka Stafforda z myślą o mnie i moim synu, a teraz też będących jego własnością. Dziękuję Panu Bogu, że nie zaliczam się do niewiast, które przywiązują wielką wagę do dóbr doczesnych, w przeciwnym razie bardzo by mnie bolał ten niekończący się marsz butelek przez stół. Dziękuję Przenajświętszej Paniencie, że potrafię się skoncentrować na woli Boskiej i tryumfie mego syna.

— Czy Ryszard jest świadom planów Henryka? — pytam któregoś wieczora, zanim Stanley całkiem przesiąknie winem z mojej piwniczki, teraz stojącej przed nim otworem.

— Ma szpiegów na prowizorycznym dworze twego syna — odpowiada — oraz sieć informatorów przekazujących wieści z jednego krańca królestwa na drugi. Najpodlejsza rybacka łódź nie może przybić do portu w Penzance bez jego wiedzy. Henryk wszelako wyrósł na ostrożnego i sprytnego młodego mężczyznę. O ile mi wiadomo, trzyma karty przy piersi i snuje plany wyłącznie ze swoim stryjem Jasperem, nie dopuszczając nikogo innego do konfidencji.

Nie słyszałem jeszcze, by Ryszard wspomniał o wydarzeniach w Bretanii, które by nie były tajemnicą poliszynela. Rozumie się jednak samo przez się, że Tudorowie znów zgromadzą flotę i ponowią inwazję przy pierwszej sposobności. Na razie powstrzymuje ich zeszłoroczna klęska; książe Bretanii stracił przez nich małą fortunę i chyba nie jest już tak skłonny do pomocy. Sporo osób uważa, że przymierza się do postawienia na Tudorach krzyżyka i oddania ich Francuzom. Gdyby do tego doszło, porażka byłaby przesądzona. Ale nie licząc tego, co wiedzą wszyscy, Ryszard nie ma pojęcia o niczym.

Potakuję z zadowoleniem.

— Wiesz, że Tomasz Grey, syn Elżbiety Woodville z pierwszego małżeństwa, próbował opuścić dwór twego syna i przedrzeć się do Anglii? — pyta mnie nagle.

— Niemożliwe! — wykrzykuję zdumiona. — Skąd u niego ten pomysł? Czemu chciał odejść od Henryka?

Mój mąż uśmiecha się do mnie znad brzegu kielicha.

— Zdaje się, że matka kazała mu wracać do domu i przeprosić się z Ryszardem, tak jak wcześniej uczyniły jej córki. Wygląda na to, że nie oskarża Ryszarda o śmierć synów i wcale nie uważa Henryka Tudora za tego, na którego warto stawiać. W przeciwnym razie nie dażyłaby do zgody z królem. Chyba więc zamierza zerwać więzy łączące ją z Tudorami...

— Któż może wiedzieć, co ona myśli i zamierza? — pytam poirytowana. — To niestała, kapryśna niewiasta bez krzty rozumu, nie znająca pojęcia „lojalność”. Jest wierna wyłącznie swoim zachciankom.

— Tak czy siak twój syn złapał uciekającego Greya — kontynuuje Stanley — i teraz przetrzymuje go na swoim dworze w charakterze raczej zakładnika aniżeli poplecznika. Coś takiego nie wróży dobrze zapowiadaniem małżeństwu Henryka z księżniczką, prawda? Przypuszczam, że młoda Elżbieta zerwie zaręczyny, tak jak jej przyrodni brat próbował cofnąć dane Tudorowi poparcie. To zagraża powodzeniu waszej sprawy, no i upokarza Henryka. Coś mi mówi, że Yorkowie znów są przeciwko wam...

— Elżbieta nie może zerwać zaręczyn — oburzam się. — Jej matka dała słowo, obie dałyśmy słowo. Natomiast Henryk poprzyśiągł ją poślubić w obliczu Pana Boga w katedrze w Rennes. Chcąc się wykręcić od tego małżeństwa, będzie musiała się zwrócić o dyspensę do Ojca Świętego. A poza tym nie rozumiem, czemu miałoby jej na tym zależeć?

Uśmiech mego męża poszerza się znacznie.

— Ma amanta — rzecze cicho.

— Elżbiecie nie wolno się zadawać z zalotnikami; jest zaręczona z moim synem.

— Cóż, być może. Niemniej jest konkurent do jej ręki.

— Pewnie jakiś niezgrabny paż.

Stanley chichocze, jakby usłyszał dowcip.

— O, nie. Niezupełnie.

— Żaden wielmoża nie zainteresowałby się nią w obecnej sytuacji — zauważam. — Została uznana za dziecko z nieprawego łoża, zaręczyła się z moim synem, a w dodatku ma przyobiecany bardzo skromny posag. To co najmniej trzy powody do hańby. Któż by ją chciał i dlaczego?

— Może z powodu jej urody? Jest kwitnąca, wiesz... I pełna uroku. Ma cudowny uśmiech, wręcz nie sposób oderwać od niej spojrzenia. — Stanley odgina kolejne palce, wyliczając. — Do tego łagodnie usposobiona, niewinna. To urocza młoda niewiasta, a przy tym cokolwiek mówić, prawdziwa księżniczka. Sprawia wrażenie, jakby narodziła się dla świata z chwilą opuszczenia sanktuarium. Nic dziwnego, że zwyczajnie się w niej zakochał...

— Któż taki? Kim jest ten głupiec?

Od Stanleya aż bije rozbawienie.

— Ów amant, o którym ci wspomniałem?

— Tak — niecierpliwie się. — Kim jest ten zakochany bałwan?

— To król Ryszard we własnej osobie.

Cichnę na moment. Co za niewyobrażalna niegodziwość, co za porubstwo!...

— Przecież to jej stryj!

— Mogliby dostać dyspensę od papieża.

— Ale on jest żonaty!

— Sama kiedyś powiedziałaś, że królowa Anna nie dożyje starości, a wszyscy widzą, że nie potrafi dać królowi potomka. Ryszard mógłby ją poprosić, aby ustąpiła... taka prośba ma w tej sytuacji podstawy. Król potrzebuje następcy tronu, zwłaszcza że jego syn znów ostatnio słabuje. Potrzebuje kolejnego dziecka, a jak wszem wobec wiadomo, Riversowie są nadzwyczaj płodni. Przypomnij sobie wyczyny królowej Elżbiety!

Po mojej skrzywionej minie musi widzieć, że o niczym innym nie myślę.

— Ta dziewczyna mogłaby być jego córką!

— Jak dobrze wiesz, to rzadko bywa przeszkodą. A w tym wypadku dodatkowo nie jest prawdą. Dzieli ich tylko czternaście lat.

— Zamordował jej braci, przyczynił się do upadku jej rodu!

— Akurat ty doskonale powinnaś wiedzieć, że to bzdura. Nikt już nie wierzy, że Ryszard pozbawił życia księżęta z Tower, odkąd królowa wdowa się z nim pogodziła i wysłała córki na jego dwór.

Wstaję od stołu; czuję takie zdenerwowanie, że zapominam zmówić modlitwę dziękczynną.

— Niemożliwe, żeby naprawdę zamierzał ją poślubić. Prędzej chce ją uwieść i zhańbić, uczynić niezdolną do prawego małżeństwa z Henrykiem.

— Niezdolną do prawego małżeństwa! — Stanley wybucha śmiechem. — Jak gdyby Henryk miał wielki wybór! Jak gdyby sam był łakomym kąskem! Jak gdyby nie zostali przymuszeni do tych zaręczyn na odległość przez ciebie!...

— Ryszard robi z niej swoją ładacznicę, ściągając wstyd na głowę wszystkich Riversów.

— Nie wydaje mi się... Moim zdaniem on ją naprawdę kocha. Na moje oko król Ryszard zakochał się bez pamięci w księżniczce Elżbiecie i jest to chyba pierwsza taka miłość w jego życiu. Kiedy na nią patrzy, wygląda, jakby jej się nieustannie dziwił. To wspaniałe uczucie: widzieć, że wraz z nią odkrył sens życia. Jakby była jego białą różyczką...

— Czyżby? — parskam. — A ona? Zachowuje należyty dystans? Zachowuje się, jak na księżniczkę przystało? Powinna mieć na wzglę-



dzie swoją czystość i cnotę, jeśli rzeczywiście jest księżniczką i ma nadzieję zostać królową.

— Straciła dla niego głowę — mówi uczciwie Stanley. — Poznać to po niej z daleka. Rozświećła się cała, kiedy Ryszard przekracza próg komnaty, tańcząc zaś, posyła mu lekki uśmiech, a on nie umie oderwać od niej oczu. Tworzą parę zakochanych, każdy głupiec to widzi i każdy wie, że chodzi właśnie o to i o nic więcej... ani o nic mniej.

— W takim razie Elżbieta jest zwykłą ladacznicą — rzucam, wychodząc pośpiesznie, gdyż ani myślę dłużej tego słuchać. — Zraz napiszę do jej matki z wyrazami współczucia i zapewnieniem, że będę się modlić za jej pohańbioną córkę. Ale czemu tu się dziwić... niedaleko pada jabłko od jabłoni...

Zamykając drzwi, słyszę kpiący śmiech Tomasza Stanleya i dopiero teraz spostrzegam, że cała się trzęsę, a po policzkach płyną mi łzy.

Nazajutrz zjawia się posłaniec z dworu z wiadomością dla mojego męża, który nie raczy mi jej przekazać, tak że muszę zejść na dziedziniec, jakbym była zwykłą służką, i naocznie się przekonać, że Stanley już zwołuje swoich ludzi i każe siodłać konie.

— Co się dzieje?

— Wracam na dwór Ryszarda. Otrzymałem wezwanie.

— Czekałam, aż przekażesz mi wiadomość...

— Dotyczyła moich spraw, nie twoich.

Zaciskam wargi, słysząc tę niegrzeczną uwagę. Odkąd przydzielono mu moje ziemie i mój majątek, nie waha się zachowywać, jakby był moim panem. Znoszę jego afronty, czerpiąc otuchę z przykładu Przenajświętszej Pani, gdyż wiem, że zostanie to przez Nią dostrzeżone.

— Mężu, powiedz mi, proszę, czy królestwo spotkały jakieś kłopoty? Tyle chyba mam prawo wiedzieć.

— Niestety — odpowiada krótko. — Królestwo spotkało nieszczęście. Syn króla Ryszarda, mały książę Edward, nie żyje.

— Niech Pan Bóg czuwa nad jego duszą — mamrocze nabożnie, chociaż w głowie aż mi się kręci z nagłego podniecenia.

— Amen — odpowiada Stanley i dodaje: — Dlatego właśnie muszę wracać na dwór królewski. Ogłosimy żałobę. Ten cios z pewnością dotknął najjaśniejszego pana niezwykle mocno. Jego jedyny syn i dziedzic zszedł z tego świata.

Potakuję skinieniem. Pomiędzy moim synem i tronem stoi już tylko uzurpator Ryszard. Nie ma innego następcy tronu niż Henryk Tudor. Niedawno rozmawialiśmy o krokach dzielących go od korony Anglii — teraz wszyscy synowie Yorków nie żyją. Nadeszła pora na Dom Lancasterów.

— Zatem Ryszard jest bezpotomny — szepczę. — Służymy królowi bez przyszłości...

Stanley przypatruje mi się ciemnymi oczami, w kącikach jego ust błąka się uśmiezek, jakby bawiła go moja nieumierająca ambicja.

— Do czasu aż się ożeni z yorkistowską księżniczką — drażni się ze mną bez złośliwości w głosie. — A Riversowie to płodny ród, nie zapominaj o tym. Jej matka wydawała dziecko na świat niemal co roku. Powiedzmy więc, że młoda Elżbieta zapełni królewską komnatę dziecięcą samymi książętami, zapewni królowi poparcie Riversów i miłość wszystkich zwolenników Yorków. Ryszard nie ma z Anną żadnych więcej dzieci, cóż go teraz powstrzyma przed jej odsunięciem i wysłaniem do klasztoru? Przy odrobinie szczęścia rozwód załatwi się raz-dwa...

— Nie spieszno ci na dwór Ryszarda? — przerywam mu nazbyt zła, by zważać na słowa. — Jedź już do swego pozbawionego honoru pana i jego yorkistowskiej ladacznicy!

— Jadę — odpowiada, wskakując na siodło. — Zostawię ci jednak Neda Partona... — wskazuje młodego mężczyznę, nieopodal trzymającego za uzdę karosza. — To mój posłaniec, Mówi w trzech językach, w tym po bretońsku, na wypadek gdybyś potrzebowała kontaktować się z kimś w Bretanii; legitymuje się glejtem wystawionym przez lorda wielkiego konstabla, twojego sługę — skłania głowę z przesadną uniżonością — umożliwiającym mu swobodne poruszanie się po Anglii, Francji i Flandrii. Możesz mu powierzyć najskrytszą wiadomość, albowiem nikt go nie zatrzyma ani mu jej nie zabierze. Król Ryszard może się zdawać moim panem, ale nigdy nie wyrzuciłem z pamięci twego syna i jego ambicji, a tego ranka

znalazł się on zaledwie o krok od tronu Anglii. Zawsze z czułością myślałem o swoim drogim pasierbie.

— Po czyjej stronie jesteś, Tomaszu?... — sfrustrowana domagam się po cichu odpowiedzi, gdy jego ludzie ustawiają się w szyku i chorąży unosi sztandar.

— Jak zwykle po stronie zwycięzcy, Małgorzato — rzecze do mnie, śmiejąc się krótko i uderzając pięścią w pierś niczym salutujący żołnierz, i z tymi słowy odjeżdża.

## LATO 1484 ROKU



Czekam. Mogę tylko czekać. Rozsyłam wici przez Neda Partona i otrzymuję od Jaspera odpowiedź utrzymaną w grzecznym tonie, skierowaną do bezradnej niewiasty za morzem, która niczego nie rozumie. Dociera do mnie, że nieudana rebelia, która kosztowała ich niemal całą armię i flotę, nadszarpnęła też ich zaufanie do mnie jako współkonspiratorki, niewiasty o znacznej pozycji w królestwie, które mieli nadzieję zająć. W ciepłe letnie dni, kiedy zboża dojrzewają na polach, a kosiarze sięgają po sierpy i zaczynają zbierać siano, we własnych oczach wydaję się sobie tak nieistotna jak zające, które wybiegają spod ostrzy i wpadają prosto w sidła, ponieważ tak mało pojmują z otaczającego je świata.

Piszę listy, rozsyłam wiadomości. Upominam Elżbietę Woodville, niegdysiejszą królową, zwracając uwagę na niestosowne zachowanie jej córek, o którym z każdym dniem słyszę coraz więcej i coraz szczegółowiej: o ich pięknych strojach, o ich pozycji na dworze, o ich urodzie, o ich beztroskiej radości, o czarze Riversów, dzięki któremu płyną od jednej rozrywki do drugiej. W przeszłości wielu uważało, że ich babka, Jakobina Luksemburska, była czarownicą, potomkinią Meluzyny wodnej boginki, teraz zaś nie brak takich, co twierdzą, że i te dziewczęta potrafią się posługiwać magią. Najwspanialsza z nich wszystkich jest ta, która obiecała się Henrykowi, lecz teraz sprawia wrażenie, jakby całkiem o nim zapomniała. Piszę więc do Elżbiety Woodville,

aby przywołała pierworodną do porządku; piszę do młodej Elżbiety York, aby osobiście udzielić jej reprimendy; piszę do mojego syna Henryka, aby przypomnieć mu o ciążyącym na nim obowiązku — wszelako nikt, nikt nie zadaje sobie trudu, by mi odpowiedzieć.

Mieszkam pod tym dachem sama i choć przez całe życie marzyłam o samotności, która by mi umożliwiła zupełne oddanie się modlitwie i Stwórcy, czuję się przeraźliwie opuszczona i osamotniona. Powoli zaczynam myśleć, że już nigdy nic się nie zmieni, że dokonam tu żywota, odwiedzana sporadycznie przez wyszydającego mnie męża, który będzie osuszał moją piwniczkę i trzebił mi zwierzynę w parku łowieckim z zacięciem godnym kłusownika. Ze będę wysłuchiwać wieści ze dworu świadczących o tym, że nikt tam nie pamięta ani o mnie, ani o mojej niegdysiejszej pozycji. **Ż** będę otrzymywać nieczęste listy zza morza od syna, który na każde święta prześle mi swoje najlepsze życzenia i raz do roku, w dzień swoich urodzin, potwierdzenie mego poświęcenia dla niego, lecz nigdy nie obdarzy mnie wyrazami miłości ani nie zapowie swojej wizyty.

Roztrzásając to wszystko w swojej samotni, wracam myślami do czasów, kiedy nas rozdzielono, kiedy Henryk był wciąż małym chłopcem, oraz do tych późniejszych, gdy nie udało nam się zbliżyć tak jak matce i synowi, tak jak Elżbiecie Woodville i jej dzieciom, które właściwie sama wychowywała i kochała tak otwarcie. Teraz kiedy nie jestem mu do niczego potrzebna, mój syn zwyczajnie o mnie zapomni. Gorzka prawda zaś jest taka, że gdyby nie był dziedzicem mego rodu, gdyby nie był zwieńczeniem wszystkich moich ambicji, ja już dawno zapomniałabym o nim.

Do tego sprowadza się obecnie moje życie: do dworu królewskiego, na którym nikt mnie nie pamięta; do męża, który się ze mnie natrząsa; do Pana Boga, który milczy. **Ż**adna to pociecha, że gardzę tym dworem, że nigdy nie kochałam tego męża i że jedyne go syna urodziłam tylko po to, aby się dopełniło moje przeznaczenie. Jeśli Henryk nie osiągnie celu, doprawdy nie wiem, po co siebie mamy. Nie ustaję w modlitwach. Nie wiem, co innego mogłabym robić. Po prostu więc się modlę.

*Tontefract,  
czerwiec 1484 roku*

*Milady,  
piszę, aby Cię uprzedzić co do paktu zawartego przez króla "Ryszarda z obecnym władcą "Bretanii, księżącym skarbnikiem i kanclerzem (jako że księżę chwilowo jest niedysponowany umysłowo). Takt ów stanowi, co następuje: Anglia dostarczy "Bretanii łuczników mających pomóc w walce z Jrancuzami, a w zamian dostanie "Henryką Tudora, który będzie pojmany i odesłany do domu na egzekucję. Tomyślałem sobie, że chciałabyś o tym usłyszeć.*

*Twój wierny mąż,  
Stanley.*

Nie mam nikogo oprócz Neda Partona, kogo mogłabym posłać z wiadomością. Mimo to podejmuję ryzyko.

*"Wiem od Stanleya, że Ryszard zawańpakt z "Bretończykami, na którego mocy ma dojść do pojmania Henryka. "Wzmóście czujność.*

Następnie udaję się do kaplicy i opadam na klęczki przy balustradzie odgradzającej prezbiterium. Ze spojrzeniem wbitym w krucyfiks z cierpiącym Chrystusem szepczę:

— Ochroń go, Panie Boże. Ochroń mego syna, Boże. Doprowadź do jego zwycięstwa...

Odpowiedź nadchodzi przed upływem miesiąca. Spisana ręką Jaspera, rzeczowa jak zwykle.

*Jrancja,  
lipiec 1484 roku*

*"Dzięki za ostrzeżenie, które potwierdził tutaj na miejscu Twój przyjaciel, biskup Morton. Zebrałem trochę ludzi i wyprawilem się pod grania z Andegawenią, aby ściągnąć uwagę wroga, podczas gdy Henryk kroczyłna trakt do "Uannes w towarzystwie zaledwie pięciu osób. "Przebrał się za człowieka pośledniego stanu i pośpieszył ku*

*przeciwległej granicy, by minąć ją na dzień przed tym, zanim pojawiły się bretońskie stratę. To jedynekbył—jakjuAdać — wyrównany, a Twój syn jakj, wykte zachowałtrzeżwy umystw obliczu niebezpieczeństwa, także już po wszystkim mogliśmy się śmiać tej przygody.*

*Zostaliśmy dobrze przyjęci na francuskim dworze, gdzie obiecują nam pomoc i fundusze. Tonownie otworzą dla nas bramy więzień, żebyśmy mogli stworzyć armię szubrawców gotowych na wszystko, a ja już mam plan, jak ich -wyszkolić. Mam też nadzieję, Małgorzato...*

## ZIMA 1484 ROKU



Dwór królewski spędza święta w Westminsterze, mnie zaś dochodzą tutaj, na prowincji, plotki powtarzane przez służących, że ceremonia w niczym nie ustępuje obchodom wyprawianym przez brata Ryszarda, Edwarda IV. Wystawność uczt, melodyjność muzyki, barwność szat — wszystko nabiera mocy w miarę przetaczania się przez Anglię jak kraj długi i szeroki. Moi domownicy znoszą pod dach bożonarodzeniowe bierwiona, jemiołę i ostrokrzew i bawią się wesoło beze mnie w kuchniach i po korytarzach.

Mnie uwiera zimna posadzka kaplicy pod kolanami. Znikąd pociechy, znikąd nadziei. Ryszard zasiadający w pałacu westminsterским, w glorii potęgi Yorków, zdaje się całkowicie odporny na zakusy mego syna i dziewierza, ubogich krewnych pozostających na wikcie odwiecznego wroga, Francji. Oczyma wyobraźni widzę, jak wsiąkają w kraj swego wygnania; widzę ich upadek i upokorzenie. Dręczy mnie obawa, że pozostaną na dworze francuskim do końca życia Henryka, który już zawsze będzie uważany za malowanego pretendenta bez prawdziwego znaczenia — wartego coś jako pionek, lecz nie jako figura.

Kiedy mój mąż pisze do mnie z Londynu, rzucam się na jego list niczym żebrak na okruch chleba — nazbyt spragniona nowin, by dbać o dumę.

*Jorkjstowską księżniczka błyszczy i wodzi wszystkich za nos. Je)  
uroda olśniewa cały dwór, nawet król'drepcę za nią niczym pokojowy*



*piesek- "Królowa pozwala jej się odziewać we własne salinie, najczęściej zresztą występują podobnie ubrane: chuda i niepozorna Heville'ówna i krągła, rozkwitająca "Woodville'ówna pojawiają się na ucztach wystrojone w suknie tego samego kroju i koloru, jakby zachęcały do czynienia porównań.*

*Anna z pewnością jest taka uległa na wyraźny rozkaz króla — godzi się na wszystko z wyjątkiem dopuszczenia "Elżbiety do łoża "Ryszarda. Znaleźli By się tacy, co myślą podobnie jak Ty, mianowicie że król zamierza tylko uwieść księżniczkę, aby utrzyć nosa Twemu synowi i przyprawić mu rogi Jeżeli tak jest w istocie, idzie mu to wysmienicie. Cały ten roznamiętniony dwór już się natrzęsa z (Henryką Tudora. "Wszelako większość nie doszukuje się żadnych spisków i uważa jedynie, że zakochani nieostrożnie porzucili pozory, nie widząc świata poza sobą i myśląc wyłącznie o swoim pożądaniu.*

*"Westminster jawi się imponująco tego roku, doprawdy mi żal, że nie możesz tu być. Od czasów Edwarda nigdy nie widziałem podobnego rozmachu i blichtru, no a pośród tego wszystkiego tkwi córka świętej pamięci króla, Elżbietką, która sprawia wrażenie, jakby nareszcie dostała to, co jej się od dawna należało. To zrozumiałe, że czuje się tutaj jak. tyba w wodzie. "Wszyscy "yorkowie to zaiste słońca w zenicie, a patrzenie na księżniczkę Elżbietę grozi osłepieniem.*

*A tak przy okazji — masz jakieś wieści od syna? Szpiedzy Ryszarda donoszą mu informacje w sekrecie, toteż nie wiem, co takiego mówią, wszelako dla wszystkich stało się jasne, że z jakiegoś powodu król przestał się obawiać Henryką i jego sprzymierzeńca, nieszczęsnego księcia "Bretanii Omal go nie złapał wtedy w czerwcu, jak się zapewne orientujesz, a teraz jest raczej spokojny, że i we "Trancji Tudor nie znajdzie wytchnienia. Będzie przetrzymywany jako karta przetargowa do czasu, aż straci wszelkie znaczenie. Hje można wykluczyć, że "Wasza szansa przepadła z chwilą ostatniej porażki. Jakie jest Twoje zdanie w tej materii? Zdecydujesz się postawić krzyżykna Henryku i poszukać przebaczenia u Ryszarda? Zgodziłbym się wstawić za Tobą, gdybym mógł zapewnić Ryszarda, że zostałaś upokorzona do cna. Zasyłam Ci świąteczne życzenia i tę niewielką książczynę w podarku. Została wydrukowana przez niejakiego Thomasa Ca^tona na prasie drukarskiej własnego wynalazku, przywiezioej do Anglii przez*

*nieodżałowanego Antoniego "Rtoersa, brata byty królowej. "Pomyślałem sobie, że dla odmiany zainteresuje Cię drukowana książka, a nie kopiowany manuskrypt. O^iejeden obecnie powiada, że Rpers był człowiekiem wielkiej wyobraźni, skoro podjął się patronatu nad podobnym dziełem. Jego siostra "Elżbieta osobiście doglądała druku i na gorąco nanosiła poprawki, jakwidać będąc nie tylko ślicznotką, ale i uczoną.*

*Co też by to było, gdyby każdy mógł czytać i kupować podobne księgi? Może przyszłoby całkiem zrezygnować z nauczycieli i królów? Może nikomu by już nie zależało na dynastiach Lancasterów i Jorków? Może wszyscy pograżyliby się w studiowaniu własnych genealogii? Sądziś, że naprawdę kiedyś o nas zapomną? ZMbawnie jest oddawać się takim spekulacjom, nieprawdaż?*

*Stanley.*

Upuszczam księgę na podłogę, rozwścieczona myślą o Elżbiecie York tańczącej z mającym kazirodcze ciągotki stryjem podczas obchodów świąt Bożego Narodzenia i o tej biedaczce Annie Neville, która musi przyglądać im się z uśmiechem, jakby stanowiła część szczęśliwej rodziny. Na wzmiankę męża o milczeniu Henryka nie mam żadnej odpowiedzi — w rzeczy samej nie wiem, co planuje mój syn. Nie otrzymałam odeń żadnych wieści od czasu wspólnej z Jasperem ucieczki do Francji i tych paru słów mojego dziewczęcia, między którymi przemycił swoją nadzieję na... na co, tego nie wiem po dziś dzień. Przypuszczam, że Henryk milczy za radą Jaspera. Obawiam się, że mają Neda Partona za niegodnego zaufania, za człowieka na usługach przede wszystkim Stanleya, dopiero w drugiej kolejności moich. To zrozumiałe, że okazują na każdym kroku podejrzliwość, w końcu od dawna otaczają ich niemal sami szpie-dzy, ale lekką przesadą jest żywienie podejrzeń również co do mnie. Kiedyś to była nasza walka, nasza rebelia: Tudorowie kontra Yorkowie. Wygląda jednak na to, że przestali ufać komukolwiek, nawet mnie. **Żyję** z dala od wszystkich, od wszystkiego. Mam pojęcie tylko o tym, o czym napisze do mnie mój małżonek, a Stanley zwraca się w swych listach nie jak mąż do żony, lecz jak zwycięzca do pokona-nego wroga.

## MARZEC 1485 ROKU



Któregoś dnia, kiedy wstaję na jutrznię, żeby jak zwykle pomodlić się o cierpliwość w znoszeniu swej niewoli i wymuszonego milczenia, o tryumf mego syna i klęskę jego przeciwników, bezwiednie popuszczam wodze fantazji i obmyślam różne sposoby doprowadzenia do upadku Ryszarda oraz powalenia na kolana dumnej yorkistowskiej księżniczki i jej matki czarownicy, po czym znienacka odzyskawszy pełnię przytomności, spostrzegam, że minęły co najmniej dwie godziny, świece przy ołtarzu niemal zupełnie się wypaliły, a towarzyszące mi niewiasty wiercą się niespokojnie i pojękują, dając do zrozumienia, jak bardzo źle są traktowane.

Powstaję z klęczek i udaję się na śniadanie, aby się zaraz przekonać przy stole, że moje towarzyszki rzucają się na jedzenie, jakby wygłodniały przez tę godzinę spóźnienia. Co za przyziemne z nich istoty. Gdybym została uwięziona w klasztorze zamiast tu pod własnym dachem, przynajmniej żyłabym w otoczeniu bogobojnych niewiast, a nie w gronie głupców. Potem przechodzę do swojej komnaty, by zająć się sprawami gospodarstwa i majątku, wszelako po raz kolejny przypominam sobie z bólem, że obecnie wyręcza mnie we wszystkim zarządca mego męża, ja zaś jestem nieledwie dzierżawcą na ziemi, którą kiedyś zwałam swoją.

Zmuszam się do porannego spaceru po ogrodzie z myślą o własnym zdrowiu, lecz nie umiem się cieszyć pączkami na jabłoniach ani wystrzelającymi w górę główkami żonkili. Choć słońce zaczyna znowu przygrzewać, nie czerpię z tego żadnej radości, wiedząc, że

rozpoczął się następny rok mojej niewoli. Ufam, że rozpoczęła się też kampania mego syna — Henryk z pewnością gromadzi już armię i wyposaża statki, aczkolwiek mnie nic o tym nie wiadomo. Czuję się tak, jakbym została uwięziona w wiecznej zimie, podczas gdy wszędzie wokół mnie ludzie budzą się do życia, planów, a nawet grzechu.

Odnoszę wrażenie, że to echo mego nastroju, kiedy świat nagle zdaje się przyćmiony, kiedy słońce, które jeszcze przed chwilą świeciło jasno i mocno, robi się mdłe niczym blask świecy i równie jak on chłodne, kiedy ptaki, które niedawno śpiewały do siebie nawzajem spośród koron drzew, cichną nagle, a kwoki grzebiące za robakami w przeciwległym kącie sadu pierzchają do kurnika — kiedy robi się coraz ciemniej, jakby już zapadała noc, mimo iż nie ma nawet południa.

Zamieram w pół kroku: oto upragnione natchnione widzenie. Nareszcie. I to w biały dzień. Zaraz zobaczę anioła albo przynajmniej Przenajświętszą Panienkę, która mi powie, kiedy Henryk wyruszy na wojnę, i zapewni mnie o jego tryumfie. Opadam na kolana, nie zważając na gołą ziemię, i gotuję się na nawiedzenie, którego wyczekiwałam przez całe życie. Wreszcie ujrzę na własne oczy to, co widziała Joanna d'Arc. Wreszcie usłyszę głosy aniołów w biciu dzwonów.

— Lady Małgorzato! Lady Małgorzato! — Jakaś niewiasta wybiega z budynku, za nią pędzi uzbrojony mężczyzna. — Jaśnie pani, trza wejść do środka, dzieje się coś strasznego!

Wybita z rytmu przez jej krzyk otwieram oczy i przyglądam się, jak gna na złamanie karku, powiewając spódnicami i w przekrzywionym czepku. A zatem to nie nawiedzenie, skoro ta gęś też to widzi. Wstaję na nogi. Nie będzie żadnego widzenia; mam przed oczyma to co wszyscy — nie cud Boski, lecz coś ziemskiego i dziwaczego.

— Lady Małgorzato! Do środka! Zbiera się na burzę albo co gorszego!

Głupia gęś w tym jednym ma rację: dzieje się coś strasznego. Tylko jeszcze nie wiem co. Zadzieram głowę, żeby spojrzeć w niebo, i widzę rzecz najdziwniejszą z dziwnych. Tarcza słoneczna jest poże-

rana przez ogromny ciemny krąg, jakby ktoś przesuwiał patelnię przed wielką gromnicą. Zastłaniam oczy dłonią i spoglądając przez lekko rozchylone palce, widzę, jak krąg nakłada się na tarczę słoneczną i całkowicie ją zastłania, pogrążając świat w ciemnościach.

— Do środka... — skomle niewiasta w przekrzywionym czepku.

— Na miłość Boga, lady Małgorzato, trza nam do środka...

— Idźcie beze mnie — polecam i zostaję na miejscu, zafascynowana dziwnym zjawiskiem.

Mam wrażenie, że to czerń mojej rozpaczki pochłoneła wszelkie światło; że za moją sprawą zrobiła się noc w środku dnia. Może odtąd już zawsze będą panowały ciemności, może mrok ogarnie Anglię po kres panowania Ryszarda, a mój syn Henryk zostanie wymazany z lica świata, jak słońce na moich oczach zostało wymazane z nieba. Skoro ja żyję w wiecznej nocy od czasu klęski jego poprzedniej kampanii, równie dobrze wszyscy mogą jej zaznać za to, że nie wsparli mego syna w walce o słuszną sprawę. Niechaj wieczna noc spadnie na to nieszczęsne królestwo pozbawione prawowitego monarchy, na nic lepszego nikt z nas nie zasługuje.

Niewiasta obok mnie drży jak osika, po czym w końcu zrywa się do biegu i niknie za drzwiami domostwa. Mężczyzna, który jej towarzyszył, uzbrojony w co tam miał pod ręką, stoi w pewnej odległości ode mnie nieomal na baczność, rozdarty między poczuciem obowiązku a przemożnym strachem. Tkwimy jak posągi pośród upiornego mroku, czekając, co — jeśli w ogóle cokolwiek — jeszcze się wydarzy. Mnie nachodzi myśl, że być może to koniec świata, że nareszcie rozlegnie się głos aniołów i Pan Bóg zawezwie mnie do siebie — mnie, swoją córę, która służyła mu tak długo i tak wytrwale na tym łożu padole.

Ponownie opadam na klęczki, odruchowo sięgając po różaniec. Jestem gotowa stanąć przed obliczem Stwórcy. Nie boję się, odwaga nigdy nie opuszcza Bożych wybrańców. Czekam, aż się otworzą niebiosy i Pan Bóg wyciągnie po mnie rękę. Zawsze byłam Jego wierną służebnicą, może więc zawoła mnie pierwszą, pokazując wszystkim tym, którzy wątpili w szczerość mego powołania, że Najwyższego i mnie połączyła szczególna więź. Wszelako nic takiego nie ma miejsca. Upiorne światło tężeje na moment, po czym

z wolna otoczenie zaczyna nabierać konturów, diabelski dysk zsuwa się ze słońca, pozwalając mu znów oświetlać ziemię. W pierwszej chwili promienie zdają mi się ostre i rażące niczym o poranku, ptaki chyba również myślą, że wstaje świt, gdyż zaczynają nieśmiało swoje trele.

Już po wszystkim. Bezbożny mrok przeminął. Musiał być znakiem — ale czego? Jaka naukę mam dzięki niemu wynieść? Mężczyzna, trzęsąc się ze strachu, patrzy mi w oczy i zapominając, jaka przepaść nas dzieli, odzywa się do mnie bezpośrednio:

— Na wszystkich świętych, co to było?

— Znak — odpowiadam, nie udzielając mu nagany za niestosowne zachowanie. — Znak od Pana Boga. Panowanie króla Ryszarda dobiega końca, wstaje nowy świt dla Anglii. Słońce Yorków zagaśnie i wejdzie nowe słońce, słońce smoka.

Mężczyzna przełyka ciężko.

— Jesteś pewna, jaśnie pani?...

— Przecież byłeś tego świadkiem.

— Widziałem tylko ciemność...

— A smoka wyłaniającego się przy słońcu?

— Chyba... chyba tak...

— To był smok Tudorów nadchodzący od zachodu. Stamtąd nadejdzie mój syn.

Mężczyzna klęka przede mną i unosi złączone dłonie w geście poddaństwa.

— Zawezwij mnie do swego boku w imieniu Henryka Tudora — rzecze z powagą. — Uczyń mnie swoim wasalem. Widziałem na własne oczy, jak słońce ciemnieje i na zachodzie pojawia się smok.

Ujmuję go za dłonie, uśmiechając się pod nosem. Tak rodzi się legenda. Ten mężczyzna do końca życia będzie powtarzał, że widział walijskiego smoka Tudorów na niebie i zmierzch płonącego słońca Yorków.

— Słońce Yorków już nie płonie — powiadam. — Wszyscy widzieli, jak pociemniało pokonane. Całe królestwo było świadkiem jego zmierzchu. Jeszcze w tym roku słońce Yorków zajdzie na zawsze.

## MARZEC 1485 ROKU



*Do mojej żony, lady Małgorzaty Stanley:*  
*Donoszę Ci, że królowa umarła. Todupadana na zdrowiu już od świąt "Bożego" Narodzenia i w końcu zgasła niemal bez świadków, kiedy płuca całkiem odmówiły jej posłuszeństwa. Stało się to tego samego dnia, gdy nad zamkiem tak nieoczekiwanie zapanowały ciemności*  
*Tuszę, że zainteresuje Cię wiadomość, iż król Ryszard ma niebawem publicznie zapewnić o swej niechęci do zaręczyn z bratanicą.*  
*Skandaliczne plotki sięgnęły zenitu, wywołując oburzenie na północy — tamtejsi wielmoże ogłosiłi, że nie pozwolą na zbrukanie pamięci o królowej Annie, która była jedną z nich. "Prawda zaś jest taką, iż wielu drży na myśl o przywróceniu do władzy — choćby jako "Królowej Matki — "Elżbiety "Woodville, której brata i syna po Creyu wydali w ręce kęta, a synów wtrącili do Tower. "Wielką szkoda, że nie powstrzymałaś się przed czynieniem jej wyrzutów. Cdybyś była przyłożyła rękę do małżeństwa Ryszarda z Elżbietą Jorki pewnie byś tym samym doprowadziła do strącenia uzurpatora z tronu<sup>1</sup>. Ale oczywiście nie pomyślałaś o tym, mając na uwadze wyłącznie dobro swego syna. Z> pewnością słusznie zresztą.*  
*Aby zademonstrować wszem wobec swoją obojętność względem bratanicy, najjaśniejszy pan zamierza ją przekazać w pieczę damy o niekwestionowanej reputacji, aby świat się przekonał, że yorkistowską księżniczką jest niewinna jak tdia, a nie — jak wszyscy myśleli — do szaleństwa w nimzakpchana i spotykająca z nim po kryjomu w czasie, gdy umierała mu żona.*

*Przypuszczam, że zdumieje Cię • wiadomość, iż na przyzwoitkę, duennę, a może wręcz matkę najjaśniejszy pan wybrał... Ciebie, uznawszy, że nadajesz się do tej roli wysmienicie, gdyż kpmuż bardziej niż macierzy zależy na czystości dziewiczej wybranki jej syna?*

Unosząc spojrzenie znad listu Stanleya, nieomal słyszę jego chichot i widzę charakterystyczny dlań zimny uśmiech. Po chwili spostrzegam, że sama również się uśmiecham. Zaiste kręte są ścieżki losu i nie sposób przewidzieć, w którą stronę potoczy się koło fortuny. Oto mam być opiekunką i świekrą córki niewiasty znenawidzonej od lat. Dziewczęcia, do którego pałam równą nienawiścią.

*"Księżniczką zjawi się pod Twoim dachem w ciągu tygodnia. ftyJe wątpię, że obydwie będziecie zachwycone spotkaniem. "Prawdę powiedziawszy, nie umiem sobie wyobrazić gorzej dobranej pary, alejak sądzę, Twoja wiara pomoże przetrwać Ci wszystką, a ta nieszczęsna dziewczyna nie ma w ogóle możliwości wyboru.*

*Stanley.*



## KWIECIEŃ 1485 ROKU



Niechętnie przykazuję naszykować komnatę dla księżniczki, zaś nagabywana przez podniecone towarzyski niedoli potakuję, że w rzeczy samej lady Elżbieta — jak celowo ją nazywam, pozbawiając rodowego nazwiska, którego przecież nie ma, odkąd została ogłoszona bękartem — przybędzie do nas za parę dni. Wszczyzna się szum, czy aby pościel jest wystarczająco delikatna, a w szczególności czy dzban i miednica (których sama używałam) nadają się dla tak dobrze urodzonej młodej damy. Zirytowana odpowiadam, że skoro połowę życia spędziła na ukrywaniu się po zakamarkach krypty przed prawowitym monarchą, drugą zaś używając dóbr, które wcale do niej nie należały, nie ma wielkiego znaczenia, czy dzban jest z cyny, a miednica poobijana.

Zadaję sobie trud wynalezienia dla niej porządnego klęcznika, prostego, ale imponującego rozmiarami krucyfiks, który pomoże jej się skupić na przeszłych grzechach, oraz kolekcji religijnych tekstów, jakie mogą ją natchnąć do bogobojnego życia w przyszłości. Przemycam także kopię naszego drzewa genealogicznego, żeby na własne oczy się przekonała, iż mój syn jest równie dobrego urodzenia jak ona, ba, lepszego nawet. Wypatrując jej przyjazdu, otrzymuję króciutki liścik od Jaspera.

*Wpóźpiechu przygotowujemy się do wypłynięcia w morze  
— dostaliśmy pomoc od króla Jrancji i teraz tylko czekamy pomyślnych  
wiatrów. Musisz za wszelką cenę utrzymać yorkjstowska księżniczkę*

*przy sobie, gdyż yorkiści poprą nas tylko wtedy, gdy będzie po naszej stronie. 'Hiestety lancasterowie zwodzą i mitręzą. Módl się za nas. 'Wyplłyniemy w drogę, jaktylko zmieni się wiatr.*

J>

Ciskam list w płomienie, nie czując tchu w piersiach ze zdumienia, i w tej samej chwili dochodzi mnie klekot końskich podków. Na ucho sądząc, eskorta liczy jakichś pięćdziesięciu zbrojnych. Zbliżam się do okna wielkiej sali i ostrożnie wyglądam na zewnątrz. Pierwsze, co widzę, to sztandar Stanleya i mężczyzn noszących jego liberię. Mój mąż jedzie jak zwykle na przedzie kolumny, dosiadając swego imponującego rumaka, natomiast obok niego — na czymś przypominającym raczej kuca niż konia, aczkolwiek o sierści lśniącej i wpadającej w głęboki kasztan — podąża kapitan gwardii, za którym w siodle siedzi po damsku i z szerokim uśmiechem na ustach, jakby posiadała co najmniej połowę Anglii, młoda niewiasta okryta podróżną peleryną ze szkarłatnego aksamitu.

Ten kolor sprawia, że aż wciągam powietrze przez zęby, po czym zaraz odsuwam się od okna, gdyż nie chcę, by lady Elżbieta zobaczyła moją wciąż wstrząśniętą nowinami i jej widokiem twarz, kiedy obrzuca spojrzeniem domostwo, jakby oceniała jego wartość. Tak, to intensywna czerwień jej peleryny wyprowadza mnie z równowagi. Nie dostrzegam jeszcze jej oblicza, widzę tylko parę jasnych kosmyków, które wymknęły się spod szkarłatnego kaptura, a już trzęsę się ze złości—jeszcze zanim pozwoli memu mężowi (memu uśmiechającemu się miło mężowi, co doprawdy jest do niego niepodobne) zdjąć się z siodła i postawić na ziemi.

Nagle wspomnienia wracają do mnie gwałtowną falą. Tego roku, kiedy po raz pierwszy byłam na dworze króla Henryka VI, jego żona Andegawenka pokazała światu nowy odcień czerwieni — ten sam wysycony szkarłat, który zobaczyłam przed chwilą. Dobrze pamiętam, jak ówczesna królowa spojrzała w dół sali audiencyjnej i przeoczyła mnie, jakbym była niegodna jej zainteresowania. Pamiętam przewyższający wszystkie inne kornet i czerwień jej sukni. Pamiętam, że poczułam wtedy pałacę rozgoryczenie na to, że ktoś taki jak ja, zasługujący na najwyższe zaszczyty, na największy szacunek, może

zostać w tak jawny sposób pominięty i upokorzony. Podobne uczucie towarzyszy mi teraz. Lady Elżbieta, jak przywykłam ją nazywać w myślach, jeszcze nawet nie postawiła nogi w moim domu, a już śmie nosić szkarłat, za którym obracają się wszystkie oczy. Jeszcze nawet nie przekroczyła progu i nie uklękła, by przyjąć moje błogosławieństwo, a już tylko patrzy, jak by odwrócić uwagę wszystkich ode mnie. Postanawiam w duchu, że nauczę ją respektu. Przyrzekam sobie, że pokażę, gdzie jej miejsce. Za mną jest Pan Bóg; większość życia spędziłam na nauce i modlitwie, ona zaś swoje trwoniła na frywolności i dumę, nie jest wiele lepsza od swojej matki czarownicy, której dopisało szczęście. Dla lady Elżbiety będę niczym Matka Boska, już ja się o to postaram.

Mój małżonek osobiście otwiera przed nią drzwi, po czym odstepuje na bok, aby mogła pierwsza wkroczyć do wielkiej sali. Wychodzą z cienia, a ona mimowolnie się wzdyga, jak gdyby zobaczyła ducha.

— Och! Lady Małgorzato! Ale mnie przestraszyłaś! Nie widziałam, że tu jesteś!... — krzyczy, równocześnie opadając w dygu, który jest bardzo starannie wymierzony: nie dość głęboki jak na królową, lecz wystarczająco głęboki jak na żonę znaczącego wielmoży, wystarczająco głęboki jak na przyszłą świerkę, a przy tym raczej krótki, jakby chciała mi przypomnieć, że popadłam w niełaskę jej stryja i jestem więziona pod własnym dachem, ona zaś jest ulubienicą tegoż stryja, który nawiasem mówiąc, zasiada na tronie.

Skłaniam lekko — bardzo lekko — głowę w geście powitania, po czym postępuję krok do przodu i wymieniam z małżonkiem nasz zwyczajowy chłodny pocałunek.

— Mężu, cieszę się, że cię znów widzę — kłamię uprzejmie.

— Zono, twój widok raduje moje serce — odpowiada równie szczerze i uśmiecha się naprawdę szeroko, jakby bardzo go bawiło przywiedzenie tego kwiatu na pustynię naszego domu. — Mam nadzieję, że nowa towarzysza rozproszy twoją samotność.

— Dobrze mi we własnym towarzystwie — odpowiadam szybko. — Studiując księgi i spędzając czas na modlitwie, nigdy się nie nudzę... — Widząc uniesioną brew męża, dodaję jednak: — Ale oczywiście jestem zadowolona z wizyty naszego gościa.

— Z pewnością nie zabawię tu długo — odzywa się lady Elżbieta, czerwieniejąc lekko na oziębłość tego powitania. — Przykro mi, że w ogóle się narzucam, takie jednak było życzenie miłościwego pana.

— Nikt z nas nie miał w tej sprawie wiele do powiedzenia — gładko wtrąca Stanley — lecz przypadkiem to rozwiązanie najlepsze z możliwych. Będziemy tu tak sterczeli czy przejdziemy dalej? Może napijemy się wina?...

Kiwam głową w stronę ochmistrza. Wiem, że każe odbić beczułki z najprzedniejszym winem — odkąd mój mąż się tutaj rozpanoszył, jest podejmowany wszystkim co najlepsze. Odwracam się i prowadzę na pokoje, słysząc za sobą drobne kroki: obcasiki wybijające rytm na kamiennej posadzce, staccato próżności. Kiedy docieramy do komnaty prywatnej, pokazuję lady Elżbiecie, że może zająć zydęł, sama zaś zasiadam na wysokim krześle z bogato rzeźbionym oparciem i z podłokietnikami, dzięki czemu góruję nad nią znacznie.

Jest ładna, tyle trzeba jej przyznać. Ma twarz w kształcie serca i zdrową kremową cerę, proste brązowe brwi i ogromne szare oczy oraz długie włosy — pszenicznoszłote i kręcone, sądząc po jednym loku, który wymknął się spod małego czepka i opadł na ramię. Wzrost i postawę odziedziczyła ewidentnie po matce, ale ma też ujmujący wdzięk, który chyba w całości jest tylko jej zasługą. Za Elżbietą Woodville wszędzie oglądały się ludzkie głowy, lecz do jej córki wrywają się ludzkie serca. Teraz już rozumiem, co mój mąż miał na myśli, mówiąc, że jest czarująca. Nawet teraz, kiedy zdejmuję rękawiczki i grzeje sobie dłonie w ciepłe kominka, nieświadoma, że obrzucam ją spojrzeniem z góry na dół, jakby była koniem, którego zamierzam kupić, bije od niej swego rodzaju bezbronny urok. Zdaje się małym zwierzątkiem, na które nie sposób popatrzyć, by zaraz nie chcieć go pogłaskać — osieroconą sarną albo długonogim źrebięciem.

Wreszcie odczuwa na sobie mój wzrok i podnosi na mnie oczy.

— Przykro mi, że zakłóciłam twoją rutynę, lady Małgorzato — rzecze. — Napisałam już do pani matki. Niewykluczone, że uzyskam zgodę, aby zamieszkać razem z nią.

— Dlaczego w ogóle musiałaś opuścić dwór królewski? — pytam, starając się uśmiechnąć, aby chętniej mi się zwierzyła. — Napytałaś sobie jakiejś biedy? Chyba wiesz, że ja również znalazłam się w niełasce z powodu popierania swego syna...

Przez jej twarz przemyka drobny cień.

— Myślę, że miłościwy pan chciał mnie umieścić pod dachem osoby, przy której moja reputacja pozostanie bez skazy — odpowiada. — Powstała plotka... Ale może sama słyszałaś?

Kręcę przecząco głową, dając jej do zrozumienia, iż żyję na takim uboczu i tak samotnie, że nie dochodzą mnie słuchy o niczym.

— Miłościwy pan jest dla mnie bardzo miły i wyróżnia mnie spośród wszystkich dam dworu — podejmuje, kłamiąc tak sprawnie, jak tylko młode i urodziwe dziewczęta potrafią. — Powstała plotka... sama wiesz najlepiej, jak dworzanie uwielbiają plotki... a po tym jak najjaśniejsza pani umarła, miłościwy pan chciał chyba pokazać wszystkim, że pogłoska nie miała żadnych podstaw. No i przysłał mnie do ciebie. Bardzo jestem ci wdzięczna, że zechciałaś mnie przyjąć. Dziękuję z całego serca.

— A ta plotka?... — pytam i widzę, jak Elżbieta poprawia się niespokojnie na twardym zydłu.

— Ach, lady Małgorzato... z pewnością wiesz, jakie plotki najchętniej rozpowiadają ludzie...

— O czym tym razem rozpowiadali? — naciskam. — Skoro mam stać na straży twojej czci, chyba powinnam wiedzieć, co się przeciwko niej wygadywało.

Spogląda wprost na mnie, jakby chciała we mnie widzieć swoją sojuszniczkę i przyjaciółkę.

— Ludzie twierdzą, że miłościwy pan pragnął się ze mną ożenić.

— A ty byś tego też chciała? — Nadaję głosowi spokojne brzmienie, mimo że w uszach mi dudni z wściekłości na myśl o potwarzy wymierzonej w mojego syna i nasz ród.

Lady Elżbieta płoni się, jej lica nabierają barwy szkarłatnej peleryny.

— To czego ja chcę, nie ma znaczenia — mówi cicho. — O moim zamążpójściu zdecyduje pani matka. Poza tym jestem

już zaręczona z twoim synem. O takich sprawach przesądzą rodzice i opiekunowie...

— Twe dziewicze posłuszeństwo z całą pewnością przemawia na twoją korzyść — komentuję sucho, nie umiając się powstrzymać przed sarkazmem. Słyszając go, podrywa głowę i patrzy na mnie uważnie. Dostrzega mój gniew w oczach i na ten widok cała krew odpływa jej z twarzy; robi się blada, jakby zaraz miała zemdleć.

W tej samej chwili do komnaty wkracza mój mąż, za którym postępuje ochmistrz niosący wino i trzy kielichy. Stanley obrzuca zastaną scenę spojrzeniem i rzecze z przesadną grzecznością:

— Chyba w niczym nie przeszkodziłem? To doskonale.

Odsyła ją do jej komnaty, po tym jak spełniła z nami kielich, przykazując, by wypoczęła po trudach podróży. Następnie dolewa sobie mojego wina, zasiada na wysokim krześle obok mnie, wyciąga nogi w stronę kominka i mówi:

— Nie powinnaś nią pomiatać. Jeśli Ryszard pokona twego syna, ożeni się z nią. Północ będzie siedzieć cicho, kiedy król odniesie zdecydowane zwycięstwo, lady Elżbieta zostanie królową, a ty nigdy nie opuścisz tej dziury.

— Woking to nie dziura i wcale nie pomiataam lady Elżbietą — odburkuję. — Po prostu spytałam ją, skąd się tu wzięła, a ona postanowiła uraczyć mnie mieszaniną prawdy i kłamstwa, jak każda młoda niewiasta, która nie potrafi odróżnić jednego od drugiego.

— Może i jest z niej kłamczucha, może nawet... przynajmniej wedle twojej miary... jest z niej rozpustnica, ale jakkolwiek na to patrzeć, lady Elżbieta będzie następną królową Anglii — oświadcza mój mąż. — Jeżeli twój syn nadciągnie niczym walijski smok... wiedziałaś, że śpiewają nowe ballady o walijskim smoku?... no więc jeśli nadciągnie i zwycięży, będzie musiał ją poślubić, nie zważając na jej prowadzenie się w przeszłości, żeby sobie zapewnić poparcie yorkistów. Jeżeli zaś Ryszard go pokona, co wydaje się w tej chwili bardziej prawdopodobne, ożeni się z nią z miłości. Tak czy siak, twoja mała lady Elżbieta zostanie królową, toteż byłoby mądrze nie robić sobie z niej wroga.

— Będą ją dobrze traktować — zapewniam.

— Lepiej, żebyś tak właśnie zrobiła — doradza mi. — Posłuchaj mnie jednak i zrób coś jeszcze...

Zamieniam się w słuch.

— Nie wykorzystaj tej okazji, żeby ją stratować swoim zwyczajem, na wypadek gdyby czasy się zmieniły i to ona była górą. Sprawiaj wrażenie, jakbyś była po jej stronie. Nie zachowuj się jak Beaufort o zranionej dumie, tylko choć ten jeden raz bądź jak rozważny Stanley. Trzymaj z wygranymi, Małgorzato.

## MAJ 1485 ROKU



Ignoruję męzowską radę i nie spuszczam lady Elżbiety z oka, wiedząc, że i ona ma na mnie baczenie. Mieszkamy pod jednym dachem w stanie wiecznej gotowości, zachowujemy się niczym dwaj dowódcy wrogich armii przyczajeni przed bitwą.

— Jak dwa koty na dachu stodoły — komentuje wesoło Tomasz Stanley.

Od czasu do czasu lady Elżbieta pyta mnie o wieści na temat mojego syna — jak gdyby wzbudziła we mnie dość zaufania, bym powierzyła jej sromotę Henryka, który korząc się na francuskim dworze, zbiera fundusze i ludzi do inwazji na Anglię! Ja od czasu do czasu wypytuję ją o jej siostry, pozostałe na dworze królewskim, i dowiaduję się, że Ryszard postanowił się przenieść do ponurego zamku w Nottingham, gdzie ma zamiar wyczekiwać nieuniknionego nawet jego zdaniem ataku. Wszystkie młode Yorkówny zostaną niebawem odesłane do Sheriff Hutton, co wzbudza zazdrość lady Elżbiety, która jednak mimo tęsknoty za najbliższymi bez sprzeciwów przestrzega zasad obowiązujących pod moim dachem. Godzinami przetrzymuję ją w kaplicy na klęczkach — jest równie poważna i skupiona w trakcie modlitwy jak ja — lecz nie słyszę od niej ani słowa skargi. Blednie tylko i smętnieje w przesiąkniętym pobożnością zaciszu moich prywatnych komnat, ja zaś lubię sobie wyobrażać, że dni bardzo jej się dłużą. Czerwona róża, którą udawała, zajeżdżając pod moją siedzibę w intensywnie purpurowej pelerynie, przyblakła i zamieniła się w prawdziwą białą. Nie straciła nic na



urodzie, ale znów zaczęła przypominać to milczące dziewczę, które jej matka wychowywała z konieczności w murach sanktuarium. Biedactwo, miała tylko krótki okres chwały, gdy uważano ją za nieoficjalną królową wesołego dworu jej stryja. Teraz na powrót spowiła ją cisza i ciemność.

— Ależ twoja matka z pewnością wie dzie żywot podobny do mojego — mówię do niej któregoś dnia. — Mieszka na głuchej prowincji, na nie swojej ziemi, nie mając wielu sług. Jest równie uboga i samotna jak ja. W Sheriff Hutton musi być tak samo cicho i pokutniczo jak tutaj.

Ku mojemu zdziwieniu lady Elżbieta wybucha głośnym śmiechem, po czym natychmiast zakrywa usta dłonią i przeprosza solennie. Wszakże jej oczy nadal się skrzą humorem.

— Och nie, moja matka jest wesoła z natury — odpowiada. — Co wieczór słucha muzyki i urządza tańce, sprasza mimów i aktorów, bierze udział w uroczystościach obchodzonych przez miejscowych i oczywiście przestrzega wszystkich świąt. Niemal codziennie wyprawia się raniem na polowanie, a w południe staje na piknik pośród lasów. Przez jej dom przewija się mnóstwo ludzi, zawsze coś tam się dzieje.

— Mówisz, jakby prowadziła mały dwór. — Słyszac zazdrość w swoim głosie, staram się ją zatuszować wymuszonym uśmiechem.

— Bo prowadzi — potwierdza lady Elżbieta. — Każdy kto ją szanował, wciąż pamięta dawne czasy i z radością składa jej wizyty na zamku, który teraz zajmuje, ciesząc się z odzyskanego przez nią poczucia bezpieczeństwa.

— Ale to nie jej zamek — przypominam. — Zresztą wcześniej rezydowała w pałacach.

Zbywa to wzruszeniem ramion.

— Nie przeszkadza jej ta odmiana — zapewnia. — Nie może tylko odżałować straty mojego ojca i moich braci... — Napomykając o nich, odwraca się i przełyka ciężko, jakby nagła żalność schwyciła ją za gardło. — Co do reszty... pałaców, strojów i klejnotów... nic z tego nigdy nie miało dla niej większego znaczenia...

— Twoja matka była najbardziej pazerną niewiastą, jaką znam — wtrącam niegrzecznie — bez względu na to, kogo teraz

udaje. Popadła w tarapaty, w biedę, doznała klęski. Wyrniano ją z dworu królewskiego, uczyniono nikim...

Lady Elżbieta uśmiecha się, nie wypowiada jednak słowa protestu. W tym jej uśmiechu, w tym milczeniu dostrzegam rzucone mi wyzwanie i zmuszam się, by zacisnąć palce, którymi obejmuję podłokietniki krzesła. Jakżebym chciała wymierzyć policzek tej jej ładnej buzi!

— Nie zgadzasz się ze mną? — pytam z irytacją. — Odezwiż się, dziewczyno!

— Moja matka mogłaby w każdej chwili zjawić się na dworze królewskim jako honorowy gość brata jej męża, króla Ryszarda Trzeciego — rzecze spokojnie. — Stryj nieraz ją zapraszał, zapewniając, że będzie drugą damą królestwa, ustępującą tylko najjaśniejszej pani. Odmawiała jednak. Myślę, że zrezygnowała z doczesnych przyjemności.

— Nie, to ja zrezygnowałam z doczesnych przyjemności — poprawiam ją. — Coś takiego osiąga się po długiej walce z własną chciwością i pragnieniem sławy, po latach spędzonych na modlitwie i studiowaniu ksiąg. Twoja matka nie jest zdolna do czegoś podobnego. Nie jest zdolna. Na pewno się nie wyrzekła marności świata, po prostu nie chciała oglądać Anny Neville na swoim miejscu.

Lady Elżbieta ponownie się śmieje, tym razem równocześnie się do mnie uśmiechając.

— Utrafiłaś w sedno! — wykrzykuje. — Niemal takich samych słów użyła moja matka, kiedyśmy ostatnio rozmawiały! Rzekła, że nie wyobraża sobie patrzeć, jak jej cudne suknie są przykrawane, by pasowały na chudą Annę Neville! Jestem przekonana, że i tak nie chciałaby wracać na dwór, ale co do tych sukien masz całkowitą rację... Nieszczęsna królowa Anna...

— Panie, świeć nad jej duszą — dokańczam świętoszkowato, a ta dziewczucha ma czelność dopowiedzieć:

— Amen.

## CZERWIEC 1485 ROKU



Mój syn musi się śpieszyć. Zasiadający na zamku w Nottingham Ryszard rozsyła po wszystkich hrabstwach heroldów, by ostrzegali przed niebezpieczeństwem zagrażającym Anglii ze strony Henryka Tudora i ogłaszali zaciąg, przypominając wielmożom i zwykłym poddanym o obowiązku względem Korony. Królewskie rozkazy mówią, by odłożyć na bok wszelkie swary i gotować się do wojny ze wspólnym wrogiem.

Ryszard zabiera lady Elżbietę spod mojej pieczy i odsyła ją do Sheriff Hutton razem z jej młodszymi siostrami, gdzie dołączają do sierot po Jerzym księciu Clarence. Umieszcza wszystkich potomków księcia Yorku w jednym miejscu, najbezpieczniejszym, jakie potrafi znaleźć: w dobrze strzeżonym zamku na głębokiej północy — szykując się do walki w obronie ich dziedzictwa przeciwko mojemu Henrykowi Tudorowi. Robię co mogę, by ją zatrzymać (wiem, że yorkiści poprą mego syna tylko wtedy, gdy będą przekonani o prawdziwości zaręczyn między Yorkówną i Lancasterem), wszelako ona pakuje się w okamgnieniu, raz-dwa przywdziewa swoją podróżną szkarłatną pelerynę i nim się spostrzegę, jest gotowa do wyjazdu. Kiedy na dziedzińcu pojawia się przysłana po nią eskorta, tanecznym krokiem zbiega na dół.

— **Śmiem** twierdzić, że jeszcze się spotkamy, jak już będzie po wszystkim — mówię jej, kiedy dyga przede mną na pożegnanie. Pozwoliwszy ją wpuścić do wielkiej sali, nie podnoszę się z krzesła,

gdyż chcę, aby się poczuła jak odprawiana służąca. Nie odzywa się, patrzy tylko na mnie swymi pięknymi szarymi oczyma, jakby nie mogła się doczekać, aż skończę prawić kazanie i uwolnię ją. — Jeśli mój syn nadejdzie z zachodu niczym walijski smok i pokona uzurpatora Ryszarda, zasiądzie na tronie Anglii, poślubi cię i uczyni swoją królową. O ile zechce — dodaję. — Zostałaś pozbawiona nazwiska, on może ci zapewnić nazwisko najwspanialsze ze wszystkich. Zostałaś pozbawiona tytułu, on może cię obdarzyć tytułem najzaszczytniejszym ze wszystkich. Będzie dla ciebie niczym zbawca ocalający cię od wstydu i hańby.

Lady Elżbieta kiwa głową, jakby życie w hańbie nie było najgorszym, co może spotkać niewiastę.

— Natomiast jeśli wygra uzurpator Ryszard, weźmie sobie ciebie, swoją ladacznicę, i zmyje twoje grzechy spóźnionym małżeństwem. Zostaniesz królową, ale będziesz poślubiona mężczyźnie, który zabił twego wuja i twoich braci, który zdradził twego ojca, będziesz żoną wroga. Co za smutny los cię czeka. Już lepiej by się stało, gdybyś zginęła razem z książętami...

Przez chwilę myślę, że wcale mnie nie słuchała, gdyż wzrok ma nadal wbity w ziemię i nie zmienia wyrazu twarzy. Bądź też wcale jej nie porusza perspektywa wyjścia za mąż ani za młodego mężczyznę, który jej nienawidzi, ani za człowieka, którego się obwinia o wymordowanie znacznej części jej rodziny. W końcu jednak, kiedy wolno podnosi na mnie spojrzenie, dostrzegam, że się uśmiecha — promienieje, jakby była z czegoś bardzo zadowolona.

— Tak czy siak spotka cię kompromitacja — przestrzegam. — Zrozum to wreszcie. Publiczna kompromitacja...

Szczęście bijące z jej twarzy nie znika.

— Być może, ale tak czy siak, skompromitowana czy nie, będę królową Anglii, więc dzisiaj po raz ostatni siedzisz w mojej obecności — odpowiada beczelnie. Jej pewność siebie przechodzi wszelkie wyobrażenie, jej impertynencja jest niewybaczalna, jej słowa zaś, niestety, przerażająco prawdziwe.

Następnie dyga raz jeszcze, odwraca się do mnie plecami, okazując absolutną pogardę, i wychodzi z wielkiej sali na dziedziniec,

gdzie gwardziści Ryszarda czekają, by powieść ją ku bezpiecznemu schronieniu.

Jestem wstrząśnięta do tego stopnia, że nie umiem wydobyć z siebie głosu.

Mój mąż zjawia się w domu ponury jak chmura gradowa.

— Nie zabawię długo — informuje od progu. — Przyjechałem zbierać armię. Zwołuję ludzi pod broń, by poprowadzić ich na wojnę.

Wstrzymuję oddech.

— Po czyjej stronie będziesz walczył?

Obrzuca mnie szybkim spojrzeniem.

— Wyobraź sobie, że o to samo zapytał mnie król Ryszard — odpowiada. — **Żywi** co do mnie nieskrywane obawy, a teraz też przetrzymuje mego syna jako zakładnika. Pozwolił mi prowadzić nabór ludzi tylko pod tym warunkiem, że dam mu w zastaw Jerzego, a ja nie miałem innego wyjścia, jak się na to zgodzić. Muszę poprowadzić swoich ludzi do boju. Na tej wojnie przesądzi się, kto będzie następnym królem Anglii, sztandar Stanleyów po prostu musi powiewać nad polem bitwy.

— Ale po czyjej stronie?... — powtarzam swoje pytanie.

Uśmiecha się do mnie, jakby chciał mi dodać otuchy, zrekomensować przeciągające się oczekiwanie.

— Ach, Małgorzato... — rzecze cicho. — Któż by się oparł perspektywie pasierba zasiadającego na tronie Anglii? Jak sądzisz, czemu się z tobą ożeniłem przed iluż to laty? Wyłącznie dla tej chwili. By ruszyć do boju z zamiarem uczynienia twego syna królem.

Czuję, że na lica występuje mi rumieniec podniecenia.

— Opowiesz się po stronie Henryka? — dopytuję.

Wiem, że armia Stanleya będzie szła w tysiące — taka siła może przesądzić o wyniku wojny. Jeżeli mój mąż będzie walczył po stronie Henryka, wygraną mamy zapewnioną.

— Oczywiście — mówi. — Czyżbyś kiedykolwiek we mnie zwątpiła?

— Sądziłam, że zawsze się opowiadasz po stronie zwycięzcy...

Po raz pierwszy odkąd jesteśmy małżeństwem, rozpościera przede mną ramiona, a ja bez protestów pozwalam mu się objąć. Tuli mnie przez parę chwil, po czym z uśmiechem spogląda mi w twarz.

— Henryk będzie zwycięską stroną, jeżeli się do niego przyłączę — stwierdza. — Czy nie tego sobie zawsze życzyłaś, milady?

— Tego życzę sobie ja i tego życzy sobie Pan Bóg — odpowiadam.

— W takim razie niech się dzieje wola nieba.

## LIPIEC 1485 ROKU



Sieć szpiegów i informatorów, którą się otaczałam podczas poprzedniej rebelii, z wolna powraca do aktywności, mój mąż zaś przy pomocy swojego człowieka przesyła mi wiadomość, że wolno mi się spotykać, z kimkolwiek chcę, na własne ryzyko. Doktor Lewis przywozi z Walii zapewnienie, że Walijczycy pozostaną wierni Tudorom, a zamek w Pembroke otworzy swoje podwoje przed prawowitym właścicielem, Jasperem. Rhys ap Thomas, najpotężniejszy z walijskich wodzów, dał wprawdzie słowo Ryszardowi, ale zamierza je złać i przejść na naszą stronę — na stronę Henryka Tudora. Mój zausznik, Reginald Bray, odwiedza siedziby co znaczących Anglików, zapowiadając przybycie mego syna i jego niepokonanej armii, objęcie tronu przez Lancastera i wieczną zgodę z Yorkami.

Jasper w swoim liście pisze:

*To lady 'Małgorzaty Stanley:*

*Stanie się z końcem tego miesiąca albo najpóźniej w początkach następnego. (Będziemy mieli piętnaście statków i okpfo dwóch tysięcy ludzi Uważam, że to nasza ostatnia szansa. Tym razem musimy wygrać, Małgorzato. (Dla dobra swego syna spraw, aby Twój mąż stanął w polu. (h/je podołamy bez niego. (Henryk i ja liczymy, że przeciągniesz Stanfleyow na naszą stronę. (Proś Tana Boga, aby pozwolił mi Ciebie zobaczyć na koronacji naszego chłopca, w przeciwnym razie nie zobaczymy się już nigdy. Hiech Stwórca ma Cię w swojej opiece bez względu na rozwój wypadków. Hąsza sprawa była słuszna od samego początku i napawa mnie dumą, że mogłem służyć Tobie i Twemu synowi*

*Jasper.*

## SIERPIEŃ 1485 ROKU



Piętnaście statków wypływa z portu w Harfleur — okręty są opłacone przez Francuzów, tylko czekających upadku Anglii, i załadowane zbieraniną wyrzutków z całej Europy, wyszkolonych i wdronionych w ryzy przypominające armię przez berneńskich oficerów pod komendą Jaspera i obecnie na zawołanie Henryka, który jest bardziej przestraszony niż kiedykolwiek.

Już raz przybił do brzegów Anglii i musiał szybko stawiać na powrót żagle, zbyt sę bowiem obawiał konfrontacji z wrogiem i klęski. Teraz dostał kolejną szansę i bez wątpienia zdaje sobie sprawę, że los więcej się do niego nie uśmiechnie. Wtedy popierali go Bretończycy, ale on nawet nie postawił stopy na angielskiej ziemi. Tym razem wsparli go Francuzi, którzy z pewnością nie podadzą mu ponownie pomocnej dłoni. Jeżeli przegra, nikt nigdy nie opowie się po jego stronie. Jeżeli przegra, skaże się na życie na wygnaniu, na żebranie po obcych dworach i wylewanie żalów za koroną, którą miał na wyciągnięcie ręki, nim przeszła mu koło nosa.

Armada toczy się przez spokojne fale letnią porą, pchana przez ciepłą bryzę; noce są krótkie, a poranki wczesne. Najbliższe Harfleur południowe wybrzeże stoi murem za uzurpatorem, toteż Henryk nie decyduje się tam zawinać. Kieruje się na zachodnie krańce królestwa, do Dale u brzegów Walii, ufając, że szpiedzy Ryszarda nie wypatrzą go po drodze, i wierząc, że po wylądowaniu zdoła powiększyć siły o ochotników pragnących wystąpić przeciwko tyranowi, zanim ten nawet się zorientuje, że za jego plecami doszło do inwazji.



Mojego syna spotyka jednak rozczarowanie. Zamiast entuzjazmu wita go obojętność. Mężczyźni, którzy wymaszerowali pod wodzą księcia Buckingham i dali się pokonać przez deszcz, nie chcą opuszczać domów. Niektórzy stali się lojalnymi poddanymi Ryszarda, ten i ów być może nawet posyła ostrzeżenie na dwór królewski. Henryk Tudor, znalazłszy się w krainie, którą nazywa rodzinną i od której oczekuje posłuszeństwa, ma trudności ze zrozumieniem walijskiego używanego tak daleko na zachodzie, po angielsku zaś mówi z silnym bretońskim akcentem. Zbyt wiele czasu spędził na obczyźnie: jest tutaj obcy, a dumni i nieufni Walijszczy nie lubią obcych.

Oddziały Henryka posuwają się wolno na północny wschód. W hrabstwie Pembroke miasta otwierają przed nimi bramy z lojalności wobec Jaspera, pozostałe Henryk stara się raczej obchodzić łukiem. Nawołuje Walijszyków, by stanęli za księciem Walii, wszelako mało kto chce służyć młodzika, który większość życia spędził w Bretanii, a teraz maszeruje na czele francuskich najemników.

Rzekę Severn przekraczają na wysokości Shrewsbury. Henryk do ostatniej chwili obawia się jej podniesionych wód — już raz zniweczyła nadzieje rebeliantów przeciwko uzurpatorowi Ryszardowi — ale na szczęście bród jest widoczny, a noc ciepła i sucha, toteż udaje mu się wreszcie stanąć na angielskim brzegu wraz ze zbieraniną francuskich byłych więźniów, niemieckich zaciężnych i paru walijskich awanturników. Staje przed pytaniem, którą drogę wybrać.

Po namyśle decyduje się podjąć marsz w stronę stolicy. Czeka ich długa droga przez zachodnie hrabstwa, a potem doliną wzdłuż biegu Tamizy, lecz obaj — i on, i Jasper, uważają, że jeżeli zdołają zająć Londyn, zajmą Anglię. Przez cały czas wiedzą, że Ryszard siedzi w swoim gnieździe na północy, zbierając armię wokół Nottingham.

*(Do Jaspera Tudora i mego syna (Henryka Tudora:*

*(Piszę do "Was w dobrym zdrowiu.*

*Mój mąż i jego brat, Wilhelm Stanley, zgromadził u siebie dwie sunę armie i szukają się do spotkania z Wami w okolicach Tamworth*

*w trzecim tygodniu sierpnia. Utrzymuje też stały kontakt z fraSią  
AprthumSerlandii, który jak wierze, okaże się również  
naszym sprzymierzeńcem.*

*Oczekuję na wieści od "Was. Odpowiedzcie na mój list.*

*Lady Małgorzata.*

Uzurpator wzywa Tomasza Stanleya do powrotu na zamek w Nottingham i przyprowadzenia ze sobą swojej armii. Długo czeka na odpowiedź, a gdy ta w końcu nadchodzi, kładzie ją przed sobą na stole i tylko się przygląda złożonej kartce i czerwonej pieczęci, jakby już znał treść.

Stanley zapewnia swego króla o nieustającej miłości i lojalności. Zapewnia, że zna swój obowiązek i jest gotów służyć Koronie choćby dziś. Dalej pisze, że zachorzał, straszliwie zachorzał, ale jak tylko mu się polepszy, co koń wyskoczy pogalopuje do Nottingham, aby się wywiązać z danego przyrzeczenia.

Ryszard unosi wzrok znad listu i napotyka ciężkie spojrzenie swego przyjaciela i doradcy, sir Wilhelma Catesby'ego.

— Przyprowadź jęgo syna — mówi głucho.

Przyprowadzają doń Jerzego Stanleya barona Strange, mimo że zapiera się nogami jak skazaniec prowadzony na szafot. Kiedy dostrzega wyraz twarzy króla i list opatrzony ojcowską pieczęcią, zaczyna się trząść jak osika.

— Przysięgam na swój honor... — zaczyna.

— Nie interesuje nas twój honor — przerywa mu Ryszard — tylko honor twęgo ojca. Ciebie również powinien żywoćnie interesować, gdyż przez niego możesz postradać głowę. Tomasz Stanley pisze mi, że zachorzał. A może raczej ma zamiar wyjść naprzeciw Henrykowi Tudorowi? Może uradzili wspólnie z lady Małgorzatą, że odpłacą mi zdradą za moją wspaniałościę?

— Nie! Nigdy! Nie! — zaprzecza młody mężczyzna. — Mój ojciec pozostał ci wiorny, miłościwy panie. Zawsze był ci wiorny, od pierwszych dni. Wiesz o tym tak samo jak ja. Zawsze wyrażał się o tobie z najwyższym szac...

— A twój stryj Wilhelm?

Mina rzędnie baronowi Strange.

— Mój stryj... nie wiem... — bąka. — Mógłby... ale naprawdę nie wiem. Wszyscy jesteście ci wierni... nasze motto brzmi „*Sans changer*”...

— Stara sztuczka Stanleyów? — pyta łagodnie Ryszard. — Jeden brat po tej stronie, drugi po tamtej? Pamiętam, jak Andegawenka czekała na pojawienie się twojego ojca i wybawienie jej z opresji. Pamiętam, że przegrała wojnę, czekając, aż się zjawi.

— Mój ojciec będzie walczył po twojej stronie, miłoścy panie! — obiecuje nieszczęsny młodzieniec. — Gdyby mi było wolno doń napisać i przypomnieć, że powinien się stawić jak najszybciej na twoje wezwanie...

— Możesz do niego napisać, że zostaniesz stracony bez wyroku i bez ceregieli, jeżeli go tutaj nie będzie pojutrze — oświadcza Ryszard bez zmruczenia powieki. — A potem możesz zawołać księdza i wyspowiadać się. Będziesz trupem, jeśli twój ojciec nie zjawi się tu pojutrze.

Odprowadzają go do jego komnaty, przynoszą papier, pióro i inkaust, po czym zamykają na cztery spusty. Młody Stanley trzęsie się tak bardzo, że ledwie potrafi pisać. Później czeka na ojca. Nie wątpi, że ten się pojawi. Przecież ktoś taki jak jego ojciec nie zostawi na pastwę losu swego syna i dziedzica?

Henryk Tudor skręca na wschód, prosto do Londynu. Sianokosy już się skończyły i łąki zaczynają się od nowa zielenić. Pola pszenicy, jęczmienia i żyta złocą się w promieniach słońca. Zwłaszcza Francuzi muszą maszerować w karnych kolumnach — na widok mijanych zamożnych miejscowości oczy aż im się świecą i wzbiera w nich ochota, by plądrować i grabić. Są w drodze nieprzerwanie od trzech tygodni, powoli ogarnia ich zmęczenie, dowódcy jednak im nie folgują, toteż dochodzi do co najwyżej kilku przypadków dezercji. Jasper zauważa, że oddziały złożone z zamorskich najemników mają istotną przewagę nad miejscowymi: brak domów, do których można by czmychnąć w chwili znużenia czy zwątpienia; zaciężni z kontynentu wiedzą, że trafią do domu wraz ze swymi dowódcami albo nie trafią w ogóle. Nie jest to pocieszająca myśl. Jasper liczył, że pod rozpostarty sztandar Tudorów ściagną tłumy; myślał, że mężczyźni,

których ojcowie ginęli za Dom Lancasterów, zechcą pomścić poległych, a tymczasem wygląda na to, że nikomu nie zależy na wymierzeniu sprawiedliwości. Najwyraźniej pod jego przeciągającą się nieobecność ludzie przywykli do pokoju towarzyszącego panowaniu Ryszarda III. Nikt nie chce wojny z wyjątkiem Jaspera, Henryka i ich armii zamorskich najemników. Kolebiąc się w siodle, Jasper dochodzi w duchu do wniosku, że nie zna współczesnej Anglii. Od tylu lat nie dowodził swoimi... Być może świat się zmienił. Być może — choć trudno mu w to uwierzyć — Anglicy widzą w Ryszardzie prawowitego króla, a w jego chłopcu, w dziedzicu Lancasterów i Tudorze, dopatrują się jeszcze jednego pretendenta.

Obietnica połączenia sił ze Stanleyami, pierwszymi poważnymi stronnikami ich sprawy, sprawia, że przerywają pochód w kierunku Londynu i zwracają się na północ. Sir Wilhelm Stanley wychodzi im naprzeciw z zaledwie garstką przybocznych i spotykają się pod miejscowością zwaną Stafford.

— Wasza wysokość — odzywa się do Henryka, przykładając pięść do piersi w żołnierskim salucie.

Mój syn rzuca szybkie spojrzenie stryjowi. Wilhelm Stanley jest pierwszym wielmożą na angielskiej ziemi, który zwrócił się doń jak do króla. Henryk to dobrze wychowany młodzieniec, nie szczerzy się więc głupkowato, tylko odwzajemnia pozdrowienie.

— Gdzie twoja armia, sir Wilhelmie? — pyta.

— Zaledwie o dzień drogi stąd, wasza wysokość. Gotowa na twoje rozkazy.

— Sprowadź ją, byśmy połączyli siły.

— To będzie dla mnie zaszczyt... — zapewnia Stanley.

— Co z twoim bratem Tomaszem? — wpada mu w słowo Jasper.

— Wciąż gromadzi ludzi — odpowiada prędko Stanley. — Tu nieopodal, w Lichfieldzie. Zamierzał ich ściągnąć do Tamworth. Sądziłem, że od razu się wyprawisz na Nottingham i stoczysz bitwę z Ryszardem.

— Chcieliśmy wpierv uderzyć na Londyn... — waha się Jasper.

— Londyn popiera Ryszarda — ostrzega sir Wilhelm. — Na widok nadciągającej armii pozamyka bramy i tygodniami będzie

odpierał oblężenie. Londyńczycy są dobrze uzbrojeni. Kiedy obóz rozłoży się wokół murów stolicy, Ryszard zakradnie się od tyłów...

Na młodej twarzy Henryka nie drgnie ani jeden mięsień — kontroluje swój strach, zaciskając mocniej palce na wodzach.

— Musimy porozmawiać — rzecze Jasper i gestem poleca brankowi, aby zsiadł z konia.

We trzech schodzą z traktu i miedzą zagłębiają się w pole pszenicy. Żołnierze, korzystając z chwili przerwy, rozluźniają szyk, przysiadają na trawiastym poboczu, piją cienkie piwo z manierek, spluwają i narzekają na doskwierający upał.

— Uderzysz z nami na Londyn? Ty i baron Stanley?

— O, żaden z nas nie doradzałby tego kroku — mówi sir Wilhelm. Henryk zauważa, że nie jest to odpowiedź na pytanie.

— Gdzie mieliście się z nami połączyć? — docieka.

— Ja idę do Tamworth, tam mam się spotkać z bratem. Nie mogę więc iść z wami, przynajmniej nie teraz.

Jasper kiwa głową.

— Obaj ruszymy nieco później — zapewnia go szybko sir Wilhelm. — Będziemy stanowić waszą ariergardę, jeżeli podejmiecie decyzję, by jednak iść na Londyn. Tylko że armia Ryszarda będzie deptała nam po piętach...

— Naradzimy się w Tamworth z tobą, sir Wilhelmie, i z baronem Stanleyem — rozstrzyga Jasper. — Tam postanowimy, co dalej. Ale maszerować będziemy razem. Razem albo wcale — stawia sprawę jasno.

Teraz kiwa głową Wilhelm Stanley.

— A wasi ludzie? — pyta taktownie, wskazując na zbieraninę rozciągniętą na trakcie kolumną długą jak okiem sięgnąć.

— Przyjechali tu na angielską przygodę — oświadcza Jasper, uśmiechając się drapieżnie. — Będą walczyć nie z przekonania, tylko dla zapłaty. Wszyscy są dobrze wyszkoleni i żaden nie ma wiele do stracenia. Przekonasz się, że umieją atakować na rozkaz i przetrzymać szarżę. Z pewnością nie są gorsi od bandy chłopów i dzierżawców oderwanych od pracy w polu. Każdy zdobędzie wolność i bogactwo w razie naszej wygranej. Za to gotowi są nawet zginąć.

Sir Wilhelm potakuje, jakby nie był do końca przekonany do armii złożonej z samych najemników, potem skłania głowę przed Henrykiem.

— Zatem do zobaczenia pod Tamworth — żegna się.

Henryk wyciąga rękę, a sir Wilhelm bez wahania klęka na jedno kolano i całuje rycerską rękawicę. Kiedy wracają na trakt, gestem każe przyprowadzić swojego wierzchowca. Jego giermek pada na czworaki w pyłe, by po królewsku mógł dosięgnąć strzemienia i ze stęgnięciem znaleźć się w siodle. Górując stamtąd nad wszystkimi, spogląda prosto w oczy Henrykowi.

— Mój bratanek, baron Strange, dziedzic naszego rodu, jest przetrzymywany jako zakładnik przez Ryszarda — informuje. — Nie możemy ryzykować, że ktoś nas z wami zobaczy przed bitwą. To by naraziło chłopaka na śmierć. Dlatego pošlę nocą pachotka, żeby wskazał wam drogę do nas.

— Co takiego? — dziwi się Jasper. — Jakieś tajemnice?

— Pokaże wam mój pierścień — dodaje sir Wilhelm, wskazując na klejnot zdobiący rękawicę, po czym odjeżdża stępa, a za nim oddalają się jego przybocznicy.

— Na miłość boską! — wykrzykuje Jasper.

Przez chwilę patrzą na siebie z Henrykiem bez słowa.

— Nie mamy wyboru — przerywa ponure milczenie mój syn. — Stanleyowie są kluczem do naszego zwycięstwa. Bez nich wróg będzie miał nad nami przewagę liczebną.

— Nie opowiedzą się po naszej stronie — ostrzega cichym głosem Jasper, przyglądając się uważnie najbliższemu siedzącym żołnierzom. Któryś może być szpiegiem zamiast ochotnikiem. — Piętrzą przeszkody, zwlekają...

— Liczy się tylko to, czy będą na polu bitwy.

Jasper potrząsa przecząco głową.

— Nie, to nie jest najważniejsze. Gdyby Stanleyowie otwarcie przyznali, że nas popierają, wszyscy zobaczyliby w nas zwycięzców. Skoro spotykają się z nami po ciemku albo tak jak teraz pośrodku łąnów zboża, nie są naszymi jawnymi sprzymierzeńcami. W każdej chwili mogą poprzeć Ryszarda i każdy to wie. A niech to wszyscy diabli... A niech to... Miałem nadzieję, że twojej matce udało się

przeciagnąć męża na naszą stronę, a tymczasem okazuje się, że z tym młodzikiem przetrzymywanym przez Ryszarda Stanley może przez większość czasu nie kiwnąć palcem, a w decydującym momencie wystąpić po stronie uzurpatora. A niech to wszyscy diabli...

Henryk ujmuje stryja pod ramię i odprowadza kawałek, poza zasięg słuchu odpoczywających żołnierzy.

— Co w takim razie robimy? Nie możemy tutaj tak tkwić.

— To prawda. Nie możemy się też wycofać, nie wydawszy bitwy Ryszardowi. Ale jest znacznie gorzej, niż myślałem, chłopcze.

— Podejmujemy marsz na Londyn?

— Nie. Sir Wilhelm miał rację, mówiąc o poparciu stolicy dla uzurpatora. Teraz w dodatku czujemy na plecach oddech Stanleyów, nie wiedząc, czy są nam przyjaciółmi czy nieprzyjaciółmi, a po ich śladach postępuje Ryszard... Zamiast naszą ariergardą mogą być jego awangarda. Na domiar złego zdradziliśmy się ze swoimi planami. A niech to wszyscy diabli!

— A zatem co zrobimy? — naciska Henryk. Twarz ma bladą, pobrużdżoną przez troskę.

— Zawrócimy na północ, spotkamy się z nimi i spróbujemy ich przekonać do naszej sprawy. Roztoczymy przed nimi wizję zwycięstwa. Wymusimy na nich przysięgę na wierność. Potem podejmiemy marsz, rozglądając się za dogodnym miejscem na bitwę. Musimy wyprzedzić o krok Ryszarda, który najpóźniej jutro będzie wiedział, gdzie jesteśmy i jakie mamy siły. Coś mi mówi, że Stanley przekaże mu dokładne informacje jeszcze dziś przed północą.

— Zgadzą się na potajemne spotkanie ze Stanleyami? A co będzie, jeśli to pułapka? Jeśli ich zamiarem jest przekazać mnie w ręce uzurpatora?

— Nie mamy innego wyjścia. Musimy zrobić wszystko, aby walczyli po naszej stronie — stwierdza Jasper. — Nie wierzę, abyśmy mieli szanse pokonać Ryszarda bez wzmocnionych sit, zdani tylko na siebie. Przykro mi, chłopcze.

— Wasza wysokość — poprawia go Henryk z uśmiechem błąkającym się w kącikach warg.

Jasper otacza ramieniem barki młodszego mężczyzny.

- Wasza wysokość, wasza wysokość — powtarza zgodnie.  
— Anglia nigdy nie miała odważniejszego monarchy.

*Od lady (Małgorzaty Stanley.*

*Mężu, (Piszę do Ciebie w dobrym zdrowiu.*

*Ołęd (Barton twierdzi, że zna miejsce Twojego pobytu i może Cię odnaleźć bez trudu. Jeśli to prawda, wie więcej niż Twoja żona i Twój zaprzysiężony sprzymierzeniec, mój syn.*

*Mężu, z całych stfproszę Cię, abyś nie zapominał, że przed końcem tego tygodnia możesz być ojczymem króla AngliL (Ryszard uczynił Cię lordem wielkim konstabłem, ale to mniej niż nic w porównaniu z przyszłością, jaka nas może czekać. 'Będziemy członkami rodziny królewskiej], a nasz wnukj >ostanie następcą tronu. (J^je ma niczego wspanialszego — i dlatego warto podjąć każde ryzyko.*

*"Doszły mnie słuchy, że baron Strange, Twój syn Jerzy, znajduje się na zamku Ryszarda, gdzie jest przetrzymywany wbrew woli jako zakładnik, gwarantujący Twoją lojalność. Mężu, dla dobra nas wszystkich każ mu uciekać, abyś mógł z czystym sumieniem poprzeć prawowitego krok, umożliwiając dopełnienie się naszego przeznaczenia.*

*'Wiedz, że hrabia O{orthumber (andii nie wezwąłpółnocy, by stanęła za Ryszardem, i zamierza walczyć w imieniu mego syna. Inni angielscy Wielmoże także zamierzają poprzeć (Henryką. Czyżbyś nie chciał znaleźć się w tymgronie?*

*Zaklinam Cię: przysłuż się swemu najlepiej pojętemu interesowi*

*Twoja żona,  
lady Małgorzata Stanley.*

Henryk przerywa marsz w Lichfieldzie zajęтым przez armię Tomasza Stanleya. Ma nadzieję, że usłyszawszy o jego przybyciu, ojczym wyprowadzi swoich ludzi, by dalej maszerowali już wspólnie, jednakże nic takiego się nie dzieje. Jak tylko zwiadowcy przynoszą wieść o pojawieniu się w okolicy czoła armii Henryka Tudora, Stanley opuszcza mury miasta, radząc mieszkańcom, by otworzyli bramy po dobroci, unikając rozlewu krwi. Ani Ryszard rezydujący wciąż w Nottingham, ani Henryk pod murami Lichfieldu nie wiedzą, czy jest to gest lojalności czy raczej zdrady. Tymczasem żołnierze



Tomasza Stanleya oddalają się i zajmują Atherstone, oddziały sir Wilhelma zaś już od dawna przebywają nieopodal. Razem sprawiają wrażenie sprzymierzonych armii szukających dogodnego miejsca na potyczkę z wrogiem. Tomasz Stanley co dzień posyła Ryszardowi świeże wieści na temat ruchów wojsk Tudora, ich liczebności i formy. Nie ściąga do Nottingham, co powinien uczynić, ale pozostaje lojalny wobec króla.

W końcu uzurpator wydaje rozkaz wymarszu z zamku Nottingham i wkroczenia na południowy trakt. Zarządza szyk kwadratowy — taki, jaki wybrałby także jego brat Edward — z piechotą uformowaną w równoboczne kolumny i jazdą osłaniającą flanki. Ryszard z eskortą poruszają się na przdzie — kto żyw, z daleka widzi powiewający dumnie królewski sztandar i determinację monarchy, by raz na zawsze rozprawić się z zagrożeniem dla zaprowadzonego przezeń pokoju. To ostatnia rebelia za jego panowania — ostateczny koniec długiej wojny dwu róż.

Nim opuszczą Nottingham, Catesby przyczynia się do zwłoki, pytając:

- A chłopak Stanleyów? Co z nim?
- Pojedzie z nami. Pod strażą.
- Nie lepiej od razu go zabić?

Ryszard kręci głową.

— Nie mogę uczynić ze Stanleya swojego wroga w przededniu bitwy — odpowiada. — Jeśli zabijemy mu syna, odda się pod komendę Tudora, by wyrzec zemstę. Przyrowadź barona Strange, pojedzie w mojej świcie, a kiedy Stanley zwróci się przeciwko nam, zetniemy go na miejscu.

Armia królewska i armia Henryka Tudora nie są jedynymi zgrupowaniami zmierzającymi sobie na spotkanie. Dwie armie Stanleyów przyczały się i czekają; hrabia Northumberlandii ciągnie za sobą jazdę, którą przyobiecał zarówno Ryszardowi, jak i lady Małgorzacie Stanley. Najpotężniejsza z nich wszystkich jest bez wątpienia armia Ryszarda III, wszelako siły Stanleyów i Percy'ego są w stanie zaważyć na losach bitwy.

## 19 SIERPNIĄ 1485 ROKU



Jasper, powściągając konia bojowego do kłusa, porusza się statecznie u boku nie mniej imponującego rumaka. W którymś momencie przechyla się lekko i zakrywa ciężką rękawicą złączone dłonie bratanka dzierżące wodze.

— Odwagi, chłopcze.

Henryk posyła mu krótki wymuszony uśmiech.

— Pozwólmy im się wysforować do przodu. — Jasper wskazuje brodą ciągnącą się noga za nogą kolumnę. — Niech znikną nam z oczu, zanim zawrócisz. Niedługo wydam rozkaz rozbicia obozu na noc, lecz ani na chwilę nie przestanę czuwać. Powodzenia ze Stanleyami. Nie pokażę się, chyba że będziesz mnie potrzebował.

— Jak sądzisz, będą chcieli mnie zabić? — pyta Henryk, jakby się radził w sprawie taktyki wojennej.

Jasper wzdycha.

— Nie, nie sądzę, by chcieli cię zabić. Raczej przedstawią ci swoje warunki. Na pewno wierzą w twoją wygraną, inaczej w ogóle by się z nami nie spotykali. Myślę więc, że naprawdę zamierzają cię poprzeć. Nie podoba mi się, że idziesz na to spotkanie sam, ale rozumiem, że mając syna w rękach Ryszarda, Stanley musi być ostrożny. Nie zapomniałeś o nożu w cholewce buta?

— Nie, oczywiście, że nie.

— Dobrze. Pamiętaj, będę niedaleko. Z Bogiem, wasza wysokość. Przez cały czas będę w zasięgu głosu na wszelki wypadek.

— Niech Pan Bóg ma w opiece nas wszystkich — rzecze słabo Henryk.

Sprawdza, czy tyły kolumny zniknęły już za zadrzewionym zakrętem traktu, po czym zawraca konia i odjeżdża, by dołączyć do sługi Stanleyów przycajonego nieopodal.

Jadą w milczeniu; Henryk rozgląda się czujnie, zapamiętując mroczniejący krajobraz, by w razie czego bez trudu znaleźć drogę powrotną do swojej armii. W pewnym momencie sługa Stanleyów wyciąga przed siebie rękę i wskazuje na przydrożną oberżę, nad której drzwiami ktoś dawno temu przybił gałązki ostrokrzewu na znak, że ubogi przybytek jest otwarty. Podjeżdżają bliżej, zeskakują z siodeł. Sługa odprowadza oba wierzchowce za budynek, Henryk zaś robi parę kroków, bierze głęboki oddech i schyliwszy się, by nie zaczepić głową o gubiące igły gałęzie, wchodzi do środka.

Tuż za progiem zaczyna gwałtownie mrugać. Pomieszczenie wypchaia dym z kopcących świec z sitowia nasączonego tłuszczem i otwartego kominka, na którym raczej tlą się, niż palą, świeże polana. Mimo to udaje mu się wyłowić sylwetkę sir Wilhelma i trzech innych mężczyzn. Nie ma pojęcia, czy spodziewać się zasadzki czy serdecznego powitania. Ze wzruszeniem ramion — gestem, do którego przywykł w Bretanii — Henryk Tudor postępuje głębiej.

— Co za szczęśliwe spotkanie, wasza wysokość, synu. — Z cienia występuje czwarty mężczyzna i opada przed nowo przybyłym na jedno kolano.

Henryk wyciąga rękę, która tylko lekko drży. Mężczyzna dotyka ustami rękawicy, po czym w jego ślady idą pozostali trzej mężczyźni, w tym sir Wilhelm.

Henryk bezwiednie się uśmiecha, odczuwszy falę ulgi.

— Baron Stanley?

— We własnej osobie, wasza wysokość. Ja i mój brat sir Wilhelm, którego zdążyłeś już poznać. Oraz dwaj ludzie strzegący naszego bezpieczeństwa.

Henryk kiwa łaskawie głową. Równocześnie doznaje wrażenia, że spadł z wielkiej wysokości i jakimś cudem wylądował pewnie na obu nogach.

— Jesteś sam?

— Tak — potwierdza Henryk.

Stanley łyka to kłamstwo, nie dając po sobie poznać powątpiewania.

— Przynoszę ci pozdrowienia od twojej matki, lady Małgorzaty, która przekonywała mnie do waszej sprawy z ogromną determinacją, by nie rzec: zaciekleścią, już od pierwszego dnia po tym, jak uczyniła mi ten honor i za mnie wyszła.

Odpowiada mu uśmiech.

— To zrozumiałe. Wierzyła w nasze przeznaczenie od dnia moich narodzin.

Stanleyowie powstają z przykłęku, kiedy pojawia się sługa bez imienia, aby nalać wina gościom. Henryk ujmuje kielich stojący najdalej od tego, który mu się oferuje, po czym przysiada na ławie naprzeciwko kominka.

— Ilu ludzi masz pod swoją komendą? — pyta Stanleya wprost. Starszy mężczyzna zwilża gardło trunkiem.

— Około trzech tysięcy. Mój brat dowodzi kolejnym tysiącem.

Henryk zachowuje kamienną twarz na wieść o armii dwakroć większej od zgromadzonej przez niego.

— Kiedy połączycie ze mną siły?

— Kiedy stawisz czoło królowi?

— Maszeruje już na południe? — Henryk odpowiada pytaniem na pytanie, nie pozwalając się zapędzić w kozi róg.

— Dziś opuścił Nottingham. I ponownie zawezwał mnie do siebie. Od syna zaś wiem, że zginie, jeśli nie posłucham wezwania.

Henryk rozważa w duchu zasłyszane informacje.

— W takim razie zetrze się z nami za... jakiś tydzień?

Stanleyowie nie czynią uwagi na temat okazywanej przezeń nieznamośności własnego królestwa.

— Raczej za dwa dni — prostuje sir Wilhelm.

— Zatem powinniście dołączyć do moich sił jak najprędzej, żebyśmy wspólnie mogli wybrać dogodne miejsce na bitwę.

— Oczywiście, że byśmy to zrobili — zapewnia baron Stanley — gdyby nie położenie mego syna.

Henryk milczy.

— Ryszard przetrzymuje go jako zakładnika, gwarantując sobie moje poparcie — wyjaśnia Tomasz Stanley. — Rzecz jasna kazałem mu uciec i zasilić twoje szeregi swoimi ludźmi, kiedy już będzie bezpieczny.

— Co będzie, jeżeli ucieknie, lecz nie uda mu się ciebie o tym zawiadomić? Taka zwłoka może mieć dla nas groźne konsekwencje...

— Bez obawy. Mój syn pojmuje powagę sytuacji. Dowiem się, że jest wolny.

— A jeżeli nie uda mu się uciec?

— Wtedy też połączymy swoje siły z twoimi, a ja będę musiał opłakiwać mego syna, bohatera i pierwszą ofiarę złożoną na ołtarzu twojej sprawy — odpowiada nieporuszony Stanley.

— Dopilnuję, aby został wywyższony. Dopilnuję, aby spotkała was nagroda — mówi pośpiesznie Henryk.

Stanley skłania lekko głowę.

— To mój pierworodny — dodaje cicho.

Zapada milczenie. Na palenisku rozbłyska płomień, kiedy ogień sięga po suchsze polano, i w tej krótkiej chwili Henryk uważnie przygląda się twarzy ojczyma.

— Wasza armia dwakroć przekracza wielkością moją — mówi szczerze. — Przy waszym poparciu mam wygraną zapewnioną, wspólnymi siłami zmiażdżymy Ryszarda. Tylko ty możesz otworzyć mi drogę do Anglii.

— Wiem — rzecze spokojnie Stanley.

— Zyskasz tym moją ogromną wdzięczność.

Tym razem Stanley tylko potakuje skinieniem.

— Musisz dać mi słowo, że kiedy wdamy się w bitwę z Ryszardem, będę mógł liczyć na twoje wsparcie.

— Oczywiście — potwierdza Stanley. — Dałem już słowo twojej matce, a teraz daję je też tobie. Kiedy dotrzesz na pole bitwy, moi ludzie będą na twoje rozkazy, tego możesz być pewien.

— I udasz się na tę bitwę razem ze mną?

Stanley potrząsa głową z żalem.

— Jak tylko mój syn będzie wolny — odpowiada. — Masz na to moje słowo. Jeżeli do walki dojdzie, zanim Jerzemu uda się zbiec, połączę swoje siły z twoimi i w imię przywrócenia na tron prawowitego władcy poświęcę to, co każdy mężczyzna ma najcenniejszego. Dziedzica.

Henrykowi musi to wystarczyć.

— No i jak? — pyta go Jasper, kiedy już wyprowadził wierzchowca z byle jakiej kryjówki i pocwałował traktem w stronę swojego obozu.

Henryk się krzywi.

— Twierdzi, że mogę nań liczyć na polu bitwy, ale że nie połączy otwarcie swoich sił z naszymi, póki jego syn nie jest bezpieczny. Zapewnia jednak, że z chwilą uwolnienia barona Strange opowie się po naszej stronie.

Jasper kiwa głową, jakby się tego spodziewał, po czym przez jakiś czas jada w milczeniu. Niebo powoli zaczyna się rozjaśniać; wstaje wczesny letni świt.

— Pojadę przodem — odzywa się nagle Jasper. — Przekonam się, czy da się wjechać do obozu tak, żeby nikt cię nie zobaczył.

Henryk zatrzymuje wierzchowca i patrzy za podążającym w stronę obozu stryjem. Gdy ten mija wystawione stráže, wzmaga się panujące wśród nich poruszenie — najwyraźniej zauważono już nieobecność Henryka i wszczęto alarm, obawiając się, że dowódca uciekł. Jasper zsiada z konia, żywo gestykuluje, wyjaśniając, że już udał się na poszukiwania. Hrabia Oksfordu wychodzi ze swego namiotu, by przyłączyć się do rozmowy. W tej samej chwili Henryk daje koniowi ostrogę i zbliża się do obozu.

Jasper zwraca się doń pierwszy.

— Wasza wysokość, dzięki Bogu! Giermek zauważył, że twoje posłanie jest puste, więc natychmiast pojechałem cię szukać. Mówiłem właśnie hrabiemu Oksfordu, że z pewnością udałeś się na spotkanie z jakimś sojusznikiem, który obiecał swoje wsparcie... — Ostre spojrzenie jego chabrowych oczu każe Henrykowi podjąć ten wątek.

— W rzeczy samej — potwierdza więc. — Na razie nie wolno mi zdradzić jego miana, wszelako mogę was zapewnić, że coraz znaczniejsze siły przechodzą na naszą stronę. Ów sojusznik przyprowadzi liczne oddziały...

— Parę setek ludzi? — dopytuje hrabia Oksfordu, sceptycznym wzrokiem obrzucając niewielką armię.

— Parę tysięcy, jak Bóg da — odpowiada młody Henryk Tudor z pewnym sobie uśmiechem.

## 20 SIERPNIĄ 1485 ROKU



Później tego samego dnia, gdy armia znów jest w ruchu, wlokąc się zakurzonym traktem i narzekając na gorąc, Jasper zrównuje swojego wierzchowca z rumakiem Henryka.

— Wasza wysokość, proszę o pozwolenie opuszczenia twego boku.

— Co? — wrywa się z zadumy Henryk. Cerę ma bladą, dłonie kurczowo zaciśnięte na wodzach. Jasper widzi napięcie na jego twarzy i zastanawia się, nie po raz pierwszy, czy młodzieniec ma dość sił, by sprostać przeznaczeniu, które przypisała mu matka.

— Chcę wrócić tą samą drogą, którą tu dotarliśmy, znaleźć parę kryjówek, wystarać się o konie, które by czekały na nas w stajniach, może nawet cofnąć się aż do wybrzeża, zamówić statek...

Henryk obraca się w siodle i obdarza mentora uważnym spojrzeniem.

— Chyba nie zamierzasz mnie zostawić tutaj samego?

— Chłopcze, równie dobrze mógłbym próbować zostawić własną duszę. Pragnę jedynie zapewnić nam drogę ewentualnej ucieczki.

— Na wypadek przegranej.

— Na wypadek, gdybyśmy przegrali.

To trudna chwila dla młodszego mężczyzny.

— Nie ufasz Stanleyowi?

— Nie ufam mu tak, jak bym chciał.

— I uważasz, że jeżeli nas nie poprze, poniesiemy klęskę?



— Wszystko sprowadza się do liczb — odpowiada cicho Jasper.  
— Król Ryszard dysponuje armią dwakroć większą od naszej, a my w tej chwili mamy pod sobą około dwóch tysięcy ludzi. Jeżeli Stanley przyłączy się do nas, nasza siła wzrośnie do pięciu tysięcy. W takim układzie mamy duże szanse na zwycięstwo. Ale jeżeli Stanley i jego brat połączą swoje siły z królem, wtedy my pozostaniemy z dwoma tysiącami, podczas gdy Ryszard będzie dysponował aż siedmioma tysiącami żołnierzy. Choćbyś był najwaleczniejszym rycerzem na świecie i niekwestionowanym następcą tronu, stanąwszy w polu z dwoma tysiącami przeciwko siedmiu tysiącom, raczej przegrasz, niż wygrasz.

— Wiem, lecz nadal wierzę, że Stanley opowie się po naszej stronie. Moja matka się zaklina, że tak będzie, a ona jeszcze nigdy się nie pomyliła.

— Co do tego zgoda. Mimo wszystko czułbym się lepiej, gdybyśmy mieli zapewnioną drogę odwrotu.

Henryk kiwa głową.

— Wrócisz tak szybko, jak tylko zdołasz?

— Za nic nie chciałbym przegapić tej rozgrywki — uśmiecha się Jasper. — Z Bogiem, wasza wysokość.

Henryk Tudor z trudem opanowuje poczucie ogromnej straty, patrząc za mężczyzną, który w ciągu jego dwudziestoosmioletniego życia prawie nigdy go nie opuszczał, a teraz zawraca konia i stępa odjeżdża na zachód, w stronę Walii.

Kiedy nazajutrz armia podejmuje marsz, Henryk zajmując miejsce na czele kolumny, z uśmiechem wszystkich zapewnia, że Jasper wyjechał na spotkanie nowych rekrutów, znacznych oddziałów, które ma przywieść do Atherstone. Zaciężni Anglicy i Walijszczy nie wątpią w słowa młodego wielmoży, któremu przysięgali wierność, co więcej: są nimi bardzo podniesieni na duchu. Berneńscy kapitanowie okazują rezerwę — nauczyli swoich podkomendnych tyle, ile się dało, a teraz jest już za późno, by szkolić nowo przybyłych; nie mają nic przeciwko dodatkowej pomocy, ale że muszą walczyć tak czy owak, nie podoba im się myśl o dzieleniu łupów pomiędzy większą liczbę ludzi. Francuskim opryszkom, którzy z lochu trafili

prosto do wojska, jest wszystko jedno — zamierzają przeżyć i wzbogacić się, reszta ich nie obchodzi. Henryk przygląda się swojej armii z odważną miną, wszelako w głębi ducha martwi go ta obojętność i interesowność.

Kiedy hrabia Northumberlandii ściąga do obozującego w Leicester króla wraz ze swoją armią liczącą trzy tysiące żołnierzy, zostaje natychmiast zaprowadzony przed oblicze Ryszarda, który akurat spożywa wieczorny posiłek, pomimo polowych warunków zasiadając pod królewskim baldachimem.

— Usiądź i zjedz ze mną — zaprasza go cichym głosem Ryszard, wskazując miejsce na przeciwnym krańcu stołu.

Henryk Percy krąśnieje na to wyróżnienie i skwapliwie siada.

— Gotowyś do jutrzejszej bitwy?

Gość wydaje się lekko speszony.

— J-jutrzejszej? — bąka.

— A dlaczego by nie?

— Jutro jest niedziela...

— Mój brat walczył w Niedzielę Palmową i Pan Bóg go nagrodził zwycięstwem. Zatem my też stoczmy naszą bitwę jutro.

Hrabia wyciąga obie dłonie, pozwalając słudze polać je wodą i osuszyć ręcznikiem. Następnie przełamuje bochenek chleba i zaczyna wybierać jasny miąższ spomiędzy dobrze wypieczonej skórki.

— Przykro mi, wasza wysokość, ale dopiero przyprowadziłem swoich ludzi. Nie ma mowy, żeby stanęli jutro w polu. Śpieszyliśmy się pomimo upału i niełatwej drogi, jesteśmy zmęczeni i nie nadajemy się do walki...

Ryszard obdarza go przeciągłym spojrzeniem spod ciemnych rzęs.

— Chcesz powiedzieć, że pokonałeś taki kawał drogi, żeby stać z boku i patrzeć na bój?

— Nie, wasza wysokość. Przynależem udział w twojej wojnie. Wszelako jeżeli zamierzasz ruszyć już jutro, będę musiał zamykać tyły. Nikt z moich ludzi nie podoła wysiłkowi ataku. Jesteśmy na to nazbyt utrudzeni.

Ryszard się uśmiecha, jakby właśnie zyskał pewność, że Percy obiecał Henrykowi Tudorowi, iż pozostanie w królewskiej ariergardzie, gdzie nawet nie kiwnie palcem.

— Skoro tak, zajmiesz tyły — postanawia. — Dzięki temu będę mógł czuć się bezpieczny. Panowie — rzuca w przestrzeń, na co podrywają się głowy wszystkich obecnych w namiocie — wyruszmy jutro z samego rana. — Nie drży mu głos ani nawet powieka. — Wyruszmy i zmiażdżymy tego chłystka.

## NIEDZIELA, 21 SIERPANIA 1485 ROKU



Henryk czeka na powrót Jaspera tak długo, jak długo ma śmiałość. Korzystając z okazji, zarządza dodatkowe ćwiczenia pikinierów. W grę wchodzi nowa sztuczka, zastosowana po raz pierwszy przez Berneńczyków w walce przeciwko budzącej grozę jeździe z Burgundii niecałe dziesięć lat temu, a teraz pokazywana przez berneńskich dowódców niezdiscyplinowanym Francuzom, którzy niechętnie, ale stopniowo ją pojmują i wdrażają w życie.

Henryk z paroma innymi jeźdźcami odgrywa atak szarżującej kawalerii wroga.

— Tylko ostrożnie — przestrzega hrabiego Oksfordu. — Jeśli ich nie docenisz, skończysz nadziany jak na rożen.

De Vere wybucha śmiechem.

— To by przynajmniej znaczyło, że posiadli nareszcie tę sztuczkę.

Pół tuzina mężczyzn w siodłach zawraca szerokim łukiem i przystaje, po czym na rozkaz: „Do ataku!”, rusza naprzód, początkowo stępa, następnie kłusa, aż w końcu przechodzi w pełny, siejący postrach galop.

To co się dzieje potem, jeszcze nigdy nie miało miejsca na angielskiej ziemi. Dotąd bowiem piechota na widok szarży kawaleryjskiej jak jeden mąż wbijała drzewce pik w grunt i zadzierała czubki z grotami w nadziei na rozoranie końskiego brzucha bądź też rzucała się na oślep na jeźdźca, w mgnieniu oka dźgając powietrze w górze i robiąc unik i ani na chwilę nie przestając osłaniać własnej głowy. Większość piechurów zazwyczaj ciskała broń gdzie popadnie

i zaczynała uciekać. Dlatego jazda w poprawnie ustawionym szyku miała wielkie szanse na przedarcie się przez linie piechoty — mało było śmiałków, którzy chcieliby patrzeć potwornemu niebezpieczeństwu prosto w twarz.

Tym razem jednak pikinierzy, rozproszeni jak zwykle, na widok nacierającej jazdy i na głośno wykrzyczany rozkaz dowódcy rzucają się formować kwadrat o boku na dziesięciu chłopa, zawierający w środku drugi taki sam, a jeszcze głębiej — kolejną czterdziestkę, która z powodu ścisłu ledwie może się ruszyć. Pierwszy szereg opada na kolana, wbijając w ziemię drzewce broni i strosząc groty w górę i na zewnątrz. Drugi szereg utrzymuje towarzyszy w miejscu, pochylając się nad ich plecami z również skierowanymi w powietrze pikami. Wreszcie trzeci szereg stoi prosto z bronią uniesioną na wysokość ramienia. Tym sposobem naprędce uformowany kwadrat zamienia się w coś groźniejszego od jeża, w jednolity kloc ludzkich ciał i żelaza, straszący szpicami na wszystkie strony.

Pikinierzy tworzą szyk na długo przed tym, zanim jazda zdaży się do nich zbliżyć, toteż przygotowanemu na niespodziankę Henrykowi udaje się uniknąć niebezpieczeństwa, w porę skręcając wraz z pozostałą piątką i hamując w tumanach kurzu i latających kawałków darni wrywanych ze ściółki przez końskie kopyta.

— Dobra robota — chwali berneńskich kapitanów. — Dobra robota. Byle tylko utrzymali szyk, kiedy prawdziwa jazda będzie szarżowała prosto na nich. Chyba nie stchórzą w ostatniej chwili, nie rozpierzchną się?...

Berneńczyk uśmiecha się paskudnie.

— Na tym polega cały urok tej sztuczki — odpowiada przyciszonym głosem, żeby żołnierze nie usłyszeli. — Nie mogą się rozpierzchnąć. Jeden szereg utrzymuje drugi na miejscu, chcąc nie chcąc, tak że nawet gdyby wszyscy naraz wyzionęli ducha, ich groty nadal będą sterczały i zadawały śmierć. Udało nam się przeistoczyć ludzi w broń, bo znalazłszy się w szyku, nie są już pikinierami, którzy mogą podjąć decyzję: walczyć czy uciekać.

— Wyruszymy wreszcie? — pyta hrabia Oksfordu, klepiąc konia po szyi. — Ryszard nie trwoni czasu, powinniśmy się znaleźć na trakcie przed nim.

Henryk spostrzega, że aż wierci go w brzuchu na myśl o konieczności wydania rozkazu do wymarszu bez Jaspera u boku.

— Tak! — potwierdza pewnym głosem. — Każ ludziom formować szyk. Wkrótce wyruszamy.

Do Ryszarda dociera wieść, że Henryk Tudor wraz ze swoją niewielką armią maszeruje wzdłuż pamiętającej czasy starożytnych Rzymian Watling Street — być może w poszukiwaniu dogodnego miejsca na bitwę, być może w nadziei na dotarcie do Londynu bez przeszkód. Dwie armie Stanleyów—Wilhelma i Tomasza — depczą mu po piętach, być może chcąc robić nękające go wypadki, a być może zamierzając do niego dołączyć, Ryszard niczego nie jest pewien.

Wydaje rozkaz opuszczenia Leicester. Mieszczki otwierają okna na górnych piętrach, aby się przyglądać przemarszowi wojsk królewskich, jakby to była letnia parada. Na czele postępuje kawaleria: każdego rycerza poprzedza giermek niosący jego wesoło powiewający sztandar, jak gdyby szykowali się do udziału w turnieju, za nimi zaś ciągną rycerscy ludzie. Klekot podków na bruku jest ogłuszający. Młode niewiasty wołają głośno i sypią płatki kwiatów. Za jazdą kroczy piechota: każdy zbrojny dzierży swój oręż oparty na ramieniu. Dalej idą łucznicy z łukami na plecach i kołczanami pełnymi strzał. Niewiasty piszczą i posyłają w powietrze całusy; łucznicy znani są ze swych miłosnych umiejętności. Wtem rozlegają się wiwaty i okrzyki — oto bowiem pojawia się sam najjaśniejszy pan w pięknie wytłaczanej zbroi, wypolerowanej na błysk i rażącej niczym srebro, dosiadający jabłkowitego rumaka i z cienką bojową koroną przymocowaną do hełmu. Jego herb — biały dzik — powiewa dumnie przed nim i za nim, po bokach zaś chorążowie unoszą czerwony krzyż świętego Jerzego, albowiem to namaszczony władca Anglii, który udaje się na wojnę w obronie swego królestwa. Dobosze uderzają miarowo w werble, trębacze dobywają głosów trąbek — jest jak w Boże Narodzenie, nawet lepiej niż w Boże Narodzenie. Mieszkańcy Leicester jeszcze nigdy nie widzieli czegoś podobnego.

Ryszard jedzie w towarzystwie po prawej sprawdzonego przyjaciela, księcia Norfolk, oraz po lewej niezdecydowanego hrabiego

Northumberlandii, jak gdyby obaj byli równie godni zaufania. Mieszkańcy Leicester, nie mając pojęcia o wątpliwościach monarchy, tak samo donośnie wiwatują na cześć pierwszego, jak i drugiego wielmoży oraz na cześć armii, która podąży za nimi — zbieraniny mężczyzn z całej Anglii, posłusznych swoim panom i służących królowi Ryszardowi III w potrzebie. Na szarym końcu wlecze się nieporządna kolumna złożona z koni luzaków i wozów wypełnionych bronią, zbrojami, namiotami, piecykami, co wygląda tak, jakby ktoś przenoślił całe miasto. Jeszcze dalej, nawet za wozami, wlokąc się noga za nogą, by okazać zmęczenie lub niechęć, człapie armia Percy'ego.

Maszerują przez cały dzień, zatrzymując się tylko na południowy posiłek i przy okazji posyłając na przespiegi zwiadowców, aby znaleźli ślad armii Tudora i obu Stanleyów, po czym pod wieczór król wydaje rozkaz stanięcia w polu tuż przed wioską Atherstone. Ryszard York to doświadczony dowódca, wie, że szala zwycięstwa może się wciąż przechylić na każdą ze stron. Najwięcej zależy od tego, za kim się opowiedzą Stanleyowie i czy Percy stawi się na wezwanie. Dla Ryszarda to nie pierwszyna — losy każdej bitwy, którą stoczył, ważyły się na ostrzu noża. Żołnierskie szlify zdobywał podczas długiej wojny domowej i nigdy nie był pewien, jak dokładnie rozkładają się sympatie i antypatie uczestników starcia. Był świadkiem zdrady własnego brata, Jerzego. Widział, jak jego drugi brat, król Edward, wygrywa dzięki magii. Teraz rozmieszcza swoje wojsko starannie na lekkim wzniesieniu, skąd jak na dłoni widać starożytną rzymską drogę wiodącą do Londynu i skąd łatwo zbiec hurmem w dolinę. Jeżeli Henryk Tudor liczy, że uda mu się tędy przejść niezauważenie i ruszyć na Londyn, to się grubo myli, gdyż Ryszard zamierza spaść na niego jak jastrząb. Jeżeli Henryk Tudor postanowi stoczyć tutaj walkę, też może się przeliczyć, gdyż to Ryszard zjawił się pierwszy, rozeznał teren i zajął dogodniejszą pozycję.

Król nie musi czekać długo. Ledwie zaczyna się ściemniać, czoło armii Tudora opuszcza trakt i zajmuje się rozbijaniem obozu. Niebawem w mroku migoczą pierwsze ogniska. Żadna ze stron nie zadaje sobie trudu i nie maskuje się przed wrogiem — Henryk Tudor widzi armię królewską przyczajoną na wzgórzu po prawej, a Ryszard widzi jego oddziały. Króla ogarnia nostalgia na wspomnie-

nie, kiedy będąc podkomendnym starszego brata, pod osłoną nocy wykradł się daleko za główne siły i wraz garstką ochotników pozapalał w bezpiecznej odległości ogniska, wprawiając w konsternację nieprzyjaciela, który o poranku przeżył gorzkie rozczarowanie, zorientowawszy się, że przeciwnik jest na wyciągnięcie ręki. Albo na wspomnienie innego razu, kiedy walczyli pośród gęstej mgły i wszyscy stracili rozeznanie, kto swój, a kto wróg. Jednakże to były bitwy Edwarda, który miał za żonę niewiastę umiejącą dyrygować żywiołami i przywoływać złą aurę. Teraz jednak czasy są bardziej pospolite i Tudor tuż pod jego nosem schodzi z traktu, każe swoim ludziom rozpalać ogniska i szykować się do tego, co przyniesie ranek.

Ryszard wzywa barona Stanleya, aby się przyłączył do sił królewskich, ale posłaniec przynosi mu z powrotem tylko zapewnienie, że obie armie pojawią się we właściwym czasie, jeszcze przed świtem. Baron Strange zerka niespokojnie na Norfolka, który jest gotów ścigać go na miejscu na najłżejszy gest króla, i na wszelki wypadek przysięga w imieniu ojca, że ten się stawi, nim wzejdzie słońce. Ryszard tylko kiwa głową.

Nie żałuje sobie podczas wieczerzy. Poleca też, aby ludziom wydano dodatkowe racje, a konie napojono i nakarmiono sianem. Nie obawia się wzięcia przez zaskoczenie, lecz na wszelki wypadek wystawia strażę, po czym udaje się do namiotu na spoczynek. Nic mu się nie śni; ledwie naciąga pled na głowę, zasypia i do rana śpi jak kamień — jak zawsze przed bitwą. Cokolwiek innego byłoby w podobnych okolicznościach fanaberią. Nie jest głupcem, nieraz sypiał w gorszych warunkach, nieraz musiał toczyć walkę na mniej sprzyjającym terenie, stawiając czoło groźniejszemu przeciwnikowi niż ten niedouczony chłystek z pstrokatą armią.

W niecce poniżej Henryk Tudor przechadza się po swoim obozie niespokojnie niczym młody lew w klatce, aż w końcu robi się ciemno i nie sposób poruszać się bez ciągłego potykania. Wyczekuje pojawienia się Jaspersa, wiedząc, że stryj przecina gęstniejący mrok, byle doń dotrzeć jak najszybciej — z pluskiem pokonuje strumienie o wodzie czarnej niczym inkaust, przedziera się przez chlupoczące mokradła, ignorując niebezpieczeństwo. Ani na moment nie



wątpi w miłość i lojalność Jaspera. Nie potrafi sobie wyobrazić bitwy, w której stryj nie brałby udziału u jego boku.

Wyczekuje również Tomasza Stanleya. We wcześniejszej wiadomości ojczym go zapewniał, że pojawi się z chwilą założenia obozu, lecz oto teraz przybywa kolejny posłaniec i mówi, że baron Stanley nie stawia się przed świtem, tłumacząc to tym, że rozbił własny obóz i nie chce niepotrzebnie narażać ludzi na pałętanie się w ciemnościach — niemniej będzie na miejscu o poranku, tuż przed rozpoczęciem bitwy, Henryk nie powinien mieć co do tego najmniejszych wątpliwości.

Henryk jest pełen wątpliwości, ale niewiele może na to poradzić. Raz jeszcze rzuca spojrzenie na zachód, w nadziei że wypatrzy podskakującą w górę i w dół pochodnię oznaczającą zbliżającego się Jaspera, po czym niechętnie wchodzi do swojego namiotu. Jest młody, czeka go pierwsza w życiu bitwa. Rankiem będzie przekonany, że prawie nie zmrużył oka.

Nękają go koszmary. Śni mu się, iż nawiedza go matka, która mówi, że się pomyliła, że prawdziwym królem jest Ryszard i że jego, Henryka, pojawienie się w Anglii, jego armia, jego obóz w przededniu bitwy to jeden wielki grzech przeciwko ustalonemu porządkowi i woli Boga. Małgorzata Beaufort z surowym spojrzeniem przeklina go jako uzurpatora i królobójcę, jako buntownika przeciwko ładowi, jako heretyka występującego przeciwko prawu Boskiemu. Ryszard III to władca namaszczoney świętym olejem, jakże jakiś Tudor może podnosić na niego uzbrojoną w miecz rękę? Henryk rzuca się na posłaniu, przebudza na moment, po czym zapada w sen ponownie i tym razem śni, że Jasper wraca statkiem do Francji, oplakując jego śmierć na polu bitwy. Później wydaje mu się, że nawiedza go Elżbieta, księżniczka Yorku, młoda niewiasta, którą ma poślubić, mimo iż nigdy jej nie widział — przyszła mu powiedzieć, że kocha innego mężczyznę, że nigdy nie będzie dlań dobrą żoną, że on tylko się zbłąźni w oczach świata, jeśli się pobiorą. Patrzy mu prosto w twarz swymi pięknymi szarymi oczyma przepełnionymi zimnym żalem i oznajmia, że wszyscy wiedzą, iż oddała się innemu duszą i ciałem i nadal do niego tęskni. Mówi, że jej wybranek jest młody i przystojny i że go szanuje, Henrykiem zaś pogardza, mając

go za tchórze i zbiega. W końcu śni mu się, że bitwa się zaczęła i że zaspął, toteż zrywa się z posłania na równe nogi, uderza czołem w maszt namiotu i nareszcie przytomny stwierdza, że jest niemal nagi i drży na całym ciele, przestraszony przez własne koszmary, do rana zaś pozostało jeszcze wiele godzin.

Mimo to kopie śpiącego pachółka, wysyła go po wrzątek i po księdza, który ma odprawić mszę. Na jedno i na drugie jeszcze za wcześnie — nie płonie żadne ognisko, nie ma gorącej wody ani świeżo upieczonego chleba, nie ma mięsa z rusztu. Przez dłuższy czas nie umieją znaleźć duchownego, a kiedy wreszcie im się to udaje, okazuje się, że księżulek musi się otrząsnąć ze snu i przyszykować, zanim będzie mógł się pomodlić z Henrykiem Tudorem. Hostia też nie jest jeszcze gotowa, a poza tym krzyż miał stanąć o wschodzie słońca, nie w środku nocy. Szaty liturgiczne najpewniej wciąż są na którymś z wozów — znalezienie ich także zajmie trochę czasu. Henrykowi pozostaje zakutać się w przesiąknięte zimnym potem ubranie i kuląc się, doczekać świtu, kiedy reszta świata wstanie wypoczęta na nogi, jak gdyby dzisiaj nie miało się wszystko przesądzić, jak gdyby dzisiaj nie groziła mu śmierć.

W obozie Ryszarda od dawna panuje poruszenie; król zamierza ogłosić niezwykłą wagę czekającej ich bitwy, a także odnowić przysięgę z dnia koronacji. To ostatnie zdarza się tylko w wyjątkowych wypadkach, kiedy monarcha czuje potrzebę umocnienia więzi z poddanymi. Nikt z obecnych nie przeżył czegoś podobnego, toteż na wszystkich twarzach widnieje wyraz wielkiej powagi i podniosłości. Najpierw pojawia się chór z księdzem, postępujący dostojnie przed ustawionymi karnie szeregami, potem wielmoże odziani jak do bitwy z rozwiniętymi proporcami, wreszcie sam król w wyłaczanej zbroi i z gołą głową, którą opróżnia blask wstającego słońca. W tej chwili trzydziestotrzyletni Ryszard wygląda znacznie młodziej. Sprawia wrażenie pełnego nadziei, jakby dzisiejsze zwycięstwo miało przynieść trwałą pokój jego królestwu, a jemu możliwość ponownego ożenku i poczęcia dziedzica i następcy tronu, co zapewniłoby dynastii Yorków panowanie po wsze czasy. Jakby ten dzień był nowym początkiem — i dla Anglii, i dla niego.

Kłęką przed księdzem, który unosi wysoko koronę świętego Edwarda i delikatnie opuszcza ją na jego ciemnowłosą głowę. Ryszard czuje przez moment ciężkie brzemie grzechu, po czym nagle wszystko zostaje mu odpuszczone. Powstaje z klęczek i zwraca się twarzą do swojej armii.

— Boże, chroń króla! — wydziera się z tysięcy gardeł zdecydowany ryk. — Boże, chroń króla!

Ryszard uśmiecha się na okrzyk, który wcześniej witał wszędzie jego brata, a teraz jest przeznaczony dla niego. To było coś więcej niż powtórzenie ceremonii koronacji i odnowienie przysięgi złożonej królestwu i poddanym, to był uświęcony akt wielkiej wagi. Cokolwiek doprowadziło ich do tego miejsca, zostało puszczone w niepamięć. Grzechy uległy zmazaniu. Sądowi będzie poddane to, co dopiero się wydarzy. Natomiast on zyskał pewność, że jest w prawie, że jako namaszczony i koronowany król Anglii stawi czoło nie pretendentowi, lecz buntownikowi i uzurpatorowi, którego wszelkie nadzieje przepadły wraz z długim pokojowym panowaniem poprzedniego Yorka; którego jedyną nadzieją jest zamorska armia najemników i skazańców; którego popierają tylko najbardziej interesowni i zmienni wielmoże, a być może nawet nie oni.

Unosi dłoń i uśmiecha się, słysząc chóralny ryk aplauzu. Odwraca się lekko i zdejmuje ciężką koronę Edwarda Wyznawcy, by zamienić ją na hełm ze złotym otokiem. Zamierza walczyć w koronie, zamierza walczyć pod królewskim sztandarem. Jeżeli Henryk Tudor zapragnie osobiście się z nim zmierzyć, będzie miał ułatwione zadanie. Ryszard chce być tak widoczny na polu bitwy jak kiedyś trzy słońca Yorków oświetlające inne pole bitwy, chce ruszyć do boju i zabić Tudora w uczciwym pojedynku. Oto stoi przed swymi ludźmi — król wojujący, król niosący pokój.

Trębacze wygrywają melodię wzywającą do zbrojenia się i naraz wszystkie oddziały sprawdzają swoje topory, swoje miecze, swoje włócznie, swoje cięciwy... Ten i ów żołnierz pociąga ostatni łyk cienkiego piwa. Już czas. Najjaśniejszemu panu wybaczone wszelkie grzechy. Najjaśniejszy pan ponownie złożył przysięgę swemu ludowi. Na głowie ma koronę, a w ręku miecz. Już czas.

Nawet w dolinie słysząc dźwięki trąbek. Armia Tudora już siodła konie i wkłada zbroje. Henryk Tudor kręci się pomiędzy oficerami, żądając gotowości, upewniając się, że dowódcy wiedzą, co robić. Nie wyczekuje już Jaspera, nie może sobie pozwolić na chwilę zwątpienia czy niepokoju. Nie wolno mu myśleć o niczym innym, jak tylko o nadchodzącej bitwie. Posyła jedną jedyną wiadomość: do barona Stanleya.

*nadciągasz?*

Nie otrzymuje jednak odpowiedzi.

Otrzymuje za to list od matki. Jej posłaniec wkłada mu go w dłoń, kiedy stoi z rozłożonymi na boki ramionami, pozwalając się zakuć w zbroję.

*Synu mój,*

*Tan (Bóg jest z Tobą, nie możesz więc ponieść kieszki. "W moich modlitwach nie ma miejsca na nic i na nikogo innego poza Tobą.*

*"Przenajświętsza Tanienska mnie wysłucha, skpro tak gorąco modlę się za swego jedynaka.*

*Nje zapominaj, że znam wołę Tana "Boga, który jest po Twojej stronie.*

*Twoja matka,*

*Małgorzata.*

Odczytuje znajome pismo, po czym składa kartkę na czworo i umieszcza ją pod napierśnikiem, na wysokości serca, jak gdyby papier był w stanie powstrzymać ostrze miecza. Wizja Małgorzaty Beaufort zaważyła na jego życiu; jej ambicja i wiara w jego prawa doprowadziły go do miejsca, w którym się znajduje. Od chłopięctwa, od dnia kiedy zobaczył, jak jego yorkistowskiego opiekuna, tak znienawidzonego przez rodzicielkę, wywlekają z pola bitwy i pozbawiają głowy niczym zwykłego zdrajcę, ani razu nie zwątpił w wielki plan Małgorzaty Beaufort. Nigdy nie zwątpił w Dom Lancasterów. Dzisiaj wiara w niego, jej przekonanie o wygranej jest dlań jedynym pewnikiem. Gdy woła, żeby mu przyprowadzono konia, wierzchowiec w ladrach jest już gotów.

\*

Wrogie armie formują szyki i maszerują wprost na siebie. Ustawione na wzniesieniu działa Ryszarda są wymierzone w prawe skrzydło wojsk Henryka, toteż dowódcy wydają rozkaz, by te oddziały przesunęły się nieznacznie w lewo, schodząc z linii ognia. Wstające słońce grzeje im plecy, wiatr popycha ich do przodu, jakby przynaglając. Żołnierzom Ryszarda, oślepionym rażącymi promieniami i odbłyśkami na nieprzyjacielskich grotach, zdaje się, że zmierzają ku nim nieprzebrany las włoścni. W pewnym momencie ludzie Tudora przechodzą w trucht, on sam osadza wierzchowca w miejscu i obrzuca spojrzeniem pole bitwy. Ogląda się za siebie — ani śladu Jaspera. Patrzy prosto — armia Tomasza Stanleya, dwukrotnie większa niż jego, już ustawiona w szyku bojowym, tkwi dokładnie pośrodku. Jeżeli baron Stanley dokona zwrotu w lewo, ustawi się na czele wojsk Henryka i zaatakuje Ryszarda. Jeżeli zwróci się w prawo, rozgromi Tudora. Henryk lapidarnie odzywa się do swego giermka:

— Jedź do barona Stanleya i powiedz mu, że jeśli nie stawi się teraz, będę wiedział, co myśleć.

Następnie przenosi wzrok na swoje oddziały. Żołnierze, posłuszni wykrzykiwanym rozkazom dowódców, z truchtu przeszli w bieg i w zastraszającym tempie zbliżają się do wojsk królewskich. Wtem rozlega się ogłuszający trzask, gdy zderzają się czoła obu armii, i natychmiast wszczyna się bitewny chaos, w którym dominują przeraźliwe odgłosy mordowania i potworne zamieszanie zacieklej walki. Jakiś królewski jeździec rusza galopem wzdłuż pierwszego szeregu wroga, wymachując toporem wojennym, jakby ścinał sierpem chwasty, i pozostawia za sobą rząd zataczających się od ciosów i powalonych, umierających nieprzyjaciół. Na to jeden z pikinierów Tudora występuje krok w przód i za sprawą łuta szczęścia wraża ostrze w odsłoniętą pachę jeźdźcy, jednym szarpnięciem ściągając go z siodła na ziemię, wprost w rozwścieczony tłum piechurów, którzy rzucają się nań niczym psy i rozsiekują go w okamgnieniu.

Królewskie działa walą w najemników Tudora, ci cofają się, przegrupowują, starając się zejść z linii strzału; dowódcy nie są w stanie zmusić ich do natarcia. Pociski świszczą w powietrzu i zagłębiają się w ludzkie szeregi niczym kamienie w wodę, tyle że zamiast plusku

słysząc wrzaski mężczyzn i rżenie przerażonych koni. Ryszard w koronie, która w promieniach słońca zdaje się aureolą, na wyróżniającym się jabłkowitym wierzchowcu rzuca się w sam środek bitwy w otoczeniu chorążych i wiernych rycerzy. Kiedy zerka za siebie na niewielkie wzgórze, widzi, że ludzie Percy'ego stoją bez ruchu, podobnie jak armia Stanleya po jego lewej stronie. Parska krótkim śmiechem na myśl, że więcej żołnierzy stoi beczynn timer gapi się, niż walczy, ale ani na chwilę nie przestaje wywijać buzdyganem roztrzaskującym głowy zbrojnych, łamiącym im barki, ramiona, karki, stopy pacierzowe, jak gdyby byli nie żywymi ludźmi, tylko kukłami niezdolnymi się bronić.

Przerwa w bitwie następuje samoistnie, kiedy żołnierze robią się nazbyt zmęczeni, by walczyć. Mężczyźni chwiejąc się na nogach, opierają się ciężko na takiej broni, jaką kto ma, dyszą chrapliwie... Popatrują niespokojnie na pogrążone w bezruchu oddziały Stanleya i Percy'ego; niektórzy łapczywie chwytają powietrze, inni — targani torsjami — bryzgają z gardeł jasnoczerwoną krwią.

Ryszard biegnie spojrzeniem poza pierwszą linię bitwy, ściąga wodze wyrrywającemu się wierzchowcowi, klepie zwierzę po spoczonej szyi, skupia wzrok i widzi, że za oddziałami Tudora, w sporym oddaleniu od głównych sił, widnieje sztandar ze smokiem oraz z opuszczaną kratą będącą symbolem Beaufortów. Henryk pozwolił się odseparować od swojego wojska, został w tyle, wyłącznie z gwardzistami, podczas gdy żołnierze wysforowali się do przodu. Niedoświadczony na polu bitwy dopuścił do tego, by armia go osamotniła.

Przez uderzenie serca Ryszard nie wierzy w sposobność, która właśnie mu się nadarzyła, wszelako kiedy dociera do niego jej waga, wybucha radosnym śmiechem. Dostrzega swoją szansę, jedną na tysiąc w trakcie bitwy takiej jak ta, a wynikającą z chwilowego zawahania Henryka, który stanął w miejscu, wystawiając się na nieopisane zagrożenie. Staje w strzemionach i dobywa miecza.

— Yorkowie! — ryczy, jak gdyby był w stanie wezwać zza grobu swojego brata i ojca. — Yorkowie! Za mną!

Jego kawaleria odpowiada na wezwanie bez chwili zwłoki. Jeźdźcy poruszają się zwartą formacją, dudniąc dziesiątkami końskich kopyt, od czasu do czasu przeskakując zwały ciał, częściej jednak brnąc

pomiędzy ludzkimi i zwierzęcymi trupami. Ci z pierwszych szeregów giną, ale główny trzon jazdy prze naprzód nieprzerwanie w gęstym szyku, aż niczym posłany sprawną ręką bełt wystrzeliwuje na tyłach armii Tudora, która nagle spostrzega niebezpieczeństwo, drży niczym jeden organizm i usiłuje dokonać zwrotu, lecz nadaremno — może tylko bezradnie patrzeć, jak wraza kawaleria cwałuje w stronę głównodowodzącego. Tymczasem yorkiści na koniach, niepowstrzymani, pędzą prosto na Henryka Tudora z obnażonymi mieczami, z pochylonymi włóczniami, pozbawieni twarzy w swych spiczastych hełmach i przejmujący zgrozą z powodu prędkości. Tudorowscy pikinierzy na widok szarzy wyłamują się z szyku i cofają, na co Ryszard, sądząc, iż przed nim uciekają, woła:

— Za Yorka! Za Anglię!

Wtem nieoczekiwanie Tudor zeskakuje z siodła — „Dlaczego to robi?” — zastanawia się Ryszard, nie mogąc złapać tchu i z wysiłku niemal się przytulając do końskiej grzywy. „Dlaczego woli walczyć spieszony?”. Tymczasem Tudor już gna w stronę swoich pikinierów, a oni już zwracają ku niemu. Strach nie ma dostępu do Henryka, który przechodzi samego siebie w tej pierwszej dorosłej bitwie. Czuje, jak ziemia drży pod kopytami koni, przez moment ma wrażenie, że zalewa go fala, że jest jak chłopiec walczący ze sztormem na morzu. Widzi pochylonego w siodle Ryszarda, błysk jego klingi, blask cienkiego złotego otoku na hełmie. Zaczynając szybciej oddychać z podniecenia, wyrzuca z siebie do francuskich pikinierów:

— *Maintenant! A moi! A moi!*

Piechurzy zatrzymują się nagle i opadają na kolana, stawiając na sztorc piki. Drugi szereg mężczyzn pochyla się nad pierwszym i opiera drzewce o ramiona poprzedników, trzeci zaś — upchnięty w środku niczym żywa tarcza zasłaniająca Tudora — ze wszystkich stron wystawia na zewnątrz ostre groty, tworząc mur sztyletów gotowych na przyjęcie zbliżających się jeźdźców.

Ryszard nigdy czegoś takiego nie widział. Nikt w Anglii tego jeszcze nie widział. Jeźdźcy w pełnym cwale pojmują, że szarża jest stracona, że nie zdołają nawet w porę zawrócić. Paru próbuje w ostatniej chwili zmienić kierunek, ale skutkuje to tym, że wpadają pod nogi rozpedzonych wierzchowców swoich sąsiadów, co kończy

się tumultem, krzykami i połamanymi kośćmi. Pozostali nie ryzykują więc żadnych nagłych ruchów, tylko wciąż prą naprzód siłą rozpędu, nieubłaganie wpadając na las ostrzy. Pikinierzy uginają się pod naporem nagłego uderzenia, lecz zbici w ciasną grupę wytrzymują.

Wierzchowiec Ryszarda potyka się o zwłoki jakiegoś człowieka i upada na kolana, katapultując jeźdźca daleko do przodu; Ryszard czym prędzej zrywa się na nogi, poprawia miecz w dłoni. Pozostali jeźdźcy już są na ziemi, już się rzucają do ataku na pikinierów — rozlega się łomot mieczy uderzających w drzewce, zgrzyt metalu i łamiącego się drewna odlegle przypomina dźwięki pracującej kuźni. Zaufani ludzie króla formują szyk i nacierają na trzon kwadratu pikinierów, powoli odzyskując panowanie nad sytuacją. Pierwszy szereg pikinierów nie może wstać, przytłoczony ciężarem towarzyszy z tyłu, i ginie na kłęczkach. Drugi szereg nie ma szans przy takiej sile ataku i musi oddać pole. Henryk Tudor z każdą chwilą jest coraz bardziej odsłonięty.

Ryszard zaś, wymachując mieczem zbroczonym krwią, jest coraz bliżej; wie, że bitwa się skończy z chwilą śmierci Tudora. Dwa sztandary są już tuż-tuż, a on krok za krokiem posuwa się do przodu, przebijając się przez ścianę ludzi broniących pretendenta. Dostrzegłszy kątem oka czerwień walijskiego smoka, z wściekłością ścina go wraz z chorążym, Wilhelmem Brandonem, jednym potężnym wymachem ramienia. Proporzec już ma dotknąć ziemi, gdy któryś z gwardzistów Henryka rzuca się szczupakiem, chwytając ułamane drzewce i unosi je wysoko tryumfalnym gestem. Sir John Cheney, wielkolud nie człowiek, wciska się pomiędzy Henryka i Ryszarda, który znów siecze na odlew, zadając mu okrutną ranę w szyję. Rycerz pada na ziemię i czując, że klęska jest bliska, ostatkiem siły woła: — Uciekaj, miłościwy panie! Ratuj życie!... — krztusząc się własną krwią.

Tudor słyszy przestrozę i wie, że powinien odwrócić się i zbiec. To koniec, wszystko przepadło. Wtedy jego uszu dochodzi narastający dudniący dźwięk. Obydwaj, Henryk i Ryszard, równocześnie podrywają głowy i widzą, że armie Stanleyów ku nim ruszyły — rycerze trzymają w gotowości miecze, piechurzy stawiają na sztorc



piki, konie rwą darń, cwałując, jakby same były spragnione krwi. W chwili starcia chorąży Ryszarda pada cięty po nogach toporem, Ryszard obraca się z uniesionym mieczem, lecz czuje, że nagle ogarnia go słabość, że prawe ramię zawodzi go w najgorszym momencie, kiedy nacierają nań cztery tysiące zbrojnych; upada, gdy zewsząd sypią mu się na głowę śmiertelne ciosy.

— Zdrada! — krzyczy jeszcze. — Zdrada!

— Konia — woła ktoś inny z rozpaczą w głosie. — Konia! Przeprowadźcie królowi konia!

Jednakże król już nie żyje.

Sir Wilhelm Stanley zdejmuje hełm z lecącej przez ręce głowy Ryszarda, krzywi się na wciąż ciepły pot zlepiający jego ciemne włosy i zostawia resztę królewskich łupów na pastwę żołnierzy. Za pomocą grotu ułamanej włóczni ściąga z przyłbicy złoty otok i podszedłszy w paru zdecydowanych krokach do Henryka Tudora, klęka wprost w błocie i podaje mu na złączonych dłoniach koronę Anglii.

Henryk Tudor, słaniając się na nogach raczej od wstrząsu aniżeli ze zmęczenia, ujmuje ją skrwawionymi palcami i wkłada sobie na głowę.

— Boże, chroń króla! — dudni sir Wilhelm Stanley w stronę swoich żołnierzy, którzy właśnie przybywają na miejsce, cali i zdrowi, nawet nie draśnięci, zadowoleni ze zwycięstwa odniesionego takim małym kosztem. Jest pierwszym Anglikiem, który tak nazwał Henryka Tudora, i zamierza dopilnować, aby król o tym nie zapomniał. Baron Stanley dopiero zsiada ze zgrzanego konia, przewoźąc armii, która w ostatniej chwili przesądziła o losach bitwy. Zwraca się do pasierba z uśmiechem:

— Jestem, jak obiecałem.

— Nie ominie cię nagroda — rzecze Henryk, Wciąż jest szary na twarzy, czoło błyszczy mu od zimnego potu i czyjejś krwi. Patrzy niewidzącym wzrokiem, jak zdzierają z Ryszarda kosztowną zbroję, a potem także bieliznę, i przerzucają zwłoki przez grzbiet jabłkowitzo, teraz kulejącego wierzchowca, który zwiesza łeb, jakby się wstydził za swego pana. — Nikogo z tych, którzy walczyli dziś po mojej stronie, nie ominie nagroda.

Przynoszą mi wieści, kiedy klęczę w swojej kaplicy i modłę się do Przenajświętszej Pani. Słyszę trzaśnięcie drzwi i tupot nóg na kamiennej posadzce, nie odwracam jednak głowy. Otwieram tylko oczy i zawieszony spojrzenie na figurze Ukrzyżowanego, zastanawiam się, czy zaraz poznam, co to cierpienie.

— Z czym przychodzisz? — pytam. Pan Jezus patrzy na mnie, ja patrzę na Niego. — Proszę o dobrą nowinę — zwracam się tyleż do Ukrzyżowanego, co do niewiasty stojącej u mego boku.

— Twój syn stoczył wspaniałą bitwę — słyszę wypowiedane drżącym głosem słowa — i wygrał. Został okrzyknięty królem Anglii wprost na polu walki.

Czuję, że brak mi tchu.

— A uzurpator Ryszard?

— Poległ.

Spoglądam Chrystusowi prosto w oczy i ledwie się pohamowuję, żeby do Niego nie mrugnąć jak do współkonspiratora.

— Bogu niech będą dzięki — szepczę.

Pan Bóg zrobił, co do Niego należało. Teraz moja kolej. Podnoszę się z klęczek i przyjmuję z rąk sługi skrawek arkusza — list od Jaspera.

*'Nasz syn objął panowanie; możemy wejść do naszego królestwa.*

*'Przybędziemy bezzwłocznie.*

Czytam krótką wiadomość kilkakrotnie. Ogarnia mnie dziwne uczucie, że spełniło się moje marzenie i że odtąd wszystko będzie inaczej. Wszystko się znajdzie pod moją kontrolą.

— Trzeba przyszykować komnaty dla mego syna, który przyjedzie w odwiedziny tak szybko, jak tylko zdoła — oznajmiam rzeczowo.

Niewiasta, która przyniosła list, porusza się niespokojnie. Sądząc po jej minie, spodziewała się, że raczej padniemy sobie w ramiona i będziemy skakały z radości.

— Wygrałaś! — wykrzykuje z podnieceniem. Chyba oczekuje, że trysnę fontanną łez.

— Dostałam to, co mi się zawsze należało — wzruszam ramionami. — Wypełniłam swoje przeznaczenie. Taka widać była wola Boska.

— To wielki dzień dla twego rodu!

— Nic ponad to, na co zasługujemy.

Dyga płytko.

— Tak, milady.

— Tak, wasza wysokość — poprawiam ją. — Zostałam Królową Matką, więc będziesz dygać przede mną tak głęboko jak przed królową z urodzenia. Oto wypełniło się moje przeznaczenie: uczynić królem Anglii swego syna! Ci wszyscy, którzy przez lata natrzęsali się z mego powołania i powątpiewali w szczerą religijność, odtąd będą zwracali się do mnie per wasza wysokość, a ja nareszcie będę podpisywać swoje listy: Małgorzata R.

## OD AUTORKI



Niezwykle interesujące było poświęcić się pisaniu książki o kobiecie, która odniosła ziemski sukces, równocześnie starając się usilnie służyć Bogu. Została zapamiętana przez historyczki jako jedna z nielicznych odczytanych przedstawicielek płci pięknej swoich czasów; przez kronikarzy Tudorów jako założycielka ich dynastii; natomiast przez mniej czołobitnych pamiętnikarzy jako „ta stara krowa”, której przypadła rola teściowej z piekła rodem. Próba skonstruowania postaci, która by wyrosła z dziewczynki przekonanej o powołaniu przez niebiosa na kobietę mającą dość odwagi, by upomnieć się o tron Anglii dla swego jedyne go syna, stanowiła dla mnie zarówno wyzwanie, jak i przyjemność. Niniejsza powieść w dużej części opiera się na prawdzie historycznej, ale jest przeplatana hipotezami i fikcją literacką. W szczególności po dziś dzień nie wiadomo, kto zamordował księżęta z Tower ani nawet czy młodzi Edward i Ryszard Yorkowie faktycznie stracili życie na terenie londyńskiej twierdzy. Nie da się jednak ukryć, że pretendenci do tronu Anglii — a więc: Ryszard III, księżę Buckingham, Małgorzata Beaufort i jej syn Henryk Tudor — byli tymi, którzy najwięcej by skorzystali na śmierci następców Edwarda IV.

Mam wielki dług wdzięczności wobec badaczy zajmujących się postacią Małgorzaty Beaufort i jej czasów — zwłaszcza wobec Lindy Simon za napisaną przez nią biografię oraz wobec Michaela K. Jonesa i Malcolma G. Underwooda, których dzieło stanowiło punkt wyjścia do napisania tej książki. Michaelowi Jonesowi dodat-

kowo stokrotnie dziękuję za to, że był tak miły i zgodził się przeczytać rękopis mojej powieści.

Więcej informacji na temat materiałów źródłowych oraz dalsze komentarze można znaleźć na mojej stronie [www: Philippa Gregory.com](http://www.PhilippaGregory.com), gdzie czytelnicy mogą również brać udział w organizowanych w Internecie seminariach.

Poniżej przedstawiam listę lektur, które najbardziej pomogły mi w pracy:

Baldwin David, *Elizabeth Woodville: Mother of the Princes in the Tower*, Stroud, Gloucestershire, Sutton Publishing, 2002.

Baldwin David, *The Lost Prince: The Survival of Richard of York*, Stroud, Gloucestershire, Sutton Publishing, 2007.

Bramley Peter, *The Wars of the Roses: A Field Guide and Companion*, Stroud, Gloucestershire, The History Press, 2007.

Castor Helen, *Blood and Roses: The Paston Family in the Fifteenth Century*, Londyn, Faber and Faber, 2004.

Cheetham Anthony, *The Life and Times of Richard III*, Londyn, Weidenfeld & Nicolson, 1972.

Chrimes S. B., *Henry VII*, Londyn, Eyre Methuen, 1972.

Chrimes S. B., *Lancastrians, Yorkists, and Henry VII*, Londyn, Macmillan, 1964.

Cooper Charles Henry, *Memoir of Margaret: Countess of Richmond and Derby*, Cambridge University Press, 1874.

Crosland Margaret, *The Mysterious Mistress: The Life and Legend of Jane Shore*, Stroud, Gloucestershire, Sutton Publishing, 2006.

Fields Bertram, *Royal Blood: Richard III and the Mystery of the Princes*, Nowy Jork, Regan Books, 1998.

Gairdner James, *Did Henry VII Murder the Princes?*, „English Historical Review”, VI (1891), 444–464.

Goodman Anthony, *The Wars of the Roses: Military Activity and English Society, 1452–97*, Londyn, Routledge and Kegan Paul, 1981.

- Goodman Anthony, *The Wars of the Roses: The Soldiers' Experience*, Londyn, Tempus, 2006.
- Hammond P. W., Sutton Anne F., *Richard III: The Road to Bosworth Field*, Londyn, Constable, 1985.
- Harvey Nancy Lenz, *Elizabeth of York, Tudor Queen*, Londyn, Arthur Baker, 1973.
- Hicks Michael, *Anne Neville: Queen to Richard III*, Londyn, Tempus, 2007.
- Hicks Michael, *The Prince in the Tower: The Short Life and Mysterious Disappearance of Edward V*, Londyn, Tempus, 2007.
- Hicks Michael, *Richard III*, Londyn, Tempus, 2003.
- Hughes Jonathan, *Arthurian Myths and Alchemy: The Kingship of Edward IV*, Stroud, Gloucestershire, Sutton Publishing, 2002.
- Jones Michael K., Underwood Malcolm G., *The King's Mother: Lady Margaret Beaufort, Countess of Richmond and Derby*, Cambridge University Press, 1992.
- Kendall Paul Murray, *Richard the Third* (wyd. pol: *Ryszard III*, przel. K. Jurasz-Dąbbska, Warszawa, PIW, 1997).
- MacGibbon David, *Elizabeth Woodville (1437–1492): Her Life and Times*, Londyn, Arthur Baker, 1938.
- Mancinus Dominicus, *The Usurpation of Richard the Third: Dominicus Mancinus ad Angelum Catonem de occupatione Regni Anglie per Ricardum Tercium Libellus*, przekład i przedmowa C. A. J. Armstrong, Oxford, Clarendon Press, 1969.
- Markham Clements R., *Richard III: A Doubtful Verdict Reviewed*, „English Historical Review”, VI (1891), 250–83.
- Neillands Robin, *The Wars of the Roses*, Londyn, Cassell, 1992.
- Plowden Allison, *The House of Tudor*, Londyn, Weidenfeld & Nicolson, 1976.
- Pollard A. J., *Richard III and the Princes in the Tower*, Stroud, Gloucestershire, Sutton Publishing, 2002.
- Prestwich Michael, *Plantagenet England, 1225–1360*, Oxford, Clarendon Press, 2005.
- Read Conyers, *The Tudors: Personalities and Practical Politics in Sbaenth Century England*, Oxford University Press, 1936.
- Ross Charles, *Edward IV*, Londyn, Eyre Methuen, 1974.